

Tom Hinshelwood

# Kontrakt

*The Contract*

Tłumaczenie  
Joanna Przyjemska



# ROZDZIAŁ 1

BUKARESZT, RUMUNIA

ŚRODA 07:11 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

To był dobry ranek, żeby zabić. Było zimno. Gęste szare chmury przesłaniały słońce; miasto wydawało się ciche i ciemne. Takie właśnie lubił. Szedł swobodnym krokiem, bez pośpiechu - wiedział, że doskonale obliczył czas. Zaczął padać drobny deszcz. Tak, doskonały dzień na zabójstwo.

Ulicą przejechała śmieciarka, jej światła migąły pomarańczowo, wycieraczki pracowały energicznie, aby zetrzeć z szyb poranny deszcz. Z tyłu szła grupka śmieciarzy; trzymali dłonie pod pachami, by je ogrzać, podczas gdy samochód podjeżdżał do ułożonej na chodniku kolejnej sterty worków. Rozmawiali i żartowali.

Przeszedł szybko przez gęstniejącą w wiosennym powietrzu chmurę spalin. Jego kroki zwróciły uwagę mężczyzn i na chwilę przerwały ich pogawędkę. Przez kilka sekund czuł na sobie ich wzrok.

Niewiele mogli zauważyć. Był wytwornie ubrany: długi wełniany płaszcz, pod spodem ciemnoszary garnitur, czarne skórzane rękawiczki, eleganckie buty na grubej podeszwie. W lewej ręce trzymał pomalowaną na metaliczny kolor teczkę. Ciemne włosy miał krótko przystryżone, podobnie jak brodę. Pomimo zimna zapiął płaszcz tylko na dwa guziki. Wyglądał po prostu jak biznesmen spieszący do pracy - i rzeczywiście był biznesmenem, choć specyficznym; wątpił, czy ci ludzie odgadliby, jaki jest jego zawód.

Pojazd zadudnił za jego plecami, więc szybko obejrzał się przez lewe ramię; zobaczył podarte czarne plastikowe torby i odpadki rozsypane na ulicy. Śmieciarze zakleli i zaczęli pospiesznie je zbierać, by wiatr nie zdążył ich rozwiać.

Mężczyzna przeszedł na drugą stronę jezdni, dotarł do skrzyżowania, następnie szedł równoległą ulicą aż do dużego kompleksu apartamentowców, przewyższających o kilka pięter sąsiednie domy. Z monochromatycznych brązowych ścian wystawały balkony i anteny satelitarne.

Kiedy wchodził po schodkach do budynku, upewnił się, że nie wygląda na człowieka, któremu się spieszy.

W holu było ciemno - paliła się tylko połowa lamp na suficie, jedna z nich migała. Znajdowały się tam dwie windy, ale jeśli tylko mógł, nie korzystał z nich, więc skierował się w stronę klatki schodowej. Bez wielkiego wysiłku pokonał dwadzieścia dwa piętra i znalazł się na najwyższym.

Kiedy był już blisko wejścia prowadzącego na dach, dobiegł go hałas nadjeżdżającej windy, potem stukot obcasów. Poczekał kilka sekund. Usłyszał brzęk kluczy i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Chwila ciszy i drzwi się zamknęły.

Szedł dalej. Korytarz ciągnący się za klatką schodową był długi i prosty. Posadzkę pokrywało brudne linoleum, a wyblakła farba na ścianach zaczynała się łuszczyć.

Było chłodno, a w powietrzu unosił się zapach detergentu. Na końcu, tam, gdzie korytarz przecinał się z innym, biegnącym prostopadle do niego, znajdowały się drzwi z tabliczką: „Pomieszczenie gospodarcze”. Mężczyzna postawił teczkę na ziemi i wyjął z kieszeni kostkę masła, którą zabrał z pobliskiej restauracji. Przez minutę starannie smarował zawiasy w drzwiach, po czym schował opakowanie do kieszeni.

Następnie sięgnął po klucz dynamometryczny i cienki zakrzywiony wytrych. Zamek był znacznie lepszy niż większość zatrzasków tego rodzaju, ale otworzył go w niecałą minutę.

Gdzieś z tyłu usłyszał trzask otwieranych drzwi, więc szybko wsunął narzędzia do kieszeni.

Ktoś powiedział coś po rumuńsku. Człowiek z teczką władał kilkoma językami, ale tym akurat nie. Przez chwilę stał twarzą do drzwi, na wypadek gdyby się okazało, że tamten zwraca się do kogoś znajdującego się w mieszkaniu. Istniało prawdopodobieństwo - co prawda niewielkie - że będzie musiał coś zrobić z tym przypadkowym świadkiem.

Znowu usłyszał ten sam gruby, chropowaty głos. Wciąż stojąc tyłem do mówiącego, mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wołanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze.

Wyjął rękę z kieszeni i przycisnął ją do boku, tak, aby tamten jej nie widział. Z głową pochyloną do przodu i oczami ukrytymi pod osłoną brwi odwrócił się, by zobaczyć, kto do niego krzyczy.

To był potężnie zbudowany mężczyzna z kilkuniedniowym zarostem. Stał, opierając się tłustymi rękami o drzwi. Spojrzał na przybysza i trzęsącą się ręką wyjął papierosa z ust. Na linoleum spadła kupka popiołu.

Znowu coś powiedział, powoli i bełkotliwie. Był pijany - czyli niegroźny.

Człowiek z teczką zignorował natręta i poszedł dalej korytarzem, zanim ten zdążył narobić jeszcze więcej hałasu. Mieszkaniec bloku obserwował go, dopóki nie zniknął mu z

oczu. Dopiero wtedy, drapiąc się po głowie, wrócił do mieszkania.

Mężczyzna usłyszał za sobą charakterystyczny dźwięk zamykanych drzwi i się zatrzymał. Cofnął się po cichu, zajrzał na korytarz, a gdy upewnił się, że nikogo tam nie było, przycisnął mocniej do ciała berette, którą miał schowaną pod płaszczem, i zabezpieczył ją kciukiem. W pomieszczeniu gospodarczym było ciemno. Gdzieś kapąła woda. Zapalił małą, cienką latarkę. Wąska smuga światła oświetliła pomieszczenie: gołe cegły, rury, pudła, a wzdłuż jednej ściany metalowe schody. Mężczyzna wszedł po nich na górę. Poruszał się bezszelestnie. Na drzwiach prowadzących na dach wisiała kłódka, która sprawiła nieco więcej kłopotu niż zamek na dole.

Mimo to już po chwili znalazł się na dachu, jedenaście pięter nad ziemią. Lodowaty wiatr smagał każdy nieosłonięty centymetr jego ciała. Po kilku minutach to odczucie nie było już jednak tak przykre. Mężczyzna kucnął, aby nie można było dostrzec jego sylwetki na tle nieba, i w tej pozycji przemieszczał się po dachu. Postawił teczkę i spojrzał w dół. Przed nim rozpościerał się budzący się z wolna Bukareszt. Pomijając okolicę, w której się znajdował, należało przyznać, że to wyjątkowo piękne miasto. Był tu pierwszy raz, ale miał nadzieję, że nie zabawi tu długo.

Mężczyzna otworzył teczkę; w środku pod grubą warstwą gąbki znajdował się niezłożony karabin wyborowy PSG-1 firmy Heckler & Koch. Najpierw wyjął lufę i przykręcił ją do kolby, potem przymocował celownik optyczny Hensoldt, łożysko, dwudziestonabojowy magazynek, a następnie statyw. Na koniec ustawił karabin na krawędzi dachu.

Przyłożył prawe oko do celownika i przymknął lewe. Teraz widział wszystko w dziesięciokrotnym powiększeniu: budynki, samochody, ludzi. Dla zabawy ustawił krzyżyk na jakiejś młodej kobiecie z kubkiem kawy w ręku i przyglądał jej się, jak szła, cały czas wyprzedzając jej ruchy. Niebawem kobieta zniknęła pod jakimś drzewem i już więcej jej nie zobaczył. „Miała szczęście”, pomyślał z uśmiechem. Oderwał wzrok od celownika, przestawił karabin w inne miejsce i znowu zajął się obserwacją.

Widział teraz wejście do hotelu Grand Plaza na Dorobantiler Avenue. Osiemnastopiętrowy budynek miał nowoczesną, stalowo-szklaną fasadę, która wydawała się delikatna, ale i wytrzymała. Mężczyzna, podróżujący w interesach po całym świecie, zatrzymywał się w kilku hotelach Howarda Johnsona, ale w tym akurat nie. Jeśli to miejsce utrzymywało wysokie standardy właściwe całej sieci, to należało się spodziewać, że pobyt w nim należał do miłych. Pomyślał o tym tylko dlatego, że skazańcowi należał się przed poranną egzekucją przyzwoity odpoczynek w nocy.

Mężczyzna wyjął z teczki laserowy dalmierz i wycelował wiązkę w wejście do hotelu,

znajdujące się w odległości dokładnie pięciuset metrów od niego. Pokręcił kółkiem miernika wysokości, aby sprawdzić, jak wysoko od ziemi się znajduje.

Przed hotelowym wejściem odźwierny o ogorzałej twarzy ziewał szeroko, prezentując popsute uzębienie. Na wietrze powiewała przyczepiona do latarni purpurowa wstążka. Człowiek z karabinem obserwował ją przez chwilę, starając się obliczyć prędkość wiatru. Dwa, a może dwa i dwie dziesiąte metra na sekundę. Wyregulował celownik, biorąc poprawkę na tę informację. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim ktokolwiek zorientuje się, jaką rolę w tym wszystkim odegrała niewinna wstążka. A może nikt nigdy na to nie wpadnie.

Ustawił celownik optyczny tak, aby lepiej widzieć hotel. W pobliżu kręciło się kilka osób: jacyś przechodnie, przypadkowi goście, nie był to jednak tłum. Znakomicie. Był doskonałym strzelcem, ale na wykonanie zadania miał tylko kilka sekund i potrzebował czystego pola widzenia. Nie miał co prawda nic przeciwko zabiciu kogoś, kto miałby pecha znaleźć się akurat na linii strzału, ale taka sytuacja stanowiłaby ostrzeżenie dla głównego celu i jeśli byłby wystarczająco sprytny, mógłby uciec.

Mężczyzna z karabinem spojrział na zegarek. O ile informacje, jakich dostarczył mu jego klient, były dokładne, to osoba, na którą czekał, miała się wkrótce pojawić. Nie miał żadnego powodu, aby wątpić w ich prawdziwość. Było to jego pierwsze zlecenie od nowego klienta, ale został zapewniony, że jest to człowiek godny zaufania.

Ponownie ustawił celownik - teraz widział całe wejście do hotelu i dwie trzecie przylegającej do budynku wieży. Promienie wschodzącego słońca oświetlały okna trzech górnych pięter. Czekał.

Akurat przestało padać, gdy na hotelowy podjazd wjechała limuzyna. Zatrzymała się przed głównym wejściem. Wsiadł z niej potężny mężczyzna ubrany w beżową marynarkę i ciemne dżinsy. Wbiegł po schodach z szybkością i sprawnością ochroniarza. Jego głowa obracała się w lewo i w prawo, spojrzenie rejestrowało wszystkich znajdujących się w pobliżu ludzi w poszukiwaniu ewentualnych zamachowców.

Człowiek z karabinem poczuł, że wraz z uciekającym czasem jego serce zaczyna bić coraz szybciej. Oddychał głęboko, aby powstrzymać to kołatanie, które mogło uniemożliwić mu wykonanie zadania. Czekał.

Po chwili znowu zobaczył ochroniarza, który tym razem stanął w połowie schodów, rozejrzał się dookoła, po czym dał ręką znak w stronę wejścia. Za kilka minut pojawi się cel. W dossier było napisane, że jest to Ukraińiec i zawsze podróżuje z kilkusobową obstawą, która zapewne także zatrzymała się w tym hotelu. Byli to dawni wojskowi lub ludzie kiedyś

związani z wywiadem; bez wątpienia otoczą Ukraińca tak, że trudno będzie trafić.

Mężczyzna wybrał na tę okazję półautomatyczny MSG-90, pozwalający na oddanie kilku strzałów w ciągu paru sekund.

Pociski kaliber 7.62 x 52 mm z pełnym płaszczem metalowym mogły uśmiercić człowieka nawet stojącego za kimś. Były one skonstruowane tak, by przebić kamizelkę kuloodporną ochroniarza zasłaniającego cel i zabić obojwóch, tak więc obstawa nic by Ukraińcowi nie pomogła.

Zanim jednak mężczyzna zdążył ustawić zoom na pełne zbliżenie, dostrzegł błysk w oknie na trzynastym piętrze.

Szybko podniósł karabin i ponownie poprawił ustawienie celownika optycznego, kierując go na źródło światła. Obawiał się, że jakiś turysta mógł w tej chwili przez lornetkę podziwiać widoki i zauważyć odbicie światła w soczewce jego celownika, a jeśli tak by się stało, musiałby zapomnieć o kontrakcie i jak najszybciej uciekać. Oczywiście nie byłoby wówczas mowy o zastrzeleniu Ukraińca, bo policja deptałaby mu po piętach.

Kiedy w siatce celownika pojawiło się tamto okno, zrozumiał, że źródłem błysków nie jest odbicie promieni słonecznych w soczewkach lornetki, ale w celowniku innego karabinu, który ktoś wycelował w niego.

To nieoczekiwane odkrycie zmieniło zdumienie „biznesmena” w dzwonek alarmowy; pocisk pokona drogę, jaka dzieliła go od tamtego miejsca, w ułamku sekundy.

W powietrzu uniosła się różowa mgielka.

## ROZDZIAŁ 2

07:36 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor oderwał wzrok od lunety, gdy tylko ciało zniknęło mu z oczu. Tłumik zagłuszył odgłos samego wystrzału, ale nie ten, który rozległ się w powietrzu, gdy szybkość lecącego pocisku przekroczyła barierę dźwięku. Ktoś o dobrym słuchu i znający się na broni od razu domyśli się, że gdzieś padł strzał, jednak bez dostrzeżenia błysku trudno będzie stwierdzić, z którego miejsca został oddany. Specjalne naboje przystosowane do prędkości ponaddźwiękowej niemal na pewno wyeliminowałyby jakikolwiek hałas, ale dzień był wietrzny, a cel oddalony o czterysta osiemdziesiąt metrów.

W tych warunkach Wiktor nie miał zaufania do precyzji takiego pocisku.

Nie mógł otworzyć okna w pokoju hotelowym tak szeroko, jakby chciał, toteż odkręcił jedno skrzydło, ale przez to w pomieszczeniu panował chłód, chociaż kaloryfer był gorący. Przynajmniej wiatr rozproszy zapach kordytu. Gdyby wystawił karabin na zewnątrz, nie musiałby się o to martwić, ale wówczas łatwiej byłoby namierzyć, skąd padł strzał. Tylko amatorzy działają w ten sposób.

Sprawnie, choć bez pośpiechu, odkręcił tłumik od lufy i złożył broń. Poszczególne jej części powkładał do wyłożonych gąbką przegródek w walizce. Wszystko razem zajęło mu niecałe piętnaście sekund.

Następnie przez chustkę podniósł z podłogi gorącą jeszcze łuskę pocisku i schował do kieszeni, po czym odsunął od okna krzesło, na którym siedział, i odstawił je tam, gdzie stało przedtem. Stopą wygładził pozostawione przez nóżki mebla wgłębienia na dywanie.

Pokój był bardzo czysty, urządzony w neutralnych kolorach, nowocześnie, starannie. Dużo stali i mebli z australijskiej akacji. Nie było w nim żadnych osobistych akcentów, ale i żadnych estetycznych zgrzytów. Na widok łóżka Wiktor zapragnął się położyć, ale to nie wchodziło w grę. Mimo że grzechem było nie skorzystać z oferowanych przez hotel wygód, to pozostać w miejscu, które posłużyło mu do realizacji kontraktu, nie było w jego stylu. Nie tak prowadził interesy. Przykręcił okno z powrotem i kawałkiem papieru ściernego przetarł główki śrub. Na koniec raz jeszcze obrzucił wzrokiem pokój, szukając jakichkolwiek śladów swojego pobytu, ale niczego nie znalazł - nie kładł się na łóżku i nie korzystał z łazienki. O

odciski palców nie musiał się martwić, bo dłonie i palce pokrył wcześniej cienką warstwą silikonu.

Zadowolony z oględzin, włożył teczkę do dużej walizki w połowie wypełnionej ubraniami i wyszedł z pokoju. Jego serce biło o dwa uderzenia na minutę szybciej niż zazwyczaj.

Skierował się w stronę klatki schodowej, aby ominąć kamerę umieszczoną obok windy, i zszedł na pierwsze piętro. Minał hol wejściowy; głowę trzymał cały czas lekko pochyloną, tak by na taśmie zarejestrowano tylko jego włosy i czoło.

Przy wejściu do hotelu panowało jakieś poruszenie. Wysoki, barczysty mężczyzna w beżowej zamszowej marynarce i w dżinsach mówił coś niezwykle szybko i ze zdenerwowaniem do innego o podobnej posturze. Obydwaj wyglądali na Słowaków, Ukraińców lub Rosjan. Ten drugi mógł mieć czterdzieści parę lat, raczej bliżej pięćdziesiątki, był niezwykle muskularny, ubrany w doskonale skrojony garnitur w czarne prążki. Zamiast lewego ucha miał wielką szramę.

Nieopodal stało jeszcze czterech mężczyzn. Ich jasna cera zdradzała, że pochodzili z Europy Wschodniej. Wszyscy w ciemnych garniturach i dobrze zbudowani, choć nie byli przesadnie umięśnieni. Wiktor był przekonany, że musieli być kiedyś w wojsku i ochraniać prawdziwe szczyty. Teraz otaczali szczelnym pierścieniem mężczyznę w zamszowej marynarce oraz tego drugiego w prążkowanym garniturze; rozglądali się bacznie na boki, a ręce trzymali na wysokości pasa, w każdej chwili gotowi sięgnąć po broń. Od ich czujności zależała ich wypłata.

Potężny mężczyzna w zamszowej marynarce tłumaczył im po rosyjsku, dlaczego ten w garniturze musi zaczekać w budynku. Wiktor minął ich, udając, że nie rozumie, o czym rozmawiają. Podeszedł do recepcji i stanął tak, aby oko kamery było w stanie uchwycić tylko zarys jego szczęki. Czwórce ochroniarzy nie podobało się, że ktoś przechodzi tak blisko, ale ich zignorował. Na moment jednak jego oczy spotkały się ze wzrokiem mężczyzny w garniturze w prążki - spojrzeniem niesamowicie intensywnym, wyrażającym coś więcej niż tylko przelotne zainteresowanie. Zrobiło mu się nieswojo, choć nie potrafiłby nawet wytłumaczyć dlaczego, i musiał się bardzo starać, aby nie dać tego po sobie poznać.

Recepcjonista wpatrywał się w grupę mężczyzn, ale po chwili zwrócił się do Wiktora:

- Przepraszam, czym mogę panu służyć? - zapytał po angielsku z rumuńskim akcentem.

- Chciałbym się wymeldować - powiedział Wiktor.

Podał swoje nazwisko i oddał klucz, a gdy recepcjonista odnotowywał wymeldowanie



w komputerze, Wiktor uważnie przysłuchiwał się prowadzonej za jego plecami rozmowie. Kiedy sprawdzał rachunek i podpisywał kwit, usłyszał za sobą ciężkie kroki. Zazwyczaj nigdy nie dopuszczał do sytuacji, aby ktoś nieznajomy znalazł się nagle za jego plecami, ale teraz kamera śledziła każdy jego ruch, więc nie mógł pozwolić sobie na żadne gwałtowne działanie, a na dodatek byli tu jeszcze ci ochroniarze.

Stał spokojnie, składając fałszywy podpis na hotelowym dokumencie, gdy nagle ktoś trącił go w ramię. To jeden z ochroniarzy podszedł do recepcji i warknął jakieś rozkazy. Wiktor nie zareagował na potrącenie, ale zachwiał się, usiłował zachować równowagę, ale nie udało mu się i upadł na podłogę.

Zanim zdołał się zdenerwować, usłyszał ostry okrzyk:

- Nikołaj!

To był głos mężczyzny w prążkowanym garniturze. Mężczyzna w zamszowej kurtce popatrzył na swojego szefa; Wiktor też spojrział.

- Nikołaj, ty chamie, nie masz za grosz szacunku do ludzi - powiedział mężczyzna w garniturze, podchodząc do Wiktora. - Natychmiast przeproś tego pana!

W jego głosie słychać było akcent ukraińskiego wieśniaka.

Ochroniarz nazwany Nikołajem wymamrotał po angielsku: „Przepraszam”.

- W porządku - odparł Wiktor.

- Przepraszam - zwrócił się potężny Ukrainiec do Wiktora. - Tego mojego przyjaciela trzeba jeszcze ucivilizować. Czy nic się panu nie stało?

- Nie, w porządku - powiedział Wiktor, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę z człowiekiem, któremu przed chwilą ocalił życie. Z każdą sekundą rosło ryzyko, że zostanie rozpoznany. Ukrainiec przeszył go wzrokiem; Wiktor jeszcze nigdy nie spotkał nikogo o tak intensywnym spojrzeniu. Nagle poczuł się nieswojo, nie wiedział dlaczego, ale z trudem udało mu się zapanować nad swoją reakcją.

- Och, nie - wykrzyknął Ukrainiec, spoglądając na Wiktora. - Pański garnitur!

Wiktor podążył za spojrzeniem tamtego i dostrzegł, że prawy rękaw marynarki jest trochę rozerwany. Widocznie padając, zaczepił o krawędź blatu recepcji.

- W porządku, to nic takiego - stwierdził Wiktor. - Da się zszyć.

- Nie, nie, pański garnitur jest zniszczony - orzekł Ukrainiec i zwrócił się do ochroniarza: - Ty głupi fiucie, widzisz, coś narobił?! Przepraszam - znowu zwrócił się do Wiktora - to ładny garnitur. Widzę, że dba pan o odpowiednią jakość swoich ubrań, podobnie jak ja. Zwróciłbym panu pieniądze, tylko że nie noszę przy sobie gotówki, a o czekach już wszyscy dawno zapomnieliśmy.

- Nie trzeba, to nic takiego - zapewniał Wiktor, żałując, że nie zszedł Nikołajowi z drogi.

- Ależ nic podobnego. - Ukrainiec sięgnął do kieszeni, wyciągnął wizytówkę i podał ją Wiktorowi. - Niestety teraz mam mnóstwo spraw na głowie, w przeciwnym razie poszlibyśmy do sklepu i kupiłbym panu nowy garnitur, ale proszę, oto moja wizytówka. Proszę do mnie zadzwonić i coś wymyślimy, a jeśli kiedykolwiek będzie pan w Moskwie, to mój krawiec uszyje panu taki piękny garnitur, że popłacze się pan ze szczęścia.

Wiktor spojrział na wizytówkę, na której po angielsku i po rosyjsku było napisane: Władimir Kazakow, a obok numer telefonu i moskiewski adres.

- To bardzo miło z pana strony, panie Kazakow.

- A teraz, zanim moi ludzie narobią więcej szkód, proszę przyjąć moje przeprosiny.

Wiktor skinął głową i poszedł w stronę wyjścia. Nie oglądał się, ale cały czas czuł na sobie spojrzenie swojego rozmówcy.

\* \* \*

Na dworze było zimno, więc odźwierny, drobny mężczyzna, już nie stał na zewnątrz.

- Taksówka, sir? - zwrócił się do Wiktora.

- Tak - odparł.

Odźwierny machnął chudą ręką na przejeżdżającą taksówkę.

Wzrok Wiktora powędrował ku jedenastopiętrowemu apartamentowcowi, którego brzydota wprost rzucała się w oczy nawet z odległości ponad pięciuset metrów. Zabójca dokonał właściwego wyboru. Inne budynki znajdowały się co prawda bliżej, ale z tamtego nic nie zasłaniało wejścia do hotelu. Gdyby role się odwróciły, Wiktor także strzelałby stamtąd, ale byłby bardziej ostrożny i nie dałby się namierzyć.

Dostrzegł swoje odbicie w szybie drzwi wejściowych i zauważył, że właściwie był podobny do tamtego człowieka. Miał na sobie grafitowy garnitur, białą koszulę, niebieski krawat i czarny płaszcz - wszystko ani tanie, ani drogie - idealny kamuflaż w mieście. Wyglądał jak makler albo prawnik, ktoś elegancki, ale nie rzucający się w oczy. Wtapiał się w tłum, był niezauważalny, a więc trudny do zapamiętania.

W taksówce zaczął żuć miętową gumę. Słyszał, że to pomaga, kiedy chce się zapalić, ale on nadal nie był w stanie znieść na spokojnie zapachu dymu papierosowego.

Kazał taksówkarzowi zawieźć się na dworzec Gara de Nord, kupił bilet do Konstancy i wsiadł do pociągu na siedem minut przed odjazdem. Przeszedł przez dwa wagony i wysiadł dosłownie sekundę przed zamknięciem drzwi. Wezwał taksówkę i pojechał do Herastrau Park.

Pospacerował przez piętnaście minut po parku, po czym skierował się do wieżowca Charles de Gaulle Plaza. Zdaniem Wiktora ten szesnastopiętrowy budynek, prawdziwe monstrum ze szkła oraz stali, był uosobieniem wszystkiego, co złe we współczesnej architekturze. Nie podzielił się jednak tą opinią z żadną z osób siedzących w holu. Czytał jeden z leżących tam magazynów i obserwował główne wejście.

Po pięciu minutach, gdy nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa, Wiktor wstał i schodami prowadzącymi na najniższy poziom wieżowca zszedł do podziemnego garażu. Stąd jedną z szybkobieżnych wind wjechał na najwyższe piętro, a tu z kolei wsiadł do innej windy i zjechał na czwarte piętro, po czym zszedł schodami do głównego holu. Budynek opuścił bocznym wyjściem.

Udał się na najbliższą stację metra i tam przez trzydzieści minut zmieniał pociągi, cały czas sprawdzając, czy nie jest śledzony, aż wreszcie wysiadł na stacji przy uniwersytecie. Przez chwilę przechadzał się po kampusie, złapał taksówkę i polecił zawieźć się na Elisabeta Boulevard, nieopodal magistratu, a stąd poszedł pieszo do znajdującego się nieopodal parku Cismigiu Gardens.

Było tam cicho i spokojnie. Wiktor spacerując, minął kilka osób i skierował się w stronę biegnącej dookoła alei Rondul Roman, gdzie przez jakiś czas przyglądał się popiersiom słynnych rumuńskich pisarzy. Nareszcie mógł uznać akcję za zakończoną. Te środki ostrożności były w całej operacji równie ważne, jak pociągnięcie za spust. Należyte wywiązanie się ze zlecenia polegało na tym, aby pozostać niezauważonym i niemożliwym do wyśledzenia. Wielu może zabijać, ale tylko niektórzy potrafią potem uciec, nie mówiąc już o tym, żeby się to udało za każdym razem.

Wiktor przez lata działał anonimowo. Pracował jako wolny strzelec, zabijał szybko i skutecznie. Jego zleceniodawcy nie mieli pojęcia, kim jest. Żył w odosobnieniu, nie miał przyjaciół ani rodziny - nikogo, kto mógłby go wydać, ani nikogo, kogo można by wykorzystać przeciwko niemu. To jednak nie mogło trwać wiecznie. Wiktor nie znał ani jednej osoby, której nie dałoby się znaleźć.

Upewniwszy się jeszcze raz, że nikt go nie śledzi, udał się w stronę centrum parku, gdzie znajdowało się sztuczne jezioro. Przystanął chwilę przy kładce, wyjął z walizki teczkę i po sprawdzeniu, czy nikt go nie widzi, wrzucił ją do jeziora. M40 ważył niecałe siedem kilogramów i od razu poszedł na dno.

Wyszedł z parku od południowo-wschodniej strony. Wsiadł do autobusu. Zajął miejsce z tyłu, na podwyższeniu i wysiadł po przejechaniu sześciu przystanków, kiedy w tej części autobusu nie było już nikogo prócz niego. Walizkę zostawił.

Myślał o człowieku, któremu ocalił życie. Kiedy dostał ten kontrakt, nie miał pojęcia, kto miał być celem snajpera, którego zabił, wiedział tylko, że ten cel ma przeżyć, i gdyby nie incydent w hotelowym holu, to wcale nie zaprzętałby sobie tym człowiekiem głowy. A teraz wiedział, jak się nazywa, i już dawniej o nim słyszał. Zresztą w kręgach w jakich obracał się Wiktor mało kto nie znał nazwiska Kazakowa. Władimir Kazakow był jednym z największych - jeśli nie największym - na świecie handlarzem bronią. Zazwyczaj Wiktora niewiele obchodziły motywy, jakimi kierowali się jego zleceniodawcy, ale teraz dziwił się, dlaczego CIA tak zależało na ocaleniu Kazakowowi życia.

Znowu zaczęło padać i Wiktor przyspieszył kroku, aby iść z taką samą szybkością, jak pozostali przechodnie. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wiedział, że tutaj, na ulicy, jest jednym z wielu, jest taki jak wszyscy. Miał jednak świadomość, że to tylko złudzenie.

- Czy wiesz, co czyni cię wyjątkowym? - ktoś powiedział mu kiedyś. - Ludzie tacy jak ty i ja skrywają we wnętrzu coś, czego inni nie mają. To albo działa na naszą korzyść, albo nie - wtedy nas zdradza.

Zawsze potrafił właściwie wykorzystać to „coś” Jednak sześć miesięcy temu jego starannie wypracowana egzystencja runęła w gruzach, a on zaczął myśleć o wycofaniu się, o prowadzeniu normalnego życia. I wtedy się to wydarzyło. Teraz nawet gdyby chciał, nie miał szans porzucić swojej profesji. Jeśli spróbowałby to zrobić, jego szef postarałby się, aby przeszedł na wieczną emeryturę.

## ROZDZIAŁ 3

TUNARI, RUMUNIA

21:30 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Z wanny buchała para. Wiktor zakręcił kurek z gorącą wodą i zanurzył w niej maszynkę do golenia. Najpierw ogolił szyję, potem policzki, podbródek, a na końcu górną wargę. Robił to wolno i starannie. Nie mógł sobie pozwolić na zacięcie się ani jakiegokolwiek zaczerwienienie na twarzy. Użył kremu po goleniu i zajął się włosami; za pomocą nożyczek skrócił je na długość około centymetra.

Kiedy skończył, wyglądał całkiem inaczej niż mężczyzna, który zatrzymał się w hotelu Grand Plaza w pokoju numer 1312. Niebieskie soczewki kontaktowe oraz kupione w aptece okulary wyrzucił, zanim przybył do tego hotelu. Było tu mnóstwo gości, ponieważ tuż obok znajdowała się trasa prowadząca na lotnisko międzynarodowe - zbyt wielu, by ktokolwiek zauważył, że miał wcześniej brodę i dłuższe włosy.

Nie wierzył w wyszukane przebrania. Nie wyglądały przekonująco, szczególnie z bliska, chyba że przygotował je ekspert od charakteryzacji. Peruki i maski z lateksu - o ile nie były wykonane przez fachowca - raczej zwracały uwagę, aniżeli ją odwracały.

Po kąpieli wyszedł z łazienki i usiadł przy niewielkim biurku, które stało w sypialni. Wyjął 9-milimetrowego SIG Sauera P226, starannie go wyczyścił i złożył. Broń była nowa, jeszcze nikt nigdy z niej nie strzelał - teraz miał to zrobić on.

Jego związany z CIA zleceniodawca dostarczył mu zarówno SIG-a, jak i karabin Dakota Longbow, które czekały teraz w bagażniku sedana pozostawionego na parkingu lotniska Otopeni International. Znał i lubił tę broń.

Trzeba było przyznać, że dostarczenie broni na miejsce bardzo ułatwiało Wiktorowi pracę, ale widział teraz, że równocześnie zmniejszało zakres kontroli, jaką sprawował nad wszystkim, i to mu się nie podobało. Przez lata działał w pojedynkę, odpowiadał wyłącznie przed samym sobą i polegał tylko na sobie. Teraz, uzależniony od kogoś lub od jakiejś organizacji, czuł się tak, jakby miał splecione łańcuchem nogi.

Jednak co ważniejsze, wystawiało go to na większe ryzyko. Jego zleceniodawca nie tylko wiedział, kto i kiedy zostanie zabity, ale również w jaki sposób, a także skąd pochodzi

broń użyta do wykonania zadania. Takie informacje znacznie skracaly drogę prowadzącą do Wiktora, a tym samym ograniczaly jego możliwości ucieczki.

Jak na razie miał niewielki wybór - musiał wywiązać się ze zlecenia tak, jak mu kazano. Takie były warunki kontraktu. W zamian otrzymywał dobrą zapłatę, a jego prowadzący z CIA przyrzekał nie wyjawić nic na jego temat nikomu, nawet innym pracownikom Agencji, bo mogłoby się to dla Wiktora źle skończyć. Z kolei jemu nie wolno było przyjmować zleceń od innych. Teraz miał pracować tylko dla CIA. Był wyposażonym w broń niewolnikiem.

Lewe ramię zabolalo go, więc potarł je delikatnie. Miał tam dwie cienkie blizny, najświeższy nabytek, każda po innej stronie przedramienia, w miejscach, gdzie ostrze rozcięło ciało. Goiły się dobrze, a chirurg plastyczny zapewnił, że nie są poważne; od czasu do czasu dawały jednak o sobie znać.

Zgodnie z zasadami okna powinny być cały czas zamknięte, a zasłony lub żaluzje zaciągnięte. Mimo to Wiktor stanął przy oknie i przez małą szczelinę między zasłonami wyjrzał na zewnątrz - rzut oka na świat, w końcu zaraz miało go tu już nie być i nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek tu zawita.

Otworzył swój mały notebook, położywszy przedtem z boku SIG-a. Wpisał hasło i połączył się z internetem, by sprawdzić swój rachunek w banku na Kajmanach. Ucieszył się, widząc, że niedawno wpłynęła nań bardzo duża suma pieniędzy. Identyczna kwota pojawiła się tam dwa dni przed przyjęciem kontraktu. Tak zawsze pracował - połowa pieniędzy przed, połowa tuż przed zrealizowaniem misji. Tym razem suma była wyższa niż stawka, jakiej zazwyczaj żądał, a wynikało to z krótkiego czasu, w jakim miał wykonać zadanie.

Jeszcze dwa dni temu przygotowywał się do swojego pierwszego zlecenia dla nowego mocodawcy, czyli CIA. Powiedziano mu, że po zakończeniu tej akcji może się spodziewać kolejnych dwóch, ale wtedy nagle przyszło zamówienie dotyczące Bukaresztu, które musiało być zrealizowane w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jakiś zabójca miał uśmiercić człowieka, którego CIA chciało utrzymać przy życiu. Nie miał żadnych oporów, by przyjąć to zlecenie. Był zadowolony, że wraca do pracy. Świetna sprawa. Pierwsza robota od pół roku.

Nagle zerwał się z krzesła i chwycił za broń. Wszystko trwało nie dłużej niż sekundę.

Usłyszał krzyk kobiety. Podeszedł do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Nic. Nasłuchiwał, stojąc bez ruchu. Poczekał dziesięć sekund - nadal nic. Otworzył drzwi i trzymając w ręku pistolet rozejrzał się w obie strony. Nic, czysto.

Po chwili znowu siedział przy biurku i dziwił się swojej reakcji. Przecież powodem tego krzyku mogło być wszystko.

Może ktoś mieszkający w pokoju obok wylał sobie kawę na kolana albo zobaczył w kabinie prysznicowej pająka. A może mu się tylko wydawało.

Zaczął pracować na komputerze, cały czas trzymając w lewej dłoni pistolet. Sprawdził pocztę. Adres został założony wyłącznie w celu kontaktowania się ze zleceniodawcą, który zapewnił Wiktora, że jest on nie do namierzenia. Nie było powodu mu nie wierzyć. Jeśli Agencja Bezpieczeństwa Narodowego lub służby specjalne przechwyciłyby te e-maile kierowane do wynajętego mordercy, było pewne, że jego zleceniodawca byłby w takich samych tarapatkach, jak on sam. Dodatkowo adres ten miał być poza zasięgiem wszelkiego spamu i już sam ten fakt niezwykle go cieszył.

Otrzymał wiadomość od swojego zleceniodawcy. Zapamiętał podany w niej numer i włączył w laptopie opcję komunikacji głosowej. Łączył się przez dziewięć-dziesięć sekund, aż w końcu po drugiej stronie dał się słyszeć zachrypnięty baryton:

- Miło cię znowu słyszeć.

Wiktor milczał. Słyszał cmokanie.

- Nie lubisz gadać bez potrzeby, co?

- Faktycznie, nie lubię.

- No, dobra. Wobec tego utniemy sobie krótką pogawędkę, tak jak to pan lubi, panie Tesseract.

Wiktor spotkał swojego zleceniodawcę tylko raz - siedem miesięcy temu. Leżał wówczas w szpitalu i wtedy zaproponowano mu pracę dla CIA. Ten facet, który wtedy przyszedł do niego, miał z pięćdziesiąt lat. Był średniego wzrostu, siwy, o bystrym spojrzeniu i ważył co najmniej sto trzydzieści kilo. W jego zachowaniu wyczuwało się pewność, jaką daje piastowanie wysokiego stanowiska, ale pomimo tego nie wyzbył się manier wieśniaka. Równie dobrze mógłby nosić na piersi plakietkę informującą, że pracuje w służbach specjalnych. Przedstawił się, ale nie zapytał Wiktora ani o imię, ani o nazwisko. Ich rozmowa była krótka, ale Wiktor, chociaż był nafaszerowany lekami, nigdy nie zapomni jego twarzy.

- Nie podoba mi się ten pseudonim.

- Nie? - w głosie tamtego brzmiała niemal obraza.

- A mnie bardzo.

- Nie lubię historii.

- Właśnie moim zdaniem wyglądasz na takiego, co lubi straszne historie, koszmary senne.

- Aby mieć koszmary, trzeba śnić. Jednak jak już ci powiedziałem, ten pseudonim ma swoją historię. Kiedyś już został przez kogoś użyty, a to znaczy, że jest spalony i mogę mieć

w związku z tym kłopoty.

- Ach tak, rozumiem - westchnął tamten. - Nie masz się co martwić, chłopie. Każdy, kto go znał, już nie żyje.

- Nie martwię się, ale twoje wyjaśnienie jest nieprecyzyjne, bo ty żyjesz.

- Ale możesz mi ufać.

Wiktor milczał.

- Wiesz co - powiedział tamten - nasze uzgodnienia będą dla ciebie o wiele bardziej znośne, jeśli pozbędziesz się tej swojej paranoi. Być może jestem jedynym człowiekiem na świecie, któremu możesz ufać.

- Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć.

- A czy mogę na nie zasłużyć?

- Nie wybiegajmy zbyt daleko w przyszłość.

Zapadła cisza. Być może rozmówca Wiktora chciał w ten sposób stłumić śmiech, a wreszcie powiedział:

- Zdaje się zapomniałeś, w jakich okolicznościach się spotkaliśmy. Byłeś tak owinięty bandażami, że przypominałeś mumię z egipskiego sarkofagu, a nie pacjenta w szpitalu. Gdybym chciał, to mógłbym cię wysłać do kostnicy i tam miałbyś ciszę i spokój.

- A to ciekawe, bo gdy do mnie przyszedłeś, byłeś sam.

- Nie myśl sobie, że przyszedłem na spotkanie z płatnym mordercą bez jakiegokolwiek obstawy.

- A ty nie myśl sobie, że ja nie zauważyłem tego twojego kolegi, który kręcił się w pobliżu, udając faceta od napraw z nowiutką skrzynką z narzędziami w rękę.

- Myślę, że ta nasza rozmowa zbacza na zły tor - odparł ten po drugiej stronie po chwili milczenia. - Przystawmy ją na właściwy. Chciałem ci pogratulować. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

- Wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że to zlecenie wpłynęło w ostatniej chwili, ale jak widać dla takiego fachowca jak ty nie stanowiło to problemu.

- Już ci kiedyś powiedziałam, że moje ego nie wymaga dopieszczania. Kto stanowił cel dla tego snajpera, którego sprzątnąłem?

- To nieważne.

- To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, jak ten człowiek się nazywa?

- Bo nie musisz wiedzieć.

- Myślałem, że jesteś bardziej oryginalny.



- Chłopie, powód jest nieważny. Ciebie interesuje wyłącznie to, co ci zlecam, a ja troszcę się o resztę. Teraz jak najprędzej zajmij się tą sprawą Farkasa. Chcę cię skontaktować z pewnym dostawcą.

- Biorę to, jeśli podasz mi jego imię i nazwisko.

- Znam tylko imię. Georg. Jest Niemcem. Trzeba się z nim skontaktować w Hamburgu.

- W życiu o nim nie słyszałem.

- To stanowi dla ciebie problem?

- Byłby problem, gdybym o nim słyszał.

- Nie jest związany z CIA, ale jest dostawcą. Dostarczy ci wszystko, czego potrzebujesz. Właśnie wysłałem ci materiały uzupełniające, sprawdź, może już doszły.

- Tak, mam - stwierdził Wiktor, otwierając załącznik.

- To dobrze. Georg czeka na telefon od ciebie, a więc przeczytaj to, co ci przysłałem i zadzwoń do niego.

- Tu jest napisane, że mam się z nim spotkać w Hamburgu.

- A to jakiś problem?

- Tak. Otóż po pierwsze, ja nigdy nie spotykam się z nikim, kto ma jakikolwiek związek z tym, co mam aktualnie zrobić - o ile oczywiście nie chcę go zabić. A po drugie, Hamburg to teren działania Georga. Nigdy o tym facecie nie słyszałem, ty nic o nim nie wiesz i teraz jeśli pojedę do niego, to on może chcieć mnie oszukać.

- Mogę cię zapewnić, że to uczciwy i wiarygodny facet.

- To dlaczego znasz tylko jego imię?

- Ma świetne rekomendacje.

- Wolę polegać na własnej opinii.

- Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale już nie pracujesz sam. Teraz pracujesz dla mnie i zlecenia, jakie otrzymujesz, wymagają, abyś od czasu do czasu wylazł ze swojej skorupy i współpracował z innymi. Ja płacę ci wyłącznie za pociągnięcie za spust.

- To bardzo dobrze, bo gdybyś to ty pociągał za spust, to byś spudłował.

- Dobra, dajmy spokój tym dyskusjom o broni. Wracając do kontraktu dotyczącego Farkasa, chcę, abyś zrealizował go w bardzo specyficzny sposób. I właśnie dlatego masz się spotkać z Georgiem, jeśli praca dla mnie stanowi dla ciebie problem, to po wypełnieniu tych trzech zleceń możesz pójść własną drogą. Nie będę płakał.

- Bardzo szlachetnie z twojej strony, ale wliczając to zadanie w Bukareszcie to cztery kontrakty.

- Racja - zgodził się tamten - i jeśli zamierzasz nadal urządzić takie cyrki, jak ten w listopadzie, to muszę ci przypomnieć, że po świecie chodzi wielu ludzi, którzy chętnie skróciliby cię o głowę. A jeśli mam cię chronić przed kulą ze strony innych służb wywiadowczych, czy to amerykańskich, czy rosyjskich, to oczekuję odrobiny wdzięczności.

- Wysłałbym ci pocztówkę, ale nie znam twojego adresu. Możesz mi go podać?

Po drugiej stronie dał się słyszeć śmiech.

- To nie byłby najlepszy pomysł, nie sądzisz? A jeśli ochranianie ciebie nie wystarcza, to muszę ci przypomnieć, że już cię mile polectałem, wystawiając ci pewnego typu.

- Nie zapomniałem - wycedził Wiktor przez zęby, na próżno starając się nie myśleć o tym.

- To dobrze, bo nadszedł czas na rewanż. A może myliłem się, uważając cię za człowieka, który dotrzymuje słowa.

- Już tylko w taki sposób mogę udowodnić, że dotrzymuję słowa.

Rozmowa zakończyła się bez pożegnań, zresztą nie były potrzebne. Taka wymiana grzeczności może mieć miejsce wyłącznie między przyjaciółmi, a Wiktorowi zajęło wiele lat znalezienie w końcu kogoś, kogo mógł nazwać przyjacielem. Ostatnim razem, gdy myślał tak o kimś, ta osoba pomogła w zorganizowaniu zasadzki na jego życie.

Wiktor nie ufał zresztą także tym, dla których pracował. Miał świadomość, że został wynajęty do wykonania brudnej roboty, takiej, za którą jego zleceniodawca mógł wylądować za kratkami. A kiedy w tej branży coś szło nie tak, zaangażowani mieli skłonność do szybkiego zdradzania reszty. Wiedział, że jego przydatność zakończy się bez ostrzeżenia, a każde zamówienie może się okazać potencjalną pułapką. Przede wszystkim powinien dbać o to, aby jego zleceniodawca był zadowolony. A teraz musi dotrzymać słowa i spłacić swój dług.

Po wyjściu z hotelu zaczął szukać budki telefonicznej i po chwili ją znalazł. Wykręcił numer kierunkowy Hamburga. Po drugiej stronie słuchawki odezwała się po niemiecku kobieta. Lekka chrypka zdradzała wieloletnią palaczkę.

- Tak?

- Proszę z Georgem.

Usłyszał kaszel, a po chwili szorstki, męski głos.

- Tak?

- Mamy wspólnych przyjaciół - powiedział Wiktor. - Ponoć masz coś dla mnie.

- Jutro o dwudziestej pierwszej złap prom numer sześćdziesiąt dwa płynący z Landungsbrücken do Finkenwerder. Trzymaj w lewej ręce „Hamburger Abendblatt”. Stój na

górnym pokładzie, od strony portu. Żadnej broni! - dodał mężczyzna i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Wiktor odwiesił słuchawkę. Nagle poczuł niepokój. On tak nie prowadził biznesu. Wszystkie sprawy były załatwiane bez jakichkolwiek spotkań, a jeśli już były one nieuniknione, to odbywały się w neutralnych miejscach. Prom można by za takie uznać, ale to nie tam pojawi się jego kontakt. Ktoś inny miał go stamtąd zaprowadzić do Georga, a to już z pewnością nie będzie neutralne miejsce. Poza tym, jeśli cokolwiek poszłoby nie tak, prom okazałby się pływającą pułapką. Kiedy z powrotem znalazł się w swoim pokoju, zablokował klamkę drzwi krzesłem, sprawdził, czy SIG jest naładowany, zatknął go za pas i kompletnie ubrany położył się na łóżku. Jeszcze trzy zlecenia i znowu będzie działać sam.

Dopóki nie zasnął myślał o tym krzyku, który usłyszał rano.

## ROZDZIAŁ 4

HAMBURG, NIEMCY

CZWARTEK 20:22 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

W czwartki Hamburger Kunsthalle była otwarta do dwudziestej pierwszej, więc Wiktor godzinę spędził na zwiedzaniu sal wypełnionych dziełami sztuki, cały czas jednak obserwując, czy nie jest śledzony.

Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Wiktor zjadł lunch w przylegającej do galerii Cafe Liebermann, po czym, już wyłącznie dla własnej przyjemności, spędził jeszcze godzinę w dziale poświęconym pracom dawnych mistrzów i wyszedł. Galeria znajdowała się niedaleko od przystani promowej, więc Wiktor przeszedł ten kawałek pieszo.

Wsiadł na prom, idąc tuż za plecami jakiegoś starszego małżeństwa. Para poruszała się tak wolno, że wprost nie mieściło mu się w głowie, że można tak chodzić. W lewej ręce trzymał zwiniętą gazetę, w prawej - kubek z kawą. Udał się na górny pokład i od strony portu znalazł miejsce, z którego mógł obserwować wiodące na górę schody. Weszły nimi dwadzieścia dwie osoby.

Statek miał nieco mniej niż dwadzieścia siedem metrów długości oraz dziesięć metrów szerokości. Przyglądając się innym, udawał, że jest po prostu jeszcze jednym nieinteresującym się niczym pasażerem. Do tej pory miał do czynienia z kryminalistami, a nie z osobami wyszkolonymi do śledzenia innych, ale jego zdaniem na pokładzie nie było ani jednych, ani drugich.

Na każdym przystanku przyglądał się wsiadającym. Wyglądało na to, że z promu korzystali ludzie dojeżdżający w ten sposób do pracy albo z niej wracający, ci, którzy wybierali się gdzieś wieczorem, a także turyści. Zwracał uwagę przede wszystkim na osoby w średnim wieku, ale niewiele przykuło jego wzrok.

Wody Elby były czarne jak niebo. Młodzi ludzie siedzący naprzeciwko niego bez żenady okazywali sobie uczucia, ale starał się jak mógł tego nie zauważać.

Na piątym przystanku para wysiadła, a jego uwagę przykuł olbrzymi mężczyzna. Nie patrzył na niego wprost, tylko obserwował go kątem oka. Kiedy wszedł na pokład, od razu zaczął się rozglądać. Miał na sobie luźne džinsy i długą skórzaną kurtkę. Jego kwadratowa

twarz była ściągnięta. W końcu zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Wsiądź na następnym przystanku i idź za mną - powiedział, nie odwracając się.

„No, to przynajmniej było fachowe” pomyślał Wiktor.

Zgodnie z instrukcją wysiadł na następnym przystanku. Gazetę zostawił na promie, ale w lewej dłoni nadal trzymał kubek z kawą. Z oddali na tle ciemnego, oświetlonego blaskiem księżycy nieba były wyraźnie widoczne wysokie portowe dźwigi. Było zimno, ale płaszcz miał rozpięty - nie wziął ze sobą broni - tak łatwiej jest walczyć lub biec.

Potężny mężczyzna nie czekał na niego. Szedł szybko wzdłuż nabrzeża w stronę portu. Wiktor nie od razu podążył za nim, przez moment rozglądał się po okolicy. Było cicho, nikogo wokół. Dopiero po chwili ruszył za swoim przewodnikiem.

Musiał iść równie szybko jak tamten, aby utrzymać stałą odległość między nimi. Nie wiedział, dokąd zmierzają ani co go czeka na miejscu, toteż dystans ten był środkiem ostrożności wymuszonym koniecznością.

Skręcili i szli dalej wzdłuż kanału biegnącego pomiędzy olbrzymimi magazynami z wysokimi, łukowato wykończonymi oknami. Panowała tu cisza i ciemność, bo latarni było niewiele, tylko z oddali dochodził stłumiony uliczny hałas. Wiktor bacznie obserwował wszystko, z boku, z tyłu, na górze i na dole, starając się wypatrzeć oznaki ewentualnej zasadzki i sposób wydostania się z niej.

Nie szedł dokładnie za swoim przewodnikiem. Zakładając, że podobnie jak dziewięćdziesiąt procent ludzi na świecie jest on praworeczny, gdyby wyciągnął broń, obróciłby się w lewo - tak byłoby szybciej. Wiktor trzymał się prawej strony, wobec tego mężczyzna musiałby wykonać obrót o 235 stopni i dopiero potem wycelować. Jeśli zrobiłby to szybko, niewątpliwie by trafił, ale jeśli niezbyt pospiesznie, dałby ofierze czas na reakcję. Wiktor zauważył też, że ma do wyboru dwie drogi ucieczki.

Człowiek idący na przedzie zatrzymał się nieopodal szerokiej drogi i zaczął na niego. Wiktor zwolnił kroku, obserwując i nasłuchując. W końcu zatrzymał się przed przewodnikiem, który wskazał mu ulicę. Wiktor czekał.

- To tam - odezwał się potężny mężczyzna. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza.

Wiktor ani drgnął.

Jego przewodnik stał przez chwilę bez ruchu.

- Powiedziałem, że to tam.

- Słyszałem już za pierwszym razem.

Na twarzy mężczyzny odmalowało się zrozumienie.

- Nie lubisz, jak ktoś za tobą idzie?

- Nie lubię - przyznał Wiktor.

Jego rozmówca pokiwał głową:

- To mądre.

Po czym wyjął ręce z kieszeni i poszedł pierwszy, nie oglądając się. Po kilku sekundach Wiktor podążył za nim. Tu nie było dokąd uciec, więc trzymał się niedaleko swojego przewodnika. Gdyby ten wyciągnął broń, wołał być na tyle blisko, by móc ją schwycić.

Przeszedłszy mniej więcej pięćdziesiąt metrów, mężczyzna zatrzymał się. Otworzył kluczem skrzypiące metalowe drzwi jednego z magazynów.

- No, to jesteśmy na miejscu - stwierdził, oglądając się na towarzysza, a gdy ten się nie poruszył, wszedł do środka ze znaczącym uśmiechem, a Wiktor za nim.

Fluorescencyjne lampy umieszczone na suficie oświetlały wielką przestrzeń pełną skrzyń i pudeł. Było chłodno i wilgotno, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny, gnijącego drewna i marcepanu. Wiktor trzymał się blisko swojego przewodnika. Nikogo nie widział ani nie słyszał.

Mężczyzna zaprowadził go do bardziej oddalonej części magazynu, odciągnął metalową kratę windy i wsiadł do niej. Kiedy Wiktor ruszył za nim, zaciągnął kratę i nacisnął guzik z cyfrą trzy. Uplłynęło kilka sekund, zanim stary mechanizm ożył, wydając z siebie całą gamę pisków i zgrzytów. Zapach marcepanu znikł, ale pozostałe nadal utrzymywały się w powietrzu. Wiktor poruszał głową na boki, aby rozluźnić mięśnie szyi.

Najpierw zobaczył ich nogi - buty i spłowiałe błękitne dżinsy. Dwaj mężczyźni stali obok siebie. Jeden z nich opowiadał kawał, coś o prostytutce i odkurzaczu, jednak gdy dostrzegł przybysza, zamilkł. Z tych dwóch to właśnie on bez wątpienia robił za obstawę. Miał około metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wiek - od dwudziestu dwóch do trzydziestu lat. Jego twarz z grubymi, kruczoczarnymi, zrosniętymi brwiami pokrywał kilkudniowy zarost, włosy na głowie były tej samej długości, co broda.

Wiktor domyślił się, że ten drugi to Georg. Był to mężczyzna średniej budowy, czterdziestoparoletni, o wzroście ponad stu sześćdziesięciu centymetrów i cienkich, czarnych włosach spadających na uszy. Czuć było od niego woń papierosów (cztery rozdeptane pety leżały na podłodze) oraz płynu do płukania ust. Miał na sobie dwurzędowy płaszcz zapięty na wszystkie guziki.

Krata windy otworzyła się. Wiktor natychmiast obrzucił wzrokiem wnętrze pomieszczenia, w którym się znajdował. Było tu mniej pudeł i skrzyń niż na dole, więcej wolnej przestrzeni. Stały tam za to części metalowych regałów, w rogu leżały stare worki z

cementem oraz sterta złożonych plastikowych koszulek na dokumenty.

Na suficie w trzech rzędach, w równych odstępach umocowane były lampy jarzeniowe, ale środkowy rząd się nie świecił. Mimo to po lewej i prawej stronie Wiktora pomieszczenie tonęło w ciemności, z wyjątkiem fragmentu z półokrągłym oknem.

Wiktor zarejestrował, gdzie znajdują się wejście i wyjście. Nad metalowymi drzwiami za plecami Georga wisiał znak: „Klatka pożarowa”. Na tej samej ścianie, nieopodal stalowego zlewu było jeszcze jedno wyjście. Ścianę, do której przymocowano zlew, pomalowano obrzydliwą zieloną farbą, łuszczącą się w wielu miejscach. Pomiedzy cegłami pełno było brudu i jakiejś lepkiej mazi, a gdzieniegdzie widniały ślady po pociskach moździerzowych.

Człowiek, który go tu przyprowadził, stał niedaleko windy. Wiktor postąpił krok naprzód. Podłogę zrobiono z cienkich desek; niektóre z nich były popękane, inne źle przybite, a tu i ówdzie całkiem ich brakowało. Czuł pod stopami miękkie, przegniłe drewno, więc przesunął się jeszcze o krok do przodu, aby stanąć na pewniejszym podłożu. Znajdował się teraz dokładnie naprzeciwko Georga, ale kątem oka mógł obserwować swojego przewodnika.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Wiktor otaksował spojrzeniem Georga i jego kolegę, zdając sobie sprawę, że tamci tak samo oceniają jego. Nie miał pojęcia, co sobie o nim myśleli. Zawsze starał się panować nad mową ciała i wyrazem twarzy, aby nie zdradzić w ten sposób jakiegokolwiek napięcia ani słabości.

- Musisz być tym klientem - powiedział w końcu Georg jakby ze zdziwieniem.

Bez względu na to, jakie jego kontakt miał oczekiwania, Wiktor wiedział, że ich nie spełnia.

- A ty musisz być tym sprzedawcą - odrzekł, kiwnąwszy przedtem głową.

- Tak.

Lampy nad ich głowami rzucały głęboki cień na kości policzkowe, nos i dolną wargę Georga. Jego oczy były tak głęboko osadzone, że prawie wcale nie było ich widać.

- Czy masz przy sobie jakąś broń? - spytał.

- Nie, o ile nie liczyć mojej kawy.

Cienkie wargi Georga rozciągnęły się w nikłym uśmiechu:

- Muszę przyznać, że bardziej interesuje mnie broń palna niż gorące napoje.

- Nie mam broni.

- Wybacz, że nie uwierzę ci na słowo - powiedział, po czym podniósł rękę i wykonał nią charakterystyczny gest, ani na moment nie spuszczać wzroku z Wiktora. Zwrócił się do towarzysza: - Sprawdź, czy mówi prawdę.

Potężny mężczyzna stojący obok Georga ruszył w kierunku przybysza. Oczy miał

przymrużone, szczęki zaciśnięte, ręce starał się przyciskać do tułowia, ale potężne mięśnie mu to uniemożliwiały. Wiktor pomyślał sobie, że wie, o co chodzi - ten facet lubi upokarzać. Gdy ten podszedł bliżej, przekonał się, że w rzeczywistości jego mięśnie nie są aż tak wielkie, gdyż w znacznej części była to tkanka tłuszczowa, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie.

Stał spokojnie, podczas gdy olbrzymie łapska obmacywały jego nogi. Zauważył za pasem tamtego colta kaliber .45. Mężczyzna zrobił dłonią ruch, nakazując podnieść mu ramiona, a on posłusznie wykonał polecenie, cały czas trzymając w lewej ręce kubek z kawą. Skończywszy przeszukanie, mięśniak odmaszerował z powrotem do szefa.

- Jest czysty.

- Miło mi to słyszeć. Byłoby bardzo źle, gdybyśmy coś znaleźli - zwrócił się do Wiktora Georg.

- Wyobrażam sobie.

- Twój niemiecki jest doskonały - powiedział Georg, podchodząc dwa kroki bliżej. - Ale nie jesteś Niemcem. Kim jesteś, Amerykaninem?

Wiktor podniósł do ust kubek z kawą i wypił łyk.

- Czasami - odparł.

Zmarszczki na czole Georga pogłębiły się.

- Naprawdę nie jesteś tym, kogo się spodziewałem.

- Dałeś mi to do zrozumienia.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię.

- Ależ bardzo proszę.

- W moim zawodzie spotykam najróżniejszych ludzi i każdy jest inny, ale to, co im dostarczam, mówi mi o nich bardzo wiele. Weźmy na przykład ciebie. Nie musisz mówić, jak zarabiasz na życie, bo to, co kupujesz, starcza za wizytówkę.

Wiktor stał nieporuszony. Nie miał pojęcia, do czego Georg zmierza, ponadto kompletnie go to nie obchodziło, ale pomyślał, że niegrzecznie byłoby przerywać.

- Nie jestem pewien, jakim słowem określa się dziś takich ludzi jak ty, ale miałem już z nimi do czynienia - ciągnął dalej Georg. - Nieczęsto, ale więcej niż pięć razy. I za każdym razem w ciągu kilku pierwszych sekund spotkania potrafiłem przejrzeć ich na wylot. To nic trudnego. Zawsze bardzo starają się okazać, że są nieustraszeni, podczas gdy się boją i wcale nie muszą udawać - tu przerwał. - Ale ty nie jesteś taki.

- Przyjmuję to za komplement.

- Nie jestem pewien, czy to był komplement.

- A jednak tak to potraktuję.



Georg podszedł bliżej i spojrzał twardo na Wiktora. Oczy miał nabiegłe krwią.

- Doprawdy nie zamierzam dociekać, kim jesteś. Przecież tego nie robię, nieprawdaż?

- Nie - odparł Wiktor. - I nie chciałbyś.

Georg usiadł na kracie i paznokciem zdrapał coś z dzinsów. Nie miał skarpetek.

- No, to przejdźmy do interesów.

Wiktor kiwnął głową.

- Rozumiem, że zrealizowałeś całe zamówienie z listy.

- Rosyjskie detonatory, pistolet kaliber 9 mm z gwintem do montażu tłumika, tłumik, wytrych i czternaście funtów cyklotrimetylenotrinitraminy. Dobrze mówię?

- Tak jest - przytaknął Wiktor - ale chcę wszystko sprawdzić.

- Ależ oczywiście, mój przyjacielu. Nawet nie spodziewałem się, że mogłoby być inaczej. Przecież jakby nie było jesteś profesjonalistą - odparł Georg, cedząc słowa. - Ale ja wobec tego najpierw chcę zobaczyć pieniądze.

Wiktor wolną ręką powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni, przez cały czas obserwując, co robią jego przewodnik oraz mięśniak. Nie wykonywali oni jednak żadnych ruchów, żadnego przenoszenia ciężaru na drugą nogę, nic, co mogłoby sugerować, że czekają na wprowadzenie ustalonego wcześniej planu, gdy tylko zobaczą pieniądze. Zadowolony, że nie jest to pułapka, wyciągnął cienki zwitek studolarowych banknotów.

Georg zeskoczył z kraty i zrobił krok naprzód.

- To chyba nie wszystko - ocenił, nie odrywając wzroku od pieniędzy.

- Połowa.

- Wobec tego nie tylko zmarnowałeś mój czas, lecz także mnie obraziłeś. A to niezbyt mądre posunięcie jak na kogoś takiego jak ty - powiedział Georg spokojnym, ale złowieszczym tonem, patrząc mu prosto w oczy.

- Jak dostanę towar, możesz pójść ze mną i otrzymasz resztę - wyjaśnił Wiktor. - Albo pošlij po nią któregoś ze swoich ludzi.

- Ja w taki sposób nie prowadzę biznesu.

- Nie? A promy, puste magazyny i strażnicy z czterdziestkami piątkami - tak to ja z kolei nie robię interesów - odparował Wiktor. - To cena, którą płacisz za swój dotychczasowy sposób postępowania.

Mięśniak dotknął ręką broni. Na jego twarzy zdziwienie mieszało się ze znużeniem. Georg zastanawiał się przez chwilę.

- A co powstrzyma mnie przed zabraniem ci tych pieniędzy i zmuszeniem cię torturami do wyjawienia, gdzie schowałeś drugą połowę?

Przewodnik i mięśniak zeszywnieli w gotowości na to, co nastąpi, natomiast Wiktor nie spuszczał Georga z oczu.

- Po pierwsze, stracisz cennego klienta. A po drugie - tu jego głos stał się spokojniejszy i bez cienia emocji dokończył - w dziesięć sekund zabiję ciebie i twoich ludzi.

Mięśniakowi nie podobała się ta odpowiedź. Zacisnął szczęki oraz obie dłonie tak, że aż zbieleły mu kostki. Przewodnik zeszywniał. Wiktor zignorował ich obu. Obserwował reakcję Georga, najpierw szok i złość, następnie zaś uśmiech - i wiedział, że dobrze to rozegrał.

- OK - powiedział Georg. - Zróbmy to po twojemu.

## ROZDZIAŁ 5

21:44 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor najpierw ich usłyszał, a potem zobaczył. Weszli szybko, pięciu mężczyzn. Czterech z nich było uzbrojonych w strzelbę i pistolety. Ich ruchy zdradzały, że nie byli zawodowcami, ale sposób trzymania broni świadczył, że znali się na stosowaniu przemocy.

Mięśniak zareagował szybko - odwrócił się i chwycił za swojego colta, ale wycelowana w niego lufa go powstrzymała. Przewodnik pokazał, że ma puste ręce, a Georg kopnął ze złości kratę.

Wiktor stał bez ruchu. Oprócz windy nie było w pobliżu żadnego innego wyjścia, a zanim zdążyłby rozsunąć i zasunąć kratę, leżałby podziurawiony jak sito. Dopóki nie dowie się, o co chodzi, nic nie może zrobić.

Ostatni z przybyłych wszedł, wrzeszcząc: „Georg!”. Był drobnej budowy, ubrany w długi płaszcz, spod którego wystawał tani garnitur. Nie miał w ręku broni, ale to właśnie na nim Wiktor skupił uwagę. Pozostali podeszli bliżej i stanęli w pewnej odległości od siebie, jeden obok Georga, drugi - przewodnika, trzeci - Wiktora, a dwóch koło mięśniaka. Ten ze strzelbą wycelowował w Wiktora. Typowe.

Georg rozłożył ręce:

- Co ty robisz, Krausse?

Człowiek w tanim garniturze stanął w świetle. Mógł mieć czterdzieści lat, był niski i bardzo szczupły. Na policzkach miał ślady po ospie.

- Mogę cię zapytać o to samo, Georg - odparł, rozglądając się. - Wygląda na to, że za moimi plecami załatwiasz jakiś interes.

Georg machnął ręką.

- Wynoś się, Krausse, i zabieraj swoich chłopaków. To, co tutaj robimy, nie ma z tobą nic wspólnego.

- O, a ja sądzę, że ma - zaśmiał się Krausse. - Jesteśmy współnikami, zapomniałeś?

- Byliśmy - poprawił go Georg.

Krausse uśmiechnął się złośliwie.

- Ja to ocenię. Co to za typ? - spytał, spoglądając na Wiktora.

Georg wzruszył ramionami.

- Nieważne. Nikt.

- Właśnie, że ważne. Coś ty za jeden?

Wiktor stał w swobodnej pozie.

- Już słyszałeś, nikt.

- Nikim to dopiero będziesz, jak mi nie powiesz, co tu robisz.

Wiktor spojrzał na ludzi Kraussego. Trzech z pistoletami w ręku stało ze ściągniętymi twarzami, kołyszając się i przestępując z nogi na nogę. W świetle widać było ich spoczone twarze. Tylko jeden z nich był spokojny, patrzył niemal bez mrugania.

- Jestem chłopcem na posyłki - odparł Wiktor po chwili.

- A co kupujesz?

- Kwiaty dla matki.

Kilku ludzi Kraussego uśmiechnęło się.

- Świetne, kurwa, co nie? - syknął Krausse.

Wiktor przytaknął.

- W istocie moje poczucie humoru ostatnio się poprawiło. - Wyświadcz nam przysługę i się, kurwa, zamknij - rzucił Georg przez ramię.

- Dobra rada - przyznał Krausse. - Nie musimy jednak być niemili. Przyszedłem zabrać moją dolę z tej transakcji.

- Powinieneś powiedzieć: ukraść - warknął Georg.

- Jeśli tak chcesz to ująć, nie mam zamiaru cię poprawiać - odrzekł Krausse.

- Jesteś po prostu złodziejem - wybuchnął Georg. - Niczym więcej, tylko zwykłym złodziejem.

Krausse nie wydawał się obrażony.

- Co kupujesz? - zapytał Wiktora. - I teraz pomyśl, zanim odpowiesz.

Wiktor myślał.

- Kupuje ładunki wybuchowe - powiedział Georg po kilku sekundach. - Broń i tak dalej.

- Ciekawe - stwierdził Krausse i podnosząc brwi, zwrócił się do Wiktora: - To też dla twojej matki?

- Jest bardzo aktywna.

Krausse roześmiał się, a jego ludzie mu zawtórowali, przy czym opuścili nieco broń. Wiktor nadal obserwował tego ze strzelbą.

- Skąd, do cholery, wytrzasnęliście tego faceta? - Krausse znowu zwrócił się do

Georga.

- To on mnie znalazł.

- Liczby. Ile amunicji kupuje?

Georg wzruszył ramionami.

- Przyzwoitą ilość.

Krausse uśmiechnął się do Wiktora:

- To chyba droga impreza, a znając Georga, droższa niż powinna. - I tu zwrócił się do jednego ze swoich ludzi: - Zabierz mu pieniądze.

Mężczyzna, który podszedł do Wiktora, był tego samego wzrostu co on, to znaczy metr osiemdziesiąt pięć, ale miał potężniejszy kark i ramiona, a przede wszystkim był grubszy w pasie. Jego twarz była twarda, poważna. Cuchnął.

- Masz broń? - spytał.

- Nie, o ile nie liczyć kawy - odparł Wiktor.

Kątem oka spostrzegł, że Georg patrzy w jego stronę.

- Trzymaj ręce tak, żebym je widział - powiedział mężczyzna z bronią, zbliżywszy się do Wiktora.

Lewą ręką obmacał go w poszukiwaniu broni. Zrobił to bardzo starannie, nie tak jak mięśniak Georga. Zabrał zwitek pieniędzy i pokazał szefowi, ale przy tym odwrócił się nieco od Wiktora, a ten zrobił wówczas niewielki krok w prawo.

Krausse nie wydawał się zadowolony.

- To niedużo - stwierdził.

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, zadzwonił telefon komórkowy Kraussego i rozległa się *Muzyka na wodzie* Handla. Krausse szarpał się przez chwilę, usiłując wyciągnąć telefon z kieszeni spodni. Popatrzył na ekran, ale nie odebrał.

- Nienawidzę tego. Układają ci życie - powiedział, chowając telefon. - A teraz masz mi powiedzieć, gdzie reszta forsy.

Wiktor milczał. Patrzył na trzech ludzi Kraussego. Już nie byli tacy sztywni, jak minutę temu.

- Po odbiorze towaru miałem z nim pójść po resztę - odezwał się Georg.

- No, to teraz zamiast ciebie mogę pójść ja - stwierdził Krausse. - Policz je - nakazał mężczyźnie trzymającemu zwitek banknotów.

Ten, stojąc plecami do Wiktora, schował broń do lewej kieszeni kurtki i zaczął przeliczać pieniądze.

- A co z towarem, po który przyjechałem? - spytał Wiktor.

Krausse spojrział na niego.

- Co masz na myśli?

- Czy go dostanę?

- Już ci powiedziałem, że jesteś śmieszny - prychnął Krausse.

- A jeśli powiem „proszę”?

Krausse zaśmiał się i odwrócił do swoich ludzi. Jego mina wyrażała rozbawienie i zdziwienie. Oni też się uśmiechali, a broń trzymali teraz nieco niżej, bliżej pasa. Wiktor zrobił jeszcze jeden krok w prawo. Teraz facet liczący pieniądze zasłaniał mu dwóch pozostałych.

- Jesteś pewien, że nie chcesz tego przemyśleć? - zapytał Wiktor, nie patrząc na Kraussego.

- O, najzupełniej - odparł Krausse.

- W takim razie nie mam wyboru.

Wiktor zgniół trzymaną w prawej ręce papierowy kubek z kawą, która nie parowała, choć było zimno. Gdy pokrywka odskoczyła, ze środka wyciągnął czarny, składany nóż. Rozłożył go błyskawicznie i wbił ostrze w krzyż stojącego przed nim człowieka.

Ten zeszytniał i krzyknął, wypuszczając z ręki pieniądze. Wiktor pozostawił nóż w ciele mężczyzny, wyszarpnął mu broń z kieszeni, odblokował i wycelował w głowę Kraussego. Stało się to tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować.

Mężczyzna z nożem w plecach zajączał i padł na kolana. Przez chwilę żaden z obecnych nie drgnął i nie powiedział ani słowa. Na podłodze leżały porzucane banknoty.

Wiktor uważnie obserwował trzech ludzi Kraussego. Trzymali uniesioną broń i byli zdenerwowani, czekając na rozkazy, spoglądali to na Wiktora, to na Kraussego. Nie byli na tyle głupi, by strzelać, gdy ktoś celował w głowę ich szefa.

Krausse powoli zaklaskał w dłonie.

- No, spektakl robiący wrażenie. Brawo.

Wiktor obejrzał się.

- Tylko nie przegap tego, co będzie na bis.

- Nie musimy iść po tę forszę.

- Zgoda, nie musimy. Chcę tylko dostać to, po co przyjechałem - stwierdził Wiktor.

Mężczyzna z nożem w plecach upadł koło jego nóg, skulony w embrionalnej pozycji, w kałuży krwi. Prawą ręką usiłował dosięgnąć rękojęści.

Wiktor nie widział ludzi Georga, ale kątem oka dostrzegł, że jest on zdenerwowany tym nagłym zwrotem sytuacji. Miał nadzieję, że tamtych trzech wykaże się inteligencją na tyle, by się w to nie mieszać.

Natomiast Krausse zdawał się nie przejmować wycelowaną w jego głowę lufą. Co prawda już się nie uśmiechał, ale był spokojniejszy i raczej znudzony niż przerażony.

- No, to jak rozwiążemy tę sprawę? - spytał.

- Zaczniemy od tego, że twoi ludzie rzucają broń.

Krausse potrząsnął głową.

- Nie sądzę.

- Nie będę powtarzać dwa razy.

Krausse pokiwał głową, jakby oczekiwał takiej odpowiedzi.

- Jesteś szybki, mój przyjacielu, ale obaj wiemy, że nie aż tak szybki, by zastrzelić mnie i moich ludzi, zanim oni zabiją ciebie. Przecież nie jesteś typem samobójcy, prawda?

- Ostatnio nie.

- To dobrze. A ja wiem, że jeżeli każę swoim ludziom strzelić, nie zdążę dokończyć zdania, bo z miejsca dostanę kulę.

- Nie zdążysz dokończyć pierwszego słowa.

- Wierzę - rzucił lekko Krausse. - Wobec tego sytuacja jest patowa i będziemy tu po prostu stać.

Krausse nie stanowił zagrożenia, ale jego buldogi - tak. Krausse miał jednak rację, wszyscy stoją w zbyt dużej odległości od siebie, by zaryzykować. W przeciwnym razie już by ich powystrzelał.

- Świetnie. Mam jednak inną propozycję. Zostawię pieniądze tu, gdzie leżą, i wyjdę - powiedział Wiktor - a ty nie będziesz mi w tym przeszkadzać.

- A co z drugą połową forsy?

- Jest w śmietniku na rogu, na skrzyżowaniu Ballindamm i Aistertor.

- No, to jesteśmy kwita.

- Niezupełnie. Gdzie mój towar? - zwrócił się Wiktor do Georga.

Ten milczał.

- Powiedz mu - rozkazał Krausse.

- Tu obok, w ciężarówce. Zaprowadzę cię - odrzekł Georg cicho, zupełnie pokonany.

- O nie. Zostajesz tutaj. Nie skończyliśmy - zaprotestował Krausse.

- Chcesz zabrać wszystkie pieniądze, więc je sobie weź - powiedział Georg.

- Georg, chciałeś mnie przechytrzyć. I to nie pierwszy raz. Wiem też o transakcji, którą zrobiłeś beze mnie z tymi palantami z Monachium. Kimże bym był, gdybym zignorował taką zniewagę?

Georg nie odpowiadał.

- Przyszedłem tu, byśmy mogli przedyskutować twoją zradę - kontynuował Krausse z przekąsem. - No więc powiedz mi, gdzie jest ta ciężarówka, i daj mi kluczyki. Nie będą ci już potrzebne.

- Nie.

- Powiedz mi.

- Nie - powtórzył Georg, prostując się.

- Powiedz mi, bo pokroję ci jaja w plasterki i już zaczynaj się modlić, żebyś nie musiał ich potem zjeść.

- Pierdol się!

Wiktor wiedział, co teraz będzie, poznał to po ciszy, jaka zapanowała tuż przed tym, gdy Georg wyciągnął broń. Kiedy się to stało, Wiktor już biegł - był o pół sekundy szybszy od innych. Rzucił się pomiędzy stojące najbliżej skrzynie dosłownie chwilę przedtem, gdy jeden z ludzi Kraussego zaczął strzelać. Po całym magazynie niesło się echo strzałów.

Trysnęła krew - Georg dostał kulkę w brzuch, zanim jeszcze zdążył podnieść broń na odpowiednią wysokość. Celował w Kraussego, ale spudłował i kula zrobiła dziurę w ścianie, więc wymierzył ponownie. Nie zdążył jednak strzelić, bo w tym samym momencie ugodził go drugi pocisk.

Siła uderzenia odrzuciła ciało do tyłu i upadło ono w stertę blach ułożoną obok windy.

Ludzie Georga w panice wyciągnęli broń. Wiktor zobaczył, że pierwszy dostał mięśniak - całą serię w klatkę piersiową i plecy. Przewodnik pożył nieco dłużej.

Kiedy strzelanina ustała, Wiktora dobiegł brzęk wyrzucanych łusek, ale siedział przykucnięty za skrzyniami i nie widział ani Kraussego, ani jego ludzi. Nie było słychać żadnych krzyków ani jęków, a więc nie było rannych. Człowiek, którego ugodził nożem w plecy, też był cicho, najpewniej stracił przytomność.

Wiktor nie opuścił swojej kryjówki. Nie wiedział, co się jeszcze może wydarzyć, toteż wychodzenie zza skrzynek nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Jeśli tamci planowali go zabić, skrzynki, o ile coś się w nich znajdowało, stanowiły pewną osłonę, a jeśli nie, to przynajmniej nie było go zza nich widać.

- Możesz już wyjść - powiedział Krausse.

- Właściwie to całkiem mi tu dobrze - odparł Wiktor.

Krausse roześmiał się.

- Powiedz mi, mój przyjacielu, jak długo zamierzasz siedzieć za tymi skrzynkami?

Sprawdził swoją broń, glocka 17. Oprócz kilku zadraśnień nie była uszkodzona. Wyjął magazynek naładowany 9-milimetrową amunicją z pełnym płaszczem metalowym, po



krótkich oględzinach wsunął go z powrotem. Ostrożnie odciągnął spust i zajrzał do komory. Wydawała się czysta, ale na wszelki wypadek dmuchnął, aby usunąć wszelkie zanieczyszczenia. Na glocku można było polegać, ale strzał z niego nie zawsze okazywał się śmiertelny. Wiktor wsunął jeden nabój do komory i powoli, nie robiąc hałasu, przesunął zamek.

- Powiedzmy, że dopóki sobie nie pójdziesz - rzucił.

- Zaczynam cię lubić. Naprawdę. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że to się nie stanie.

Myśli przebiegały błyskawicznie przez głowę Wiktora. Nie mógł tu siedzieć w nieskończoność. Im dłużej zbierał się do jakiegoś działania, tym więcej czasu mieli tamci, aby go okrążyć. Zdjął płaszcz.

- A co z naszym interesem?

- Z naszym interesem? Chodzi ci o ten, który zawieraliśmy, gdy mierzyłeś mi z broni w twarz? Jeśli o nim mowa, to twoja pozycja przetargowa bardzo od tamtego czasu osłabła. Teraz to ja decyduję i wprowadzam do umowy pewne zmiany.

Przed rozpoczęciem strzelaniny Krausse znajdował się - patrząc z perspektywy Wiktora - na godzinie trzynastej, strzelec - na czternastej, a dwóch pozostałych - na dziesiątej i dziewiątej. Sądził, że jeśli biegłby wystarczająco szybko, a tamci nadal stali na tych pozycjach, mógłby zastrzelić Krausseggo i Strzelca, zanim zdążyliby zareagować. Problemem była reszta.

Wiktor usłyszał szept i choć nie był w stanie rozróżnić słów, mógł się domyślić, że mówili o nim, a raczej o najlepszym sposobie zabicia go. Sądząc po działaniach oraz wyglądzie, raczej nie byli oni taktykami wojskowymi, ale nawet Sun Tzu uznałby za trudne wymyślenie jakiejś skutecznej obrony w sytuacji, w jakiej się znajdował. „Myśl”, nakazał sobie.

Nad głową błyskały mu umieszczone pod sufitem jarzeniówki.

Usłyszał kroki, zbliżały się z dwóch stron. Za chwilę umrze. Nie ma już czasu na żaden plan.

Strzelił.

## ROZDZIAŁ 6

21:50 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Pierwsza jarzeniówka zmieniła się w deszcz iskier i szkła. Następne pociski Wiktor wystrzelił w kierunku czterech kolejnych lamp. Pozostała jeszcze ta bezpośrednio nad nim; lewą ręką zasłonił głowę przed odłamkami szkła i strzelił.

Pomieszczenie pograżyło się w ciemnościach.

Rzucił się w prawą stronę i przywarł do podłogi, jego głowa i ramiona znajdowały się już poza osłoną skrzyń. Nie był w stanie nic zobaczyć, ale wymierzył w kierunku, gdzie jeszcze kilka sekund temu stał strzelec. Dwa strzały, oba celne, na wysokości torsu.

Krzyk i odgłos zataczającego się ciała powiedziały mu, że trafił, ale nie zabił. Błysk z lufy glocka zdradził jego pozycję, toteż Wiktor błyskawicznie przetoczył się na dawne miejsce; zdążył to zrobić, zanim wystrzelone przez tamtych pociski podziurawiły drewnianą podłogę.

Wtedy zerwał się; poruszał się szybko, nie zważając na hałas, najważniejsze było oddalić się nieco od wrogów. Wiedział, że pomiędzy szeregiem skrzyń znajdowało się wolne przejście i teraz biegł tam na oślep. Słyszał za sobą strzały, ale żaden nie padł blisko niego.

Po kilku sekundach zatrzymał się, stanął na czworakach, odpoczął chwilę i ocenił sytuację. Znajdował się po drugiej stronie windy. Nie mógł zobaczyć, gdzie dokładnie, ale posługiwał się mapą sytuacyjną, jaką ułożył sobie w głowie.

Wyciągnął przed siebie rękę, aby wymacać, co znajduje się przed nim.

Z tyłu dochodziły przekleństwa i jęki Strzelca. Krausse starał się go uciszyć. Dwaj pozostali nie odzywali się. Ich kroki, choć ostrożne, dały się jednak usłyszeć - byli może dziewięć metrów za Wiktorem.

Szybko policzył, ile ma naboji. Pełen magazynek glocka mieścił siedemnaście naboju. Zużył siedem, aby stłuc lampy, i dwa na Strzelca. Zostało osiem. Ludzie Krausiego wystrzelili jak na razie kilka pocisków i nie było słyhać, by przeładowywali broń. Zdaniem Wiktora zrobią to dopiero, gdy wykorzystają wszystkie naboje; większość ludzi tak postępuje. Ten moment stanowiłby dla niego idealną okazję do wykorzystania, ale wiedział, że może na to długo czekać.

Jęki Strzelca ucichły, a więc albo zdołał opanować ból, albo też ktoś zatkał mu usta ręką. Wiktor nie słyszał uderzenia ciała o ziemię, a to oznaczało, że ranny wciąż trzyma się na nogach, a skoro tak, to nadal jest niebezpieczny. I wcale nie musi dobrze widzieć, aby wpakować w kogoś serię pocisków.

Wiktor rozejrzał się. Środkowa część magazynu tonęła w ciemnościach. Widoczność była tak znikoma, że z trudem mógł dojrzeć trzymanego w ręku glocka. Przez wysokie okna w każdej ze ścian wpadało z zewnątrz nieco światła z ulicznych latarni, ale nie tyle, żeby w pomieszczeniu dało się cokolwiek zobaczyć - jaśniej było tylko na przestrzeni kilku metrów od okien, a Krausse i jego ludzie nie byli na tyle głupi, żeby tam się zbliżyć.

Wiktor rozwiązał sznurowadła i zdjął buty. Wziął jeden w lewą rękę. W samych skarpetkach poruszał się bezszelestnie. Nachylony, z dłonią wyciągniętą do przodu, aby zapobiec zderzeniu z ewentualną przeszkodą, posuwał się w stronę ściany. Cały czas uważał, by nie wyjść poza ciemny pas pomiędzy smugami światła wpadającymi przez okna.

Dotarł do muru i oparłszy się o niego wbił wzrok w mrok. Jeśli pomimo wszystkich łykanych witamin i suplementów mineralnych nie był w stanie zobaczyć swoich wrogów, to oni też go nie widzą. Dopiero po upływie piętnastu minut oczy przyzwyczajają się do ciemności, ale wątpił, że przez ten czas tamci go nie znajdą. Miał tylko jedno wyjście - zabić ich, zanim oni zabiją jego.

Nasłuchiwał. Z kilku miejsc doszły go odgłosy delikatnych kroków i trzeszczenie podłogi. Oceniał sytuację, ale nie miał wystarczającej liczby naboji, aby móc polegać wyłącznie na słuchu. Dlatego właśnie był mu potrzebny but.

Kiedy tylko wiedział mniej więcej, gdzie znajduje się najbliższy z ludzi Kraussego, rzucił but tam, gdzie jeszcze niedawno był, to znaczy nieopodal windy. Odgłos upadającego przedmiotu nie przypominał hałasu, jaki robi poruszający się człowiek, ale dla ludzi nabuzowanych adrenaliną to wystarczyło.

Ciemność rozjaśniły błyski z luf.

Wiktor strzelił dwukrotnie tam, gdzie w najmniejszej odległości od niego pojawiły się iskry towarzyszące oddawaniu strzału, potem wycelował w inne miejsce, wykorzystał następne dwa naboje i przywarł do podłogi.

Na prawo od jego głowy pocisk trafił w ścianę, odłupując kawałek tynku, tak że kurz zasypał mu twarz. Zanim zdążył zareagować, padły dwa kolejne strzały. Z dziur w murze nad jego głową posypały się niewielkie kawałeczki cegły.

Przez cały czas leżał na podłodze, a na głowie, ramionach i twarzy miał pełno pyłu i odłamków cegły. Bał się o swoje oczy, bo oprócz tego, że go bolały i były podrażnione, nie

widział dobrze. Na dodatek z wielkim trudem tłumiał kaszel, a tymczasem w gardle miał pełno kurzu. Wypluł go najciszej jak umiał.

Ktoś zaczął jęczeć. Tym razem Krausse nie próbował go uciszyć i słusznie, bo w ten sposób zdradziłby, gdzie się znajduje i mógłby skończyć tak, jak tamten. Wiktor nie miał pojęcia, czy ten drugi, do którego mierzył, nie żyje, czy też może wcale w niego nie trafił. Musiał zakładać, że nie trafił. Strzelec pokazał, że chociaż jest ranny, może strzelać, a Krausse też z pewnością ma broń. To znaczy, że ma na karku trzech, a w jego glocku zostało sześć naboí, po dwa na każdego, i ani jednego nie można zmarnować. Nie było tu miejsca na żaden błąd, a tymczasem miał oczy pełne pyłu i ledwie widział.

Pochyliwszy się, odpełził od ściany i znalazł inną kryjówkę. Posuwał się dalej, cały czas trzymając lewą rękę wyciągniętą przed siebie, i mrugał szybko, aby łzy wypłukały pył z oczu.

Po kilku minutach powoli zmienił pozycję. Oprócz jęków rannego nic nie było słychać, toteż musiał uważać, aby nie zderzyć się z którymś z napastników. Nie wiedział, czy oni stoją, czy się przemieszczają. Byłoby dobrze, gdyby znalazł schody po tej stronie magazynu, ale o ile pamiętał, aby się wydostać, musiał przejść tam, gdzie znajdowali się ludzie Kraussego.

Ten postrzelony wciąż krzyczał, chociaż coraz słabiej, w miarę jak uciekało z niego życie. Jeszcze kilka minut i zamilknie na dobre. „No, pospiesz się i zdychaj, żebym mógł słyszeć, co się dzieje”, zachęcał go w myślach Wiktor.

W końcu udało się mu pozbyć kurzu z oka, ale w dalszym ciągu coś go kłuło pod powieką. Nadal też nic nie widział, ale przynajmniej nie czuł już bólu. Wyciągniętą ręką dotknął jakiegoś metalowego słupka; stanął za nim bokiem, aby maksymalnie wykorzystać tę osłonę. Przynajmniej teraz ludzie Kraussego nie będą mogli go osaczyć ze wszystkich stron.

Krzyki przeszły w pojękiwanie i Wiktor znowu słyszał swój oddech. Obydwoma dłońmi ścisnął rękojeść glocka i czekał na jakiś znak, który pozwoli mu zlokalizować Kraussego oraz jego ludzi. Nie zarejestrował jednak żadnego ruchu. Tamci stali w miejscu, prezentując w końcu jakąś taktykę. Postanowił przejść w stronę windy.

Podłoga zaskrzypiała pod jego stopami.

Padły dwa strzały, ale nie trafiły w niego, tylko w pobliskie drewniane pudła. Drzazgi poleciały na wszystkie strony, niektóre utkwily w jego marynarce. Nagle znowu zaczęto strzelać. Rzucił się w lewo. Pociski uderzały w ochraniające go skrzynie, leciały tuż nad jego głową.

Ostrzał nie słabł. Ludzie Kraussego celowali mniej więcej w środek magazynu z

nadzieją, że w końcu go trafią. Hałas był ogłuszający. Musiał wybierać: zostać tu, gdzie jest, lub zmienić kryjówkę. Wybiegnięcie na linię ognia było złym pomysłem, ale pozostanie w miejscu i modlenie się, by nie dostać - jeszcze gorszym.

Pociski przelatywały wszędzie, trafiając w ściany, podłogę, skrzynie i słupy. Wiedział, że jego fart się kończy, a pewnym pocieszeniem było przypomnienie sobie, że nigdy nie wierzył w „szczęśliwą gwiazdę”.

Nagle strzały ucichły. Pomyślał, że któryś z tamtych przeładowuje broń, gdy nagle usłyszał inny dźwięk - *Muzykę na wodzie* Handla.

Nie czekał ani chwili i wykorzystał okazję. Rzucił się w lewo i szybko pobiegł wzdłuż stosu skrzyń. Nic nie widział. Zboczył w prawo dosłownie ułamek sekundy przedtem, zanim telefon ucichł. Zdażył jeszcze zobaczyć bladoniebieskie światło prześwitujące z kieszeni spodni Kraussego. Facet miał pecha.

Wiktor wycelował i strzelił, raz, potem drugi. Krausse krzyknął.

Wiktor zerwał się i biegł, musiał stamtąd uciec, zanim strzelec zdąży go zabić. Faktycznie zaraz potem rozległ się huk, któremu towarzyszył błysk z lufy. Wiktor odwrócił się i wypalił w tamtą stronę. Słyszał dźwięk łusek uderzających o podłogę. Strzelec upadł martwy.

Wtedy strzelił ostatni z ludzi Kraussego. Po błysku było wiadomo, że znajdował się w głębi magazynu, około dwudziestu metrów od Wiktora, który natychmiast ruszył w jego stronę i w biegu strzelił, ale zbyt szybko się pospieszył.

Wiedział, że spudłował, zanim jeszcze dały mu o tym znać strzały przeciwnika. Pocisk uderzył w metalowy słup znajdujący się po lewej stronie. Rzucił się w prawo, nie chcąc wystawiać się na cel i to w tak bliskiej odległości. W magazynku Glocka miał już tylko jeden nabój.

Tymczasem jedyny pozostały przy życiu człowiek Kraussego znowu strzelił. Był ciągle w tym samym miejscu, w pobliżu wyjścia ewakuacyjnego. Pociski upadły daleko, właściwie robiły tylko hałas, bo trafić w Wiktora nie było łatwo, przemieszczał się zbyt szybko. Teraz skręcił w prawo, przesunął skrzynię nogą i znieruchomiał. Kolejna seria strzałów zrobiła dziurę w oknie.

Mężczyźni znajdowali się teraz mniej niż osiem metrów od siebie. Zmienili pozycje i stanęli za filarem. Pociski przelatywały bardzo blisko, chyba z odległości czterech metrów. Człowiek Kraussego znów strzelił, ale chybił. Wycelował jeszcze raz, teraz już pewien, że się uda.

Pociągnął za spust - i nic. Nie miał naboju.

Wiktor usłyszał, jak tamten wyrzuca pusty magazynek i gorączkowo stara się włożyć nowy. Szybki bieg i już widział niewyraźny ciemny kształt na tle ciemności. Dobiegł go też trzask wkładania nowego magazynka. Nagle mężczyzna upadł na wznak. Wiktor trafił go prosto w pierś ostatnim pociskiem, jaki mu pozostał.

Wówczas zatrzymał się, aby złapać oddech, i nasłuchiwał. Do jego uszu dochodziły tylko jęki Georga. Wszyscy pozostali albo nie żyli, albo konali po cichu. Odrzucił pustego glocka i wyjął z ręki ostatniej ofiary naładowany pistolet. Następnie przeszukał kieszenie leżącego i znalazł portfel oraz zapalniczkę. Zabrał przedmioty zadowolony, że nie było papierosów, bo wówczas jego wola została wystawiona na ciężką próbę.

Oświetlił sobie drogę płomieniem z zapalniczki i skierował się w stronę, z której dochodziły zawodzenia Georga. Leżał on na plecach, przyciskając dłonie do dwóch dziur w brzuchu. Spod jego palców wypływała krew, tworząc wielką kałużę i przenikając w szczeliny między deskami w podłodze. Jego twarz była wykrzywiona z bólu, a po policzkach spływały łzy. Spojrzał w górę na Wiktora.

- Proszę...

- Czego chcesz? - spytał Wiktor, przetrząsając kieszenie mężczyzny.

- Pomóż mi - powiedział Georg ledwie słyszalnym głosem. - Zapłacę ci. Ile tylko chcesz.

Wiktor nie znalazł portfela, ale tylko nieco gotówki i kluczyki od samochodu.

- Masz na sobie kamizelkę kuloodporną i dlatego, pomimo że dostałeś taką serię, jeszcze żyjesz. Kilka warstw kevlaru to dobra osłona, ale jednak w dolnej części twojego brzucha tkwią dwie kule. Nieczystości z jelita grubego przedostają się do jamy brzusznej. Umrzesz za około dwadzieścia minut. Nic nie mogę dla ciebie zrobić.

- Wezwij karetkę - wyszeptał Georg.

- I mam zaryzykować, że mój głos zostanie nagrany? O nie, nie licz na to.

Zaczął szukać mężczyzny, którego ugodził nożem. Wyciągnął ostrze z ciała, wytarł o jego marynarkę, złożył i schował. To była zbyt dobra broń, by ją tak po prostu zostawić.

- Przepraszam - powiedział Georg.

Rzeczywiście zabrzmiało to szczerze, ale Wiktor wiedział z doświadczenia, że to potworny ból wywołuje w ludziach żal z powodu popełnionych czynów, toteż nie zareagował.

- Pomóż mi, proszę - wyszeptał Georg między gorączkowymi próbami zaczerpnięcia powietrza - albo mnie zabij...

Wiktor nie wyświadczał wrogom takich uprzejmości, ale ten człowiek umierał. Wobec tego podszedł do niego, wyciągnął glocka, a Georg zamknął oczy. Jednak strzał nie padł.

Zamiast tego Wiktor schylił się i ponownie zaczął przeszukiwać kieszenie marynarki Georga. Znalazł telefon komórkowy, nacisnął numer 112 i podał telefon Georgowi, który patrzył teraz na Wiktora, nie wierząc własnym oczom.

- Pamiętaj, że masz o mnie zapomnieć - rzucił Wiktor, idąc w stronę windy.

Słyszał jeszcze uprzejmy głos rejestratorki w pogotowiu pytający Georga, czego sobie życzy.

## ROZDZIAŁ 7

ATENY, GRECJA

21:55 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Tymczasem w Atenach, dwa tysiące kilometrów od Berlina, Saul Callo starał się ukryć erekcję przed stuosiemdziesięciocentymetrową blondyną, Norweżką, najgorętszą laską, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się poderwać. Mogłaby ona co prawda twierdzić, że tak naprawdę sama go poderwała, ale Callo wolał myśleć, że zastawił na nią perfekcyjną pułapkę, a ona po prostu w nią wpadła. Siedział sobie przy jednym ze stolików w barze, sączył kruga i dawał kelnerce pięćdziesiąt euro napiwku, ilekroć tylko wytarła jego stolik. To była najlepsza taktyka, jaką znał. Kelnerki lubiły napiwki, a tym bardziej te wysokie. Zaraz wszystkim o tym rozповідаły i nie mijało wiele czasu, a każdy łasy na forszę zerkał w stronę siedzącego w kącie łysego faceta.

Ściany baru były ozdobione współczesnymi obrazami, co wyglądało, jakby kuzynka właściciela miała znajomych malarzy. Przy stolikach nie było krzeseł, tylko miękko wyściełane taborety, a za barem całe rzędy równiutko ustawionych butelek podświetlonych od tyłu. Biła od nich hipnotyzująca poświata, jeszcze bardziej rozpalając zmysły Callo.

Zanim pojawiła się ta blondynka, kilka innych dziewczyn okazywało mu swoje zainteresowanie, ale nie były w jego typie. Pozwalał, by kręciły się wokół niego, i czekał na coś lepszego. Kiedy z tłumu, niczym Afrodyta z morskiej piany, wyłoniła się ta nordycka bogini, Callo utwierdził się w przekonaniu, że bogactwo to najwspanialsza rzecz na świecie. Podobały się mu wysokie kobiety, choć raczej takie bliżej metra sześćdziesiąt niż metra osiemdziesiąt, ale większość dziewczyn, z którymi łądował w łóżku, było wyższych od niego o kilka centymetrów. A ta norweska piękność w swoich wysokich butach górowała nad nim o piętnaście centymetrów! Nie miał pojęcia, dlaczego tak go kręcił wzrost dziewcząt, a zresztą wcale nie miał zamiaru dochodzić przyczyn.

Dziewczyna siedziała obok niego wyłącznie dlatego, że szastał pieniędzmi, ale i tego tematu nie planował zgłębiać. Najważniejsze było, że go chciała. Miło się też z nią rozmawiało, bo miała klasę. Ponadto podobało się jej, że był Amerykaninem. Chciała wszystko o nim wiedzieć. Gdzie mieszka? Gdzie pracuje? Czy ma rodzinę? Co robi w



Atenach? Jak najbardziej lubi spędzać czas?

- Handluję diamentami - mówił Callo. - Mieszkam wszędzie. Nie żyję z żoną, nie mamy dzieci. Przyjechałem do Aten, żeby się zabawić i lubię rozrywki wszelkiego rodzaju.

- Ojej - powiedziała blondynka, przysuwając się bliżej.

- Uwielbiam diamenty. Są takie sexy.

Mówiła płynnie po angielsku, bez obcego akcentu, co Callo od razu wychwycił, choć wypił tyle szampana, że wiele rzeczy mogło umknąć jego uwadze. Ponieważ ona też lubiła alkohol, zamówił kolejną butelkę, ale w rezultacie tylko on pił. Z innymi kobietami po tyłu drinkach jego penis nie funkcjonował tak zawadiacko, ale ta blondyna była nie z tej ziemi. Znał ją dopiero od dwudziestu minut, ale już był pewien, że ją kocha.

Kiedy nachyliła się i szepnęła mu do ucha, czy chciałby pojechać do niej, wiedział, że to będzie noc jego życia.

Wyszli na ulicę. Bar znajdował się w centrum miasta; widać było stąd morze - właśnie to Callo uwielbiał w Grecji. Wpadał tu, gdy tylko mógł, szczególnie po sfinalizowaniu jakiejś wielkiej transakcji.

Dziewczyna machnęła ręką na taksówkę, a Callo stał, obejmując ukochaną w talii, bo inaczej na pewno by się przewrócił. Zazwyczaj diabelnie trudno było złapać taksówkę w tej części miasta, nawet w weekendy, ale teraz od razu jakaś podjechała. Mężczyzna pamiętał jeszcze o dobrym wychowaniu i otworzył drzwiczki, aby Norweżka wsiadła. Wślizgnęła się elegancko, a Callo usiadł obok niej.

Taksówkarz nie spytał o adres, dziewczyna także się nie odezwała, ale wóz ruszył od razu. Callo pomyślał, że to dziwne, ale alkohol sprawił, że nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. Chciał objąć blondynkę ramieniem, ale je strząsnęła. Następnie otworzyła torebkę i coś z niej wyjęła.

Zanim się zorientował, dziewczyna wbiła mu igłę strzykawki w udo, cały czas patrząc na niego ze złością.

- Zboczeniec - syknęła.

- Co do...?

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Poczuł, że jego głowa robi się ciężka, a potem opada na pierś. Nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą. Nic więcej nie pamiętał.

## ROZDZIAŁ 8

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA  
WIRGINIA, STANY ZJEDNOCZONE  
PONIEDZIAŁEK 07:04 CZASU WSCHODNIEGO

Roland Procter, doradca wicedyrektora do spraw tajnych służb, usiadł w jednym z czterech obitych czarną skórą foteli stojących w rogu jego gabinetu. W celu stworzenia swobodniejszej atmosfery, bardziej sprzyjającej spotkaniom i dyskusjom, pomiędzy fotelami postawiono niski stolik. Procter nieczęsto tu siadał, wolał przyjmować wizyty zza swojego wielkiego biurka, ale wszystko zależało od tego, kogo u siebie gościł i co miało być tematem rozmowy.

Biuro Proctera było jednym z najlepszych w całym budynku, ale Procter celował wyżej - miał zostać wicedyrektorem biura do spraw tajnych służb. Gabinet tegoż, podobnie jak i ten należący do Rolanda, mieścił się na najwyższym piętrze kwatery głównej CIA, był równie wielki i rozciągał się z niego taki sam przepiękny widok na wiejski krajobraz Wirginii. Jednak różnica tkwiła w szczegółach. W całej Agencji zawsze było krucho z meblami, ale grube ryby miały się pod tym względem lepiej niż płotki. Dlatego nowe biurko Proctera byłoby nieco bardziej błyszczące, dywan czystszy, a panele na ścianach bardziej połyskujące.

Naprzeciwko siedział Clarke, jego rówieśnik, lecz o dobrych kilkadziesiąt kilogramów szczuplejszy i kilka tonacji bledszy. Clarke przypominał nieco frytkę wbitą w garnitur, natomiast Procter - hamburgera. Clarke nie był pracownikiem CIA, przedstawione przez niego dokumenty stwierdzały, że zatrudniał go Pentagon, ale Procter miał co do tego pewne wątpliwości. Papiery z Pentagonu wiele kryły i otwierały mnóstwo drzwi. To była jakby wstępna przepustka do świata wywiadu. Z takimi dokumentami Clarke zostałby wpuszczony do CIA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy Agencji Wywiadu Wojskowego; nie musiał nawet ani się wcześniej zapowiadać, ani umawiać. Proctera, uwielbiającego szkolną dyscyplinę, strasznie to irytowało. Clarke mógł w końcu pracować dla agencji tak tajnej, że Procter nigdy o niej nie słyszał. Zresztą, nie miało to teraz znaczenia. Ważny był natomiast fakt, że dzisiejszy gość wyznawał te same zasady co Procter.

- Dostałem informację od mojego człowieka - zaczął Procter. - Zdaje się, że był jakiś drobny problem z dostawcą w Hamburgu.

- Jaki problem?

- Śmiertelny - i tu Procter szybko wyjaśnił, co się stało.

Brwi Clarke'a uniosły się.

- Czy Tesseract wyszedł z tego czysty?

- Twierdzi, że tak, a nasi ludzie w Niemczech potwierdzają jego informacje. Policja uznała te zabójstwa za porachunki między gangami. Georg został poważnie ranny, ale wyjdzie z tego. Przeszedł już trzy operacje. Dowiedziałem się, że jest przytomny i nie puszcza pary z gęby. Zresztą właściwie nie ma to wielkiego znaczenia, bo tamtejsze gliny nie przejmują się zbytnio jakąś grupką kryminalistów strzelających do siebie nawzajem. Nikogo nie szukają, a już najmniej naszego chłopaka.

- To dobrze.

- Z twojego tonu można wywnioskować, że jesteś niemal rozczarowany - stwierdził Procter.

Clarke zignorował tę uwagę.

- Mamy poważniejszy problem. Chodzi o Bukareszt.

- Jaki?

- Jeden z ludzi Kazakowa usłyszał strzał Tesseracta.

- Jakiś Rosjanin rozmawiał z kimś z bukaresztańskiej policji. Na razie znaleźli ciało pozbawione głowy. Leżało na dachu obok karabinu, a wszystko to niecałe pięćset metrów w prostej linii od wejścia do hotelu Grand Plaza, gdzie akurat zatrzymał się Władimir Kazakow.

- Czego się dowiedział od policji?

- Dostał informacje na temat tego Strzelca. Chorwat, wynajmował się do roboty, tak przynajmniej wynika z akt Interpolu. Był z niego kawał skurwysyna, podejmował się zadań dla mafii, zabijał różnych ludzi. Teraz Kazakow już jest pewien, że ktoś próbował go zabić. Z pewnością domyślił się, że ktoś się wtrącił i że działał na jego korzyść. Może wie, kto chce jego śmierci, a może nie. Jedno jest pewne: będzie chciał zdobyć informację, kto przyszedł mu z pomocą, no i zacznie się teraz pilnować.

Procter wzruszył ramionami.

- To mnie nie obchodzi.

- Ale mnie tak.

- Nie powinno. Zrobimy zamieszanie, aby zatrzeć ślad. Najprościej będzie, jeśli Wład uwierzy, że ten Chorwat naraził się komuś i dlatego zginął, a on sam żyje, bo po prostu miał

szczęście.

Procter wiedział, że Clarke'owi też przyszło do głowy takie rozwiązanie.

- To prawda - przyznał Clarke - ale lepiej byłoby dla niego, gdyby sądził, że nic mu nie groziło. To, że zdał sobie sprawę, jak blisko był wylądowania w trumnie, wszystko nam komplikuje. Kazakow może nagle zmienić plany, zwiększyć liczbę ochroniarzy, przestać się pokazywać publicznie, a nawet, do cholery, przestać handlować bronią, a zająć się polityką.

Procter domyślił się, że w tej chwili obydwaj rozważają tę samą opcję.

- To nie będzie problem - stwierdził po chwili namysłu.

- Ale jeśli zbyt się przeraził..

- To się uspokoi. Kazakow doskonale zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje, dostarczając broń najgorszym sukinsynom, jacy chodzą po ziemi. Nielegalny handel bronią to nie jest biznes, w którym możesz się utrzymać, jeśli w nocy masz kłopoty ze snem. A poza tym czy doprawdy sądzisz, że wcześniej nikt nie próbował go zabić? Kazakow to kawał twardego skurwiela i żeby go przestraszyć, trzeba o wiele więcej niż jednego strzału.

- Być przestraszonym, a działać rozważnie to różnica.

- Uwierz mi, ten skurwiela ma jaja z kamienia. Czy wiesz, że w 1997 roku francuskie tajne służby próbowały go wyeliminować? Wtedy, jeszcze nie był naprawdę wielkim graczem. Wyrolował ich przy sprzedaży koncernu Exocet. A byli tak blisko - i tu Procter pokazał za pomocą kciuka i palca wskazującego, jak mało brakowało, by Francuzi złapali Kazakowa.

- Nie wiedziałem - przyznał Clarke.

- Bardzo niewiele o tym wie. To miało miejsce, zdaje się, w Maroku. Kazakow był tam na wakacjach. Rozpoczęli strzelaninę, zabili większość goryli Kazakowa, ale jego samego tylko ranili. Odstrzelili mu pół ucha. I co, powstrzymało go to? Nie. Potem nawet pomógł im sprzedać kilka samolotów Mirage. I pamiętaj, że wtedy w Maroku Francuzi byli znacznie bliżej zabicia go niż teraz ten Chorwat, i mówię ci, Peterze, że nie należy się martwić tym, co ten Kazakow zrobi albo czego nie zrobi.

Clarke zasepił się.

- Nie tylko nim się martwię.

Procter przysunął się ze swoim fotelem.

- Peter, byliśmy już w podobnych sytuacjach i rozumiem twoją rezerwę wobec mojego nowego człowieka.

- Nie jestem tego taki pewien.

- Posłuchaj, jego wartość przewyższa ryzyko, jakie stwarza.

- Na tym etapie warto by jeszcze podyskutować o tej jego wartości.

- Myślę, że ostatnio jej dowiódł.

Clarke wzruszył wąskimi ramionami.

- No więc to cudowne dziecko zdało pierwszy poważny test. I co z tego? To znaczy tyle, że jest przydatny, ale jest wielu takich ludzi. Bardzo wielu.

- Chyba nie doceniasz, jakie to szczęście, że go mamy. Zapominasz o tym, że dowiedzieliśmy się o planach zabicia Kazakowa na czterdzieści osiem godzin przed tym faktem. Nie moglibyśmy go o tym uprzedzić, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie się znajduje. Wszystko, co mieliśmy, to przechwycona, zresztą fatalnej jakości, rozmowa telefoniczna, z której wynikało, że przygotowany jest zamach na jego życie. Nie mieliśmy nawet informacji, kto chciał go sprzątnąć i w jaki sposób. Posłaliśmy Tesseracta na ślepo i on wszystko załatwił. Jeśli wtedy Kazakow by zginął, cała nasza operacja poszłaby na marne, zanim dotarlibyśmy do pierwszego etapu. Powiedz mi, kogo innego mogliśmy użyć, nieoficjalnie, aby wydobył nas z tej katastrofy, nie pchając nas równocześnie w światła jupiterów? Może ciebie albo mnie?

Clarke wyprostował się i wyciągnął palec wskazujący w kierunku Proctera.

- Nie próbuj złapać mnie na haczyk, Rolandzie. Po prostu wyraziłem uzasadnione wątpliwości odnośnie tego, kogo wybierasz do tej operacji. Natomiast nie wątpię w umiejętności Tesseracta. A poza tym pozwól, że ci przypomnę, że dla mnie najbardziej liczą się takie cechy jak lojalność, rzetelność i słowność.

- Wiem, wiem - powiedział Procter, patrząc spod zmarszczonych brwi.

Clarke odetchnął głęboko, a jego zazwyczaj blada twarz poczerwieniała.

- Peter, uspokój się, zanim ci pęknie tętniak. Pamiętaj, że sam do mnie przyszedłeś. Z prośbą o pomoc, o nic innego. Oczywiście cieszę się, że tak postąpiłeś, ale na początku uzgodniliśmy pewien maleńki schemacik: prowadzimy sprawy tak, jak ja uważam za właściwe. Zawiera się w tym także taki drobiazg jak to, kogo wybieram do realizacji zadania. Tesseract jest niezwykle zdolny. Wszystko, co robił, zanim zaczął pracować dla nas, jest dla mnie nieistotne, dopóki spełnia swoje zadanie.

- Jak długo faktycznie je spełnia.

- Chodzi o to - mówił dalej Procter, ścisząc głos - że potrzebowaliśmy go, a on spisał się świetnie. Nie mamy się do czego przyczepić.

- Jednak stanowi on dla nas ryzyko, temu nie możesz zaprzeczyć.

- To prawda, ale nadal twierdzą, że jest tego wart.

- W tej chwili, tak - odparł Clarke. - Pamiętaj jednak, że skoro już teraz stwarza

zagrożenie, to w miarę upływu czasu będzie ono tylko wzrastało, a twoja zdolność zapanowania nad nim - malała.

- Zadziałamy, zanim zapali się lampka ostrzegawcza.

- Mam nadzieję.

- Za bardzo się martwisz.

- Nigdy nie twierdziłem, że tak nie jest. Ale ty z kolei za mało.

- I po to mam ciebie - uśmiechnął się Procter - ale do rzeczy. Ucieszysz się, gdy ci powiem, że Tesseract jest już w Berlinie, tak jak to było zaplanowane i przygotowuje się do następnego etapu operacji.

- To dobrze. Ciekawe, czy ten chłopak pomoże nam osiągnąć zamierzony cel.

- Z pewnością - stwierdził Procter z przekonaniem. - A teraz, kiedy mamy też Saula Callo, sprawy zaczynają układać się wręcz doskonale.

- Jak przedstawia się strategia odnośnie Callo?

- To już pozostawiam chłopakom, którzy są tam na miejscu. Z odległości jedenastu tysięcy kilometrów nie zamierzam ingerować w to przesłuchanie. Ostatnie dwie doby Callo spędził w bagażniku samochodu, dostał do picia tylko kilka łyków wody, więc teraz musi być roztrzęsiony. Jutro już będą na miejscu, zostawią go na kilka godzin, by skruszał, a potem zabiorą się przyzwoicie za niego.

- Brzmi wspaniale - stwierdził Clarke.

- Ten typ na nic innego nie zasługuje - powiedział Procter, pochylając się w stronę kolegi.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Przed nim rozpościerał się krajobraz Wirginii skąpany w ciepłym porannym słońcu. Procter kochał ten zakątek stanu. Gdyby to zależało od niego, przeniósłby się tu z Waszyngtonu, kupił ładny wiejski dom, kilka akrów ziemi i być może konia. Jednak Patricia zbyt kochała miejskie życie, żeby poddać się bez walki. A Procter należał do tych, którzy zawsze ostrożnie angażują się w jakikolwiek spór i dobrze wiedzą, kiedy nie mają szans na wygraną.

- Czy jesteś pewien, że on wie to, czego chcemy się dowiedzieć? - spytał Clarke.

- O, wie, wie. Jeżeli nawet gdzieś istnieje lepsze dojście do siatki Ariffa, to nigdy go nie znajdziemy. Ten egipski skurwiol od lat wie, jak się nam wymykać.

- Kto będzie przesłuchiwać Callo? - chciał wiedzieć Clarke. - Bo przecież każdy, kto będzie w tym pomieszczeniu, dowie się wielu cennych informacji, które kiedyś, gdy będzie już po wszystkim, będzie mógł wykorzystać przeciwko nam.

- Myślę, że przesadzasz. Będzie tam dwóch naszych kontraktorów, na których dałeś mi

namiary. To Anglicy. Wiedzą tylko to, co absolutnie konieczne. A więc nie będzie z nimi kłopotów. Wszystko nadzoruje facet z CIA i choć rozpiera go ambicja, to ma jaja ze stali. Nikomu nie piśnie ani słowa - Procter uśmiechnął się. - To mój wychowanek. Mógłbym mu kazać, aby obciął sobie nogę i zrobiłby to bez wahania i jeszcze powiedział dziękuję. Tak nad nim panuję, że nie ma pewności, czy czasem nie jestem Bogiem.

To ostatnie zdanie wywołało uśmiech na ustach Clarke'a.

- Zrobi, co ma do zrobienia i w środę powinniśmy móc planować kolejny etap operacji.

- Kolejny etap - powtórzył Clarke. - Więc wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Tak jest, zgodnie z planem - przytaknął Procter.

- No, to o krok przybliżyliśmy się do ukrócenia handlu bronią, do oderwania kolejnych macek oplatających ten proceder.

## ROZDZIAŁ 9

BERLIN, NIEMCY

WTOREK 12:23 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Według dossier Adorjan Farkas miał przyjechać do Berlina w środę i pozostać tam najwyżej tydzień, a potem wrócić do swojej ojczyzny, czyli na Węgry, gdzie, jak przypuszczał Wiktor, zabicie go będzie o wiele trudniejsze albo też kompletnie bez znaczenia. Pięćdziesięciodwuletni Farkas przez całe życie był członkiem węgierskiej mafii, ale jego nazwisko było też znane w branżach, którymi nie interesował się zwykły świat przestępczy, przede wszystkim w międzynarodowym handlu ludźmi oraz bronią. I z tego ostatniego powodu, według dossier, Farkas musi zginąć. Głównym powodem był fakt, że uprawiany przez niego proceder przynosił mu mnóstwo pieniędzy. Jednym z najbardziej dochodowych interesów mafiosa było kupowanie broni od producentów w Europie Wschodniej i sprzedawanie jej na Bliskim Wschodzie. Wszystko było jasne. Z dossier wynikało, że Farkas nie stanowił szczególnie cennego celu, a więc chodziło tu chyba o coś jeszcze. Zapewne był ogniwem łańcucha, który zleceniodawca Wiktora chciał przerwać, a jego zabicie to albo najłatwiejszy, albo jedyny sposób wstrzymania dostaw broni, od której ginęli Amerykanie na różnych wojnach. Jednak Wiktor wiedział, że nigdy nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje.

Pozostałe informacje, które otrzymał na temat Farkasa, były dość dokładne: długa biografia, lista współników, różne szczegóły dotyczące jego osoby - w większości bezużyteczne. Najważniejsze, jak wynikało z doświadczeń Wiktora, były najświeższe fotografie i adresy; na ogół bez reszty mógł się doskonale obyć. Ponieważ jednak ten, kto kompletował dossier, nigdy nie wykonywał podobnego zadania, to, co było ważne jego zdaniem, wcale nie musiało być w jakikolwiek sposób użyteczne dla zabójcy. Jednak biorąc pod uwagę specyfikę tej szczególnej pracy, lepiej było mieć za dużo informacji niż za mało.

Farkasa trzeba było wysadzić w powietrze. Żaden wypadek, samobójstwo, rana postrzałowa czy podejrzenie gardła. W grę wchodziły tylko materiały wybuchowe dostarczone przez Georga.

I nikt nie raczył poinformować Wiktora, dlaczego mafioso musiał zginąć właśnie w ten sposób, ale Wiktorowi przyszło do głowy logiczne wyjaśnienie. Zrzucenie winy na kogoś.



Jego zleceniodawcy zależało, aby winą za zamordowanie Farkasa obciążono jakąś konkretną osobę lub ugrupowanie; ktokolwiek miał to być, ładunki wybuchowe użyte w tym zamachu wskazywałyby na nich. Sprawdził kupioną w Hamburgu cyklotrimetylonitraminę, popularnie zwaną RDX. Był to bardzo często stosowany materiał wybuchowy o niezwykle niszczącej sile, używany przez wojsko oraz w przemyśle. Po dodaniu pewnych środków chemicznych oraz oleju silnikowego przypominał C4; Wiktor wolał posługiwać się tym ostatnim. Niestety teraz nie miał możliwości wyboru.

Z ciężarówki Georga wziął sześć kilogramów RDX zapakowanego w kilkugramowe paczki. Na razie, niez mieszany z innymi chemikaliami, RDX był białą krystaliczną substancją. Dysponując odpowiednimi chemikaliami i wyposażeniem, Wiktor umiał otrzymać z niego C4, ale nie miał na to czasu, bukaresztańskie zlecenie przyszło w ostatniej chwili, więc teraz musiał się zadowolić tym, co miał.

Tylko z jednej paczki RDX mógł skonstruować bombę zdolną zabić człowieka, zaś użycie sześciu kilogramów tego materiału równało się ogromnej sile rażenia, ale przetransportowanie i ukrycie takiej ilości nie było łatwe. Poza tym im większy ładunek, tym większe ryzyko, że mogą zginąć przypadkowe osoby. Nie miał zwyczaju, o ile nie było to absolutnie nie do uniknięcia, uśmiercania niewinnych świadków, a przy eksplozji zawsze istniała taka możliwość, i dlatego nie był zwolennikiem tego sposobu zabijania. Zleceniodawcy zastrzegli też, że nie może być żadnych szkód. Chyba chodziło o to, że taki zamach lepiej wygląda w raportach oraz w oczach badających sprawę.

Georg nie dostarczył żadnego urządzenia, za pomocą którego można by zdalnie zdetonować ładunek, wobec tego Wiktor musiał umieścić go w takim miejscu, w którym tylko Farkas się na niego natknie. Oczywiście mógł *ad hoc* skonstruować potrzebne urządzenie, ale nie był zwolennikiem podobnych metod - o ile nie miał innego wyboru. Taka bomba wymagała, aby w momencie detonacji widzieć cel, co nie tylko ograniczało wybór miejsca, w którym mogła być umieszczona, ale i zmuszało Wiktora do znajdowania się w pobliżu. A to oznaczało, że szanse na uniknięcie schwytania równały się zeru.

Jednak dzięki posiadanym informacjom ułożył sobie w głowie inny, prowizoryczny plan.

Wiedział na pewno, że Farkas wynajął w Berlinie penthouse w jednym z luksusowych apartamentowców i że towarzyszyć mu będzie kilku jego ludzi, od trzech do pięciu, którzy zapewne tak jak przy jego poprzednich podróżach zamieszkają razem z nim. Natomiast nie było wiadomo, czy będą uzbrojeni.

W Berlinie było zimno, choć słonecznie. Wiktor przeszedł obok apartamentowca. Był

to wielki gmach w samym środku Prenzlauer Berg, jednej z najelegantszych dzielnic miasta. Z ziemi wyrastały cztery piętra obłożonych kamieniem ścian, a jeszcze jeden poziom znajdował się pod ziemią. Oszacował, że na każde piętro przypadają trzy mieszkania, zaś penthouse zajmuje zapewne całą górę.

Wiktor przez jakiś czas spacerował po Prenzlauer Berg, aby sprawdzić, czy nie jest śledzony i poznać otoczenie, w którym miał działać. Dzielnica ta uniknęła zniszczenia w czasie drugiej wojny światowej, jak również - na szczęście - powojennego rozwoju, jaki był widoczny w całym mieście. Zbudowana w dziewiętnastym wieku dla klasy robotniczej, teraz należała do bogatej części Berlina. Było tu wiele modnych barów i restauracji, butików, delikatesów i kawiarni. Teraz rozumiał, dlaczego zamożny węgierski gangster postanowił zatrzymać się właśnie tutaj.

Była pora lunchu. Wiktor usiadł na tarasie jednej z zatłoczonych kawiarni. Wzdłuż wąskiej uliczki ciągnęły się sklepy z ubraniami i restauracje, naprzeciwko znajdowała się stacja metra - niezwykle czysta nawet jak na niemieckie standardy. Patrzył na śpieszących się ludzi, wśród których przeważali trzydziestokilkuletni mężczyźni. Po wypiciu mrożonej herbaty udał się do domu towarowego, do działu z męską odzieżą. Natychmiast zjawił się młody sprzedawca oferujący pomoc.

- Szukam czegoś wygodnego, a równocześnie eleganckiego - powiedział Wiktor.

Nie podobały mu się proponowane przez sprzedawcę modne, ale zbyt jasne ubrania. Nie mogły to być rzeczy, w których wyglądałby zbyt elegancko, co niezmiernie dziwiło sprzedawcę. To musiały być rzeczy, które nie przykuwałyby wzroku.

Chciał się wtopić w tłum tutejszych mieszkańców, ludzi bogatych, niekiedy należących do bohemy, ale równocześnie nie chciał wyglądać zbyt wytwornie. W końcu zdecydował się na dwie pary ciemnoniebieskich dżinsów, kilka koszul w kratkę, kremowy sweter polo, mokasyny i brązową skórzaną kurtkę - wszystko niezbyt opięte. Kupił też skórzaną torbę na ramię, ładne okulary przeciwsłoneczne i telefon na kartę.

Jego niedrogi hotel znajdował się trzy przystanki metra dalej. Wybrał go, gdyż był położony dość blisko miejsca, gdzie zatrzymał się Farkas, ale i na tyle daleko, aby mógł swobodnie go śledzić. Wynajął skromny pokój. Natychmiast przebrał się w dżinsy, jedną z kupionych koszul oraz kurtkę. W mieście najbardziej lubił nosić garnitury, ale zbliżał się weekend, a garnitur nie był strojem weekendowym.

Wcześniej zauważył dwa miejsca, z których mógł obserwować budynek: stylową, nienależącą do żadnej sieci kawiarnię znajdującą się po tej samej stronie ulicy oraz koktajlbar po drugiej. Właśnie tam teraz wszedł. Kupił lemoniadę z plasterkiem cytryny i usiadł przy

stoliku na zewnątrz.

Widok stąd nie był co prawda najlepszy, ale pozwalał na obserwację wejścia do apartamentowca, poza tym siedzenie w barze nie wzbudzało podejrzeń; zapowiadało się bowiem, że spędzi tu wiele godzin dziennie przez kilka dni. Wyjął nieduży notes oraz pióro i położył je przed sobą na stoliku. Zaczął odnotowywać każdą osobę wchodzącą lub wychodzącą z budynku, czekając aż zjawi się ktoś, kto nie wygląda na mieszkańca tego budynku, na przykład dozorca lub sprzątaczkę. Jednak nikogo takiego nie zauważył.

Po dwudziestu minutach czekania wreszcie pojawiły się odpowiednie osoby. Ładna para, oboje około trzydziestu lat; nie mogli oderwać od siebie oczu ani opanować rąk, by nie dotykać się nawzajem. Gdy tylko Wiktor ich zobaczył, wiedział, że doskonale pasują do jego wymogów. W tym zawodzie nawet miłość może zostać wspaniale wykorzystana.

Bardzo łatwo było ich śledzić. Młodzi kierowali się do pubu, w którym tłum fanów oglądał mecz Bundesligi na kilku olbrzymich wiszących ekranach. Wiktor poczekał parę minut, aby upewnić się, że wejdą do środka, po czym poszedł za nimi.

Zamówił piwo i stojąc przy barze, obserwował młodych, choć wyglądał jak zwyczajny kibic sportowy. Para zajęła stolik w rogu sali. W pubie było ciepło i Wiktor zauważył, że śledzony przez niego mężczyzna zdjął kurtkę i powiesił na oparciu krzesła. On także zamówił piwo i teraz pił je szybko. Gdy kobieta skończyła swoje białe wino, wstał, aby zamówić następną kolejkę. Wiktor odstawił szklankę, wyjął telefon i ruszył w stronę ich stolika, udając, że pisze SMS-a. Torował sobie drogę wśród tłumu, a w tym samym czasie młody człowiek szedł w stronę baru.

Gdy Wiktor przecisnął się koło stolika, przy którym siedziała kobieta, potknął się i upuścił telefon. Szybko schylił się i podniósł go lewą ręką, podczas gdy prawa wślizgnęła się do kieszeni kurtki mężczyzny i wyjęła klucze. Wyprostował się i potrząsnął głową; po drodze do baru minął wracającego z piwem partnera młodej kobiety. Kątem oka spostrzegł, że spoglądała na niego, ale nie było w tym wzroku żadnej podejrzliwości, tylko rozbawienie. Najwyraźniej uznała, że jest podpitym kibicem.

Wiktor zamówił jeszcze jedno piwo, potem wyszedł i udał się do warsztatu ślusarskiego, który już wcześniej wypatrzył.

Wróciwszy do pubu, oddał klucze jednej z kelnerek, mówiąc, że znalazł je przy stoliku, przy którym wcześniej siedzieli młodzi ludzie.

Po wyjściu z baru pojechał metrem do centrum, aby kupić kilka rzeczy. Poszedł do sklepu z artykułami dla artystów, gdzie kupił buteleczkę pyłu grafitowego. Z kolei w aptece nabył składany pędzel, a w drogerii butelkę perfum, które polecił mu sprzedawca w domu

towarowym, gdy poprosił go o radę, jakie perfumy kupić przyjaciółce.

Po przybyciu do hotelu przebrał się w garnitur i zanurzył kupiony w aptece pędzel w grafitowym proszku, po czym złożył go i schował do kieszeni garnituru i wyszedł. Udał się na stację metra i choć był nieco spóźniony, nie spieszył się.

Agentka nieruchomości czekała już przed budynkiem wyraźnie niezadowolona z faktu, że jej klient nie pojawił się o umówionej porze. Nie spostrzegła go od razu, więc miał czas, aby się jej przyjrzeć. Około metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, pod trzydziestkę, ubrana w elegancki granatowy kostium, który sprawiał, że wyglądała niezwykle profesjonalnie, ale i nie ukrywał jej urody i zgrabnej sylwetki. Była blondynką, z włosami do ramion, które teraz wiatr odgarnął do tyłu. Tak, jak Wiktor przewidywał, na jej twarzy malowało się zdenerwowanie i zniecierpliwienie. Spoglądała nerwowo na zegarek.

Gdy go zauważyła, uśmiechnął się uprzejmie, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu.

- Przepraszam za spóźnienie, pani Friedman, czy tak?

- powiedział Wiktor. - Nazywam się Krausse.

- W porządku - odparła kobieta, choć ton jej głosu zdradzał, że bynajmniej tak nie myślała.

Podał jej rękę, a ona wyciągnęła swoją, ale nie uściśniła jego dłoni.

- Idziemy? - spytała, kierując się w stronę wejścia do budynku.

Friedman weszła do budynku, podeszła do drzwi apartamentu i weszła do środka. Podążał za nią. Odezwał się dzwonek alarmu. W przeciwległym rogu holu wejściowego, na ścianie pod samym sufitem znajdowało się małe pudełeczko. Wiktor nie mógł stwierdzić, jakiego rodzaju system został tu zainstalowany, musiałby go dokładnie obejrzeć, ale agentka chwaliła się, że jest to coś doskonałego, a więc z pewnością nie był to żaden standardowy alarm - być może radarowy lub, co bardziej prawdopodobne, działający na podczerwień.

Friedman powiedziała kilka słów o historii budynku, ale jej nie słuchał. Uważnie patrzył, gdy podeszła do płaskiego, umocowanego na ścianie pudełeczka, i obserwował, jakie guziki naciska. Nie mógł podejść wystarczająco blisko, by dostrzec wybierane cyfry, ale widział ruchy jej palców. Najpierw nacisnęła pierwszy guzik, potem palec powędrował szybko w dół, znowu w dół, a następnie do górnego rzędu cyfr. Powtórzył to sobie w myślach i zapamiętał. Nacisnąć, w dół - nacisnąć, w dół - nacisnąć, w górę - nacisnąć.

Agentka zaprowadziła go do salonu, kuchni, łazienki i trzech sypialni. W głównej sypialni stało wielkie łóżko. Przylegała do niej osobna toaleta.

Apartament był urządzonej nowocześnie, ale jednocześnie z niebanalną elegancją, niemal klasycznie. W kuchni królował granit i nierdzewna stal, w łazience marmur.

Wiktor przechadzał się po pokojach powoli, dokładnie oglądając każdą rzecz. Kątem oka zauważył, że kobieta spogląda nerwowo na zegarek, ale udał, że tego nie widzi.

W końcu zadzwonił jej telefon, a ona odebrała. Uprzejmie skinął głową w jej stronę, co oznaczało, że może rozmawiać, i agentka wyszła do kuchni.

Wówczas rzucił się biegiem do holu wejściowego. Wyjął z kieszeni pędzel, rozłożył i delikatnie przejechał nim po klawiszach alarmu. Teraz widział, które cyfry nacisnęła: jeden, dwa, pięć i osiem.

Usłyszał, że kobieta skończyła rozmawiać, delikatnie wytarł klawisze rękawem marynarki i dosłownie sekundę przed pojawieniem się agentki schował pędzel do kieszeni.

- Możemy iść? - spytała.

Po drodze na stację metra Wiktor dopasowywał cyfry jeden, dwa, pięć i osiem do kolejności, jaką zapamiętał. Nacisnąć, w dół, nacisnąć, w dół, nacisnąć, w górę i teraz jeden albo dwa. Nie było sposobu, aby się dowiedzieć, która z tych cyfr ma być pierwsza, a która czwarta, ale szansa, że trafi, wynosiła pół na pół. Alarmy są tak skonstruowane, że biorą pod uwagę jedną pomyłkę, a więc będzie miał czas skorygować ewentualny błąd. Dzięki Bogu.

Wiktor odkrył, że ludzie, których praca nie łączy się z jakimś zagrożeniem, nigdy nie są tak ostrożni, jak trzeba. W takim apartamentowcu każde z dwunastu mieszkań wyposażonych w odrębny system alarmowy powinno mieć swoje własne hasło, które należy zmieniać, ilekroć wprowadza się tam ktoś nowy. Dla znudzonej agentki nieruchomości to za wiele zachodu.

A może wróci później, aby przed przyjazdem Farkasa ustawić nowy kod? Tak byłoby rozsądnie i bezpiecznie.

Jednak gdyby się miał założyć o to, czy agentka będzie się w tym wypadku kierować względami bezpieczeństwa, czy lenistwem, zawsze postawiłby na lenistwo.

## ROZDZIAŁ 10

LOTNISKO OKĘCIE, WARSZAWA, POLSKA  
20:19 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Kevin Sykes powstrzymał ziewanie, spostrzegłszy migające czerwone i zielone światła zbliżającego się samolotu. Kadłub leara wyłonił się z mgły dopiero w ostatniej chwili. Przeciwmgielne reflektory lotniska oświetlały brzuch maszyny, która, w przeciwieństwie do innych samolotów pasażerskich, wylądowała na mniejszym i rzadziej uczęszczanym pasie.

Huk silników był ogłuszający. Sykes zatkał sobie uszy dłońmi, ale pozostał w miejscu, blisko pasa. Opony samolotu zapiszczały w zetknięciu z asfaltem, a wokół uniół się swąd palonej gumy, który jednak szybko się rozwiął w zimnym powietrzu.

Sykes odwrócił się i przeszedł przez pas mokrej trawy, kierując się w stronę dwóch hangarów położonych naprzeciwko pasów startowych głównego terminalu. Wokół nich w promieniu co najmniej osiemdziesięciu metrów było pusto. Nie widać było nikogo z obsługi lotniska, a ludzi, którzy zazwyczaj powinni tu być, skierowano do pracy w innym miejscu.

Biały lear zatrzymał się czterdzieści metrów przed hangarem.

Drzwi samolotu otworzyły się i wysunęły się krótkie schodki. Zszedł po nich mężczyzna. Był dobrze zbudowany, opalony, o siwych, przerzedzonych włosach; nie miał płaszcza, tylko dzinsy i gruby sweter. Tuż za nim szedł drugi, trzydziestoparoletni, o wiele wyższy i potężniejszy. Wiatr rozwiewał poły jego dzinsowej kurtki i Sykes zobaczył, że do pasa ma on przypiętą kaburę na pistolet.

Sykes powitał przybyłych.

- Max Abbot - powiedział pierwszy z przybyłych wyuczoną angielszczyzną.

- Miło cię poznać, Max - odparł Sykes, starając się nie skrzywić, gdy poczuł silny uścisk dłoni.

Abbot uśmiechnął się.

- Ten wielki skurwysyn to mój wspólnik, Blout.

Twarz Blouta ani drgnęła, powiedział tylko „cześć”.

Sykes w odpowiedzi kiwnął głową. Jego ostatnie doświadczenia odnośnie wykorzystywania do różnych zadań niezależnych podwykonawców nie były najlepsze, wobec

tego nie był pewien, czego może się spodziewać ze strony Abbota i Blouta. Nic o nich nie wiedział, kim byli, co wcześniej robili, ale przypuszczał, że wykorzystywano ich do zadań tego rodzaju, inaczej by się tu nie znaleźli. Zapewne kiedyś służyli w wojsku albo w wywiadzie, i specjalizowali się w porwaniach i przetrucaniu ludzi.

- A więc - rzucił Abbot, rozglądając się naokoło - to jest Polska, tak? Z ziemi wygląda tak samo ponuro jak z powietrza.

Sykes uśmiechnął się z przymusem.

- To co, zaczynamy zabawę? - zaproponował Abbot. Im szybciej będziemy mieli to za sobą, tym szybciej wszyscy znajdziemy się w jakimś ciepłym miejscu. Mam rację czy nie?

- Masz - zgodził się Sykes.

Abbot odwrócił głowę w stronę Blouta i wskazał mu wejście do samolotu.

- Przyrowadź tego skurwiela, dobra?

Blout wszedł do samolotu i zniknął w nim na kilka chwil. Kiedy znów się pojawił, odsunął się na bok przy wyjściu, pozwalając przejść innemu mężczyźnie. Z rękami skutymi kajdankami i ze związanymi kostkami u nóg Saul Callo ledwie mógł iść.

Callo był niższy, niż Sykes się spodziewał; jego wagę ocenił na jakieś sześćdziesiąt kilogramów. Mężczyzna miał jeden z tych pomarańczowych kombinezonów, w jakie Amerykanie ubierali pojmanyh terrorystów. Niezbyt kryli się z faktem, że porwanie i przewiezienie na terytorium tego kraju było sprawą nieautoryzowaną, ale Sykes nic nie mówił. Kombinezon był przynajmniej trzy numery za duży, co sprawiało, że Callo wydawał się jeszcze mniejszy i drobniejszy. Głowę miał zwieszoną, więc Sykes nie mógł spojrzeć mu w oczy. Ruszał się powoli i niezdarne. Kajdanki na rękach i nogach łączył łańcuch. Wydawało się, że Abbot albo Blout z łatwością podnieśliby go jedną ręką, ale oni z pewnością mieli własne sposoby załatwiania takich spraw.

Blout szturchnął Callo w plecy, a on zaczął schodzić ostrożnie po schodach.

Abbot zauważył wzrok Sykesa.

- Może i przypomina kawałek brudu zeskrobany z podeszwy, ale to najgorszy skurwiela, jakiego miałem nieszczęście spotkać. Kiedy rozebraliśmy go, stał się agresywny, zachowywał się jak wariat. Okropnie pogryzł mi nogi. Boli jak cholera. I dlatego tak go skuliśmy.

- Jak go złapaliście? - spytał Sykes.

Abbot uśmiechnął się z dumą.

- Myśleliśmy, że go dopadniemy w jego willi. Mieliliśmy namiary, bardzo ładny plan, ale nie musieliśmy wprowadzać go w życie. Obserwowaliśmy go przez trzy dni, a on przez

cały ten czas uganiał się za dziewczynami jak pies, gdy poczuje zapach cieczki. I to nie za żadnymi młodymi laskami. On lubi wysokie lalunie. Im wyższa, tym bardziej go rozpala. No, to poszliśmy na żywioł. Znalazłem taką jedną, najpiękniejszą blondynę, jaką kiedykolwiek widziałem, niemal dorównywała ci wzrostem. Nagadałem jej różnych głupot, że Callo jest ścigany, a my go musimy dopaść, bo to naprawdę wstrętny facet, pedofil i takie tam różne bzdury. No, jednym słowem zapłaciliśmy jej, aby go uwiodła, gdy będzie już pijany. Zajęło jej to dwadzieścia osiem minut - a potem już siedzieli w taksówce. Nawet sama zrobiła mu zastrzyk, a gdy ją podwiozłem, to jeszcze ją wydymałem - bez dopłaty.

- Dobra robota.

- Dzięki - odparł Abbot, wciąż się uśmiechając.

Gdy Callo zszedł, Abbot chwycił go za kołnierz i pociągnął za sobą.

- Chodź tu, kutasie, niech no tamci ci się przyjrzą.

Callo powoli podniósł głowę. Wyglądał okropnie, zrezygnowany i kompletnie wyczerpany. Sykesowi udało się po raz pierwszy spojrzeć w jego niebieskie oczy i ucieszył się, gdy dostrzegł w nich strach.

- Dobry wieczór, Saul - powiedział ciepło. - Witamy w piekle.

Pokój przypominał niewielki sześcian o wymiarach trzy metry na trzy. Betonowe ściany były szare, surowe, podobnie jak sufit i podłoga. Goła żarówka zawieszona pod sufitem nie dawała dużo światła. W pomieszczeniu nie było łóżka, pod jedną ścianą leżały brudne materace. Callo usiadł na jednym, podkurczając nogi tak, że kolanami dotykał brody. Miał na sobie tylko spodenki i dziurawe skarpetki.

- No, chodź. Czas pogadać - powiedział Sykes, stojąc w otwartych drzwiach. - Chciałem cię zapytać o Baraa Ariffa.

- Nie - oświadczył zdecydowanie Callo. - Nie możecie mi tego robić. Znam swoje prawa. Jestem Amerykaninem. Chcę się widzieć z moim adwokatem.

Callo już nieco zmiękł, a może nawet był kompletnie załamany, gdyż przez trzy godziny był przetrzymywany w zimnym i ciemnym pomieszczeniu. Sykes najchętniej potrzymałby go tam co najmniej przez cały dzień, ale niestety nie miał aż tyle czasu.

Sykes złożył ręce na brzuchu.

- Niestety to ja muszę ci o tym powiedzieć - chłopie, jesteś na terenie pozbawionym adwokatów. Wszelkie prawa, jakie wydaje ci się, że masz, tutaj nie działają. To jest obszar bezpieczeństwa. Tu nie ma żadnej strefy czasu, nie chronią cię kodeksy. To miejsce po prostu nie istnieje. No, a teraz powiedz mi o Baraa Ariffie, a oddam ci ubranie. Może nawet dostaniesz coś gorącego do jedzenia. Jak ci się to podoba? Wiem, że tu jest diabelnie zimno i



zapewne jesteś głodny.

- Nie - odpowiedział Callo. - Pieprz się.

Jego głos wciąż brzmiał hardo, ale Sykes dostrzegł łzy spływające mu po policzkach.

- No dobrze - powiedział Sykes, nerwowo sapiąc. - Staralem się być grzeczny, ale nie pozostawiasz mi żadnego wyboru.

Callo nie odpowiedział, tylko mocniej objął rękami kolana.

Blout i Abbot natychmiast wpadli do celi i podeszli do Callo. Byli bez kurtek, rękawy koszul mieli podwinięte. Callo zaczął krzyczeć już na sam ich widok. Chwycili go - Blout za nogi, podkładając ręce pod jego kolana, a Abbot za nadgarstki. Nieśli go tak, że plecami szorował po podłodze. Callo próbował się wyrwać, ale nie był na tyle silny, by dać radę jednemu, a co dopiero dwóm roslým mężczyznom.

Wytaszczyli Callo na korytarz. Sykes szedł przodem. Przemierzyli długi ciemny korytarz, potem zeszli do podziemi. Callo cały czas wyrывał się i krzyczał. W podziemiach było zimno i wilgotno, powietrze przesycala woń ludzkich ekskrementów. Kroki idących głucho dudniły i Sykes spostrzegł, że Callo przycichł, nasłuchując, czy są tu jeszcze inni więźniowie.

- Nie, proszę - błagał. - Pomyliliście się. Ja jestem nikim.

Abbot popatrzył na Callo.

- O, nie, dupku. To ty się pomyliłeś, a to jest miejsce, w którym za swój błąd zapłacisz.

W dali błysnęło niebieskie światło, a powietrze przeszły okropny krzyk, odbijając się echem w korytarzu. Callo zesztyniał i wyciągnął szyję, by zobaczyć, skąd dochodzi skowyt. Nieco dalej były otwarte drzwi do pomieszczenia, w którym jakiś człowiek wykrzykiwał coś w niezrozumiałym języku. Ktoś inny, przerażony, głośno mu odpowiadał. Znowu błysnęło niebieskie światło i powietrze ponownie przeszły ten okropny wrzask.

Kiedy przenoszono Callo obok tych drzwi, zajrzał do środka. Siedział tam nagi mężczyzna, przywiązany do krzesła. Miał mokre włosy, a całe jego ciało aż błyszczało od wody. Był podłączony do drutów, Callo nie mógł zobaczyć, w jakich miejscach, ale przypuszczał, że do genitaliów. Obok niego dostrzegł mężczyznę, który wrzeszczał i bił siedzącego po twarzy. Po chwili odsunął się i dał komuś znak, ale Callo nie widział tej trzeciej osoby. Niebieskie światło znowu błysnęło i rozległ się krzyk. Callo poczuł woń przypiekanego ciała i zrobiło się mu niedobrze.

Naprężył mięśnie i kopnął niosących go. Odgłosy, które teraz dochodziły z tyłu, załamały go.

- Nie martw się - powiedział Abbot. - Nadchodzi twoja kolej.

Minutę później dotarli do miejsca przeznaczenia i puścili Callo, który upadł na plecy. Niemal zapało mu dech w piersiach, ale udało mu się wstać i ruszył ku drzwiom. Uszedł metr, gdy Sykes zagroził mu drogę.

- Ten dupek mnie ugryzł - wrzasnął.

- A nie mówiłem? - przytaknął Abbot, ściskając grubym ramieniem szyję Callo. - Ten gnój jest niczym pieprzony grzechotnik.

Sykes zamknął ciężkie stalowe drzwi, a Blout i Abbot postawili Callo na nogi, po czym pociągnęli do tyłu i kazali usiąść na zimnym metalowym krześle. Opierał się, jak mógł, ale wykręcili mu ręce do tyłu i poczuł na nadgarstkach kajdanki. Przykuli mu też nogi do krzesła.

Callo rozejrzał się po pomieszczeniu. Było tak samo szare jak tamto na górze. Przy jednej ze ścian była umywalka i kran ze szlauchem. Naprzeciwko stał zwykły stół, a obok przenośny generator, do którego podłączono dwa długie kable, a ich końce wetknięto w leżący na stole rozgałęziacz. Generator głośno pracował.

W powietrzu czuć było woń spalenizny. Strach ścisnął Callo za gardło. Próbował z tym walczyć, ale nie potrafił.

Abbot podszedł do umywalki, a Blout w stronę generatora.

- Nic wam nie powiem - wrzasnął Callo.

Sykes pokiwał głową.

- Wiemy, każdy tak mówi. Jednak jest pewien problem. Powiesz mi wszystko, ale to mnie wcale nie zadowoli. I właśnie dlatego będziemy musieli zastosować pewne procedury, aby mieć pewność, że mówisz prawdę.

- Nie będę kłamał - zapewnił szybko Callo.

Sykes nic nie mówiąc, znowu pokiwał głową i popatrzył na Abbota, który poniósł z podłogi wąż i odkręcił kran.

Strumień lodowatej wody uderzył Callo w twarz. Była tak zimna, że mogła zranić, toteż kręcił głową na boki, starając się uniknąć tej kąpieli. Jednak Abbot zaczął oblewać jego ciało od góry do dołu, aż całe ociekało wodą. Callo wyrywał się, ale krzesło, na którym siedział, było przytwierdzone do podłogi i ani drgnęło. Nadgarstki i kostki bolały go od wżynających się w nie kajdanków.

- Wystarczy - stwierdził Sykes.

Abbot zakręcił kran.

Callo siedział, nie mogąc opanować drżenia. Szczękał zębami, miał sine wargi i gęsią skórę. Chciał coś powiedzieć, błagać o litość, ale nie był w stanie wymówić ani słowa.

- Uspokój się przez chwilę - powiedział Sykes.

Abbot chwycił Callo za włosy i zmusił go do spojrzenia na stół.

- Popatrz uważnie - powiedział.

Puścił go i podszedł do stołu, na którym leżała papierowa torba. Abbot wyjął z niej dwie pomarańcze i położył je tak, aby więzień dobrze je widział. Callo nic nie rozumiał, spojrzał na Sykesa, ale ten wskazał mebel.

- Niech te owoce reprezentują to, co jest dla ciebie najważniejsze - powiedział Abbot. Wyjął z kieszeni czarny flamaster i, śmiejąc się sam do siebie, na każdej pomarańczy narysował kreskę.

Callo dygocząc, obserwował, jak Abbot kładzie je tuż obok siebie tak, by się stykały. Potem przykleił je taśmą do stołu. Następnie wziął dwa kable zakończone metalowymi klamrami i przypiął każdy do jednej pomarańczy.

Woda kapiała Callo z rzęs, zalewając oczy, więc mrugał, aby lepiej widzieć.

- Gotowy? - spytał Abbot. Nie czekając na odpowiedź, włączył generator.

Owoce natychmiast zaczęły świecić i wibrować, a po kilku chwilach Callo poczuł zapach cytrusów. Drgania nasiliły się - skórka pękała, a sok wrzał i parował.

- O, tak - krzyknął Abbot, klaszcząc w ręce. - O to chodzi. Dobrze!

Pomarańcze rozrywały się coraz bardziej, a Callo patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak w końcu owoce eksplodowały i trysnęły z nich gorący sok z miąższem.

Abbot znowu klasnął w ręce.

- O to mi właśnie chodzi.

- Wyłącz to - powiedział Sykes.

Blout wyłączył generator. Z resztek owoców leżących na stole unosił się dym, na podłogę kapął sok. Dookoła pełno było kawałków miąższu i skórek pomarańczy. Jedna gorąca cząstka upadła nawet na biodro Callo.

- Popatrz - roześmiał się Abbot, wskazując na Callo.

- Ten skurwysyn się zsiął.

Spodenki Callo były już wcześniej mokre, ale żółta kałuża na podłodze mówiła sama za siebie.

Abbot zrobił krok w jego stronę.

- Zrozumiałeś, dupku?

- Tak, oczywiście, powiem wam prawdę.

- To dobrze - stwierdził Abbot. - Widziałeś, że ten wstrętny facet zrobił miazgę z pomarańczy, ale nawet sobie nie wyobrażasz, co zrobiłby z twoimi jajami. Cholera, ale gorące

- dodał, dotykając klamer.

Abbot otworzył składany nóż i zrobił krok w kierunku Callo, który na widok ostrza zaczął krzyżeć. Tymczasem mężczyzna rozciął mu spodni.

- Ta woda jest zimniejsza, niż myślałem - zaśmiał się Abbot.

Callo jęknął, czując, że Abbot przypina mu klamerki do jąder.

Teraz podszedł Sykes.

- Widzisz, Saul, my tutaj jesteśmy biedni i nie stać nas na kupno wariografu, ale jak widzisz, improwizujemy. Pewnie, że nie jest to żadna najnowsza zdobycz techniki, ale działa równie skutecznie. A nawet lepiej - wskazał na krocze Callo.

- Czy życzyłbyś sobie, aby ci bardziej szczegółowo zademonstrować, jak to działa?

- Nie, nie, nie - powiedział Callo, potrząsając głową najmocniej, jak mógł.

- Dobrze - ciągnął Sykes. - Jak widzę, jesteś przekonany o skuteczności naszych metod, a więc od razu możemy przejść do etapu pytań i odpowiedzi. Zaczniemy od łatwych. Chciałbym, żebyś powiedział mi, jak ci się ostatnio wiedzie. Jak biznes?

Na twarzy Callo odmalowało się zdziwienie.

- Biznes?

- Tak - odparł Sykes. - Biznes. No, wiesz, ten brylantowy. Jak tam? Dużo zarabiasz?

- Myślę, że można by lepiej.

Sykes roześmiał się.

- Można by lepiej? - popatrzył na Abbota. - Ty słyszysz, co on mówi? Można by lepiej.

Kontynuował przesłuchanie.

- Słyszałem o twojej małej wycieczce do tego baru w Grecji. Szastałeś forszą na lewo i prawo, jak gdyby te banknoty wyszły już z użycia. A willa z widokiem na plażę? Założę się, że czynsz za nią wynosi tyle, ile moje miesięczne zarobki.

- Biznes idzie dobrze - powiedział po chwili Callo.

- No, to już lepiej. Nie bądź taki skromny, dobrze ci się wiedzie. Nie wiem, w jaki sposób to robisz, bo dla mnie nieoszlifowane diamenty wyglądają jak kawałki skały, ale widać ty masz jakieś czarodziejskie oko, nieprawdaż?

- Chyba tak.

- Co ja mówiłem o skromności, Saul?

- Dobra, jestem świetny w tym, co robię.

- No to, kurwa, gadaj tak od razu, ty fiucie - wypalił Abbot.

- Wybacz mojemu przyjacielowi - powiedział Sykes. - Jest wkurwiony, bo ekspres do kawy się zepsuł. Zaproponowałbym ci wodę, ale chyba już masz jej dość.

Callo potrząsnął głową. Od dwóch dni potwornie chciało mu się pić.

- Nie, napiłbym się trochę.

- OK. Odpowiedz na kilka pytań, a każę ci przynieść szklanek wody. No jak, dobrze?

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Opowiedz mi o swoich relacjach z Baraa Ariffem - rozkazał Sykes, wkładając ręce do kieszeni spodni.

- Co mam powiedzieć?

- Opowiedz mi o sobie i o nim. I nie zapominaj o wykrywaczu kłamstw.

Nieustanny ból, jaki powodowały elektrody przypięte do krocza, z pewnością nie pozwalał o tym zapomnieć.

- Sprzedaję jego diamenty.

Sykes przechylił głowę na bok.

- Chcesz powiedzieć, że pomagasz mu je upłynnić?

- Tak.

- Diamenty, które on dostaje jako zapłatę za broń sprzedawaną w Afryce.

- Nie wiem, skąd pochodzą. Ja tylko...

- Jesteś sprytny, Saul, zastanów się jeszcze.

Blout stał, cały czas trzymając palec tuż obok włącznika generatora, a teraz przesunął go jeszcze bliżej.

- OK - wybuchnął Callo. - Chyba dostaje je w zamian za broń.

Sykes podszedł bliżej.

- A czym jeszcze może obracać handlarz bronią, aby płacono mu diamentami?

- Nie wiem.

- Tak więc zgadzamy się co do tego, że te diamenty to zapłata za sprzedawaną w Afryce broń.

- Skoro tak mówisz.

- Ja chcę, żebyś ty to powiedział.

Abbot zjadł trochę pomarańczowego miększu.

- Pomarańcze na gorąco nie są złe. Chcesz troszkę, Saul? - spytał. Sok spływał mu po brodzie.

Callo pokręcił głową, ale Abbot i tak rzucił w niego kawałkiem, trafiając w policzek.

- Czekam - powiedział Sykes.

- Płacę mu diamentami za broń.

- Widzisz? To nie było takie trudne - zauważył Sykes.

- Wiem, boisz się, że Ariff może się dowiedzieć o twojej zdradzie, ale to będzie problem, jeśli kiedykolwiek opuścisz to miejsce. Zrozumiałeś? A więc niech szybkie odpowiadanie na moje pytanie będzie twoim priorytetem - oczy Sykesa zwięzły się. - Ustaliliśmy więc, że sprzedawałeś diamenty, które Ariff otrzymywał w zamian za dostawy broni, a więc czerpałeś korzyści z nielegalnego handlu bronią.

- Ale ja nic nie wiedziałem.

- Nie powiedziałbym tego, ale twoje poczynania nas teraz nie interesują. Ważne jest, że kogoś znasz. Z przykrością muszę cię poinformować, że nie jesteś bardzo ważną osobistością. Czy ktoś w ogóle wie, że zniknąłeś?

Callo odwrócił wzrok.

- No więc - kontynuował Sykes - wracajmy do Ariffa. Co jeszcze o nim wiesz?

- Nie jestem pewien.

- Jak to? Nie jesteś pewien tego, co wiesz? - spytał ze złością Abbot. - Co za bzdura?!

Jego twarz poczerwieniała. Patrzył na Sykesa.

- Natychmiast powinniśmy ugotować mu jaja. Zaraz nabierze pewności.

- Nie, nie - zaczął prosić Callo. - Powiem wam wszystko, co wiem.

- Gdzie jest Ariff? - zapytał Sykes.

- Nie mam pojęcia. Skąd miałbym wiedzieć?

Abbot walnął Callo w twarz.

- Bo tydzień temu widziano cię w Antwerpii. Sprzedawałeś dużo diamentów.

- Które dostałeś od Ariffa - dorzucił Sykes. - Tak więc wiemy, że niedawno się z nim widziałeś. Czy naprawdę jesteś tak głupi i nie rozumiesz, że na niektóre zadawane ci pytania znamy już odpowiedź? Jeśli skłamiesz jeszcze raz albo udzielisz wymijającej odpowiedzi, to włączymy nasz wykrywacz i pójdziemy przynieść ci wody. Zajmie nam to minimum dwie minuty. Pomyśl, jak po tym czasie będą wyglądały twoje jądra.

Łzy spływały Callo po policzkach, ale cały czas mrugał oczami, starając się coś widzieć.

- Ariff mieszka teraz w Libanie. Ma dom w Bejrucie.

- Gdzie dokładnie? - zapytał Sykes.

- Nie znam szczegółów. Nigdy tam nie byłem. Ostatni raz spotkałem się z Ariffem w Istambule. Mówił, że z jego nowego domu roztacza się piękny widok na położony w dole Bejrut, a więc to musi być gdzieś na wzgórzach. Prawdopodobnie w górach Liban.

Sykes pokiwał głową z zadowoleniem.

- To całkiem dobre rozumowanie, Saul. Jestem pod wrażeniem. No i teraz tak:

sprzedaleś diamenty, masz jego gotówkę, a my wiemy, że Ariff nie lubi banków. W jaki sposób zamierzasz doręczyć mu forszę?

- Ja...

Sykes dał znak Bloutowi:

- Włączaj.

- Nie! - wrzasnął Callo.

- No to powiedz mi, jak i gdzie.

- Kazał mi przywieźć pieniądze na Białoruś i dać je jednemu z jego ludzi.

- To ogromny kraj. Dokładniej - wypalił Abbot.

- Mińsk.

- Z kim masz się spotkać?

- Z jego prawą ręką, Yamoutem.

- A co on robi w Mińsku?

- Ma tam załatwić pewną transakcję.

- To Ariff nie przyjedzie? - zapytał Sykes.

- Nie lubi wyjeżdżać poza Bliski Wschód.

- Kiedy masz się spotkać z Yamoutem?

- Za trzy dni.

- Grzeczny chłopiec - stwierdził Sykes z uśmiechem. - Świetnie się spisujesz. Trzymaj tak dalej, a znów ujrzysz słońce.

Sykes przepytывał Callo jeszcze przez godzinę, a potem przyniósł mu obiecaną wodę. Procter ucieszył się z tych informacji. Lepiej nie mogło być. Kiedy tylko przejrzał dokumentację na temat Callo, stało się dla niego jasne, że nie będzie problemu z zachęceniem handlarza do mówienia, czy też zmuszeniem, jak to nazywano w CIA. Sykes dużo czytał na temat tortur i dozwolonych technik prowadzenia przesłuchań i wiedział, co wolno mu robić, a czego nie. Przypiekanie jąder było z pewnością ostatecznością.

Scenografia, jaką Sykes przygotował dla Callo, była doskonała. Znalazł opuszczony bunkier z czasów drugiej wojny światowej, służący CIA za kryjówkę. Callo nie domyślał się nawet, że to jeden z tutejszych mieszkańców, dobrze opłacony, odgrywał rolę więźnia, a śledczy dodali do tego trochę krzyków i błysków latarki, zaś swąd spalonego mięsa uzyskano przypalając na grillu kilka wieprzowych kotletów. Generator był prawdziwy, tak samo pomarańcze, ale Sykes nie miał zamiaru go używać. Chciał tylko, aby Callo był przekonany, że to zrobi.

Rozkazy, jakie otrzymał Sykes były bardzo jasne: Callo nie mógł ponieść

najmniejszego uszczerbku na zdrowiu, aczkolwiek na tak dobre traktowanie wcale nie zasługiwał. Jednak w sumie to dobrze, bo Sykes nie mógł znieść widoku tortur. Natomiast trzeba było porządnie nastraszyć Callo; mógł też walnąć go od czasu do czasu, ale tak, by nie pozostawić śladów.

Callo był kryminalistą, który zrobił karierę w świecie przestępczym, ustawiał transakcje, handlował, pośredniczył, maczał palce w mnóstwie nielegalnych interesów i chociaż nigdy nikogo osobiście nie zabił, to jednak tego typu „rozrywki” jakie zafundowano mu dzisiaj, jak najbardziej mu się należały. A Sykes ze zdziwieniem przekonał się, że widok Callo błagającego i wijącego się u jego stóp sprawił mu mnóstwo przyjemności.



# ROZDZIAŁ 11

BERLIN, NIEMCY

ŚRODA 15:30 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Pierwszy ochroniarz z obstawy Farkasa przyjechał sam. Wiktor spostrzegł go, gdy tylko ten wyłonił się z tłumu przechodniów; szedł z jakąś arogancją, oczekując, że inni zejda mu z drogi. Miał około trzydziestu lat, jasną cerę, włosy ciemne, dłuższe, sięgające za uszy, fatalnie leżący garnitur i rozmawiał, a właściwie krzyczał coś po węgiersku do telefonu, chyba do żony lub do dziewczyny. Ochroniarz wszedł po schodach do apartamentowca; zatrzymał się tylko na chwilę przed wejściem, aby dokończyć rozmowę telefoniczną.

Kiedy szukał kluczy, trzymał komórkę między ramieniem a policzkiem. Wiktor, siedzący przy stoliku na zewnątrz baru i popijający sok pomarańczowy, nie mógł dostrzec, czy jest uzbrojony. W swoim notesie zapisał cyfrę jeden, a obok opis zewnętrznych cech przybysza i taktyczne ostrzeżenie: zero.

Następne notatki miał okazję zrobić dopiero po godzinie. Ochroniarz wyszedł z apartamentowca. Znowu rozmawiał przez telefon. Przeszedł przez ulicę i kierował się w stronę Wiktora, który wypił łyk soku pomarańczowego, poczekał, aż Węgier oddali się od niego o co najmniej dziesięć metrów i zrobił dopisek w swoim notesie: „nieuzbrojony”.

Czterdzieści minut później mężczyzna pojawił się znowu, tym razem objuczony zakupami i tacą z pięcioma kubkami kawy. „Zaopatrzenie, przygotowania do przyjazdu szefa” - w zeszyciku Wiktora pojawiła się kolejna uwaga. Tymczasem Węgier wszedł do budynku.

Sądząc po liczbie kaw, Farkas miał wkrótce przyjechać, więc Wiktor dopił sok i wstał. Wyjął spod stolika skórzaną torbę i przerzucił ją przez lewe ramię. Szedł wolno ulicą, zwykłym krokiem, jak miejscowy, który dobrze wie, dokąd zmierza. Przez pięć minut oglądał wystawy, po czym przeszedł przez ulicę i skierował się do apartamentowca. Wyjął telefon i udawał, że z kimś rozmawia, nawet w sposób dość ożywiony.

Ta fikcyjna rozmowa pozwoliła mu obejrzeć chodnik przed budynkiem. Wiktor stał kilka metrów od frontowych schodów. Gdy Farkas przyjedzie, spróbuje się jeszcze trochę zbliżyć, ale nie na tyle, aby poczuć zapach wody kolońskiej mafiosa - bądź jej brak.

Nie musiał czekać długo. Przed domem zatrzymał się czarny mercedes sedan, z którego wysiadł Farkas. Jeden z jego ludzi usłużnie otworzył mu drzwiczki. Mężczyzna wyglądał na zdrowego i wysportowanego - wzrost metr osiemdziesiąt i dziewięćdziesiąt kilogramów wagi. W dossier, które otrzymał Wiktor, było napisane, że jest nieco wyższy i cięższy. Nie była to ważna pomyłka, absolutnie nie miała wpływu na wykonanie zadania, ale wystawiała złe świadectwo temu, kto zbierał informacje. W przeciwieństwie do reszty swoich ludzi, Farkas był opalony - być może był to efekt stosowania samoopalacza lub opalenizna z solarium. Miał na sobie drogie ubranie: czarny garnitur, czerwoną koszulę i taki sam krawat. Bardzo stylowy zestaw, w którym jedyny zgrzyt stanowił zawieszony na szyi i wyłożony na koszulę złoty łańcuch.

Wiktor nadal udawał, że rozmawia przez telefon, i tylko jeden z ludzi Farkasa zwrócił na niego uwagę. Było ich trzech, jeden mógł mieć ze czterdzieści parę lat, dwaj - po trzydzieści kilka. Każdy niósł teczkę, wszyscy byli ubrani w garnitury i uzbrojeni, o czym świadczył sposób, w jaki marynarki układały się na ich ciałach. Czujni, choć zrelaksowani. Wiktor nie zauważył żadnych oznak tego, by którykolwiek z nich przeszedł specjalistyczne szkolenie wojskowe.

Zaraz pojawił się też mężczyzna, który przyjechał pierwszy. Zbiegł po schodach, zaczesując ręką włosy za uszy. Prawdopodobnie przeproszał właśnie za spóźnienie i informował, że na górze apartament czeka na gości. Farkas popatrzył na niego z pogardą, ale nic nie powiedział. Wraz z ludźmi powoli wszedł do budynku.

Wiktor odczekał jeszcze minutę, skończył fikcyjną rozmowę i oddalił się. Udał się do sklepu na sąsiedniej ulicy by kupić nowe ubranie, przebrał się w przymierzalni i wyszedł, niosąc swoje stare rzeczy w torbie. Usiadł w kawiarni przy stoliku na zewnątrz i zamówił cappuccino oraz sałatkę z kurczakiem. Z miejsca, w którym się teraz znajdował, miał lepszy widok na ulicę niż z baru, łatwiej też było obserwować apartamentowiec.

Popołudnie było słoneczne, toteż ciemne okulary nikogo nie dziwiły; było też na tyle ciepło, że Wiktor zdjął kurtkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła. Zajął się jedzeniem; w kawiarni były gazety, więc wziął jedną i zaczął się w nią wpatrywać udając, że czyta. Miał nadzieję, że nie będzie musiał tu siedzieć godzinami; Farkas nie wyglądał na człowieka, który usiedzi zbyt długo w domu pierwszego dnia pobytu w nowym miejscu. Wyjdzie, bo albo będzie musiał pozalać jakieś interesy, albo też prędzej czy później - a raczej prędzej - poczuje głód.

Oczekiwanie skończyło się akurat wtedy, gdy dopijał drugą kawę. Zaraz po piętnastej pojawił się obiekt w asyście całej czwórki swoich goryli. Śmiali się i żartowali, także Farkas,

choć nie była to entuzjastyczna wesołość. „Przyjacielsko, ale nie jak przyjaciele” - zanotował Wiktor. Obserwował ich, gdy go mijali, i usłyszał, jak jeden z nich mówi coś o restauracji.

Zaczekał, aż znikną mu z oczu, wstał i szybko poszedł do apartamentowca. Frontowe drzwi otworzył jednym z dorobionych kluczy, po czym wjechał windą na górę. Przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami, aby upewnić się, że w środku nikogo nie ma. Wziął broń, która choć nie robiła dużo hałasu, nie należała też do cichych.

Ta, którą dostarczył Georg, wyglądała na często używaną przez ostatnie kilka lat, ale działała perfekcyjnie. Wiktor wyciągnął pistolet z plecaka, włożył długi wytrych do zamka penthouse'u i przekręcił. W ciągu sekundy zamek był otwarty.

Wszedł do środka. Rozległ się sygnał alarmu. Wiktor podszedł do panelu i nacisnął po kolei: jeden, pięć, osiem, dwa. Nie poskutkowało, wobec tego spróbował innej kombinacji: dwa, pięć, osiem i jeden. Alarm zamilkł.

W salonie widać było, że Węgrzy już się zadowili. W powietrzu unosił się papierosowy dym, na podłodze obok kanapy stały kubki, a na niskim stoliku leżały jakieś torby. Wiktor rozejrzał się, szukając czegoś, co pomogłoby mu w wykonaniu zadania, ale szybko doszedł do wniosku, że niczego takiego tu nie znajdzie.

Od chwili przyjazdu do Berlina zastanawiał się, gdzie ukryć bombę. Musiało to być takie miejsce, w którym na pewno zostanie zdetonowana, a na dodatek właśnie przez Farkasa. Fakt, że mieszkało z nim jeszcze czterech ludzi, nie ułatwiał zadania.

Im więcej myślał na ten temat, tym bardziej mu się wydawało, że najlepszym rozwiązaniem jest zdalnie sterowany detonator. Wówczas ładunek można by umieścić gdzieś na ulicy, na przykład pod samochodem, i zdetonować, gdy Farkas będzie przechodził obok. Istniało jednak ryzyko, że samochód odjedzie, zanim pojawi się cel. A poza tym mogłyby zginąć osoby postronne.

Wobec tego bombę trzeba będzie ukryć tu, w apartamencie. Na przykład pod łóżkiem mafiosa, aby wybuchła wtedy, gdy się położy. Kiedy agentka pokazywała Wiktorowi mieszkanie, wyrztał przez każde okno, by zobaczyć, jakie budynki znajdują się naprzeciwko sypialni Farkasa. Był tylko jeden, ale można przecież zaciągnąć rolety.

Podobał mu się pomysł umieszczenia ładunku pod materacem - czujnik zareagowałby na nacisk ciała. Kłopot polegał jednak na tym, że łóżko było bardzo obszerne; nie wiadomo, po której jego stronie Farkas będzie spać. Czujnik musiałby zostać tak ustawiony, by zareagować tylko na odpowiedni ciężar. Bomba nie może wybuchnąć, gdy ktoś położy na łóżku na przykład walizkę.

Nagle usłyszał trzask przekręcanego w zamku klucza. Błyskawicznie podszedł do

drzwi sypialni i popchnął je, aby się zamknęły. Ktoś wszedł do apartamentu, sądząc po krokach - jedna osoba. Któryś z ludzi Farkasa. Jeżeli byłby to on sam, zapewne towarzyszyłoby mu ochroniarze.

Czy ten, kto wszedł, zauważył, że alarm jest wyłączony? Jeśli tak, to wszystko mogło się zdarzyć. Wiktor usłyszał, że mężczyzna wszedł do salonu, potem kroki zaczęły się zbliżać do sypialni. Może wrócił, bo czegoś nie wziął? A może dlatego, że Farkas czegoś zapomniał? Nagle Wiktor spostrzegł cienki, oprawiony w skórę notes leżący na stoliku koło łóżka.

Schylił się, aby zobaczyć, czy uda mu się wślizgnąć pod łóżko. Nic z tego, pomiędzy meblem a podłogą było tylko kilka centymetrów. No, to może szafa? Pełna garniturów i walizek. Do pokoju przylegała jeszcze łazienka, doskonale miejsce na ukrycie się, o ile przybysz nie zechce skontrolować w lustrze swojego wyglądu. Jeśli by się tak stało, Wiktor miałby tylko jedno wyjście, ale nie mógłby wtedy wykonać zadania.

Kroki zbliżały się stopniowo. Wiktor po raz ostatni rozejrzał się po pomieszczeniu w nadziei, że przeoczył jakiś schowek. Tak. Przeoczył.

Do środka wszedł Węgier z dłuższymi włosami. Ta sypialnia była o wiele ładniejsza i większa niż jego, którą zresztą dzielił z dwoma kolegami. I ładniej tu pachniało. Od razu zobaczył notes. Wsunął go do kieszeni marynarki.

Już miał wyjść, ale z ciekawości otworzył jeszcze drzwi do przylegającej łazienki. Ona także przedstawiała się dużo lepiej niż jego, w której we czterech walczyli o miejsce na swoje przybory toaletowe. W dodatku ich ubikacja już była brudna i obsikana. Węgier obejrzał drogie butelki, które Farkas poustawiał na umywalce; jego uwagę przykuła tubka z kremem. Odkręcił zakrętkę, powąchał, wycisnął odrobinę i wtarł w dłonie. Skóra natychmiast zrobiła się miękka. Odstawił krem dokładnie w to samo miejsce. Na ogół Farkas był dobrym szefem, ale bardzo dbał o przestrzeganie hierarchii.

Węgier wyszedł z łazienki, ustawił alarm i opuścił mieszkanie. Nie zwrócił uwagi na to, że nie musiał wyłączyć alarmu po wejściu.

\* \* \*

Wiktor czekał, aż usłyszał trzaśnięcie drzwi, i jeszcze przez około minutę pozostał nieruchomy. Wreszcie odsunął zasłonę i zeskoczył z parapetu, na którym balansował z plecami przyciśniętymi do szyby i rękami opartymi o boczną ścianę. Parapet nie był wystarczająco szeroki, ale Węgier nie spostrzegł, że zasłona nie wisi tak prosto, jak powinna.

Kiedy tylko stopy Wiktora dotknęły dywanu, włączył się alarm. Pędem rzucił się do przedpokoju i nacisnął odpowiednie cyfry na panelu.

Wróciwszy do sypialni, wyjął z szafy swoją torbę, którą wepchnął za walizki mafiosa,

postawił ją na łóżku i wyjął bombę. Teraz był już pewien swojej decyzji. Zainstalowanie ładunku zajęło mu niecałe dziesięć minut. Po chwili był na ulicy, nie zapomniał oczywiście przed wyjściem o włączeniu alarmu. Jego praca była skończona.

Teraz wszystko zależało tylko od Farkasa.

## ROZDZIAŁ 12

22:42 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Adorjan Farkas był pijany. Zanim zjadł stek, wypił parę piw, a potem jeszcze kilka kufli i jakieś koktajle. Jego ludziom udało się go namówić na wyjście do baru, a kiedy pięciu Węgrów pije, skutki są na ogół oplakane. Farkas nierzadko bywał pijany, ale jeszcze nigdy aż tak. Za granicą, gdzie nikt go nie znał i nie wiedział, w jaki sposób zarabia, czuł się swobodniej niż u siebie w kraju, ale teraz przyjechał do Niemiec w interesach, więc musiał się kontrolować.

Jego ludzie zupełnie nie mieli hamulców. Najpierw niezliczone ilości kufli piwa do posiłku, a potem jeszcze mocniejsze trunki w barze. Oczywiście zachowywali się jak należy, co Farkas lubił, ale było miło widzieć ich rozbawionych. Zresztą sam ich do tego zachęcał, bo w takich sytuacjach zacieśniają się więzi między ludźmi. Dostatecznie długo stał na szczycie węgierskich struktur mafijnych, aby mieć świadomość, że utrzymywał tę pozycję jedynie dzięki swoim ludziom.

Potrzebowali go, bo im płacił, a on ich, aby przekazywali jego rozkazy i chronili go przed niebezpieczeństwami, jakie niesie nielegalny handel. Farkas wiedział, że bez nich nic nie znaczy.

Wyzaczył jednak między sobą a pracownikami granicę, której nie wolno przekroczyć. Jego ludzie powinni go lubić i szanować, z jego strony odczuwać to samo, ale o przyjaźni nie mogło być mowy. Czasami zdarzało się, że któryś z nich - umyślnie lub nie - stwarzał problemy i wtedy torturowanie, a następnie zabicie go było dla Farkasa bardzo trudne.

Ponieważ nie miał wokół siebie przyjaciół, nie czuł wyrzutów sumienia z powodu tego, czym się zajmował.

Teraz wszyscy szli w stronę apartamentowca, Farkas na końcu. Jego ludzie głośno żartowali, ale on milczał. Ilość alkoholu, jaka krążyła w ich organizmach, zabiłaby byka, ale Farkas wiedział, że ich umysły wciąż pracują sprawnie. W tej branży jeśli mężczyzna chciał osiągnąć sukces, musiał mieć mocną głowę. Niektórzy z jego ludzi zapewne spędzą część niedzieli łykając aspirynę, ale w poniedziałek będą zdolni do pracy.

Właśnie w poniedziałek Farkas umówił się na spotkanie z potencjalnymi wielkimi dostawcami. Stale poszukiwał sposobów na rozbudowę swojego imperium i cieszył się z rysujących się perspektyw. Dostawcy mieli doskonałe rekomendacje i jeśli wszystko dobrze pójdzie, to będzie mógł rozszerzyć swoją ofertę handlową. Farkas sprzedawał przede wszystkim tanie kałasznikowy egipskiemu dealerowi, który później rozprowadzał je na całym Bliskim Wschodzie i w Afryce.

Interes przynosił przyzwoity dochód, ryzyko było minimalne, ale Farkas wiedział, że gdyby tylko mógł dostać nowocześniejszą broń zachodniej produkcji, kupcy pozabijaliby się, byle tylko dostać towar od niego. I nie musiałyby zawracać sobie głowy tym egipskim sukinsynem, który, z czego Farkas doskonale zdawał sobie sprawę, zdzierał z niego skórę. Mógłby wtedy robić interesy bezpośrednio z drobniejszymi handlarzami. Jednym słowem pozbyłby się pośrednika, a tym samym znacznie zwiększył swoje zyski.

Jeżeli będzie miał szczęście, to ci niemieccy dostawcy pomogą mu osiągnąć cel. Marzyła mu się broń produkcji Heckler & Koch: MP5, G36, UMP itd. Rynek czekał, Farkas musiał tylko dostać te cacka w swoje ręce. Jemu też przydałby się nowy pistolet. Coś porządnego, czego inni mafijni bossowie nie mieli.

Gdy znaleźli się w apartamencie, ochroniarze zaczęli przetrząsać kuchnię w poszukiwaniu czegoś do picia lub jedzenia. Farkasowi podobało się, że jego ludzie to taka banda padlinożerców, niby najedzona i napita, ale zawsze gotowa pochłonąć to, co się nawinie. Wiedział, że rano nie obędzie się bez bólu brzucha i głowy. Jeden z jego ludzi chwycił pilota do telewizora i zaczął skakać po kanałach, chcąc znaleźć jakieś porno, i Farkas już wiedział, że szykuje się noc, podczas której na ekranie będą królować same genitalia.

Farkas machnął ręką na dobranoc i poszedł do sypialni - co wywołało gwizdy. Zapalił światło i się rozebrał. Rzucił brudne rzeczy w kąt i otworzył walizkę, z której wyciągnął piżamę.

W łazience umył zęby i twarz, po czym wrócił do sypialni. Zgasił górne światło, położył się do łóżka razem z książką, którą zabrał w podróż, i zapalił nocną lampkę.

Przeczytał parę stron, ale zmęczenie wzięło górę, zresztą thriller nie był wciągający - przegadany. Zagiął róg kartki i odłożył książkę. Zgasił lampkę.

Przez kilka chwil leżał w ciemnościach, po czym znowu zapalił światło i wstał. Musiał pójść do łazienki. Po wszystkim pociągnął za spłuczkę. Nic. Popsuta.

Pociągnął ponownie, mocniej. W rezerwuarze podniosła się zastawka wstrzymująca dopływ wody i poruszyła drut przyczepiony do czubka dźwigni detonatora przyklejonego do pokrywy zbiornika. Detonator wybuchł, zapalając główny ładunek umieszczony w pustym

rezerwuarze. Fala uderzeniowa rozeszła się z szybkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na sekundę, niszcząc toaletę i wszystko, co znajdowało się w łazience. Drzwi wyleciały z zawiasów, przeleciały przez cały pokój i uderzyły w przeciwną ścianę, a fragmenty ciała Farkasa znalazły się nawet na suficie.



## ROZDZIAŁ 13

LINZ, AUSTRIA

PONIEDZIAŁEK 15:54 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor obudził się na twardym hotelowym łóżku o wiele za wcześnie. Z korytarza dochodziły odgłosy zabawy: wrzaski, biegania, śmiechy i uderzenia w różne przedmioty. Zupełnie jakby rodzice usiłowali uciszyć i poskromić swoje rozwydrzone dzieci, a jedynym na to sposobem było przekrzyczenie ich. Takie to problemy dręczą tych, którzy mają kłopoty ze snem i na ogół śpią wtedy, gdy inni się budzą. Zwłaszcza że ostatnio ludzie coraz mniej przejmują się bliźnimi.

Wiktor nie miał wyznaczonych stałych godzin odpoczynku, więc musiał przywyknąć do takich utrudnień. Spał wtedy, gdy mógł, i tak długo, jak pozwalały mu okoliczności. Niedobór snu zawsze mógł kiedyś nadrobić. Działanie na tyłach wroga nauczyło go, jak ważne jest wykorzystywanie każdej chwili na odpoczynek, bez względu na otoczenie. Wciąż trzymał się tej zasady, gdyż dawno by nie żył, gdyby warunkiem utrzymania się w szczytowej formie byłoby dla niego osiem godzin nieprzerwanego snu w wygodnym łóżku.

Aby szybko zasnąć, stosował kontrolowane oddychanie, co było jedną z najważniejszych umiejętności, jakie posiadał, ale tym razem nawet to nie działało. Po kilku minutach poddał się. Jego technika przegrała z dwójką wrzeszczących dzieci i krzyczących na nich rodziców. Pomogłyby zatyczki do uszu, ale wówczas nie usłyszałby, gdyby ktoś włamał się do jego pokoju. Przedwczesna pobudka i tak była lepsza od nieobudzenia się w ogóle.

W końcu wstał i poszedł do łazienki. Spał, jak zawsze, w ubraniu. Wróciwszy do pokoju, rozebrał się i rozpoczął swoje rutynowe intensywne ćwiczenia, polegające na rozciąganiu się oraz podnoszeniu ciężarków. Potem wziął kąpiel, choć bardzo kusił go prysznic. Rozsądek jednak zwyciężył - z głową pod prysznicem nie byłby w stanie usłyszeć ewentualnego przeciwnika. Bezpiecznie czuł się jedynie we własnym domu i tylko tam pozwalał sobie na taki luksus jak prysznic.

Zanurzył się w wannie pełnej wody. Była taka, jak lubił. Zsunął się niżej, tak że z wody wystawały mu tylko głowa i kolana. Pozwolił sobie na pół godziny przyjemności, co z taktycznego punktu widzenia nie należało do najmądrzejszych posunięć, ale kąpiel była taka

relaksująca. Ostatni tydzień miał bardzo pracowity. Zrealizował dwa kontrakty, a do tego jeszcze ta strzelanina. A ludzie pracujący od dziewiątej do siedemnastej skarżą się, że harują.

Wiedział, że nie ma na co narzekać. Nikt go nie zmuszał do zabijania. Nie lubił myśleć o przeszłości, ale prawda wyglądała tak, że celowo zrobił wszystko, aby zostać tym, kim był, nawet jeśli czasami nie miał pojęcia, dokąd go to zaprowadzi.

Przymknął oczy i zanurzył głowę, ale na ten komfort pozwalał sobie tylko przez trzydzieści sekund. Pamiętał, co mu kiedyś powiedział przyjaciel (a były to czasy, gdy jeszcze miał przyjaciół): „Jeżeli czegoś nie lubisz, to tego nie rób”. Niby proste, ale jakże prawdziwe. Wiktor był dobry w swoim fachu od początku - od pierwszego celu, jakim był lis, po zabójstwo Farkasa. Wiedział, że wykonywanie tego zawodu będzie o wiele łatwiejsze, jeśli go polubi, i choć niezupełnie tak to wyglądało w jego przypadku, nie mógł przecież powiedzieć, że nie lubi swojej pracy, a fakt, że ci, których zabijał, byli nawet gorsi niż on sam, działał na niego pokrzepiająco.

Po dwudziestu trzech sekundach wynurzył głowę. Odprężający efekt kąpieli przysł. Teraz czuł się podenerwowany i niespokojny z powodu swoich rozmyślań. Wyszedł z wanny, rozchlapując wodę na podłogę, po czym włożył nowe ubranie, które kupił na lotnisku. Stare wyrzucił.

\* \* \*

Poszedł do restauracji, usiadł przy stoliku w rogu i zamówił pożywne, wysokoproteinowe danie z pstrąga i makaronu. Jedzenie było dobre, ale dla Wiktora bardziej liczyła się wartość odżywcza. Kelner, zapewne jego rówieśnik, wyglądał na zmęczonego i starszego niż w rzeczywistości. Wiktor zostawił mu sowity napiwek.

Teraz miał kilka godzin na zwiedzanie miasta. Wybrał się do Lentos Muzeum, Muzeum Zamkowego oraz do siedemnastowiecznego kościoła pod wezwaniem św. Ignacego ze wspaniałymi, rzeźbionymi stallami dla chóru. O zachodzie słońca zdecydował się na przejażdżkę łodzią po Dunaju. To był wspaniały relaks, dający również możliwość obserwowania, czy nie jest śledzony. Następnie wybrał się do centrum starej części Linzu, na Hauptplatz.

Nawet gdyby nie wiedział, gdzie jest kobieta, której szukał, to powiedziałyby mu to spojrzenia mężczyzn - wszystkie były skierowane w jedną stronę. Tymczasem ona wcale go nie zauważyła, ale kilka innych osób tak. Wiktor wziął ją za rękę, a ona zdziwiona odwróciła ku niemu głowę i jej twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech, po czym zarzuciła mu rękę na szyję.

\* \* \*

W sypialni było ciemno. Wiktor leżał nagi na łóżku, z którego prześcieradła częściowo zsunęły się na podłogę. Naprzeciwko, Adrianna schylona zbierała swoje ubranie. Napawał oczy widokiem jej długich, gładkich nóg i wąskiego białego paseczka na brązowych pośladkach, świadczącego, że opalała się w stringach.

Adrianna była oszałamiająca - piękna twarz, wspaniałe ciało. Była Szwajcarką, ale urodziła się w Anglii i mówiła piękną angielszczyzną, niczym arystokratka. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie jest zabójczynią, ani gliną, ani też agentką służb wywiadowczych. Mógł się zrelaksować w jej towarzystwie, co byłoby niemożliwe z jakąś nowo poznaną dziewczyną. Nie ufał nikomu, ale Adrianna była jedną z tych nielicznych osób, którym nie ufał w nieco mniejszym stopniu niż innym.

- Nie powinnaś się tak schylać - powiedział. - Rób to, uginając kolana, to dobre ćwiczenia dla twoich ud.

- Emanuelu, masz głowę napchaną różnymi zbytecznymi informacjami - stwierdziła, patrząc na niego. - Zapal światło, proszę, nic nie widzę.

- Tu jest wystarczająco jasno.

- Może dla ciebie, ale nie dla mnie.

Zapalił drugą lampę. Była tak ustawiona, żeby jej światło nie padało na okno.

- Lepiej?

- Tak, dziękuję.

Znalazła to, czego szukała, i wstała.

- Te żaluzje są zaciągnięte cały dzień, prawda?

Nie odpowiedział.

- No to nic dziwnego, że jesteś taki błądy.

Wiktor chciał się napić szkockiej, ale szklanka była pusta. Nie chciało mu się iść po butelkę. Patrzył, jak Adrianna zapina stanik i układa piersi w miseczkach. Potem wyjęła małą szczotkę z torebki z wężowej skóry i zaczęła czesać włosy. W ciągu niecałych dwóch minut przeistoczyła się z potarganej przez seks kobiety w szykowną bizneswoman. Powiedziała mu, że to sztuka.

Nigdy nie chciała podać mu swojego wieku, a gdy pytał, odpowiadała: „Jestem wystarczająco dorosła”.

Nigdy nie zdradził się z tym, jak wiele ma informacji na jej temat: właśnie skończyła trzydziestkę, studiowała w Cambridge, jest magistrem historii, jej rodzice nie żyją, a brat mieszka w Ameryce. Wiedział też, że martwi się drobnymi zmarszczkami, jakie pojawiły się w kącikach jej oczu, oraz że uważa swoje ramiona za zbyt szerokie. Dla Wiktora była niemal

doskonała, ale nigdy mu nie wierzyła, gdy mówił, że jest piękna.

Miała mieszkania w Genewie i w Londynie. Znał w nich każdy centymetr kwadratowy, chociaż nigdy go tam nie zaprosiła. Nie wiedziała też o podsłuchu, który w nich zainstalował. Spotkali się pierwszy raz w barze w Genewie, potem śledził ją przez tydzień i dopiero do niej zadzwonił. Także później ją obserwował, a i teraz zdarzało się to od czasu do czasu. Jednak nic nie wzbudziło jego podejrzeń ani go nie zaskoczyło. Wobec tego usunął pluskwy. Przecież był dżentelmenem.

Zdecydował, że może jednak poszukać butelki Chivas Regal. Leżała gdzieś na podłodze. Nalał sobie. Właściwie smakowała jak każda szkocka. Często się przekonywał, jak bardzo różne rzeczy są przereklamowane.

Nagle Adrianna roześmiała się.

- Co? - spytał.

- Widzę, że za mną tęskniłeś.

- Dlaczego?

Kobieta podniosła kremową bluzkę i posłała mu chytry uśmiech.

- Jest podarta.

- Wyglądasz lepiej bez niej.

Adrianna zrobiła minę i mruknęła. Włożyła rozdartą bluzkę i zapięła ją. Była zła, bo brakowało trzech górnych guziczków.

- Znajdę je i ci oddam - powiedział, wzruszając ramionami.

- Wyrzuć je. Nic nie będę przyszywać.

- Nie umiesz czy nie chcesz?

- Jedno i drugie.

- Kupię ci taką samą.

- Była z poprzedniego sezonu. Nie dostaniesz już takiej.

Wiktor usiadł i wyprostował się.

- No to muszę ci kupić dwie z tego sezonu, czyż nie?

Rozpromieniła się jak uczennica i kiwnęła głową.

- Co robisz później? A może jak załatwisz swoje sprawy, to przylecisz i pójdziemy wieczorem na kolację? - zapytał.

Adrianna zapięła się i włożyła bluzkę w spódnice.

- Bardzo bym chciała, ale naprawdę nie mogę. Klienci czekają.

- Zbyt ciężko pracujesz.

- Muszę płacić rachunki - usiadła na skraju łóżka i sprawdziła sprężystość materaca. -

Jest jak skała, powinieneś poprosić o lepszy.

- Lubię takie.

- Dziwię się, że możesz na tym spać - włożyła buty i przez chwilę stała w milczeniu, aż wreszcie powiedziała miękko: - Widzę cię pierwszy raz od miesiący. Myślałam, że już nie zadzwonisz.

- Byłem zajęty - odrzekł, nie patrząc na nią.

- Praca? - zapytała, a gdy kiwnął głową, stwierdziła, że zbyt ciężko pracuje.

- Muszę płacić rachunki.

Uśmiechnęła się.

- Zastanawiam się, jaki jest twój zawód - powiedziała.

- Umówiliśmy się, że nie będziemy rozmawiać o pracy. Zapomniałaś?

- Wiem, Emanuela, wiem, ale po prostu jestem ciekawa. Nic więcej. Tak sobie myślę, że może jesteś tajnym agentem czy kimś w tym rodzaju.

- Sądzisz, że jestem szpiegiem?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Śmieszne, prawda? To chyba te twoje blizny nasunęły mi takie myśli.

- Byłem w wojsku - odparł, nie patrząc na dziewczynę.

- Wiem, ale tak jak powiedziałam, tylko próbuję zgadnąć. A tak naprawdę to idę o zakład, że masz jakąś nudną pracę. Jesteś bankierem albo brokerem. O, wiem, jesteś księgowym! Zgadłam?

- Jestem zabójcą na zlecenie.

Adrianna wybuchła śmiechem.

- Doprawdy, gdy chcesz, to potrafisz być zabawny.

- Nic podobnego. Mówię poważnie. Właśnie wysadziłem w powietrze pewnego gangstera, umieszczając bombę w toalecie.

Adrianna śmiała się jeszcze bardziej.

- Przestań, proszę, bo umrę ze śmiechu - powiedziała, przykładając rękę do piersi.

Leżał z rękami założonymi za głowę i patrzył na zaśmiewającą się Adrianę, która w końcu opanowała się i skoncentrowała na jego sylwetce.

- Trochę przybrałeś na wadze, to znaczy jesteś bardziej umięśniony.

Skinął głową. Zawsze przedkładał szybkość nad siłę, ale niedawne bardzo bolesne spotkanie przekonało go, że nieco większe mięśnie są bardzo przydatne.

- Ja też trochę przytyłam - chwyciła dwoma palcami fałdkę na brzuchu. - Ale to sam tłuszcz.

- Za dobrze ci się wiedzie.

Przytaknęła.

- Nie przejmuj się tym - powiedział. - Wyglądasz świetnie, a nawet jeszcze lepiej.

- Kłamca.

- Dlaczego zawsze tak mówisz?

- Bo cię znam - jej ręka powędrowała między jego nogi, a palce delikatnie musnęły jądra. - Tym razem byłeś inny - dodała ciszej.

- Co przez to rozumiesz?

Wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Nie zły - zapewniła. - Nie wiem, po prostu inny.

- Mam mnóstwo spraw na głowie.

- Chcesz o tym pomówić?

- Myślałem, że musisz iść.

- Muszę, ale wiesz, możesz zadzwonić do mnie później, jeśli chcesz.

- Jasne - odparł i pociągnął wielki łyk whisky.

Adrianna klepnęła go po udzie i wzdychając wstała z łóżka. Przed lustrem poprawiła spódnicę i bluzkę.

Podeszła do wezgłowia łóżka, a dywan nie był w stanie stłumić stukotu jej obcasów. Wydeła usta i patrzyła na Wiktora, opierając ręce na biodrach i przechylając głowę to na jedną stronę, to na drugą. Wyglądało to słodko, ale przekaz był jednoznaczny.

- Z boku, pod gazetą - powiedział Wiktor.

Adrianna odwróciła się, podniosła gazetę i wzięła gruby plik banknotów po sto euro. Wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił - żadnych uśmiechów, wydymania ust - czysty biznes. Prawdziwa Adrianna. Szybko przeliczyła banknoty, przerzucając je palcem. Wydawała się zadowolona, ale policzyła jeszcze raz. Zawsze tak robiła, choć jeszcze nigdy nie zapłacił jej mniej, niż wynosiła ustalona stawka. Następnie włożyła pieniądze do torebki.

Uniósł się, podpierając się na łokciu.

Adrianna rozpięła kołnierzyk, prezentując wielki dekolt w szpic i nitki wiszące w miejscach, w których były guziki. Pokiwała głową i znowu wydeła usta.

- Ile? - spytał.

Podniosła dziewięć palców.

Teraz z kolei Wiktor przechylił głowę na bok.

- Powiedziałeś, że kupisz mi dwie - szybko mu przypomniała.

Skinął głową, wyjął portfel z szuflady stolika stojącego przy łóżku i rzucił go

Adriannie, która złapała go jedną ręką. Była sprawna, to mu się podobało.

Otworzyła portfel i szybko odliczyła sobie równowartość dwóch bluzek z kolekcji wielkich domów mody.

- Jesteś słodziutki - powiedziała, posyłając mu całusa.

Wzruszył ramionami, a Adrianna schowała portfel do szuflady i pomachała mu niczym dziecko, które wychodzi z domu. Słyszał stukot jej obcasów na korytarzu. Wstał, zamknął drzwi na klucz, ubrał się, zatknął broń za pasek i położył się na łóżku. Postanowił nieco się przespać.

\* \* \*

Kiedy się obudził, wykapał się, włożył czyste ubranie i usiadł na łóżku z laptopem, by sprawdzić maile. Następnie wybrał odpowiedni numer, aby połączyć się ze swoim bezimiennym pracodawcą.

- Doskonała robota. Mówię o Berlinie - usłyszał.

Wiktor milczał.

- Nie byłem pewien, czy uda ci się tak to załatwić, żeby oprócz głównego celu nikt więcej nie zginął, ale spisałeś się.

- Instrukcje, jakie otrzymałem, mówiły wyraźnie, aby unikać zbędnych ofiar.

- Nie myśl sobie, że nie wiem, jak trudne było to zadanie. Jeszcze raz dziękuję.

Wiktor znowu milczał. Podszedł do okna i ostrożnie jednym palcem odsunął trochę zasłonę. Wyrzwał na ulicę.

- Kolejne dossier nie jest jeszcze gotowe - mówił pracodawca. - Trzeba jeszcze zweryfikować mnóstwo szczegółów. No wiesz, jak to jest. Nie chcę cię wysłać, dopóki wszystko nie jest jasne.

- O tym nawet nie może być mowy.

- Właśnie. Więc czekaj i nieco się zabaw.

- Właśnie to robię.

- To dobrze. Tylko nie szalej zbyt. Gdy przyjdzie czas, musisz być gotów w jednej chwili.

- Zawsze jestem.

- Właśnie o to mi chodzi. A poza tym powinieneś się cieszyć.

- A niby dlaczego?

- Bo jesteś już w pół drogi, chłopie. Połowę już odwałeś, więc jeszcze drugie tyle przed tobą. Potem znowu będziesz wolnym człowiekiem.

- Kiedy może być wszystko gotowe do tego trzeciego kontraktu? - spytał Wiktor.

- Już wkrótce. Niedługo.



## ROZDZIAŁ 14

BEJRUT, LIBAN

WTOREK 13:03 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Dziewczyna, na której leżał Baraa Ariff, była dziewiętnastoletnią Hiszpanką. Miała czarne kręcone włosy sięgające ramion, złotobrazową jedwabistą skórę i smukłe, choć odpowiednio zaokrąglone w różnych miejscach ciało, tak, jak Ariff lubił. Nie była też gadatliwa, co zdaniem egipskiego handlarza bronią stanowiło bardzo ważną zaletę.

Nie cierpiał kobiet usiłujących wciągnąć go w rozmowę albo tak aroganckich, że śmiały zadawać mu pytania. Zdaniem Ariffa niewielu mężczyzn mogło się z nim równać, a jeszcze nigdy żadna kobieta nie wzbudziła w nim szacunku. Służyły bądź do umiłania mu życia, bądź do rodzenia i wychowywania jego dzieci. Zabawka nie zasługuje na to, by się do niej zwracać, a matka powinna wychowywać dzieci, a nie marnować czas na pogaduszki z ich ojcem.

Na szczęście był wystarczająco bogaty, by na ogół nie musieć zawracać sobie głowy płcią przeciwną. Odkąd mieszkał z rodziną, spędzał w towarzystwie żony więcej czasu, niż by tego chciał, ale ona wiedziała, że nie należy się do niego w ogóle zwracać, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Jego córki były zupełnie inne; trzy boskie istoty, które jeszcze nie stały się kobietami. Gdyby tylko było to możliwe, Ariff zatrzymałby czas, aby zawsze takie pozostały.

Dziewczyna jęknęła. Nie mówiła po arabsku, a on nie znał ani słowa po hiszpańsku, a więc problem konwersacji był rozwiązany. Kilka okrzyków, gdy wykorzystywał jej ciało, wystarczyło, i tyle mógł znieść podczas takiej wizyty. Dzisiaj było nawet lepiej, bo gdy położył się na niej, dziewczyna ledwie jęknęła.

W efekcie skończył wcześniej niż zazwyczaj i bardzo się z tego ucieszył. Zdaniem Ariffa im prędzej można było uzyskać jakąś nagrodę, tym lepiej. Zszedł z dziewczyny, na dowód uznania klepnął ją lekko po udzie i poszedł do łazienki wziąć prysznic.

Ciepły strumień wody spływał mu po ciele. Ariff czuł, że seks go zmęczył. Trzymał się w formie, ale lata młodości już dawno minęły. Regularne badania lekarskie nie dawały powodów do niepokoju, jak na sześćdziesiąt osiem lat wszystko było w porządku. Biorąc pod

uwagę wiek, stresy i niebezpieczeństwa, ciśnienie krwi miał dość niskie. Dawno zaakceptował fakt, że prowadzone przez niego interesy są związane z nieuniknionym ryzykiem, i nie zaprzętał sobie tym głowy. Płacił innym, by wykonywali jego polecenia - i to płacił sowicie.

Trzydzieści lat działania w nielegalnym biznesie pozwoliły Ariffowi zgromadzić olbrzymi majątek i stanowił on najlepszą rekompensatę ponoszonego ryzyka. Zresztą interes przejął po ojcu, który, dopóki nie został zabity przez izraelskiego komandosa, przez dziesięć lat przerzucał broń z Egiptu do Strefy Gazy. Ariff był wtedy małym chłopcem, ale śmierć rodzica była dla niego ważną lekcją i sam nigdy nie zajmował się transportem towaru. Umowy zawierał osobiście, ale do przerzutu broni wynajmował ludzi.

Śmierć ojca nauczyła go jeszcze jednej rzeczy: uważać, z kim się robi interesy. Ludzie kupujący broń mają wrogów, a dostarczając towar jednym, narażał się drugim. Ta filozofia kazała mu trzymać się z dala od handlu bronią chemiczną, biologiczną czy jądrową. A poza tym gdyby uczestniczył w takich transakcjach, naraziłby się Zachodowi, a przede wszystkim Stanom Zjednoczonym. Wiedział, że dopóki nie był o to podejrzewany, dopóty mógł się czuć bezpiecznie.

Ariff handlował przede wszystkim bronią palną i innymi „drobiazgami”. Kupował, a następnie sprzedawał broń ręczną, pistolety maszynowe, karabiny szturmowe i maszynowe, wyrzutnie granatów i rakiet. Obrót taką drobnicą sprawiał, że Ariff nie należał do czołówki wielkich handlarzy, ale uważał taką sytuację za korzystniejszą. Znalezienie dostawcy nie stanowiło problemu. Broń była niedroga, a poza tym łatwa do ukrycia i przerzucenia przez granicę, a ze względu na cenę popyt na nią nigdy nie spadał.

Przez niemal dwadzieścia lat Ariff nie zabierał się za żaden większy towar. Dostał naukę dwie dekady temu, gdy nabył w Estonii dwanaście czołgów T-72, pozostawionych tam przez Armię Czerwoną. Pomimo że czołgi były w doskonałym stanie, nikt nie chciał ich kupić. Rządy nie zawracały sobie głowy tak śmieszną ilością, natomiast przeciętny mafioso za cenę jednego czołgu mógł wyposażyć każdego ze swoich ludzi w karabin maszynowy i amunicję. W końcu rząd Estonii odkupił od niego czołgi, płacąc mu sześćdziesiąt procent ceny, którą ustalił. Dla Ariffa była to twarda, ale ważna lekcja.

Na początku prowadził swój biznes nielegalnymi kanałami, ale potem niektóre jego transakcje były po części zgodne z prawem. Otóż broń można kupować od państw-producentów i przewozić zupełnie legalnie, a potem wykorzystywać do swoich celów już poza prawem. Połowa krajów nigdy się nie dowiadywała, że ich broń nie dotarła tam, dokąd powinna, natomiast drugiej połowy wcale to nie obchodziło.

Nawet gdy cała transakcja była nielegalna, Ariff zawsze dążył do tego, żeby jej etapy, w miarę możliwości, odbywały się zgodnie z prawem. W tym celu przekupywał urzędników, którzy wystawiali autentyczne świadectwa przewozowe i certyfikaty użytkownika końcowego, kiedy zaś nie zgadzali się na to, posługiwał się doskonale sfalszowanymi dokumentami. Utrzymywał dobre stosunki z celnikami, urzędnikami na lotniskach i znajomymi w rządzie, od których zależało powodzenie jego biznesu, regularnie wypłacając im określone sumy, niezależnie od tego, czy akurat planował jakiś transport broni, czy nie. Im bardziej ludzie przyzwyczajają się do brania łapówek, tym trudniej jest im z tego zrezygnować. A przekupstwu sprzyjał fakt, że urzędnicy zarabiali miesięcznie o wiele mniej, niż Ariff wydawał na parę butów.

Czasem nawet nie trzeba było dawać żadnej łapówki. Kiedy w grę wchodził duży kontrakt, wielu dostawców umyślnie łamało sankcje i embarga, aby Ariff mógł dostarczyć swoją broń bezpośrednio do ogarniętej wojną strefy i zmaksymalizować zyski.

Jeśli Ariff nie działał akurat pod flagą jakiegoś kraju, szmuglował towar na rozmaite sposoby, czy to łądem, czy też drogą morską lub powietrzną. Do ulubionych jego metod należało transportowanie broni pod przykrywką pomocy humanitarnej. Gdy Czerwony Krzyż wysyłał samolot pełen zboża na przykład do Demokratycznej Republiki Konga, to podczas międzylądowania w Egipcie w celu uzupełnienia paliwa jedną trzecią wyładowywano, a miejsce zboża zajmowała broń.

Niektórzy handlarze byli wręcz bezwstydni i jawnie wykorzystywali wszelkie luki prawne w międzynarodowym obrocie bronią. A było ich tyle, że umożliwiały prowadzenie interesu na szeroką skalę, a tym samym zarabianie mnóstwa pieniędzy. Ariff jednak nie pozwalał, aby chciwość pchnęła go do wyjścia z cienia. Przez czterdzieści lat nikomu, kto działał bardziej otwarcie, nie udało się przeżyć lub uniknąć więzienia. A on pozostawał na wolności.

Gdy Ariff wyszedł z łazienki, zobaczył, że jego Hiszpanka siedzi na kanapie. Miała na sobie tylko czerwony jedwabny szlafrok. Sposób, w jaki materiał podkreślał wszystkie wypukłości jej ciała, może sprawiłby, że Ariff pozostałby dłużej, ale zauważył Libańczyka olbrzymiej postury siedzącego naprzeciwko dziewczyny.

Gabir Yamout rozparł się na krześle, które teraz wydawało się dziecinny mebelkiem. Libańczyk był niewysoki, ale bardzo szeroki. Miał niewyraźną minę, bynajmniej nie z powodu niewygodnego siedzenia.

- Nie podobało ci się widowisko, Gabirze? - zapytał Ariff z uśmiechem.

Yamout nic nie odpowiedział, tylko siedział z ponurą miną. Ariff podszedł do

wiszącego na ścianie lustro oprawionego w rzeźbioną ramę. Strzepnął rękawy marynarki i odwrócił się. Sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną chusteczkę do nosa, dał ją dziewczynie i zrobił ręką ruch nakazujący jej wyjść. Hiszpanka szybko zniknęła w sypialni, zamykając drzwi.

W chusteczce, którą dostała, były maleńkie brylanciki; starczyłoby ich na ładny pierścionek lub naszyjnik. Zdarzało się, że członkowie rządów różnych afrykańskich państw lub tamtejsi watażkowie wojskowi płacili Ariffowi kamieniami szlachetnymi, które potem jego jubiler sprzedawał w Antwerpii albo w Tel Awiwie.

- Jeden z naszych dostawców nie żyje - oznajmił Yamout. - Ten Węgier, Farkas. Został zabity w ubiegłym tygodniu.

- A co to mnie obchodzi?

- Powinno, gdyż jego kumple sądzą, że to my go zabiliśmy, ponieważ Farkas chciał robić interesy, pomijając nas. Chodzą słuchy, że zabiliśmy go z zemsty.

Ariff wybuchnął śmiechem.

- Niech próbują się mścić. Bardziej się boję mojej żony. Kiedy dostaniesz pieniądze? - spytał Yamouta.

- Powiedziałem Żydowi, żeby przywiózł je do Mińska. Odbiorę je po transakcji z Białorusinem.

- Bardzo słusznie.

Yamout kiwnął głową.

Ariff po raz ostatni przejrzał się w lustrze.

- Chodź, bo się spóźnimy na przyjęcie Eshe - ponaglił Yamouta. - Nie chcę, aby moja córka w dniu swoich urodzin musiała czekać. Chyba kupiłeś jej jakiś ładny prezent?

- No pewnie. Przecież jest moją córką chrzestną. W zeszłym tygodniu kupiłem jej piękną jedwabną sukienkę. Niebieską ze złotym. Prześliczna. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę Eshe, gdy rozpakuje prezent.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że Eshe ma dopiero osiem lat? - spytał Ariff, marszcząc brwi.

- Nawet ośmioletnie dziewczynki lubią ładne sukienki.

Wyszli i wsiedli do mercedesa Yamouta. Z tyłu siedzieli dwaj mężczyźni z pistoletami maszynowymi Ingram, ale Ariff nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi.

- Co wiemy o tym Białorusinie? - spytał.

- Niewiele - odparł Yamout. - Ale mój nowy przyjaciel coś u niego kupował i powiedział, że ceny ma przyzwoite.

- Mimo wszystko weź dużą ochronę - poradził Ariff. - Tym ludziom nigdy nie można ufać.

Nieco dalej na ulicy dwaj mężczyźni na motorach zapalili silniki i szepnęli coś do kogoś, kogo tam nie było.

## ROZDZIAŁ 15

LINZ, AUSTRIA

17:23 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor siedział w kawiarence internetowej i czytał przysłane dossier. W lokalu znajdowała się również wypożyczalnia kaset DVD z filmami, a ich wyblakłe okładki straszyły na wystawie. Klientelę stanowili przeważnie ludzie młodzi, nastolatki i osoby mające po dwadzieścia parę lat. Wiktor był najstarszy.

Usiadł w kącie, aby nie rzucać się w oczy, i czytał nadesłane informacje, a było ich sporo, podobnie jak w przypadku Farkasa. Libańczyk Gabir Yamout ma czterdzieści cztery lata, kiedyś służył w bejruckiej policji, a dziś zajmuje się handlem bronią. Jest chrześcijaninem, w latach osiemdziesiątych walczył w wojnie domowej w Libanie, a potem zaczął pracować dla pewnego Egipcjanina - Baraa Ariffa. Teraz jest jego przyjacielem, ochroniarzem i partnerem w interesach. Mieszka w Bejrucie, ma dużą rodzinę.

Wiktor zaczął uważnie przyglądać się załączonej fotografii Yamouta. Na zdjęciu ten mężczyzna wyglądał co najmniej dziesięć lat młodziej, co świadczyło, że potrafi doskonale trzymać się w cieniu i trudno go namierzyć. Był ubrany w sportową koszulkę, oczy przysłaniały ciemne okulary, miał wąsy i brodę, krótko przycięte włosy. Twarz inteligentna. Wygląd Yamouta nie zdradzał ciemnych stron jego życiorysu, zresztą jak wynikało z doświadczenia Wiktora, rzadko kiedy tak się zdarzało.

Wiktor połączył się ze swoim zleceniodawcą.

- Mam dla ciebie robotę - oznajmił tamten.

- Gabir Yamout.

- Jest jednak pewna komplikacja.

- Przecież zawsze coś jest.

- Możesz dopaść Yamouta tylko w jeden wieczór, dokładnie za dwa dni, licząc od dziś.

Wiem, że już drugi raz proszę cię o pośpiech, ale nic na to nie poradzę. Liczy się czas.

- Jasne, że tak - odparł Wiktor - prosisz mnie o zabicie ważnego handlarza bronią i zlecasz mi tę robotę z niecałym sześćdziesięciogodzinnym wyprzedzeniem.

- Przecież powiedziałem, że nic na to nie poradzę, ale to się już nie powtórzy.

- Czyli, że następnym razem będzie tak jak z kontraktem na Farkasa?

- Tak - zgodził się tamten.

- Przecież wtedy też musiałem się spieszyć, bo nagle w środku przygotowań wypadła ta robota w Bukareszcie.

Nie było odpowiedzi.

- W ramach naszej umowy już trzeci raz muszę działać pod presją czasu. Trzy na trzy - to nie brzmi zachęcająco.

- Nigdy ci nie mówiłem, że praca dla mnie będzie łatwa. Gdyby taka była, to nie byłbyś mi potrzebny, a jesteś.

Tym razem Wiktor nic nie odpowiedział.

- Jak chyba się doczytałeś w dossier, Yamout to dość gruba ryba. Jest najważniejszym partnerem w interesach Ariffa i wspólnie zarządzają wielką siatką, która przerzuca i dostarcza broń różnymi kanałami: drogą lądową, morską i powietrzną. Ich odbiorcami są mali, lokalni handlarze, pośrednicy, którzy z kolei sprzedają tę broń dalej. Lista klientów siatki Ariffa jest bardzo długa i znajdują się na niej odbiorcy zarówno z Bliskiego Wschodu, jak i z Afryki. Naszym zdaniem, w ciągu trzydziestu lat sprzedali terrorystom, różnym watażkom i bojownikom broń wartą około miliarda dolarów.

- O, to dobrana z nich para.

- A co, nie? Tak więc wgniecenie Yamouta obcasem w ziemię sprawi, że świat będzie sympatyczniejszym miejscem do życia. Tobie też powinno poprawić to humor.

- Już teraz wprost nie posiadam się z radości.

- Słysząc to w twoim głosie. Yamout będzie w Mińsku i spotka się tam z pewnym białoruskim gangsterem, Daniłem Petrenką. To typowy mafioso z Europy Wschodniej, ale ma do upłynnienia kilka skrzyń kałasznikowów. Mają się spotkać w hotelu „Europa”. Petrenko już zarezerwował na tę okazję apartament. Zawsze tak robi, gdy ma się spotkać z kimś ważnym. Nie wiemy, jak Yamout dotrze do Mińska, ani dokąd pojedzie potem, ale z tego co wiem, nie zabawi tam długo, ani w hotelu, ani w samym mieście, a więc trzeba go dopaść, gdy tylko pojawi się szansa.

- Co znaczy, że jedynym miejscem na załatwienie tej sprawy jest hotel.

- Chyba tak, ale ty znasz się na tym o wiele lepiej niż ja, więc tobie pozostawiam ostateczną decyzję.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo to wszystko komplikuje?

- Niby co?

- Yamout to słynny handlarz bronią, człowiek wykonujący niebezpieczny, okrutny

zawód - facet, którego przez ponad dziesięć lat nie udało się sfotografować. Nie będąc na własnym terenie, ma się spotykać z jakimś obcym gangsterem bez odpowiedniej obstawy? Będzie ją miał i to solidną.

- Chcesz powiedzieć, że się boisz?

- Chcę powiedzieć, że bez odpowiedniego czasu na planowanie i rozpoznanie nie jestem w stanie zrobić tego dyskretnie.

- A zabij go choćby siekierą w windzie. Mnie tam wszystko jedno.

- Będzie mnóstwo hałasu.

- Mam to gdzieś.

- Poza tym hotel to publiczne miejsce. Zazwyczaj jest w nim mnóstwo ludzi.

- Jestem pewien, że zrobisz wszystko, by nie ucierpieli niewinni ludzie.

- No, dobra - stwierdził Wiktor. - Wobec tego będzie mi potrzebna broń i ma czekać na mnie w Mińsku już jutro po południu, Ani chwili później.

- Załatwione. Jaką broń chcesz mieć?

- Różną i dużo.

\* \* \*

Wróciwszy do hotelu, Wiktor położył się i spał, dopóki nie rozległ się dzwonek budzika. Była ósma wieczorem. Wiktor zrobił swoją serię ćwiczeń, wykapał się, ale cały czas myślał o nowym kontrakcie. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał i czy posiada wystarczające informacje. Najdrobniejsza luka w nich mogła sprawić, że zginie. Co prawda było to jego ryzyko zawodowe, ale bynajmniej nie oznaczało, że Wiktorowi się to podobało.

Tak więc, kolejny handlarz bronią, a co więcej jego zleceniodawca zbytnio się nie przejmuje starannym przygotowaniem gruntu. Poprzedni cel Wiktora też był handlarzem bronią, a ten w Bukareszcie miał zabić handlarza bronią. Trzy kontrakty, trzech handlarzy bronią. Dwóch miało umrzeć, a jeden żyć. Tylko po co?

Wiktor wolał nie spekulować. Po co miałby to wiedzieć? Jest tylko płatnym mordercą. Przez lata dbał o to, aby nie interesować się, dlaczego ktoś ma żyć, a ktoś umrzeć. Jednak tym razem było inaczej. Teraz chciał wiedzieć. Wmówił sobie, że to część ochrony, bo rok temu przez swoją ignorancję omal nie zginął.

Jednak takie usprawiedliwienie też nie działało. W tym wszystkim kryło się coś jeszcze, tylko co? Wiktor za grosz nie ufał swojemu zleceniodawcy. Wiedział, że w każdym zadaniu mogła się kryć pułapka, a takie kontrakty jak ten, gdy nie ma czasu na odpowiednie przygotowanie, mogły oznaczać, że wpakuje się w sytuację, z której nie będzie wyjścia. Gdyby to było jakieś zlecenie od prywatnego klienta, to by go nie wziął. Od razu przerwałby



rozmowę i już nigdy więcej nie zadzwonił. Jednak rezygnacja to żadne wyjście. Prywatny klient nie jest w stanie dać mu wsparcia w postaci policji czy informacji zebranych przez wywiad i to niejednego kraju, albo zdjęć satelitarnych, komputerowej identyfikacji twarzy, ani też nie może zadzwonić do niemal każdego agenta na świecie, prosząc o dokładniejsze informacje.

A kiedy to wszystko wreszcie się skończy, to czy jego pracodawca będzie honorować ich umowę? Czy Wiktor będzie mógł przestać pracować dla tego faceta z CIA? A może ostatnie zadanie będzie połączone z odprawą, czyli z zarobieniem dwóch kulek w łeb? Jednak nie miał wyboru i musiał brnąć dalej. Gdyby uciekł, ścigaliby go, a wiedzieli o nim na tyle dużo, że z pewnością by go dopadli.

Wiktor westchnął. Nie mógł porzucić swojego pracodawcy, ale najwyraźniej nadszedł czas, aby zacząć myśleć, co robić, żeby przeżyć. Przede wszystkim musi załatwić sobie dokumenty na nowe nazwisko, takie, jakiego przedtem jeszcze nie używał. Nie wiedział, jak wiele z jego dawnych nazwisk zostało spalonych, ale i nie miał czasu, aby to sprawdzić. Zrobi to, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Usiadł i wpisał w okienku nowy adres mailowy służący mu w jego pracy. Miał w swojej skrzynce setki maili: zachęcających go do skorzystania z leku, który poprawi jego sprawność seksualną, zapewniających o zbiciu fortuny, jeżeli tylko poda swoje dane osobowe jakiemuś miłemu dżentelmenowi w Nigerii itp. Jednak jeden go zainteresował, był zatytułowany: „Do przyjaciela”. To była wiadomość od człowieka imieniem Pierre, który pisał, że świetnie się bawi w Hongkongu, ale że wydał tu mnóstwo pieniędzy. Teraz jest w drodze do Europy, ale nie zabawi tu długo. Na końcu było zdanie: „Jak się masz?”

Wiktor zaczął się zastanawiać: świetnie płatny kontrakt w Hongkongu, czy ten w Europie, który trzeba zrealizować szybko. Jeśli odmówi Pierre'owi, to zwróci się on do kogoś innego, a przecież są dziesiątki, a nawet setki takich, jak Wiktor. Spotkał wielu z nich i wiedział, że wcale nie jest nadzwyczajny, ale jednak skoro uszedł z tych spotkań cało, to świadczy, że plasuje się na szczycie.

Jeszcze miesiąc temu skasowałby tego maila, nie odpisując, ale teraz, po tej dzisiejszej rozmowie, wszystko się zmieniło. Musiał mieć kilka opcji. Wobec tego odpisał Pierre'owi, że miło mu było dowiedzieć się, co u niego słychać i że czeka na dalsze wieści z podróży, i wysłał.

Wylogował się i przez chwilę siedział spokojnie, ale wcale nie był zrelaksowany. Jeżeli jego pracodawca chce sobie z nim pogrywać, to proszę bardzo. On będzie pogrywać, ale po swojemu.

Tyle, że nie będzie grać fair.

## ROZDZIAŁ 16

96 KM NA PÓLNOCNY WSCHÓD OD MIŃSKA BIAŁORUŚ  
ŚRODA 16:09 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Saul Callo siedział na tylnym siedzeniu samochodu i trząś się z zimna. Ręce skrzyżował na piersi, a dłonie wsunął pod pachy. Wszystko przez Blouta, który prowadził i palił. Otworzył okno, aby przewietrzyć wnętrze, a całe zimno leciało prosto na Saula. Porywacze dali mu płaszcz, ale Callo był chudy i marzył szybciej niż ludzie tężsi od niego. Dlatego tak bardzo lubił przebywać w krajach śródziemnomorskich. Abbot i Blout mieli atletyczną budowę i najwyraźniej otwarte okno wcale im nie przeszkadzało. Abbot nawet rozpiął swoją wytartą dzinsową kurtkę, a Blout miał na sobie tylko koszulkę polo.

Callo zobaczył za oknem zielone pola, ale okolica była opustoszała, tylko od czasu do czasu pojawiały się jakieś zabudowania. Przez dłuższy czas nawet nie wiedział, w jakim kraju się znajduje. Dopiero gdy zobaczył przydrożną tablicę z nazwą miasta, uświadomił sobie, że jadą w stronę Mińska. Na tablicy widniały napisy w języku białoruskim i rosyjskim. Callo znał trochę rosyjski, bo posługiwał się nim czasem w prowadzeniu interesów. Był głodny, ale nic nie mówił, bo bał się, że znowu wsadzą go do bagażnika.

Na samym początku podróży Saul siedział z tyłu, tuż za Abbotem, który prowadził, ale nagle bez żadnych wyjaśnień kazano mu wejść do bagażnika. Blout przytrzymał go, a Abbot owinął mu taśmą ręce, nogi i usta, po czym zagroził, że jeżeli nie będzie siedzieć cicho, to natychmiast podłączy akumulator do jego jąder. Około dwadzieścia minut siedział w bagażniku i dusił się spalinami. W końcu pozwolono mu wyjść i znowu wsiąść do samochodu. Nie padło ani słowo wyjaśnienia, a Callo o nic się nie dopytywał.

Było jasne, że wsadzili go do bagażnika, gdy przekraczali granicę. Od chwili porwania w Atenach nie wiedział, dokąd go przewożono. Co najmniej dwa razy leciał samolotem i niezliczoną ilość godzin spędził w bagażnikach różnych samochodów. Po pogodzie wnioskował, że był przesłuchiwany w jakimś kraju w Europie Wschodniej, a teraz jechał w stronę Mińska, zatem musiał przebywać w państwie graniczącym z Białorusią - zapewne w Polsce.

Ponieważ jego zegar biologiczny był kompletnie zaburzony, nie miał pojęcia, ile czasu

upłynęło od jego porwania. Wiedział, która jest godzina, bo w samochodzie na desce rozdzielczej był zegar, ale nie znał ani daty, ani dnia tygodnia. Było jasne, że jadą do Mińska, ale dla Calla nie miało to żadnego sensu.

- Dlaczego jedziemy do Mińska? - spytał Abbota, gdy nie mógł już dłużej znieść milczenia i niewiedzy.

Abbot siedział z łokciem opartym o otwarte okno i patrzył na krajobraz.

- Masz się spotkać z Yamoutem, nie pamiętasz?

- Tak, aby dać mu pieniądze Ariffa - dodał Callo.

Abbot kiwnął głową. Nawet na niego nie spojrział.

- Ale ja nie mam tych pieniędzy.

- I nie będziesz ich potrzebował - stwierdził Abbot.

Callo próbował kontynuować rozmowę, ale Abbot milczał, a Blout prawie się nie odzywał. Tylko od czasu do czasu zwracał się do Abbota, ale dotyczyło to wyłącznie ich zadań. Cisza była nieznośna, a wyobraźnia podsuwała mu najrozmaitsze obrazy. Bał się, że wiozą go w jeszcze gorsze miejsce niż to, w którym spędził dwie godziny z jądrami podłączonymi do generatora - choć tak naprawdę to już niczego gorszego nie mógł sobie wyobrazić. Może tym razem nie będzie znał odpowiedzi, a wtedy włączą prąd. Cały aż się zatrząsł i ścisnął uda. Wiedział, że wpadł po uszy, ale gdyby ci faceci chcieli go zabić, to już dawno mogliby to zrobić i nie musieliby wieść go w tym celu do Mińska.

Nie widział już więcej przesłuchującego go mężczyzny. Kiedy powiedział im wszystko, co wiedział na temat Ariffa i Yamouta, zaprowadzili go z powrotem do celi i zostawili tam na mniej więcej dobę. Co kilka godzin dostawał szklankę wody i miskę zupy oraz kawałek chleba. „Tak wygląda teraz moje życie”, powiedział do siebie Callo.

Bał się nadal, nawet gdy Abbot obudził go, aby wziął prysznic. Ale woda była ciepła i nikt go nie podglądał. Potem dostał nowe ubranie i tyle dobrego jedzenia, ile tylko zechciał. Abbot nawet zapewnił go, że mięso jest koszerne.

- Uwolnicie mnie teraz? - spytał Callo z nadzieją w głosie.

- Nie, jeszcze nie - odparł Abbot. - Ale nie martw się, wypuścimy cię, jak zrobisz jeszcze jedną rzecz.

Nikt nie powiedział, o co chodzi, ale miało to dokonać się w Mińsku. Miał nadzieję, że nie zechcą wykorzystać go jako przynętę, która pomoże im porwać Yamouta. Nic by z tego nie wyszło. Saul nie miał aż tak silnych nerwów, aby blefować w czasie spotkania z nim. Poza tym Abbot i Blout doskonale wiedzieli, że ochroniarze Yamouta będą mieli nad nimi liczebną przewagę. Co w takim razie planowali?

Nikt nie pokazał mu żadnych dokumentów ani nie powiedział, dla kogo pracuje, ale Saul wiedział, że to robota CIA. Callo nie chciał zbytnio naciskać Abbota, aby powiedział mu, o co tu chodzi. Był zadowolony, bo nikt nie zwracał uwagi na to, że znaczna część prowadzonych przez niego interesów była nielegalna, i że podczas opowieści o Ariffie i Yamoucie przyznał się do udziału w wielu przestępstwach. Spodziewał się, że zostanie oskarżony przynajmniej o przemyt ludzi, ale na razie nic takiego nie miało miejsca. Być może kiedy zrobi w Mińsku to, czego od niego chcieli, wypuszczą go na wolność. Nie zamierzał przecież zaraz składać na nich skargi do Amnesty International.

- Chyba za godzinę będziemy już w Mińsku - powiedział Blout do Abbota.

- Słyszałeś, Saul? Już niedługo będzie po wszystkim - powiedział Abbot.

Callo bardzo się ucieszył.

## ROZDZIAŁ 17

MIŃSK, BIAŁORUŚ

12:06 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Wiktor przybył do Mińska poprzedniego dnia wieczorem, po relaksującym locie z Wiednia. Nie miał walizki, a jedynie torbę z kilkoma rzeczami, niekoniecznie niezbędnymi, ale zawsze wolał podróżować przynajmniej z minimalnym bagażem. Powód był prosty: ochrona lotniska podejrzliwie patrzyła na pasażerów, którzy go nie mieli. Pojechał taksówką do centrum miasta. Najpierw sprawdził, czy nikt go nie śledzi, a dopiero potem poszedł do hotelu „Best Eastern”. Wcale się nie zdziwił, gdy otrzymał e-mail z wiadomością, że będzie miał tylko jedną szansę zabicia Yamouta. Pracodawca przeproszał go za nieprzewidziany rozwój zdarzeń. Kiedy przeczytał e-mail, o mało nie wybuchnął śmiechem.

Jutro o dwudziestej pierwszej Yamout miał się spotkać z Petrenką w hotelu „Europa” Nie wiadomo, na jak długo przyleciał do Mińska, dlatego Wiktor nie mógł zwlekać z wykonaniem swojego zadania. W Mińsku najpierw wsiadł do metra, przejechał przez całe miasto, a potem złapał taksówkę i kazał zawieźć się do centrum. Następna obwiozła go w pół godziny wokół miasta. Później trzydzieści minut jeździł metrem, dwukrotnie się przesiadał. Wreszcie wysiadł. Szedł pieszo i bacznie obserwował, czy nikt go nie śledzi. W końcu trzecią taksówką dotarł na dworzec.

Tam kupił w kiosku duże cappuccino z syropem karmelowym. Sączył kawę i obserwował otoczenie - żadnego ogona.

W maju było w Mińsku dość ciepło, więc zdjął płaszcz, ale pozostał w zapiętej marynarce ciemnografitowego garnituru. Cappuccino było wyśmienite - a może to wspomnienie pięknej brunetki, która je sprzedawała, tak wzbogaciło jego smak. Wypił kawę i udał się do podziemnej części dworca.

Skierował się do przechowalni bagażu. Podał pracownikowi fałszywe nazwisko. Starszy mężczyzna przytaszczył dwie ogromne walizy firmy Samsonite. Były ciężkie i bagażowy musiał otrzeć pot z czoła.

- Co pan tam ma, kamienie? - spytał.

- Broń - odpowiedział Wiktor, a staruszek się roześmiał.

Karteczki przyklejone do walizek informowały, że przyjechały one dzień wcześniej z Moskwy. Zawsze jednak istniała możliwość, że ich zawartość została po drodze podmieniona. Już po ich ciężarze zorientował się, co zawierają. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do hotelu „Best Eastern”.

Doprawdy, trudno było powiedzieć, dlaczego hotel miał w swojej nazwie słowo *best*, bo trudno było doszukać się tam czegoś dobrego. Pokój był ponury i odpychający, łóżko miękkie, a materac pełen wybrzuszeń. Zasuwał zasłony, położył walizki na łóżku i zaczął sprawdzać ich zawartość. Wcześniej usunięto zwykle wnętrza walizek i zastąpiono je grubymi płytami styropianu, powycinanego stosownie do kształtu umieszczonych w nim przedmiotów.

Połowę pierwszej walizki zajmował rozłożony na części półautomatyczny karabin Heckler & Koch PSG1-A1 z długim tłumikiem - świetna broń, doskonale nadająca się do użycia w mieście. Był to także z pewnością jeden z najbardziej precyzyjnych karabinów na świecie, strzelający z dokładnością półminutowego odchylenia od kąta. Tylko jedno nie podobało się w nim Wiktorowi. Otóż po oddaniu strzału łuska pocisku była wyrzucana bardzo daleko, co utrudniało zacieranie śladów, a w najgorszym wypadku - zdradzało pozycję strzelającego. Złożył broń i przykręcił jeden z trzech magazynków. Każdy z nich zawierał dwadzieścia pocisków 7,62 x 52 mm. Naładowana broń ważyła niemal siedem i pół kilograma i miała sto siedemnaście centymetrów długości.

Teraz ustawił na łóżku trójnog firmę Garbini i zaczął sprawdzać, jak działa regulator wysokości w PSG. Przykręcił kolbę oraz uchwyt pistoletu, dostosował je do swoich potrzeb i spojrzał przez celownik optyczny Schmidt & Bender 3-12 x 50. Gdyby nic nie zasłoniło pola widzenia, mógłby zabić Yamouta z odległości ośmiuset pięćdziesięciu metrów.

Rozkręcił broń i schował każdą część do odpowiedniej przegródki w walizce. W jej dolnej części znajdowały się gogle noktowizyjne oraz karta zawierająca układ kodu w kluczu generalnym do hotelu „Europa” w którym miał się zatrzymać Yamout. Była tam też kostka C4 - materiału wybuchowego, a do tego dwa detonatory: jeden zdalnie sterowany, drugi z mechanizmem zegarowym. Wiktor wyjął i sprawdził każdą rzecz.

W drugiej walizce znajdowała się kamizelka kuloodporna trzeciej klasy ochrony, wykonana z trwałej, kevlarowej tkaniny i warstwy termoizolacyjnej. Rozdarł plastikowe opakowanie i przymierzył ją. Była w rozmiarze średnim, a więc prawie na niego pasowała, ale niewystarczająco przykrywała brzuch. Kamizelka w większym rozmiarze byłaby może lepsza, ale wybrzuszałaby się, co utrudniałoby mu ruchy.

W walizce były również dwa pistolety z tłumikiem, w osłonie z porowatej gąbki - USP

firmy Heckler & Koch, kaliber .45, wersja *tactical*, oraz Walther P22, kaliber .22. Do każdego z nich były dołączone trzy magazynki. Wyjął pistolety, obejrzał je i oddał strzał „na sucho”, po czym schował broń z powrotem do walizki. Chciał je mieć przy sobie, ponieważ można było do nich używać amunicji poddźwiękowej, zatem strzał z tej broni mającej przykręcony tłumik był bardzo cichy. W dodatku oba pistolety były niewielkie, a więc łatwe do ukrycia - USP miał siedemnaście centymetrów długości, a Walther tylko piętnaście i pół. Ich magazynki mogły pomieścić tylko odpowiednio osiem i dziesięć pocisków - ale miały one służyć wyłącznie jako broń zapasowa.

Jeśli do zabicia Yamouta z odległości nie będzie można użyć karabinu PSG, wówczas Wiktor, zobowiązany kontraktem, rozważy posłużenie się bronią, znajdującą się w drugiej walizce. Belgijski pistolet maszynowy P90, wyprodukowany przez Fabrique Nationale, nawet dla niego wyglądał dziwnie. Był skonstruowany w układzie *bullpup*, co pozwoliło na zastosowanie długiej lufy przy zachowaniu małych wymiarów broni. Dzięki temu nadawała się ona do użycia w niewielkich pomieszczeniach, a jednocześnie była bardziej precyzyjna niż typowe karabiny półautomatyczne.

Wyjął broń z walizki. Pistolet był wykonany głównie z polimerów i lekkiego aluminium. Bez tłumika mierzył jedynie pięćdziesiąt centymetrów. Wziął pistolet w prawą rękę, a lewą objął przedni uchwyt pełniący równocześnie rolę kabłąka spustu. Położenie dłoni było wygodne, co pomagało zachować dokładność automatycznej serii i pozwalało mu na wybór odpowiedniej opcji - oddania jednego lub kilku strzałów, bez konieczności posługiwania się przełącznikiem rodzaju ognia.

Przy szybkostrzelności wynoszącej dziewięćdziesiąt strzałów na minutę magazynek P90 opróżniłby się w trzy sekundy. Pistolet ten nawet w wersji automatycznej wystrzeliwał pociski 5,7 x 28 mm niezwykle celnie, a ich rozrzut - dzięki zastosowaniu dwóch sprężyn powrotnych prowadnic - był minimalny.

Sprawdził cztery naładowane magazynki, które w P90 należało umieścić poziomo nad lufą. Ponieważ były one wykonane z przezroczystego tworzywa, widział, że zawierają poddźwiękowe naboje SB 193 o białych czubkach. Każdy pocisk był łódkowo ścięty, miał ołowiany rdzeń i ważył pięćdziesiąt pięć gramów, przy czym zawierał dwa gramy prochu. Jego prędkość początkowa wynosiła 320 m/s i z odległości pięćdziesięciu metrów trafiał precyzyjnie w cel. Siłę rażenia tego poddźwiękowego pocisku dało się porównać z JHP, ale prędkość poddźwiękowego SB 193 - choć był cięższy niż dźwiękowy kaliber 5,7 mm - była o połowę mniejsza. Siła rażenia nie była nadzwyczajna, ale Wiktor z doświadczenia wiedział, że bez względu na to, jakie naboje zastosuje, dwa strzały w głowę i jeden w pierś wystarczą,



by zatrzymać każdego.

Włożył magazynek i przyjął pozycję strzelecką. Popatrzył przez celownik optyczny P90. Na siatce widać było dwa koncentryczne pierścienie. Kąt rozwarcia pierwszego, nastawionego na strzelanie na większą odległość, wynosił mniej więcej sto osiemdziesiąt stopni, podczas gdy skupienie mniejszego wynosiło trzy dziesiąte stopnia otaczało małą kropkę w centrum pola. Podszedł do szafy, otworzył ją i trzymał P90 w cieniu. Trytowa siatka wydawała się teraz dwiema poziomymi liniami przebiegającymi pośrodku pola. Do nich dochodziła pionowo linia biegnąca od dołu aż do środka pola - razem tworzyły literę T.

Wyjął tłumik marki Gemtech SP90 z walizki, przyłożył go do lufy, popchnął w dół i przekręcił o dziewięćdziesiąt stopni, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Tłumik był już przymocowany. Ten wyjątkowy system pozwalał zamontować go w niecałe dwie sekundy, a więc o wiele szybciej niż w innych modelach. SP90 wydłużał pistolet o osiemnaście i pół centymetra i zwiększał jego ciężar o pięćdziesiąt siedem dekagramów w porównaniu z P90. Zmniejszał on również prędkość początkową naboju SB 193 do 281 m/s, ale Wiktor wiedział, że tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Za to tłumik i amunicja poddźwiękowa sprawiały, że P90 był cichszy nawet od MP5SD.

Włożył gogle noktowizyjne, zgasił światło i włączył urządzenie. Cały pokój wyglądał jak kolekcja czarnych, szarych i białych cieni. Wiktor wyjął magazynek i sprawdził znajdujący się pod lufą celownik kolimatorowy. Był on zintegrowany z odbiornikiem i absolutnie nie miał wpływu na działanie P90. Ustawił odbiór gogli na pełną moc. Istniała także możliwość ustawienia go na minimum, aby zaoszczędzić baterię, ale noktowizor miał mu się przydać tylko przez chwilę.

Pokój przecięła cienka, biała wiązka światła, niewidoczna dla oka, i oświetliła przeciwległą ścianę. Przesunął wiązkę na zawieszony na ścianie telewizor. Nacisnął spust - udawał, że strzela do odbicia własnej głowy.

W sumie miał do dyspozycji plastikowe ładunki wybuchowe, dwa pistolety i pistolet maszynowy.

To powinno wystarczyć.

## ROZDZIAŁ 18

WASZYNGTON, STANY ZJEDNOCZONE

13:31 CZASU WSCHODNIEGO

Restauracja „Nelson’s Diner” była położona na obrzeżach miasta, dwadzieścia minut jazdy samochodem od Langley, w lśniącym budynku w kształcie kiełbaski, który zdaniem Proctera wyglądał, jakby pochodził z innej epoki. Obserwował Clarke’a, który wszedł z grymasem na twarzy, spowodowanym zapachem tłuszczu i smażonego mięsa. Panował tu tłok, bo przyszło dużo ludzi, których, podobnie jak Proctera, stać było na posiłek w jakiejś lepszej restauracji, ale przecież zawsze warto zaoszczędzić parę groszy. Clarke przecisnął się przez salę do Proctera i usiadł na krytym plastikiem stołku.

- Mógłbyś choć raz nie zwracać na siebie uwagi i zachowywać się tak, jakbyś należał do tego towarzystwa - upomniał go Procter.

- Przecież nie należę, co każdy, łącznie z tobą, może od razu zauważyć. Wobec tego po co mnie tu zaprosiłeś?

Procter nie patrzył na Clarke’a.

- Ponieważ możesz tu zjeść najlepsze na świecie kanapki ze stekiem. Powinieneś spróbować. Warto chodzić do pracy, aby w przerwie wpaść tu na lunch.

Clarke rzucił okiem na sąsiedni stolik, przy którym kilku mężczyzn w kombinezonach zajadało hamburgery z cienkimi jak nitki, ale ociekającymi tłuszczem frytkami, oraz tanią surówkę z zielonej sałaty o mokrych i oklapniętych liściach. Za ladą tęgi Latynos grillował burgery.

- No, teraz wiem, dlaczego - skrzywił się Clarke.

- Przynajmniej raz pozbadź się swoich burżuazyjnych uprzedzeń, Peter.

- Moje uprzedzenia dotyczą tylko i wyłącznie choroby wieńcowej. Jeśli ci się to nie podoba, to możesz mnie zaskarżyć.

Zjawiała się kelnerka. Była młoda, wysoka i na tyle ładna, że Procter zlustrował ją wzrokiem, ale zbyt wąska w biuście i biodrach, aby chciało mu się spojrzeć po raz drugi. Clarke w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

- Życzą sobie panowie kawy? - spytała z jasnym, szerokim uśmiechem.

Clarke kiwnął głową.

- Dla mnie jeszcze jedną - dorzucił Procter.

Kelnerka napełniła stojącą przed Clarkiem filiżankę, a Procterowi nalala kolejną.

Clarke zmarszczył brwi, a Procter dodał sporo śmietanki i cukru do swojej kawy. Serwowano ją tutaj tak mocną, że aż gęstą - właśnie taką, jaką Procter lubił. W dodatku kosztowała trzydzieści centów mniej tylko dlatego, że nie miała włoskiej nazwy, co wcale nie znaczyło, że była gorsza. Clarke pił czarną kawę, tak jak zawsze.

- Jak kawa? - spytał Procter.

- Lura.

- No, ja stawiam, więc lepiej żeby ci smakowała.

- Nie przyszliśmy tu po to, żeby rozprawiać o jakości kawy. Jak się przedstawia sytuacja? - zapytał Clarke i odstawił kubek.

- Dzięki informacjom wydobytym od Saula mogliśmy ostatnio zrobić znaczne postępy - zaczął Procter. - Zdaje się, że ludzie Ariffa prowadzą teraz negocjacje z jakimś białoruskim gangsterem, Danilem Petrenką. Ma on dostęp do wielkich magazynów broni, którą Ariff bardzo chętnie dorzuci do swojej kolekcji. Jutro wieczorem ma się odbyć w Mińsku spotkanie, na które Ariff wysłał swojego najważniejszego człowieka - Libańczyka, Gabira Yamouta. Tak, tak, to ten sam facet, o którym wiemy, że od lat stoi u boku Ariffa. Teraz jest jego współnikiem - tak mówi Callo. Zarówno Ariff, jak i Yamout są chrześcijanami i są sobie bardzo bliscy, niemal jak rodzina. I chyba zgodzisz się ze mną, że ten Yamout stanowi doskonały cel, a dzięki niemu posuniemy się w naszych sprawach o krok dalej. Oczywiście nie mamy tyle czasu, ile byśmy chcieli, aby przygotować sprzątnięcie go, ale wizyta Yamouta w Europie to okazja, której nie wolno przegapić.

Długa twarz Clarke'a pozostała niewzruszona.

- Nie podoba mi się ten pomysł zorganizowania zamachu w hotelu. Tym bardziej, że nie mamy czasu na przygotowania. Może zrobić się jatka.

- Tesseract też tak mówi, ale zobacz, czy istnieje jakieś idealne miejsce? Nie. Jednak fakt, że Yamout wychyla nos z Bliskiego Wschodu jest zbyt nęcący, aby go nie wykorzystać.

- Zamach w hotelu. Zaraz wszystkie media będą o tym trąbić.

- Biorę to pod uwagę - stwierdził Procter. - Natychmiast wszystkie dzienniki w Europie podadzą tę wiadomość, a zatem zaraz dowie się o tym Ariff. A nam właśnie o to chodzi, żeby się dowiedział i to jak najprędzej.

- No, dobra - zgodził się Clarke najwyraźniej usatysfakcjonowany logiką tego rozumowania. - Yamout na pewno nie przyjedzie sam. Petrenko też przyjdzie z obstawą, a to

może być za wielu ludzi jak na jednego, nawet takiego fachowca.

- Nie mam powodu, aby w niego wątpić - powiedział Procter, wzruszając ramionami. - Poza tym, przecież nie musi zabić każdego z tej całej obstawy, aby dostać Yamouta. No, a zresztą najwyższy czas sprawdzić, czy potrafi poradzić sobie z takim zadaniem.

- A, to teraz igramy z jego życiem.

- Jeżeli tak chcesz to ująć.

- Nie, moim zdaniem należy ująć to w ten sposób: „igrasz z naszym celem”.

- Nonsens - wysapał Procter. - Pamiętaj, że Tesseract ma spróbować zabić Yamouta. Ten zamach stanowi ważny punkt w naszych planach. Tak jest, Yamout jest celem, a jego śmierć ma dla nas kluczowe znaczenie, ale jeśli nie uda się go zabić, to nasz plan i tak będzie realizowany i to tak długo, jak długo Yamout i Ariff o nim wiedzą.

- Wyjaśniłeś to Tesseractowi?

- Jasne, że nie.

- Dlaczego nie?

- Powiedz mi Peterze, czy gdyby ci zapłacono za uduszenie niedźwiedzia, a wiedziałbyś, że tak naprawdę to wcale nie musisz go udusić, to czy zrobiłbyś to? Nie. Wziąłbyś pieniądze i już. To samo z Tesseractem. Gdyby wiedział, że nie musi zabić Yamouta, to po prostu zrobiłby efektowny spektakl, a Yamout uszedłby z życiem. Na dodatek gdyby ten spektakl wypadł przekonująco, to byśmy uwierzyli i zostali oszukani. Nie mogą tak ryzykować. Musi spróbować, a czy mu się uda, to inna sprawa. To najlepsza okazja do ugodzenia w siatkę Ariffa i to na tyle mocno, żeby zaczął tańczyć tak, jak mu zagramy.

- Tesseract wcześniej czy później zacznie myśleć, że sobie z nim pogrywamy.

- No, bo tak jest.

- I nie będzie mu się to podobało - powiedział Clarke, nachylając się ku swemu rozmówcy.

- Jeżeli tupnie nogą, to przypomnimy mu, kto tu rządzi.

- To jeszcze mniej będzie się mu podobało.

Procter nachmurzył się i pochylił w stronę Clarke'a.

- Czy doprawdy myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z tego wszystkiego, co przed chwilą powiedziałeś?

- Och, jestem pewien, że tak, ale dochodzisz do zupełnie innych wniosków niż ja.

- I tu się mylisz, mój przyjacielu, dochodzę do identycznych, ale cieszę się, że się tym przejmujesz.

- Cieszysz się, że doprowadzony do wściekłości morderca może zrobić, a może nie to,

co mu zlecono!?

- Tak, cieszę się - wycedził Procter, starannie dobierając słowa.
- Powiedz mi, co zrobisz, jeżeli on jest bardziej rozzłoszczony, niż myślimy?
- Wówczas wprowadzimy w życie przygotowany przeze mnie zapasowy plan.
- Myślę, że najwyższy czas, abyś go wyjawiał - westchnął Clarke.
- Nie mogę ci powiedzieć.
- A dlaczego, do cholery?
- Możemy działać wspólnie, ale lepiej, by drugi z nas nie wiedział o niektórych sprawach. Tak będzie bezpieczniej dla nas obu, o czym zresztą doskonale wiesz.
- Nie jestem pewien, czy to takie ważne, Rolandzie.
- No, dobra, skoro już wykładamy karty na stół, to powiedz mi, kto finansuje tę naszą operację.

Clarke milczał przez chwilę.

- Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. Uzgodniliśmy, że tak będzie lepiej dla wszystkich, bezpieczniej, w razie, gdyby coś poszło nie tak. Powiedziałem ci wszystko, co mogłem.
- Oszczędź mi tej gadki. Kim oni są?
- Nie pytaj, bo nie powiem. I pozwól, że ci przypomnę, że nasz sponsor nie wie, kim ty jesteś.
- Dobra, dobra, nie mów. Ale ta zasada działa w dwie strony.
- Nie, to nie to samo - zaprotestował Clarke. - Przecież to mnie nie zdradzi, jeśli dowiem się, jakie masz plany wobec Tesseracta i czy nie stanie się on problemem.
- Może i nie - przyznał Procter z uśmiechem - ale nie chcę zepsuć niespodzianki.

Clarke milczał przez chwilę.

- Z jakiegoś powodu mam wrażenie, że pogrywasz sobie ze mną tak samo, jak z Tesseractem.
- Ponieważ, Peterze, siedzisz w tym biznesie równie długo jak ja, ale teraz jesteśmy po tej samej stronie. Obydwaj chcemy w końcu przerwać tę rzekę nielegalnej broni, a to jest jedyny na to sposób.

Clarke wydawał się zadowolony, przynajmniej chwilowo.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze najświeższych wieści na temat Kazakowa. Czy nadal nie wie o tej sprawie związanej z Farkasem?
- O ile wiem, to nie, ale spodziewam się, że lada moment się dowie - odparł Clarke, odchylając się w tył na krześle.

## ROZDZIAŁ 19

MOSKWA, ROSJA

14:40 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Najpierw prawy prosty, po nim uderzenie w bok głowy, centymetr od skroni. To nie był zwykły cios. Władimir Kazakow nie przewidział go, a takie niespodziewane ciosy zawsze były najbardziej bolesne. Bokser, który je wymierzył, był potężnym, ważącym ze sto dwadzieścia kilogramów zawodnikiem wagi ciężkiej, znanym z siły swojego nokautującego uderzenia. Wstrząsnęło ono wszystkimi zmysłami ukraińskiego handlarza bronią i zmusiło go do zrobienia kroku w prawo. Zasłonił się ręką, trzymając ją wysoko, podczas gdy przeciwnik przypuścił całą serię lewych i prawych sierpowych. Kazakow bronił się dobrze, toteż ciosy przeciwnika trafiły tylko w jego rękawice i w ramiona, a po kilku sekundach odzyskał jasność umysłu.

Przeciwnik cofnął się, by utrzymać Kazakowa w pewnej odległości, zaczął zadawać serię krótkich ciosów. Był o siedem i pół centymetra wyższy od Kazakowa, ale długość rąk od łokcia do nadgarstka mieli identyczną, co znaczyło, że Kazakow mógł częściej stosować swoje ulubione zagrania. Ukraińiec wymierzał ciosy silne i precyzyjne. Nie były nokautujące, ale dziesięć czy dwadzieścia takich uderzeń w twarz w czasie każdej rundy powstrzymywało ataki przeciwnika.

Kazakow się cofał, a Rosjanin napierał na niego, nadal zadając ciosy, ale już bez przekonania. Czekał, aż nadarzy się sposobność do zadania jednego, potężnego, ale Kazakow cały czas wykonywał serię kroków uniemożliwiających tamtemu ustawienie nóg w odpowiedniej pozycji. Był dobry w przecinaniu pola, wykorzystywał boczne ruchy w celu powolnego przyparcia Kazakowa do lin ringu. Jednak wciąż nie mógł go tam zapędzić. Ukraińiec zatrzymał się i zadał kilka prawych prostych oraz sierpowych, ale nie mógł się przebić przez osłonę Rosjanina.

Kazakow stał teraz dokładnie naprzeciwko Rosjanina, więc ten wymierzył serię lewych i prawych sierpowych. Kazakow starał się je zablokować, jak mógł, sam też wyprowadził kilka ciosów. Na razie nie oberwał zbyt poważnie, ale każde uderzenie jakby wyrывało z niego jakąś cząstkę i dokładało się do jutrzejszego bólu głowy.

Natomiast te, które wymierzył w odwecie, ledwie dosięgły głowy Rosjanina, nie powodując żadnych poważniejszych uszkodzeń. Kazakow nie był przyzwyczajony do uników, czy to na ringu, czy poza nim, i stał tak, że palcami nóg dotykał palców przeciwnika, zadawał ciosy i przyjmował je. Poziom adrenaliny skoczył mu niewyobrażalnie.

Nie usłyszał dzwonka, ale wiedział, że runda się skończyła, bo Rosjanin przestał atakować i odszedł na bok. Kazakow wrócił do narożnika; stał na nogach nieco mniej pewnie, niż by chciał, toteż oparł się o liny. Sędzia wyjął mu z ust ochraniacze i zaczął łąć wodę z butelki, a Kazakow chciwie ją łykał. Sędzia coś mówił, starając się dodać mu otuchy i coś doradzić, ale Kazakow zignorował to gadanie. Jeśli chodziło o boks, nikt nie był dla niego autorytetem.

Wiele lat temu szanował swojego starego trenera, ale on już dawno nie żył, a Kazakow nie odczuwał potrzeby znalezienia jego następcy. Po czterdziestoletnim doświadczeniu na ringu mało kto mógł mu doradzić coś, czego już się nie nauczył, walcząc. Miał za sobą piękną karierę, zdobywał tytuły mistrzowskie na szczeblu regionalnym i krajowym, ale z powodu kontuzji łokcia, jakiej nabawił się podczas treningów, nie mógł pojechać na olimpiadę.

Tę amatorską karierę przerwało powołanie do radzieckiej armii; zaraz też został wysłany do Afganistanu. Znalazł się w służbach logistycznych i szybko awansował, zostając majorem. Kiedy Związek Radziecki upadł, Kazakow zaczął handlować bronią, gdyż miał już doświadczenie w jej transporcie i dostawach. Rynek handlu karabinami i inną bronią niewielkiego kalibru był już rozwinięty i trudno było walczyć z konkurencją, ale Kazakow dostrzegł możliwości handlu ciężkim sprzętem wojskowym. Jego pierwszymi klientami byli dawni wrogowie z Afganistanu. Kupowali od niego radzieckie czołgi T-55 i T-62, a kiedy rządy w Afganistanie przejęli talibowie, Kazakow nadal dostarczał broń swoim dawnym klientom, którzy teraz przeszli na stronę Sojuszu Północnego. Jednak postanowił wykorzystać okazję i zaczął sprzedawać broń (przede wszystkim rakiety przeciwczołgowe) również talibom, natomiast Sojuszowi Północnemu - moździerz i pociski moździerzowe. Kiedy szala zwycięstwa w Afganistanie przechylała się na korzyść jednej ze stron, wówczas Kazakow wstrzymywał dostawy dla niej, obniżał ceny stronie przeciwnej i w ten sposób nakręcał własny interes.

Bardzo szybko zaczął też działać w Afryce i wykorzystując stojące beczynnienie radzieckie samoloty, przewoził nimi broń do państw afrykańskich objętych ONZ-owskim embargiem. Niebawem miał również klientów w Azji Południowo-Wschodniej i w Ameryce Południowej czym zwrócił na siebie uwagę społeczności międzynarodowej. Chcąc utrzymać się w biznesie, zmniejszył własne zaangażowanie i wynajął ludzi, którzy prowadzili interesy

za niego, przyjmując też na siebie całe ryzyko. Kazakow dbał, aby jego nazwisko nigdy nie figurowało w żadnych dokumentach ani w komputerze. Sam nie był pewien, ile ma firm, ale coś koło setki, rozsianych w kilkunastu krajach. I zanim jakaś narodowa agencja zorientowała się, o co chodzi, Kazakow zamykał swoją firmę w tym kraju i przenosił do innego. Stosunki własnościowe w całej jego siatce były tak zagmatwane, że nawet on sam miał kłopoty z rozeznaniem się w nich.

Był jednak na tyle sprytny, aby zanim zawaliły się wieże World Trade Center, zerwać wszystkie kontakty z talibami oraz osobami powiązаныmi z islamskimi terrorystami, ale i tak te znajomości zaszkodziły mu. Na świecie pojawiały się coraz większe naciski, aby go aresztować. Kazakow zdając sobie sprawę, że jego sytuacja nie wygląda najlepiej, przeniósł się z Ukrainy do Rosji, a ponieważ już wcześniej rosyjski rząd zarobił dzięki Kazakowowi miliardy, sprzedając nielegalnie broń, toteż teraz Kazakow nie miał najmniejszych trudności z uzyskaniem rosyjskiego obywatelstwa. Moskwa nigdy nie wydawała swoich obywateli, więc Kazakow czuł się tu bezpiecznie.

\* \* \*

Jednak teraz na ringu tak bezpiecznie nie było. Kazakow nigdy nie walczył z tym rosyjskim olbrzymem w spotkaniach sparringowych i teraz rozumiał, dlaczego niektórzy próbowali nie dopuścić do tego starcia. Było znacznie trudniejsze, niż oczekiwał. Teraz Kazakow żałował, że w ostatnich tygodniach nie ćwiczył więcej, ale ten zamach na niego i zastój w interesach wymagały takiego skupienia uwagi, że skrócił czas treningu. Odpędził te myśli. No, dziś dla odmiany to nie będzie przyjemny spacer. Kazakow był ciekaw, co powiedziała o tym wszystkim Illarion.

Rodzice Illariona, jedyni krewni Kazakowa, czyli jego młodszy brat z żoną, zginęli w czołowym zderzeniu samochodów w Kijowie, a on zrobił szlachetny gest i wziął sierotę na wychowanie. Kiedyś dzieci kompletnie go nie obchodziły, ale towarzystwo małego Illariona okazało się rzeczą o wiele miłą, aniżeli się mógł spodziewać, i wkrótce Kazakow uważał go za syna. Sam nie miał dzieci i chociaż nigdy nie chciał się zbadać, było pewne, że jest bezpłodny. Co prawda jego żona kiedyś publicznie sama się o to obwiniła, a on nie zareagował - była to jedyna rysa na ich doskonałym małżeństwie.

Wypił jeszcze parę łyków wody i zrobił kilka głębokich wdechów, aby dostarczyć krwi możliwie jak najwięcej tlenu. Pamiętał, co mówił ojciec: „Głębiej, oddychaj głębiej”. To właśnie ojciec był jego pierwszym nauczycielem boksu. Władimir zaczął walczyć, gdy miał sześć lat, i od tamtego czasu nie przestał ani na chwilę. Miał za sobą intensywną i pełną sukcesów karierę amatorską, zdobył szereg tytułów, w tym również krajowych, ale nie



pojechał na olimpiadę, ponieważ podczas treningów doznał kontuzji łokcia. I gdyby nie fakt, że urodził się i dorastał w Związku Radzieckim, chciałby spróbować swoich umiejętności na wielkich światowych ringach. Niebawem zakończyła się zimna wojna, upadł Mur Berliński i Ukraińcy mogli już brać udział w walkach boksu zawodowego, ale akurat wtedy Kazakow znalazł lepszy i mniej bolesny sposób zarabiania pieniędzy.

Dzwonek oznajmiał początek czwartej rundy. Kazakow liczył punkty sam, dla własnej satysfakcji, wiedząc, że jego sędziowie boczni nawet największe bicie zarejestrowaliby jako zwycięstwo swojego szefa. Żaden z walczących nie zarobił żadnych punktów w pierwszej rundzie, następną Kazakow policzyłby po równo dla każdego, ale dwie ostatnie zapisałyby na korzyść Rosjanina, którego ciosy były silniejsze. A więc 30:28. Zostały jeszcze trzy rundy. Aby zwyciężyć, musiał je wygrać. Kazakow zawsze walczył dla zwycięstwa. Teraz posuwał się ostrożnie do przodu, tak, by spotkać się z Rosjaninem w samym środku ringu. Twarz jego przeciwnika błyszczała od potu, nos był czerwony od ciosów, ale nic poza tym.

Kazakow był zaskoczony pokazem uderzeń na sucho. Zadowolony, zadał Rosjaninowi jeszcze cztery. Jeśli tamtemu zależy na takiej walce, to czemu nie? Może to miał być taki sobie spacer, jak po parku. Jednak potężny prawy prosty, który wylądował na lewym oku Kazakowa, w jednej chwili pozbawił go tych złudzeń. Bolało jak cholera i Kazakow ledwie utrzymał się na nogach. Chwiał się, ale stał.

Zasłonili się i pozwilił, by Rosjanin naparł na niego z całą siłą, a sam próbował otrząsnąć się po tamtym uderzeniu. Każda mijająca sekunda oznaczała dla jego ramion, rąk i głowy coraz więcej bolesnych ciosów.

Kazakow osłonił rękami twarz i widział tors swego przeciwnika, który pałał chęcią ataku, a jemu brakowało sił, by ten atak odeprzeć. Ukraińiec wymierzył cios w zęby Rosjanina, a sam ciągle osłaniał się rękami, czekając, aż jego umysł zacznie normalnie pracować. Jeszcze cztery powolne uderzenia i Kazakow odzyskał siły. Wymierzył krótki lewy sierpowy w żołądek. Usłyszał, że przeciwnik raptownie chwyta powietrze, co znaczyło, że cios trafił dokładnie ponad wątrobę. Rosjanin zrobił krok w tył i opuścił ręce niżej, chroniąc tułów. Kazakow wymierzył w policzek przeciwnika, lecz chybił i pięść trafiła Rosjanina w nos. Cios był silny, więc Rosjanin cofnął się, z jego nozdrzy pociekła krew.

Widzowie kibicujący Kazakowowi wydali okrzyk radości. Przez poprzednie dwie rundy, kiedy przewaga była ewidentnie po stronie Rosjanina, byli cicho. Teraz widok krwi uznali za okazję do wiwatów, jak się jednak okazało, radość była przedwczesna. Kazakow doskonale zdawał sobie sprawę, że krwawiący nos powstrzyma jego przeciwnika tylko przez kilka sekund.

Okrzyki tłumu stanowiły zachętę także dla Rosjanina, który wymierzył lewego sierpowego, celując w szczękę Kazakowa, ale chybił. Wobec tego wymierzył twarde cios w twarz, który gwałtownie odrzucił głowę Kazakowa w bok, tak że z włosów poleciały kropelki potu. Ukraińiec w porę osłonił się ręką, ale mocny sierpowy zmusił go do cofnięcia się. Teraz nastąpiła seria potężnych uderzeń w żebra, więc instynktownie opuścił rękę nieco w dół, by chronić tę część tułowia. Ciosy w głowę powodują chwilowy ból, natomiast te w tułów dokuczają przez całą walkę i jeszcze długo potem.

Teraz, gdy Kazakow osłaniał tułów, Rosjanin nie miał problemu z wymierzeniem ciosu w szczękę przeciwnika. Dwa potężne lewe sierpowe spowodowały, że Kazakow zachwiał się i pociemniało mu przed oczami. Rzucił się naprzód, chwycił swego przeciwnika w pól, uniemożliwiając mu zadanie jakiegokolwiek ciosu i w ten sposób próbując zyskać na czasie, dopóki nie odzyska ostrości widzenia i nie ustanie szum w jego głowie.

Tak silnie oparł się o Rosjanina, że tamten musiał teraz utrzymywać nie tylko ciężar własnego ciała, ale i ciała przeciwnika. Kazakow jak na swoje czterdzieści siedem lat był w znakomitej formie fizycznej, a na dodatek doskonale wiedział, co zrobić, aby podczas walki odzyskać spokój. Zdawał sobie sprawę, że na tym etapie powinien być w lepszej kondycji, ale ciosy Rosjanina odebrały mu siły, a na dodatek walka z przeciwnikiem cięższym o piętnaście kilogramów kosztowała go więcej energii. Jednak tym razem jego metody nie działały. Kazakow przegrał dwie rundy, zapowiadało się, że przegra kolejną, a może nawet nie dotrwa do jej końca. Wówczas straciłby kolejny punkt. A więc o ile nie zmieni strategii, walka będzie przegrana.

Z tłumu padały okrzyki zachęty, ale nie były one już tak entuzjastyczne, bo wszyscy widzieli, że brakuje mu sił. Władimir Kazakow wiedział, że jest w doskonałej formie, że jest znakomitym bokserem i umie panować na ringu. Ten Rosjanin był jednak od niego wyższy, silniejszy i piętnaście lat młodszy. Dawid do pokonania Goliata użył procy. Kazakow nie miał nic.

Po dziesięciu sekundach Rosjanin oswobodził się z uścisku Kazakowa i odepchnął go. Ten nadal czuł skutki ciosów i osłaniał się rękami, podczas gdy przeciwnik usiłował się do niego zbliżyć. Kolejnego prawego prostego Kazakow zdołał zablokować lewą rękawicą. Przechylił się nieco w prawo i wymierzył krótkiego prawego sierpowego prosto w krocze rywala.

Rosjanin jęknął. Podobnie jak Kazakow, miał ochraniacz, ale nie chronił on przed naprawdę potężnym ciosem. Teraz Rosjanin klęczał na jednym kolanie, zwijając się z bólu. Na widowni rozległy się krzyki, wiwaty, podczas gdy sędzia rozpoczął odliczanie:

- Raz... dwa... trzy... cztery... pięć...

Kazakow stał w rogu, łokcie oparł na linie, ciężko oddychał. Każdy milimetr kwadratowy jego ciała pokrywał gęsty pot. Rosjanin spojrzał na niego i w jego twarzy oprócz bólu Kazakow ujrzał złość i pogardę. Udał jednak, że tego nie widzi.

- Sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć.

Kazakow uniósł rękę do góry w geście zwycięstwa. Nie cieszył się, że wygrał, oszukując, ale nie było mu też wstyd. W obliczu potężnego wroga spryciarz ima się rozmaitych metod, byle tylko wyjść na swoje. Rosjanin otrzymał za ten sparring olbrzymią kwotę, wobec tego musiał zaakceptować zasady narzucone przez Ukraińca.

Kazakow zszedł z ringu, kiwał głową i uśmiechał się do swoich sędziów, gdy ci gratulowali mu zwycięstwa. Niektórzy nie zauważyli, że cios był nieprzepisowy, a reszta nie pisnęła na ten temat - jeśli już, to bardzo cicho. „Tak działa strach”, pomyślał Kazakow. Gdyby Illarion oglądał ten mecz, nie byłby zadowolony, ale szanowałby wolę wygrania za wszelką cenę.

Jeden z sędziów rozwiązał Ukraińcowi rękawice; handlarz bronią wytarł ręcznikiem pot z torsu, ramion i twarzy. Inny z jego ludzi dał mu podkoszulkę, którą ten owinął sobie głowę.

Upłynęła następna minuta, zanim Rosjanin stanął wyprostowany.

Kazakow jeszcze przez chwilę rozmawiał o walce z najzagorzalszymi fanami boksu wśród swoich pracowników, po czym poszedł wziąć prysznic i się przebrać. Kiedy wyszedł z szatni, od razu zauważył stojące nieopodal dwie dobrze ubrane osoby - kobietę i mężczyznę. Byli to jego najbliżsi doradcy. Obydwoje mieli po czterdzieści parę lat, mężczyzna był Ukraińcem, a kobieta Rosjanką. Teraz powinni znajdować się całkiem gdzie indziej, toteż ich obecność oznaczała, że zdarzyło się coś ważnego, a wyraz twarzy zapowiadał, że to nie przyjemnego.

Kazakow pomyślał, że zapewne chodzi o zamach w Bukareszcie. Pojechał do Rumunii w interesach i nawet nie miał pojęcia, że coś takiego miało miejsce. Od tamtej pory jego ludzie robili co w ich mocy, by ustalić, co tak naprawdę się stało i kto to zaplanował. Okazała się rzecz dziwna: otóż jakiś człowiek próbował zabić Kazakowa z karabinu, ale zanim zdążył nacisnąć spust, ktoś inny go zastrzelił. Jakiś snajper. Nie było wiadomo, czy ten drugi zabił pierwszego, aby ocalić Kazakowa, czy też był to może jakiś cudowny zbieg okoliczności. Jak na razie mieli za mało informacji. Nikt dotąd nie przyznał się do ocalenia mu życia, dlatego Kazakow uważał, że to był przypadek. Jednak w dalszym ciągu chciał spotkać swojego zbawcę i mu podziękować.

Fakt, że nieomal został zabity, zaalarmował go i przekonał, że musi przemyśleć swoje podróże i środki bezpieczeństwa, ale snu z powiek mu to nie spędzało. Lista jego wrogów była długa i nie raz był celem zamachu. Jednak niedawno po raz pierwszy się zdarzyło, że francuskie siły specjalne odstrzeliły mu kawałek lewego ucha. Kazakow wolałby prowadzić spokojniejsze życie, ale miliardy dolarów, jakie posiadał, rekompensowały ryzyko, z jakim wiązał się uprawiany przez niego biznes.

Najpierw zaczęła mówić Julia Jelczina, były oficer rosyjskich służb bezpieczeństwa, niemal od ośmiu lat pracowała dla Kazakowa. Była drobną, szczupłą kobietą, niemal trzydzieści centymetrów niższą od swojego szefa; na jej twarzy jeszcze widać było ślady dawnej urody, ale jej rysy nadal miały w sobie coś z jastrzębia, a także brutalność, dzięki której awansowała w SWR. Kazakow nie lubił Julii; jej brak poczucia humoru oraz towarzystwo go męczyły. Jednak ta Rosjanka była geniuszem, jeśli chodzi o wymyślanie nowych strategii, pozwalających imperium Kazakowa na rozkwit pod nosem społeczności międzynarodowej. Jej rozliczne kontakty i przyjaźnie w rosyjskich oraz ościennych agencjach wywiadu umożliwiały jej dostarczanie szefowi informacji absolutnie nie do zdobycia na temat jego partnerów w interesach, rywali, dostawców i klientów.

- Sytuacja się zmieniła i powinieneś o tym wiedzieć.
- Szczegóły - rzucił Kazakow.

Jelczina wręczyła mu dossier.

- W tych materiałach znajdziesz policyjny raport na temat wybuchu, który miał miejsce w Niemczech w ubiegłym tygodniu. Bomba zabiła pewnego Węgra. Nazywał się Adorjan Farkas i stał wysoko w hierarchii węgierskiej przestępczości zorganizowanej. Przez dwa ostatnie lata Farkas dostarczał Baraa Ariffowi coraz to większe ilości tanich karabinów produkowanych w Europie Wschodniej.

- Moi ludzie twierdzą, że to Ariff kazał zabić Farkasa, bo Węgier chciał go obejść i utworzyć własną siatkę dostaw.

Kazakowa niewiele obchodziło, jakie metody stosuje w interesach Ariff, ale czekał cierpliwie, chcąc dowiedzieć się, po co Jelczina mówi mu to wszystko. Ariff, podobnie jak i Kazakow, był wielkim handlarzem bronią, ale Egipcjanin parał się drobnicą, tymczasem Kazakow sprzedawał śmigłowce, czołgi, samoloty, a nawet okręty. Nie przeszkadzali sobie nawzajem. Ukrainiec interesował się tylko tymi handlarzami, którzy obracali tym samym co on.

Teraz włączył się drugi doradca. Tomasz Burliuk był Ukraińcem i kolegą Kazakowa jeszcze z lat dziecińczych. Był wysoki, choć nie tak jak Kazakow, i zachowywał się z

pewnością mężczyzny, który wie, że jest przystojny i nie wygląda na swoje lata. Był bardzo zadbany, świetnie uczesany, brodę miał starannie przyciętą.

Był człowiekiem Kazakowa od najwcześniejszych lat, dłużej niż ten pamiętał. Burliuk był dobrym facetem, lubił dużo pracować. Zaczynał od księgowości. Kazakow kompletnie się na niej nie znał, natomiast Burliuk był mistrzem w zarządzaniu pieniędzmi i teraz przez jego ręce przechodziły wszystkie decyzje. Tylko te najważniejsze Kazakow podejmował osobiście.

- W dossier jest też - mówił Burliuk - chemiczna analiza ładunku, który zabił Farkasa. A zainteresowało nas to, ponieważ analiza wykazała, że to RDX, którym dysponuje rosyjska armia. RDX jest wyjątkowy, ponieważ zawiera eksperymentalną dozę składnika, po którym można dojść, skąd ładunek pochodzi. Kilka krajów podpisało takie porozumienie w celu prześledzenia drogi, jaką odbywają ładunki wybuchowe używane przez terrorystów. My w 2007 roku kupiliśmy nadwyżkę tego składnika, po czym wysłaliśmy towar do Istambułu, gdzie miał go sprzedać nasz pośrednik, tak, aby nikt nie mógł wyśledzić, że pochodzi od nas.

- Tymczasem w Istambule ktoś go ukradł, nie wiemy kto - dorzuciła Jelczina.

- Jak ci wiadomo, właśnie wtedy twój bratanek Illarion został zabity podczas strzelaniny - powiedział Burliuk, a dla Kazakowa właśnie to zdanie stanowiło najważniejszą informację.

Gdy tylko Burliuk wymienił nazwę Istambuł, Kazakow przestał czytać papiery. Poczł w środku ból gorszy aniżeli ten wywołany przez ciosy boksera i zaczęło mu się kręcić w głowie. Przed oczami ujrzł twarz martwego Illariona i jego białe ciało podziurawione pociskami.

- Ile z tego to sprawdzone informacje? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Analiza materiału wybuchowego jest bez zastrzeżeń - wtrąciła się znów Jelczina. - Farkas został zabity w Berlinie w końcu ubiegłego tygodnia, a użyty w ładunku RDX jest tym samym, który skradziono w Istambule, gdy zginął Illarion. Jak dotąd policja nikogo nie podejrzewa o zamach na Farkasa. Dzięki moim kontaktom dowiedziałam się, że w węgierskim świecie przestępczym było wiadomo, że Farkas pojechał do Niemiec, aby kupić nową broń. Chciał odsunąć Ariffa. Węgierscy mafiosi, towarzysze Farkasa, są przekonani, że to sprawka Ariffa, i chcą go zlikwidować. Szykują się do działania, choć jeszcze nie wiedzą, gdzie on teraz przebywa.

Kazakow skinął głową, zadowolony z przedstawionego mu materiału i dowodów.

- A więc jeśli Ariff zabił Farkasa przy użyciu mojego RDX, wobec tego to ludzie Ariffa ukradli mi wtedy ładunek tego materiału w Istambule i to Ariff zabił Illariona.

Jelczina i Burliuk potwierdzili prawdziwość tego rozumowania, kiwając głowami.

- Jednak powinniśmy wykazać cierpliwość i opanowanie - powiedział Burliuk. - Siatka Ariffa jest silna, a jego wpływy sięgają daleko. Jeśli...

Ale Kazakow nie słuchał.

- Znajdźcie i zabijcie Ariffa - uciął Kazakow, oddając im teczkę z dokumentami. - Teraz to nasz priorytet. Wynajmijcie najlepszych ludzi, nieważne, ile to będzie kosztowało. Najpierw jednak zabijcie jego rodzinę i to na jego oczach. Niech patrzy, jak umierają w męczarniach.

## ROZDZIAŁ 20

MIŃSK, BIAŁORUŚ

CZWARTEK 09:06 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Z perspektywy Wiktora hotel „Europa” zasługiwał na pięć gwiazdek. Był to siedmiopiętrowy budynek wzniesiony na początku XX wieku na rogu ulic Lenina i Internacjonalnajej. Ściany z białego kamienia były przykryte spadzistym dachem z szarej dachówki. Wzdłuż chodnika ciągnął się szpaler drzew. Przy drzwiach stał młody odźwierny, uśmiechnięty i po żołniersku wyprostowany. Wiktor przespacerował się kilka razy wzdłuż hotelu. Starał się dostrzec jak najwięcej szczegółów dotyczących zarówno samego budynku, jak i otoczenia. Najpierw udał się na wschód ulicą Internacjonalnaja, obszedł hotel dookoła i skierował się na północ, do ulicy Lenina. Kupił kawę i odczekał pół godziny, po czym znowu podążył tą samą ulicą, ale tym razem na południe. Potem ruszył Internacjonalnaja na zachód. Po godzinie znowu odbył identyczny spacer, tylko w przeciwnym kierunku.

Hotel mieścił się w dzielnicy będącej kulturalnym sercem Mińska. Wszędzie było pełno cerkwi i kościołów. Dwie przecznice na zachód nad budynkami górowały kopuły prawosławnej katedry. Nieco dalej na północ, na ulicy Lenina, widać było katedrę p. w. Najświętszej Marii Panny. Po przekątnej w kierunku północno-wschodnim znajdował się ratusz, a po drugiej stronie ulicy Lenina - dom towarowy.

Podczas spaceru Wiktor spostrzegł teatr akademicki im. Janki Kupały, Narodowe Muzeum Sztuk, Akademię Muzyczną oraz pałac Republiki. Jak można się było spodziewać, ta część miasta była tłumnie odwiedzana przez turystów i na ulicach panował tłok. Przechodnie nie przeszkadzali Wiktorowi w prowadzeniu obserwacji. Poza tym w takim tłumie były mniejsze szanse, że zostanie zauważony. Jednak nie mógł ustalić spójnej wizji tego miejsca.

Zarówno Białorusini, jak i obcokrajowcy ubierali się na najrozmaitsze sposoby. Wielu mężczyzn miało na sobie garnitury, co bardzo mu odpowiadało, bo dzięki temu mógł łatwo wmieszać się w tłum, z bronią ukrytą pod marynarką. Pogoda była ładna, temperatura wynosiła około dwadzieścia stopni, więc Wiktor mógł rozpiąć wierzchnie okrycie. Nigdy nie nosił broni, gdy szedł na rozpoznanie terenu. Nie musiał zakładać ciemnych okularów, ale

gdyby je miał, to też nie wyglądałby dziwnie.

Z otrzymanych informacji wynikało, że spotkanie odbędzie się w prezydenckim apartamencie na siódmym piętrze. Ludzie Petrenki zarezerwowali pokój tylko na jedną noc. Wiadomo było, że jego obstawa składa się z czterech osób, a Yamout podróżował z 3-6 ochroniarzami. Jednak spotkanie miało się odbyć na terenie gospodarza, zatem należało się spodziewać, że Yamout weźmie ze sobą nie trzech, ale sześciu ludzi. A więc 6-7 osób ze strony Yamouta i pięć ze strony Petrenki. Razem 10-11 osób.

W podobnej sytuacji miał zwykle co najmniej dwa tygodnie na należyte zaplanowanie akcji. Przez czternaście dni zdążyłby opracować każdy z możliwych scenariuszy, przeanalizować wszystkie warianty i wymyślić z tuzin sposobów dotarcia do celu. Wykorzystałby najlepszy z planów w jak najdogodniejszym czasie. Jednak taka opcja nie istniała. Miał tylko jeden wieczór, jedną szansę zabicia Yamouta.

Szybka egzekucja mogła zostać przeprowadzona na dwa sposoby: z bliska lub z daleka. Było tam kilka świetnych miejsc, w których mógłby ukryć się snajper, ale ani jednego, z którego miałby zagwarantowany widok na swoją przyszłą ofiarę. A ponieważ najnowsze zdjęcie celu, jakim dysponowała CIA, pochodziło sprzed dziesięciu lat, Wiktor był pewien, że podczas podróży Yamout podejmie konieczne środki ostrożności. Najprostszym było wejście do hotelu bocznym wejściem, a wydostanie się innym. W hotelu znajdowało się ich kilka. Wiktor nie miał możliwości dowiedzieć się, które wybierze Yamout. Ponieważ zamach z dużej odległości, gdy ofiara będzie wchodzić do hotelu lub go opuszczać, nie był stuprocentowo pewny, jedyną możliwością było zastrzelenie go przez okno apartamentu, w którym się zatrzyma. Dookoła było kilka budynków, z których można byłoby oddać taki strzał, o ile w apartamencie nie zasunięto by rolet - w tej chwili wszystkie były opuszczone. Nawet gdyby ludzie Petrenki je podnieśli, to i tak nie wiadomo, czy Yamout stałby na tyle blisko okna, że można byłoby go dosięgnąć wzrokiem.

Wobec tego pozostawała opcja strzału z bliska, co oznaczało, że Wiktor musiałby się przedrzeć przez kordon ochroniarzy. Gdyby mieli oni opracowaną wspólną taktykę, to na zewnątrz, przed wejściem ustawiliby pierwszy kordon ostrzegający o niebezpieczeństwie, złożony na przykład z dwóch ludzi - jednego od Yamouta, a drugiego od Petrenki. Następnie druga pięcioosobowa grupa w holu hotelowym, a wreszcie ostatnia ekipa, już w apartamencie - w sypialni albo w jadalni - złożona z Yamouta, Petrenki i ich najbardziej zaufanych ludzi.

Jednak z taktycznego punktu widzenia zadanie było koszmarnie. Dotarcie do Yamouta wymagało pokonania niemal dwunastu osób, zapewne uzbrojonych i gotowych w każdej chwili użyć broni. Raczej nie należało się spodziewać, żeby ludzie Petrenki rzucili się bronić



Yamouta, ale w powstałym chaosie mogliby pomyśleć, że ten atak skierowany jest przeciwko nim i otworzyć ogień.

Nawet jeżeli Yamout i Petrenko nie włączyliby się do walki, to i tak Wiktor miałby przeciwko sobie dziewięciu mężczyzn. I ciasne pomieszczenia. W dossier było napisane, że Yamout zatrudniał tylko najlepszych ochroniarzy - byłych wojskowych, których usługi zapewne kosztowały majątek, ale za to na widok strzelaniny nie wpadali w panikę. Dysponował informacją, że ludzie Petrenki nie byli tak dobrze wyszkoleni, ale jako członkowie białoruskiej mafii zapewne potrafili strzelać. A przecież do tego, aby zastrzelić człowieka w hotelowym apartamencie z odległości czterech metrów, nie trzeba było wielkich umiejętności. Należało tylko wycelować i nacisnąć spust.

Wiktor zdawał sobie sprawę, że zrealizuje to zadanie tylko wówczas, jeśli będzie działał bardzo szybko i wykorzysta element zaskoczenia. Zamierzał uderzyć z całą siłą, gdy nie będą się tego spodziewać - i nie spudłować.

Nie miał planu architektonicznego hotelu, ale wystarczał mu rozkład każdego piętra. Teraz apartament także był wynajęty i dopiero po opuszczeniu go przez gościa miała przyjść pokojówka, aby sprzątnąć pomieszczenie przed przyjazdem Petrenki. Wiktor nie wiedział, o której godzinie to nastąpi, ale miał nadzieję, że będzie miał okazję do obejrzenia pomieszczeń. Nie będzie mógł tego zrobić, jeśli Petrenko przyjedzie zbyt wcześnie, ale miał nadzieję, że mu się to uda, zanim nadejdzie czas ostatecznej rozgrywki.

Odźwierny powitał go szerokim uśmiechem i otworzył mu drzwi, a ten w odpowiedzi skinął głową i wszedł do hotelowego holu. Było to wielkie, imponujące pomieszczenie, oświetlone naturalnym światłem, wpadającym przez wznoszącą się trzydzieści metrów ponad głowami szklaną kopułę. Okrągły hol otaczały na każdym piętrze rzędy wewnętrznych balkonów, a na samym środku w szklanej tubie jeździły dwie windy. W różnych miejscach stały luksusowe kanapy i fotele. Po lewej stronie znajdował się bar, po przeciwnej - recepcja.

Nie zatrzymywał się, aby nie zwracać na siebie uwagi recepcjonistek. Szedł swobodnym krokiem, nieustannie lustrował otoczenie i analizował sytuację w porównaniu z dostarczonymi mu informacjami. W holu znajdowało się sporo ludzi, ale nie było tłoku. Jedni kręcili się w okolicy restauracji, barów i wind, inni w oczekiwaniu na kogoś siedzieli w holu lub w barze. Wysoka cena pokoi świadczyła o poziomie usług.

Nagle zapaliła mu się „lampka ostrzegawcza”. Nieopodal wind na fotelu siedział samotny mężczyzna i trzymał złożoną gazetę, której nie czytał. Sprawiał wrażenie bardziej zainteresowanego tym, kto korzysta z wind. Był ubrany w brązową marynarkę, ciemne spodnie i tanie buty. Jego cera i włosy były zbyt ciemne jak na Białorusina. Zatem był to jakiś

przybysz. Ale turysta nie udawałby, że czyta rosyjską gazetę. Ciekawe. Zdaniem Wiktora to był jeden z ludzi Yamouta. Być może jego zadaniem było zbadanie terenu przed przybyciem szefa. To miałoby sens - należy zbadać teren, jeśli ma dojść do transakcji z białoruskimi gangsterami.

Obserwator nie zwrócił uwagi na przechodzącego obok Wiktora, ale trzeba było zachować ostrożność. Nawet jeżeli ten człowiek miał obserwować wyłącznie ludzi Petrenki, to gdyby zobaczył go wystarczającą ilość razy, doszedłby do przekonania, że jest to ktoś, komu należy się uważniej przyjrzeć.

Liczący sześćdziesiąt siedem pokoi hotel oferował także usługi fryzjerskie i kosmetyczne, było tam też pięć barów, nocny klub oraz łaźnia turecka. Te pomieszczenia nie interesowały Wiktora, ale wiedział, że musi dobrze znać rozkład budynku. Planował zabić Yamouta w apartamencie, ale już zbyt długo tkwił w tym biznesie, aby nie wiedzieć, że nawet najdokładniejszy plan może zawieść. Dlatego też ważna dla zabójcy na zlecenie była umiejętność improwizacji. A jeśli byłby do tego zmuszony, chciał wcześniej dobrze poznać otoczenie, bo to bardzo ułatwiałoby mu pracę.

W kieszeni miał klucz generalny ułatwiający dostęp do wszystkich hotelowych pomieszczeń. Zwracał uwagę na kamery. Był już w tylu hotelach na całym świecie, że wiedział, w których miejscach zazwyczaj się je umieszcza, więc trzymał głowę pochyloną tak nisko, jak mógł. To nie zawsze działało, ale wołał już, aby kamery nagrały go teraz - później będzie się starał jeszcze bardziej ich unikać.

Na parterze nie było gościnnych pokoi, jedynie różne pomieszczenia hotelowej administracji oraz salony usługowe. Wiktor zwrócił na nie uwagę. Chciał poznać wszystkie wyjścia i drogi ucieczki. Nie widział żadnej innej możliwości, jak tylko niezwykle szybko zniknąć, bo nawet przy użyciu tłumika nie było mowy o zabiciu w ciszy jedenastu mężczyzn.

A jeśli narobi hałasu, to będzie miał tylko kilka minut na ucieczkę, bo niedługo potem przyjedzie milicja. Do najbliższej stacji metra mógł dotrzeć dziesięciominutowym marszem lub pięciominutowym biegiem. O wiele bliżej był przystanek autobusowy, ale musiał przemieszczać się najszybciej, jak to możliwe, więc czekanie na przystanku nie wchodziło w grę. Najlepiej byłoby złapać taksówkę i wydostać się z centrum miasta, zanim milicja zorganizuje blokadę ulic. Jednak wówczas musiałby liczyć na jakąś przejeżdżającą taksówkę, a nie znosił kłosać tak ważnych decyzji na karb przypadku.

Mógłby ukraść samochód, ale wtedy miałby na karku milicję, która zaczęłaby go szukać. Poza tym nie znał mińskich ulic na tyle, aby szybko uciec, a nie miał czasu, aby się nauczyć planu miasta. Wobec tego najlepiej było polegać na własnych nogach i zostawić

sobie jako opcję skorzystanie z autobusu, metra lub taksówki.

Wpisał w swoim telefonie komórkowym hasło podane mu przez zleceniodawcę, zalogował się do sieci hotelu i sprawdził listę rezerwacji oraz gości. Apartament prezydencki był pusty, bo poprzedni goście zwolnili go wcześniej. Sąsiedni pokój był zajęty, ale kolejny jeszcze był wolny. Postanowił udawać gościa - wjechał windą na siódme piętro i przespacerował się po korytarzu. Od czasu do czasu się zatrzymywał i spoglądał w dół na hol wejściowy. Zadarł głowę, aby popatrzeć na szklaną kopułę sufitu. Wpadało przez nią tyle światła, że w korytarzu nie potrzeba było dodatkowego oświetlenia. Wyobraził sobie, jak to musiało wyglądać nocą, a następnie policzył, ile kroków dzieli drzwi prezydenckiego apartamentu od schodów.

Spojrzał na zegarek. Dopiero minęła dziesiąta trzydzieści. Przed apartamentem prezydenckim stał wózek sprzątaczkowy. Słyszał, że odkurza. Nie miał pojęcia, ile czasu jej to zajmie, ale postanowił poczekać w pobliżu. Po dziesięciu minutach kobieta wyszła. Zaczekał jeszcze chwilę, a następnie sprawdził listę rezerwacji. Nie chciał zostać przyłapanym dwie minuty później przez Petrenkę i jego ludzi w prezydenckim apartamencie. Na liście figurował zapis, że Petrenko właśnie się zameldował. Niestety.

Drzwi windy otworzyły się i wyszedł z niej masywnie zbudowany mężczyzna. Miał trzydzieści parę lat, około metra osiemdziesięciu wzrostu, rude przyzrywane włosy. Rzucił typowe spojrzenie twardziela i skierował się w stronę apartamentu prezydenckiego. Z całą pewnością nie należał on do obsługi hotelu i - chociaż Wiktor nie miał pojęcia, jak wyglądał Petrenko - to na pewno nie był on. Był zbyt młody i zbyt głupi.

Nie czekał, aby się upewnić, czy ten twardziel wejdzie do pokoju - zszedł schodami, po czym podążył korytarzem prowadzącym wzdłuż balkonów. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, odwrócił się i podniósł głowę. Teraz druga winda jechała do góry. Światło odbijające się od szklanej tafli nie pozwalało mu dostrzec, kto się w niej znajdował, ale na pewno były to dwie lub trzy osoby. Gdy przejeżdżała obok niego, zobaczył sylwetki trzech mężczyzn: dwóch w dżinsach i sportowych płaszczach oraz jednego starszego i lepiej ubranego.

Wiktor zszedł do holu i usiadł w barze. Czekał. Człowiek w brązowej marynarce siedział w tym samym miejscu i nadal udawał, że czyta gazetę.

\* \* \*

Minęła godzina, zanim nadarzyła się sposobność, na którą czekał Wiktor. Mężczyzna, który jego zdaniem był Petrenką, wysiadł z windy wraz z trzema mężczyznami: twardzielem i tymi dwoma w dżinsach. Przeszli przez hol i wyszli z hotelu głównym wyjściem. A wtedy

obserwator w brązowej marynarce wstał, rzucił gazetę na fotel i poszedł za nimi.

Jeżeli ci trzech mężczyźni stanowili całą obstawę Petrenki, to teraz apartament był pusty. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że jeszcze ktoś mógł do nich dołączyć, gdy siedział w barze, ale był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Począł jeszcze kilka minut, po czym pojechał windą na piąte piętro, a dwa następne pokonał pieszo. Kiedy znalazł się przed drzwiami apartamentu, zapukał i czekał z grzecznym uśmiechem na ustach. Jeśli ktoś by się odezwał, Wiktor wiedziałby, na ile dokładne były dostarczone mu przez wywiad informacje.

Zapukał ponownie, chwilę zaczekał i drzwi się otworzyły. Jeden punkt dla CIA i zero szans dla niego na obejrzenie apartamentu. Teraz stał przed nim olbrzymi facet, ubrany zwyczajnie, w białej koszuli i sportowych spodniach.

- Tak?

Mężczyzna mówił po rosyjsku. Jeżeli odpowiedziałby po białorusku, Wiktor miałby kłopot, ale tylko niewielki procent Białorusinów posługuje się swoim językiem - przeważnie używają rosyjskiego.

- Administracja hotelu - odpowiedział po rosyjsku. - Sprawdzamy, czy wszystko jest, jak należy.

- Tak, w porządku.

Mężczyzna wyglądał na podekscytowanego, miał zarumienioną twarz, a jego koszula wyglądała, jakby pośpiesznie wepchnął ją do spodni. Rozporek był rozpięty. Mężczyzna zdał sobie z tego sprawę chwilę później i się zaczerwienił.

Wiktor zrozumiał, że przeszkodził tamtemu w oglądaniu kanału z filmami porno, i to podsunęło mu pewien pomysł. Stojący przed nim mężczyzna był mocno zażenowany przyłapaniem na gorącym uczynku i obawiał się, że stanie się pośmiewiskiem. Jego taktyczna czujność była równa zero.

- Muszę się rozejrzeć po apartamencie, sir - powiedział Wiktor. To nie była prośba, ale właściwie żądanie.

- A, tak. Jasne.

Jerkow cofnął się i wpuścił Wiktora, który usłyszał trzask pośpiesznie zapinanego rozporka. Z takim dozorcą u boku nie mógł spodziewać się, że zobaczy wiele, ale przynajmniej rzuci okiem na pomieszczenie.

Apartament był szczytem luksusu w tym okazałym budynku. Wiktor stał w obszernym salonie, na puszystym i nieskazitelnie czystym dywanie. Ozdobione obrazami ściany były pokryte panelami o stonowanej bieli; kanapa w kształcie litery L i biały skórzany fotel

otaczały niski stolik. Po prawej stronie pod ścianą stała toaletka, a na niej telefon.

Na lewo, tuż za kanapą, pokój przechodził w część jadalną, w której znajdowały się stół i cztery krzesła, zaś we wnęce po prawej stronie stała druga kanapa, biurko i krzesło. Naprzeciwko niej stał wielki telewizor, w tej chwili akurat wyłączony, a na kanapie pudełko z chusteczkami jednorazowymi.

- Czy nic nie budzi pańskich zastrzeżeń? - zapytał.

- Chyba nie - mężczyzna unikał jego wzroku.

Wiktor przeszedł przez jadalnię i wszedł do głównej sypialni. Była duża, z szafami o lustrzanych drzwiach i dużym łóżem. Drzwi znajdujące się obok szaf prowadziły do toalety. Druga sypialnia miała przylegającą do niej własną łazienkę.

Na stole w części jadalnej stała walizka, ale poza tym Wiktor nie zauważył niczego, co mogłoby należeć do Petrenki i jego ludzi. Było jasne, że przyjechali tu wyłącznie w celach służbowych. Negocjacje z Yamoutem - to wszystko. Spotkanie mogło trwać tylko godzinę, ale postanowił działać, kiedy tylko przyjedzie Yamout. Chociaż chwila zwłoki pomogłaby mu i obniżyłaby adrenalinę, towarzyszącą zebranych od samego początku spotkania. Jednak nie wiedział, w jakim celu Yamout ma się spotkać z Petrenką i mogłoby się zdarzyć, że negocjacje skończyłyby się szybko, a on dopiero wtedy wpadłby do apartamentu.

A więc wczesnemu atakowi będzie towarzyszyć zaskoczenie - to dobrze. Obydwie strony będą tak zajęte wzajemnym obserwowaniem się i szukaniem jakichkolwiek oznak zdrady, że zupełnie nie będą przygotowane na atak kogoś trzeciego. Jednak i tak całe przedsięwzięcie było bardzo niebezpieczne - tylu wrogów na tak małej przestrzeni. Wiedział, że musi być najlepszy. Jeden błąd - i po nim.

Zauważył, że Jerkow otrząsnął się już z zażenowania, wobec tego wyszedł i życzył mu miłego pobytu.

Yamout miał przybyć o dziewiątej wieczorem. Wiktor spojrzął na zegarek. Jeszcze parę godzin i okaże się, jak bardzo jest dobry w swoim fachu.

## ROZDZIAŁ 21

11:19 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

- Kim był ten facet?

Mężczyzna siedzący przy komputerze był niski i muskularny. Podkoszulka opinała mu pierś i ramiona. Miał ciemne włosy i oczy. Zdjął okulary. Zasłony były zaciągnięte, a światło z monitora rzucało jasną poświatę na jego twarz. Obrócił się w lewo, w stronę wyższego i starszego mężczyzny, również ciemnowłosego.

- Nie wiem - odparł ten starszy - ale według mnie nie wyglądał na kogoś z hotelowej obsługi.

- Też tak sędzę.

Ten wyższy wziął notes i na czystej stronie zapisał nową informację: Nr 1117 - wysoki mężczyzna (garnitur, ciemne włosy) wszedł do apartamentu. Podawał się za obsługę hotelu. Rozglądał się przez chwilę. Wyszedł. Raczej nie jest z obsługi.

Monitor laptopa był podzielony na pięć części i w każdej widniał obraz video. Jeden z nich zajmował lewą górną, a drugi lewą dolną część ekranu. Po prawej stronie znajdowały się trzy okienka, a prawy dolny róg zawierał kontrolę obrazu i ustawienia dźwięku.

W każdym okienku było widać obraz nieprzerwanie rejestrowany maleńką bezprzewodową kamerą, ukrytą w prezydenckim apartamencie. Obraz w prawej górnej części ekranu pochodził z kamery ukrytej w kanale wentylacyjnym wysoko na ścianie. Ukazywał krawędź stołu pod oknem, drzwi do głównej sypialni, drzwi wejściowe oraz przestrzeń wokół telewizora. Lewe dolne okno pokazywało apartament z innej strony, a trzy pozostałe - obraz z kamer monitorujących główną sypialnię, drugą sypialnię oraz widok od strony telewizora.

Żaden z tych obrazów nie był doskonały, ale ludzie czuwający przy monitorze byli zadowoleni ze swojej pracy, zorganizowanej w takim pośpiechu. Poza tym czego nie zdołało uchwycić oko kamery, nagrały profesjonalne mikrofony.

Twardy dysk laptopa miał wystarczającą pamięć, aby pomieścić wielogodzinny materiał filmowy. Jak dotąd zarejestrował się na nim przyjazd pięciu ludzi mafiosa i niewiele ponad to, jeśli nie liczyć rozrywki, jaką zafundował sobie pozostawiony samotnie w apartamencie goryl Petrenki. Każdemu z jego ludzi nadano numer, którym był określany w

prowadzonym zapisie rozmów. Pierwszy wszedł do apartamentu ochroniarz, kilka minut później sam Petrenko w asyście dwóch ludzi. Wszyscy usiedli przy stole i rozmawiali przeważnie o futbolu, hazardzie i kobietach - ani słowa o interesach. Po upływie 50 minut przyszedł jeszcze jeden mężczyzna. Wtedy Petrenko wyszedł wraz z trojgiem ludzi. Nowo przybyły nie tracił czasu - natychmiast znalazł pudełko chusteczek higienicznych oraz płatny kanał z filmami pornograficznymi.

Niski, muskularny człowiek starał się ustawić ostrość obrazu i dźwięku na monitorze, podczas gdy jego towarzysz zapisywał każdą nagraną czynność i rozmowę. Po tym człowieku było widać, że w jego żyłach krąży domieszka rosyjskiej krwi - zresztą najlepiej z nich posługiwał się tym językiem, choć wszyscy członkowie zespołu zostali dobrani pod kątem jego dobrej znajomości. Oprócz operatora video i jego towarzysza, w pokoju było jeszcze dwóch ludzi, którzy starali się uzyskać jak najlepszy odbiór obrazu z kamer.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy podnieśli głowy, ale gdy usłyszeli stukanie po raz trzeci, odetchnęli z ulgą. Szczupły mężczyzna wstał, spojrział przez wizjer i otworzył drzwi. Mężczyzna, który wszedł, był najmłodszym członkiem tej grupy.

- Numer trzy spojrział wprost na mnie - powiedział.

- Ciągłe obserwujemy, ale musimy przestać - bez dramatu. Poszli coś kupić - młody mężczyzna zdjął brązową skórzaną kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. - Coś się wydarzyło?

- Ktoś przyszedł się rozejrzeć. Podawał się za obsługę hotelową - powiedział operator i nawet nie podniósł głowy.

- Pokaż.

Muskularny mężczyzna kliknął w lewe górne okienko, po czym najechał myszką na boczny pasek, aby przewinąć taśmę do tyłu. Wreszcie znalazł odpowiedni fragment.

- To absolutnie nie jest nikt z obsługi hotelowej - stwierdził młody mężczyzna.

- Skąd ta pewność?

- Kilka godzin temu widziałem go, jak wchodził do hotelu. Przeszedł pewnym krokiem przez hol, nie rozmawiał z nikim z obsługi. Żaden z pracowników hotelu nie zwrócił się do niego ani go nie rozpoznał. Jeśli byłby jednym z nich, to na pewno ktoś by się z nim przywitał.

- Dobrze mu się przyjrzałeś? - zapytał szczupły mężczyzna.

- Jasne. 185 cm wzrostu, drobna budowa, ciemne włosy i oczy, ładny garnitur.

Operator wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Podoba ci się?

- Odpieprz się. Przeszedł tuż koło mnie.

- No dobrze, a jeśli nie przyszedł tu do kogoś, to co możesz o nim powiedzieć?

- Nic - odparł młody mężczyzna. - Po prostu jakiś facet. Nie miałem powodu dwa razy mu się przyglądać.

- On mi się nie podoba - powiedział szczupły mężczyzna po chwili namysłu. - Jeżeli nie jest z hotelu, to co tu robi?

Dwaj pozostali potrząsnęli głowami.

- Jeśli ktoś go jeszcze raz zobaczy, to chcę natychmiast o tym wiedzieć. Wszystko miało być proste. Kimkolwiek jest ten facet, nie chcę, aby pokrzyżował nam plany. To ważne. Jasne?



## ROZDZIAŁ 22

21:07 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Przyjazd Yamouta i jego ludzi był owiany taką tajemnicą, na jaką tylko handlarz broni i jego sześciu goryli może sobie pozwolić. Najpierw przez hol wejściowy przeszedł jeden z ochroniarzy, w odległości sześciu metrów za nim Yamout, otoczony czworgiem ludzi - dwojgiem z przodu i dwojgiem z tyłu. Szósty ochroniarz szedł mniej więcej 3 metry za nimi. To była skuteczna formacja. Wiktor cieszył się, że nie tutaj miał mieć miejsce planowany zamach. Orszak Yamouta wzbudził zainteresowanie niemal wszystkich obecnych w holu, ale stalowe spojrzenie ochroniarzy sprawiło, że niewielu odważyło się obserwować go przez dłuższą chwilę.

W całej grupie tylko Yamout i pierwszy z jego ludzi byli Arabami. Wszyscy pozostali mieli jasną cerę - prawdopodobnie byli Rosjanami albo Białorusinami bądź też pochodzili z innych dawnych republik sowieckich i zostali wynajęci wyłącznie do tego zadania. Nadawali się, bo znali rosyjski i białoruski. Poza tym nie wiedzieli aż tyle o siatce Yamouta i Ariffa, aby móc ich wydać. Każdy z tych ludzi był profesjonalistą. Teraz szli, wszyscy czujni, a widok ich muskularnych, choć nie przesadnie umięśnionych sylwetek, budził większy respekt niż stalowy wzrok. Człowiek idący na przedzie pracował chyba w sztabie Ariffa, ale sprawiał wrażenie równie kompetentnego, co pozostali.

Yamout był potężnym mężczyzną, miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył ze sto dwadzieścia kilogramów. Prezentował rodzaj sylwetki, którą uzyskuje się w młodości dzięki ćwiczeniom, ale która świadczy zarazem o prowadzonym obecnie mało aktywnym trybie życia. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie garnitury: Yamout granatowy, zaś jego ochroniarze ciemnoszare lub czarne. Szli energicznym, ale niezbyt szybkim, nonszalanckim krokiem - typowym dla biznesmenów. Nie mieli bagażu. Być może zatrzymali się w innym hotelu, a może nawet w innej miejscowości.

Sposób, w jaki marynarki układały się na ich ciałach, świadczył, że ochroniarze byli uzbrojeni. Pięciu miało na biodrach kabury - wygodne, aby móc szybko sięgnąć po broń, choć lepsza była pionowa kabura pod pachą. Pierwszy z nich też na pewno był uzbrojony, choć broń nie odznaczała się pod jego marynarką. Wiktor nie mógł dostrzec, czy Yamout ma broń,

ale on mógł przecież być nieuzbrojony, gdyż mając taką ochronę, nie potrzebował jej. Wiktor usiadł w hotelowym barze i zamówił lemoniadę. Ochroniarze Yamouta spostrzegli go, ale podobnie jak w przypadku innych osób, szybko wykluczyli go jako stwarzającego ewentualne zagrożenie. Bardzo długo pracował nad tym, aby właśnie tak być postrzeganym - jako osoba niebudząca żadnych podejrzeń, podczas gdy było wręcz przeciwnie.

Pierwszy mężczyzna doszedł do windy, nacisnął guzik i właśnie wtedy, gdy Yamout podchodził, otworzyły się drzwi. Jednak on nie wszedł. Do windy wszedł pierwszy ochroniarz i to on pojechał sam na siódme piętro. Yamout z pozostałymi ludźmi stał na dole, w oczekiwaniu na sygnał. Zadzwonił telefon. Ochroniarz poinformował ich, że wszystko w porządku i mogą wjechać na górę. Szef dał znać jednemu ze swoich ludzi, a ten szybko nacisnął guzik drugiej windy, do której wszyscy wsiedli, gdy zjechała na dół. Wiktor uważnie ich obserwował.

Nie było widać obserwatora. Wiktor spojrzął na zegarek, wziął swoją torbę i opuścił hol. Kluczem generalnym otworzył drzwi prowadzące do części dostępnej wyłącznie dla personelu. Przypomniawszy sobie rozkład pomieszczeń, upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu i wszedł do wybranego wcześniej pomieszczenia.

Było tu ciemno i zimno. Gdzieś migotały małe światełka, słychać było donośny huk pracujących urządzeń. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Było to pomieszczenie z generatorami i innymi urządzeniami. Wzdłuż ścian ciągnęły się tablice rozdzielcze, transformatory i podobne urządzenia. Na ścianach i na suficie pełno było różnych kabli.

Postawił torbę na podłodze i wyjął z niej parę grubych, gumowych rękawic. Nałożył je, po czym otworzył panel jednej z tablic rozdzielczych. W środku znajdowała się szyna zbiorcza podłączona do sprzętu łączeniowego. Następnie otworzył zamykaną plastikową torebkę zawierającą sześć naboji C4, każdy wielkości piłki golfowej. Ostrożnie umieścił je za panelem tablicy rozdzielczej. Uważał, aby nie dotknąć znajdującej się pod ogromnym napięciem szyny zbiorczej. Teraz przymocował do każdego z naboji detonator podłączony do zwykłego mechanizmu zegarowego. Ustawił odliczanie na trzy minuty, chwycił torbę i szybko wyszedł z pomieszczenia.

\* \* \*

Gabir Yamout wysiadł z windy w asyście dwóch ochroniarzy. Idący jako pierwszy Elkhouri i szef ochroniarzy pojechali na siódme piętro oddzielnie. Mieli zawiadomić Petrenkę o przybyciu gościa i sprawdzić teren. Arab o poważnej twarzy należał do najbardziej zaufanych ludzi szefa, pracował dla niego już ponad dziesięć lat i pełnił funkcję zarówno ochroniarza, jak i doradcy. Poza tym należał do tych nielicznych osób, które Yamout uważał

za przyjaciół i nie obchodziło go, że był on muzułmaninem. Elkhouri zawsze troszczył się przede wszystkim o bezpieczeństwo i sprawy swojego pracodawcy - podobnie jak on o Ariffa.

\* \* \*

Kiedyś Yamout też był tylko ochroniarzem Ariffa, ale dzięki jego sprytowi i sprawności umysłowej szefowi udało się przeżyć kilka zamachów na własne życie. W miarę jak zaskarbiał sobie coraz większe zaufanie Ariffa, przybywało mu obowiązków. Teraz był przede wszystkim jego doradcą i przyjacielem, a dopiero potem ochroniarzem. Elkhouri był szefem ochrony Ariffa i to z jego polecenia towarzyszył teraz Yamoutowi. Jeżeli powiedziałby mu, że spotkanie z Petrenką w hotelu nie było dobrym pomysłem, to nie ulega wątpliwości, że Yamout posłuchałby jego rady i nie stawiałby się w tym miejscu. Tymczasem Elkhouri pojechał pierwszy na górę, a potem zadzwonił. Po jego głosie można było poznać, że spodobało mu się to, co zobaczył - przynajmniej na tyle, na ile można być zadowolonym ze spotkania z bezwzględными gangsterami na ich terenie.

Teraz Elkhouri wraz z dwoma potężnymi Białorusinami stał przed drzwiami apartamentu. Jego towarzysze wyglądali na białych zbirów - i tacy właśnie byli, nic tu nie pomagały markowe džinsy. Miny ludzi Petrenki stężały, gdy zobaczyli, ilu ludzi towarzyszy Yamoutowi. To dobrze. Zawsze afiszował się ze swoją siłą, gdy nawiązywał nowy kontakt - zwłaszcza na nieznanym terenie. W dodatku przyprowadzenie większej obstawy zawsze pomagało w negocjacjach, szczególnie na nieznanym terenie. Jeden z Białorusinów szybko wbiegł do apartamentu. Najwidoczniej chciał powiadomić szefa o liczebności obstawy Yamouta. Reakcja Petrenki powiedziałaaby Yamoutowi wszystko o tym człowieku. Elkhouri dał mu niemal niezauważalny znak głową.

Yamout podszedł do drugiego Białorusina, który pozostał przed drzwiami, a ten odsunął się na bok i przepuścił gościa. Jednak najpierw weszli czterej ochroniarze, potem Elkhouri, a na końcu ich szef. Ostatni z jego ludzi pozostał na zewnątrz wraz z Białorusinem.

Yamout widział niejednego luksusowy hotel, ale ten apartament nawet na nim zrobił wrażenie. Petrenko stał pośrodku salonu i uśmiechał się, jakby się cieszył ze spotkania. Yamout jednak nie odwzajemnił jego uśmiechu. Byli sobie obcy, spotykali się w celach biznesowych, a nie towarzyskich. Za Petrenką stał mężczyzna, który wcześniej pełnił wartę przy drzwiach, oraz jeszcze dwóch podobnie ubranych gangsterów. Sam Petrenko preferował bardziej sportowy strój: mokasyny, džinsy, biała koszula wypuszczona na spodnie, trochę rozpięta, tak, że widać było włosy na piersi. Wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat i - w odróżnieniu od swoich ludzi - nie przypominał gangstera. Żaden z jego goryli nie miał broni,

co spodobało się Yamoutowi. Petrenko nie wyglądał też na ponížonego taką przewagą liczebną obstawy Yamouta. A nawet jeżeli tak było, to potrafił doskonale udawać.

- Panie Yamout, miło w końcu pana spotkać - powiedział Petrenko i wyciągnął rękę.

Yamout podał mu dłoń, ale jego uścisk nie był mocny.

- Dziękuję, że zaprosił mnie pan do swojego miasta.

- Piękne, prawda?

- Bardzo - przytaknął Yamout, choć wcale go nie widział.

- Usiądźmy - zaproponował Petrenko i spojrzał na jego ludzi. - Choć zdaje się, że nie mamy tylu krzesel.

Yamout nic na to nie odpowiedział. Było tu mnóstwo miejsc do siedzenia, choć może niekoniecznie w salonie. Petrenko zmierzał do uzyskania wyjaśnienia, dlaczego Yamout zabrał ze sobą tylu ochroniarzy, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Zaproponował, aby usiedli na wielkiej kanapie naprzeciwko telewizora lub na stojących obok krzesłach. Sam wziął jedno i usiadł, nie czekając, aż zrobi to gość. Yamout nie wiedział, czy na Białorusi panują takie zwyczaje, czy też jest to reakcja na brak wyjaśnień co do liczebności jego obstawy. Jakby nie było, takim zachowaniem Petrenko nie zyskiwał w oczach Yamouta, który też właśnie usiadł na krześle.

Z kolei Elkhouri i jeden z ludzi Petrenki usiedli na kanapie. Wielki rudzielec zdjął marynarkę, pod którą miał kamizelkę. Pozostali czekali w salonie.

- Coś do picia? - zaproponował Petrenko.

- Nie, dziękuję.

- A może by pan coś zjadł? Tutaj jest pyszne jedzenie, a obsługa błyskawiczna. Nie trzeba długo czekać.

- Nie, dziękuję - powtórzył Yamout.

- Jak pan sobie życzy. Rozumiem, że od razu chce pan przejść do rzeczy.

Przytaknął.

- Nie leciałem tyle tysięcy kilometrów, tylko po to, żeby spróbować tutejszej kuchni.

Petrenko dziwnie się uśmiechnął. Jego wyraz twarzy się zmienił. Głos gospodarza stracił przyjacielski ton.

- Dobrze - powiedział. - Nie cierpię tracić czasu, kiedy można zarabiać pieniądze.

Założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie, aż zatrzeszczała skóra tapicerki.

- Jestem pewien, że powiedziano panu, że mam duży arsenał broni, zarówno współczesnej, jak i tej z czasów Związku Radzieckiego, a także amunicję. Tak więc mam karabiny szturmowe, maszynowe, granatniki przeciwpancerne. Wszystko.

Otworzył leżącą na stoliku teczkę, po czym wyjął z niej kartkę papieru i podał Yamoutowi.

- Jak pan widzi, moje ceny są bardzo rozsądne.

Yamout dość długo przeglądał cennik i listę broni. Potem jeszcze przez chwilę siedział i udawał, że czyta, ale jego twarz stawała się coraz bardziej ponura, aż w końcu oddał kartkę Petrence.

- Nie takich cen się spodziewałem - powiedział.

- To znaczy? - spytał Petrenko, wierząc się na krześle.

- Te ceny są za wysokie, bezsensowne.

Spokój Petrenki prysł i Yamout poznał prawdziwą naturę swojego rozmówcy.

- Bezsensowne?! Co to, kurwa, ma znaczyć?

- To znaczy...

Nagle zgasło światło. Elkhouri natychmiast zerwał się z kanapy, reszta ochroniarzy też natychmiast zareagowała.

- Przepraszam, jestem pewien, że to tylko korki. Na pewno zaraz naprawią - sapną zdenerwowany Petrenko. - Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach i zachowają spokój. Niech nikt nie robi niczego głupiego. To tylko korki - powiedział podniesionym głosem tak, aby go wszyscy słyszeli.

- Może powinniśmy sobie pójść - powiedział po arabsku Elkhouri. Wydawał się niezwykle zdenerwowany.

- Ale ten idiota sprzedaje broń o 1/3 taniej, niż Ariff chciał zapłacić - odpowiedział Yamout. - Przez kilka minut możemy posiedzieć po ciemku.

- Wszystko w porządku? - zapytał Petrenko.

- Mój przyjaciel boi się ciemności - odparł chłodno Yamout.

- Nie powinien się martwić. Tu jesteśmy absolutnie bezpieczni - stwierdził Petrenko.

## ROZDZIAŁ 23

21:11 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Kiedy zgasło światło, Wiktor akurat wchodził po schodach. Nałożył gogle noktowizyjne i wszedł na siódme piętro. Poruszał się szybko, ale ostrożnie. Było tu bardzo ciemno, ponieważ na klatkę schodową nie wychodziły żadne okna, jednak przez noktowizor widział wszystko w odcieniach jasnej szarości. Miejsca, w których temperatura była niższa, były najjaśniejsze.

Kiedy znalazł się na siódmym piętrze, przykucnął i zdjął buty, następnie wyjął i odbezpieczył P90. Wstał i pchnął drzwi prowadzące na korytarz. Przytrzymał je stopą, aby się nie zamknęły. Nastawił celownik laserowy P90 na *high* i wsunął pistolet maszynowy w miejsce, w którym klatka piersiowa łączy się z ramieniem, skąd można go szybko wyciągnąć. Małe światło tańczyło na oknie z prawej strony. Przełączył gogle noktowizyjne na tryb automatyczny i przeszedł przez drzwi.

Cały hotel był pogrążony w ciemnościach i tylko przez szklaną kopułę wpadało trochę światła z ulicy - wystarczająco dużo, aby osoba, której wzrok zdołałby się w krótkim czasie przystosować do ciemności, spostrzegła Wiktora. Korytarz, biegnący niemal dookoła całej otwartej przestrzeni w centralnej części hotelu, był długi i wąski. Obie windy znajdowały się w odległości dwunastu metrów od Wiktora, zaś apartament prezydencki - cztery metry od niego. Na zewnątrz pełniło straż dwóch potężnych ochroniarzy. Przez noktowizor widział ich ciemnoszare kontury z czarnymi rękami i głowami, na tle jaśniejszej i zimniejszej ściany. Mieli broń i niepewnie rozglądali się na boki, bo nic nie widzieli w ciemnościach. Od chwili, w której zgasło światło, minęło dopiero dwadzieścia sekund.

Wiązka światła w podczerwieni przecięła ciemności i utworzyła kropkę na piersi jednego z ochroniarzy. Po chwili dwa pociski kalibru 5,7 mm trafiły go prosto w mostek, a trzeci pomiędzy oczy. Mężczyzna upadł. Łuski z wystrzelonych naboju padały na dywan tuż pod nogi Wiktora. Jeszcze raz nacisnął spust i tym razem wpakował serię w ramię i tors drugiego mężczyzny, który odwrócił się, aby zareagować. Ochroniarz cofnął się, ale nie upadł. Wiktor postąpił krok naprzód, ponownie nacisnął spust i wystrzelił jeszcze jeden pocisk, tym razem w czoło przeciwnika, zanim ten zdążył krzyknąć.

Tłumik i poddźwiękowa amunicja wyciszyły odgłosy strzałów z P90, ale padające

ciała narobiły hałasu. Wiktor podbiegł do drzwi apartamentu prezydenckiego w obawie, że ktoś mógł usłyszeć te odgłosy i teraz czeka, aż napastnik wedrze się do środka. Jednak było nieprawdopodobne, aby ktoś z obecnych w apartamencie cokolwiek usłyszał. A nawet jeśli, to było jeszcze mniej prawdopodobne, że otrząsnął się z paniki na tyle, aby myśleć o obronie drzwi. Jednak Wiktor czekał, przygotowany na najgorsze.

Stał dokładnie na wprost drzwi, mierzył w nie z P90 na wysokości torsu przeciętnie wysokiego mężczyzny. Nacisnął spust i posłał długą serię, bo chciał zasypać wnętrze apartamentu gradem pocisków. Co prawda nie spodziewał się, że w ten sposób trafi kogokolwiek, ale chodziło mu o zaskoczenie gości i zasianie paniki, przynajmniej na czas potrzebny mu na wtargnięcie do środka. Drugą serię wystrzelił na wysokości zamka i klamki.

Teraz podniósł nieco do góry pistolet maszynowy, jednym kopnięciem otworzył drzwi i błyskawicznie znalazł się w środku. Natychmiast kucnął i spojrzał w lewo. Strzelił do pierwszej postaci, jaką zobaczył. Siła pocisku odrzuciła mężczyznę do tyłu, po czym runął na stół. Spojrzał w prawo i w głębi pokoju dostrzegł jeszcze jakiś cień, więc strzelił do niego i zobaczył, jak pada do tyłu na toaletkę. Posypało się szkło. Wiktor dał krok w przód i zobaczył coś - czy też kogoś - chowającego się za kanapą stojącą naprzeciwko telewizora. Wobec tego wypuścił w tym kierunku serię zza poduszek sofy. Usłyszał krzyk, więc wystrzelił następną. Cisza, żadnego krzyku. Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem pokój. Nie dostrzegł nikogo.

Apartament był duży, ciemny, ale przez noktowizor wszystko wydawało się jasnoszare. Okna były pozasłaniane i tylko przez szczelinę między zasłonami sączyła się wąska smużka światła. Nikt inny nie widziałby kompletnie niczego w tej ciemności. Wiktor spojrzał, ile pocisków zostało mu jeszcze w magazynku; chyba około sześciu, jednak wolał włożyć nowy. Właśnie sięgał po następny, kiedy drzwi po lewej stronie otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich mężczyzna. Miał na sobie kamizelkę, jego głowa i nagie ramiona przez noktowizor wydawały się czarne. Kamizelka była pośrodku mokra od potu. Mężczyzna był uzbrojony, obydwoma rękami ścisnął duży pistolet, ale ponieważ nic nie widział, jego ruchy były przypadkowe, podobnie jak nerwowe rzucanie głową. Rozbieganym wzrokiem usiłował coś wypatrzyć w ciemnościach. Nie widział Wiktora, który przykucnął w odległości około trzech metrów od niego.

Wiktor wyciągnął lewą ręką USP i wpakował mężczyźnie dwa pociski prosto w głowę, a jej tkanki rozprysnęły się dookoła. Część mózgu pozostała na ścianie. Teraz Wiktor zdołał wsunąć pełen magazynek do P90.

Wstał, przestąpił ciało zabitego mężczyzny, przeszedł szybko przez salon i wszedł do głównej sypialni. Tu było ciemniej, zasłony były szczelnie zasunięte, a więc z zewnątrz nie

wpadało prawie żadne światło. Pusto. Podszedł do drzwi łazienki, wypuścił do środka długą serię, po czym błyskawicznie je otworzył i wszedł do środka. Nie było tu nikogo ani w wannie, ani w kabinie prysznicowej.

Dwóch ochroniarzy na zewnątrz i czterech w środku. To znaczy, że zostało pięciu: Yamout, Petrenko i trzech goryli. Wiktor spojrzął na zegarek. Od chwili oddania pierwszego strzału minęło dwadzieścia sekund, a wydawało mu się, że o wiele więcej. Zawsze ma się takie wrażenie.

Nagle usłyszał jakiś hałas dochodzący z tyłu, z przeciwległego krańca apartamentu. Odwrócił się i wrócił do salonu, a ponieważ nie miał na sobie butów, po grubym dywanie poruszał się cicho jak kot. Z części, w której stał telewizor, usłyszał jakieś szepty, których z dala nie mógł zrozumieć. Szybko poszedł w tamtym kierunku. Teraz stał nieco na bok od drzwi, ustawił spust na pełny automat, po czym wypalił serię poprzez ściankę działową i drzwi po lewej stronie. Zmienił pozycję i ostrzelał prawe drzwi.

Usłyszał jęki i brzęk, jaki wydaje metal padający na szkło. Nie rozumiał, dlaczego ludzie zawsze stoją pod drzwiami.

W tym momencie tuż obok drzwi padły strzały na wysokości jego mostka. Pociski wbiły się w zewnętrzną ścianę. Wiktor oszacował trajektorię i strzelił w tym kierunku. Trzy razy po cztery strzały. Nie było żadnej odpowiedzi.

Teraz strzelił w klamkę i w zamek, po czym padł na ziemię. Podczołgał się do przodu, cały czas równoległe do ściany, aż jego lewe ramię znalazło się na wysokości progu, a głowa koło futryny. Pchnął drzwi lufą P90, a one otworzyły się bez oporu.

Nagle nad jego głową padły strzały. Zobaczył, kto to zrobił - ten, którego postrzelił przez ścianę. Teraz siedział na podłodze, oparty o łóżko, wyprostowane nogi leżały w kałuży krwi. Dostrzegł Wiktora o ułamek sekundy za późno, pociski 5,7 mm przebiły mu serce i płuca.

Wiktor szybko się podniósł, przykucnął i zajrzał do pokoju. Zobaczył drugiego mężczyznę - klęczał po przeciwległej stronie łóżka, a broń, z której dopiero wystrzelił, trzymał w ręku. Wiktor strzelił do niego dwa razy, celował w twarz. Potem wstał, rozejrzał się, ale nikogo nie zauważył. Teraz pozostała jeszcze łazienka przylegająca do sypialni. Drzwi do niej były zamknięte.

Po drugiej stronie stało trzech mężczyzn, którzy schowali się tam i teraz znaleźli się w pułapce. Wiktor sprawdził magazynek - było tam jeszcze około piętnaście naboí. To więcej, niż potrzebował. Ruszył naprzód.

Nagle z tyłu usłyszał zgrzyt nadepnętej łuski. Zatrzymał się i błyskawicznie odwrócił,



po czym zaczął biec w stronę drzwi wejściowych, gdzie spodziewał się ujrzeć jakiegoś zdumionego gościa albo kogoś z obsługi, wysłanego w celu ustalenia przyczyny hałasów. Zamiast tego zobaczył pośrodku salonu dwie ciemnoszare sylwetki mężczyzn - jedną szczupłą, a drugą niską i muskularną. Obydwaj byli uzbrojeni - zobaczyli go pierwsi i wystrzelili.

Nie mieli tłumików, więc wśród panującej ciszy strzały zabrzmiały niczym eksplozja, a oddali je niemal równocześnie. Pierwszy pocisk ugodził Wiktora w prawy mięsień trójgłowy, a drugi poniżej mostka - powalił go, zanim zdążył strzelić.

Impet strzału wycisnął mu powietrze z płuc. Poczł, że siedzi na dywanie, a gogle noktowizyjne spadły mu z głowy. Słyszał zbliżające się kroki, więc leżał bez ruchu i zaciskał prawą dłoń na kolbie P90. Bolał go brzuch, ale dzięki kamizelce kuloodpornej uderzenie pocisku było jedynie niczym mocny cios. Natomiast absolutnie nie czuł bólu w ramieniu.

Usłyszał, że jeden z mężczyzn mówi coś w niezrozumiałym języku, prawdopodobnie jednym z tych używanych na Bliskim Wschodzie. Zapewne jacyś znajomi Yamouta przybyli wezwani jego alarmującym telefonem. Musieli być gdzieś blisko, skoro znaleźli się tu tak szybko. Może nawet byli na tym samym piętrze, ale musieli przybyć wcześniej, skoro Wiktor ich nie widział. Przypomnił sobie obserwatora siedzącego w holu i rozzłościł się na siebie, bo nie przyszło mu do głowy, że ten człowiek nie mógł być sam.

W miarę jak nieznajomi zbliżali się w jego stronę, ich kroki stawały się coraz wolniejsze. W ciemności nie byli w stanie zobaczyć, że ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Pod ciężarem stopy zaskrzypiała drewniana podłoga pod dywanem. Ktoś stał przy prawej nodze Wiktora - tak blisko, że czubkiem buta dotykał jego biodra.

Z łazienki przylegającej do głównej sypialni dał się słyszeć głos. Jakiś człowiek krzyczał coś po rosyjsku, było to rozpaczliwe wołanie o pomoc. Ktoś inny wołał po arabsku, ale dwaj mężczyźni nie reagowali.

Stopa obok biodra Wiktora poruszyła się. Poczł, że ten człowiek stoi tuż obok jego prawej ręki. Drugi mężczyzna przesunął się na lewą stronę i przeszedł obok niego. Pierwszy z nich przestąpił jego rękę, więc Wiktor poczekał, aż przejdzie trzy kroki i dopiero wtedy otworzył oczy. Przekręcił głowę na bok, ale nic nie widział, jedynie domyślał się, gdzie znajdują się cienie dwóch mężczyzn, wchodzących do sypialni niespiesznie, pomimo wołań o pomoc.

Schwycił mocniej lewą ręką kolbę P90, podniósł pistolet nad głowę, wycelował w plecy pierwszego mężczyzny i nacisnął spust.

Nieprzerwany deszcz pocisków utkwiał w okolicach kręgosłupa przeciwnika, mimo że

pistolet pozbawiony należytej podpórki tańczył w jego ręku i wiele pocisków nie trafiło do celu. Teraz wymierzył w drugą postać, którą trafił w biodro, plecy, ramię i głowę. Strzały były śmiertelne.

Teraz sprawdził, jak ma się jego prawa ręka. Krwawiła, ale niezbyt obficie. Dotknął rany - zaczynała boleć, podczas gdy ból brzucha mijał. Pocisk nie przeszedł na wylot, wciąż tkwił w ranie, w mięśniach. Nic poważnego, ale przez kilka dni nie było mowy o robieniu pompek.

Nagle tuż obok niego pocisk wyrwał kawałek dywanu i deski podłogowej, a inny utkwiał nad jego głową. Strzelał trzeci mężczyzna - znajdował się w salonie i mierzył w kierunku błysków z lufy P90. Wiktor przetoczył się na prawo, usiadł i strzelił w stronę przeciwnika. Bez noktowizora widział tylko na odległość półtora metra, więc nie mógł go dostrzec. Strzelił wachlarzowato - albo miał szczęście i zastrzelił tamtego, albo zmusił go do ukrycia się, a wtedy sam też miałby chwilę, aby to zrobić.

Jednak nie udało mu się trafić i przeciwnik wciąż strzelał. Wiktor widział błyski z lufy i słyszał padające w pobliżu pociski. Drugi strzał trafił w ścianę - farba i tynk posypały się na jego twarz, zanim zdążył wycelować. Po chwili padł trzeci strzał z innej strony. Pocisk przeleciał tak blisko jego głowy, że niemal otarł się o nią. Wycelował i nacisnął spust, ale magazynek był pusty. Nie było czasu na włożenie nowego, dlatego wyciągnął USP, przyjął pozycję strzelecką, wstrzymał oddech i czekał, aż zobaczy kolejny błysk z lufy strzelającego.

Kiedy się pojawił - strzelił.

Nie było żadnego krzyku. Usłyszał tylko dźwięk charakterystyczny dla pocisku kaliber .45 wbijającego się w ciało.

Skoro okazało się, że było jeszcze trzech mężczyzn, o których nie miał pojęcia, to równie dobrze mogło ich być więcej. Przez pięć sekund niemal nie oddychał. Siedział i czekał, z USP wycelowanym w czarną przestrzeń - w sam środek salonu, gdzie mógł się pojawić ktoś, kto wszedłby do apartamentu. Gdy nikogo nie było, zaczął lewą ręką szukać noktowizora, lecz okazało się, że pocisk przeciął go niemal na pół.

Musiałoby minąć co najmniej pięć minut, zanim jego oczy przywykłyby do ciemności, ale nie mógł czekać tak długo. Echo strzałów bez tłumika na pewno rozniosło się po całym hotelu, a milicja już jest na pewno w drodze. Wiktor wiedział, że musi uciekać i to natychmiast, ale jego cel był niecałe sześć metrów od niego. Jeżeli jego pracodawca z CIA zwróciłby się przeciwko niemu, to niewykonanie zadania dałoby mu tylko dodatkowe argumenty.

Szybko pobiegł do głównej sypialni. Uważał, aby nie potknąć się o leżące ciała. Kiedy

podszedł do drzwi łazienki, usłyszał odgłosy ulicy. Wiedział, co to oznaczało, jeszcze zanim poczuł przeciąg. Kopnięciem otworzył drzwi.

Światło wpadające przez wybite okno wystarczyło, aby przekonał się, że w łazience nikogo nie ma. Okno było małe, ale mógł się przez nie precyzyjnie przycisnąć nawet potężny mężczyzna, jeśli od tego miało zależeć jego życie. Wiktor wszedł do wanny i wyrztał przez okno. Na jego krawędzi były strzępy materiału i krew. Nikogo nie widział, za to pod oknem ciągnął się dość szeroki gzyms, a z dala słychać było syreny.

Rzucił się z powrotem do salonu. Uświadomił sobie, że jednego z mężczyzn jedynie ranił, bo teraz słyszał jego jęki. Jednak nie miał już na to czasu - wyskoczył na korytarz, akurat gdy windy zaczęły zjeżdżać w dół. Natychmiast je ostrzelał, ale zniknęły mu z pola widzenia. Zrobił kilka kroków w przód, znowu strzelił i usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Gdzieś na dole krzyczała jakaś kobieta. Strzelał aż do wyczerpania magazynku. Załadował nowy, ale nie otworzył ognia. Dźwig znajdował się piętnaście metrów niżej i był pogrążony w ciemności.

Windy, w przeciwieństwie do wszystkich innych zasilanych energią elektryczną urządzeń hotelowych, nie przestają działać, gdy zostaje wyłączony prąd. Są zasilane przez generatory, właśnie na wypadek podobnych awarii. Nie było mowy, aby mógł dostać się do holu, a nawet jeśli mu się to udało, to i tak byłoby za późno, aby dopaść Yamouta. Już po wszystkim. Nie udało się. Teraz trzeba było się stąd wydostać. Odwrócił się.

Nieco dalej spostrzegł drzwi prowadzące do apartamentu sąsiadującego z prezydenckim. Spod szpary pod drzwiami widać było smugę jasnozielonego światła - widocznie był tam włączony komputer zasilany baterią. Wiktor przypomniał sobie trzech mężczyzn, którzy wpadli do apartamentu prezydenckiego zaledwie minutę po nim. To oni zostali zakwaterowani obok, dlatego tak szybko się zjawili. Jednak nie zareagowali na dobiegające z łazienki wołania o pomoc. A więc nie byli przyjaciółmi handlarzy. Wobec tego kim byli?

Rzucił się w kierunku drzwi. Był zmuszony zastrzelić trzech mężczyzn więcej, niż planował. Próbowali go zabić i uniemożliwić mu wywiązanie się z kontraktu. Musiał się dowiedzieć, dlaczego.

- Nie ruszaj się - powiedział ktoś, stojący tuż za jego plecami.

W jego słowach słychać było pewność, jaką daje posiadanie broni palnej. Wiktor przypuszczał, że była ona wycelowana wprost w niego. Wobec tego zatrzymał się pół metra od drzwi do apartamentu.

- Odwróć się.

Spełnił polecenie.

Naprzeciwko niego w odległości nie większej niż trzy metry stał mężczyzna. Światło sączące się ze szklanej kopyły padało na jego spoconą twarz oraz broń, którą trzymał w ręku. Nie mógł złapać tchu, zupełnie jakby przebiegł kilka pięter. Miał długą, ponurą twarz. Wiktor rozpoznał go, chociaż nie miał na sobie brązowej marynarki. To obserwator.

- Nie ruszaj się - powtórzył.

Wypowiedział te słowa po rosyjsku, ale po akcencie można było poznać, że nie był to jego rodzimy język. Wiktor nie rozpoznał jego narodowości.

Wykonał polecenie. Wciąż trzymał w prawej ręce USP, ale skierował go lufą do dołu. Nie było szans, aby zdążył wycelować. Zostałby obezwładniony w mgnieniu oka. Jego sylwetka była zbyt oświetlona - może miałby szansę, gdyby przesunął się w cień.

- Rzuć broń, ścierwo - powiedział obserwator.

Wiktor wypuścił pistolet z ręki.

- Kopnij w moją stronę.

Zrobił to, co mu kazano, ale tak, by pistolet upadł niezbyt daleko.

Obserwator podszedł bliżej. Poruszał się ostrożnie i spoglądał na ciała dwóch ochroniarzy, leżące przed drzwiami do apartamentu prezydenckiego.

- To twoja robota? Kim ty, do diabła, jesteś?

Wiktor nie odpowiedział.

- To, co masz z tyłu, też wyrzuc - rozkazał obserwator i podkreślił wagę swoich słów ruchem ręki, w której trzymał pistolet.

Sięgnął za plecy, gdzie w kaburze tkwił P22.

- Tylko powoli - upomniął obserwator.

Wyjął walthera i powoli wyciągnął rękę z bronią.

- Tym razem nie rzucaj na ziemię, lecz rzuć mi, a ja złapię.

Zrobił to, co kazał mu obserwator, ale rzucił broń wprost przed siebie, w twarz tamtego. Nie mógł rzucić mocno bez ryzyka, że tamten go zastrzeli, wobec tego wybrał rzut prosto w twarz. Obserwator instynktownie mrugnął oczami i uchylił się, aby nie zostać trafionym w głowę. Wiktor wykorzystał ten ułamek sekundy i wskoczył do apartamentu, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Tam chwycił pierwszą rzecz, jaką zobaczył - szklaną figurkę - i cisnął nią w monitor komputera. Przez chwilę zobaczył na ekranie siedem otwartych okienek, a w nich wnętrze sąsiedniego apartamentu oraz leżące ciała. Kamera mogła pracować w ciemnościach, bo działała na podczerwień.

Dłużej już nie zastanawiał się nad komputerem. Wszystkie jego myśli skupiły się na stojącym tuż za drzwiami mężczyźnie, który miał broń, podczas gdy Wiktor był nieuzbrojony.

## ROZDZIAŁ 24

21:14 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Wiktor skradał się na palcach. W apartamencie było ciepło i duszno, rozchodził się tam zapach wody kolońskiej i potu, a jedyne światło, jakie wpadało do środka, przedostawało się przez szparę w nieszczelnie zasuniętych zasłonach. Bolała go prawa ręka. Ten apartament różnił się od prezydenckiego zarówno wielkością, jak i rozkładem pomieszczeń - były mniejsze i nie tak elegancko urządzone. Z części wypoczynkowej tylko dwoje drzwi prowadziło prawdopodobnie do sypialni. Trzecie oddzielały go od korytarza, w którym stał obserwator. Do sypialni zapewne przylegały łazienki, ale oprócz nich nie było gdzie się schować. Wiktor mógł jeszcze wykorzystać pomysł Yamouta i uciec przez okno, ale to by poskutkowało, gdyby jego wróg stał beczynnym i pozwolił mu uciec.

Wszystkie prowadzące z apartamentu drzwi były zamknięte. Stał bez ruchu. Czekał. Teraz znajdował się w części pełniącej funkcję salonu. Jeśli obserwator chciał go dopaść, to musiał tu wejść. Część wypoczynkowa była największa, a tym samym najłatwiej było się tutaj bronić. Widział zarysy mebli: dużej kanapy, szafek ustawionych wzdłuż ścian, niskiego stolika, biurka, na którym stał komputer, i dwóch stojących tuż obok krzeseł. Wszystkie te meble były przeszkodą dla atakującego oraz potencjalną bronią, która może zostać wykorzystana przeciwko niemu.

Usłyszał ciche skrzypnięcie podłogi na korytarzu przed drzwiami, chwilę później została oddana seria strzałów przebijających drzwi. W sumie było siedem dziur: dwie u góry, dwie na dole i trzy w środku, ale wszystkie w jednej linii. Wiktor ani drgnął.

Teraz rozległ się trzask zamka i Wiktor poczuł powiew świeżego powietrza, które wpadło do apartamentu z otwartych drzwi. Obserwator wypuścił dwie salwy po lewej i prawej stronie drzwi.

Podłoga znowu zaskrzypiała, gdy obserwator wszedł do środka. Wiktor wiedział, że przeciwnik go nie zobaczy, chyba że miałby czas na znalezienie gogli noktowizyjnych - o ile je posiadał - wobec tego ukucnął przed kanapą, aby nie być widocznym na jakimkolwiek tle, na przykład zasłon.

Obserwator poruszał się wolno i ostrożnie - wiedział, że przeciwnik jest nieuzbrojony.

Nie miał powodu się spieszyć. Zamknął za sobą drzwi i przez kilka chwil, dopóki nie ruszył dalej, w apartamencie panowała absolutna cisza. Jego uwagę przykuła smuga światła wydobywająca się ze szczeliny pomiędzy zasłonami. Zrobił kolejny krok.

Kiedy się zbliżył, Wiktor skoczył i w niecałą sekundę pokonał odległość dzielącą go od wroga - nie dał mu czasu na reakcję i namierzenie go.

W chwili zderzenia z obserwatorem broń wypaliła - huk pocisku odrzucił go na drzwi, na tyle silnie, że aż jęknął. Zanim się pozbierał, dostał łokciem w twarz. Wiktor czuł, że trafił w policzek, podczas gdy lewą ręką chwycił za prawy przegub obserwatora, w którym trzymał broń i z całej siły przycisnął ją do ściany.

Przeciwnik zrewanżował się ciosem pięścią w brzuch - nie tak mocnym, aby wyrządzić mu krzywdę, ale dostatecznie silnym, aby sprawić mu ból, chociaż kevlar zmniejszył nieco siłę ciosu. Następnie poczuł serię lewych sierpowych. Skrzywił się i zadawał ciosy łokciami, ale nie było łatwo trafić w głowę obserwatora, bo ciągle kręcił nią we wszystkie strony.

Wobec tego zmienił taktykę - cofnął się o pół kroku, puścił nadgarstek obserwatora, ale chwycił go obydwoma rękami za ramiona i kopnął go kolaniem. Jednak tamten uchylił się w porę i jego kolano trafiło go tuż ponad krocem. Mężczyzna zwinął się, ale nie był to ból, który wykluczyłby go z walki.

Teraz obydwaj przeciwnicy znajdowali się zbyt blisko siebie, aby obserwator mógł zadać cios z boku, wobec tego walnął Wiktora kolbą. Ten zachwiał się i stracił orientację, ale miał na tyle siły, aby złapać go za rękę trzymającą wycelowaną w niego broń. Przeciwnik wykorzystał moment, w którym jeszcze dochodził do siebie i rzucił się na niego całym ciałem. Wtedy ten zachwiał się i stracił na chwilę równowagę.

Zrobił kilka niepewnych kroków i poczuł za sobą kanapę, a wtedy atakujący pchnął go na nią. Upadł na plecy, a potem stoczył się na podłogę i wylądował z podkurczonymi nogami. Natychmiast zerwał się i cofnął dwa kroki w ciemność - usunął się na bok, zanim obserwator zdążył strzelić. Wiktor skulił się i z impetem ruszył na przeciwnika, zwałił go z nóg, po czym obydwaj wylądowali na podłodze.

Cała siła tego uderzenia skupiła się na obserwatrze, a Wiktor usłyszał odgłos broni toczącej się po dywanie. Teraz jednak go to nie obchodziło - całym ciężarem ciała przygniótł przeciwnika do podłogi, równocześnie starał się otoczyć lewą ręką jego szyję. Ten walczył zaciekle, walił go pięściami i łokciami po bokach i po krzyżu. Dobrze wymierzone ciosy trafiały go w najbardziej newralgiczne miejsca, takie jak zebra czy nerki. Wiktor krzywił się z bólu, ale wciąż próbował wsunąć lewą rękę pod głowę przeciwnika.

W końcu mu się to udało i łokieć jego lewej ręki znalazł się dokładnie pod kręgami szyjnymi obserwatora. Wtedy chwycił prawą dłońią swoją lewą rękę i przekreślił obserwatora tak, że leżał plecami do podłogi. Teraz koniec jego przedramienia znalazł się dokładnie pod gardłem wroga. Ścisnął je mocniej.

Na skutek zablokowania tchawicy obserwator natychmiast zaczął się dusić i gwałtownie rzucać we wszystkie strony - starał się zadać łokciami cios w brzuch, chwycić go za rękę, dosięgnąć oczu. Z każdą sekundą zwiększała się ilość dwutlenku węgla w jego krwi, podczas gdy ilość tlenu gwałtownie malała. Po trzydziestu sekundach siła jego uderzeń wyraźnie zmalała, a po minucie nie był już w stanie wyrzucić przeciwnikowi krzywdy. Po upływie następnych trzydziestu sekund przestał walczyć, ale Wiktor jeszcze przez pół minuty nie rozluźniał uścisku - czekał, aż ciało mężczyzny stanie się bezwładne. Chciał się upewnić, że jego przeciwnik jest nie tylko obezwładniony, lecz także martwy.

Wstał. Brzuch i plecy bolały go od otrzymanych ciosów, ale poza tym nie doznał żadnych innych kontuzji. Najwyżej rano odkryje kilka zadrapań i siniaków - i to wszystko. Bolała go głowa. Wiedział, że powinien jak najszybciej przyłożyć do niej lód. Czuł pulsującą ranę w rękę. Ta walka na pewno nie poprawiła jej stanu. Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej dostrzegł broń zabitego. Gdyby wiedział, że leży ona tak blisko, starałby się jej dosięgnąć, aby oszczędzić sobie tej szarpaniny. Z drugiej strony - to było dobre ćwiczenie.

Był to SIG Sauer P226. Obserwator wystrzelił jedenaście pocisków, a więc w magazynku zostały jeszcze cztery naboje.

Wiktor wyjął go, po czym znalazł przy zabitym jeszcze dwa pełne magazynki i portfel. Załadował jeden z nich, odsunął też zasłonę, aby lepiej wszystko widzieć. Przez chwilę rozważał zabranie komputera, ale był zbyt duży, aby można go było schować. Jednak zawierał dowody łączące go bezpośrednio z całą tą sprawą. Wobec tego, aby mieć pewność, że informacje na twardym dysku już nigdy nie będą mogły zostać odtworzone, wpakował w niego kilka pocisków kalibru 9 mm.

Wyszedł z pokoju i - choć nie miał już ani sekundy do stracenia - pobiegł do prezydenckiego apartamentu. Zerwał zasłonę i zobaczył leżącego na ziemi mężczyznę z wielką, mocno krwawiącą raną poniżej prawego obojczyka. Człowiek jeszcze żył. Jego ubranie było częściowo przesiąknięte krwią. Kilkanaście centymetrów od niego leżała broń.

Wiktor schylił się, chwycił leżącego za koszulę, popatrzył mu w oczy i spytał:

- Kim ty jesteś?

Ranny nie odpowiedział, na pewno bardzo cierpiał z bólu. Był śniady, miał czarne włosy i oczy, tak samo jak obserwator. Wiktor zobaczył w nich inteligencję i siłę woli - to ją



trzeba było natychmiast złamać.

Dłonią lewej ręki zatkał leżącemu usta, podłożył mu kciuk pod brodę, tak, aby tamten nie mógł ich otworzyć. Natomiast kciuk prawej ręki, w której trzymał SIG-a, wsadził w ranę leżącego i zaczął w niej wiercić.

Zatkanie ust uniemożliwiało rannemu krzyki. Wiktor przerwał, gdy zobaczył, że leżący jest bliski omdlenia, wyciągnął kciuk i wytarł go o jego ubranie. Jednak nie zdejmował dłoni z jego ust, dopóki nie zobaczył, że mężczyzna wraca do przytomności.

- Kim jesteś? - spytał znowu.

- Po prostu mnie zabij - powiedział mężczyzna. Oddzielał od siebie każde z tych czterech słów, które wypowiadał między jednym a drugim wydechem.

Nie odpowiedział na pytanie, a nawet zdołał ułożyć usta w coś na kształt uśmiechu.

Wobec tego Wiktor znowu zastosował swoją metodę egzekwowania zeznań - tym razem dłużej kręcił palcem w ranie.

Znowu jego dłoń stłumiła krzyki leżącego. Tym razem policzył do pięciu, zanim wyjął kciuk z rany leżącego. Po kolejnych 5 sekundach mężczyzna się uspokoił.

- Kim jesteś? - zapytał Wiktor po raz trzeci.

- Zabij... mnie.

Stan rannego błyskawicznie się pogarszał, oddech stawał się coraz płytszy, głos słabszy, a odstępy między słowami - dłuższe.

Wiktor nachylił się niżej nad leżącym.

- Ilu mężczyzn tu było?

Głowa leżącego opadła na bok.

- Czterech? - zapytał i popatrzył mu w oczy.

Mężczyzna wykonał słaby ruch głową przypominający skinienie.

Wiktor nie był pewien, czy w pobliżu nie ma jeszcze jakichś mężczyzn, ale tamten wydawał się zbyt słaby, aby przeżyć dalsze przesłuchanie. Zresztą nieważne, czy jeszcze jacyś ludzie w mieście są zamieszani w tę sprawę - ważne, że wplątał się w przeprowadzaną przez kogoś operację zwiadowczą i zabił ludzi, którzy się nią zajmowali. A więc musiał wiedzieć, dla kogo pracowali. Znowu podszedł do leżącego, chciał mu zadać jeszcze jedno pytanie, ale tamten miał już zamknięte oczy. Sprawdził jego tętno - było słabe, serce już przestawało bić, wobec tego przeszukał go. Mężczyzna nie miał przy sobie ani portfela, ani żadnego dokumentu tożsamości. Przy innych ciałach też nic nie znalazł. Nie było czasu, aby przeszukać apartament prezydencki, dlatego zdjął kamizelkę kuloodporną i pasy z kaburami, odłączył tłumik od SIG-a i schował go do kieszeni, a broń zatknął za pasek. Rękawem otarł

pot z twarzy i udał się w stronę schodów, do miejsca, w którym zostawił buty. Włożył je i szybko zbiegł kilka pięter w dół. Ramię bolało go coraz bardziej; walka z obserwatorem nie wyszła mu na dobre. Na czwartym piętrze wmieszał się w grupę przerażonych gości i też zaczął udawać panikę. W holu na dole było pełno ludzi przerażonych dochodzącymi z góry strzałami. Obsługa hotelowa zapaliła świece i w ich świetle szybko znalazł boczne wyjście.

Gdy wychodził, pod hotel podjeżdżały milicyjne samochody.

## ROZDZIAŁ 25

MIŃSK

21:35 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

- Już niedługo - powiedział Abbot.

Saul Callo znajdował się w Mińsku w jakimś małym wynajętym mieszkaniu w bloku. Abbot i Blout przywieźli go tu kilka godzin temu. Przez cały ten czas Callo leżał na kanapie i oglądał amerykańskie opery mydlane - tyle że po rosyjsku. Dostarczono mu mnóstwo picia i jedzenia, głównie typu fast food - widocznie Blout nie był wybredny w kwestiach kulinarnych. W tej sytuacji każdy posiłek mu odpowiadał, bo Callo pomimo swojej chudości miał spory apetyt. Teraz leżał pośród pustych torebek po chipsach i batonikach.

Abbot patrzył przez okno od dobrej godziny i w kółko powtarzał to samo. Blout zmieniał się z Abbotem - gdy jeden siedział z Callem, drugi był obok w sypialni, ale ani na chwilę nie zostawiali go samego. A kiedy Callo potrzebował iść do ubikacji, nie wolno mu było zamykać drzwi, w których stał Blout.

Czekali na coś, ale Callo zrezygnował z prób rozszyfrowania, o co w tym chodzi.

Od rana czuł się zmęczony. Co prawda w mieszkaniu nie było zegara, ale Callo wiedział, która jest godzina, bo po kryjomu przełączył kanał telewizyjny na wiadomości. Postąpił tak kilka razy i był bardzo dumny ze swojego sprytu.

Mieszkanie składało się z dwóch sypialni, jednej łazienki, saloniku z aneksem jadalnym, kuchni i przedpokoju. Było zadbane i czyste. Jednak jego ostatni pobyt w Grecji prawdopodobnie kosztował więcej niż całe to lokum razem z wyposażeniem. Ktokolwiek prowadził tę operację - CIA czy jeszcze ktoś inny - powinien zwiększyć budżet. Może ci dwaj goryle mogliby wtedy lepiej wypocząć. Powieki Callo stawały się coraz cięższe.

- Czy mogę się położyć? - zapytał, gdy nie był już w stanie dłużej walczyć ze snem.

- Nie - odpowiedział Abbot. Nawet na niego nie spojrzał.

- Zaraz zasnę.

- Rób, co chcesz. Obudzę cię, kiedy będzie trzeba - odparł Abbot.

Callo zasnął natychmiast. Czego oni od niego chcieli? Po co był im potrzebny? Blout wszedł i skinął na Abbota, który poszedł za nim do sypialni. Zanim zamknęli drzwi, Callo

usłyszał jakieś głosy, chyba dochodzące z radia. Mówili po rosyjsku, ale zbyt cicho, aby mógł cokolwiek zrozumieć.

Od pewnego czasu nie sprawdzał godziny, więc przyciszył telewizor i przestawił kanał na informacyjny. Nie słyszał, co mówi spiker, ale niewątpliwie coś się stało. Widział ludzi wynoszących torby z ciałami ofiar. Wokół było pełno przestraszonych gości, policjantów i strażaków. Callo wpatrywał się w ekran.

Nagle usłyszał, że otwierają się drzwi, więc zmienił kanał, zanim Abbot wszedł do pokoju.

Wziął telefon ze stołu i rzucił go w stronę Calla, a potem wyjął z kieszeni dzinsów jakiś papier i podetknął mu pod nos.

- Oto, co masz zrobić - powiedział Abbot z naciskiem, a w jego głosie pobrzmiwały twarde nuty. - Zadzwoń na numer Gabira Yamouta i temu, kto odbierze telefon, powiesz to, co jest napisane na tej kartce. Mówisz po arabsku, czy tak? Możesz to powiedzieć swoimi słowami, jak chcesz, ale radziłbym ci przekazać to wszystko.

Callo wziął kartkę i szybko przeczytał to, co było na niej napisane.

- Tak, znam arabski, ale nie, nie... rozumiem. To nie ma najmniejszego sensu.

- Nie musisz nic rozumieć, wystarczy, że to powiesz - oznajmił Abbot.

- Ale ja...

Nie zdążył skończyć zdania, bo Abbot uderzył go w twarz. Zaboląło. Telefon wypadł mu z ręki. Spojrzał na Abbota i nagle ogarnął go strach. Zauważył, że Blout też wszedł do pokoju.

- Dzwon do Yamouta - powtórzył zimno Abbot. - I powiedz to, co jest napisane na tej pieprzonej kartce.

Callo podniósł telefon z podłogi i położył go sobie na kolanach. Spostrzegł, że Blout mu się przygląda. Callo wykręcił podany numer - zauważył, że taki sam miał zapisany w swojej komórce.

- Przepraszam - powiedział. - Nie bij mnie, ale to nie jest aktualny numer Yamouta, tylko jednego z ludzi Ariffa, który powtórzy Yamoutowi, że dzwoniłem.

- Wiem, Saul - odparł Abbot. - I o to właśnie chodzi. Sprawiaj wrażenie, że działasz w panice.

Callo ponownie wykręcił numer i poczekał dwadzieścia sekund, zanim ktoś odebrał telefon. Usłyszał wypowiedziane po arabsku: „Tak?” i powtórzył wszystko, co było napisane na kartce, a było to kilka krótkich zdań.

Abbot rozłączył rozmowę.

- Świetnie Saul. Doskonale się spisałeś.

Wydawał się autentycznie szczęśliwy. Callo nawet próbował się do niego uśmiechnąć. Wówczas do pokoju wszedł Blout.

Callo znowu spojrzał na kartkę.

- Och, zapomniałem powiedzieć tego o tym hotelu. Przepraszam, bardzo przepraszam.

- To nieważne - stwierdził Abbot i wzruszył ramionami.

- Takie szczegóły nie mają znaczenia, najważniejsze, w jaki sposób to przekazałeś.

Byłeś przekonujący.

- Tak? No, to dziękuję.

Znowu wszedł Blout, tym razem z torbą na ramię, z której wyjął portfel. Podał go Abbotowi, a ten wyrzucił na dywan jego zawartość - karty kredytowe, rachunki, pieniądze i całą resztę. Kopnięciem rozrzucił je po podłodze. Wyrzucił też portfel.

- Co ty robisz? To moje rzeczy - zaprotestował Callo.

Abbot nie odpowiedział. Callo przeniósł wzrok na Blouta, który grzebał w torbie.

- Czy to już wszystko, co chcieliście, żebym zrobił? - spytał Callo, gdy już zebrał się na odwagę.

Abbot zawiązał rękawy koszuli.

- To była połowa i spisałeś się świetnie. Tak, jak powiedziałem - byłeś bardzo przekonujący. I taki miałeś być. A teraz czas na drugą część i tu także musisz się postarać.

Callo ochoczo kiwnął głową, chętny do pomocy.

- Dobrze, zgoda.

- Jestem pewien, że dobrze się spiszesz - powiedział Abbot, dziwnie się uśmiechnął i wyjął z torby dwie pary lateksowych rękawiczek. Jedną z nich rzucił Bloutowi.

- To do kogo mam zadzwonić?

- Nie będzie już żadnych telefonów, Saul. Teraz musisz przekonać swoich arabskich przyjaciół, że zostałeś zaatakowany.

Wzrok Callo błędził od Abbota do Blouta.

- Ale ja powiedziałem, że uciekłem.

Abbot skinął głową i naciągnął na swoje wielkie dłonie rękawiczki.

- O, ale oni znajdą cię ponownie.

Blout podszedł bliżej. W jego ruchach było coś złowieszczonego. Callo wpatrywał się w Abbota. Nagle zrozumiał, oczy zaszły mu łzami, a głowa kiwała się z boku na bok.

Abbot stanął nad Callo i zacisnął dłoń w pięść.

- Przykro mi, Callo, ale musiałeś się tego spodziewać.

## ROZDZIAŁ 26

21:45 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Pół godziny po wyjściu z „Europy” Wiktor znalazł się w swoim hotelu. Zazwyczaj tak nie postępował, najpierw sprawdzał, czy nie jest śledzony. Ale teraz, z mocno krwawiącym ramieniem, nie byłoby to najlepszym pomysłem. Przez dwie godziny kluczyć i obserwować, czy nikt za nim nie idzie - tak mówiła teoria. Jednak rana mogła zostać zainfekowana, mógł też zauważyć go jakiś milicyjny patrol. Kiedy przechodził przez hotelowy hol, uważał, aby nie zdradzać pośpiechu. Wsiadł do windy, żeby szybciej znaleźć się w swoim pokoju. Rana pozostała niezauważona, bo przykrywała ją marynarka.

W pokoju zrzucił z siebie ubranie i pobiegł do łazienki. Obejrzał ranę przed lustrem. Miała około dziesięciu centymetrów długości i chyba dwa i pół centymetra głębokości - krwawiła gorzej niż na początku. Cała prawa ręka była we krwi. Zatkaną umywalkę i napełnił ją gorącą wodą. Następnie wziął dwie torebki herbaty i zanurzył je na chwilę w kubku z zimną wodą, żeby zwilgotniały. Z walizki wyjął czystą podkoszulkę i podarł ją na pasy. Krzywił się przy tym z bólu. Potem zanurzył rękę w umywalce, pomimo bólu obmył ranę i usunął z niej kawałeczki materiału i innych nieczystości, po czym osuszył ją ręcznikiem. Trzymał rękę poziomo, przyłożył do rany wilgotne saszetki z herbatą, a potem obandażował ją, lecz niezbyt ciasno. Wiedział, że herbata zawiera taninę, która hamuje krwawienie, zmniejsza ryzyko infekcji i przyspiesza proces gojenia. Po pięciu minutach odwinął bandaż, aby zobaczyć, czy torebeczki nie przesiąkły krwią, a ponieważ były całe czerwone, wyrzucił je i przyłożył świeże. Znowu zabandażował ramię, tym razem nieco mocniej, a po pięciu minutach ponownie obejrzał ranę. Krwawienie ustało.

Teraz wziął saszetkę cukru i wsypał ją do wnętrza rany. Zawarte w nim naturalne składniki antybakteryjne powinny zapobiec rozwojowi infekcji bądź go zahamować. Znowu zabandażował rękę, wyjął z minibaru dwie buteleczki wódki i usiadł w pełnej wody wannie. Uważał przy tym, aby nie zamoczyć rany. Na wszelki wypadek trzymał rękę ponad wodą.

Od razu poczuł zmęczenie. Adrenalina opadła i teraz musiał powstrzymać się, aby nie zamknąć oczu. Przez głowę przelatowały mu sceny niedawnego ataku. Mogło być o wiele gorzej. Yamout uciekł, a Wiktor był zmuszony zabić kilka osób z jego obstawy i sam został

ranny. No i jeszcze przegapił obserwatora, wziął go za jednego z ochroniarzy swojej niedoszłej ofiary. Gdyby ci trzej mężczyźni siedzący przy komputerze chronili Yamouta albo Petrenkę, pospieszyliby im z pomocą, kiedy tamci prosili o to, zamknięci w łazience. A więc kim byli? Kogo mieli obserwować?

Ponieważ żadne wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy, na razie odegnał od siebie te myśli. Sprawdzał, jak wygląda rana i ucieszył się - nie było źle. Już nie krwawiła, była czysta i wyglądało na to, że będzie się dobrze goić. To tylko kolejna blizna - miał ich już tyle, że jedna więcej nie robiła różnicy. Nie miał zwyczaju zdejmować koszuli w niczyjej obecności, gdyby jednak blizna okazała się zbyt widoczna, wizyta w gabinecie chirurga plastycznego załatwiłaby sprawę. Oprócz kobiet to właśnie mordercy stanowili lwią część klienteli tych lekarzy.

Wiedział, że zamiast cukru i torebeczek z herbatą dobrze byłoby zaopatrzyć się w środki opatrunkowe z prawdziwego zdarzenia. Jednak nie zamierzał ryzykować i wybierać się na poszukiwanie całodobowej apteki, kiedy milicja gorączkowo przeczesywała miasto. Co prawda wątpił, że szukają jednego człowieka, ale mogliby go przypadkowo zatrzymać na ulicy. Może nawet są na tyle sprytni, że obserwują szpitale i otwarte do późna apteki.

Milicja będzie postawiona na nogi przez całą noc: będzie chciała złapać zbiegów, bo przecież ucieczka wpisuje się w scenariusz takich akcji; kryminaliści zwykle tak postępują w podobnych sytuacjach. Wiktor uważał ucieczkę za dobre wyjście z sytuacji kryzysowej - jeżeli miejsce nie jest bezpieczne, trzeba się wycofać, a po wydostaniu się ze strefy zagrożenia należy się zatrzymać, przegrupować i ułożyć nowy plan. Jednak nieprzemyślana ucieczka może być niebezpieczna. Presja nie sprzyja koncentracji i zaburza umiejętności. Na dodatek nocą na ulicach jest mniej ludzi, a więc nie można ukryć się w tłumie, co zmniejsza szanse na szybką ucieczkę. Poza tym Wiktor był ranny, co było trudne do ukrycia i mogło go zdemaskować.

Siedział w wannie, choć kran uwierał go w plecy. Nie mógł jednak zmienić pozycji, bo musiał być zwrócony twarzą do drzwi. Nie zamknął ich, aby widzieć sypialnię. Co prawda nie był w stanie obserwować drzwi wejściowych, ale ustawił niewielkie lusterko tak, aby widzieć ich odbicie. Nie spodziewał się nikogo, ale przedsięwzięte środki ostrożności zdają egzamin tylko wówczas, kiedy zastosuje się je w porę.

Pozwolił sobie na dwudziestominutową kąpiel, rozkoszował się ciepłą wodą i krążącym we krwi alkoholem. Miał mocną głowę, więc nie zmacił mu on jasności myślenia. W razie potrzeby uwolniona adrenalina natychmiast zniwelowałaby działanie wypitego trunku. Dlatego cieszył się kąpielą - czuł miły szum w głowie i oglądał broń należącą do

obserwatora.

Po kąpieli posprzątał sypialnię i łazienkę, usunął wszystkie plamy krwi kawałkiem koszuli nasączonej wódką. Zakrwawiony ręcznik i wszystkie inne poplamione rzeczy schował do torby, włożył czyste ubranie i zamówił do pokoju kolację. Po trzydziestu minutach przyniesiono dwa burgery i porcję frytek. Nieźle.

Upewnił się, że wszystko jest należycie posprzątane, po czym położył się - jak zwykle kompletnie ubrany - na pościelonym łóżku, wetknął SIG-a za pasek i usiłował zasnąć. Potrzebował odpoczynku i snu - wtedy jego ramię najszybciej się zagoi. A potem musiał wydostać się z Mińska. I co dalej?

Nie miał zamiaru kontaktować się natychmiast ze swoim zleceniodawcą z CIA. Jeżeli jeszcze nie wiedział, co się wydarzyło, to niedługo miał się o tym dowiedzieć. Nie wiedział, jak zareaguje na niewykonanie zadania, ale na wszelki wypadek wołał być jak najdalej. Być może ten z CIA byłby bardziej wyrozumiały, gdyby wiedział, że tylko wmieszanie się trzeciej strony uniemożliwiło mu wywiązanie się z kontraktu. Może zabicie tych ludzi niesie za sobą poważne konsekwencje i naraził tym swojego zleceniodawcę na jakieś kłopoty.

A może stanie się ciężarem, którego lepiej się pozbyć.



## ROZDZIAŁ 27

23:58 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Danił Petrenko był równie wściekły, co przestraszony. Rozjuszyło go, że ktoś ośmielił się podjąć próbę zamachu na niego w samym środku jego miasta, a jednocześnie przerażał go fakt, że to się niemal udało. W lewej ręce Petrenko ścisnął naładowany desert eagle kaliber .50 i cały czas spacerował po apartamencie. Warczał pod nosem polecenia skierowane do swoich pracowników - albo po prostu dawał w ten sposób upust frustracji i zdenerwowaniu. Jego ludzie zadzwonili do wszystkich pracujących dla Petrenki i ściągnęli ich do ochrony jego rezydencji. Jeżeli napastnik znowu by zaatakował, musiałby się zmierzyć z niewielką armią.

Jego ludzie pilnowali wejścia do budynku, wind. Byli w holu i strzegli drzwi do apartamentu Petrenki. Zaś w jego ogromnym mieszkaniu straż pełniło sześciu najlepiej zbudowanych i najokrutniejszych gangsterów. Wszystkie okna były zamknięte, żaluzje, zasłony i kotary zasunięte. Lampy, a nawet świece - zapalone na wypadek, gdyby raptem zgasło światło, tak jak to miało miejsce w hotelu. Każdy ochroniarz Petrenki był uzbrojony. Ci, którzy czuwali przy nim, mieli karabiny, niekiedy półautomatyczne. Niektórzy włożyli kamizelki kuloodporne. Zmysły wszystkich były maksymalnie wyostrzone, a nerwy napięte do ostateczności, bo przecież zaledwie kilka godzin temu trzech ich kolegów zginęło w czasie bezlitosnego ataku.

Jednak Petrenko nawet z całą obstawą nie czuł się bezpiecznie. Jedni ludzie chronili go w domu, inni rozproszyli się po całym mieście - dobijali się do wielu drzwi, wyłamywali palce, by dowiedzieć się, kto stał za tym atakiem. Pomagali im w tym kryminaliści, których Petrenko znał i milicjanci, których opłacał - a wszyscy ze strachu, że jeśli on zginie, to stracą źródło dochodu. Samego zainteresowanego nie obchodziły motywy, ale rezultaty.

Nie stał za tym ten libański skurwiel Yamout. Petrenko widział w jego oczach strach. On mógł stanowić cel w takim samym stopniu jak Petrenko. A może tym zabójcom chodziło wyłącznie o Yamouta i tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że w chwili ataku Petrenko znalazł się w tym samym miejscu, co on. Zdaniem Petrenki takie wyjaśnienie miało sens, ale po latach strzelanin i wciągania kokainy, wskutek czego cierpiał na paranoję - trudno mu było uwierzyć, że nie figuruje na żadnej czarnej liście.

Minęły trzy godziny od momentu, gdy wraz z jedynym ochroniarzem, któremu udało się przeżyć - uciekł z hotelu „Europa” Zazwyczaj kładł się spać wcześniej, ale dziś był zbyt podekscytowany, aby zasnąć, i nie było szans, że pomoże mu w tym solidna dawka boliwijskiej kokainy. Penthouse Petrenki znajdował się w dziesięciopiętrowym apartamentowcu w jednej z najdroższych i najelegantszych dzielnic Mińska, a mieszkał w nim wraz ze swoją prześliczną przyjaciółką, modelką, która teraz zamknęła się w gościnnej sypialni, aby zejść z drogi Petrence i jego ludziom.

Z pokoju obok wyszedł jeden z jego ludzi. W jednej ręce trzymał broń, a w drugiej telefon komórkowy.

- Właśnie dostałem informację z dołu. Jest tutaj - powiedział.

- OK. Niech tu przyjdzie, ale zabierz jemu i jego ludziom broń i ani na sekundę nie spuszcza ich z oczu. Zrozumiałeś? Ani na sekundę.

Podczas gdy jego człowiek wydawał rozkazy trzymającym wartę na dole, Petrenko opryskał sobie twarz zimną wodą, odgarnął w tył mokre od potu włosy i wciągnął jeszcze jedną solidną działkę narkotyku. Wziął głęboki wdech, wytarł nozdrza i czekał w salonie na gości.

Chwilę później dało się słyszeć pukanie do drzwi, po czym jego ludzie odebrali przybyszom broń i zaprowadzili ich do salonu. Kiedy Tomasz Burliuk wszedł, Petrenko wstał. Za wysokim, przystojnym Ukraińcem szło dwóch ochroniarzy; nie byli zbyt wysocy ani potężni, ale ich pewny krok i stalowe spojrzenie mówiły same za siebie. Wszyscy trzej mieli na sobie garnitury i płaszcze.

- Danił - zaczął Burliuk. - Co to za brak dobrych manier?

- Przepraszam cię, Tomaszu, ale nie mogę nie być przesadnie ostrożny. Nie masz pojęcia, co dzisiaj przeszedłem. Mało brakowało, a bym nie żył. Mało brakowało.

Burliuk postąpił krok naprzód w głąb pokoju, ale jego goryle ani drgnęli.

- Powiedz mi, co się stało - zaczął Burliuk ze współczującą miną na brodatej twarzy.

Petrenko usiadł i zaczął opowiadać.

- Właśnie zacząłem negocjacje, gdy nagle zgasło światło. Nie zwróciłem na to uwagi, pomyślałem, że to korki, ale pół minuty później moi ludzie zaczęli ginąć. Cholera, Tomasz, ktoś próbował mnie zabić w moim własnym mieście - potrząsnął głową. - Musiałem uciekać przez okno. Patrz - pokazał mu podrapany nadgarstek. - Omal nie spadłem i nie zabiłem się.

Burliuk rozpiął płaszcz i usiadł na fotelu naprzeciwko Petrenki.

- Co z Yamoutem?

- Jak to co?

- Uciekł? - dopytywał się Burliuk.

- Uciekł, ale żaden z jego ludzi nie uszedł z życiem. A przyszedł z sześcioma. Uwierzysz? Z sześcioma. Jak ich zobaczyłem to się wściekłem, taka zniewaga! Ale teraz powinienem mu podziękować. Być może gdyby nie oni, nie byłoby mnie tutaj.

- A gdzie jest teraz Yamout?

- Skąd mam wiedzieć i co mnie to obchodzi!? - fuknął Petrenko. - Jak tylko wyszliśmy z windy, każdy poszedł w swoją stronę. Nie spacerowaliśmy razem, aby uzgodnić warunki podróży. Teraz pewnie wraca na swoją pustynię.

- Był ranny?

- Co się tak o niego martwisz? - rozłościł się Petrenko. - Może to przez niego omal nie zginąłem.

- Pewnie masz rację - powiedział cicho Burliuk. - Masz jakichś wrogów.

Petrenko zastanowił się przez chwilę. To wszystko zaczynało układać się w logiczną całość.

- Ależ każdy przestępca w tym mieście jest moim wrogiem - odpowiedział i rozłożył ręce. - Lecz słusznie robią, że się mnie boją. Żaden z nich nie odważy się wystąpić przeciwko mnie. Ja jestem królem Mińska - zakończył i uderzył się w pierś.

- I do tego właśnie zmierzam, królu - powiedział Burliuk, pochylił głowę i przez chwilę przyglądał się swojemu rozmówcy w milczeniu.

W końcu Petrenko zrozumiał.

- Jeżeli komuś zależałoby na mojej śmierci, to dlaczego miałby atakować mnie właśnie teraz i to w hotelu, w obecności ludzi Yamouta? To on musiał być celem.

- Tak jest - przytaknął Burliuk.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz, bo uważam, że jesteś współodpowiedzialny za to, co się stało.

- Co takiego?

- To ty doprowadziłeś do tego mojego spotkania z Yamoutem. Ty na nie nalegałeś; mnie ten kontakt nigdy nawet nie przyszedłby do głowy.

Burliuk milczał.

- Posłałem po ciebie, żebyś to wyjaśnił.

Burliuk zaśmiał się krótko.

- Nigdzie po mnie nie posyłałeś. Prosiłeś, abym przyszedł, a ja postanowiłem wyświadczyć ci tę przysługę.

Twarz Petrenki zaczerwieniła się ze złości. Zrobił krok w stronę Burliuka i jego

obstawy, a kokaina sprawiła, że czuł się potężny wobec tych nieuzbrojonych cudzoziemców.

Goryle Ukraińca natychmiast zastąpili mu drogę. Petrenko prychnął lekceważąco i wyciągnął rewolwer. Jeśli tylko by chciał, mógłby zastrzelić tych dwóch debilnych nieuzbrojonych zbirów w jednej sekundzie.

Jeden z ochroniarzy wyciągnął rewolwer i przyłożył lufę do policzka Petrenki. Ten opuścił broń, gdyż żadnego z jego ochroniarzy nie było w pobliżu.

Burliuk kazał swoim ludziom cofnąć się.

- Nie ma powodu wyrządzać sobie takich przykrości. Rozwiążmy to pokojowo - powiedział do Petrenki.

- Doskonale - zgodził się Petrenko.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę dostać tych, którzy chcieli mnie zabić.

- Ale jak to? Przecież celem był Yamout.

- Nieważne, kto był celem - prychnął Petrenko. - Ważne, że zostałem zaatakowany, w wynajętym przeze mnie apartamencie, w moim mieście i że zginęli moi ludzie. Wielu jest takich, którzy chcieliby przejąć moją władzę i którzy teraz uważają, że jestem słaby. Tymczasem jestem silniejszy niż każdy mój rywal z osobna, ale nie na tyle mocny, aby pokonać ich wszystkich. Muszę pokazać, że jestem silny i muszę zrobić to teraz, a ty możesz mi w tym pomóc.

- Danił, nie sądzę.

- Nie waż się mi odmawiać. Mam własnych kupców ustawiających się w kolejce po moją broń, ale zrobiłem to, o co prosiłeś, wyświadczyłem ci uprzejmość, spotykając się z Yamoutem i chcąc sprzedać mu broń. A teraz zastanawiam się, dlaczego tak ci na tym zależało? I może się ucieszysz, że jeszcze nie wymyśliłem odpowiedzi na to pytanie, ale jestem pewny, że bez względu na to, jakie miałeś układy z Yamoutem, to Kazakow nic o tym nie wiedział. I ciekaw jestem, co też Władimir Kazakow, który jest twoim szefem, powiedziałby, gdyby się dowiedział, że jego prawa ręka knuje coś za jego plecami.

Burliuk milczał przez dłuższą chwilę.

- Tak niepotrzebnie narażałbyś swoje życie? - spytał wreszcie.

- Chyba nie jesteś dość silny, aby mi grozić, Tomaszu.

- Nie grozę. Po prostu, jeśli udasz się z tymi informacjami do Kazakowa, to zabije najpierw ciebie, a potem mnie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Nie wierzę, przecież on nie rywalizuje z Yamoutem. Tyle, to wiem. Nie obchodzi go, że próbowałem ubić interes z Yamoutem. Ale już fakt, że ty też chciałeś to zrobić - to go

bardzo zainteresuje.

Burliuk zaczął się śmiać.

- No, to jesteś głupi. Kazakow będzie cię torturował. Owszem, nic nie wiedział o moich kontaktach z Yamoutem, który wyświadczył mi pewną przysługę, a w zamian za to ja poleciłem go tobie. I aż do tej chwili nie stanowiło to problemu, ale teraz Kazakow dowiedział się, że organizacja Yamouta ponosi odpowiedzialność za śmierć jego ukochanego bratanka Illariona i Kazakow pała rządzą zemsty. I to krwawej. Dlatego, jeżeli się dowie, że miałem konszachty z jego zaciekłym wrogiem, to zginę. I ty też.

- Nie wierzę ci.

Burliuk wyjął telefon komórkowy.

- No, to dzwoń do Władimira i graj o swoje życie.

Petrenko pomyślał przez chwilę i machnął ręką.

- No dobra, wygrałeś. Odłóż ten telefon. Nie ma co się martwić o Kazakowa, ale co z Yamoutem? Ponieważ to ty nas ze sobą poznałeś, to może uważać, że próbowałeś go zabić.

- To się kupy nie trzyma. Yamout ani nie wie, jak się nazywam, ani dla kogo pracuję. Zresztą i tak niedługo będzie już trupem. Nie muszę się tym martwić.

- Bardzo się cieszę - powiedział Petrenko - ale nadal muszę brać pod uwagę swoich rywali. Muszę pokazać, jaką cenę musi zapłacić każdy, kto występuje przeciwko mnie.

- To powiedz, czego się dowiedziałeś o tych, którzy was zaatakowali.

- Jeszcze niczego - Petrenko wzruszył ramionami.

- To się zdarzyło trzy godziny temu.

Petrenko wzruszył ramionami.

- Moi ludzie robią, co mogą. Przepytali każdego zbira w tym mieście.

- Zmarnowałeś już trzy godziny - ciągnął dalej. - I nie zmarnujesz już ani sekundy więcej. A teraz powiedz: widziałeś któregoś z tych, co strzelali?

- Nie.

- A ten twój człowiek, który też uciekł?

- Miej do mnie trochę zaufania, Tomaszu. Oczywiście, że go pytałem, ale nikogo nie widział.

Burliuk zaczął chodzić w kółko po pokoju.

- A czy coś słyszałeś? Cokolwiek. Może jakieś głosy.

- Nie - Petrenko znowu zaprzeczył.

- Czy coś się wydarzyło przed przybyciem Yamouta?

- Przed przybyciem? Dlaczego o to pytasz?

- Bo, debilu, przecież oni nie przyszli sobie prosto z ulicy i nie zaczęli strzelać. Najpierw musieli obserwować hotel. Musieli być tam przed przyjazdem Yamouta, a może nawet i przed twoim. Musieli obserwować cel. Czy widziałeś kogoś podejrzanego?

- Nie - odparł Petrenko i potrząsnął głową.

- A twój człowiek?

- Nie wiem.

- Sprowadź go tutaj.

Petrenko zawołał jednego ze swoich ludzi.

Po chwili ochroniarz wszedł do pokoju. Wyglądał na zdenerwowanego. Podobnie jak wszyscy obecni w mieszkaniu, słyszał całą rozmowę.

- Czy dzisiaj - zaczął Burliuk bez chwili zwłoki - widziałeś w hotelu kogoś, kto nie pasował do tego miejsca? Może jakichś cudzoziemców. Mogli być inaczej ubrani. Czy nie wydawało ci się, że ktoś cię obserwuje, choćby przechodząc obok ciebie? Może ktoś zatrzymał na tobie wzrok dłużej niż sekundę.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę i przecząco pokręcił głową.

- Nie widziałem nikogo podejrzanego. Żadnego cudzoziemca. Nikt nie wyglądał, jakby nas obserwował, i nikt się nie wyróżniał. Jediną osobą, jaką widziałem, był mężczyzna z obsługi hotelu.

- Kiedy to było? - zapytał Burliuk.

Petrenko spojrzał na swojego goryla.

- No, kiedy?

- Kiedy wyszliście. Właściwie kilka minut po waszym wyjściu.

- Czego chciał? - spytał Burliuk.

- Właściwie to nie wiem. Sprawdzić apartament - odparł pytany, głośno dysząc.

- Jak to sprawdzić? Co dokładnie robił?

- Wszedł i rozejrzał się.

- Jak się nazywał? - zapytał Petrenko. - Znam tamtejsze kierownictwo.

- Nie powiedział.

- Opisz go - rozkazał Burliuk.

Mężczyzna znowu odetchnął głęboko.

- Był mojego wzrostu, ale szczuplejszy. Ciemne włosy.

Oczy Petrenki zwęziły się.

- Ty idioto. Żaden z pracowników hotelu tak nie wygląda. Powinienem wydłubać ci oczy.

- Powiedz, czy dobrze mu się przyjrzałeś - spytał łagodnie Burliuk.

- Tak.

- To dobrze - rzucił Petrenko - bo właśnie ocaliłeś własne życie.

Burliuk spojrział na Petrenkę.

- Czy pamiętasz jego twarz? - spytał.

Ochroniarz kiwnął głową.

- Odtwórz ją sobie w pamięci. Staraj się przypomnieć sobie kształt jego nosa, kolor i rozstaw oczu. Wszystko, każdy najmniejszy szczegół. Czy masz milicjantów na liście płac? - to ostatnie pytanie skierował do Petrenki.

- Jasne.

- Zadzwoń do nich i niech natychmiast przyślą tu rysownika. W międzyczasie zbierz wszystkich swoich ludzi. Każdy z nich dostanie portret pamięciowy, kiedy będzie gotowy. Rozstaw ludzi na lotnisku i na dworcach kolejowych. Niech pogadają z taksówkarzami i z barmanami. Płać wszystkim, wyznacz nagrodę za informację. Daj też portret pamięciowy glinom, którym ufasz. Masz przeczesać całe miasto. Ktoś musiał go widzieć i ktoś na pewno go jeszcze zobaczy. Jeśli nam się poszczęści, to on i jego kompani ciągle będą w pobliżu, a jeśli nie, to wpadniemy na trop, który zaprowadzi nas do tych, którzy ich wysłali.

Petrenko milczał przez chwilę, aż wreszcie znalazł odpowiednie słowa.

- A co, jeśli ich znajdziemy? Co wtedy? Ostatnim razem, kiedy ich widziałem, w sekundę posłali na tamten świat moich goryli i ludzi Yamouta. To bezwzględni zabójcy. Żaden z moich pracowników nie będzie chciał ich ścigać i wcale się im nie dziwię.

Oczy Burliuka zwężyły się i zrezygnowany machnął ręką.

- Twoi ludzie są tchórzami, tak jak i ty. Ale nie szkodzi. Zadzwoń i sprowadzę kilku naszych. Oni się tym zajmą, a ty masz do zrobienia dwie rzeczy: znaleźć winnych i w zamian za przysługę, jaką ci teraz wyświadczam, zapomnisz o mojej roli w tej całej sprawie z Yamoutem.

## ROZDZIAŁ 28

PIĄTEK 15:25 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Dzień był szary. Na niebie wisały ciężkie, ołowiane chmury. Wiktor szedł lewą stroną chodnika, żeby jakiś niezdarny przechodzień nie potracił go i nie uraził w zranioną rękę. Ciągłe go bolała. Rano był w kilku aptekach, kupił środki opatrunkowe i porządnie opatrzył ranę. Położył się spać, gdyż postanowił wyjść na miasto dopiero wtedy, gdy ludzie zaczną wracać z pracy; tak będzie najlepiej, w tłumie łatwo się ukryć.

Wiedział, że po tym, co zdarzyło się wczoraj, ma wielu wrogów. Wątpił, czy Yamout nadal jest na Białorusi, jego ludzie też nie stanowili zagrożenia, bo wszyscy nie żyli, ale pozostawał Petrenko ze swoimi ludźmi, no i milicja. Jednak ta ostatnia nie rozpocznie poszukiwań, dopóki nie będzie miała naocznego świadka, ale może interesować się każdą podejrzaną osobą.

Ci z kamerą wiedzą, jak wygląda, bo mają nagranie, kiedy rano wszedł do apartamentu. Co prawda Wiktor zniszczył komputer, ale jeśli nagrania były przesyłane jeszcze gdzieś dalej, to będzie miał kłopoty. Jeżeli rzeczywiście zabił wszystkich czterech ludzi z pokoju obok, to przynajmniej na razie nie ma się czym martwić. Jednemu z ludzi Petrenki udało się uciec - podobnie jak i samemu Petrence - ale teraz Wiktor nie potrafił powiedzieć, któremu. Jeśli to Jerkow, a więc ten, z którym Wiktor zamienił parę słów, wchodząc do apartamentu, to Petrenko już mógł się domyślić celu tej szczególnej wizyty i zna rysopis Wiktora.

Teraz szedł ulicą, nieco kulejąc, by zatuszować swój wzrost. Był ubrany w tandetne dżinsy i kurtkę, na głowę naciągnął bejsbolówkę - wszystko kupione w sklepie z używaną odzieżą. Trzymał się z tyłu grupy jakichś rosyjskich turystów, udając, że jest jednym z nich. Tylko jedna przecznica dzieliła go od hotelu „Europa”. Rozglądał się bacznie dokoła, szukając samochodu, do którego pasowałyby kluczyki, które zabrał jednemu z mężczyzn z apartamentu obok.

Byli świetnie wyszkoleni. Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów oprócz białoruskich praw jazdy, niczego, po czym można by poznać ich tożsamość. Nie zaparkowaliby samochodu ani naprzeciwko hotelu, ani w pobliżu, ale i niezbyt daleko. Na



przykład jedną przecznicę dalej.

Wiktor przeprowadzając rozpoznanie przed akcją, zapamiętał, gdzie znajdowały się pobliskie parkingi, i teraz w myślach wytypował dwa: albo ten niewielki na północny wschód od hotelu, na tyłach rzędu sklepów, albo też ten długi, biegnący po zachodniej stronie Placu Październikowego. Ten pierwszy nie rzucał się w oczy, ale z kolei trudniej było szybko do niego dotrzeć, a tym samym i szybko z niego wyjechać. Tak świetnie wyszkoleni ludzie nie ryzykowaliby takich trudności, mając inny wybór.

Dlatego Wiktor sądził, że w grę wchodzi ten drugi parking, i skierował się na południe. Po lewej stronie, pośrodku wielkiego placu stał Pałac Republiki - wielkie gmazysko z czasów stalinowskich okolone ze wszystkich stron kolumnadą, ze szklaną fasadą. Odbywały się w nim różne partyjne uroczystości, koncerty, zjazdy oraz wystawy, i zwiedzały go tłumy ludzi. Pobliski parking był zatłoczony i anonimowy i można było z niego wyjechać na dwie drogi szybkiego ruchu. Na miejscu tamtych Wiktor tu zostawiłby auto.

Zobaczył, że na parkingu stoi w rzędzie około pięćdziesięciu samochodów. Ciekawe, czy wystarczy tylko nacisnąć pilot, aż mignie światełko. Breloczek przy kluczykach ze względu bezpieczeństwa nie zawierał logo żadnej firmy.

Było czterech obserwatorów, a to znaczy, że musieli mieć dość duży samochód, aby mogli się w nim swobodnie zmieścić - najpewniej jakiś czterodrzwiowy sedan lub auto terenowe. Wiktor od razu wyeliminował małe sedany, wobec tego zostało trzydzieści sześć samochodów. Doszedł też do wniosku, że auto terenowe zbyt rzuca się w oczy, więc odpadły kolejne trzy. Sedan, jaki wybrałby na miejscu obserwatorów, byłby średnich rozmiarów i niezbyt nowy, aby nie przykuwać uwagi. Lista zawęziła się, gdyż odrzucił auta mające niecałe dwa lata oraz ponad dziesięcioletnie, jak również BMW i mercedesy. Pozostało szesnaście aut. Teraz kolor. Samochód nie powinien się rzucać w oczy, a więc ani czerwone, ani czarne nie wchodziły w grę. Pozostało siedem aut. Zapewne był to wynajęty samochód, co powinno być odnotowane na tablicy rejestracyjnej. Teraz tylko trzy auta spełniały ten wymóg. I jeszcze jedno: ponieważ ten samochód stoi od wczoraj, to powinien mieć za szybą mandat. Ten warunek spełniały dwa samochody, ale tylko jeden z nich stał zwrócony maską do środka parkingu, tak aby można było nim szybko wyjechać, bez cofania i zawracania - dobrze wyszkoleni ludzie zawsze pilnują, aby tak ustawić samochód. Tak stał tylko jeden.

To był ciemnoszary, czteroletni saab z europejską naklejką na przedniej szybie. Wiktor schował mandat do kieszeni i wsunął kluczyk do zamka. Pasował. Wnętrze samochodu było czyste, nie było tu niczego, co mogłoby zwrócić uwagę, toteż przez chwilę siedział z rękami opartymi na kierownicy, wsłuchując się w szum ulicy. Gdzieś w oddali słychać było grzmoty.

Schówek pasażera był pusty. W samochodzie unosił się tylko zapach jakiegoś tłustego jedzenia. W schowku obok siedzenia kierowcy znajdowała się paczka miętówek. Wiktor wziął jedną i przekręcił kluczyk w stacyjce. Automatycznie włączyła się nawigacja satelitarna, ale jej pamięć była wyczyszczona; zapewne zrobiła to firma, od której wynajęty został ten samochód, a obserwatorzy byli na tyle sprytni, aby nie pozostawić elektronicznego zapisu drogi, którą przebyli.

Wiktor nacisnął przycisk otwierający klapę bagażnika i wysiadł z samochodu. Po drugiej stronie klombu oddzielającego parking od Placu Październikowego jakaś młoda blondynka z długimi włosami ściągniętymi w koński ogon fotografowała Pałac Republiki. Spojrzała na Wiktora i uśmiechnęła się, tak jak to robią sympatyczni ludzie, spodziewając się, że również widzą kogoś miłego. Lepiej było odwzajemnić uśmiech, gdyż człowiek lepiej zapamięta każdego, kto był niesympatyczny, aniżeli miłą osobę.

Widać było, że kobieta chętnie nawiązałaby z nim rozmowę, być może zaczęłaby od architektury Pałacu Republiki, wobec tego Wiktor nerwowo rozejrzał się dokoła, sprawiając wrażenie zdenerwowanego, a kobieta znowu zajęła się fotografowaniem. Zaczekał aż odeszła i dopiero wtedy podniósł klapę bagażnika.

Znajdowały się w nim dwie duże sportowe torby. W jednej było tylko kilka kabli, a w drugiej maleńkie aparaty fotograficzne oraz mikrofony, zapewne takie same jak te, które zostały ukryte w apartamencie prezydenckim. Były tam też bardzo małe baterie zasilane bezprzewodowo będące najnowszym osiągnięciem techniki, oraz kable, narzędzia i sprzęt szpiegowski.

Wiktor wziął torbę i znowu wsiadł do samochodu. Przebieg saaba wynosił dziewięćdziesiąt jeden tysięcy kilometrów, a długość ostatnio przejechanej trasy czterdzieści dziewięć kilometrów. Jeśli Europcar, firma, która wynajęła ten samochód, zresetowała wskazania GPS-u, to zrobiła to również z licznikiem ostatniego przebiegu. Europcar miała swoją siedzibę na międzynarodowym lotnisku w Mińsku, oddalonym mniej więcej o czterdzieści dwa kilometry od centrum miasta. Wobec tego albo obserwatorzy trochę błędzili po mieście - co było raczej wątpliwe, albo byli jeszcze w jakimś innym miejscu, oprócz hotelu.

Mało prawdopodobne, aby wszyscy przylecieli tym samym samolotem. Zdaniem Wiktora dwóch przyleciało samolotem, a dwóch przybyło tu inną drogą - zapewne pociągiem - i to oni przywieźli cały potrzebny sprzęt, gdyż podczas kontroli bagażu na lotnisku wzbudziłby podejrzenia. Poza tym pierwsi przybyli ci, którzy nie wybrali podróży powietrznej, gdyż w przeciwnym razie licznik przebiegu kilometrów wskazywałby więcej -

co najmniej osiemdziesiąt cztery kilometry. Poza tym w apartamencie sąsiadującym z tym wynajętym przez Petrenkę były dwa podwójne łóżka, a to oznaczało, że zajęły go tylko dwie osoby (cztery wzbudziłyby zainteresowanie) i że dwie pozostałe zatrzymały się gdzieś indziej.

A więc zostaje osiem kilometrów, zakładając, że obserwatorzy nie błędzili. Jeżeli tylko raz przebyli trasę pomiędzy hotelem a kryjówką, to znaczy, że w linii prostej wynosiła ona cztery kilometry. Jednak w mieście trzeba wziąć poprawkę na układ ulic, więc można założyć, że ta odległość wynosi około dwa i pół kilometra, czyli że chodzi o obszar o powierzchni osiemnastu kilometrów kwadratowych. Tak więc gdzieś w centrum Mińska, niedaleko znajdował się ich drugi hotel albo kryjówka. Zresztą wcale nie musieli jeździć tam samochodem, choć raczej tak było. Być może już po zawarciu transakcji mieli śledzić zarówno Petrenkę, jak i Yamouta.

Karoseria saaba była czysta, co znaczyło, że albo był w myjni, albo w takim stanie został wypożyczony, ale na przedniej szybie, w miejscu, w którym kończy się pióro wycieraczki, była odrobina jakiejś jasnej substancji. Wiktor dotknął jej. Była lekko wilgotna. Roztarł ją w palcach, aż zrobiły się suche i na opuszkach pozostał mu bardzo miałki proszek. Na karoserii nie było po nim śladu, ale na przednim zderzaku i na grillu chłodnicy - tak.

Wiktor wziął torbę ze sprzętem przywiezionym przez obserwatorów i poszedł do kawiarenki internetowej. Niebawem milicja znajdzie ten samochód. W sieci zaczął szukać hoteli znajdujących się w promieniu około dwóch i pół kilometra od Placu Październikowego, następnie zadzwonił do każdego z nich z budki telefonicznej, pytając o osoby o nazwiskach widniejących na prawach jazdy, które zabrał zabitym, ale w żadnym z hoteli nie figurowali tacy goście.

To znaczy, że zatrzymali się gdzieś indziej, być może w schroniskach lub w wynajętym prywatnie mieszkaniu. Gdyby miał czas, Wiktor wybrałby się na poszukiwania tego miejsca pieszo, ale nie miał. Musiał dotrzeć tam przed milicją. Wobec tego złapał taksówkę.

Za kierownicą siedziała pulchna i uśmiechnięta kobieta.

Wiktor udając, że nie zna dobrze rosyjskiego, spytał ją:

- Czy wie, pani, gdzie jest... eee... budowa... domy...? Zastanawiał się, jak gdyby nie mógł przypomnieć sobie nazwy.

- Kirowa... Nemiga - odparła uprzejmie kobieta, uśmiechając się.

- Kirowa - potwierdził również z uśmiechem.

Kiedy dojechali, Wiktor wysiadł i po kilku sekundach zorientował się, że kobieta nie

zrozumiała go albo też on nie wyraził się dostatecznie jasno. Tam, gdzie przyjechał była budowa, ale drogi. Chyba naprawiano kanalizację. Wobec tego znowu złapał taksówkę.

- Nemiga - powiedział do taksówkarza.

Za zakrętem Wiktor zobaczył opleciony rusztowaniami dom i kazał kierowcy się zatrzymać. Nemiga była położona niecały kilometr od Placu Październikowego. Po obu stronach stały nieduże prywatne domy w pastelowych kolorach. Wiktor podszedł do tego z rusztowaniami. Z wewnątrz dochodziły odgłosy prac budowlanych: warkot jakichś narzędzi, krzyki, stukanie. Na chodniku przed domem pracowała betoniarka.

Saab mógł być zaparkowany gdzieś w pobliżu, dlatego cement ochlapał przednią szybę, ale nadal nie wiedział, który dom wynajęli obserwatorzy. Mogli mieszkać w którymkolwiek z nich, a samochód postawili tam, gdzie było wolne miejsce. Po każdej stronie ulicy znajdowało się co najmniej dwadzieścia domów, a więc w sumie czterdzieści; Wiktor musiałby zapukać do drzwi każdego z nich i odchodzić, gdy usłyszałby, że ktoś jest w środku, ale i tak pozostałoby około dwudziestu pięciu domów, do których trzeba by się włamać. Jednak był prostszy sposób selekcji.

Spojrzał w niebo. Cały dzień niebo było zachmurzone, wobec tego w mieszkaniach na pewno było niewiele światła. Wiktor przeszedł wzdłuż domów i spostrzegł tylko jeden, w którym zasłony były zasunięte.

Zamek w drzwiach był skomplikowany, ale Wiktor od piętnastu lat dawał sobie radę nawet z najgorszymi utrudnieniami tego rodzaju. Otworzył frontowe drzwi, schował wytrych do kieszeni. Stał w holu wejściowym, nasłuchując. Nie było zainstalowanego alarmu, ale Wiktor nie spodziewał się go znaleźć. W razie włamania najemcy musieliby odpowiadać na niezliczone pytania milicji, a tego z pewnością woleliby uniknąć. Zresztą Wiktor wyznawał taką samą filozofię.

Nie wiedział, czy kryjówka była wynajmowana przez dłuższy czas, czy też tylko przez okres wykonania tego zadania. Wewnątrz było ciemno. Hol wejściowy był wąski, na podłodze leżał wytarty dywan, farba na ścianach łuszczyła się, pod sufitem wisiała goła żarówka. Schody prowadziły na górę. Na końcu holu była kuchnia. Po prawej stronie były drzwi. Wiktor otworzył je i znalazł się w niewielkim saloniku, w którym stała dwuosobowa kanapa, fotel i telewizor. Było tam też kilka drobiazgów mających sprawiać wrażenie, że dom jest zamieszkały. W rogu stało nieposłane łóżko polowe, a obok niego niewielka walizka. Była otwarta. W środku znajdowały się tylko ubrania i przybory toaletowe.

Wiktor wszedł do kuchni. Lodówka była w jednej czwartej zapełniona kartonami z mlekiem, sokiem pomarańczowym, serem, wędlinami i warzywami. Szafki były puste z

wyjątkiem jednej, w której stały konserwy. W szufladzie leżały metalowe i plastikowe sztucce. Z kuchni było wejście do łazienki, w której na wieszaku wisiało kilka wilgotnych ręczników.

Na piętrze były dwie sypialnie: pierwsza mała z dwoma łózkami - pojedynczym pod ścianą oraz z połowym pod drugą ścianą. Widać było, że w łózkach ktoś spał. A więc w sumie były trzy łóżka. To znaczy, że ten apartament w hotelu służył wyłącznie do celów operacyjnych i że właśnie z tego mieszkania dojeżdżano do hotelu, zapewne pełniąc tam dyżury na zmianę. Wiktor przeszukał stojące przy każdym z łóżek walizki. Podobnie jak ta na dole zawierały tylko ubrania i przybory toaletowe, a boczne kieszenie były puste.

Ostatnia sypialnia była większa niż pierwsza i stało w niej dwuosobowe łóżko. To znaczy, że ten pokój zajmował dowódca obserwatorów. Kiedy Wiktor wszedł do tego pokoju, poczuł, że serce zaczyna mu gwałtownie bić i wcale nie dlatego, że na przykład tutaj walizka stała na łóżku, a wszystkie rzeczy z niej zostały rozrzucone, ale że pod ścianą stało piąte łóżko polowe i widać było, że niedawno ktoś w nim spał.

Jednak obok niego nie było walizki.

## ROZDZIAŁ 29

ZURYCH, SZWAJCARIA

16:04 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

W ciemnym pokoju dwaj mężczyźni stali przed antycznym, drewnianym biurkiem. Pierwszy z nich, w dżinsach i w skórzanej kurtce, miał ze trzydzieści parę lat. Drugi był znacznie starszy, bardzo niski i miał na sobie garnitur. Stał lekko pochylony. Przed nimi na biurku znajdował się laptop, a na ekranie wyświetlane było jakieś nagranie wideo w szarych barwach, najwyraźniej nakręcone nieprofesjonalną kamerą w jakimś hotelowym apartamencie. Widoczni na filmie trzej mężczyźni byli najwyraźniej zszokowani i nie bardzo wiedzieli, co mają robić. Z głośników laptopa dochodziły jakieś dziwne dźwięki.

- Strzela przez drzwi - wyjaśnił młodszy mężczyzna.

Starszy kiwnął głową i patrzył, jak jeden z trzech znajdujących się w pokoju mężczyzn schował się za kanapą dosłownie sekundę przed tym, jak drzwi do apartamentu rozpadły się i wbiegł przez nie mężczyzna z karabinem i w goglach noktowizyjnych. Natychmiast zaczął strzelać, w ułamku sekundy bezlitośnie zabijając dwóch stojących pośrodku pokoju mężczyzn, a następnie trafił również trzeciego strzałem, który przeszył kanapę na wylot. Jednak strzałów nie było słychać, widać było tylko ich skutki.

- Jestem niemal pewien, że to P90 z tłumikiem - stwierdził ten w skórzanej kurtce. - Strzela amunicją poddźwiękową, dlatego nic nie słychać.

Teraz obraz został przechwycony przez drugą kamerę. Widać było, jak człowiek z P90 strzela w drzwi sypialni, potem rozwała je kopniakiem, wbiega do pokoju i zabija tych, którzy się tam znajdują.

- Teraz będą moi ludzie - powiedział mężczyzna w kurtce, pocierając twarz.

Człowiek z P90 został postrzelony przez dwóch mężczyzn, którzy wbiegli do pomieszczenia, i upadł, udając martwego, a gdy przeszli obok niego, ich również zabił. Z ostatnim z nich wymienił kilka strzałów, a gdy go trafił, wyszedł. Jednak po chwili wrócił i pochylił się nad ostatnim człowiekiem, który był ranny. To trwało z pół minuty.

- Chce od niego wyciągnąć jakieś informacje - powiedział starszy mężczyzna.

- Tak sądzę. Mikrofon tego nie uchwycił.

- Co mogą wiedzieć Białorusini?

- Nic - odparł ten w kurtce. - Oczywiście znaleźli sprzęt szpiegowski, ale zniszczyłem bilety lotnicze i paszporty. Jeden komputer został zniszczony, chyba przez tego zabójcę. Chciał zatrzeć ślady. Jednak to mu nie pomogło, bo cały obraz był jeszcze dodatkowo przekazywany na serwer znajdujący się w naszej kryjówce. Bez tego niczego byśmy nie mieli.

- Pokaż mi dalszą część.

Młodszy mężczyzna nacisnął jakieś klawisze komputera, po czym zaczął czegoś szukać na ścieżce zapisu. Na ekranie pojawił się apartament hotelowy; obraz był kolorowy. Widać było dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali po rosyjsku.

- Który z nich zabił moich chłopców? - zapytał starszy człowiek, nachylając się nad ekranem, by lepiej widzieć.

- Ten facet z lewej to ochroniarz Petrenki. Ten z prawej powiedział, że jest z obsługi hotelu, ale tylko się rozglądał po pokojach. Sprawdziłem - on nie pracuje w tym hotelu.

- A więc mamy jego głos i twarz.

- I nic poza tym. Przykro mi, ojcze.

- To wystarczy - stwierdził starszy mężczyzna i sięgnął po telefon.

## ROZDZIAŁ 30

GÓRY LIBAN, LIBAN

CZWARTEK 17:40 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

- Mówi Saul Callo. Jestem w Mińsku - mówił przerażony głos. - Powiedz Yamoutowi, że to pułapka - nastąpiła przerwa i słychać było ciężki oddech. - Władimir Kazakow chce go zabić - znowu przerwa, tym razem dłuższa, i jeszcze cięższy oddech. - Próbował mnie zabić, ale uciekłem. Powiedz Yamoutowi...

Na tym nagranie się skończyło.

- To cała wiadomość od Calla - powiedział Yamout.

Baraa Ariff kiwał głową. Nie bardzo mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Siedział w pięknie rzeźbionym hebanowym fotelu. Był to osiemnastowieczny mebel tureckiej roboty. Przed nim na niskim stoliku leżał telefon komórkowy. Naprzeciwko na kanapie obitej ręcznie haftowanym jedwabiem siedział Yamout.

- Odsłuchajmy to jeszcze raz - stwierdził Ariff.

Yamout ponownie ustawił w komórce opcję odsłuchiwanie wiadomości. Ariff słuchał tego już po raz trzeci, Yamout - po raz piąty. Kiedy nagranie się skończyło, Ariff potrząsnął głową.

- Wyłącz to.

Mężczyźni siedzieli w salonie połączonym z barem, w prywatnym skrzydle górskiej willi Ariffa. Nad ich głowami pracowały bezszelestnie wentylatory, dzięki czemu w pokoju panował miły chłód. W tej części domu oprócz salonu znajdowały się jeszcze biuro, kuchnia, łazienka i sypialnia z balkonem - ani jego żona, ani córki nie miały tu wstępu. Elektroniczny zamek w drzwiach był otwierany kodem, który oprócz Ariffa znał tylko Yamout.

Ariff znowu usiadł w fotelu.

- O której godzinie dzwonił?

- Poczta głosowa mówi, że o 21:30. Wczoraj wieczorem.

- Odebrałeś ten telefon?

Yamout pokręcił głową.

- To nie mój telefon, ale jednego z naszych ludzi. Callo znał ten numer, bo miał się



umówić w sprawie przekazania pieniędzy.

- 21:30 - powiedział Ariff w zamyśleniu. - Krótco po tym, jak nastąpił atak w hotelu.

Yamout kiwnął głową.

Ariff westchnął.

- A więc Kazakow zaatakował równocześnie ciebie i Calla. Skoordynowane działania, ale nieudane. Callo nic dla mnie nie znaczył poza tym, że straciłem pieniądze, które był nam winien i że musimy szukać nowego handlarza diamentów. Ale to wszystko drobnostki. Dla mnie ważne jest to, że tobie, mój drogi przyjacielu, udało się uciec tym nienormalnym mordercom Kazakowa.

Yamout się skrzywił.

- Baraa, o mały włos nie straciłem życia. Przecież cały czas byłem w pokoju tuż obok, a jeśli chodzi o ucieczkę, to nie kierował mną spryt, tylko przerażenie. Mam szczęście, że żyję. To po prostu cud.

- Nie bądź śmieszny. Pan Bóg nie ocaliłby ani ciebie, ani mnie - Ariff uśmiechnął się kpiąco. - Cuda zdarzają się osobom dobrym i uczciwym, a my do nich nie należymy. Tacy jak my muszą się zatroszczyć o cuda sami - powiedział i wstał z fotela. - Chodź ze mną.

Mężczyźni przeszli do pozostałej części willi, o zupełnie odmiennym wystroju. Prywatne pomieszczenia Ariffa odznaczały się prostotą, którą tak cenił: na podłodze skóry, wygodne meble, niekoniecznie w jednym stylu. Natomiast fotele o złożonych nóżkach i podłokietnikach, rzeźby z brązu, perskie dywany, kryształowe żyrandole, egzotyczne rośliny i obrazy znanych malarzy, stanowiące wyposażenie reszty domu - to już był wybór żony Ariffa. Lubiła ekstrawagancję, toteż urządziła dom niczym pałac. Meble i dekoracje nie były w jego guście, ale wołał już pozostawić jej w domu swobodę, bo inaczej musiałby tracić czas i cierpliwość na sprawy, które kompletnie go nie obchodziły.

Gdy schodzili po wielkich schodach, zjawiała się Eshe i od razu podskoczyła do ojca, a on chwycił ją, podniósł do góry i parsknął w sam środek brzuszka. Eshe zanosila się śmiechem, Yamout patrzył na nich i też się uśmiechał.

Zaraz nadbiegła niania.

- Przepraszam pana - powiedziała do Ariffa, a potem zwróciła się do Eshe: - Chodź, nie przeszkadzaj tacie.

Ariff nachylił się i poczochnął włosy córki.

- Słuchaj niani, moja droga.

Niania wzięła Eshe za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Mężczyźni przeszli do ogromnego ogrodu rozciągającego się na tyłach willi, a Ariff

nie przestawał się uśmiechać. Było gorąco, a na niebie nie było widać ani jednej chmurki. Wzdłuż przeciwnego brzegu przechadzał się wartownik, trzymał w ręku nie jednego z tanich kałasznikowów, którymi handlował Ariff, lecz karabin szturmowy armalite. W sumie dziesięciu ochroniarzy strzegło przez całą dobę rodziny Ariffa. Posiadłość zajmowała niemal hektar i nieustannie patrolowało ją sześciu uzbrojonych w amerykańskie armalite'y wartowników. Dwóch ochroniarzy przebywało w domu, a reszta śledziła obraz z kamer i dwanaście czujników ruchu. Ariff zawsze zatrudniał najlepszych ludzi do pilnowania swojej rodziny i domu.

- Jeśli chciał mnie zabić, to ciebie też będzie chciał się pozbyć - powiedział Yamout.

- Wiem - przytaknął Ariff.

Mężczyźni przeszli kilkanaście metrów w stronę basenu i zatrzymali się obok wielkiej pergoli. Pod jej dachem stały sofy i krzesła. Ariff wyjął ze stojącej tam lodówki butelkę wody mineralnej Sabil. Chciał poczęstować Yamouta, ale ten potrząsnął głową. O wiele więcej ochłody dawał cień.

- Nie wyglądasz na zmartwionego.

- Prawdę mówiąc, nie przejmuję się, ale to nie znaczy, że jestem naiwny. Pamiętaj, że nie udało im się, gdy byłeś tak daleko od domu - wskazał na ochroniarzy. - Czy myślisz, że uda im się tutaj, gdzie mamy przewagę? - potrząsnął głową.

- Nawet jeśli masz rację, to nie rozumiem, jak możesz być taki spokojny.

Ariff usiadł wygodnie na krześle.

- Mojemu życiu zawsze groziło niebezpieczeństwo, nawet gdy byłem małym chłopcem i uciekałem przed kulami Izraelczyków. Teraz jestem siwy i pomarszczony, ale nadal żyję. Czy Kazakow będzie chodził po świecie tak długo, jak ja? - znowu potrząsnął głową. - Jednak dla bezpieczeństwa przeprowadź się wraz ze swoją rodziną i zamieszkajcie tutaj, dopóki wszystko nie ucichnie. Mam sześć gościnnych sypialni i dobrze, że wreszcie ktoś z nich skorzysta. A twoi ochroniarze mogą tu czuwać wraz z moimi. Będziemy niezwyciężeni - Ariff uśmiechnął się.

- Dziękuję, ja i moja rodzina będziemy się tu lepiej czuli.

- Nie masz za co dziękować. Twoja rodzina jest moją rodziną - Ariff rozłożył ręce. - To będzie nasz zamek i zapraszam płatnych zabójców Kazakowa, niech spróbują nas tu zaatakować. Pokażemy temu durniowi, jaki jest głupi. Niech przyśle swoich zbirów do naszego królestwa, a odeślemy ich do Rosji w kawałkach.

Yamout odetchnął głęboko i wstał.

- Ale dlaczego atakują nas po tylu latach? - zapytał.

- Nie wiem. Nie uwierzyłbym, że Kazakow może nas zaatakować, gdyby nie ten Mińsk. Nie ma żadnego powodu, aby zabić mnie czy ciebie. Nie zagroziliśmy w żaden sposób jego interesom, a więc nie chodzi tu o ich ochronę czy o zemstę. Powiedziałbym, że jest również wysoce nieprawdopodobne, aby chodziło o jakieś osobiste urazy, bo wtedy nie miałby powodu, by zabijać Calla. Mam rację?

- Chyba tak.

- Tu nie ma żadnego „chyba” - ciągnął Ariff. - Zabił Calla i próbował zabić ciebie. A więc chce zarówno zniszczyć nasz interes, jak i zlikwidować nas obu.

- Tylko dlaczego, skoro przez ponad dwadzieścia lat działaliśmy obok siebie i panowały między nami dobre stosunki? A nawet w tym samym czasie obsługiwaliśmy wspólnych klientów. Kiedyś zetknęliśmy się z jego ludźmi i nie było między nami żadnej wrogości. Obie strony zawsze okazywały sobie szacunek.

- Wiem, mój przyjacielu, wiem - odparł Ariff. - W tym wypadku Kazakow nie kieruje się chęcią wyeliminowania konkurencji, bo ma do zaoferowania co innego niż ja. Ja nie sprzedaję czołgów czy samolotów, tylko karabiny, i byłem na rynku, zanim on zaczął działać w tym biznesie. On nie ma odpowiednich ludzi do prowadzenia takich interesów jak moje.

- To nie ma sensu - Yamout potrząsnął głową.

- Ale fakty pozostają faktami - stwierdził Ariff. - I jest jedno wytłumaczenie tego wszystkiego. Otóż Kazakow myśli o sprzedaży broni palnej. Co wcale nie znaczy, że mu się to uda, nawet jeśli zabije nas obu. Pamiętaj, że jest poszukiwany w wielu krajach, a presja ONZ schwywania go jest ogromna i w związku z tym od kilku lat nie rusza się z Rosji, a to może mu przeszkadzać w handlu ciężkim sprzętem wojskowym. Ariff odstawił butelkę z wodą i wyszedł z cienia pergoli. Odpiął spinki od mankietów i zawinął rękawy koszuli. Podeszedł do krawędzi kamiennego patio, zdjął sandały i wszedł bosy na trawę. Była chłodna i wilgotna.

- Władimirowi brakuje odpowiedniej infrastruktury, aby rozwinąć handel bronią palną. Jego olbrzymie samoloty transportowe, tak przydatne do przewożenia czołgów różnym samozwańczym dyktatorom, nie są tak małe, aby mogły niezauważenie dostarczyć karabiny czy granatniki w strefę działań wojennych. On o tym wie. Nasza siatka powstała, zanim jeszcze Kazakow zajął się handlem bronią i on doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że nie może z nami konkurować. I dlatego nigdy nie próbował. Jednak on chyba myśli, że jeśli zmiecie nas z powierzchni ziemi, to będzie mógł przejąć nasz biznes, bo nie będzie miał go kto powstrzymać - Ariff potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Jest głupcem, skoro tak uważa i chce nas dopaść tak bezpośrednio, tak arogancko. Fakt, że nie udało mu się ciebie zabić, z

czego oczywiście się cieszę, dowodzi, że kieruje nim ambicja, a nie inteligencja. Ten brak umiejętności przewidywania konsekwencji przysporzy mu zmartwień. Słono zapłaci za próbę zabicia mojego najdroższego przyjaciela - Ariff zatrzymał się i stanął naprzeciwko Yamouta.

- Gabirze, mamy wojnę.

Yamout odetchnął głęboko i zmrużył oczy, patrząc pod słońce.

- Jak go zaatakujemy? Rosja jest bardzo daleko.

Ariff skinął głową.

- Nie zapominaj, że imperium Kazakowa nakłada się na nasze terytorium. Jeżeli on myśli, że może nas zmieść, a sam się przy tym nie odsłoni, to się grubo myli. Nie musimy wyciągać ręki aż do Rosji, Kazakow jest tu, pod naszym bokiem. Zaatakujemy jego siatkę. Zniszczymy jego transporty broni. Zabijemy jego handlarzy. Poodcinamy mu palce i zostawimy jego imperium poranione i skarłowaciałe. I wtedy zobaczymy, ile zostanie mu siły i woli do walki z nami.

Ariff uśmiechnął się i położył ręce Yamoutowi na ramiona.

- I wtedy wyślemy ludzi do Moskwy, aby zadali mu ostateczny cios.

# ROZDZIAŁ 31

MIŃSK, BIAŁORUŚ

17:33 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Wiktor wysiadł z taksówki. Było zimno jak na tę porę roku, przenikliwy wiatr i ulewny deszcz dodatkowo wzmagały nieprzyjemne uczucie chłodu. Płaszcz przemókł w okamgnieniu i pociemniał od wody. Wiktor trząsał się z zimna. Rozejrzał się w obie strony, dostrzegł niewielką grupkę taksówkarzy stojących pod daszkiem przystanku autobusowego. Wszyscy śmiali się i palili papierosy. Oprócz nich nie było nikogo. W taką okropną pogodę nikt niepotrzebnie nie wychodził z domu. Nawet szpiegzy śledzący jego poczynania woleliby zapewne siedzieć w suchym i ciepłym pomieszczeniu, a to oznaczało, że jeśli dworzec był obserwowany, to jedynie od wewnątrz, co bardzo odpowiadało Wiktorowi.

Główny dworzec w Mińsku został zbudowany w czasach stalinowskich, w duchu socrealizmu. Był ogromny, nawet podczas ulewy prezentował się majestatycznie i imponująco. Kiedy Wiktor przechodził przez jezdnię, zauważył kilku oficerów milicji patrolujących skwer. Wyglądali na podekscytowanych. Nic nadzwyczajnego.

Wiktor doskonale się maskował, nie dał nic po sobie poznać. Był uciekinierem, ale na jego widok każdy pomyślałby, że jest po prostu wracającym do domu biznesmenem. Na dworzec weszła jakaś para grubasów - chyba małżeństwo - z jeszcze grubszymi dziećmi. Kobieta uśmiechnęła się do niego.

Poczuł skurcz w żołądku, ale nie zwrócił na to uwagi. Spacerował nieopodal tej białoruskiej rodziny, która stała w przejściu, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że blokuje wejście na dworzec. Powinien jak najszybciej wynosić się z tego miasta, a pociąg wydawał się najmniej ryzykownym środkiem lokomocji. Za bilet mógł zapłacić gotówką, nie musiał się legitymować, a poza tym kupno biletu na pociąg nie pozostawiało żadnego śladu zakupu, jak to jest w przypadku biletów samolotowych. Na lotnisku istniała również o wiele większa szansa, że wpadnie w ręce milicji, z kolei wynajęcie samochodu zostawiłoby ślad, za to kradzież jakiegoś byłaby już głupotą.

\* \* \*

Będąc małym chłopcem, uwielbiał jeździć pociągami, ale teraz ta jego pasja była

wyłącznie formą rozrywki. Hala na stacji była pełna ludzi i panował tu duży hałas. Szukał oznak tego, że został rozpoznany, czyjegoś ruchu albo działania, ale nic na to nie wskazywało. Jednak wcale nie czuł się odprężony. To, że nie dostrzegł nikogo, kto by go obserwował, wcale nie oznaczało, że nikogo takiego nie było. Po dokonanych zbrodniach miał wielu wrogów, których powinien się obawiać. Wątpił, czy Yamout nadal jest w mieście; przecież wszyscy jego goryle zginęli, więc musiałby sam szukać Wiktora. Ale został jeszcze Petrenko, no i władze. Milicja nie będzie go szukać, bo nie ma portretu pamięciowego, ale będzie zwracała uwagę na każdą podejrzaną osobę. Tak, lotniska oraz dworce na pewno są obserwowane.

Niespiesznie okrążył kilka razy główną halę. Kupił kawę i gazetę, przejrzał kilka książek. Cały czas starał się zachowywać swobodnie, aby nie wzbudzać niczyjego zainteresowania.

Kątem oka dostrzegł młodą kobietę z wózkiem spacerowym, ale bez dziecka. Mogło być z ojcem, ale mogło też wcale go nie być. Kiedy Wiktor przechodził obok okna, spojrzał w szybę, aby sprawdzić, czy kobieta go obserwuje. Jednak nic na to nie wskazywało. Jeśli śledzą go profesjonaliści, to pracują parami, mężczyzna plus kobieta, albo w przebraniu, na przykład pracowników kolei. Wątpił, czy ludzie Petrenki są aż takimi zawodowcami, ale ci z CIA na pewno. Zresztą każdy, kto go śledzi, stanowi zagrożenie, i to bez względu na to, dla kogo pracuje.

Poszedł do męskiej toalety i spędził tam pięć minut, a kiedy wyszedł, kobiety już nie było. Sprawdził rozkład jazdy, zobaczył, że niedługo przybędzie pociąg, do którego chciał wsiąść, i stanął w kolejce po bilet. Zachowywał się jak każdy Białorusin, nie wzbudzał niczyjego zainteresowania, ale nagle zauważył spojrzenie jakiegoś niskiego mężczyzny. Tamten spojrzał na niego tylko raz - mogło to nie mieć znaczenia, ale mogło też mieć, i to ogromne.

Mężczyzna był łysy, miał okrągłą twarz, lekką nadwagę i nosił kolejarski mundur. Wiktor spojrzał na zegarek i wyszedł z kolejki. Poszedł do apteki i przez chwilę oglądał szampony, po czym spojrzał tam, gdzie przed chwilą stał łysy mężczyzna. Nie było go.

Wiktor odetchnął z ulgą.

- Grodno - zwrócił się do kasjera. - Następny pociąg.

- Miejsca siedzące są tylko w pierwszej klasie - powiedział kasjer i spojrzał w monitor.

- W porządku - odpowiedział.

Z powodu ogromnego tłoku nie mógł być pewien, czy nikt go nie śledzi. Gdyby tak było, musiałby także czekać, aż obserwator wsiądzie do pociągu. Jednak nie zauważył, by

ktokolwiek za nim szedł.

Znalazł swoje miejsce, siedział przodem do kierunku jazdy pociągu, przed nim był mały rozkładany stolik.

- Człowieku, jak ja nienawidzę jeździć pociągiem - siedzący naprzeciwko mężczyzna odezwał się po angielsku, ale z amerykańskim akcentem.

Wiktor popatrzył na niego, ale nic nie odpowiedział.

- Walt Fisher - powiedział mężczyzna i wyciągnął rękę. - Domyśliłem się, że nie jesteś Roskiem.

Fisher miał na sobie białą koszulę rozpiętą pod szyją i luźno zawiązany krawat. Jego marynarka wisiała obok.

- Chyba chciałeś powiedzieć Białorusinem - powiedział Wiktor i uściśnął jego dłoń.

- Wszystko jedno, Białorusin czy Rosjanin - co to za różnica?

- W zasadzie niewielka.

- No właśnie - przyznał Fisher i pokiwał głową.

- Jak się domyśliłeś, że nie jestem ani Białorusinem, ani Rosjaninem? - spytał Wiktor.

- Oni nie podróżują pierwszą klasą.

- Ach tak, rozumiem.

Fisher pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech.

- A ty masz jakieś imię, synu?

- Peter.

- Ach, jesteś... Brytyjczykiem, czy tak?

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - powiedział Wiktor. Dodał nieco brytyjskiego akcentu do swoich zazwyczaj dość twardo brzmiących słów.

- Mam nadzieję. Na tym polega prawie sto procent mojej pracy.

Od Fishera cuchnęło koniakiem, ale wydawał się nieszkodliwy. Miał rumiane policzki, a wzdłuż linii jego włosów lśniły strużki potu.

- Właśnie podpisałem wielki kontrakt z czerwonymi - wyjaśnił, po czym dodał: - Czy mogę jeszcze tak mówić?

- Czerwoni?

- Tak.

- Myślę, że to nadal dozwolone.

- Zajmuję się kupowaniem i fuzjami firm. A ty? - spytał Fisher.

- Jestem konsultantem.

- W jakiej dziedzinie? - Fisher nie zczekał na odpowiedź i nagle pstryknął palcami. -

Nie, nie mów. Zasoby ludzkie - powiedział z dumą, klaszcząc w ręce tak, że aż inni pasażerowie popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Czy to takie oczywiste?

- A więc to ty zatrudniasz i zwalniasz ludzi, co?

- Głównie zwalniam.

- Brzmi złowrogo.

- Nawet nie masz pojęcia... - odparł Wiktor i uniósł brwi.

Konduktorzy zamknęli drzwi, ale pociąg nadal stał, choć nie było żadnego ogłoszenia o opóźnieniu. Wiktor cenił punktualność, tym bardziej, że chciał szybko opuścić miasto, w którym miał tylko wrogów. Wstał, aby wyjrzeć przez okno, ale nie zobaczył niczego niepokojącego. „Chyba nie ma się czym martwić”, pomyślał. Fisher cały czas go obserwował.

Wiktor usiadł, bo nie chciał zwracać na siebie uwagi. Wybrał miejsce w samym rogu, przy drzwiach, tak aby widzieć cały korytarz wagonu - usłyszałby, gdyby coś się działo, a w okiennych szybach mógłby kontrolować korytarz z drugiej strony.

- No, więc - zaczął Fisher. - Kiedy jechałem na dworzec...

Zaczął opowiadać o podobno niebywałej podróży, jaką odbył z hotelu na stację. Wiktor siedział bez słowa, ale sprawiał wrażenie rozbawionego tą historią. Zdał sobie sprawę, że zawarcie znajomości z kompletnie pijanym Fisherem było błędem, bo facet chciał się wygadać. Trzeba było go zignorować na początku, a tak dał mu przyzwolenie na gadanie przez całą podróż. Na razie to znosił, ale później miał zamiar powiedzieć mu, aby się zamknął.

Spojrzał na zegarek. Pociąg miał już osiem minut opóźnienia. Inni pasażerowie także zaczęli się niepokoić. Wielu z nich wyglądało przez okno i manifestowało swoje niezadowolenie. W korytarzu, w przedziale pojawiła się hostessa z wózkiem pełnym różnych napoi. Kiedy zajrzała do przedziału, Wiktor poprosił o wodę mineralną, a Fisher o burbona.

- Gazowaną, czy nie? - spytała hostessa.

- Poproszę niegazowaną - odpowiedział.

Przez chwilę szukała wśród butelek na swoim wózku, w końcu oznajmiła, że jest tylko gazowana.

- Nic nie szkodzi, może być gazowana.

- Na pewno? Bo mogę przynieść.

- Lepiej nie. Jeśli nie poda pani tym ludziom alkoholu, to może pani nie wyjść stąd żywa.

Uśmiechnęła się zachęcająco i podała Fisherowi szklanę burbona.



- Myślę, że dam sobie radę. Zaraz wrócę.

Kiedy wyszła, Fisher walnął dłonią w stolik, co zabrzmiało jak strzał z karabinu.

- Ty to masz szczęście, że tu jesteś.

- Potencjalnie - powiedział Wiktor.

- Potencjalnie? - zdziwił się Fisher i wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego potencjalnie?

- Ona nie jest w moim typie - odparł. Unikał wzroku swojego rozmówcy.

Fishera zatkało.

- Nie jest w twoim typie? Do diabła, co jest z tobą nie tak, chłopie? - wysapał.

Odwrócił głowę i popatrzył przeciągle na Fishera, a potem nachylił się ku niemu.

- Jestem gejem - powiedział.

Nabiegłe krwią oczy Fishera stały się okrągłe, a potem szybko cofnął ręce, położył je sobie na kolanach i odwrócił spojrzenie w bok. Siedział bez ruchu i gapił się w okno. Wreszcie przestał gadać. Wiktor w duchu pogratulował sobie pomysłu.

Hostessa przyniosła mu niegazowaną wodę mineralną i szklankę z lodem, postawiła je na stoliku.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział Wiktor z chłopięcym uśmiechem. - Jest pani aniołem.

Kobieta uśmiechnęła się.

- To drobiazg.

Jej ton dał mu odczuć, że udało mu się przełamać jej zawodowy dystans, co zresztą nie było trudne. Z doświadczenia wiedział, że pasażerowie pierwszej klasy rzadko nawiązują chociażby kontakt wzrokowy i dlatego ktoś, kto jest uprzejmy, miły i wywołuje na jej twarzy uśmiech - zapewne od razu budzi jej zaufanie.

- Nie sądzę, aby mogła mi pani powiedzieć, ale jaki jest powód tego opóźnienia? - zapytał od niechcienia.

Kobieta ściągnęła brwi, zastanowiła się przez chwilę, po czym rozejrzała się szybko dookoła i nachyliła ku niemu.

- Nie powinnam tego mówić, ale kazano nam wstrzymać odjazd pociągu. - Dlaczego?

- Nie powiedziano dlaczego - mówiła kobieta. Nachylała się tak nisko, że czuł jej oddech na policzku. - Ale skoro już pan pyta, to podobno w tym pociągu jest ktoś, kogo nie powinno tu być.

Wiktor nawet nie musiał udawać zdenerwowania.

- Nie ma powodu do niepokoju, zapewne za kilka minut odjedziemy - powiedziała

kobieta i wyprostowała się. - Myślę, że chodzą tu jacyś ludzie i to sprawdzają.

Wiktor zaczekał, aż dziewczyna pójdzie obsłużyć następnych pasażerów. Po chwili wstał, przeszedł między siedzeniami i wyszedł na korytarz, gdzie znajdowały się dwie toalety. Wszedł do najbliższej. Poczekał dziesięć sekund i spuścił wodę. Jej szum miał na celu zagłuszenie hałasu, wywołanego brzękiem tłuczonego szkła, gdy lewym łokciem zbił lustro znajdujące się nad umywalką.

Wyszukał trójkątne kawałki mniej więcej piętnastocentymetrowej długości, o długich bokach i krótkiej podstawie. Wsunął je sobie pomiędzy lewy rękaw marynarki i koszuli, tak, aby ostre końce były zwrócone na zewnątrz. Zawinał rękaw koszuli i potrząsnął ręką - chciał się upewnić, że nie wypadną.

Wyszedł z toalety i skierował się do najbliższego wyjścia. Drzwi otworzyły się, zanim nacisnął klamkę i na korytarz wpadł zimny podmuch powietrza. Naprzeciwko Wiktora stało trzech mężczyzn. Pierwszy z nich był wysoki, o surowej, podłużnej twarzy. Miał na sobie garnitur i płaszcz. Dwaj pozostali byli niżsi, ubrani w ciemne spodnie i sportowe kurtki. Drugi z nich miał okulary bez oprawki. Nie przypominali milicjantów, ludzi Petrenki czy tych z sąsiedniego apartamentu. Byli zdenerwowani, bo nie spodziewali się go zobaczyć, więc nie byli pewni, co robić. A więc - niedoświadczeni.

Wiktor wysiadł z pociągu i podszedł do nich.

Mężczyźni zatrzymali się, nie spodziewając się takiego zwrotu sytuacji. Ten w okularach ścisnął rękojeść pistoletu, który miał za pasem.

- Co chcecie zrobić? - spytał Wiktor. - Zastrzelić mnie tutaj na oczach trzydziestu ludzi? Może załatwimy to gdzie indziej?

Dwaj niżsi mężczyźni natychmiast spojrzeli na swojego towarzysza, ale on nie patrzył na nich, tylko prosto w oczy Wiktora. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale Wiktor domyślał się, jaki proces myślowy odbywa się w jego głowie. Rozważa wszystkie za i przeciw - czy zastrzelić go od razu, czy też zrobić to w ustronnym miejscu.

- Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli zachować się w tym wypadku jak cywilizowani ludzie - dodał Wiktor.

- Oczywiście - przytaknął po chwili ten wysoki. - Zachowajmy się w sposób cywilizowany.

## ROZDZIAŁ 32

18:01 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Na peronie nie było nikogo poza łysym facetem w mundurze kolejarza, który teraz na niego patrzył.

Dwaj niżsi mężczyźni natychmiast stanęli po obu stronach Wiktora; byli muskularni, poważni. Zbyt wierzyli we własne umiejętności. Nie trzymali go, ale mieli broń w zasięgu ręki. Łysy nie przestawał się gapić.

Wiktor ani drgnął, gdy niższy z mężczyzn zaczął go przeszukiwać; uderzał go dłońmi po nogach i biodrach, sprawdzał wokół talii i pod pachami. Zresztą robił to bardzo szybko, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Sprytnie. Sprawdzał miejsca, w których łatwo można ukryć broń. Jednak postąpił niemądrze, bo ominął lewy nadgarstek Wiktora.

Zabrał mu jednak rewolwer i schował do kieszeni.

- W porządku - rzucił.

- To chodźmy - powiedział ten wysoki, dając sygnał ręką.

Wiktor kiwnął głową i poszedł. Mężczyzna w okularach szedł przed nim, reszta za nim. Kiedy doszli do hali dworcowej, do tego łysiego w mundurze kolejarskim, ten pchnął stare metalowe drzwi.

- Patrz przed siebie - upomniał Wiktora wysoki mężczyzna, szturchając go w plecy.

Wiktor poszedł za pierwszym mężczyzną. Weszli do długiego, słabo oświetlonego korytarza o ceglanych ścianach.

Drzwi zamknęły się, a Wiktor usłyszał odgłos odjeżdżającego pociągu. Walt Fisher chyba już znalazł sobie innego kompana do rozmowy. Skręcili w lewo i teraz szli przez długie, niemal identyczne korytarze, po których rozchodziło się echo ich kroków. Wiktor trzymał głowę prosto, ale wzrokiem nieustannie wszystko rejestrował, starając się zapamiętać drogę i wypatrując czegoś, co mógłby wykorzystać na swoją korzyść, ale nic takiego nie dostrzegł.

Znowu skręcili i mężczyzna na przedzie otworzył kluczem jakieś drzwi, po czym dał znak Wiktorowi, by wszedł do środka.

W pokoju było ciemno, czuć było nieprzyjemną woń kurzu. Nie bardzo wiadomo, do

czego tak niewielkie pomieszczenie mogło służyć. Pod jedną ze ścian stało kilka tekturowych pudeł, pod drugą zwykły plastikowy stół i krzesła, w kącie szczotka i kubek.

- Siadaj - powiedział wysoki mężczyzna.
- Wolę postać - stwierdził Wiktor, odwracając się.
- To był rozkaz, a nie propozycja - mężczyzna podszedł krok bliżej.
- Obstaję przy swoim. Wolę stać.
- Siadaj, do cholery - krzyknął mężczyzna, a jego oczy zwęziły się.

Wiktor ani drgnął.

Wysoki facet kiwnął ręką, a niski blondyn z sińcami pod oczami ruszył do przodu.

Blondyn był z dziesięć centymetrów niższy od Wiktora, ale o wiele masywniej zbudowany - kurtka ciasno opinała jego ramiona i pierś. Wiktor poczuł siłę jego uścisku na szyi. Nie opierał się, gdy został przyparty do ściany - chodziło mu o to, by przeciwnik wyczuł jego słabość. Ani na chwilę nie przestając patrzeć na blondyna, Wiktor wygładził marynarkę i zrobił duży krok naprzód, tak że znalazł się bardzo blisko niego. Ten uśmiechnął się.

Cios był szybki, ale niecelny, bo stali zbyt blisko siebie i blondyn nie miał możliwości przyzwycięzić się zamachnąć. Wiktor napiął mięśnie i pod siłą uderzenia upadł na jedno kolano, kaszłąc.

Trzej mężczyźni wybuchli śmiechem, a Wiktor nadal kaszłał i pluł - dłużej niż było trzeba. Blondyn cofnął się trochę i stanął obok swoich kolegów, bliżej drzwi.

- No co, teraz gotów jesteś usiąść? - spytał ten wysoki.

Wiktor wstał wolno i przysunął sobie stare, ale wyglądające na wygodne krzesło. Usiadł bez pośpiechu.

- I co teraz będzie? - zapytał zbolalym i załamany głosem.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wysoki mężczyzna wyjął telefon komórkowy z kieszeni spodni, wybrał numer, a potem przyłożył aparat do ucha.

- Mamy go - powiedział. Przez chwilę słuchał, co mówił jego rozmówca. - Tak, na dworcu - dorzucił. Znowu pauza, po czym wysoki spojrzał na Wiktora, który siedział posłusznie. - Twój informator powie ci, gdzie jesteśmy. Nie. Poradzimy sobie. Nie sprawia żadnego kłopotu.

- Jak dotąd - mruknął pod nosem Wiktor.

Zauważył, że dwaj niżsi mężczyźni nie obserwują go zbyt uważnie, skupili się raczej na swoim szefie. Nie przejmowali się Wiktorem, sądzili, że można go łatwo kontrolować. Dobrze. Jednak wszyscy trzej stali razem, koło drzwi, daleko od niego. Niedobrze.

Wysoki jeszcze przez chwilę słuchał wydawanych przez telefon dyspozycji, a w końcu

wymamrotał „dobra, dobra”. Rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

- Już niedługo - powiedział do Wiktora - i będzie po wszystkim.

- Dobrze - stwierdził Wiktor. - Nie lubię czekać.

Wysoki uśmiechnął się i zrobił krok w kierunku stołu.

Wiktor czuł zapach dymu papierosowego, którym było przesiąknięte ubranie mężczyzny.

- Muszę przyznać, że jesteś naprawdę całkiem spokojny - stwierdził wysoki.

- Rzadko kiedy nie jestem.

Mężczyzna w zamyśleniu kiwnął głową i podszedł jeszcze o krok bliżej.

- Zgaduję, że nauczyłeś się być spokojny, zajmując się tym co my.

- Sądzę, że tak.

- Czy myślałeś kiedyś, że tak to się skończy?

- Nie, nie myślałem.

Wysoki podrapał się po podbródku.

- Od jak dawna jesteś w tej branży?

Wiktor udawał, że się zastanawia.

- Od dawna - odparł w końcu.

- Tak myślałem - powiedział wysoki, kiwając głową. - Wiesz, ja nie tkwię w tym długo. Około dwóch lat. Przedtem byłem gliną. Gówniane zarobki, ale przynajmniej nauczyłem się, jak nie wpaść, robiąc to, czym się teraz zajmuję.

- Bardziej ci się to podoba?

- Jasne, do cholery. Lepsze godziny pracy, kurewsko dużo forsy i o wiele więcej zabawy - dorzucił z uśmiechem.

- Praca powinna sprawiać człowiekowi przyjemność.

- Dobrze to ująłeś - stwierdził, siadając naprzeciwko Wiktora. - Ale szczerze mówiąc, w tej zabawie jest strasznie dużo gówna. Bywa ciężko.

- I to bardzo.

- Skoro tkwisz w tym dłużej, to może masz dla mnie jakąś radę - mówiąc to, wysoki pochylił się.

- Nie dać się zabić.

Wysoki prychnął.

- Wiesz co, sam jej powinienes posłuchać.

- Jeszcze żyję - odparł Wiktor, wpatrując się w niego.

- Jeszcze - powtórzył jak echo wysoki.

Znowu podrapał się w podbródek. Wiktor słyszał chrzęst jego zarostu.

- Wiesz co - ciągnął wysoki - podobało mi się to, co powiedziałaś wcześniej: że trzeba się zachowywać jak ludzie cywilizowani. Myślę, że jeszcze to wykorzystam. Nie masz nic przeciwko temu, że ukradnę ci powiedzenie, co?

- Nie mam.

- Zostało może pięć minut - wysoki spojrzął na zegarek.

- Chyba teraz czekając, sobie zapalę.

Sięgnął do kieszeni. Uśmiechał się do Wiktora.

- Dziewczyna wierci mi dziurę w brzuchu, żebym rzucił. Suka mogłaby dać sobie spokój.

- Może powinieneś jej posłuchać.

- Niekoniecznie.

Wyjął paczkę papierosów i zapalniczkę, położył je na stole i pchnął w kierunku Wiktora.

- Ja rzuciłem jakieś pół roku temu - powiedział Wiktor.

- Brakuje ci tego?

Wiktor przysunął bliżej paczkę i zaczął bawić się zapalniczką.

- Codziennie.

- To dlaczego rzuciłeś? Dla jakiejś dziwki?

- Coś w tym rodzaju.

- No, ale ona cię teraz nie widzi - mówił wysoki. - No, dalej, masz kilka minut, zapal, bo potem już nie będziesz miał okazji.

- Właściwie - powiedział Wiktor - zmieniłem zdanie.

Położył zapalniczkę na paczce papierosów i przysunął je kilka centymetrów bliżej siebie.

- Ale dzięki.

- Jak chcesz, więcej zostanie dla mnie - stwierdził wysoki, wzruszając ramionami.

Pochylił się, by wziąć papierosy.

W chwili, gdy zacisnął palce na paczce, Wiktor chwycił lewą ręką jego nadgarstek, wyciągnął z rękawa kawałek szkła i wbił ostrze w rękę wysokiego, tak że szkło przeszło na wylot i utkwilo w stole.

Wysoki zaczął krzyżeć, podczas gdy krew lała się z rany strumieniem.

Dwaj pozostali mężczyźni zamarli na chwilę, zszokowani. Wiktor chwycił krzesło i cisnął w nich. Pierwszy uchylił się błyskawicznie, ale drugi nie zdążył - dostał w klatkę

piersiową i upadł na podłogę.

Zanim pierwszy odzyskał równowagę, Wiktor już był koło niego, ramieniem przycisnął go do ściany i zaczął zadawać ciosy, celując w splot słoneczny. Mężczyzna z trudem chwycił powietrze, a twarz wykrzywił mu ból.

Wiktor odwrócił się do mężczyzny leżącego na podłodze, który właśnie usiłował przekreślić się na bok i wyciągnąć z kieszeni kurtki pistolet smith & wesson kaliber .45. Wiktor szybko zrobił krok do przodu i kopnął broń wycelowaną prosto w niego, ale mężczyzna trzymał ją tak mocno, że nie wypadła mu z ręki. Wiktor przyklęknął. Już miał zadać tamtemu cios w szczękę, ale przeciwnik zablokował go kolaniem. Wobec tego Wiktor usiadł okrakiem na jego klatce piersiowej, tak że głowa leżącego znalazła się między kolanami Wiktora, który zadał mu trzy szybkie ciosy prosto w nos. Dało się słyszeć chrzęst łamanych kości i chlusnęła krew, która zalała ofierze policzki.

Wiktor zerwał się błyskawicznie. Odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna stojący przy ścianie sięga po broń. Wiktor był szybszy. Chwycił go za rękę, zanim ten zdążył wyciągnąć broń, i zadał mu cios łokciem w twarz, łamiąc kość podbródka. Poczul przy tym nagły przypływ energii. Wyrwał mężczyźnie broń, wycelował mu w brzuch, wypalił dwa razy i odwrócił się akurat w porę, by zobaczyć, że człowiek ze złamanym nosem mierzy w niego z czterdziestki piątki.

Wiktor strzelił trzy razy - prosto w klatkę piersiową.

Wysoki cały czas krzyczał. Nie były to żadne konkretne słowa, tylko mieszanina strachu, desperacji i błagania.

- Nikt nie usłyszy - powiedział Wiktor. - Przecież dlatego przyprowadziliście mnie aż tutaj, nie pamiętasz?

Postrzelony w brzuch osunął się po ścianie na podłogę, zostawiając na murze krwawą smugę. Jeszcze żył, cicho jęczał, ale od śmierci dzieliły go minuty. Jego biała koszula była przesiąknięta krwią.

Wiktor przeszedł nad leżącym na podłodze ciałem, aby stanąć na wprost wysokiego. Teraz wyglądał on całkiem inaczej: twarz miał bardzo bladą, spoconą i ściągniętą, częściowo przez ból, a częściowo przez strach oraz szok. Ręka przygwożdżona do stołu była cała czerwona; lejąca się z niej krew kapała na podłogę. Lewą rękę trzymał pod płaszczem i usiłował wydobyć broń schowaną pod lewą pachą, co wcale nie jest takie łatwe nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Wiktor wycelował rewolwer w głowę wysokiego, który nagle zamarł. Wiktor wyjął jego pistolet - to był smith & wesson, identyczny jak ten, który przed chwilą kopnął.

- Co chcesz wiedzieć? - krzyknął wysoki. - Powiem ci wszystko.

Wiktor przysunął sobie krzesło i usiadł dokładnie naprzeciwko mężczyzny.

- Wiem - powiedział. - Możesz zacząć od tego, z kim rozmawiałeś przez telefon. Kto jedzie, aby się ze mną spotkać?

- Jeden Białorusin. Danił Petrenko.

- Przyjedzie sam?

- Chyba będzie z nim dwóch chłopaków z naszej grupy.

- Tylko dwóch?

- Ogółem jest nas pięciu.

- Więc od dwóch do pięciu.

Wysoki zaczął gorączkowo kiwać głową.

- Tak, dokładnie tak.

- Należycie do ludzi Petrenki?

- Nie, jesteśmy wolnymi strzelcami. Wynajmujemy się do roboty, do zabijania - tu przerwał, zdając sobie sprawę, co powiedział. - Ale nie chcemy cię zabić. Petrenko chce z tobą pomówić.

- Jeszcze raz.

Przez twarz wysokiego przemknął wyraz desperacji.

- No, dobra - powiedział po chwili - ale to był czysty biznes, przysięgam, nic osobistego.

- Nigdy nie jest.

- Rozumiesz, prawda? Tylko wypełniałem rozkazy, na tym polega moja praca. Wiesz, jak to jest, przecież ty też się tym zajmujesz.

- Nie widzę żadnego podobieństwa.

- Chcesz dostać Petrenkę, nie mnie. Ja jestem nikim.

- Więc nie jesteś mi potrzebny.

- Nie zabijaj mnie - powiedział wysoki, a jego twarz zrobiła się blada.

- Ile razy różni ludzie ci to mówili?

- Nie... nie wiem.

- Podejrzewam, że mnóstwo. A ile razy spełniałeś ich prośbę?

Nastąpiła chwila ciszy i po chwili wysoki powiedział:

- Czasami.

- Więc nie jesteś dobry w tym, co robisz.

Wiktor wstał.



- Proszę - zaczął krzyczeć wysoki. - Powiedziałem ci wszystko, co wiem.  
- Owszem - odparł Wiktor - ale ja nie wspominałem, że cię po tym wypuszczę.  
- Dobra - zaczął szybko z desperacją w głosie mówić wysoki. - Nigdy nikomu nie darowałem życia. Jestem złym człowiekiem, ale to ty powiedziałaś, że nie jesteś taki, jak ja. Więc nie bądź. Nie stań się takim, jak ja.

Wiktor patrzył na niego i wymierzył z pistoletu

- Tyle nagrzeszyłem, że jestem pewien, iż diabeł przygotował dla mnie miejsce w piekle, więc jeden grzech więcej lub mniej nic już nie zmieni.

- Nie...

## ROZDZIAŁ 33

18:12 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Wiktor zmienił magazynek, zatknął pistolet za pasek i wyszedł. W uszach dzwonił mu huk wystrzałów. W kieszeni marynarki miał jeszcze dwa zapasowe magazynki oraz trzy telefony komórkowe tych, których przed chwilą zabił. Pchnął drzwi prowadzące na korytarz i zobaczył tam jakiegoś młodego mężczyznę, chyba dwudziestokilkuletniego, w kombinezonie i z torbą z narzędziami. Długie włosy wystawały spod brudnej czapki. Szedł, podśpiewując w takt muzyki, na uszach miał słuchawki. Znajdował się zaledwie kilka metrów od Wiktora. Gdy chłopak go zobaczył, wytrzeszczył oczy i otworzył usta. Przez otwarte drzwi wpatrywał się w zakrwawione ciała w pokoju.

W niecałą sekundę później Wiktor mierzył z pistoletu smith & wesson prosto między oczy chłopaka.

- Chcesz zginąć? - spytał go.

Chłopak pokręcił głową.

- No to dawaj portfel.

Chłopak wykonał polecenie, nie spuszczać oczu z Wiktora, który otworzył portfel i wyjął prawo jazdy. Przez chwilę trzymał je wysoko nad głową, a potem wsunął do kieszeni.

- Zawrzyjmy układ. Ja zapomnę o tobie, a ty o mnie. Dobra?

Chłopak kiwnął głową, a Wiktor rzucił mu portfel, który upadł na ziemię, bo przerażony chłopak nawet nie próbował go złapać.

- Poczekaj tu piętnaście minut, a potem możesz wezwać pomoc, zrozumiałeś? - powiedział Wiktor.

W odpowiedzi nastąpiło kolejne kiwnięcie głową.

Wiktor minął chłopaka i poszedł pustymi korytarzami, odtwarzając sobie w myślach zapamiętaną drogę. Po minucie usłyszał gwar dworca, a po chwili zobaczył metalowe drzwi. Wysoki powiedział, że Petrenko będzie tu za pięć minut. Trzy już minęły.

Pchnął drzwi i znalazł się na zatłoczonym peronie, przy którym stał pociąg mający zaraz odjechać. Dojrzał co najmniej trzydziestu mężczyzn idących energicznym krokiem po peronie w jego kierunku, ale żaden nie przypominał ludzi z windy, których Wiktor widział

wczoraj w hotelu „Europa”. Zresztą nie wszystkich widział.

Wiktor oddalił się trochę od drzwi, chowając się za ludźmi na peronie. Miał nadzieję, że Petrenko zjawi się w asyście raczej dwóch, a nie pięciu ludzi. W przeciwnym razie będzie niezła jatka. Minęła minuta, a w pobliżu drzwi wciąż nikogo nie było. Być może było jeszcze inne wejście do pokoju, do którego go zaprowadzono, ale nie sądził, aby tamci ludzie mogli swobodnie poruszać się po całym dworcu. Łysy mężczyzna, którego widział przedtem na peronie, otworzył im te metalowe drzwi - za co Wiktor zamierzał mu podziękować przy najbliższej okazji.

Zbliżał się czas odjazdu pociągu i tłum na peronie rzedniał, co umożliwiło lepszą obserwację wejścia. Jednak Petrenki i jego ludzi wciąż nie było - podobnie jak tego łysiego w kolejarskim mundurze.

Drzwi pociągu zamknęły się za ostatnimi pasażerami i na peronie pozostało tylko dwóch stewardów oraz Wiktor. Spojrzał na zegarek, udając, że czeka na kogoś.

Pociąg ruszył i powoli nabierając szybkości, odjechał. Odeszli też dwaj stewardzi. I wtedy Wiktor zobaczył go - sekundę wcześniej nim on dostrzegł jego. To był ten łysy facet.

Przez dłuższą chwilę patrzył na Wiktora i nagle jego twarz się zmieniła. Zrozumiał, co się stało. Natychmiast wyciągnął z kieszeni telefon i przyłożył go do ucha. Wiktora kusiło, żeby wyciągnąć pistolet i po prostu wpakować mu dwa pociski prosto w pierś, ale dookoła było jeszcze ponad pięćdziesiąt osób czekających na swoje pociągi i z pewnością wszyscy mieli telefony. Milicja w ciągu pięciu sekund dowiedziałyby się, co się stało, a po trzydziestu każdy glina w pobliżu by go szukał.

Wiktor ruszył szybko w stronę głównej hali. Nie biegł, tylko szedł. Na dworcu szybki krok, ale nie bieg, budzi mniejsze zdziwienie niż gdzie indziej, ale gdy znajdą ciała i przejrzą nagrania ochrony, nie chciał, by zbyt wiele osób było w stanie go opisać. Łysy facet zrozumiał, co chce zrobić Wiktor i też przyspieszył, ale nie mógł biec, bo peron, na którym się znajdował, był zbyt zatłoczony. Jedną z cech, którą odznaczał się Wiktor, była doskonała sprawność fizyczna, ale tutaj nie mógł jej zaprezentować, bo natychmiast rzuciłby się w oczy. Łysy pierwszy doszedł do hali dworcowej, natychmiast znikając w tłumie.

Wiktor był nieco wyższy niż przeciętny mężczyzna, co oznaczało, że musiał bardziej się starać, by pozostać niezauważonym. Jednak w obecnej sytuacji wzrost okazał się jego atutem, bo mógł dojrzeć łysinę przeciskającą się przez tłum. Ruszył w tamtą stronę. Przeciskał się między podróżnymi, w tym przez grupkę biznesmenów, ale stracił łysiego z oczu.

Ciągle jednak posuwał się naprzód, czujny, patrzył uważnie i w końcu spostrzegł

uciekającego, jak idzie szybko, potykając się. Łysy obejrzał się, jego oczy napotkały wzrok Wiktora; zaczął niemal biec w stronę głównego wyjścia. Wiktor przedarł się przez tłum i zaczął biec, szybko redukując dystans dzielący go od łysego. Dostrzegł go na niewielkim placu przed dworcem jak stał przy grupce sześciu mężczyzn, krzycząc coś, gestykulując i wskazując w kierunku Wiktora. Jednym z tych mężczyzn był Petrenko. Wiktor zwolnił, ale tamci już go spostrzegli i rzucili się biegiem w jego kierunku - sięgali pod poły kurtek lub do kieszeni. Łysy też biegł.

Wiktor cofnął się i przysunął rękę jak najbliżej smith & wessona. Ani na chwilę nie spuszczał z oczu Petrenki i jego ludzi, którzy na jego widok nieco zwolnili, ale nadal zbliżali się do niego. Mieli ogromną przewagę liczebną, widzieli go doskonale. Znajdowali się w odległości dwunastu metrów. Nie bali się, że im ucieknie. Wiktor był pewien, że ma lepszy refleks niż oni, ale w najlepszym wypadku mógłby oddać błyskawicznie trzy strzały, tymczasem oni - sześć, a wystarczyłyby tylko jeden celny.

Także i tych sześciu nawet nie próbowało wyciągnąć broni - woleli nie załatwiać spraw na oczach innych.

Dwaj mężczyźni bez słowa odłączyli się od grupy, jeden przeszedł na lewo, a drugi na prawo i w ciągu sekundy zniknęli Wiktorowi z oczu, podczas gdy Petrenko i trzej pozostali szli naprzód. Wiktor szybko rozejrzał się na boki, starając się zobaczyć, gdzie poszli tamci dwaj, a tymczasem reszta grupy zbliżyła się jeszcze bardziej.

Sam cały czas cofał się i marzył, aby wreszcie wmieszać się w tłum na dworcu. Mężczyźni szli szybciej, niż Wiktor się cofał, ale nie odważył się odwrócić do nich plecami.

Nagle pojawiła się przed nim grupka starszych osób. Szli wolno, sprawdzając coś w broszurach. Znaleźli się dokładnie między Wiktorem a grupą Petrenki, co Wiktor natychmiast wykorzystał, odwrócił się i zaczął biec.

Przepychając się przez tłum, dostrzegł, że dwaj mężczyźni, którzy wcześniej oderwali się od grupy, też biegną, starając się odciąć mu drogę. Właściwie mogli zrobić tylko jedno - zbliżyć się na tyle, by Wiktor musiał zwolnić, a pozostali zdążyli dobiec. Wiktor dotarł do ruchomych schodów i biegł na górę, odpychając ludzi i przeskakując po dwa stopnie. Pierwszy z ludzi Petrenki dobiegł do schodów, kiedy Wiktora dzieliły od szczytu tylko trzy stopnie. Szybko nacisnął przycisk awaryjny, schody zatrzymały się nagle, ludzie zaczęli kłać i złorzeczyć, a człowiek Petrenki stracił równowagę i runął do przodu.

To dało Wiktorowi pół minuty przewagi. Nie wystarczyłoby na ucieczkę, ale być może mógłby się ukryć lub znaleźć dobre miejsce do obrony. Schody prowadziły do niewielkiego domu towarowego. Na każdym z dwóch poziomów znajdowało się około tuzina sklepów.

Wiktor rozejrzał się - były tu sklepy z bielizną, odzieżą, artykułami sportowymi, kosmetykami i papiernicze. Nic, co by mu odpowiadało.

Rzucił się naprzód, skręcił za rogiem i zwolnił, aby nie zwracać na siebie uwagi. Przeszedł obok stoisk, na których sprzedawano świeżo wyciskany sok z owoców i zdalnie sterowane zabawki. Dookoła były kawiarenki, restauracje i bary. Jeden z nich mu się spodobał, bo było w nim dużo ludzi.

Wiktor wszedł tam szybko, starając się zachowywać swobodnie - jak biznesmen po jednym drinku, który musi poczekać na pociąg. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. W środku gwar rozmów mieszał się z typową dla takich miejsc muzyką. Wiktor przybrał odpowiednią minę i podszedł do baru.

Zamówił wódkę z limonką u młodego chłopaka, wyglądającego zbyt inteligentnie na barmana. Czekaając na drinka, stanął za grupką ludzi, tak że mógł obserwować, co się dzieje na zewnątrz, samemu nie będąc widocznym. Jak na razie nie było ani śladu Petrenki i jego ludzi.

Wiktor przez cały czas zastanawiał się, gdzie jeszcze może znaleźć wyjście do głównej hali na dole - był pewien, że gdzieś musi być. Miał też nadzieję, że jego prześladowcy pobiegli w złym kierunku, a zresztą i tak mieli do przeszukania ponad dwadzieścia sklepów. Jeśli byli sprytni, powinni zablokować wszystkie wyjścia - a oprócz ruchomych schodów były z pewnością jeszcze dwa lub trzy. Wobec tego musieli obstawić co najmniej dwa, więc jeśli wpadliby na siebie, Wiktor będzie musiał stawić czoła tylko jednemu. Jeśli szukali go parami, zajmie im to więcej czasu, ale jeśli by ich spotkał, mieliby przewagę.

Bar był duży, liczni goście pozajmowali miejsca zarówno przy stolikach, jak i w niszach pod ścianami oraz przy barze. Byli to przeważnie zwykli pasażerowie lub biznesmeni. Wiktor dobrze wpasował się w ten tłum.

Ludzie Petrenki szukali tylko jego, samotnego człowieka. Nie było powodu, by ułatwiać im zadanie.

Wiktor zobaczył naprzeciwko siebie kogoś interesującego. Siedziała elegancko na stołku przy końcu baru i wykałaczką wybierała oliwki ze szklanki, z której wypila już drinka. Nie wyglądała jak bizneswoman i była tak zrelaksowana, że z pewnością nie mogła być podróźną. Patrzył na nią, dopóki go nie spostrzegła; spojrzeli sobie w oczy. Uśmiechnął się do niej - nic natrętnego, po prostu delikatna nić sympatii. Kobieta odwróciła wzrok, ale po chwili znowu na niego zerknęła.

Barman przyniósł Wiktorowi drinka, a on podszedł ze szklanką do kobiety.

- Czy pozwoli pani postawić sobie drinka? - spytał.

Usiadł na stołku po prawej stronie kobiety tak, że ktoś stojący na zewnątrz baru nie mógł go zobaczyć.

Kobieta obrzuciła go taksującym spojrzeniem i skinęła aprobowująco głową.

- Walt Fisher - przedstawił się Wiktor.

- Jestem Carolin - mówiąc to, wyłowiła kolejną oliwkę. - Miło cię poznać, Walt. Jesteś Amerykaninem?

Wiktor kiwnął głową.

- To dobrze, lubię Amerykanów.

Mówiła z ładnym rosyjskim akcentem, tonem osoby wykształconej, a jej twarz świadczyła, że kiedyś musiała być bardzo piękna. Z bliska dostrzegł, że kobieta była starsza, niż myślał, wyglądała na nieco ponad czterdzieści lat, ale i to zostało osiągnięte chyba tylko dzięki skalpelowi chirurga plastycznego. Była szczupłą, miała długie nogi i krótkie proste brązowe włosy, przy samej głowie odrobinę siwe. Była ubrana w wąską spódnicę, białą bluzkę i nosiła mnóstwo biżuterii.

- Czego się pani napije? - Wiktor skinął na barmana.

- Tego samego - odparła. - Wytrawne martini z oliwkami. Mnóstwem oliwek.

Wiktor podszedł do barmana i położył pieniądze na barze. Obejrzał się na Carolin. Jej poprzednią znudzoną minę zastąpił wyraz rozbawienia i zaciekawienia.

- Jest tu wiele kobiet, dlaczego więc przysiadł się pan do mnie?

- Bo pani znalazła się tu z innego powodu niż one.

- Co ma pan na myśli?

- Każdy jest przejazdem, a pani tu zostaje.

- To takie oczywiste?

- Nie, ale ja w związku z moją pracą muszę być spostrzegawczy.

Kobieta kiwnęła głową, uśmiechając się.

- Mój mąż, tłusty idiota, ugania się za swoją sekretarką, a ja przyjechałam tutaj, bo lubię pewien typ mężczyzn. I jak się panu podoba takie wytłumaczenie?

- Całkiem dobre.

Carolin zauważyła, że Wiktor zapuszcza wzrok w jej głęboki dekolt, a gdy znowu na nią spojrzął, obdarzyła go pięknym uśmiechem.

- Nie jesteś zbyt subtelny, co?

Wiktor potrząsnął głową.

- To nie w moim stylu.

- W porządku - powiedziała Carolin. - Lubię szczerość.

Barman postawił przed nimi szklanki z martini i poszedł obsługiwać innych klientów.

- Za co pijemy? - spytał Wiktor, podnosząc szklankę.

- Za szczerość - odparła Carolin, stukając swoją szklanką o jego, po czym wypila długi łyk i jej oczy rozszerzyły się z zadowolenia. - Pyszne.

Nagle Wiktor zobaczył na zewnątrz dwóch mężczyzn w garniturach. To byli ludzie Petrenki - ci z bocznych flank. Nie mogli tak szybko przeszukać pozostałych sklepów, a więc musieli domyślić się, gdzie on może być. Sprytnie. Weszli i zaczęli się rozglądać. Zauważył, że Carolin spostrzegła, że coś zaprzęta jego myśli, ale nie dała po sobie poznać, że to jej przeszkadza.

- A więc co pana sprowadza do tej części miasta?

- Praca.

- Zawarcie jakiegoś kontraktu?

- Coś w tym rodzaju.

Na chwilę mężczyźni zniknęli mu z oczu, ale Wiktor nie chciał zmieniać pozycji, żeby nie zwrócić na siebie ich uwagi.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała Carolin.

- Jestem nieco zmęczony długą podróżą.

Ludzie Petrenki znowu się pojawili, tym razem szli z drugiego końca baru. Mieli znaleźć samotnego mężczyznę, a nie mężczyznę w towarzystwie kobiety.

- Wobec tego powinien się pan położyć - Carolin popatrzyła na niego znacząco.

Kiwnął głową. Jeden z mężczyzn wskazał na toaletę, ale drugi pokręcił głową przekonany, że Wiktor nie wpakowałby się sam w taką pułapkę.

- Mieszkam w hotelu po przeciwnej stronie ulicy - powiedziała Carolin. - W pokoju jest minibar. Możemy go opróżnić, a za wszystko i tak zapłaci mój mąż.

Wiktor odchylił się do tyłu, nie spuszczać z oczu ludzi Petrenki.

- Bardzo bym chciał, ale muszę już iść.

- Proszę się nie obawiać. Tylko zapraszam na drinka.

- Może innym razem - Wiktor wstał.

- Nie musisz uciekać - powiedziała Carolin.

Nie odpowiedział. Czuł się fatalnie, gdyż kobieta uważała, że jest odrzucona, ale nic nie mógł na to poradzić. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut ten chłopak z narzędziami podniesie alarm. Nie ma dużo czasu, ale ludzie Petrenki są już bardzo blisko.

## ROZDZIAŁ 34

18:12 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Po drodze Wiktor oglądał telefony komórkowe, które zabrał zabitym. Ich wygląd świadczył, że były często używane, a to wiele mówiło o ich właścicielach. Nie byli zawodowcami, ale było ich trzech i mieli broń, a pociski zabijają bez względu na to, kto strzela. W telefonie tego wysokiego otworzył listę kontaktów i nacisnął numer, który figurował jako pierwszy.

- Tak? - odezwał się po rosyjsku męski głos.

Wiktor nic nie powiedział. Słuchał hałasów w tle: oddechu Petrenki, ogłoszeń przez megafon o przyjeździe i odjeździe pociągów oraz gwaru tłumu. W galerii handlowej nie słyhać było żadnych ogłoszeń, ale na dole w hali dworcowej na pewno tak. Wiktor skierował się w stronę ruchomych schodów, cały czas rozglądając się bacznie na boki, obserwując swoje odbicie w szybach i sprawdzając, czy ktoś na niego nie patrzy.

- To ty - powiedział po chwili Petrenko.

Po jego tonie można było poznać, że jest zaskoczony, ale spokojny. Był zaintrygowany. Miał głos wykształconego, zamożnego mieszkańca Mińska. Wiktor usłyszał pstryknięcie palcami i wyobraził sobie, że Białorusin daje znak któremuś ze swoich ludzi. Wciąż słyhać było płynący przez megafon głos, tym razem wzywający właściciela jednego z samochodów do przestawienia auta. Usłyszał też brzęk naczyń i domyślił się, że to chyba kelner sprząta stolik.

- Tak - odparł Wiktor.

Szedł szybko, szukając wzrokiem ludzi Petrenki, ale nie mógł ich dostrzec. Pomyślał, że do galerii wysłano co najmniej dwóch mężczyzn, ale z pewnością kilku pilnuje wyjść. To znaczy, że z Petrenką został jeden lub dwóch ochroniarzy. Nagle w kieszeni Wiktora zadzwonił drugi telefon, ale nie odebrał.

- Skąd masz ten numer? - zapytał Petrenko.

- A jak myślisz?

Cisza, a po chwili pytanie:

- Czego chcesz?

- Zadać ci kilka pytań.



- No, to śmiało.

- Twarzą w twarz.

Telefon w kieszeni Wiktora przestał dzwonić, ale po sekundzie zadzwonił kolejny.

Petrenko zaśmiał się krótko.

- To może spotkajmy się na parkingu. Pojedziemy sobie na przejażdżkę i porozmawiamy, o czym tylko chcesz.

Wiktor doszedł do ruchomych schodów. Popatrzył w dół na kafejki i bary; przy stołach siedziały tłumy ludzi, a kolejne płynęły w jedną lub w drugą stronę niczym rzeka. Ani śladu Petrenki. W wyciągniętej ręce trzymał telefon skierowany w stronę głównej hali i liczył do pięciu. Gdy doszedł do czterech głos z megafonu umilkł i Wiktor znowu usłyszał pstryknięcie palcami, ale tym razem szybsze, ponaglące. Wobec tego skierował się w stronę zwykłych schodów. Telefon w jego kieszeni umilkł.

- Wolałbym w jakimś bardziej publicznym miejscu - powiedział do słuchawki.

- To gdzie proponujesz?

- Nie tutaj.

- Dlaczego?

W tle rozmowy Wiktor usłyszał głuchy trzask, jakby metalu, a po kilkunastu sekundach znowu. Zaczął schodzić po schodach, ale zasłonił palcami mikrofon telefonu, żeby jego głos wydawał się przytłumiony i żeby nie było słychać echa niosącego się po schodach.

- Dlatego - odparł - że w ciągu ostatniego kwadransa zabiłem trzech twoich ludzi i zaraz ktoś to zauważy.

Do uszu Wiktora dobiegł trzask i dobrze wiedział, co on oznacza.

- OK - powiedział Petrenko. - Rozumiem. Też nie chcę, aby wtrąciła się w to milicja.

Wiktor był już na dole i teraz skierował się w stronę hali dworcowej. Cały czas przyciskał palcami mikrofon. Przyglądał się wiszącym w górze tabliczkom informacyjnym, aż wreszcie dostrzegł tę, o którą mu chodziło i zmienił kierunek.

- Więc jesteście umówieni?

- Powiedz mi jedną rzecz. Co chcesz osiągnąć przez to spotkanie? - spytał Petrenko.

- Chcę cię poznać.

Wiktor szybko przeciskał się przez tłum, minął ludzi stojących w kolejce do bankomatu.

- I to wszystko? - prychnął Petrenko.

- I przekonać cię, żebyś mnie nie zabijał.

- O, musiałbyś mi podać jakiś bardzo ważny powód.

Wiktor wyobraził sobie, że mówiąc to, Petrenko się uśmiecha. Szedł coraz szybciej, omijając grupkę młodych ludzi jedzących burgery.

- Już wiem, co ci podaruję.

Petrenko wybuchnął śmiechem.

- Cóż takiego? - spytał.

- Twoje życie - odparł Wiktor, ale nie powiedział tego do telefonu.

Petrenko zeszywniał, zaniemówił i znieruchomiał. Był akurat w męskiej toalecie, a tuż za jego plecami stał Wiktor. Jakiś starszy człowiek wrzucał monety do automatu, które padając, wydawały charakterystyczny brzęk.

- Chyba nie muszę ci mówić, abyś się nie odwracał - rzekł Wiktor.

- Moi ludzie są blisko - powiedział Petrenko, przełykając ślinę.

- Nie, nie ma ich. Rozmawiałeś ze mną, a w międzyczasie wysłałeś ich w stronę ruchomych schodów. Minie kilka minut, zanim zorientują się, że mnie tam nie ma.

Petrenko odsunął telefon od ucha.

- Czego chcesz?

- Ruszaj, idziemy - rozkazał Wiktor, wyrzucając telefon do śmietnika. - Do wyjścia.

- Dobra - powiedział Petrenko i zaczął wolno iść, rozglądając się za swoimi ludźmi.

Wiktor szedł za nim.

- Ruszaj się szybciej, jeśli chcesz zachować kolana.

Petrenko przyspieszył kroku.

- Nie zabijaj mnie, błagam.

- To będzie zależało od ciebie.

- A jak mnie powstrzymasz od wołania o pomoc? - spytał Petrenko łamiącym się głosem.

- Jeśli to zrobisz, podziurawię ci kręgosłup i ucieknę, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się stało.

Wyszli z dworca. Na zewnątrz było cieplej niż wtedy, gdy Wiktor przyjechał.

- Którędy teraz? - spytał Petrenko.

- A którądy byś chciał?

- Na lewo.

- No, to idziemy na prawo.

Wiktor szedł z prawej strony za Petrenką, ale niezbyt blisko. Nie dlatego, że się bał nagłego ataku Białorusina, ale ponieważ dwaj mężczyźni idący jeden za drugim wyglądaliby podejrzanie. Szli przez kilka minut, a Wiktor decydował, kiedy mają skręcić w lewo lub w

prawo. W końcu się zatrzymali.

- Dlaczego chcesz mnie zabić? - zapytał Wiktor.

- Chyba nie oplaca mi się kłamać.

- Patrz przed siebie - przypomniał mu Wiktor. - Kłam, jeśli sądzisz, że warto, ale za każdym razem, gdy nie będę przekonany o twojej prawdomówności, stracisz palec.

- Ty i twoja ekipa zaatakowaliście mnie na moim terenie, w moim mieście i zabiliście moich ludzi.

- Chyba miałeś dość czasu, żeby się domyślić, że moim celem był Gabir Yamout, a nie ty.

- Nawet jeśli tak było, to nie mogę pozwolić, żeby taki czyn uszedł ci bezkarnie. Przecież to godzi w moją reputację.

- Skąd wiesz, jak wyglądam?

- Jeden z moich ludzi widział cię w hotelu. To było jeszcze przed całą akcją - Petrence aż zabrakło tchu. Przełknął ślinę i mówił dalej. - Użyłem swoich kontaktów w milicji. Dostarczyła mi rysownika, który stworzył twój portret. Dam ci pieniądze. Dam ci wszystko, czego chcesz.

- Nie chcę ani pieniędzy, ani narkotyków, ani kobiet.

- No, dobra, to jedźmy dalej. Znalazłeś mnie, wielka mi raptem, kurwa, sztuka. Zabij mnie i już. Nie będziesz się tu ze mną bawić.

- Nie jestem tu dla zabawy.

- To po co? Jeśli zamierzałeś mnie zabić, to dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś?

- Bardzo dobrze - przytaknął Wiktor - ale nie jesteś mi potrzebny martwy, tylko żywy.

- Po co?

- Moim celem był Yamout, nie ty. Znalazłeś się tam przypadkiem i bardzo mi przykro z tego powodu.

- Przyjmuję przeprosiny - stwierdził chłodno Petrenko.

- Zapomnij o mnie.

- Co takiego?

- Wycofaj ten portret. Powiedz swoim ludziom, żeby już mnie nie szukali, a jeśli pomoże ci to ocalić twarz, to możesz im powiedzieć, że zabiły mnie twoje zbiry podczas strzelaniny.

- Dlaczego?

- Bo tak ci mówię - powiedział Wiktor beznamiętnie. - Bo cię zabiję, jeśli tego nie zrobisz. Wracaj do swoich spraw, a ja wrócę do moich.

- Nic z tego nie będzie, nikt mi nie uwierzy, jeśli nie będzie ciała.

- Na stacji w jednym z pomieszczeń na zapleczu są trzy ciała, więc lepiej postaraj się, żeby ci uwierzono, bo jeśli nie, to wrócę. Jeżeli nie mogę zabić cię teraz, to zrobię to później.

Petrenko zeszywniał.

- Wierzę ci - powiedział, przetykając ślinę. - Zrobię, jak mówisz. Wygrałeś.

- No, to umowa stoi.

- Tak, stoi. Odpowiedz mi jednak na jedno pytanie. Dlaczego puszczasz mnie żywego?

- Ponieważ zabijam tylko wtedy, gdy ma to czemuś służyć, a zabicie ciebie nie sprawi, że twoi ludzie nagle zapomną o moim portrecie pamięciowym. A tylko o to mi chodzi. Gdybym zabił cię teraz, to potem musiałbym zabić wszystkich z twojej organizacji, a na to po prostu nie mam czasu.

- Kim ty do cholery jesteś?

- To nieważne. Natomiast ważne, że jeżeli chcesz żyć, to nigdy więcej nie zadawaj tego pytania - odparł Wiktor, obchodząc Petrenkę dookoła i stając naprzeciwko niego. - Jeśli chcesz żyć, to nie wąż się nawet drgnąć.

Petrenko patrzył z przerażeniem, jak mężczyzna wkłada mu coś do kieszeni koszuli na piersi.

- Daję ci coś, żebyś o mnie nie zapomniał - powiedział Wiktor i odsunął się. - To pojemniczek pełen nitrogliceryny. Jest tego niedużo, ale jeśli wykonasz jakiś nagły ruch albo odetchniesz zbyt głęboko, to będziesz miał w klatce piersiowej dziurę wielkości pięści.

- O Boże.

- A więc ostrożnie - powiedział Wiktor i podniósł palec do ust. - Na twoim miejscu nie mówiłbym głosem donośniejszym od szeptu - odsunął się, obszedł Petrenkę półkolem i zniknął mu z oczu. - Już idę. Możesz wezwać pomoc przez telefon albo iść, jak chcesz. Tylko pamiętaj, że cokolwiek postanowisz, musisz poruszać się bardzo, bardzo wolno.

Petrenko stał bez ruchu i odważył się tylko zadzwonić. Minęło sześć minut, zanim jego ludzie go znaleźli. Pojawili się dwaj idioci, czerwoni na twarzy i ledwie mogący złapać oddech. Ich beznadziejna sprawność fizyczna dorównywała ich głupocie.

Petrenko bardzo powoli i cicho wyjaśnił im, że w kieszeni koszuli ma bombę i że trzeba ją wyjąć. Dwaj goryle patrzyli na niego i ani drgnęli.

- Jeden z was - powiedział Petrenko przez zaciśnięte zęby - ma to zrobić.

Zero reakcji.

- Lepiej niech któryś z was się ruszy.

Wyższy szturchnął niższego, a ten niechętnie zrobił krok naprzód.

- Wszystko będzie dobrze, szefie - powiedział i podszedł do Petrenki.

- Zamknij się i wyjmuj to.

Kiedy ochroniarz był na tyle blisko Petrenki, że czuł od niego zapach tytoniu, sięgnął do kieszeni koszuli swojego pracodawcy.

- Wolniej, ty imbecyłu - szepnął Petrenko. - To nitrogliceryna. Niezwykle łatwo wybucha. Jeśli nie zrobisz tego pomału, zginiemy obydwaj.

Ręka ochroniarza drżała, był bardziej przerażony niż sam Petrenko. Powoli włożył dwa środkowe palce do kieszeni koszuli swojego szefa, a gdy namacał bombę, westchnął.

- Ostrożnie - szepnął Petrenko.

Ochroniarz wziął głęboki oddech i zebrał się na odwagę. Po chwili wyciągnął palce z kieszeni.

- Już po wszystkim. Poszło gładko - powiedział Petrenko.

- Wygląda jak zapalniczka - stwierdził jego człowiek.

- I jest pełna nitrogliceryny, więc uważaj - szeptem dodał Petrenko i cofnął się. Ochroniarz trzymał fiolkę z nitrogliceryną w wyciągniętej ręce. Twarz miał bladą i spoconą.

- Połóż to - rozkazał Petrenko i odszedł jeszcze dalej.

Ochroniarz bardzo powoli kucnął i delikatnie położył ładunek na chodniku. Kiedy już się go pozbył, odetchnął głęboko.

Petrenko patrzył z przerażeniem, jak kropla potu kapnęła z nosa ochroniarza na podłogę zaledwie kilka centymetrów od ładunku. Obszedł go szerokim łukiem, a ochroniarz podążył tuż za nim.

- I co teraz? - spytał.

- Wysadź to - rozkazał Petrenko.

- Ale jak?

- Chyba masz broń.

Ochroniarz westchnął i wyciągnął pistolet.

- Na pewno jesteśmy w bezpiecznej odległości?

- Jasne, że tak. Strzelaj! - rozkazał Petrenko.

Mężczyzna strzelił. Trafił dokładnie w zapalniczkę i rozbił ją. I nic. Żadnego wybuchu.

Petrenko poczekał kilka sekund. Nadał nic.

- Co za cholera?

Drugi z ochroniarzy roześmiał się.

- To faktycznie była tylko zapalniczka.

Petrenko odepchnął ich i podszedł do zapalniczki. Uklęknął, dotknął palcem niewielkiej plamki pod zapalniczką, a potem podniósł palec do nosa. Benzyna.

- Skurwysyn - szepnął pod nosem Petrenko.

## ROZDZIAŁ 35

MOSKWA, ROSJA

18:30 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Tomasz Burliuk jeszcze przez długi czas patrzył na swoją komórkę, zanim ją schował. Petrenko właśnie poinformował go, że zawodowcy, których wynajął Burliuk, doskonale się spisali, chociaż trzech z nich zginęło. Jednak to nie Burliuka nie obchodziło. Najważniejsze, że Petrenko przyrzekł nie puścić pary z ust w sprawie rokowań z Yamoutem i że Kazakow nigdy się nie dowie, że jego najlepszy przyjaciel wszedł w konszachty z jego śmiertelnym wrogiem. Teraz Burliuk wziął głęboki wdech, przejrzał się w lustrze, sprawdzając, czy na jego twarzy widoczny był stres, a nie spostrzegłszy żadnych jego oznak, otrzepał dłonią ramiona marynarki, przyglądał włosy i wrócił do jadalni, gdzie przy stole siedzieli Kazakow, Jelczina oraz dwóch potencjalnych klientów z Korei Północnej. Byli to poważni panowie, obydwaj mieli po pięćdziesiąt parę lat i reprezentowali Phenian.

Klub, w którym siedzieli, należał do najlepszych w Moskwie, a ponieważ Kazakow bardzo go cenił, podobał się też Burliukowi. Kazakow był członkiem wielu moskiewskich klubów i często jadał poza domem - czy to załatwiając przy obiedzie bądź kolacji sprawy biznesowe, czy też dla własnej przyjemności, bo kochał wyśmienitą kuchnię. Zawsze lubił dobrze zjeść, nawet wtedy, gdy Burliuk spotkał go pierwszy raz, a było to dawno temu. Burliuk często bywał w restauracjach razem z Kazakowem, ale Jelczina rzadko im towarzyszyła. Jednak teraz, przy tej kolacji, jej obecność była niezbędna, choć jej poczucie humoru było równe zeru i żarty, które sprawiały, że Kazakow płakał ze śmiechu, u niej nie wywoływały żadnej reakcji.

Prowadzenie interesów z komunistycznym reżimem Korei Północnej stanowiło niemal gwarancję wzrostu notowań Kazakowa. Najdrobniejszy szczegół takiego kontraktu musiał być utrzymany w najściślejszej tajemnicy. Dlatego pomimo gigantycznych pieniędzy, jakie można było na tym zarobić, Kazakow sprzedawał broń temu krajowi tylko wówczas, gdy okoliczności były sprzyjające, a ryzyko minimalne. Jednak teraz czasy się zmieniły, organizacja Kazakowa pilnie potrzebowała pieniędzy i kontrakt z Koreańczykami wprost spadał mu z nieba.

Kazakow miał na sobie srebrzystoszary garnitur, który - z czego Burliuk doskonale zdawał sobie sprawę - kosztował więcej niż niejeden samochód. Każdy jego garnitur był szyty na miarę i nie chodziło tu bynajmniej o próżność - po prostu Kazakow był zbyt obszerny w ramionach i w klatce piersiowej, aby mógł dobrać sobie jakiś garnitur w sklepie. Zawsze szył ubrania u tego samego krawca - chudziutkiego, osiemdziesięcioletniego staruszka, którego w razie potrzeby przywożono samolotem z Kijowa. Kazakow uważał, że jego przyjaciele i ludzie z jego otoczenia powinni być równie dobrze ubrani i Burliukowi nie trzeba było tego mówić. Jelczina była ubrana w czarny kostium, podkreślający jej szczupłą sylwetkę. Z kolei garnitury Koreańczyków były niewiarygodnie tandetne i świadczyły o złym guście ich właścicieli.

- Panowie - zaczął Kazakow - ufam, że smakowało wam jedzenie i jesteście gotowi do omawiania interesów. Daję wam wyjątkową okazję wzbogacenia sił powietrznych waszego kraju o samolot MiG-31 w bardzo rzadkiej i niezwykle wyszukanej wersji wielozadaniowej BM. Jest to model przechwytyjący, wzbogacony w stosunku do prototypu. A to oznacza, że nadaje się on do transportu rakiet typu ziemia - powietrze. Dodatkowym plusem jego wyposażenia jest zestaw HOTAS oraz radar Zasłon-M. Zasięg radaru wynosi czterysta kilometrów i umożliwi waszym pilotom atakowanie równocześnie celów naziemnych i powietrznych. W katalogu, który otrzymaliście, uwzględnione są te wszystkie udoskonalenia.

Zanim zaczął mówić dalej, Kazakow uśmiechnął się.

- NATO nazywa ten samolot Foxhound. Zapewne zgodzicie się ze mną, że ta nazwa jest dla niego bardzo odpowiednia. Samoloty nieprzyjaciela będą dla tej maszyny jak lisy uciekające przed chartem.

Koreańczycy siedzieli, nie reagując.

Burliuk usiadł tuż obok Kazakowa i szepnął:

- Bardzo przepraszam.

Kazakow skinął głową, ale Burliuk znał go na tyle dobrze, by wyczuć jego niezadowolenie. Poza nim nikt z obecnych przy stole tego nie zauważył.

- MiG-31BM to wyjątkowy myśliwiec - ciągnął Kazakow. - Mając te maszyny w swoich siłach powietrznych dołączycie do potężnej i elitarnej grupy państw. Wszyscy agresorzy, wraz ze Stanami Zjednoczonymi, planujący napaść na wasz kraj będą się bali wysłać samoloty w waszą przestrzeń powietrzną albo okręty na wasze wody. Mam dwadzieścia tych samolotów, mogę je sprzedać za bardzo rozsądną kwotę siedemdziesięciu milionów dolarów za każdy. Ta cena nie podlega negocjacjom i zawiera koszty dostawy maszyn w wybrane przez was miejsce.



- Hindusi sprzedadzą nam MiG-29 w bogatszej wersji za czterdzieści milionów dolarów za sztukę - powiedział jeden z Koreańczyków. Był wysoki, chudy, kruczoczarne włosy miał krótko obcięte.

Jelczina wzruszyła lekko ramionami.

- Oczywiście, że tak, szczególnie że nie są one warte więcej niż piętnaście milionów i to bez względu na wersję. Te MiG-i będą musiały przejść modyfikację w Indiach. Choćby nie wiem jak tamtejsi inżynierowie byli wyszkoleni, to nam nie dorównają, a te samoloty, które wam oferujemy, zostaną udoskonalone w Rosji. Proponujemy wam oryginalny rosyjski produkt, zgodny z wymogami i nieużywany dotąd w żadnej operacji. I jeszcze coś: kupując je u nas, otrzymacie stuprocentową pewność, że dostaniecie całe swoje zamówienie - uśmiechnęła się i uniosła brwi. - Nie będziecie musieli znowu wracać do tej nieszczęsnej sprawy kazachsko-azerbejdżańskiej - powiedziała.

Koreańczycy zaczęli naradzać się między sobą w swoim języku. Dla Burliuka brzmiał on jak język kosmitów. Ani on, ani Kazakow i Jelczina nie znali koreańskiego. Kazakow odwrócił się do Burliuka i dał mu znak, by przysunął się bliżej.

- Bądź tak uprzejmy i powiedz mi, co było takie pilne, że aż musiałeś odejść od stolika w trakcie tak niezwykle dla nas ważnego spotkania.

Kazakow mówił szeptem, spokojnym i opanowanym tonem, ale Burliuk wyczuł w nim groźbę.

- Wybacz, Władimirze, ale zapewniam cię, że było to konieczne. Wczoraj dotarła do mnie pogłoska od mojego człowieka z Mińska, że będzie tamtędy przejeżdżał do Rosji zabójca, aby znowu spróbować cię uśmiercić. Wysłałem kilku ludzi, by sprawdzili wiarygodność tej informacji; okazała się prawdziwa. Złapali go. Niestety wywiązała się strzelanina i zabójca zginął.

Kazakow wyglądał na zdziwionego. Kupił kłamstwo, a nawet lekko się uśmiechał.

- No, w takim razie ci przebaczam, Tomaszu - popatrzył na Jelczinę. - Myślałem, Julio, że to ty jesteś odpowiedzialna za moje bezpieczeństwo. Chyba od dziś muszę zacząć wypłacać twoją pensję Tomaszowi.

Jelczina skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. Kazakow uśmiechnął się, wziął do ręki kieliszek z winem i wypił duży łyk.

- O, i jeszcze gdyby ktoś z was był tak miły i dowiedział się, kto chce mnie zabić, byłbym wdzięczny.

Po przeciwnej stronie stołu Koreańczycy ciągle się naradzali.

- Słyszałam coś o masowym zabójstwie, w którymś z hoteli w Mińsku - powiedziała

Jelczina do Burliuka.

- Czy to o tym mówiłeś?

Burliuk sączył wodę mineralną.

- Niestety nie znam jeszcze wszystkich szczegółów.

- Gdy je poznasz, koniecznie mi je przekaż - powiedziała Jelczina.

- Oczywiście - przytaknął Burliuk, kiwając głową.

- A co ze sprawą tego skurwiela, który zabił mojego siostrzeńca? Znalazłaś kogoś odpowiedniego? - spytał Kazakow.

- Śledzimy sprawę, ale Ariff nigdy nie mieszka w jednym miejscu dłużej niż rok lub dwa - wyjaśniła Jelczina - i bardzo się stara, aby nikt go nie namierzył. A więc znalezienie go wymaga czasu, lecz przyrzekam, że to zrobimy. A jak już się dowiemy, to najlepiej wynająć Amerykanów. Moi współpracownicy bardzo ich polecają, ale niestety oni żądają góry pieniędzy.

Przez twarz Kazakowa przemknęła wściekłość, nad którą jednak natychmiast zapanował.

- Kiedy mówię, że pieniądze nie grają roli, to którego słowa nie rozumiesz?

Jelczina obruszyła się.

- Przecież nie ja podpisuję czeki. To Tomasz wymyślił, żeby się z nimi targować.

Kazakow popatrzył na Burliuka i tym razem nie zdołał ukryć gniewu.

- Władimirze, oni zażądali niewiarygodnie wielkiej sumy - odpowiedział szybko Burliuk. - Chcesz, żebym zarządzał twoimi pieniędzmi, i to właśnie robię. Za sumę, której oni żądają, moglibyśmy wynająć całą armię. Nie przesadzam.

Kazakow pochylił się bliżej Burliuka.

- Przerwij natychmiast te negocjacje i zapłać im, ile chcą. Powtarzam: ile chcą. Jeśli są tak dobrzy, jak mówi Julia, to nie negocjuj z nimi, tylko ich bierzemy. Każda sekunda, w której Ariff żyje, a Illarion leży pod ziemią, jest zmarnowana. Poza tym, jeśli dostarczą mi jego głowę w ciągu miesiąca, zapłacę im dwa razy tyle. Rozumiesz? - Burliuk skinął głową. - Tylko upewnij się, że ten bezwartościowy egipski bękart i jego rodzina nie żyją. Szybko.

Koreańczycy przestali się naradzać i spojrzeli na Kazakowa.

- No, panowie - zaczął Kazakow, już bez śladu złości, bo przecież teraz chodziło o interesy. - Zdecydowaliście się?

Szczupły Koreańczyk złożył dłonie.

- A jeśli chodzi o broń? Co zamierza pan dostarczyć wraz z samolotami?

Kazakow uśmiechnął się rozbawiony. Wszyscy, rządów nie wyłączając, chcieli dostać coś za darmo.

- Nikt nie chce psa bez zębów - powiedział - ale dobre kły kosztują. Mam niemal nieograniczony dostęp do rakiet powietrze-powietrze R-33 i nowszych R-77, jak również rakiet powietrze-ziemia, łącznie z rakietami przeciwokrętowymi X-55. Proszę, moi drodzy przyjaciele, katalog i cennik. Jeśli jednak będziecie tak mili i kupicie wszystkie dwadzieścia odrzutowców, to wyposażę każdy w pełen arsenał rakiet. I nic za to nie policzę. No, to jak? Ubiliśmy interes?

Szczupły Koreańczyk skinął głową.

- Ale chcemy gwarancji jakości.

- Oczywiście - powiedział Kazakow, ponownie się uśmiechając. - Dostaniecie gwarancję i ewentualny zwrot kosztów, w razie gdyby coś poszło nie tak.

## ROZDZIAŁ 36

WASZYNGTON, STANY ZJEDNOCZONE  
CZWARTEK 10:25 CZASU WSCHODNIEGO

Procter spotkał się z Clarkiem w Smithsonian National Zoological Park. Czekał obok klatki z dzikimi kotami i obserwował parę tygrysów sumatrzeńskich, wygrzewających się w słońcu i rozkoszujących się leniuchowaniem. Dzień był ciepły, ale mężczyźni o tuszy Proctera wydawali się gorący. Zostawił marynarkę w samochodzie.

- Wyglądają na znudzone - powiedział do Clarke'a, który właśnie przyszedł.

Jednak Clarke nie podzielał tego zdania.

- Które zwierzę o tak perfekcyjnej budowie wolałoby być karmione niż zabijać?

Procter skinął głową i na wszelki wypadek ściszył głos, chociaż wokół było niewielu zwiedzających.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, więc nic nie mów, zgoda? Sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak to zaplanowaliśmy. Yamout przeżył, ale jak już wcześniej ustaliliśmy, nasz plan jest aktualny także w tym przypadku.

Clarke nie odezwał się, a jeden z tygrysów ziewnął.

- Ważne, że uderzyliśmy w najbardziej newralgiczny punkt siatki Ariffa - ciągnął Procter. - Ariff się wścieknie, jego najlepszy przyjaciel niemal zginął. Teraz będzie chciał bronić siebie i Yamouta i uderzyć w winowajcę. A dzięki telefonowi Calla będą przekonani, że za tym atakiem stoi Kazakow. A Kazakow wie, że RDX użyte podczas zabójstwa Farkasa pochodziło z transportu skradzionego wtedy, gdy zginął jego bratanek. Jeśli już tego nie zrobił, to lada chwila zaatakuje Ariffa, a jeśli on się tego nie spodziewa, zostanie zmieciony z powierzchni ziemi - Procter zamilkł na chwilę.

- Jednak teraz Ariff wie, że Kazakow nastaje na jego życie i wobec tego będzie nie tylko trudniej go namierzyć, ale co więcej z zemsty będzie chciał zabić Kazakowa - zarówno w odwecie za Yamouta, jak i we własnej obronie. I tak nastąpi eskalacja konfliktu. A efekt będzie taki, że dwóch najlepszych na świecie handlarzy broni rozpocznie wojnę między sobą, która - miejmy nadzieję - potrwa lata. A to z kolei uderzy w nielegalny handel bronią do tego stopnia, że już nigdy się nie podniesie i dzięki temu ocaleje niezliczona ilość ludzkich istnień.

Clarke chrząknął.

- Znam tę strategię.

- Wiem - odparł Procter - ale nie zaszkodzi o niej wspomnieć, gdy sprawy się nieco skomplikowały.

Clarke wciąż obserwował tygrysy, z których jeden spał.

- Oczywiście byłoby prościej, gdyby Yamout zginął - przyznał Procter.

- Rolandzie - przerwał mu Clarke. - Nie podoba mi się, że to ja muszę ci wprost o tym powiedzieć, ale ta sprawa jest tak brudna, że już bardziej być nie może. Ilu ludzi udało się zastrzelić twojemu chłopakowi? Dwunastu. Według mnie to bardzo dużo, zwłaszcza że Yamout i Petrenko ocaleli. Wiem, że może jest za wcześnie, aby o tym mówić, ale musisz przyznać, że to wygląda cholernie źle. Z tego, co słyszymy, czterech ludzi z sąsiedniego apartamentu też nie żyje.

- Martwią mnie te cywilne ofiary - powiedział Procter.

- Ale Tesseract nie miał dużego wyboru, jeśli chodzi o sposób przeprowadzenia ataku. Najlepiej byłoby, gdyby Yamout i Petrenko spotkali się w jakiejś chacie na pustkowiu, ale tak nie było. W takich przypadkach zawsze istnieje ryzyko, że zginą osoby postronne, a my - zanim zaczniemy ferować wyroki - musimy wysłuchać tego, co ma do powiedzenia Tesseract.

- Twojemu najemnikowi nie udało się zabić Yamouta, za to zabił cztery osoby postronne, a ty zanim wydasz osąd, chcesz go wysłuchać? Rolandzie, proszę. Tesseract nie jest tak dobry, jak sądziłeś i stanowi nawet większe zagrożenie, niż uważałem. Jedna ofiara cywilna na czterech gangsterów. Równie dobrze moglibyśmy ostrzelać czy zbombardować cały hotel. Wtedy przynajmniej mielibyśmy pewność, że Yamout i Petrenko zginęli.

- Jesteś z Pentagonu, a więc powinieneś lepiej akceptować możliwość przypadkowych ofiar.

Clarke zmarszczył brwi.

- Jeśli już o tym mowa, to powinieneś o czymś wiedzieć - zaczął Clarke. - Jeśli chodzi o Calla, to był pewien problem. Ludzie, którymi się posłużyłem, skontaktowali się ze mną. Otóż po wykonaniu telefonu do Yamouta, Callo próbował uciec. Pewnie myślał, że go zabiją, czy coś takiego. W każdym razie Abbot i Blout nie mieli wyjścia, musieli go zneutralizować, zanim on ich wyda. Znam Abbota, więc skontaktowałem się z mną osobiście. Fatalnie się z tym czuje. My nie powinniśmy się tym tak przejmować. Callo to była obrzydliwa karykatura ludzkiej istoty. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Procter westchnął i potrząsnął głową.

- Głupi fiut. Nie chciałem, aby Callo zginął. Dobrze wiesz, że przydałby nam się żywy.

No, ale nie będzie mi to spędzać snu z powiek.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo w przypadku Tesseracta.

- Peter, jest wiele rzeczy, których nie wiemy - powiedział Procter i przechylił się przez ogrodzenie. - Więc nie osądzajmy Tesseracta, dopóki nie poznamy faktów. Kiedy się zgłosi, będziemy wiedzieć. Główny cel został osiągnięty, nawet jeśli pośredni - nie. To się nazywa sukces w grze.

- Myślę, że najwyższy czas, abyśmy przewartościliśmy nasze stosunki z Tesseractem - powiedział Clarke.

Drugi tygrys poszedł w ślady pierwszego i teraz spały obok siebie.

Procter potrząsnął głową.

- Doprawdy bardzo trudno mi pojąć, dlaczego tak prędko chcesz z niego zrezygnować. Czy muszę ci przypominać, że z dwóch pierwszych kontraktów wywiązał się doskonale? Jeśli nie uratowałby Kazakowa w Bukareszcie, to nigdy nie moglibyśmy nawet pomyśleć o rozpoczęciu naszej małej akcji. Nigdy nie wywołałibyśmy wojny pomiędzy Kazakowem i Ariffem. To pomoc Tesseracta pozwoliła nam zajść tak daleko.

- Tak jest - odparł Clarke. - Puściliśmy sprawy w ruch, to teraz możemy zacząć się zastanawiać, jak je zakończyć.

- Chwileczkę, przyhamuj, Peterze. Dalej też będziemy potrzebować Tesseracta - co najmniej raz.

- O ile uda się nam zabrnąć tak daleko. A nie uda się, jeżeli Tesseract nie wyszedł cało z tej ostatniej opresji - stwierdził Clarke. - Jednak tego nie wiemy, jak również tego, czy nie pozostawił żadnych śladów i czy nikt nie wpadł na jego trop. Jestem pewien, że białoruska milicja nie będzie się zbytnio przejmować jakimiś martwymi gangsterami czy mordercami, ale co z tymi czterema cywilami? Będziemy mieć poważny problem, a nie możemy sobie na to pozwolić.

Procter westchnął.

- Jeśli pozostawił pełno odcisków w całym hotelu, to zastanowię się nad tym, co powiedziałaś, ale jeżeli okazał się kompetentny, to nie chcę już nic słyszeć na jego temat.

- Myślę, że w bardzo wzruszający sposób bronisz swojego nowego pupila, Rolandzie.

Procter uśmiechnął się.

- Peter, nie bądź zazdrosny, ty zawsze będziesz moim ukochanym szczeniakiem.

## ROZDZIAŁ 37

### GÓRY HINDUKUSZ, AFGANISTAN CZWARTEK 03:56 CZASU MOSKIEWSKIEGO

To był radziecki An-22. Wielka maszyna miała sześćdziesiąt dwa metry długości, ponad dwanaście metrów wysokości i skrzydła o rozpiętości ponad sześćdziesiąt metrów. Był to samolot transportowy, jeden z największych na świecie, obecnie załadowany dwoma myśliwcami MiG-31BM, częściami zapasowymi i rakietami.

Samolot leciał na wysokości siedmiu kilometrów nad poziomem morza i rzucał cień na zaśnieżone szczyty Hindukuszu, górskiego pasma w północno-wschodniej części Afganistanu. Niebo było błękitne, bez żadnej chmurki, a powietrze czyste - nie zanosilo się na żadne turbulencje. Antonow rozpoczął swoją długą podróż w Nowosybirsku, a kiedy opuścił teren Rosji, skierował się na południe. Leciał nad Kazachstanem, Kirgistanem i Tadżykistanem, dopiero potem znalazł się w afgańskiej przestrzeni powietrznej. Dalsza część tej okrzężnej podróży przewidywała lot nad Pakistanem, Indiami i Tajlandią. Zakończyć się miała w Korei Północnej.

Podczas długiej, trwającej siedem dni podróży samolot musiał siedmiokrotnie tankować paliwo. Co prawda Rosja sąsiaduje z Koreą Północną, ale ta granica stanowi centrum zainteresowania całego świata, toteż nie można było zaryzykować bezpośredniego lotu.

Każdy z członków pięcioosobowej załogi, składającej się z pilota, jego zastępcy, nawigatora i dwóch inżynierów - samych Rosjan - miał doświadczenie w odbywaniu tak długich podróży, związanych z dostarczaniem broni rozszanym po całym świecie klientom Kazakowa. Dwaj piloci latali na An-22 jeszcze w siłach powietrznych Związku Radzieckiego, ale wtedy zarabiali prawie dziesięć razy mniej niż teraz. Pozostała trójka załogi była zbyt młoda, aby mogła latać w czasach komunizmu. Kazakow skusił ich i namówił do porzucenia innej pracy. Nigdy ich nie obchodziło, co przewożą, ani dla kogo. Liczyło się tylko, ile zarobią.

Słońce odbijało się od ośnieżonych szczytów. Antonow leciał nieco poniżej maksymalnego pułapu, ale rozciągające się pod nim góry sprawiały, że samolot wyglądał na

szybujący znacznie niżej. Samoloty Kazakowa miały zezwolenie na korzystanie z przestrzeni powietrznej Afganistanu, ale zawsze trzeba było bardzo starannie dobrać korytarz powietrzny, aby nie przebiegał zbyt blisko miejsc, w których stacjonowali Amerykanie i Anglicy. W przeciwnym razie pilot musiałby lecieć nisko, a to byłoby niebezpieczne i groziło zderzeniem z górą.

Pilot był starszym mężczyzną, siwym, zawsze nieogolonym i nieustannie żującym niezapalone cygaro. Latał na antonowach w czasie radzieckiej inwazji na Afganistan i jego zdaniem od tamtego czasu ten kraj niewiele się zmienił. To było przeklęte miejsce, pole bitwy i nic więcej. Nie mógł pojąć, dlaczego Związek Radziecki chciał koniecznie mieć ten kraj w obrębie swoich granic.

Pilot spoglądał od czasu do czasu na przyrządy pomiarowe, ale nie zwracał na nie zbytnej uwagi. Uważał, że jego zawód polega na kierowaniu się instynktem, a nie bezgranicznym zaufaniu do przyrządów. Latanie zawsze stanowiło treść jego życia, wykonywał swoją pracę z pewnością, jaką daje długoletnie doświadczenie, które podpowiadało mu, że gorsze rzeczy zdarzały się na lądzie niż w powietrzu.

Otworzył puszkę niemieckiego piwa, wypił duży haust i otarł usta z piany. Następnie podał ją drugiemu pilotowi, który też pociągnął spory łyk. Nawigator, znudzony jak zawsze, wyrzucił puszkę.

Obydwaj piwosze zdrowo czknęli.

\* \* \*

Trzy tysiące metrów poniżej, na zboczu wzgórza dwóch Afgańczyków ubranych w długie płaszcze i w czapki Pakol, czyli tak zwane masudki, obserwowało samolot przez lornetkę. Obok stał osiołek i żuł trawę. Pomimo palących promieni słońca, na dole czuło się chłód. Lornetka była amerykańska, bojownicy dostali ją od Sojuszu Północnego. Co prawda talibów już od dawna tu nie było, jednak Afgańczycy zatrzymali cenny prezent.

- To on - powiedział jeden z Afgańczyków i opuścił lornetkę. - Zmierza w naszą stronę.

- Tak, dokładnie według rozkładu - dodał drugi.

Rakieta stinger była już załadowana do wyrzutni, która czekała oparta o kamień. Silniejszy z Afgańczyków z łatwością podniósł ją i położył sobie na ramieniu. Miała niecałe półtora metra długości i ważyła dwanaście kilogramów. Wprawdzie ostatni raz używał stingerów w latach osiemdziesiątych do zestrzeliwania indyjskich helikopterów, ale dokładnie wiedział, co trzeba robić. Ćwiczył jeszcze od czasu do czasu, ale nigdy żadnej nie wystrzelił. Z setek stingerów dostarczonych mudżahedinom w trakcie wojny z Rosją, Amerykanie



odkupili od nich niemal sześćdziesiąt procent za sumę pięćdziesięciu pięciu milionów dolarów. Rakieta, którą teraz miał wystrzelić, należała do tych czterdziestu procent, które nie zostały zgłoszone.

Afgańczyk włożył do ręcznej wyrzutni materiał chłodzący i nacisnął przycisk. Nic. Zaklął, ale bynajmniej nie dziwił się takiemu obrotowi sprawy. Wyjął baterię, a jego towarzysz podał mu zapasową. Ponownie nacisnął przycisk - znowu nic. Zarówno rakieta, jak i wyrzutnia miały już kilkadziesiąt lat i bardzo często zdarzało się, że zawodziło chłodzenie baterii. Mężczyzna włożył do wyrzutni trzecią baterię i tym razem wszystko zadziało tak, jak trzeba.

Antonow, w miarę zbliżania się do dwóch obserwujących go Afgańczyków, stawał się coraz większy.

Minęło kilka sekund, zanim zadziałał elektroniczny system rakiety. W tym czasie Afgańczyk zdjął ochronną przysłonę z końca wyrzutni i przyłożył oko do lunety. Pole widzenia było bardzo wąskie i mężczyzna musiał szukać samolotu na niebie.

- Jest tam, na prawo od ciebie - powiedział drugi. - I wyżej.

Pierwszy ustawił odpowiednio wyrzutnię.

- Mam go.

Sekundę później usłyszał charakterystyczny dźwięk oznaczający, że urządzenie naprowadzające namierzyło cel.

Afgańczyk podniósł wyrzutnię i ustawił ją niemal pionowo. Czuł słony smak potu na ustach. Upewnił się, że wystrzelona rakieta osiągnie odpowiednią wysokość, zanim zacznie działać główny silnik. Jeśli to by zawiodło, wybuch rozerwałby mu twarz.

Puścił spust i po upływie 1,7 sekundy rakieta została wystrzelona. Silnik wyrzutni odpadł od pędzącej w górę rakiety, z której wysunęły się skrzydła i stateczniki. Na wysokości sześciu metrów zaczął działać jej główny silnik napędzany paliwem stałym.

Rozległ się straszny ryk, a z rakiety zaczął unosić się dym. W ciągu dwóch sekund osiągnęła ona szybkość 2,2 Macha.

- Leci, leci na nas! - wrzasnął nawigator.

Pilot, który siedział rozluźniony i trzymał rękę na kontrolnych przyciskach, natychmiast rzucił puszkę z piwem i wyprostował się.

- A to co, kurwa, takiego?

- Coś się pokazało na ekranie radaru. Zbyt małego, żeby mógł to być samolot - mówił zdenerwowany nawigator.

Oczy pilota rozszerzyły się z niedowierzania.

- Rakieta?
- Szybko się zbliża.
- Jak Jest daleko?
- Niedaleko.

Pilot przyspieszył. Maksymalna szybkość antonowa wynosi siedemset czterdzieści kilometrów na godzinę, a oni lecieli z prędkością czterysta sześćdziesiąt. Pilot widział, Jak obiekt się zbliża i miał świadomość, że nawet gdyby maksymalnie przyspieszyli, to i tak nie unikną trafienia.

\* \* \*

Dwaj Afgańczycy śledzili na niebie smugę białego dymu, która skręcała w różne strony, ponieważ system nawigacyjny rakiety dostosowywał jej trajektorię do kursu samolotu.

Rakieta leciała z prędkością przewyższającą niemal dwukrotnie szybkość lotu antonowa, a jej termiczny system naprowadzania w ciągu dwóch sekund skoncentrował się na ciepłe wydzielanym przez silniki samolotu.

Rakieta uderzyła w skrzydło antonowa dokładnie pomiędzy dwoma silnikami i trzykilogramowa głowica eksplodowała. Skrzydło rozleciało się na dwie części, z których jedna odpadła.

Pilot skoncentrował się na tablicy kontrolnej, jednocześnie zacisnął zęby na cygarze i przegryzł je tak, że spadło mu na kolana. Przede wszystkim jednak starał się utrzymać maszynę na odpowiedniej wysokości, ale antonow szybko schodził w dół.

- Straciliśmy silnik numer trzy - krzychał drugi pilot.
- A silnik numer dwa się pali.
- Wyłącz go - powiedział.

Drugi pilot wykonał polecenie.

- Cholera - syknął, kiedy zobaczył, że strzałka wysokościomierza przesuwana się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Zaciskał ręce na sterze tak mocno, że aż zbieleły mu kostki, a żyły na twarzy nabrzmiały. Drugi pilot również walczył z przyrządami kontrolnymi.

- Nie damy rady - powiedział i spojrzał na pierwszego pilota w nadziei, że usłyszy jakiś kontrargument, ale tamten milczał.

Kiedy wysokościomierz pokazał, że znajdują się na wysokości pięciu tysięcy metrów, pilot powiedział:

- Rozbijemy się. Przygotuj się do awaryjnego lądowania.

Tuż pod nimi ciągnęły się olbrzymie góry Hindukusz, a od ich szczytów dzieliło ich

zaledwie tysiąc sześćset metrów. Pilot rozpaczliwie usiłował skierować samolot w stronę jakiejś doliny, gdzie mógłby bezpiecznie wylądować, ale maszyna nie reagowała.

- Wysokość cztery tysiące sześćset metrów - wrzasnął drugi pilot.

Pilot próbował mruganiem oczu usunąć z nich spływający mu z czoła pot. Nie zwracał już uwagi na krzyki nawigatora. Teraz chciał tylko dolecieć do doliny. Być może po drugiej stronie tej góry będzie można wylądować - jeśli będą mieć szczęście.

- Cztery tysiące metrów nad poziomem morza.

Przed nim wyrosła góra. Pilot z całych sił usiłował poderwać maszynę.

- Trzy tysiące osiemset metrów.

Góra coraz bardziej przesłaniała widok z kokpitu.

- Nie damy rady.

Pilot zamknął oczy.

\* \* \*

Afgańczycy obserwowali przez lornetkę, jak antonow doleciał do góry, wygiął się i rozpadł. O, to był widok. Chwilę później paliwo zapaliło się, a wybuch wyrzucił kawałki maszyny wysoko w niebo. Potem spadały w płomieniach na zbocze góry.

Dwaj Afgańczycy klaskali w ręce z radości i wiwatowali.

## ROZDZIAŁ 38

LAVARONE, WŁOCHY

PONIEDZIAŁEK 10:25 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Alpy to doskonałe miejsce, aby się ukryć. Góry jako obszar niedostępny i słabo zaludniony zawsze się do tego nadawały. Wiktor doskonale się wspinał, chodził po górach, znał sztukę survivalu, potrafił także wykorzystać trudny teren i klimat przeciwko swoim wrogom. Zresztą lubił tutejsze odosobnienie oraz kojący spokój otaczających krajobrazów.

W północno-wschodniej części Włoch, mniej więcej tysiąc trzysta metrów nad poziomem morza i sto sześćdziesiąt kilometrów od trzech granic, leży płaskowyż Lavarone. To spokojny, wiejski teren z kilkoma wioskami i miasteczkami, z których każde liczy nieco ponad tysiąc mieszkańców. Na obszarze kilku kilometrów kwadratowych rozciągają się pastwiska oraz lasy. Teraz było tu tak wielu turystów, że można się było zgubić w tłumie.

Wiktor wynajął pokój w hotelu „Albergo Antico” w centrum miasta. To było doskonałe miejsce, aby się zaszyć na kilka dni. Hotel był spory, więc zapewniał anonimowość, ale nie na tyle, aby można było przeoczyć nowego przybysza. Został nowocześnie urządzone, ale nie do tego stopnia, żeby każdy krok gości śledziły kamery.

Hol wejściowy był bardzo funkcjonalny. Okno pokoju Wiktora wychodziło na ulicę, tuż obok przebiegała główna autostrada - a więc nie było to miejsce przechadzek. Jej bliskość w razie potrzeby stwarzała możliwość szybkiej ucieczki. Skromne ceny pokoi oznaczały, że łapówki, jakie dawał recepcjonistom, nie były wygórowane. W zamian mieli oni poinformować go, gdyby ktoś o niego pytał. Dodatkowym atutem było niezłe jedzenie.

Wiktor był we Włoszech od soboty, a w Lavarone dopiero nieco ponad dobę. Niedzielę spędził na pływaniu łódką po jeziorze i zwiedzaniu wielkiego fortu Belvedere-Gschwent. Już wcześniej czytał o nim i zawsze chciał go zobaczyć. Belvedere było dobrym miejscem, aby kogoś śledzić, ale od przybycia do Włoch Wiktor nie zauważył nikogo podejrzanego.

Nie wiedział, czego należy się spodziewać, ale najłatwiej było oczekiwać najgorszego. Ludzie zazwyczaj myślą, że czeka ich coś przyjemnego - podobnie sądzili wszyscy płatni mordercy, którzy teraz gryzą ziemię. Dlatego był może nawet przesadnie ostrożny. Ani na

chwile nie przestawał myśleć o nieudanej próbie zabicia Yamouta, a przede wszystkim o tym, że przeszkodzili mu w tym jacyś obcy ludzie, którzy go postrzelili i których on był zmuszony zabić. Potarł ramię - ciągle go bolało.

Zastanawiał się nad tym, co zobaczył na monitorze laptopa wtedy w Mińsku. Tylko rzucił okiem, ale nie mogło być mowy o pomyłce. Ci, których zabił, widzieli go dzięki ukrytym kamerom. Rzecz jasna istniały kopie tych nagrań. Ci ludzie byli zbyt dobrze wyszkoleni w sztukach walki, aby nie znać się na przeprowadzaniu rozpoznania. Ten, dla którego pracowali, znał twarz Wiktora i brzmienie jego głosu - i już mógł go szukać.

Sam rysopis to trochę za mało, aby podjąć jakieś działania, ale spotkanie na dworcu z ludźmi Petrenki dostarczyło dostatecznie dużo informacji, aby uczynić te poszukiwania bardziej skutecznymi. Petrenko nie stanowili problemu. Wiktor przestraszył go na tyle skutecznie, iż nie miał wątpliwości, że Białorusin poinformował Burliuca o rzekomej śmierci Wiktora. A więc dwóch potencjalnych wrogów jest wyeliminowanych, ale pozostaje ten, który ich zatrudnił.

Popołudnie upłynęło Wiktorowi na zwiedzaniu miasta oraz miasteczek rozsianych po Lavarone oraz rozmowach z mieszkańcami tamtych okolic o tym pięknym regionie.

Kiedy wrócił do hotelu było już ciemno. Wyjął z plecaka nowo kupiony laptop, włączył go, podłączył do gniazdka internetowego, wgrał potrzebne programy i zadzwonił do swojego pracodawcy.

- Co się stało - usłyszał głos tamtego.

- O, twój ton świadczy, że chyba nie masz dziś ochoty na pogawędkę.

- Nie chłopie, nie dziś. Kiedy nawalasz, to nie mam. I nie wtedy, kiedy w trakcie akcji zabijasz cztery przypadkowe osoby.

- Kiedy na zabicie handlarza bronią otoczonego kordonem goryli dajesz mi mniej niż czterdzieści osiem godzin i na dodatek muszę to zrobić w wyznaczonym miejscu, to powinieneś zdawać sobie sprawę, że szanse na pomyślną realizację takiego kontraktu są znikome - odparł Wiktor.

- Nawet się nie spodziewaj drugiej połowy forsy i nie myśl sobie, że teraz, po tej wpadce została ci do wykonania jeszcze tylko jedna robota. Doprawdy sądziłem, że jesteś lepszy w swoim fachu, słowo daję, że tak myślałem.

- Biorąc pod uwagę tak wyjątkowe okoliczności, wątpię, czy miałeś jeszcze kogoś, komu mógłbyś zlecić tę robotę, a jeśli tak, to trzeba było to zrobić.

- Jakie okoliczności - padło po chwili milczenia pytanie.

- Nie wiem, skąd dostajesz informacje - powiedział Wiktor - ale nie mogły być mniej

dokładne. Te cztery niby przypadkowe osoby, które zabiłem, wcale nie znalazły się tam przypadkiem.

- To kim byli ci ludzie?

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Jednego z nich dostrzegłem zaraz po przybyciu do hotelu, ale myślałem, że to człowiek Yamouta. Tymczasem ani on, ani pozostałych trzech nie miało nic wspólnego ani z Yamoutem, ani z Petrenką. To byli obserwatorzy, choć być może mieli jeszcze jakieś inne zadania do wykonania. Oni nie strzelali i nie walczyli jak uliczne zbiry. Apartament Petrenki był pod obserwacją kamer, a obraz był rejestrowany w sąsiednim apartamencie. Obserwatorzy wmieszali się do całej akcji, dlatego zginęli, a Yamout uciekł.

Po drugiej stronie nastąpiło długie milczenie, w końcu rozmówca Wiktora powiedział:

- Skoro się wmieszali, to...

- Nie - przerwał Wiktor - gdy Yamout wołał o pomoc, to nic nie zrobili. Gdyby byli z nim w jakiś sposób powiązani, to by przynajmniej odpowiedzieli. Poza tym przecież nagrywali całe spotkanie Yamouta z Petrenką, czy przyjaciele tak postępują? To wyklucza też możliwość, że byli powiązani z Petrenką.

- Czy rozmawiałeś z któryś z nich?

- Krótko. Nie powiedział mi niczego, co mogłoby być przydatne. Mówił po rosyjsku, ale nie sądzę, że to byli Rosjanie. Ten, którego widziałem w świetle dziennym, był śniady i miał czarne włosy; wyglądał jak mieszkaniec Bliskiego Wschodu, ale równie dobrze mógł pochodzić z Ameryki Południowej lub z któregoś z państw w basenie Morza Śródziemnego, albo też odziedziczył ten wygląd po przodkach.

- To dość szeroka interpretacja.

- Czy mówiłem, że nie?

- Nie przypuszczam, aby mieli przy sobie jakieś dokumenty. Mam rację?

- Żadnych paszportów, jedynie białoruskie prawa jazdy.

- Oryginalne?

- Fałszywe, ale doskonale podrobione.

- A więc ktoś ich finansował.

- Tak, a do tego zostali wyszkoleni, byli doświadczeni, mieli pieniądze i dokładne informacje wywiadowcze, chyba że Yamout i Petrenko dali anons o swoim spotkaniu na przykład na łamach „Arms Dealers Weekly”.

- Jednym słowem mówisz, że jakaś agencja wywiadowcza prowadzi operację dotyczącą Yamouta i Petrenki, a my wleźliśmy jej w paradę.

- To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie - zgodził się Wiktor. - Możliwe też, że ci ludzie pracowali na czyjeś prywatne zlecenie, jakiejś organizacji lub osoby.

- O kurwa - zaklął zleceniodawca Wiktora.

- Nie przeklinaj przy mnie.

- Co ty, żartujesz?

- Kiedy będę żartować, to nie będziesz mieć co do tego wątpliwości.

- No dobra - odparł tamten z westchnieniem. - Nie sądziłem, że jesteś tak konserwatywny, ale skoro tak, to będę się hamować.

- I żadnych bluźnierstw.

- No, teraz to wiem, że żartujesz - stwierdził tamten ze śmiechem. - Dobra - dodał po chwili. - A więc żadnych przekleństw czy bluźnierstw. Wracajmy do rzeczy. Mówisz, że w apartamencie Petrenki aż roilo się od kamer?

- Tak.

- Logika podpowiada, że albo obserwowali Petrenkę, albo szpiegowali Yamouta i to nawet jeszcze w jego ojczystym kraju, czyż nie? To mogły być gliny albo miejscowi szpiedzy, którym zależało na wysadzeniu Petrenki z interesów.

- Żaden z nich nie próbował mnie aresztować lub zatrzymać, a zrobiliby to, gdyby byli z białoruskich tajnych służb - wyjaśnił Wiktor. - Moim zdaniem, interesowało ich, o czym Petrenko i Yamout rozmawiali.

- Tak czy inaczej, jesteśmy spaleni. Co wiedzą na twój temat?

Wiktor spodziewał się, że padnie to pytanie oraz że jego pracodawca będzie pilnie słuchać odpowiedzi.

- Niewiele - odparł. - Jestem ostrożny, a tamci czterej nie żyją. Zniszczyłem ich twarde dyski i nikt nie będzie w stanie odzyskać z niego danych.

- To dobrze - odparł tamten ze źle maskowanym westchnieniem ulgi. - A co się wydarzyło następnego dnia? Słyszałem o wielu zabitych na dworcu. To chyba nie twoja robota, co?

- Uciekłem samochodem. Wydarzenia następnego dnia to rezultat działań Petrenki, jego uderzenie we wrogów, którzy jego zdaniem chcieli go zabić.

- Też tak myślę.

Z tonu tej odpowiedzi Wiktor nie mógł wywnioskować, czy jego zleceniodawca mu uwierzył, ale też nie miał on żadnych dowodów na to, że wydarzenia na dworcu w Mińsku to sprawa Wiktora. Jeśli nawet kamery coś nagrały, to nie był to materiał mogący dowieść czegośkolwiek.

- Masz rację - powiedział tamten po chwili. - Skoro nie ma nagrania, które uchwyciło twój wygląd, to nie ma się czym martwić. Gdyby coś się zmieniło, to dam ci znać. Wobec tego działamy, jak gdyby nic się nie stało. Na razie nie będziesz mi potrzebny, ale pozostań w Europie.

Po zakończeniu rozmowy Wiktor przez pewien czas siedział bez ruchu, rozmyślając. Obejrzał jeden z portfeli, które zabrał tym obserwatorom. Było w nim tylko białoruskie prawo jazdy i trochę pieniędzy. Oczywiście znajdowały się na nich odciski palców i jeśli ci ludzie figurowali w bazie danych na przykład CIA, to bez trudu można by ich zidentyfikować. Jednak Wiktor nie chciał informować o tym swojego zleceniodawcy, ponieważ najpierw sam chciał się dowiedzieć, kim byli tamci ludzie. Jeżeli jego podejrzenia były słuszne, to jego sytuacja wobec CIA nie była do pozazdroszczenia.

\* \* \*

Myślał o tym, co się zdarzyło w hotelu „Europa”. Niekiedy nie mógł sobie przypomnieć jakichś szczegółów, ale zawsze tak było po walce. Niektóre zdarzenia tkwią w głowie przez lata, podczas gdy inne, wcale nie mniej ważne, w ciągu kilku minut wylatują z pamięci. Nie znał fizjologicznych czy psychologicznych przyczyn powodujących taki stan umysłu, ale i nie chciał ich znać. Sprawdził swoje pozostałe konta pocztowe. Czekala na niego odpowiedź od Pierre’a wysłana w ubiegłym tygodniu. Pierre był w Europie i miał przedłużyć swój pobyt o jeden dzień. Pisał, że jeśli mieliby się spotkać, to szybko. To było kilka dni temu, więc europejskie zlecenie od Pierre’a powędrowało zapewne do kogoś innego. Poza tym pisał, że w Hongkongu wcale nie jest tak świetnie i odradza Wiktorowi przyjazd. Usunął tę wiadomość. Przydałyby mu się pieniądze za wykonanie tego zlecenia, ale to było już nieaktualne. Może klient stchórzył albo obiekt wpadł pod pociąg.

Zauważył, że ominął go jeszcze jeden kontrakt od innego zleceniodawcy. Pewien Rosjanin, dla którego nie pracował od lat, oferował bardzo dziwne, ale i bardzo niebezpieczne zlecenie. Płacił ogromne pieniądze. Chciał skusić Wiktora, ale gdy ten odpisał, wiadomość wróciła. Adres był nieznanym i pozostało tylko zastanawiać się, co to mogła być za praca.

Pozostałe skrzynki pocztowe były pełne spamu. Nic, żadnych ofert. Nie było go na rynku przez ponad sześć miesięcy, więc nic dziwnego, że pośrednicy nie brali go pod uwagę. Może powinien się gdzieś pokazać, wtedy kontrakty znowu zaczęłyby napływać, a dopóki tak się nie stanie, nie miał wyboru. Zresztą następnego dnia zamierzał pojechać do Bolonii. Jeśli miał zidentyfikować tych, których zabił w Mińsku, to potrzebował pomocy.



## ROZDZIAŁ 39

MOSKWA, ROSJA

CZWARTEK 19:19 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Pomimo uśmiechów, anegdot, miłych słówek i uścisków rąk, Władimir Kazakow się nudził, czuł się sfrustrowany i wołałby być gdzie indziej. To było typowe przyjęcie, na jakim bywają moskiewskie elity. Roilo się tu od polityków, oligarchów i celebrytów. Wszyscy stali rozbawieni i manifestowali swoją przyjaźń, choć w rzeczywistości nienawidzili się nawzajem. Oligarchowie zazdrościli politykom władzy, politycy zazdrościli im bogactwa, natomiast jedni i drudzy nie mogli znieść popularności celebrytów. Ci ostatni nienawidzili polityków oraz oligarchów za to, że nie są celebrytami. Kazakow stanowił tu wyjątek, bo on nie mógł ścierpieć nikogo z nich.

Jedyną osoby, dla której miał zawsze czas, akurat nie było w pobliżu. Izolda stała w drugim końcu sali i przysłuchiwała się temu, co mówił przystojny rosyjski aktor. Nie była sama. Był tam jeszcze z tuzin żon, które podobnie jak ona wpatrywały się w aktora, oraz z tuzin mężów usiłujących udawać, że nie są zazdrośni. Jednak różnica pomiędzy Izoldą a pozostałymi kobietami polegała na tym, że przystojny aktor był nią jawnie oczarowany - i z wzajemnością. Nie było w tym nic dziwnego. Izolda jak zwykle wyglądała wspaniale: wysoka, szczupła i pełna wdzięku, przyćmiewała każdą rywalkę.

Jej wieczorowa suknia z olbrzymim dekoltem z tyłu, odkrywającym całe plecy była zarówno bezwstydnie seksowna, jak i bezapelacyjnie elegancka. Niektóre mniej atrakcyjne panie prezentowały swoje okazałe biusty z naszyjnikami, które sięgały niemal rowka między piersiami.

Czarne włosy Izoldy były upięte wysoko, tak jak Kazakow lubił, gdyż w ten sposób eksponowała swoją piękną, długą szyję. Kiedy się śmiała, w jej uszach błyszczały i kołysały się brylantowe kolczyki, urodzinowy prezent od męża. Aktor opowiedział jakiś dowcip, który wywołał u pań wybuch śmiechu. Można było po tym wnosić, że jest komikiem. Teraz nachylił się ku Izoldzie i coś jej szepnął, a ona uśmiechnęła się szeroko i beztrosko. Po raz pierwszy Kazakow nie potrafił dostrzec w tym uśmiechu bólu, który jego żona tak dobrze ukrywała przed innymi - ale nie przed nim samym. Miała teraz trzydzieści parę lat - o dziesięć

mniej od niego. Byli małżeństwem już ponad piętnaście lat, a trzy lata temu zaprzestali starań o dziecko. Od tamtej chwili błysk pięknych oczu Izoldy zgasł, a Kazakow niemal umierał z rozpaczy, bo wiedział, że wina leży po jego stronie.

Wypił nieco szampana. Stał sam i czekał, aż w pobliżu będzie przechodzić kelner z tacą wypełnioną kanapkami. Nikt nie podchodził, aby z nim porozmawiać, zresztą jego odstręczająca mina świadczyła o tym, że nie miał na to najmniejszej ochoty. Zazwyczaj wtapiał się w towarzystwo, rozmawiał, a czasem nawet opowiedział jakiś marny dowcip. Chociaż nienawidził takich przyjęć, jego obecność na nich była niezbędna dla podtrzymania znajomości i kontaktów koniecznych, aby pozostać wolnym człowiekiem. Co prawda Rosja nigdy jeszcze nie odpowiedziała na żądanie ekstradycji swojego obywatela, ale zawsze istniało prawdopodobieństwo, że jakiś polityk wystąpi przeciwko niemu. Ktoś mógł chcieć przejąć jego interesy, zyskać poklask międzynarodowej społeczności bądź - choć to było raczej nieprawdopodobne - mogły nim kierować zasady moralne. Dopóki Kazakow miał poparcie moskiewskiej arystokracji, dopóty mógł spać spokojnie. Jednak tego wieczora nie mógł przybrać tej miny, którą zazwyczaj prezentował na przyjęciach. Głowę miał zaprzątniętą Illarionem, Ariffem i chęcią zemsty.

Izolda znowu się roześmiała i dotknęła ramienia aktora. Miał on nie więcej niż trzydzieści lat i z pewnością był równie płodny, jak przystojny. Kazakow wyobrażał sobie, że Izolda marzy teraz o przespaniu się z nim, a ze sposobu, w jaki on patrzył na nią, można było wyczytać, że myślał o tym samym. Kazakow uważał za bardzo możliwe to, że Izolda ulegnie jego czarowi i nie mógł jej za to winić. To przecież on zawiódł jako mężczyzna, to on nie dał jej szczęścia. Przed oczami stanęła mu następująca scena: za miesiąc Izolda przychodzi do niego, aby oznajmić mu wyniki badań, na które czekali. On trzyma ją w objęciach i obydwójce płaczą ze szczęścia, a on nie pisnie ani słowa, gdy się okaże, że jego dziecko nie jest wcale do niego podobne.

Izolda popatrzyła w jego stronę i zauważyła spojrzenie męża. Uśmiech zaczął znikać z jej twarzy, ustępował miejsca strachowi i poczuciu winy. Jednak Kazakow nie dał nic po sobie poznać, uśmiechnął się i pomachał ręką, jakby nie zauważył rozgrywającej się na jego oczach sceny. Izolda odzyskała humor i uśmiech wrócił na jej usta, choć może teraz nie uśmiechała się już do aktora, ale do kogoś innego.

- Napij się jeszcze jednego - Kazakow usłyszał znajomy głos. - Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

Odwrócił się i zobaczył jeszcze jednego przystojniaka. Tomasz Burliuk trzymał dwie lampki szampana i podał mu jedną z nich.

- Nie sądziłem, że przyjdiesz.

Burliuk wypił trochę szampana.

- Nie planowałem, ale pomyślałem sobie, że ci potowarzyszę.

- Założę się, że widziałeś moją żonę.

Burliuk patrzył długo na Izoldę, zanim odpowiedział:

- Trudno jej nie zauważyć.

- Każda kobieta chciałaby być nią, a każdy mężczyzna chciałby być z nią - zauważył

Kazakow.

Burliuk wlewał szampana do gardła prawie bez przełykania.

- A ona nadal jest twoja i tylko twoja.

Kazakow kiwnął głową.

- Kto wydaje to przyjęcie? - spytał Burliuk.

- Jakiś oligarcha, któremu dzięki łapówkom i zastraszaniu udało się kupić państwowy gazociąg - wyjaśnił Kazakow. - Teraz kontroluje większość dostaw gazu do Europy. Ale to kompletny fiut.

- O każdym tak mówisz.

- W przypadku tego faceta to nie jest bezpodstawna opinia. Szasta pieniędzmi jak szalony, a gustu ma mniej niż Jelczina - Burliuk uśmiechnął się. - Słyszałem, że ma pięćdziesiąt samochodów. Uwierzysz? I trzy prywatne odrzutowce. Ja przy nim wyglądam jak wieśniak.

- Kiedyś byliśmy wieśniakami.

- I dlatego doceniamy to, co mamy. I powiedz mi, mój stary przyjacielu, po co to wszystko? Jaki w tym cel?

Burliuk spojrzał na Kazakowa zmieszany.

- Nie rozumiem.

- Jestem zmęczony, Tomaszu. Męczy mnie taki tryb życia, odpowiedzialność za całe imperium, które muszę dźwigać na swoich barkach. Myślę, że... - w tym momencie Kazakow wyjął z kieszeni dzwoniącą komórkę. - Jelczina - powiedział do Burliuka. - Musimy porozmawiać. Pójdę i dowiem się, czego ta suka chce.

- Mam iść z tobą?

- Nie. Zostań i miej oko na Izoldę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Burliuk zmieszał się.

- Nie wiem, po prostu miej ją na oku.

Kazakow znalazł Jelczinę stojącą przy podjeździe do dachy oligarchy. Rosjanka nie

otrzymała zaproszenia, więc ochrona jej nie wpuściła. Kazakow mógł załatwić jej zaproszenie, ale prędzej przestałby boksować i zająłby się hafciarstwem. Jelczina wyglądała na autentycznie zmartwioną, wiatr rozwiewał jej włosy, które tym razem nie były ściągnięte w kucyk.

- Co znowu? - spytał Kazakow.

Jelczina nie od razu była w stanie powiedzieć swojemu szefowi, o co chodzi. Wreszcie zaczęła:

- Władimirze, strasznie mi przykro, ale straciliśmy tę przesyłkę do Korei Północnej.

- Co to znaczy? Jak mogliśmy ją stracić?

- Samolot, którym przewoziliśmy dwa pierwsze MiG-i, nie opuścił przestrzeni powietrznej Afganistanu. Rozbił się w górach dziś rano.

Kazakow chwycił Jelczinę za bluzkę. Gdyby chciał, mógłby bez trudu podnieść drobną Rosjankę, ale nie zrobił tego, tylko przyciągnął ją do siebie.

- Rozbił się? - powtórzył.

- Albo został zestrzelony - powiedziała Jelczina i przełknęła ślinę.

Kazakow puścił ją i wydał z siebie okrzyk gniewu. Jego wielkie dłonie zacisnęły się w pięści, żyły na szyi nabrzmiały.

- Nie mogę w to uwierzyć - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - odparła Jelczina, wygładzając bluzkę i zakiet.

Kazakow klepnął ją tak mocno po ramieniu, że kobieta skrzywiła się i nieco odsunęła.

- Zaczynij od tego, jak to się stało, że straciliśmy towar o wartości dwustu milionów dolarów plus samolot transportowy, no i do tego bardzo doświadczoną i cenioną załogę - Kazakow ponownie walnął Jelczinę, tym razem mocniej. Odsunęła się, łapiąc równowagę, aby nie upaść. - A kiedy już to zrobisz, to powiedz mi, jak mam wytłumaczyć Koreańczykom, że nie dostaną swojego pierwszego zamówienia. Nigdy.

- Ja...

Kazakow przecesał włosy rękami.

- Już trzeci raz w tym tygodniu zdarza się coś tak okropnego. W niedzielę straciliśmy w Etiopii konwój wiozący działa przeciwlotnicze. Wczoraj zaginęli moi ludzie w Syrii.

- Znalezione ich nieopodal Damaszku w jakimś rowie. Wszyscy nie żyją, mieli poderżnięte gardła - wyszeptała Jelczina.

Kazakow patrzył na nią.

- I kto nam, kurwa, to robi?

Jelczina pokręciła głową.

- Ani mi się waż - wypalił Kazakow. - Ani mi się waż mówić, że nie wiesz, skoro płacę ci fortunę za to, żebyś wszystko wiedziała.

Kazakow obejrzał się w stronę daczy. Ochroniarze obserwowali ich, ale wiedzieli, że mają się nie mieszać.

- Nie mam dowodów - odparła Jelczina. - Ale jedynym człowiekiem, który mógłby to zrobić jest Baraa Ariff.

Kazakow zmarszczył brwi i podszedł bliżej.

- To niedorzeczne. Ariff to patetyczna, egipska Świnia. Nigdy nie odważyłby się w ten sposób mnie zaatakować. Już prędzej o tobie można by powiedzieć, że masz jaja, aniżeli o nim - Kazakow rozpiął guziki smokingu, bo nagle stał się on za ciasny. - A poza tym nie ma żadnego powodu, aby atakować moją siatkę.

- Chyba że się dowiedział, że chcesz go zabić.

- Niby jak miałby się o tym dowiedzieć?

- On ma uszy i oczy wszędzie, tak jak i my. Pamiętaj, że ponad tydzień temu rozpuściliśmy wieści, że szukamy zabójców do dużej roboty. Mógł się dowiedzieć, po co nam ci ludzie.

- Nie, nie wierzę - Kazakow potrząsnął głową. - Chyba, że szukałaś zabójców wśród tych brudnych Arabów.

- Jasne, że nie - zapewniła Jelczina. - Udałam się do szanowanych pośredników i uruchomiłam swoje kontakty w Służbie Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej i w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa.

- A więc, o ile ktoś z nich nie ma kontaktu z Ariffem, to on nie ma pojęcia, jaki los go czeka.

- Słyszałam, że Gabir Yamout był w ubiegłym tygodniu w Mińsku, i że omal nie zginął w krwawej jatce, jaką zgotowano mu tam w hotelu.

- A co to ma wspólnego z naszymi sprawami? - spytał Kazakow i zmarszczył brwi.

- Być może Ariff myśli, że stałeś za tym atakiem na Yamouta. Miał on miejsce w tym samym mieście, w którym ludzie Burliuka schwytali tego zabójcę. Pracownicy Yamouta mogli zobaczyć obstawę Burliuka i wysnuć błędne wnioski.

- Julia, ty czasem jesteś zarazem geniuszem i idiotką.

- Słucham?

- Jeżeli Yamout był w Mińsku w tym samym czasie, co ten człowiek, którego Burliuk zabił, to tych dwoje z pewnością coś łączy. Morderca musiał jednak być przysłany przez Ariffa. Ten Egipcjanin od dawna na mnie poluje - Kazakow potrząsnął głową, jakby coś

zrozumiał. - W Bukareszcie przeżyłem przez przypadek. Tomasz zabił tego nasłanego przez Ariffa mordercę w Mińsku, a teraz Ariff próbuje niszczyć moje imperium. Kawał gówna z niego, ale ma większe jaja niż przypuszczałem.

- Ale dlaczego chciałby to zrobić? Przecież mówiłeś, że nie ma powodu.

Kazakow wykonał jakiś nieokreślony gest ręką.

- No dobra, w całej tej teorii jest dziura i trzeba ją wypełnić. To twoje zadanie. Sądzę, że to Ariff i zapewne wie, że chcę jego śmierci. Chcę, by żył w strachu, chcę, by patrząc na członków swojej rodziny, widział oczami wyobraźni, jakie tortury mogę im zgotować.

Jelczina nic nie odpowiedziała.

- A jak ci Amerykanie? - spytał Kazakow.

- Burliuk przystał na ich żądania. Uzgodnił, że mamy ich na wyłączność, więc nie podejmą się innego zadania, ale teraz czekają, dopóki nie znajdziemy Ariffa.

- Powiedz mi, co robisz, aby go znaleźć?

Rosjanka wyprostowała się.

- Wszystko, co tylko można. Uruchomiłam moje kontakty. Powiadomieni zostali wszyscy nasi ludzie i ci, z którymi robimy interesy. Płacimy za każdą, nawet najmniejszą informację. Mam ludzi, którzy przeczesują cały Bliski Wschód. Znajdziemy Ariffa.

- A ile szkód zdoła nam jeszcze wyrządzić?

Jelczina nie odpowiedziała.

- Potrój moją ochronę - rozkazał Kazakow. - Ariff wie, jak uderzać, bo ścieżki naszych interesów często się krzyżują, nieprawdaż? - Jelczina przytaknęła, kiwając głową. - No, to się mu zrewanżujemy. Każdy, kto ma najmniejsze nawet powiązania z Ariffem ma zginąć. Upewnij się, że każdy, kto dla mnie pracuje, wie, o co tu chodzi. Wszyscy muszą być czujni. Ten kawałek gówna znowu może w nas uderzyć.

- Nasi pracownicy już są zaniepokojeni, a gdy się dowiedzą, kto za tym wszystkim stoi, to jeszcze bardziej się przestraszą.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wrzasnął Kazakow, aż ślina trysnęła na policzek kobiety.

- A niech się boją! Dzięki mnie są bogaci. Trochę strachu przypomni im, że jest jeszcze coś takiego, jak wdzięczność.

Jelczina kiwnęła głową, nie mając odwagi wytrzeć policzka.

- Chcę, żebyście znaleźli Ariffa i to szybko. Będę czekać i chcę widzieć, jak jego imperium obraca się w proch. Chcę, żeby nic z niego nie zostało - rozkazał Kazakow.

## ROZDZIAŁ 40

BOLONIA, WŁOCHY

PIĄTEK 10:25 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor zawsze lubił Bolonię. Interesował się historią, a centrum miasta go fascynowało - pomniki, architektura, osiemsetletnie mury oraz portyki. Wszedł po stopniach na szczyt pochyłej Torre degli Asinelli - była to wyższa z dwóch słynnych bolońskich wież - i podziwiał stąd widok miasta, składający się z czerwonych dachów i ochrowych fasad. Zabudowa miasta była niska, górowały nad nią jedynie szare średniowieczne wieże.

Turyści ściągali tłumnie do leżącej w pobliżu Florencji, dzięki temu Bolonia nie była tak zatłoczona, a bardziej autentyczna. Dla Wiktora mniejsza liczba turystów oznaczała większe trudności w ukrywaniu się, ale tak przyjemnie było chodzić po mieście, nie będąc otoczonym wyposażonymi w aparaty i kamery cudzoziemcami.

Było gorąco i sucho. Wiktor miał na sobie białą lnianą koszulę i luźne bawełniane spodnie. Całą godzinę spacerował po labiryncie słynnych bolońskich arkad ciągnących się przez wiele kilometrów i dających miły cień. Poszedł Via Rizzoli, spoglądając w witryny butików, aby sprawdzić, czy wśród wielu osób kręcących się po sklepach z antykami i księgarniach nikt go nie śledzi. Między trzynastą a piętnastą większość sklepów była zamknięta, więc w tym czasie Wiktor zjadł lunch i oglądał renesansowe pałace w centrum miasta.

Wszedł do osterii - bolońskiego baru podobnego do angielskiego pubu - uważnie przyglądając się wszystkim. Rejon, w którym była położona osteria, wciąż należał do centrum miasta, ale widać było, że okolica jest biedniejsza, nieco zaniedbana i nie tak zachęcająca do odwiedzin. Zatrzymał wzrok na patrzących mu prosto w oczy, by pokazać, że nie jest łatwym celem, ale nie przyglądał się im na tyle długo, by mogło to stanowić wyzwanie. Kiedy ludzie w osterii znowu zaczęli rozmawiać, podszedł do baru. Zamówił colę i usiadł na stołku. Ktoś poprosił go o ogień, ale nie zareagował.

Barmanka postawiła przed Wiktorem colę, mamrocząc pod nosem cenę. Rzucił pieniądze, a barmanka szybko przesunęła je w swoją stronę. Siedzący obok na stołku mężczyzna ponownie poprosił o ogień, a Wiktor znów nie odpowiedział, tylko popatrzył na

niego, udając, że nic nie rozumie, wobec tego mężczyzna przesiadł się i zwrócił się do kogoś innego.

Po kilku minutach na pustym stoliku obok Wiktora usiadł niski, korpulentny mężczyzna. Miał ze czterdzieści parę lat, grube ręce, pożółkłe od nikotyny palce oraz zęby, zmierzwioną brodę.

- Słyszałem, że szukasz Giordano - zagadnął, nie patrząc na Wiktora.
- Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?
- Znam kogoś, kto go zna.
- A gdzie znajdę tego człowieka?
- Ja to zrobię. On bardzo nie lubi obcych.

Wiktor uniósł brwi, początkowo nie wierząc w to, co słyszy. Gdyby brodacz od razu powiedział, gdzie znaleźć tamtego, wówczas jego przydatność byłaby znikoma, a tak stawiając się w roli pośrednika, podbijał swoją stawkę.

Wiktor otworzył portfel i zaczął przeliczać banknoty, wszystkie po sto euro. Wyjął jeden i położył na barze, ale nie przesunął go w stronę brodacza.

- Powiedz mi, gdzie mogę go znaleźć.

Mężczyzna sięgnął po banknot, ale Wiktor szybko przysunął go do siebie.

- Gdzie?

- To mu się nie spodoba - wymamrotał.

- Bardzo dobrze - stwierdził Wiktor, chowając banknot do portfela. - To kiedy możesz załatwić spotkanie?

- Może być jutro?

- Za późno - stwierdził Wiktor, rozumiejąc grę.

- To wymaga czasu.

- A pieniędzy nie? - spytał Wiktor, znowu wyjmując banknot i kładąc go na stole. - A co gdybyś teraz mnie do niego zaprowadził?

- Może być.

Wiktor puścił banknot, a brodacz szybko chwycił go i schował.

- No to chodźmy.

\* \* \*

Szli przez Piazza Maggiore. Miejscowi i turyści siedzieli dookoła wielkiego placu, wygrzewając się w słońcu i napawając atmosferą miasta. Gołębie tłoczyły się, licząc na coś do jedzenia. Plac był ze wszystkich stron otoczony wspaniałymi średniowiecznymi budowlami. Od strony południowej najbardziej rzucała się w oczy Bazylika Świętego



Petroniusza ze swoim nierównym frontonem. Podstawa bazyliki była zrobiona z bloków białego i czerwonego kamienia pokrytego misternymi płaskorzeźbami i łukami. Natomiast cała góra została zbudowana z surowej czerwonej cegły, w sumie tworząc dziwną kombinację.

Brodacz nie spieszył się. Idąc, palił papierosa. Lecący prosto w twarz Wiktora dym był najśłodszy zapachem, jaki od dawna wdychał. Szli wąskimi uliczkami, na których rzucał się w oczy brak drzew - jedyna rzecz psująca piękno Bolonii. Brodaty mężczyzna prowadził przez cały labirynt portyków i Wiktor zrozumiał, że ta droga rzeczywiście jest tak kręta. Podobało mu się to i szedł, podziwiając mijane budynki. Bardzo rzadko można było dostrzec jakieś nowoczesne domy, większość z nich pamiętała średniowiecze; był zachwycony tym zastygłym w miejscu czasem.

Minęli coś, co wydawało się średniowiecznym murem okalającym historyczne centrum. Szli jeszcze około piętnastu minut, aż dotarli do ulicy, wzdłuż której ciągnął się rząd restauracji.

- Dalej prosto i potem zaraz za rogiem - powiedział brodac, pokazując ręką.

Było ciepło, z pobliskiego baru dobiegały dźwięki muzyki. Wiktor szedł wolno, bacznie wszystko obserwując, ale nic nie zwróciło jego uwagi.

Kiedy skręcił w boczną uliczkę, zobaczył czekającego tam mężczyznę; około trzydziestu paru lat, muskularny, świetnie ubrany, mnóstwo biżuterii. Miał długie, lśniące, czarne włosy i olśniewająco białe zęby.

- To ty, tak? - spytał Wiktora.

- A co, jeśli nie?

Mężczyzna zmieształ się, ale powtórzył:

- To ty, tak?

Wiktor potwierdził kiwnięciem głowy.

Mężczyzna znowu błysnął pięknymi zębami. Podniósł z ziemi złożoną gazetę i podał ją Wiktorowi.

- Jeśli chcesz się spotkać z Giordano, to rozwiąż krzyżówkę.

\* \* \*

Wiktor wrócił do centrum miasta. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, wtapiał się w tłum. Kiedy był chłopcem, chciał, by wszyscy na niego patrzyli. Teraz, jeśli ktokolwiek to zrobił, stawał się jego wrogiem. Postanowił pojeździć po mieście autobusem, który kursował bardzo regularnie. Z jakichś powodów taksówki nie chciały się zatrzymać, gdy machał na nie, a zresztą nie podobał mu się tutejszy zwyczaj przeliczania kosztów przejazdu na cenę biletu

autobusowego. Wobec tego przez godzinę jeździł autobusami, przesiadając się z jednego do drugiego, aż w końcu pojechał na dworzec kolejowy i usiadł na jednej z ławek na peronie. Zajął się oglądaniem magazynu motoryzacyjnego. Gdy przyjechał pociąg do Rzymu, poczekał do ostatniej chwili i wsiadł minutę przed odjazdem, czyli o osiemnastej czterdzieści osiem.

W pociągu stanął w korytarzu, z ręką opartą o drzwi i liczył każdą mijającą sekundę. Przez okno zobaczył, że kolejarz daje maszyniście znak do odjazdu, a wtedy wyskoczył z pociągu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kątem oka zauważył, że kolejarz potrząsnął głową. Wiktora nie interesowała jego dezaprobata. Rozejrzał się dookoła, ale poza nim nikt nie wysiadł z pociągu.

\* \* \*

To był niewielki, elegancki bar z okrągłymi, białymi stolikami i stołkami zamiast krzeseł. Białe, idealnie gładkie ściany ozdobiono szeregiem luster. Wiktorowi podobał się ten wystrój. Mógł siedzieć w dowolnym miejscu i równocześnie widzieć wejście, kontuar, drzwi do łazienek, a nawet długie, pięknie opalone nogi siedzącej na prawo od niego blondynki - aczkolwiek ten ostatni widok rozpraszaający jego uwagę należałoby raczej zaliczyć do minusów, a nie do plusów. W powietrzu unosił się zapach świeżo zmielonej kawy. Bar był przestronny ale pełen ludzi, panował tu gwar i hałas. Kelnerka w eleganckim uniformie opinającym ciało lawirowała pomiędzy stolikami, a rozpięte pod szyją guziczki bluzki przyciągały męskie spojrzenia.

Wiktor usiadł i rozłożył przed sobą gazetę. Zamówił sok pomarańczowy i teraz obserwował, jak ze szklanki unoszą się maleńkie bąbelki.

Zegar nad kontuarem wskazywał dwudziestą pierwszą. Postanowił zaczekać jeszcze dziesięć minut, jeśli do tego czasu tamten się nie zjawi, to będzie bardzo źle.

Wszedł akurat wtedy, gdy Wiktor dopijał sok. Wyglądał tak samo, jak zawsze: szczupły, opalony, włosy blond, zadbany, wiecznie młody, przystojny i niewzruszenie pewny siebie.

Uśmiechnął się, podchodząc do Wiktora, ale ten uśmiech zniknął, gdy zauważył, że prawa ręka Wiktora jest pod stołem. Zmarszczył brwi i usiadł.

- Alberto, spóźniłeś się - powiedział Wiktor.

Alberto Giordano nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami, co miało stanowić wystarczające wyjaśnienie.

- Już chciałem wyjść.

- Ale nie wyszedłeś - odparł Giordano, przysuwając bliżej swój stółek. - Vernonie,

powiedz mi, proszę, dlaczego trzymasz rękę pod stołem?

- A jak myślisz?

Giordano się skrzywił.

- Dobrze cię widzieć. Skoro jestem tak groźny, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

- Bo doskwiera mi samotność.

- Nie dziwię się, jeśli tak traktujesz przyjaciół - odparł Giordano, wskazując na schowaną pod stolikiem rękę Wiktora.

- Powiedz mi coś o tym człowieku, który przegonił mnie dziś przez pół miasta.

Giordano uśmiechnął się.

- Odrobina przygody jeszcze nikomu nie zaszkodziła. A poza tym, Vernonie, zawsze mi mówiłeś, że muszę być ostrożniejszy. Właśnie to robię. I nie obrażaj się, ale na drugi raz nie każ mojemu człowiekowi jechać do Rzymu. Złapali go, bo nie miał biletu. Czy wiesz, ile będzie mnie kosztować ta kara?

- Nie lubię, jak ktoś mnie śledzi.

Zanim Giordano zdążył odpowiedzieć, zjawiała się kelnerka, a gdy zobaczyła Giordano, zaświeciły się jej oczy. Uśmiechnęła się do niego szeroko, a na Wiktora nie zwróciła najmniejszej uwagi. Giordano zamówił dla siebie espresso, a dla Wiktora jeszcze jeden sok pomarańczowy.

- Rozumiem, że chcesz tak jak zawsze.

- Tak.

- Jakie obywatelstwo?

- Myślę, że tym razem włoskie.

Giordano uśmiechnął się.

- Vernonie, proszę, nie jestem pewien, czy jesteś dostatecznie przystojny, aby być jednym z nas.

- Ale mam piękne wnętrze.

Giordano zaśmiał się. Podeszła kelnerka, przynosząc kawę i sok, przez chwilę poflirtowała z Giordano, nachylając się nad stołem, a więc stało się jasne, dlaczego górne guziczki jej bluzki były rozpięte. Wiktor sączył sok, starając się im nie przeszkadzać. Kelnerka zapisała sobie numer telefonu Giordano i wróciła do swoich obowiązków.

- Czy ty nigdy nie masz dosyć? - spytał Wiktor.

- A ty miałbyś?

Wiktor nie odpowiedział, tylko wrócił do przerwane go tematu.

- Paszport musi być wystawiony na autentyczną osobę. I czysty.

- Oczywiście - zgodził się Alberto. - Moja robota jest pierwszej klasy. Masz zdjęcie?

Wiktor wyciągnął rękę spod stołu i położył przed Giordano zdjęcie paszportowe.

- Chciałem cię prosić o pomoc w jeszcze jednej sprawie.

- Jeśli chcesz, to mogę cię nauczyć, jak rozmawiać z kobietami, ale nie mogę ci zagwarantować, że one będą chciały rozmawiać z tobą - powiedział Giordano.

- Nie to miałem na myśli.

Wyjął lewą rękę spod stolika. Trzymał w niej jedną z kamer, które zabrał z apartamentu obserwatorów w Mińsku.

- No, tak. Teraz to dopiero czuję się obrażony - powiedział.

- Jestem pewien, że ta kelnerka poprawi ci samopoczucie.

Giordano znowu się uśmiechnął i wziął kamerę.

- Fajna. A nawet więcej niż fajna.

- Co możesz mi o niej powiedzieć?

- Produkcja amerykańska. Najnowsze osiągnięcie techniki. W warunkach miejskich działa na odległość pięćdziesięciu metrów, nagrywa w kolorze i w podczerwieni, obraz o wysokiej rozdzielczości. Taki sprzęt mają wyłącznie agencje rządowe. Vernonie, nie miałem pojęcia, że masz tak wysublimowane hobby.

- Czy mógłbyś załatwić mi taką kamerę?

- Tak, ale to będzie bardzo trudne i bardzo drogie.

- A więc jednak jest możliwe, chociaż nie pracujesz w żadnej z amerykańskich agencji rządowych.

- Nie ma rzeczy niemożliwych.

- A czy mógłbyś załatwić dwanaście takich cacek?

Giordano podniósł rękę do góry.

- Vernonie, dzięki za zaufanie, ale nawet nie będę próbować. Jestem pewien, że jedną mógłbym załatwić, no - może dwie, trzy, ale nie mam zamiaru znaleźć się w kręgu zainteresowania CIA. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby jej agenci zastukali do moich drzwi, aby się dowiedzieć, po co mi sprzęt zastrzeżony wyłącznie dla nich.

Wiktor kiwnął głową, starając się nie zdradzić swoich myśli.

- Czy po numerze seryjnym byłbyś w stanie namierzyć, kto ją kupił?

- Mogę spróbować.

- Spróbuj. Tak czy inaczej kamera jest twoja.

Giordano zerknął w stronę kelnerki.

- Może później ją wypróbuję.

- Kiedy będę mieć paszport?
- Za kilka dni.
- Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będzie gotowy.
- Czyli, że potrzebny ci natychmiast.

Wiktor milczał.

- Vernonie, czy masz jakieś kłopoty?
- Można tak powiedzieć - odparł Wiktor, sącząc sok pomarańczowy.

# ROZDZIAŁ 41

ZURYCH, SZWAJCARIA

14:40 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Człowiek, który czekał na Zahma, był niski, tęgi i miał przyjazną, okrągłą twarz, której czoło przecinały głębokie bruzdy, a wokół zaczerwienionych i zażawionych oczu pełno było kurzych łapek. Na twarzy, rękach i przedramionach widoczne były ciemnobrązowe plamy - oznaka kłopotów z wątrobą. Mężczyzna miał na sobie luźną lnianą koszulę, spodnie oraz sandały, zaś w lewym ręku trzymał płócienną torbę na zakupy. Był o dobrych trzydzieści centymetrów niższy od liczącego metr dziewięćdziesiąt Zahma. Kiedy się z nim witał, wysoko zadzierał głowę, aby móc spojrzeć Zahmowi w oczy, ale on miał ciemne okulary.

- Cześć synu, wspaniale znowu cię widzieć - powiedział ten niższy, uśmiechając się szeroko i ukazując rząd drobnych, olśniewająco białych zębów.

- I ty, ojciec świetnie wyglądasz - odpowiedział Zahm z nikłym skrzywieniem ust, mającym naśladować uśmiech.

- Nie tak dobrze jak ty.

Pomimo uśmiechów i uprzejmych słów pomiędzy dwoma mężczyznami nie było przyjacielskiej atmosfery, ale dla ojca to udawanie było ważne. Uścisnęli sobie dłonie, a Zahm bardzo uważał, aby nie ścisnąć dłoni ojca zbyt mocno. Jeśli o tym zapominał, to jego uścisk łamał kości, a tym razem nie chciał nikogo skrzywdzić ani fizycznie, ani psychicznie. Po przywitaniu się Zahm z przyzwyczajenia rozejrzał, czy nikt ich nie obserwuje.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego wzrost bardzo ułatwia śledzenie go. Znajdowali się na terenie Uniwersytetu w Zurychu. Był weekend, a więc na uczelni nie odbywały się zajęcia, ale w pobliżu na trawie siedzieli studenci, rozmawiając lub coś pisząc. Typowe sceny, ale nie dla Zahma. Jednak był śledzony. Na najbliższej ławce siedziała młoda kobieta i jadła lody. Na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniała: tak jak inni miała na sobie zwykłe, sportowe ubranie, na uszach słuchawki, porządnie zniszczoną torbę. Wyglądała na opalającą się studentkę, siedziała, kiwając głową w takt muzyki, lecz Zahma zastanowiły jej ramiona; były szczupłe, ale widać było muskulaturę - i właśnie to dawało do myślenia. Takich mięśni nie można wyrobić samemu, jedynie uprawiając jakiś sport, ale tylko i

wyłącznie uczęszczając regularnie na zajęcia krav maga.

Zahm nie dał po sobie poznać, że się domyślił, kim jest ta dziewczyna. Nie stanowiła zagrożenia, a jedynie ostrzeżenie. Ojciec zawsze lubił mieć w pobliżu swoich ludzi. Przeżył trzy zamachy i zdawał sobie sprawę, że może się przytrafić i czwarty.

- Przejdziemy się? - zaproponował ojciec.

Ruszył przed siebie. Szedł niedbale, a Zahmowi trudno było dostosować swoje duże kroki do małych kroczków ojca. Po minucie Zahm obejrzał się i zobaczył, że młoda kobieta także wstała, idzie w pewnej odległości za nimi, ale nie patrzy na żadnego z nich.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę i to sprawami służbowymi - zaczął ojciec.

- Nie ma problemu.

Ojciec popatrzył na niego.

- W zeszłym miesiącu twoi ludzie odwalili kawał dobrej roboty.

- Dziękuję - powiedział po chwili Zahm, choć jego zdaniem ta robota nie była ani lepsza, ani gorsza od tej, którą jego ludzie zazwyczaj wykonują.

- Obawiam się - ciągnął ojciec - że znowu będę musiał cię gdzieś posłać.

- Tak szybko?

Ojciec kiwnął głową.

- To wyszło w ostatniej chwili i w tej sprawie mogę zaufać tylko tobie.

Szli wolno. Ojciec zamilkł, co wystawiało cierpliwość Zahma na próbę, ale nic nie mówił, bo na tak wczesnym etapie rozmowy o nowym zadaniu wszelkie pytania były nie na miejscu. Ojciec nigdy nie lubił się spieszyć. Kiedy znaleźli się w zacisznym miejscu, ojciec stanął przed Zahmem i spojrzał mu prosto w oczy. Młoda kobieta gdzieś zniknęła, ale Zahm był pewien, że znajduje się w pobliżu.

- W środę straciłem czterech moich chłopców - powiedział ojciec ze smutkiem. - To byli pracownicy operacyjni do spraw rozpoznania. Byli w Mińsku i obserwowali transakcję zawieraną między pewnym białoruskim kryminalistą a libańskim handlarzem broni o imieniu Gabir Yamout.

Zahm już wcześniej o nim słyszał. Wiedział, kim on jest, co robi i dla kogo pracuje. Teraz rozżołościł się, że taka okazja się zmarnowała.

- Wiem, co sobie myślisz, Zahmie - powiedział ojciec i uśmiechnął się. - Jeżeli chodzi o zabijanie, twoje umiejętności są wyjątkowe, ale musisz popracować nad swoją mimiką.

Zahm obejrzał się.

- Tak - powiedział ojciec. - Wiemy, że Yamout był w Mińsku i nie wysłaliśmy nikogo, aby go zabić. To świadczyłoby fatalnie o naszych manierach, bo Yamout pracuje dla nas.

Ojciec znowu ruszył przed siebie, ale po chwili zatrzymał się. Zahm wprost umierał z ciekawości, ale powstrzymywał się od zadawania pytań. Tymczasem ojciec usiadł na trawie, zdjął sandały i skarpetki, a gdy poczuł pod bosymi stopami trawę, mruknął z zadowolenia. Zahm też usiadł i wystawił ręce do słońca. Pojawiła się też młoda kobieta, ale teraz miała na sobie inną koszulkę, okulary przeciwsłoneczne, włosy związane w koński ogon, a słuchawki i lody zniknęły. Dla każdego wyglądałaby jak zwykła spacerowiczka, ale nie dla wyszkolonych oczu Zahma.

- Yamout pracuje dla nas - powtórzył ojciec. - Oczywiście sam nic o tym nie wie - dorzucił z uśmiechem. - Niemal od dziesięciu lat nasi ludzie obserwują i jego, i Ariffa. Śledzą, co robią w swoich domach, kiedy wychodzą na kolację lub z dziećmi do zoo, a przede wszystkim, gdy spotykają się ze swoimi klientami. Logika takiego postępowania jest bardzo prosta. Nasi wrogowie zawsze będą potrzebować broni, a jeżeli zabilibyśmy Ariffa i Yamouta, to na pewien czas zahamowalibyśmy napływ broni, która może być użyta przeciwko nam, ale nie powstrzymalibyśmy działalności tych ludzi. Schedę po nich przejęliby inni. Jednak jeśli handlarze żyją, to możemy obserwować zarówno ich, jak i ich ludzi, aby dowiedzieć się, kto jest ich klientem. I w ten sposób zidentyfikować naszych wrogów, aby ich zabić, zanim oni wykorzystają zakupioną broń przeciwko nam.

Zahm kiwnął głową. Rozumiał tę strategię i nieco złościł się na siebie za zbyt pochopną ocenę sytuacji.

- No i znowu pokerowa twarz - powiedział ojciec.

- A co się stało z ludźmi przeprowadzającymi rozpoznanie?

Starszy mężczyzna zaczekał, aż minęli ich dwaj studenci, i zaczął mówić, gdy tamci odeszli na bezpieczną odległość.

- Yamout pojechał do Mińska w celu zakupu, a nie sprzedaży broni, ale my nie wiedzieliśmy o tym. No, w każdym razie w trakcie spotkania Yamouta z dostawcą w jednym z hotelowych apartamentów, jakiś człowiek próbował go zabić. Wydaje mi się, że moi chłopcy, zawsze zaangażowani w to, co robią, próbowali interweniować, aby chronić pozyskaną łączność z siatką Ariffa - ojciec potrząsnął głową. - I tu trudny do przewidzenia, głupi zbieg okoliczności sprawił, że ten morderca zastrzelił czterech z piątki moich chłopców.

Przeszli kawałek, zanim ojciec zaczął mówić dalej.

- Yamout przeżył ten atak, a więc naszym ludziom udało się przynajmniej nie dopuścić do zabicia najważniejszego dla nas źródła informacji, ale tragedia jest tragedią.

- Kim byli ci mordercy?

Ojciec potrząsnął głową.



- Był jeden.

- Jeden człowiek?

Ojciec kiwnął głową.

- Mamy go na filmie. Nasi ludzie umieścili w tym apartamencie kamery i nagrali cały ten atak. Ten człowiek działał sam. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby tylu ludzi zginęło tak szybko.

- I tym razem nie mamy pojęcia, na czyje polecenie działał ten morderca - ciągnął ojciec. - Skoro raz próbował zabić Yamouta, to zrobi to ponownie. Być może będzie chciał również zabić Ariffa, a jeżeli mu się to uda, wówczas schedę po Ariffie przejmie chyba jeden z jego ludzi, i upłyną miesiące, zanim uda się nam dojść, kto to taki. Może się zdarzyć nawet coś jeszcze gorszego, otóż imperium Ariffa może przejąć jakiś nieznan nam handlarz bronią, o którym nic nie wiemy. Nie możemy do tego dopuścić.

Zahm skinął głową.

Tymczasem ojciec mówił dalej:

- A tu chodzi o coś więcej niż tylko o własny interes. Straciłem wspaniałych czterech ludzi, a oni przez swoją śmierć ocalili życie jakiegoś handlarza broni - tu ojciec przerwał, ponieważ złość i chęć zemsty nie pozwalały mu mówić, ale po chwili kontynuował. - Właśnie dlatego jestem tak wstrząśnięty. Co by pomyślały ich rodziny, gdyby wiedziały, jak oni zginęli i kogo swoim życiem chronili? - znowu przerwał, aby się opanować. - Synu, chcę, aby twoja jednostka pomściła tych ludzi.

- Oczywiście - odparł Zahm bez wahania.

- Doceniam twój entuzjazm, ale nie zgadzaj się zbyt pochopnie na udział w tym zadaniu. Tutaj nie mamy do czynienia z jakimś niedoświadczonym terrorystą czy też sponsorem akcji terrorystycznych, jakich do tej pory zwykłeś zabijać, ale z niezwykle niebezpiecznym celem - zabójcą, takim jak ty.

Zahm przytaknął.

- Pomimo to zgadzam się. Moi ludzie są niezwykli, to najlepszy zespół, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Cóż, jeden człowiek, choć niebezpieczny, to tylko jeden człowiek. Nasi chłopcy zasługują na to, aby ich pomścić, i mogę cię zapewnić, że moi ludzie również się z tym zgadzają. Z przyjemnością zabijemy tego mordercę oraz jego zleceniodawców.

- Świetnie, synu. Spodziewałem się, że tak powiesz.

Ojciec klepnął Zahma po ramieniu.

- Czy wiemy, gdzie jest ten morderca?

- Nie, ani on, ani jego szefowie - odparł ojciec, sięgając do swojej płóciennej torby i

wyjmując z niej teczkę pełną zdjęć i różnych dokumentów, podał ją synowi. - Te zdjęcia zostały zrobione na dworcu w Mińsku dzień po tragedii w hotelu „Europa” Jak widzisz, jest na nich dwóch mężczyzn, idą jeden za drugim. Nie widać twarzy tego drugiego, ale moim zdaniem to jest właśnie ten zabójca.

- Kim jest ten pierwszy?

- To Danił Petrenko, białoruski mafioso. To z nim spotkał się Yamout.

- Według mnie wygląda jak zbir.

Ojciec przytaknął.

- Następnego dnia odleciał wraz ze swoją dziewczyną do Barcelony. Znajdź Petrenkę, mój synu, a znajdziesz i tego mordercę.

## ROZDZIAŁ 42

BOLONIA, WŁOCHY

PONIEDZIAŁEK 12:25 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor wynajął pokój w „Villa Del Quar” wielkim pięciogwiazdkowym hotelu oddalonym o około siedem i pół kilometra na północny zachód od Bolonii. Suma, jaką za to zapłacił, była wręcz niebotyczna, ale przez ostatnie siedem miesięcy żył bardzo skromnie, a komfort hotelu oraz otoczenie gwarantowały odpoczynek i odreagowanie stresu. Pokój był duży, nienagannie czysty, umeblowany w stylu neoklasycyżnym; na ścianach wisiały obrazy przedstawiające włoskie pejzaże. Wolałby jakiś inny, ale nie miał dużego wyboru, bo połowa hotelu była zamknięta z powodu remontu.

Przez weekend spacerował po otaczających hotel rozległych winnicach, malowniczej okolicy, a także wygrzewał się w słońcu. Minęło niemal dziesięć dni od postrzału w ramię, teraz trzeba było dać ranie czas na gojenie się. Strup zaczynał schodzić; czuł ból tylko wtedy, gdy naciskał brzegi rany oraz mięśnie. Nie wdała się żadna infekcja. Wczoraj zaczął znowu biegać, aby utrzymać kondycję, ale chcąc oszczędzać rękę, zaniechał ćwiczeń z ciężarkami.

Wielki hotelowy basen widoczny z okien pokoju stanowił nie lada pokusę, z którą musiał walczyć każdego ranka. Pogoda wydawała się wymarzona do pływania, było gorąco i sucho, ale wiedział, że ludzie będą patrzeć na jego ranę - nie mógł tak ryzykować. W ubraniu wtapiał się w tłum, ale w kąpielówkach rzucałby się w oczy. Wieczorem też nie mógł popływać. Basen był dobrze oświetlony i nawet jeśli goście hotelowi nie zauważyliby rany, zwróciłyby zapewne ich uwagę jego imponująca muskulatura, tymczasem w jego przypadku szansa na przeżycie polegała na pozostaniu niezauważonym.

Prowadząca hotel księżna była niezwykle towarzyska, więc Wiktor, podobnie jak i pozostali goście, musiał wdawać się z nią w krótkie pogawędki. Jeśli zachowałby się nietaktownie, zapamiętałaby go z pewnością. Był jedynym samotnym mężczyzną w hotelu. Reszta to przeważnie starsi Włosi i małżeństwa cudzoziemców. Wszyscy ci ludzie byli wprost nieznośnie towarzyscy i Wiktor często był wciągany w rozmowy. Starał się być uprzejmy, ale nudny, i w końcu nie było już chętnych do powtórnej konwersacji z nim.

Pojechał autobusem do Bolonii.

W restauracji Stanze del Tenete zjadł lunch składający się z zupy, a następnie zamówił *tortellini* z nadzieniem z *prosciutto*, a do tego kieliszek rzeńskiego miejscowego Pinot Grigio. Wiktor delectował się jedzeniem i wystrojem wnętrza: restauracja mieściła się w starym, szesnastowiecznym Palazzo Bentivoglio Pepoli i miło było patrzeć na pięćsetletnie freski, ściany i posadzki. Po lunchu Wiktor przespacerował się pod arkadami i portykami, mijając grupki studentów i miłośników jazdy na rolkach. Przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się zażartej grze w domino dwóch starszych mężczyzn, którzy z całą pewnością wypili przedtem zbyt dużo czerwonego wina. Odszedł, gdy panowie szykowali się do kolejnej partii.

Nie spostrzegł nikogo, kto by go śledził, ale jak zwykle przedsięwziął środki zapobiegawcze, to znaczy udał się na spacer do ogrodu botanicznego, a następnie do centrum miasta. Ogród botaniczny w Bolonii jest jednym z najstarszych na świecie, został założony w 1568 roku i z dwóch stron jest otoczony dwoma murami pamiętającymi jeszcze średniowiecze. Wiktor miał jeszcze godzinę, więc przechadzał się po ogrodzie tak jak i inni zwiedzający, oglądając olbrzymią różnorodność rosnących tam drzew, roślin i kwiatów oraz kompozycji roślinnych stworzonych przez ogrodników.

Giordano czekał przy sadzawce i przyglądał się rejwachowi, jaki robiły roje owadów uwijających się wokół lilii wodnych oraz ważkom pływającym po powierzchni wody. Kiedy zobaczył Wiktora, uśmiechnął się.

- Vernonie, z opalenizną ci do twarzy.

Wiktor również się uśmiechnął.

- Jak się ma twoja nowa przyjaciółka, ta kelnerka?

- Wyczerpująca - odpowiedział Giordano, sapiąc.

- To znaczy, że ostatni weekend nie upłynął ci na samych przyjemnościach.

- Oczywiście, że nie. Kiedy nie zajmowałem się nią, to też musiałem ciężko pracować - mówiąc to, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożoną kopertę. - Arcydzielo, tak jak obiecałem - i podał kopertę Wiktorowi, który otworzył ją i wyjął włoski paszport. Szybko przerzucił jego kartki i bynajmniej nie zdziwił się, że rzeczywiście dokument był autentyczny, z tą tylko różnicą, że w miejscu dawnego zdjęcia prawowitego właściciela paszportu, figurowała fotografia Wiktora.

- Tolento Lombardi - przeczytał głośno Wiktor.

- To robotnik budowlany - wyjaśnił Giordano - który miał tego pecha, że pożyczył pieniądze od niewłaściwych ludzi i aby wybrnąć z tarapatów, sprzedał im swój paszport, a ci z kolei sprzedali go mnie. Ten facet jest czysty. Nawet nie ma niezapłaconego mandatu. Nigdy też nie wyjeżdżał za granicę. Nie będziesz mieć żadnych problemów.

Wiktor pokiwał głową.

- Ten paszport jest nawet lepszy, niż ten, który ostatnio od ciebie kupiłem. W jaki sposób udaje ci się tak odkleić zdjęcie i przykleić nowe, żeby nie zostawić śladów?

Giordano uśmiechnął się szeroko.

- To mój sekret. Każdy mógłby to robić, ale ja udoskonaliłem tę technikę. Paszporty coraz trudniej jest podrabiać, zupełnie jakby władze chciały odebrać chleb takim jak ja. Faszyści. Jednak moja metoda odklejania warstw laminatu jest genialna. Nikt nie potrafi robić tego tak, jak ja. Przyklejenie potem zdjęcia i powleczenie wszystkiego laminatem to już prosta sprawa. Efekt: ani śladu fałszerstwa. Tylko nie pytaj mnie, jakich chemikaliów używam.

Wiktor schował paszport do kieszeni i zapłacił Giordano umówioną stawkę.

- Chciałbym, abyś używając tego paszportu, zachowywał się stosownie do twojego nowego „ja”. Pamiętaj, Vernonie, teraz ludzie będą myśleć, że jesteś Włochem. Nie chcę, abyś ich zawiódł.

Wiktor uśmiechnąłby się, ale wiedział, że Giordano nie żartuje.

W tej chwili podeszła do nich czteroosobowa rodzina, więc mężczyźni weszli do oranżerii, w której panowały upał i wilgotność nie do zniesienia. Wiktor patrzył na wspaniałą kolekcję storczyków.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o tej kamerze? - spytał Giordano.

- Zrobiłem, co mogłem. To znaczy nie tyle, ile bym chciał, ale zawsze coś. Jak ci mówiłem, bardzo uważnie śledzi się, w czyje ręce trafia sprzęt z tak zaawansowaną technologią, to znaczy, że jeśli się dobrze poszuka, to można znaleźć informację, kto go kupił. W tym przypadku okazało się, że kamerę o takim numerze seryjnym kupił ktoś w Wielkiej Brytanii. I na tym ślad się urywa - oficjalnie.

- Kto ją kupił?

- Osiem miesięcy temu firma o nazwie Lancet Incorporated kupiła trzydzieści takich kamer - w tym także i tę, którą mi dałeś. Zresztą ta firma była jednym z pierwszych nabywców tego sprzętu.

- Co to za firma?

- Domyślałem się, że zadasz to pytanie i dlatego poprosiłem moich współników, aby się tego dowiedzieli. Lancet Incorporated jest zarejestrowana w Szwajcarii, poza tym posiada nieruchomości w różnych krajach i udziały w wielu firmach. O ile wiem, nie zatrudnia nikogo. Wydaje się, że interes nie idzie zbyt dobrze, gdyż przez ostatnie pięć lat firma ma same straty.

- A więc to jakaś przykrywka.

Giordano wzruszył ramionami.

- Mówię, czego się dowiedziałem, a co z tym zrobisz, to już twoja sprawa.

Wiktor przytaknął skinieniem głowy. Twarz Giordano lśniła od potu, gdyż w oranżerii było strasznie gorąco i wilgotno. Wyszli na zewnątrz.

- Powiedziałeś, że sprzedaż urządzeń o tak zaawansowanej technologii jest ściśle monitorowana, więc jak Lancet Incorporated zdołała kupić trzydzieści takich kamer?

Giordano ponownie wzruszył ramionami.

- Jeśli znasz odpowiednich ludzi, to wszystko możesz kupić.

- Staralem się dokopać do jakichkolwiek informacji, dowiedzieć się, ile tylko można - mówił głos po drugiej stronie łącza, a Wiktor słuchał, siedząc w swoim pokoju w hotelu „Villa Del Quar” i sącząc brandy. - W Mińsku, ten apartament przylegający do prezydenckiego został wynajęty tylko na kilka godzin przez ludzi legitymującymi się białoruskimi dokumentami tożsamości, ale, co bynajmniej nie dziwi, okazały się one sfałszowane. I niestety to wszystko, co na ten temat wiadomo. A jak tam u ciebie, chłopie?

- Co masz na myśli? - spytał Wiktor, udając, że nie rozumie, o co tamtemu chodzi.

- No, dobre sobie, chłopie, ale chyba nie sądzisz, że myślę, iż siedzisz sobie spokojnie na dupie. Jeżeli jednak tak jest, to chyba naprawdę mnie nie doceniasz albo ja mam zbyt wysokie wyobrażenie o twoich zdolnościach. Zabiłeś czterech facetów i teraz chcesz wiedzieć, na czyje zlecenie działali. A może jednak udało ci się przetrwać tak długo, bo chowasz głowę w piasek?

- Staralem się czegoś dowiedzieć - przyznał Wiktor.

- No, to jesteśmy w domu - stwierdził tamten z zadowoleniem. - Grunt to szczerść i zaufanie. Dlaczego wobec tego nie podzielisz się ze mną swoimi wiadomościami i wtedy zobaczymy, może wyłoni się nam jakiś obraz i uzyskamy odpowiedzi na różne pytania.

Wiktor odetchnął głęboko. Nie był przyzwyczajony do dzielenia się tym, co wiedział, a szczególnie ze swoim zleceniodawcą, który mógł się okazać jego najgorszym wrogiem. Jednak znał jedynie nazwę firmy będącej przykrywką i wiedział, że uzyskanie dalszych informacji wiąże się z olbrzymim nakładem czasu. A im dłużej nic nie wie o tej firmie, tym dłużej jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli ci ludzie byli tymi, za których ich Wiktor uważał, to już nie mógł sobie pozwolić na stratę choćby minuty.

- Znam pewną nazwę i nic więcej.

- Jak ona brzmi?

- Lancet Incorporated. To firma z siedzibą w Szwajcarii i trudni się sprowadzaniem

sprzętu szpiegowskiego ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii.

- I to ma być nic więcej? Nie masz powodu do takiej skromności.

Wiktor milczał, sącząc brandy.

- Cóż - powiedział tamten - nigdy o tej firmie nie słyszałem, ale jutro o tej porze będę już wiedzieć o niej wszystko, co trzeba.

## ROZDZIAŁ 43

BEJRUT, LIBAN

ŚRODA 12:25 CZASU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO

Podczas ostatniej wizyty Ariffa u hiszpańskiej dziewczyny jej gadatliwość osiągnęła apogeum i handlarz broni wyszedł od niej zdenerwowany. Znalazł się na ulicy Al Hamra, w dzielnicy zamieszkałej przez ludzi różnych narodowości. Ariff mieszkał już w wielu miastach Bliskiego Wschodu, ale Bejrut lubił najbardziej. Pomijając fakt, że od czasu do czasu miasto nękały wojny domowe oraz ataki Izraela, Bejrut był bardzo piękny, a jego trzypasmowe ulice i eleganckie dzielnice były wyjątkowe, a nawet przytulne. Co prawda zbudowane z betonu miasto w pochmurny dzień mogło się wydawać nudne i pozbawione życia, ale w promieniach słońca była to jasna i wibrująca energią metropolia.

Ariff nie zwrócił najmniejszej uwagi na dwóch swoich goryli czekających na niego przed domem dziewczyny i wszedł do BMW, za kierownicą którego siedział Yamout, a z tyłu dwóch ochroniarzy. Ariff zawsze przykładął bardzo dużą wagę do bezpieczeństwa, ale po próbie zabicia Yamouta i licznych atakach na całą ich siatkę zwiększył jeszcze ochronę.

Ariff usadowił się obok kierowcy, zaś ochroniarze wsiedli do czarnego range rovera zaparkowanego przed BMW. Kierowca pierwszego samochodu dał znak i obydwie auta ruszyły. Ariff przymknął oczy. Od miejsca, gdzie mieszkała dziewczyna, do domu Ariffa czekała go daleka droga, ale podczas jazdy można było odpocząć.

- Baraa - zwrócił się do niego Yamout.
- Przyjacielu, nie mam chęci na rozmowę. Pogadamy w domu.

Ariff doskonale wiedział, że Yamoutowi nie podoba się taka odpowiedź; po kilku sekundach Libańczyk znowu się odezwał:

- Przykro mi, że ci przeszkadzam, ale...
- Skoro ci przykro, to dlaczego przeszkadzasz?
- Mam nowe wiadomości.
- I nie mogą poczekać godzinę? - Ariff westchnął.

Yamout nie odpowiedział, więc Ariff otworzył oczy. Jego przyjaciel siedział sztywno, spięty.



- Sądziłem, że będziesz chciał wiedzieć od razu - wyjaśnił. - Straciliśmy przesyłkę broni dla Sudanu. Wiozący ją konwój wpadł w zasadzkę zorganizowaną przez rebeliantów. Prezydent Sudanu jest wściekły, że pięć tysięcy karabinów wpadło w ich ręce - Ariff westchnął, ale milczał. - W takiej sytuacji już na pewno nigdy nie od nas nie kupią. Kazakow musiał przekupić rebeliantów. Baraa, nie możemy tego tolerować.

- Wojny to kosztowna sprawa.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? Najpierw Farkas wyleciał w powietrze i winą za to obarcza się nas, potem ten zamach na mnie w Mińsku, a teraz straciliśmy naszego największego klienta w Afryce, nie mówiąc już o ludziach, którzy zaginęli, zostali zaszlachtowani albo w obawie o własne życie po prostu od nas uciekli. Ta wojna wkrótce nas zrujnuje. Musimy zawrzeć pokój z Kazakowem.

Ariff wybuchnął śmiechem.

- Mam błagać o litość tego ukraińskiego diabła? Czy sądzisz, że on powściągnie swoje psy? Nie bądź głupi. Wyczuje naszą słabość i zmiażdży nas. Poza tym, prędzej strzelę sobie w łeb, niż będę błagać jak baba.

- Wieść o naszej wojnie z Kazakowem rozeszła się szeroko i nikt już nie chce zadawać się z nami i znaleźć się na muszce ludzi Kazakowa. On uderza codziennie.

- Przetrywamy. My mamy wielu ludzi - on nie. I są oni wobec nas lojalni, czego nie można powiedzieć o jego ludziach.

- Jednak on ma bogactwa, o jakich nam się nie śniło, a za pieniądze można kupić i ludzi, i ich lojalność.

- Ale Kazakow nie może opuścić Rosji. Jest poszukiwany na całym świecie. Ja mogę sobie pojechać do miejsc, o których on może sobie tylko pomarzyć. Mogę rozmawiać z ludźmi, których on nigdy nie może spotkać. Nieco wiary, mój przyjacielu. Za jakiś czas on się załamie, zapewniam cię. A więc działamy tak, jak dotąd i zobaczymy, kto wygra.

- Co nam po zwycięstwie, jak nie pozostanie nam już żaden klient? Uciekają od nas, nawet ci, którym możemy bezpiecznie dostarczać broń.

- Kazakow używa swoich wpływów - wyjaśnił Ariff.

- Należało się tego spodziewać. Będzie się starał na wszelkie sposoby nas osłabić.

- I ta jego metoda działa.

- Nie na długo - zapewnił go Ariff. - Nasi klienci nie przestaną potrzebować broni tylko dlatego, że Kazakow zapłaci im lub zagrozi, że nie będzie im jej sprzedawać. W dzisiejszych czasach wojny są prowadzone przez partyzantki, a nie armie. Kazakow ma więcej do stracenia niż ja. A poza tym, nasi klienci zdadzą sobie sprawę, że bardziej

potrzebne są im karabiny i amunicja niż czołgi. I wrócą do nas. Bądź cierpliwy.

Jechali przez chwilę w ciszy. Ariff rozkoszował się ciepłem promieni słońca, które padały mu na twarz, ale nie mógł zasnąć. Starał się pokazać Yamoutowi, że jest spokojny, ale denerwował go ten konflikt z Kazakowem. Yamout siedział sztywno, prowadząc samochód.

Teraz BMW jechało przez jedną z najstarszych dzielnic Bejrutu, ulicami, wzdłuż których ciągnęły się domy z piaskowca. Po obu stronach ulicy stało tyle zaparkowanych samochodów terenowych i sedanów, że inne auta z trudem mogły przejechać środkiem, dlatego też Yamout prowadził ostrożnie.

Ariff ziewnął.

- Skoro już tak doskonale udało ci się przeszkodzić mi w spaniu, to powiedz, czym się teraz zajmują nasi ludzie.

- To był pracowity i owocny tydzień - odparł Yamout.

- Samolot, który zestrzeliliśmy w Afganistanie, to był Antonów An-22. Nie wiemy, co przewoził, ale już sama maszyna jest warta dziesiątki milionów, a na jego pokładzie chyba znajdowała się broń - ciężka i droga. Kazakow ma tylko trzy takie maszyny.

- Już dwie - poprawił go Ariff z uśmiechem.

Wzdłuż jednokierunkowej ulicy, którą właśnie jechali, ciągnęły się siedmiopiętrowe budynki. Ruch był zwiększony, także Yamout musiał bardzo zwolnić. Jakiś chłopak na skuterze jechał pod prąd, lawirując między samochodami i wywołując serię klaksonów. Po lewej i prawej stronie Ariffa migały światła reklam.

Yamout także się uśmiechnął:

- Mówiłem ci już o tym zdarzeniu w Syrii, co? - Ariff kiwnął głową. - Od tamtej pory zabiliśmy jeszcze więcej jego handlarzy, tym razem w Tunezji. Z tego, co udało się wydobyć z nich przed śmiercią, wiemy, że byli ważnymi członkami organizacji Kazakowa.

Ariff uśmiechnął się szeroko.

- Doskonale, Gabirze. Naprawdę doskonale. Ten ukraiński bękart jeszcze będzie żałował, że kiedykolwiek chciał wystąpić przeciwko nam. Bez względu na to, jak lub z jakiego powodu to wszystko się zaczęło, wygramy tę wojnę.

Yamout kiwnął głową z przekonaniem. Włączył radio i wewnątrz samochodu wypełniła arabska muzyka. Yamout stukał w jej rytm palcami na kierownicy. Ariff uśmiechnął się do siebie - ten olbrzym nie miał za grosz poczucia rytmu.

BMW musiało zatrzymać się na czerwonym świetle. Przed nimi stał range rover ochroniarzy Ariffa. Nagle tuż przed przednią szybą BMW pojawił się skuter i Yamout również zatrafił.

- Cholerny bachor - mruknał.

Ariff nic nie powiedział, tylko kiwnął głową. Ludzie mieli zwyczaj przechodzić na drugą stronę ulicy, lawirując między jadącymi samochodami. Jakiś starszy, tęgi mężczyzna koniecznie chciał przejść z tyłu za BMW Ariffa, dwie kobiety w burkach wyszły na jezdnię przed nimi; szły wolno, ostrożnie i zniknęły po drugiej stronie ulicy. Ariff pokręcił głową. Był przyzwyczajony do takich obrazków, ale wiedział, że nigdy nie zdoła zrozumieć tych ludzi.

- Co to za jakaś religia - powiedział do Yamouta, który potakująco kiwnął głową.

Wybuch był ogłuszający.

Wstrząsnął całym ciałem Ariffa, z którego ust wyrwał się okrzyk zdumienia. Yamout był równie zaszokowany. Z range rovera tuż przed nimi unosił się dym. Ariff i Yamout spoglądali na siebie z niedowierzaniem oraz przerażeniem, nie rozumiejąc, co się stało. Ludzie znajdujący się w pobliżu range rovera leżeli na ziemi, jakaś kobieta krzyczała.

Rozległy się strzały.

Obydwaj mężczyźni wzdrygnęli się na ten odgłos. To były strzały z broni automatycznej, głośne, gdzieś niedaleko. Ariff zamarł. Nie wiedział, co robić. Widział błyski z luf tuż obok range rovera i zdał sobie sprawę, że ktoś strzela do jego ludzi. Słyszał głuchy stukot pocisków o pancerną karoserię samochodu, kilka z nich rozbiło się nawet o kuloodporną szybę BMW, tuż przed twarzą Ariffa.

Zanim Ariff zdążył powiedzieć do Yamouta, aby jakoś wyjechał z tego piekła, ten już wrzucił wsteczny.

Dwaj siedzący z tyłu ochroniarze trzymali gotowe do strzału Ingramy. BMW cofnęło się kilka metrów, ale drogę blokowała wielka terenowa toyota. Yamout zaczął trąbić, ale na próżno, toyota ani drgnęła. Tymczasem kanonada nadal trwała, a przez tylne okno range rovera tryskała krew.

- Yamout! - krzyknął Ariff.

Nagle na środku ulicy pojawił się człowiek z karabinem. Na głowie miał kominiarzkę, na ramionach czarną burkę, a w rękach ścisnął karabin maszynowy i ręczny wyrzutnik granatów. Dał Yamoutowi znak, a potem strzelił salwę w powietrze. Ludzie na ulicy krzyczeli i uciekali, wielu z nich porzuciło samochody.

Yamout próbował się cofnąć i wyjechać na środek jezdni, gdzie mógłby ruszyć do przodu, ale nie było miejsca. Przedni zderzak BMW dotykał tylnego zderzaka range rovera. Pociski trafiały w przednią szybę auta Ariffa, ale nie były w stanie jej przebić. Yamout krzyknął do ochroniarzy na tylnym siedzeniu, a oni otworzyli drzwiczki auta i wyskoczyli na

ulicę. W tym momencie mężczyzna w kominiarce zaczął strzelać, ale pociski odbijały się od pojazdu. Ochroniarze Ariffa strzelali, wsunawszy lufy w szczelinę między drzwiami a karoserią samochodu. Ich półautomatyczne pistolety były małe, wydawały się przestarzałe, jednak ich szybkostrzelność wynosiła tysiąc dwieście pocisków na minutę. Ochroniarz opanował pierwszy odruch paniki, w którym natychmiast opróżnił magazynek. Seria dosięgła range rovera i sąsiednie samochody, ale nie człowieka w kominiarce, który padł na jezdnię, aby włożyć nowy magazynek.

- Teraz, teraz! Dorwij go teraz! - krzyczał Yamout.

Drugi ochroniarz szybko wyskoczył ze swojej kryjówki za drzwiami BMW. Rzucił się pędem obok przednich drzwi auta, wskoczył na maskę, chcąc wpakować serię w mężczyznę w kominiarce, zanim tamten zdąży włożyć nowy magazynek. Jednak nie był wystarczająco szybki; jego podziurawione pociskami ciało upadło na maskę auta, a potem ześlizgnęło się na chodnik. Przednia szyba była czerwona od krwi.

- Tam jest jeszcze jeden.

Z drugiej strony range rovera Ariff dostrzegł kolejnego mężczyznę w burce i kominiarce. Klęczał na chodniku, trzymając karabin maszynowy. Tymczasem tamten zdążył zmienić magazynek. Yamout sięgnął i wyciągnął ze schowka za Ariffem karabin.

- Baraa, przejdź do tyłu i zamknij drzwi!

Ariff próbował przedostać się na tylne siedzenie, serce łomotało mu jak oszalałe. W końcu przeszedł na tył i chwycił klamkę, usiłując zamknąć drzwi. Znajdujący się obok ochroniarz wystrzelił kontrolną serię. W odpowiedzi posypał się grad pocisków.

Ariff siedział schylony, bojąc się wystawić głowę. Uszy bolały go od huków wystrzałów.

- Nie możemy tu zostać - stwierdził Yamout. Siedział w kucki na podłodze samochodu, w jednej ręce ściskając pistolet, w drugiej telefon komórkowy.

Ariff nie odpowiedział. Przecież nie mogli zostać, ale i nie mogli wyjść.

Ochroniarz strzelał, aż opróżnił cały magazynek. Szybko wyrzucił go i sięgnął po nowy, ale co ciekawe nikt już nie strzelał. Ariff nie był w stanie zobaczyć, dlaczego. Może tamci dwaj nie żyją? „Boże, spraw, aby to była prawda”, modlił się w duchu.

Ochroniarz włożył już nowy magazynek, ale nie zdążył ponownie strzelić, bo nagle stanął za nim kolejny zamaskowany mężczyzna. Wpakował nóż w gardło ochroniarza; fontanna krwi trysnęła z rany. Jednym płynnym ruchem wyjął mu z rąk pistolet. Ochroniarz padł, rżąc, na chodnik.

Yamout próbował się odwrócić, ale w tej samej chwili za jego plecami rozległa się

seria z ingrama. Krzyknął, po chwili jego głowa zwisała bezwładnie, a całe plecy i ramiona były podziurawione pociskami.

Ariff krzyczał, a zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniejsze, gdy przez otwarte drzwi samochodu wpadł granat. Ariff widział, jak leci i upada na siedzenie obok kierowcy. Po sekundzie nastąpił wybuch.

To był gigantyczny huk, a towarzyszył mu oślepiający błysk. Ariff widział jedynie biel i nie słyszał nic oprócz przeszywającego wycia. Był zbyt zdezorientowany, aby się poruszyć lub krzyknąć. Ktoś chwycił go za przeguby rąk i wyciągnął na zewnątrz. Ariff upadł na jezdnię, a dokładniej na skąpane we krwi ciało swojego ochroniarza.

Teraz kilka par rąk chwyciło go i podniosło, stawiając na nogi. Ariff nie miał siły, by walczyć, ani nawet by się utrzymać na nogach. Stopniowo odzyskiwał słuch. Słyszał jakieś płacze i krzyki, ale jakby stłumione. Powoli zaczynał też coś widzieć, ale nadal był to jakby zastygły obraz - widok wnętrza samochodu. Zorientował się, że jeden z mężczyzn w kominiarkach biegnie i krzyczy do ludzi, aby się rozeszli. Dwaj pozostali ciągnęli Ariffa, a właściwie nieśli, podtrzymując za ramiona.

Skręcili za róg ulicy, gdzie czekała ciężarówka. Jakiś człowiek otworzył drzwi i wepchnął Ariffa na tylne siedzenie, a dwaj mężczyźni w kominiarkach siedli obok niego.

Ariff zaczął wzywać pomocy, ale walnięcie kolbą karabinu w twarz natychmiast go uspokoiło, gdyż złamało mu nos i Ariff stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ 44

COLONIAL BEACH, WIRGINIA  
ŚRODA 15:09 CZASU WSCHODNIEGO

Dzień był wietrzny, niezbyt ciepły, niebo błękitne, choć zachmurzone, pełne uwijających się z krzykiem mew. Procter lubił taką pogodę. Stał na końcu wąskiego pomostu i przez ciemne okulary spoglądał w stronę rzeki Potomak. Na plaży nie było wielu ludzi, przeważnie entuzjaści sportów wodnych i joggingu. Po rzece pływały jachty i łodzie. Procter nie przepadał za pływaniem czymkolwiek, ale lubił patrzeć na wodę.

Za plecami usłyszał odgłos kroków. Deski pomostu nie skrzypiały tak, kiedy dwadzieścia minut temu Procter szedł po nich; teraz wydawały inny odgłos, a do tego dochodziły szybkie kroki kogoś, kto się spieszy. To musiał być Clarke.

- Piękny dzień - powiedział Clarke, stając obok Proctera. Jego głos brzmiał radośniej niż zwykle, nie słyhać w nim było stresu. Jak na Clarke'a, to było coś niespotykanego.

- Nie - odrzekł Procter. - Wcale nie piękny. Ariff przepadł.

Clarke'a zamurowało.

- Jak to?

- Ano tak, że wczoraj na ulicy w Bejrucie doszło do strzelaniny, i to w środku dnia. Uwierzysz? Zeznania świadków są sprzeczne, jak to zwykle bywa, ale główne fakty są bezsporne. Ariff wraz z Yamoutem i dwoma ochroniarzami jechali BMW. Przed nimi range rover z jeszcze dwoma goryłami. Wygląda na to, że wracali do położonego na wzgórzach domu Ariffa, gdy nagle utknęli w korku, a dwóch facetów w burkach zaatakowało ich. Pancerną szybę range rovera zbili, używając granatnika, po czym puścili do wnętrza serię niemal pięćdziesięciu pocisków. BMW Ariffa zostało zablokowane między range roverem a stojącym za nimi samochodem terenowym i Ariff z Yamoutem nie mogli wyjechać. Obydwaj ochroniarze znajdujący się w samochodzie Ariffa i dwóch w tym drugim zostało zabitych w trakcie wymiany ognia z napastnikami. Podziurawione ciało Yamouta znaleziono za kierownicą, a Ariff zniknął.

- Jezu Chryste - Clarke stał się jeszcze bledszy niż zazwyczaj.

- Wszystko nie trwało nawet minuty. W BMW znaleziono odłamki granatu

oślepiająco-ogłuszającego. Napastników mogło być czterech. Oprócz burek mieli też kominiarki. Znalezione łuski pochodzą z pocisków kaliber 5 i 5,6 mm. Widziano, jak ciągnięto jakiegoś mężczyznę, jego rysopis odpowiada wyglądowi Ariffa.

Clarke potrząsnął głową.

- Nie możemy być pewni, czy Ariff nie...

- To nie wszystko - ciągnął Procter, odwracając się do Clarke'a. - Wkrótce po porwaniu Ariffa zaatakowana została jego willa. Zginęło jeszcze kilku ochroniarzy. Żona i syn Yamouta zostali zabici, a żona Ariffa oraz jego trzy córki - porwane. Opiekunka dziewczynek schowała się w garderobie i wszystko słyszała. Od tamtej pory o Ariffie i jego rodzinie wszelki śluch zaginął.

- Jezu - powtórzył Clarke.

- W jaki sposób Kazakow tak szybko namierzył Ariffa? Po prostu nie rozumiem, w jaki sposób udało mu się go znaleźć w przeciągu kilku tygodni. Przecież nawet CIA nie wiedziała, gdzie się ukrywa. Całe miesiące zajęło nam ustalenie, że Callo jest mocno powiązany z jego siatką, a następnie musieliśmy schwytać i przesłuchać tego fiuta, aby dowiedzieć się, gdzie jest Ariff. A nawet wtedy musieliśmy zabić jeszcze kilka osób, by dowiedzieć się, gdzie dokładnie w Bejrucie mieszka Ariff. Tymczasem Kazakowowi udaje się uzyskać te same informacje w ułamku sekundy - westchnął. - Widać on to co innego.

- Mimo wszystko nie mogę w to uwierzyć - zaczął podenerwowany Clarke. - Jednak to my częściowo zastawiliśmy tę pułapkę, mając świadomość, że Kazakow i Ariff wiedzą wystarczająco o sobie nawzajem, aby się zniszczyć.

- Zniszczyć swoje siatki - poprawił go Procter. - Nie widzę powodu, dla którego Kazakow miałby wiedzieć, gdzie aktualnie przebywa Ariff, który nigdy nie pozostaje w jednym miejscu zbyt długo. Przecięły się drogi ich interesów, ale oni sami nigdy się nie spotkali. Kazakow nie miał pojęcia, gdzie mieszka Ariff. Musiał się dowiedzieć. I poszło mu to ot tak - Procter strzelił palcami.

- A więc bardzo nie docenialiśmy zarówno Kazakowa, jak i jego ludzi - stwierdził Clarke, pocierając skroń.

- Siatka Kazakowa ma lepsze informacje, niż kiedykolwiek przypuszczałem. A może on jest diabłem.

- Jest tylko człowiekiem.

- Chcesz powiedzieć: potworem - poprawił go Procter.

- Teraz Ariff nie żyje albo modli się o śmierć. Nawet nie śmiem przypuszczać, co stało się z jego żoną i dziećmi. To znaczy, jeżeli...

- To nie nasza wina - przerwał mu Clarke, stukając palcem w pierś Proctera. - Prowadząc takie a nie inne życie, Ariff naraził rodzinę na niebezpieczeństwo. Sprzedając każdą sztukę broni, na nowo podpisywał swój wyrok śmierci. To on zgotował swoim bliskim taki los, nie my.

- Wiem. Jak zawsze masz rację - Procter westchnął, pokiwał głową i przyłożył sobie rękę do czoła. - Jednak nasza wojna dobiegła końca dobiegła po tym, jak się zaczęła. Cała nasza praca i staranne planowanie, aby Kazakow nabrał pewności, że Ariff chce zniszczyć jego imperium, poszły na marne. Kazakow jest silniejszy, niż kiedykolwiek sądziliśmy.

Clarke obejrzał się.

- Nie wiemy, ile szkód wyrządził Ariff interesom Kazakowa. A mogą być znaczne. I pamiętaj, że Ariff zaginął a Yamout nie żyje. A ich siatka nie ma przywódcy i panuje w niej chaos. Tym samym handel bronią małego kalibru upada.

- Dopóki nie pojawią się inni pośrednicy.

Clarke przytaknął.

- Jednak jeżeli udało się nam zastopować napływ broni do tych krajów na kilka miesięcy, to być może ocaliliśmy życie dziesiątków Amerykanów. Zresztą nie tylko Amerykanów. I nie zapominaj, że teraz broni nie dostaną również szwadrony śmierci oraz terroryści rozsiani po całym świecie. W ten sposób ocalimy więcej istnień ludzkich.

Procter westchnął i jęknął równocześnie.

- Ale taka sytuacja powinna trwać długo, całe miesiące, a może nawet lata. Ariff i Kazakow powinni się pozabijać, żeby na ziemi nie pozostał po nich nawet najmniejszy ślad. Powinniśmy ocalić tysiące tysięcy ludzi, a nie tylko kilkudziesięciu.

- Zawsze istniała ewentualność, że to może się skończyć wcześniej, niż byśmy chcieli, nawet jeśli nie przypuszczaliśmy, że aż tak szybko. Nigdy żaden plan nie jest perfekcyjny. Ciesz się, że nie wyszło na jaw, iż maczaliśmy w tym palce. I tak zrobiliśmy nieco dobrego.

Procter obruszył się:

- Mówisz tak, jakbyś chciał bardziej przekonać siebie niż mnie.

Clarke popatrzył na Proctera.

- Ronaldzie, nie możemy zmienić świata, ale możemy sprawić, aby stał się odrobinę znośniejszy.

Procter potrząsnął głową i wsadził ręce do kieszeni spodni.

- Będę musiał posłać Tesseracta, aby zlikwidował Kazakowa. Ten Ukrainiec może nagle zdać sobie sprawę, że teraz, gdy Ariff już został wyeliminowany z handlu bronią małego kalibru, może po prostu przejąć jego kontakty. Nie możemy do tego dopuścić. Nie po



to zabijam jednego handlarza bronią, aby wzmocnić innego. Jednak pojawił się jeszcze jeden problem. Chyba pamiętasz tych czterech mężczyzn, których Tesseract zabił w Mińsku. Otóż Tesseract starał się czegoś na ich temat dowiedzieć i udało mu się. Znalazł sporo informacji, ale nie wszystkie. Firma Lancet Incorporated. Pogrzebałem nieco i dowiedziałem się, że ta mieszcząca się w Szwajcarii firma zajmuje się przesyłką towarów, którymi handluje się „pod stołem” Lancet przetrzuca różny towar ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych przez Atlantyk, jak na przykład najnowsze kamery szpiegowskie, czy rakiety hellfire.

- Ale dla kogo? - spytał Clarke coraz bardziej zdumiony.

- Dla takich, którzy świętują w sobotę.

- Dla Izraelczyków?

Procter kiwnął głową.

- To znaczy, że ci obserwatorzy w Mińsku musieli być... - zaczął Clarke.

- Musieli i byli. I bynajmniej nie było ich czterech, tylko pięciu. Tesseract natknął się na czterech, ale tak naprawdę operację Mossadu polegającą na śledzeniu Yamouta prowadziło pięciu agentów. Im chodziło o śledzenie poczynań siatki Ariffa. Proste, ale bardzo sprytne. Dowiadują się, komu Ariff i Yamout dostarczali broń i jeśli są to wrogowie Izraela, to krótką wizytę składa im kilku ludzi z Kidonu.

- Od jak dawna to trwa? - spytał Clarke, przelękając ślinę.

- Od dawna, od dziesięciu lat albo i dłużej.

Clarke przymknął oczy i stał, potrząsając głową i szczypiąc się w czubek nosa.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Zajęło mi to niecałą minutę. Na szczęście Mossad nie wie wielu rzeczy na temat tego, co działo się w Mińsku, gdy zginęli jego ludzie.

- Chyba teraz usłyszysz jakieś ale...

- Ale - ciągnął Procter, uśmiechając się - teraz szukają tego, który zabił ich ludzi.

Clarke natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- A więc szukają jednego człowieka, a nie kilku?

- Jednego - przytaknął Procter.

- Jeżeli wiedzą, że był tylko jeden, to musieli namierzyć Tesseracta. Będą chcieli wiedzieć, kto go wysłał, a on widział cię, a może i zna nawet twoje nazwisko. Jeśli nie wie, że jesteś z CIA, to jest na tyle inteligentny, aby się domyślić.

Procter potakiwał mu, kiwając głową.

- Jednak Europa jest duża, a ty zawsze powtarzasz, że Tesseract jest wyjątkowy. Nie znajdą go, co? Dlaczego nic nie mówisz, Rolandzie? - zaniepokoił się Clarke, gdy Procter mu

nie odpowiadał.

Procter popatrzył na Clarke'a i powiedział, wzdychając:

- Musisz coś zobaczyć.

Po czym wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął przeszukiwać menu, następnie podał telefon Clarke'owi.

Na ekranie telefonu widniało zdjęcie przedstawiające elegancko urządzony pokój z białym dywanem, białymi ścianami, a pośrodku stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, wyższy i potężniej zbudowany, był odwrócony tyłem do kamery, ale drugi stał do niej twarzą. Ten mężczyzna miał na sobie garnitur, był wysoki, a jego twarz, na którą padało światło, była doskonale widoczna.

- O kurwa, toż to Tesseract - powiedział Clarke.

Procter skinał głową.

- Zobacz dalej, to nie koniec zdjęć. Choć już to jedno wystarczy, ujawnia wszystko. Jest też nagrany głos, mówi po rosyjsku, niezbyt dobrze, ale to jego głos.

- Jak do cholery to zdobyłeś?

- Mossad przysłał je nam. Zresztą jak wszystko, co ma na temat tej akcji w Mińsku.

Clarke patrzył długo na Proctera w milczeniu, aż wreszcie powiedział:

- Poprosili CIA o pomoc w znalezieniu tego człowieka.

- I ją dostali - oświadczył Procter. - Zdjęcia satelitarne, system rozpoznawania twarzy, wszystkie materiały, jakimi dysponuje wywiad. Dyrektor chce zademonstrować nasze zaangażowanie w pomoc jednemu z naszych najlepszych sojuszników.

- Rolandzie, to źle wygląda. Naprawdę źle. Czy ty też będziesz w to zaangażowany?

- Nad wszystkim czuwa Chambers - odparł Procter, kręcąc głową. - Będziemy im pomagać przez tydzień, czy coś koło tego. Będę informowany na bieżąco, ale nie będę miał na to żadnego wpływu.

Clarke wyglądał na bardzo przestraszonego. Procter jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie.

- Co zrobimy?

- Tak jak ustaliliśmy: pošlemy Tesseracta, aby zabił Kazakowa, a potem ma zniknąć.

- Albo? - spytał Clarke, unosząc brwi.

- Nawet o tym nie myśl, Peterze. To nie wina Tesseracta, że Mossad śledził Yamouta. Tesseract nie mógł tego przewidzieć. Cholera, myśmy też to przegapili. Ja go w to wpakowałem i nie zamierzam się od niego odwracać tylko dlatego, że sytuacja się trochę komplikuje.

- Trochę komplikuje? Rolandzie, ty chyba żartujesz. Zrobiło się gorąco jak w piekle. Wiedzą, jak on wygląda i jak brzmi jego głos. Wiedzą, gdzie i kiedy przebywał. Czy uważasz, że to nie wystarczy, aby go wyśledzić? Przecież mówimy tu o Mossadzie. Oni nie przestrzegają żadnych zasad. Zrobią wszystko, aby go znaleźć. Wyślą oddział Kidonu, a już oni go znajdą. Dobrze o tym wiesz. I wyciągną z niego wszystko. Najpierw dowiedzą się o tobie, a potem o mnie. Czy sądzisz, że oszczędzą nas, bo jesteśmy sojusznikami? - Clarke potrząsnął głową. - Koniec. Każ mu zabić Kazakowa, a potem kończymy z nim.

Procter milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu powiedział:

- On może pozostać w ukryciu. Ta sprawa w końcu przyschnie. Zawsze tak jest. Kiedy po miesiącu badań nie będą mogli nic znaleźć, to zrezygnują. Izraelczycy sami nie dadzą rady go znaleźć. Wierzę w umiejętności Tesseracta.

- Ty go raz znalazłeś, pamiętasz? - przypomniał mu Clarke.

- Tak, ale to było w całkiem innych okolicznościach - odparł Procter cichym głosem. - Wtedy on działał sam, a dziś możemy mu pomóc.

- Chcesz zaryzykować?

Procter nie odpowiedział. Usłyszał śmiech i spojrzał na plażę, gdzie jakaś mała dziewczynka pod opieką ojca bawiła się latawcem. Procter mimowolnie się uśmiechnął, a potem znowu spojrzał na Clarke'a.

- Jeżeli coś pójdzie źle z zabiciem Kazakowa albo Mossad będzie bardzo blisko odkrycia prawdy, wówczas uruchomię plan awaryjny. Jesteś zadowolony?

Tym razem Clarke milczał.

## ROZDZIAŁ 45

LOTNISKO HEATHROW, WIELKA BRYTANIA  
CZWARTEK 08:46 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Lot z lotniska Dullesa był długi. Przez pierwsze cztery godziny Clarke pracował - czytał raporty, układał własne, podpisywał dokumenty - a potem spał. Obudził go łagodny głos stewardessy informujący, że zbliżają się do Heathrow i że trzeba zapiąć pasy. Niebo było błękitne i niemal czyste - wbrew stereotypom.

Zaraz po wylądowaniu Clarke włączył telefon i sprawdził SMS-y oraz e-maile. W sumie było ich kilkadziesiąt, czyli przeciętna liczba, ale uwagę Clarke'a zwrócił tylko jeden mówiący, że tutaj, po drugiej stronie Atlantyku, nie będzie marnował czasu. To dobrze, bo Clarke nie lubił Anglików, czy Brytyjczyków, czy jak ich nazywano w tym kraju. Szkoci nie byliby tacy źli, gdyby tylko można było ich zrozumieć, a żadnego Walijszyka jeszcze nie spotkał, ale na innych obywateli Zjednoczonego Królestwa Clarke nie miał zamiaru marnować ani chwili.

Oficjalny harmonogram jego wizyty zawierał takie wydarzenia jak wizyta w Ministerstwie Obrony oraz w kwaterach głównych SIS<sup>1</sup> i GCHQ<sup>2</sup>.

Był przedstawicielem Pentagonu, przyjechał tu na własne żądanie, a jeśli ktoś chciałby przyjrzeć się temu wnikliwiej, wywnioskowałby, że tak naprawdę Clarke nigdy nie musiał jeździć do Wielkiej Brytanii. Informacjami wywiadowczymi można się dzielić w inny sposób i wcale nie trzeba było przypieczętowywać wszystkiego przyjacielskim uśmiechem. Jednak mimo że Clarke nie przepadał za Brytyjczykami, szanował ich lojalność wobec sojuszników. Nigdy nie trzeba było zachęcać ich do współpracy. A poza tym przecież przez długi czas Stany Zjednoczone i Wielka Brytania walczyły ramię w ramię przeciwko reszcie świata.

Na Heathrow panował ruch, co zresztą było do przewidzenia. Clarke przeszedł przez terminal, nie spiesząc się. Miał tylko teczkę, żadnej walizki, bo za osiem godzin chciał wracać do Waszyngtonu, a w Anglii spędzić co najwyżej jedną noc.

---

<sup>1</sup> SIS - Secret Intelligence Service, wywiad wojskowy w Wielkiej Brytanii.

<sup>2</sup> GCHQ - Government Communications Headquarters (dosłownie Centrala Łączności Rządowej) - brytyjska agencja wywiadowcza, zajmująca się zbieraniem i oceną informacji pochodzących z rozpoznania radiotechnicznego i radioelektronicznego. Jej oryginalna nazwa to Rządowa Szkoła Kodów i Szyfrów

Clarke przechodził obok sklepu z napojami, słodyczami, gazetami oraz książkami i zatrzymał się na chwilę, by obejrzyć okładki bestsellerów. Wśród książek w twardych okładkach najczęściej było biografii angielskich celebrytów, z których większość wyglądała zbyt młodo, aby mieć za sobą jakieś ciekawe przeżycia. Clarke zainteresował się książkami w miękkich obwolutach; przeważnie były to powieści. Uwielbiał czytać, ale rzadko miał czas na całą powieść. Wolał książki historyczne i poruszające tematykę polityczną. Spozrzegł kilka tytułów, które widział także w Stanach, i wybrał jeden, w miękkiej okładce, ale ładnie zaprojektowanej - takie lubił. Zauważył, że w Wielkiej Brytanii okładki powieści są o wiele ciekawsze pod względem graficznym niż w Stanach Zjednoczonych. Szybko przekartkował książkę; było tam coś o terrorystach i końcu świata.

- Słyszałam, że jest bardzo dobra - powiedziała kobieta, stojąca po prawej stronie Clarke'a.

- Zgaduję w ciemno, że dobrzy faceci dali radę zatrzymać w końcu terrorystów - odparł Clarke, nie patrząc na nią.

- Nie w twoim stylu? - spytała kobieta.

Clarke pokręcił głową i odłożył książkę na półkę.

- Przedkładam fakty nad fikcję.

Odwrócił się i spojrzał na swoją rozmówczynię, która pochyliła nieco głowę w geście aprobaty. Mogła mieć czterdzieści parę lat, była drobnej budowy i raczej niewysoka, elegancko ubrana, o małych, inteligentnych i zimnych oczach. Emanowała z niej jakaś wewnętrzna siła. Wzięła z półki inną książkę i podała ją Clarke'owi.

- Może ta bardziej przypadnie ci do gustu, Peterze.

- Dzięki, zobaczę - powiedział Clarke, nie patrząc na książkę.

Kobiecie wyraźnie sprawiło to przyjemność.

- Myślę, że nawet nie zgadłbyś, jakie jest zakończenie.

Clarke przez chwilę czytał tekst na tylnej okładce, po czym szybko przerzucił kartki powieści. Wreszcie powiedział:

- Nie jestem pewien, czy nasze spotkanie to dobry pomysł, Julio.

- Doskonałe miejsce na rozmowę - odparła Julia Jelczina. - To najruchliwszy port świata. Rozejrzyj się. Czy wiesz, ilu ludzi przechodzi tędy codziennie? Czytałam, że niemal dwieście tysięcy. Jesteśmy niewidoczni.

- O ile brytyjski wywiad nie wie o twojej obecności tutaj.

- To niemożliwe. Poza Rosją nikt nawet nie wie, że istnieje ktoś taki jak ja, a już tym bardziej, gdzie pracuję. Julia Jelczina jest zwyczajną, odnoszącą sukcesy bizneswoman, która przyjechała do Londynu spotkać się ze swoimi klientami. Poza tym jestem bardzo ostrożna. Przedsięwzięłam wiele środków zapobiegawczych - mówiąc to, wykonała płynny ruch ręką. - Jestem niczym duch przemyskający się wśród żywych.

Clarke przeglądał książkę, ale bez zainteresowania.

- Co się stało, do diabła?

- Co masz na myśli, Peterze? - spytała Jelczina opanowanym głosem, w którym jednak kryła się irytacja.

- Daj spokój z tymi gierkami - prychnął Clarke. - Nie wychodzi ci udawanie idiotki.

- Przeczucie mówi mi, że chodzi ci o atak na Baraa Ariffa.

- Jasne, że tak. Czy myślisz, że przeleciałem przez pół świata po to, żeby rozmawiać o czymś innym?

Jelczina potrząsnęła głową i nic nie powiedziała.

- Julio, czekam na odpowiedź.

- Jaką?

- Na wyjaśnienie.

- A co, Peterze, chciałbyś usłyszeć?

- Julio, przecież zawarliśmy umowę. U-MO-WEĘ. Uzgodniliśmy i to na długo przed tym, zanim powiedziałem ci, gdzie można go znaleźć, że bez mojej zgody nie wystąpisz przeciwko niemu. Umówiliśmy się, że ta wojna będzie trwać miesiące, a nie kilka tygodni.

Jelczina uniosła swoje maleńkie ręce do góry.

- Peterze, musisz zrozumieć, w jakiej się znalazłam sytuacji. Nie miałam wyboru. W ciągu kilku ostatnich tygodni Ariff zabił kilku naszych ludzi. Ważnych ludzi. Zniszczył też nasze cztery ważne przesyłki warte w sumie pół miliarda dolarów.

- I co? Przecież liczyliśmy się z takimi atakami. Były nie do uniknięcia. Setki razy rozmawialiśmy o tym, że Ariff może uciec się do takich metod, więc nie udawaj teraz, że było to dla ciebie zaskoczeniem.

- Liczyłam, że będą to niewielkie ataki, a takimi nie były. Nasza organizacja poniosła olbrzymie straty. Nie przewidywaliśmy, że Ariff jest zdolny do zadania nam takich ciosów. Jeszcze dwa miesiące, a imperium Kazakowa ległoby w gruzach.

- Pomógłbym je odbudować, wiesz o tym - powiedział Clarke, wzdychając.

- To Kazakow naciskał, aby zabrać się za Ariffa - odparła, również wzdychając Jelczina. - Wprost pałał chęcią zemsty na Ariffie i to nawet zanim jeszcze zaczęły się te ataki

na nas. A ponieważ w jego organizacji to ja zajmuję się wywiadem, toteż cała jego wściekłość skupiła się na mnie, że go zawiodłam. Jeśli nie rzuciłabym mu na pożarcie Ariffa, to już bym nie żyła.

- Nie dramatyzuj zbytnio, Julio.

- Mój drogi, nie znasz Kazakowa tak, jak ja. Od wielu lat stoję u jego boku i już kiedyś doświadczyłam jego gniewu. Nigdy w życiu nie spotkałam człowieka, który byłby tak mściwy i któremu chęć zemsty tak bardzo odbierałaby rozum. Jednak niczego nie można porównać z tym, jaki Kazakow jest teraz - mówiła Jelczina, ścisząc głos. - Musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że nie chciałbyś, abym ci opowiedziała, do jakich brutalnych metod potrafi się uciekać.

- Wobec tego zatrzymaj te informacje dla siebie - powiedział Clarke, odwracając wzrok.

- Strasznie żałuję, że musiałam brać w tym udział, ale podjęłam tę decyzję w bardzo trudnych okolicznościach. Czy chęć życia to tchórzostwo? Jeżeli tak, to jestem tchórzem. A poza tym jeśli umrę, to twoje plany wezmą w łeb, a tak możemy je zrealizować.

- Julio, zrozum, że znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji. Osoba, którą wtajemniczyłem w te nasze plany nie podziela naszego punktu widzenia i nasze cele ją nie interesują. To właśnie ten człowiek chciał, aby ta wojna trwała dłuższy czas. Powinnaś mi była powiedzieć, że tak szybko zabierzecie się za Ariffa. Powinnaś była mnie uprzedzić.

- Życie płynie jak rzeka, a my musimy dostosowywać się do jego zmiennego nurtu.

- Jednak ja nie lubię, kiedy te zmiany dotyczą bardzo szczegółowo opracowanego planu. Mój wspólnik jest inteligentny i jeśli zacznie podejrzewać, co robię...

Jelczina podeszła bliżej do Clarke'a i delikatnie położyła dłoń na jego piersi.

- Peterze, jesteś pomysłowym i inteligentnym człowiekiem, może nawet najbystrzejszym, jakiego w życiu spotkałam. Uspokoisz swojego wspólnika.

- Komu zleciście tę sprawę z Ariffem? - zapytał Clarke, ale już zupełnie innym tonem, w którym nie pobrzmiwały nuty gniewu.

- Pewnej amerykańskiej ekipie. Są bardzo kosztowni, ale mają bardzo dobre rekomendacje, a ich dossier robi wrażenie. I dlatego jestem przekonana, że wszystko poszło gładko.

- Nie ma niebezpieczeństwa, że Kazakow odkryje, że RDX nie pochodził z jego transportu, który okradziono w Istambule?

- Mowy nie ma. Co prawda Władimir mnie nie lubi, ale ma absolutne zaufanie do moich zdolności, a ja mu powiedziałam, że analiza wykazała, że w bombie, która zabiła

Farkasa, znajdował się ten sam materiał wybuchowy, co w przesyłce Kazakowa w Istambule. Uwierzył od razu. Jestem szefem jego wywiadu i ochrony. W całej organizacji Kazakowa nikt oprócz mnie nie ma dojść do niemieckiej policji, a Kazakow nie ma powodu głębiej badać tej sprawy.

- No, dobrze. Jak tylko nadarzy się sposobność, mój wspólnik wyśle zabójcę, aby zabił Kazakowa, więc szykuj się do przejęcia władzy.

Jelczina kiwnęła głową.

- Tak jak już mówiłam, siatka Kazakowa poniosła bardzo duże straty, a morale wśród ludzi jeszcze nigdy nie było tak niskie. Wiedzą, że tracą pieniądze i że będą je tracić oraz boją się o życie, bo przeraża ich to pałanie żądzą zemsty przez Kazakowa. Nie chcą go już i to samo dotyczy Burliuka. Są gotowi na nowe przywództwo i nie będą mieli nic przeciwko temu, aby to była kobieta. Po śmierci Kazakowa będę miała wystarczające poparcie, aby przeciwstawić się wyborowi Burliuka na szefa organizacji.

- Ten nowy przywódca niech lepiej nie zapomni, kto mu pomógł wspiąć się na szczyt.

- Peterze, nigdy tego nie zapomnę, doprawdy powinieneś bardziej ufać przyjacielom. Będę twoją laleczką bawiącą się bronią i będę zawierać transakcje tylko z tymi handlarzami, których ty zaaprobujesz. Teraz, gdy Ariff nie będzie już przeszkadzać, zaanektuję jego biznes, dołączę do mojego, i w ten sposób będę kontrolować cały handel bronią na świecie. I wówczas wrogowie Stanów Zjednoczonych zobaczą, że źródła ich dostaw wyschły. Peterze, to będzie wygrana nas obojga. We dwoje jesteśmy w stanie otworzyć nową kartę w historii świata.

Clarke odłożył książkę na półkę i zaczekał, aż Jelczina także wyjdzie ze sklepu. Julia wyszła, głośno żując batonik.

- Julio, potrzebuję najświeższych informacji o tym, co robi Kazakow i więcej pieniędzy.

- Jak tylko wrócę do Moskwy, przeleję kolejne kwoty na twoje konto. A jeśli chodzi o najświeższe wiadomości, to od dziś za tydzień Kazakow wraz z żoną jadą do swojej daczy na wybrzeżu Morza Czarnego. Jeżdżą tam kilka razy do roku, ale ostatnio w związku z sytuacją z Ariffem, Kazakow odłożył wyjazd. Jednak teraz, kiedy ten Egipcjanin już nie żyje, wszystko może iść według planu.

- Doskonale - stwierdził Clarke. - Kto będzie mu towarzyszyć?

- Ochrona, to jasne. Poza tym będzie tylko jego żona Izolda.

- Dobrze. Doskonale.

Jelczina spojrzała na zegarek.



- No, dobrze, Peterze. Muszę iść.

Jednak Clarke rozejrzał się i powiedział:

- Jest jeszcze coś, co chcę, żebyś zrobiła.

Jelczina uniosła brwi.

- Czy chodzi o jedną z tych zmian w precyzyjnym planie, którą nie jesteś zachwycony?

Clarke zatrzymał się, wyjął z neseseru cienką tekturową teczkę i podał ją Jelczynie.

Ona jednak otworzyła ją dopiero, gdy dojadła batonika. Przez minutę oglądała jej zawartość.

- I kim on może być?

- Problemem.

- Chcesz, żebym się go pozbyła?

Clarke kiwnął głową.

- Niby jak mam to wszystko zrobić?

- Wykorzystaj do tego swoich nowych amerykańskich przyjaciół - odpowiedział Clarke po chwili namysłu. - Jeżeli są tak dobrzy, jak mówisz, nie będzie to dla nich zbyt trudne.

- A jaką rolę odgrywa ten człowiek w naszych planach?

- Bez niego nie udałoby się nam dojść do etapu, na którym jesteśmy. Był bardzo użyteczny dla nas wszystkich, ale to się skończyło i jeśli żyje, jest świadkiem wszystkiego, co osiągnęliśmy.

- No to zajmij się nim sam. Peterze, przecież jesteśmy przyjaciółmi, tymczasem to mi wygląda na obarczanie mnie sprzątniem twoich śmieci.

- Ja nie mogę być z tym powiązany - odparł Clarke. - Po prostu nie mogę tego zrobić i dlatego proszę cię o pomoc. Pamiętaj, że on stanowi zagrożenie także dla ciebie. I nie zapominaj, jak wyrozumiałem w sprawie zmian, jakie zostały wprowadzone do naszej umowy. Pozbycie się tego człowieka to cena, jaką wyznaczam za okazane zrozumienie.

Jelczina westchnęła, ale kiwnęła głową.

- Twardy z ciebie negocjator, Peterze, ale dobrze. Masz moją zgodę. Jak chcesz, aby to się odbyło?

- Prosto. Dobrze? Kiedy tylko zginie Kazakow, niech ci Amerykanie sprzątną zabójcę.

## ROZDZIAŁ 46

WINNFIELD, LUIZJANA, STANY ZJEDNOCZONE  
SOBOTA 12:25 CZASU ŚRODKOWEGO

Amerikanin był średniego wzrostu, przeciętnej wagi, śniady, miał czterdzieści lat, brązowe włosy i oczy. Był ubrany w dżinsy i biały T-shirt, na nogach miał adidas, na głowie czapkę z daszkiem, na rękę zegarek Casio G-Shock. Nosił też okulary przeciwsłoneczne. Co prawda golił się rano, ale jego ciemny zarost znowu był widoczny, zresztą muskularne ręce także miał owłosione. Nieco wyblakły już tatuaż na jego lewym przedramieniu, częściowo schowany pod rękawem koszulki, przedstawiał dwie skrzyżowane strzały, a pomiędzy nimi rękojeść sztyletu. Pod tym rysunkiem był napis: *De Oppresso Liber*<sup>3</sup>.

Mężczyzna znajdował się w ogrodzie na swoim ranchu w Winnfield. Przyrządził sobie na grillu stek i słuchał nadawanych przez radio piosenek Johnny'ego Casha. Słońce paliło niemiłosiernie i pod pachami na koszulce mężczyzny widać było plamy potu. W kuchni przyrządził sobie drinka: do szklanki z kostkami lodu wlał nieco Kool-Aid i trochę Jacka Danielsa. Wypił łyk i stwierdziwszy, że już niczego nie należy dodawać, wrócił do ogrodu ze szklanką w ręku.

Nagle odezwał się telefon komórkowy, sygnalizując, że przysłała jakaś wiadomość. Mężczyzna wyjął telefon i otworzył skrzynkę. Przeczytał wiadomość raz, a potem drugi.

Poszedł do domu, włączył komputer i sprawdził stan swojego konta w jednym z zagranicznych banków. Ucieszył się, widząc, że dopiero co wpłynęła na nie bardzo duża suma pieniędzy. Amerykanin wpisał inny adres, a potem kod. Począł parę chwil i wreszcie pojawiła się informacja. Mężczyzna był zadowolony, bo przesyłka nadeszła pod właściwy adres i we właściwym czasie. Następnie przez Internet zarezerwował sobie bilet lotniczy.

Kiedy wrócił do ogrodu, okazało się, że mięso zbyt długo leżało na ogniu; lubił krwiste steki, ale zjadł i taki. Nie chciał niczego marnować.

Walizka już od ponad tygodnia czekała spakowana. Mężczyzna wziął dwie sportowe torby i cisnął je na przednie siedzenie swojego dodge'a. Następnie wsiadł i ze schowka wyjął

---

<sup>3</sup> De Oppresso Liber - łac. „Uwolnić uciskanych”, motto jednostek specjalnych sił lądowych Stanów Zjednoczonych.

nieużywany jeszcze, ale naładowany telefon komórkowy. Napisał wiadomość i wysłał ją pod dwa numery.

## ROZDZIAŁ 47

LUBLANA, SŁOWENIA

19:25 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Przed oczyma Wiktora rozpościerała się panorama stolicy Słowenii - daleko, aż po ośnieżone szczyty Alp Słoweńskich. Był w Słowenii od trzech dni, w samej Lublanie - od dwóch. Teraz popijał oranżadę i patrzył przez okno pokoju hotelowego na miasto, które na tle wiszących nad nim chmur, wydawało się szare.

- Musimy pogadać - usłyszał głos ze Stanów Zjednoczonych, który zabrzmiał zupełnie tak, jakby ojciec mówił do syna.

Wiktor siedział przy małym biureczku, na którym stał laptop. Na ekranie wyświetlone były parametry telefonii internetowej oraz ostatnio przysłane dossier dotyczące najnowszego kontraktu.

- Jest pewien poważny problem i musisz o nim wiedzieć. To dotyczy tej firmy Lancet - mówił głos po drugiej stronie łącza.

- Rozumiem, że problem tkwi w tym, że ci faceci w Mińsku w apartamencie obok byli z Mossadu.

- Jak udało ci się...?

- Zadałem sobie pytanie: kto miałby powód, środki i odwagę, by śledzić Gabira Yamouta, i komu Stany Zjednoczone sprzedająby sprzęt najnowszej generacji, którego handel jest ściśle monitorowany. Nasuwa się tylko jedna odpowiedź.

- Przypuszczam, że rozumiesz powagę tej sytuacji.

- Oczywiście - odparł Wiktor. - A twój głos brzmi bardzo poważnie.

- Nie czas na żarty.

- Nagranie, jakim dysponują Izraelczycy, jest bardzo dobrej jakości. Wiedzą, jak wyglądasz, bo mają film, na którym widać jak wchodzisz do apartamentu wynajętego przez Petrenkę, żeby się rozejrzeć. Muszę przyznać, że bardzo mnie zdziwiło twoje zachowanie. Myślałem, że jesteś ostrożniejszy. Ci Izraelczycy wszędzie zamontowali kamery. Sfilmowali cię z przodu, z boku, z tyłu. Widziałem te zdjęcia. Widać na nich wszystko jak na dłoni.

Wiktor pokiwał głową. Przypuszczał, że obraz z ukrytych kamer był przekazywany

gdzieś dalej, ale teraz fakt, że miał rację, nie stanowił dużego pocieszenia. Jego wrogowie wiedzieli, jak wygląda jego twarz, znali brzmienie jego głosu - chociaż mówił wtedy tylko po rosyjsku - i będą mogli obliczyć jego wzrost i wagę. W sumie Mossad będzie w stanie przygotować jego rysopis. Dla Wiktora zawsze najlepszą bronią stanowiła anonimowość, bez niej czuł się bezbronny.

- Biorąc pod uwagę bardzo ograniczony czas, jaki miałem na przygotowanie tego ataku, przeprowadzenie takiego rekonesansu na miejscu było absolutnie konieczne - powiedział.

Jego zleceniodawca zignorował tę uwagę.

- Mossad poprosił CIA o pomoc w poszukiwaniu ciebie.

- To dlatego dzwonisz.

- Przykro mi to mówić, ale otrzymają wszystko, co tylko CIA może im zaoferować: wszelkie informacje naszego wywiadu na twój temat, jak również pomoc ekspertów, którzy właściwie zostali wypożyczeni Izraelowi.

- To znaczy, że bardzo chcą mnie dostać.

- A no tak, chłopie. Chcą. Mossad to z całą pewnością najbardziej mściwa organizacja wywiadowcza na całej kuli ziemskiej, a na dodatek szef jej komórki operacyjnej szczególnie interesuje się tą sprawą. To starszy facet i ataki na swoich ludzi traktuje bardzo osobiście. Cały Mossad to jedna wielka rodzina. Czy uwierzysz, że nazywają go „ojcem”?

Wiktor nie odpowiedział.

- Rozumiem, że nie miałeś wyjścia i musiałeś zabić tamtych ludzi. Zresztą teraz to nieważne, natomiast ważne jest, że teraz musimy być niezwykle ostrożni.

- Chcesz, żebym zniknął?

- Nie, nie, absolutnie nie możesz tego zrobić - szybko powiedział tamten. - Muszę cię mieć pod ręką, bo mam dla ciebie inną robotę. Zaraz o niej powiem. Teraz musimy pracować razem i być pewni, że Izraelczycy cię nie namierzą. Rozumiesz? Przecież żaden z nas tego nie chce. Zrobię wszystko, aby ci pomóc, ale będzie się to ograniczać wyłącznie do dostarczania ci najświeższych informacji wywiadu na temat tej całej sprawy. Muszę pozostawać w cieniu i trzymać się od tej sprawy z daleka, jeśli wzbudzę jakieś podejrzenia, to łatwiej dotrą do nas obydwu. Tak więc troszcz się o siebie sam.

Wiktor nie spodziewał się niczego więcej; przywykł działać sam, jak również do tego, że ścigali go wrogowie. Teraz przynajmniej został o tym uprzedzony i wiedział, kto go szuka. Jeśli zaś jego zleceniodawca dotrzyma słowa i będzie go informować o wszystkim na bieżąco, to łatwiej będzie uciec Izraelczykom.

- Już wysłali zespół z Kidonu - odezwał się znowu tamten - i teraz szukają twoich śladów w Mińsku. Chyba nie muszę ci mówić, co to takiego Kidon, co?

- To jednostka specjalizująca się w porwaniach i zabójstwach. Cieszy się dużą niezależnością od Mossadu, przeprowadza własne rozpoznania. W skład każdej jednostki Kidonu wchodzi do dwunastu osób, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Zazwyczaj cztery mają wykonać główną robotę, czyli zabić, natomiast pozostałych osiem przeprowadza rozpoznanie, zajmuje się zaopatrzeniem, wsparciem i „sprząta” po robocie.

- I są dobrzy - dorzucił rozmówca Wiktora - cholernie dobrzy.

- Doskonale zdają sobie sprawę z ich umiejętności.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz miał okazji się o nich osobiście przekonać.

- Kiedy jadę windą w hotelu, w którym się zatrzymałem, mam na oku wszystkich ubranych w stroje tenisowe.

- Dowcipne, ale nie zapominaj, że to Kidon sprawił, iż na Bliskim Wschodzie każdy, kto tylko coś przeszkrobał, cztery razy zagląda pod łóżko, zanim pójdzie spać.

- Nie zapominam.

- To dobrze. Minie kilka tygodni i sprawa przyschnie. Oprócz chęci CIA pomocy izraelskiemu kuzynowi, mamy jeszcze jedną pieczeń do upieczenia na tym ogniu. Gdy po jakimś czasie wycofamy się z tej akcji, Izraelczycy sami nie dadzą sobie rady. Mossad ani nie ma wystarczającej liczby ludzi, ani nie dysponuje technologią umożliwiającą namierzenie ciebie, o ile oczywiście nie zrobisz jakiejś głupoty - a ja wiem, że tak nie będzie. Toteż natychmiast do mnie zadzwoń, jeśli tylko coś wyda ci się podejrzane, a ja zobaczę, co się da zrobić. Nie wychylaj się, a zanim się obejrzysz, wszystko samo się uspokoi.

Wiktor nie był pewien, czy powinien w to wszystko wierzyć, ale wiedział, że pierwszy miesiąc rzeczywiście będzie najniebezpieczniejszy. Jeśli nie znajdą go w ciągu czterech tygodni, to potem będzie mógł nieco odpocząć - ale nigdy w pełni. Izraelczycy tak łatwo nie zapominają, a Wiktor będzie musiał się postarać, aby go nie zapamiętali.

Od czasu Mińska ani razu się nie golił i miał teraz krótką bródkę, dzięki której wyglądał nieco inaczej. Włosy obcinał, gdy był w Rumunii, a więc trzy tygodnie temu, i jeszcze nie odrosły. Mógłby je skrócić, ale im dłuższe, tym lepiej, bo pozwalają na zmianę fryzury. Będzie musiał kupić sobie kolorowe soczewki kontaktowe oraz okulary. Ostatnio się trochę opalił - to również będzie pomocne.

Żadne przebranie nie było na tyle dobre, by ukryć fakt, że jest białym Europejczykiem, ale znał inne sposoby, aby sobie z tym poradzić.

- Dobra - powiedział tamten. - Teraz wysyłam ci dossier.

Wiktor poczekał, aż poczta dojdzie, otworzył wiadomość i dołączoną do niej dokumentację. Otwierało się zdjęcie mężczyzny czterdziestokilkuletniego o słowiańskich rysach, kwadratowej twarzy, krótko przyciętych czarnych włosach.

Wiktor poznałby tę twarz, nawet gdyby nie widział znaku rozpoznawczego - uciętego ucha. To była twarz człowieka, którego oczy patrzyły na niego tak intensywnie w hotelu Grand Plaza w Bukareszcie, człowieka, który chciał mu kupić nowy garnitur i któremu Wiktor ocalił życie.

- Oczywiście pamiętasz go z Bukaresztu - usłyszał głos swojego zleceniodawcy. - Ten człowiek nazywa się Władimir Kazakow, jest Ukraińcem, handlarzem bronią. Jeśli rzeczywiście istnieje antychryst, to jest nim ten facet.

Wiktor często był zaskoczony swoimi zleceniami. Dziwiło go również to, że o wyborze celów decydowały zwykle osobiste lub zawodowe animozje. Ale jeszcze nigdy nie był tak bardzo zdumiony: miał teraz zabić człowieka, któremu miesiąc temu ocalił życie, powstrzymując jego niedoszłego zabójcę. Od czasu spotkania w Bukareszcie Kazakow nie zmienił się zbyt wiele, może nieco przytył, trochę posiwiał i cienie pod oczami trochę pociemniały.

- Jesteś tam? - spytał głos.

- Tak - odparł Wiktor.

Było to dla niego nowe doświadczenie - zabić jednego człowieka, aby ocalić drugiego - tylko po to, aby zabić go w następnej kolejności. To było dziwne, niezgodne z jego etyką zawodową. W Bukareszcie mógł przecież zaczekać, aż snajper zabije Kazakowa, a potem zabić snajpera. Wszystko odbyłoby się za jednym zamachem, prosto i łatwo. Czysta robota. A tak wyszły z tego dwa odrębne zlecenia i wszystko wyglądało idiotycznie.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego pięć tygodni temu kazaliśmy ci ocalić Kazakowa tylko po to, abyś teraz miał go zabić? - powiedział głos, jakby czytając w myślach Wiktora. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, kontynuował: - Rozumiem, ale okoliczności się zmieniły. To wszystko jest skomplikowane. Nie musisz tego wiedzieć, ale krótko mówiąc, wtedy Kazakow był nam potrzebny żywy, a teraz chcemy, aby był martwy. Wierzę, że nie stanowi to dla ciebie problemu.

Nie powinno, a jednak stanowiło. To było zlecenie jak wiele innych. Jednak Wiktor wiedział, że gdyby tylko chciał, byłby w stanie zapamiętać każde imię, nazwisko i twarz. Aktualna ofiara nie była bohaterem, którego śmierć zapisałaby się w pamięci Wiktora jako niemiłe wspomnienie. Władimir Kazakow umożliwił prowadzenie wojen i dokonywanie ludobójstwa, więc Wiktor nie powinien mieć żadnych skrupułów przed wypełnieniem

swojego zadania.

Wiktor przypomniał sobie bystry wzrok Kazakowa i zrozumiał, o co tu chodzi. W jakiś sposób czuł się z nim związany. Spojrzał mu prosto w oczy, a poza tym ocalił mu życie. Kazakow nie był już dla niego celem czy wrogiem, ale człowiekiem. To nie powinno mieć znaczenia, ale jednak miało.

- No i co, czy to stanowi dla ciebie problem? - zapytał głoś.

- Nie.

- To dobrze.

- Problem stanowi to, że zarówno Kazakow, jak i jego ochroniarze mnie widzieli. Przeszedłem tuż obok nich i zauważyli mnie. Wiedzieli, że ktoś strzelał, więc sprawdzali każdego. Gdybym wiedział, że Kazakow może stać się moim celem, to zadbałbym, aby nie widzieli mojej twarzy. Teraz nie będę mógł zaryzykować i podejść do niego blisko, bo mogę zostać rozpoznany. To ogranicza moje możliwości wyboru, co z kolei znacznie utrudnia całe zadanie.

- Ach, rozumiem, przepraszam - powiedział głoś.

- „Przepraszam” to za mało.

- Słuchaj no, chłopie, między nami nie panują partnerskie relacje, jestem twoim szefem. A ty moim podwładnym. I dlatego jeśli cię przepraszam, dla ciebie to powinien być, kurwa, zaszczyt.

- Już ci kiedyś powiedziałem, żebyś nie przeklinał przy mnie.

- Mój błąd, ale to ty się mylisz, jeśli sądzisz, że się przejmuję twoją niechęcią do brzydkich słów. Przeprosiłem cię za tę sytuację z Kazakowem, więc lepiej przyjmij te przeprosiny i zapomnijmy o tym. Masz teraz robotę i musisz się do niej przygotować, a ja w międzyczasie, wyślę ci wszystko, czego się dowiem o Kidonie i jego postępach w twoich poszukiwaniach.

- Oczywiście, bo jeśli mnie znajdą, to wezmą na małą prywatną pogawędkę. Obydwaj wiemy, jakie są skutki takich rozmów. Wyciągną ze mnie wszystko na twój temat, a choć zbyt dużo nie wiem, to wystarczy, aby naprowadzić ich na właściwy trop. A więc pomagaj jak tylko możesz, bo zaraz po mnie będziesz ty.

- O nie, z pewnością nie. Wszyscy jedziemy na jednym wózku.

- Wszyscy?

- Nie tylko my dwaj jesteśmy zamieszani w tę operację.

- O, to teraz już zrobiła się z tego cała operacja. A więc to nie są niemające nic ze sobą wspólnego zadania?



- Nigdy nie mówiłem, że nie są powiązane.

- Nie mówiłeś też, że były powiązane.

- Nie musiałeś wiedzieć.

- I tu się mylisz - poprawił go Wiktor. - Jak już ustaliliśmy, muszę wiedzieć wszystko.

Te informacje o Kazakowie niech lepiej będą kompletne, bo jeśli znowu napotkam tu jakieś niespodzianki, to nie będzie mi się to podobało.

- Nie bardzo toleruję groźby - powiedział tamten, ale już zmienionym głosem, o kilka tonów niższym.

- To nie jest żadna groźba, ale stwierdzenie faktu. Nie obchodzi mnie, co ty tolerujesz, a czego nie.

Przez kilka sekund słychać było ciężkie sapanie tamtego. Wiktor czekał na jego reakcję.

- Proponuję, żebyśmy obaj się uspokoili, dobra?

- Ja zawsze jestem spokojny - odparł Wiktor.

- Ja nie - wysapał tamten - ale jestem na tyle duży i brzydki, aby przyznać się do błędów. Powinienem był ci powiedzieć jeszcze przed Bukaresztem, że Kazakow też ma później zginąć.

- Jak dotąd zrealizowałem dla ciebie trzy kontrakty: w Bukareszcie, w Berlinie i w Mińsku. Każdy z nich dostałem w ostatniej chwili, musiałem pędzić, jakby się paliło, a informacje nigdy nie były kompletne. Teraz Mossad depta mi po piętach, a ty każesz mi zabić człowieka, który wie, jak wyglądam. I na dodatek oczekujesz, że zrobię dla ciebie jeszcze jedną robotę, dodatkową, wykraczającą poza ramy naszej umowy.

- Odmawiasz? Jak na faceta, który ma tylu wrogów, to chyba nie jest najmądrzejsze posunięcie.

- Nie odmawiam, ale mówię, że wraz ze śmiercią Kazakowa nasza umowa wygasa. Zlecenie na Kazakowa jest ostatnie.

Zapadło milczenie, aż w końcu tamten powiedział:

- Dobra. Po tym zleceniu jesteś wolny. Możesz sobie nawet sprzedawać kwiaty w Wiedniu na ulicy. Nic mnie to nie obchodzi. Jednak nie będziesz już mógł powrócić do swojego fachu i wynajmować się do różnych zleceń. Przyjmujesz zlecenia ode mnie i od nikogo więcej. Jeżeli złamiesz tę umowę, zrobię wszystko, abyś nie żył. Czy się rozumiemy?

- Chyba tak.

- To teraz wszystko gra?

- To zależy od jednego, końcowego warunku - odparł Wiktor. - Jeśli mam zabić

Kazakowa, to tak, jak uważam za stosowne.

- Możesz to sobie zrobić tak, jak chcesz. Dossier, które ci przysłałem, zawiera wszystko, co o nim wiemy. Przysięgam. Za tydzień wybiera się na urlop do swojej dachy nad Morzem Czarnym. Będą z nim ochroniarze, ale powinien być łatwiejszym celem, aniżeli w Moskwie. Będzie tam dwa tygodnie, więc chyba starczy ci czasu, także na przygotowania.

- Dobrze - stwierdził Wiktor, dopijając oranżadę.

- I tym razem nie będzie żadnych niespodzianek.

## ROZDZIAŁ 48

SOCZI, ROSJA

PONIEDZIAŁEK, TYDZIEŃ PÓŹNIEJ 07:52 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Z popielatego nieba siąpił drobny deszczyk. W lesie panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosu kropli spadających na liście. Wiktor klęczał na ziemi, woda kapiała mu na szyję, a nad głową rozpościerał się baldachim utkany z mgły.

Znajdował się na wystającym ze wzgórz skalistym wzniesieniu. Rozpościerał się stamtąd widok nad koronami drzew rosnących na zboczu wzgórza. Przez lornetkę widział wyraźnie, choć nie w całości, daczę leżącą około sześciuset metrów niżej, w kierunku zachodnim. Obserwował jej dach i tył niektórych pomieszczeń na drugim piętrze z tylnej strony budynku. Ale większa część daczy była ukryta wśród drzew. Dom znajdował się mniej więcej dwieście pięćdziesiąt metrów od brzegu Morza Czarnego.

Dwudziestodwuakrowa działka, na której oprócz daczy stał także domek dla gości oraz basen, była otoczona lasem. Wąska, kręta, nadmorska ścieżka prowadziła stamtąd aż do biegnącej wzdłuż wybrzeża autostrady. Dacza była wyizolowana. W promieniu co najmniej trzystu pięćdziesięciu metrów nie było żadnego innego domu. Według planów, jakimi dysponował Wiktor, basen, domek dla gości i jeszcze jeden budynek gospodarczy znajdowały się z tyłu. Widać było tylko ten ostatni, bo pozostałe były ukryte w zieleni.

Najbliższym miastem było położone w odległości pięć i pół kilometra dalej Soczi, słynące ze znajdujących się tu letnich rezydencji Stalina. Wybrzeże Morza Czarnego było taką rosyjską Riwierą z podzwrotnikowym, ciepłym i wilgotnym klimatem. Jednak teraz Wiktor stojący w strugach deszczu raczej w to powątpiewał.

Przybył do Soczi po opłaceniu gotówką miejsca na statku handlowym płynącym z Istanbuhu. Kapitan, nieustannie podchmielony Gruzin, przez całą podróż zmuszał Wiktora do wysłuchiwania niekończących się opowieści, przeważnie dotyczących doświadczeń z kobietami różnych narodowości. Według niego najlepsze były te z krajów bałkańskich. Podróż była monotonna, Wiktor spędził mnóstwo czasu na studiowaniu informacji dotyczących Kazakowa, planów jego daczy oraz Soczi. Toteż kiedy statek dobił do brzegu, wiedział wszystko o miejscu, z którego powinien nastąpić atak. Dysponował mnóstwem informacji o terenie, pogodzie, miejscowej ludności, połączeniach komunikacyjnych w Soczi,

możliwościach tutejszej milicji i głównym celu, czyli Kazakowie. Od chwili przyjazdu Wiktora do Soczi, czyli od wczoraj, padało.

Zatrzymał się w skromnym hotelu nieopodal portu. Pokój był niewielki, ale za to z pięknym widokiem na morze. Dziewiętnaście kilometrów na południe od miasta było lotnisko Adler. Pojechał tam autobusem. Podobnie jak wtedy w Bukareszcie, tak i teraz na parkingu przy lotnisku czekał na niego wspaniały samochód.

Wsiadł do niego i pojechał na północ, wzdłuż wybrzeża. Mimo wszystko ciągle towarzyszyło mu to niemiłe uczucie, jakiego doświadczył, kiedy dowiedział się, kto tym razem ma być celem jego zamachu. A przecież teraz musiał przede wszystkim skoncentrować się na swoim zadaniu. Należało ono do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych, jakich kiedykolwiek się podjął, i nie mógł sobie pozwolić, aby emocje wzięły w nim górę.

Zaczął schodzić ze wzgórza, które było dość strome. Szedł powoli i ostrożnie rozglądał się na boki. Co piętnaście metrów zatrzymywał się i nasłuchiwał, po czym ruszał dalej. Miał na sobie kurtkę i spodnie z *goretexu* oraz buty do chodzenia po górach. W lesie było ponuro, wciąż padał drobny, ale bardzo gęsty deszcz, a widoczność wśród drzew i gęstego poszycia wynosiła nie więcej niż piętnaście metrów. Podeszedł do dachy od strony wschodniej. Krople deszczu rozbijały się o liście.

W chłodnym powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi i gnijącej roślinności. Nagle zobaczył przed sobą trzymetrowy kamienny mur otaczający na planie kwadratu posiadłość Kazakowa. Każdy z boków tego ogrodzenia miał około trzystu metrów długości. Wejście na teren było tylko jedno i znajdowało się w północnym skrzydle. Wiktor obejrzał dokładnie mur i nie zdziwił się, że nie spostrzegł żadnego urządzenia monitorującego. Ogrodzenie było zbyt długie, aby można było skutecznie monitorować każdy jego odcinek, zaś zwierzęta i gałęzie niechcący uruchamiałyby system alarmowy. Na górze wmurowano w ogrodzenie metalowe kolce. Pomalowano je na czarno, dzięki czemu może nieco ładniej wyglądały, ale nie były tak ostre. Jednak w połączeniu z wysokością muru z pewnością zniechęcały do wejścia na posesję.

Odszedł na pewną odległość, aby nabrać rozbiegu i wbiec po ścianie. Udało się to z odległości stu dwudziestu centymetrów. Dotknął ściany prawą stopą i odepchnął się. Nieco wyżej postawił lewą stopę, w ułamku sekundy chwycił za grzbiet muru, podciągnął się i już na nim siedział. Teraz ostrożnie wstał, aby nie nadziać się na któryś ze szpikulców, po czym zeskoczył na drugą stronę.

Tutaj również rozciągał się naturalny las. Pośrodku działki w odległości dwustu metrów od muru stała dachy. Wiktor podeszedł do niej od wschodniej strony. Było cicho.

Deszcz przestał padać i słyhać było jedynie lekki szum poruszanych wiatrem liści. Szedł powoli przez krzaki porastające dolne partie lasu, uważał, aby nie wywołać najmniejszego hałasu, i nieustannie nasłuchiwał. Mokra ziemia tłumiła odgłosy kroków. Wilgotne liście błyszczały.

Las ciągnął się przez mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów, potem zaczynał się trawnik, który dochodził aż pod sam dom. Trawa była bardzo zielona, widać było, że niedawno została skoszona. Budynek gospodarczy stał pośród drzew w zachodniej części trawnika, natomiast domek dla gości - we wschodniej. Na trawniku rosło kilka drzew.

Dalej widać było odkryty basen, a za nim daczę. Była duża, ale nie olbrzymia. Według planu ten liczący sześć sypialni dom miał niecałe trzysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Garaż mógł pomieścić cztery samochody. Wiktor podszedł, kucnął na brzegu trawnika i popatrzył na dom przez lornetkę. W niektórych oknach zasłony były zasunięte, w innych nie. Zauważył palące się światło, a po chwili służącą krzątającą się na piętrze. Albo przyszła przygotować dom na przyjazd Kazakowa, albo po prostu sprzątała tu regularnie. Po półgodzinnej obserwacji Wiktorowi nie udało się dostrzec nikogo oprócz tej kobiety - najwyraźniej była tu sama.

Przez lornetkę zobaczył również dwie kamery monitorujące tył domu. Były ukryte pod okapem dachu. Pozwalały obserwować tył daczki, patio, basen oraz część trawnika. Były niewielkie, ale bardzo nowoczesne, dawały niezwykle wyraźny obraz.

Deszcz znowu zaczął padać. Wiktor przedzierał się przez las, tym razem kierował się w stronę jednopiętrowego budynku gospodarczego, służącego wyłącznie do przechowywania sprzętu potrzebnego w domu i w ogrodzie. Wejście do niego znajdowało się od strony trawnika i z daczki było niewidoczne. Żadnych kamer. Obszedł budynek od wschodniej strony i poszedł do dwupiętrowego domu dla gości. Był on położony blisko basenu i na tyle duży, że swobodnie mogłaby w nim mieszkać czteroosobowa rodzina. Zresztą przypominał eleganckie domy podmiejskie. Tu też nie było żadnych kamer.

Podszedł do niego od tyłu. W tym celu musiał wyjść na trawnik, czyli na otwartą przestrzeń, ale wybrał takie miejsce, w którym od ściany lasu dzieliła go najkrótsza droga. Pędem przebiegł sześciometrowy odcinek i przycupnął oparty o ścianę domu. Nasłuchiwał.

Być może nie było tu kamer, ale dom miał własny system alarmowy. Zajrzał przez jedno z okien. Ani żywej duszy. Wrócił do lasu. Zawsze wolał być na łonie natury, nawet jeśli po plecach spływała mu woda. Mgła i deszcz pomagają się skryć. Lepiej być mokrym i niewidocznym, niż suchym i zauważonym.

Wziął ze sobą tylko Mk23. Schował go do prawej zewnętrznej kieszeni kurtki, a

tłumik do lewej. Nie przypuszczał, że będzie musiał go użyć w ciągu najbliższych dwóch dni, to znaczy do przyjazdu Kazakowa. Zawsze jednak istniała ewentualność, że ktoś z jego ludzi zjawi się wcześniej. Nawet wówczas posłużyłby się bronią tylko w obronie własnego życia. Trupy zawsze płoszą główną ofiarę.

Wiktor obszedł daczę. Cały czas szedł lasem, który ciągnął się od muru w stronę domu przez około dwieście metrów. Pomiedzy skrajem lasu a ścianą daczki znajdował się klomb długi na osiem metrów, podobnie jak z tyłu budynku. Na froncie był wielki podjazd oraz trawnik, a dalej sto pięćdziesiąt metrów lasu ciągnącego się aż do zakończonego wieżyczką muru.

Na podjeździe stał nieduży samochód, zapewne należący do służącej. Frontowe drzwi daczki były otwarte. Wiktor patrzył i czekał aż wyszła służąca. Była to drobna przygarbiona kobieta, szła ze spuszczoną głową, opatulona w wielki płaszcz. Nie zamknęła drzwi. Z papierosem w ustach szybko przebiegła do samochodu. Wiktor widział, jak rytmicznie poruszała głową i podśpiewywała w rytm płynącej z radia melodii.

Myślał, jakby tu się przemknąć do środka, ale gdyby kobieta odwróciła głowę, to zauważyłaby jego odbicie w bocznym lusterku auta. Nie warto było ryzykować. Wiedział, jak wygląda wnętrze domu, przecież miał jego szczegółowy plan. Nie wiadomo było, kiedy kobieta wróci, zresztą mogła włączyć alarm. Poza tym nie planował zlikwidować Kazakowa we wnętrzu domu.

Tym razem nie chciał robić tego z bliska, aby nie angażować się psychicznie. Jednak odosobnione położenie daczki oznaczało, że co prawda nie będzie miał na głowie milicji, ale ochroniarzy Kazakowa. A już w Bukareszcie miał okazję przekonać się, że byli bardzo dobrzy. Służąca wypaliła papierosa aż do samego końca. Pozostał tylko filtr i dopiero wtedy pobiegła z powrotem do domu. Wiktor rozglądał się i próbował znaleźć jakieś miejsce, z którego mógłby dobrze widzieć wejście do domu, ale było tylko jedno, niestety zbyt blisko.

Wobec tego mógł oddać strzał tylko wtedy, jeśli ukryłby się na wzgórzu. Ale wówczas musiałby liczyć na to, że Kazakow pojawi się w którymś z okien na piętrze - w pokoju na tyłach domu i że będzie stał twarzą do niego.

Wiktor siedział w kucki ukryty wśród drzew jeszcze przez dobrą godzinę i czekał, aż służąca skończy pracę i odjedzie. Wtedy ostrożnie podszedł do domu od tyłu, aby nie znaleźć się w zasięgu kamer. Odwrócił się i popatrzył na wzgórze. Widok zasłaniały gałęzie i liście kilku rosnących na trawniku drzew. Znowu odwrócił się w stronę daczki, a potem spojrzał na wzgórze.

\* \* \*

Na drzewo wspiął się w kilka sekund, wystarczyło podskoczyć i się podciągnąć. Wyjął z kieszeni nóż i otworzył go, a następnie odciął nim jedną gałąź, potem kilka kolejnych. Po chwili na trawniku leżało ich kilkanaście. Pozbierał je i wyrzucił do lasu. Popatrzył na drzewa. Nie można było poznać, że kilkanaście gałęzi zostało obciętych, a nic już teraz nie przysłaniało mu widoku na wzgórze. Widoczność na dachę była jeszcze lepsza od strony lasu.

Kiedy zakończył rekonesans, wrócił do lasu. Do muru szedł tą samą drogą, którą przyszedł. Ścieżka wydeptana kilka godzin wcześniej, teraz tak dla niego wyraźna, będzie niezauważalna, kiedy przyjedzie tu Kazakow ze swoimi ochroniarzami. Wówczas nikt jej nie zobaczy.

Z wyjątkiem jednej osoby.

## ROZDZIAŁ 49

03:50 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Był Amerykaninem. Szedł ledwie widocznym śladem, jaki tworzyły zdeptane resztki ściółki leśnej. Zatrzymywał się, nachylał i badał poszycie. Nie było widać śladów butów, ale gdzieś tam liście oraz inne resztki roślinności były bardziej zbite.

Przybyszowi wystarczył jeden rzut oka, aby wiedzieć, co to oznacza.

- Tu Kowboj Daddy do wszystkich, znalazłem coś. Ścieżki prowadzące na wschód, w kierunku domu dla gości. Odbiór.

Amerykanin miał na sobie kamuflaż, ciężkie buty i kominiaarkę. Na kurtkę narzucił jeszcze ponczo przypominające *ghillie*<sup>4</sup>. Była do niego przyszyta cienka nylonowa siatka, do której poprzyczepiano kilkunastocentymetrowe zielonkawe i brązowe kawałki konopii. Na to położono jeszcze kawałki błota i wetknięto w nie liście - jednym słowem, idealne wykończenie. Taki strój był o wiele skuteczniejszy niż zwykły kamuflaż, między innymi dlatego, że dzielił sylwetkę na trzy części, a nie na dwie, jak zwykły ubiór. Wizerunku dopełniała pasta kamuflażowa, którą mężczyzna miał wysmarowaną twarz oraz rękę.

Spostrzegł coś i nachylił się. Na północ od niego wyłonił się z mgły mężczyzna. Szedł ostrożnie w jego kierunku. Amerykanin przywarł do ziemi, nie ruszał się, obserwował.

Kiedy tamten znalazł się dwanaście metrów od niego, ten zidentyfikował go jako cel. Oczy idącego bystrze spoglądały dookoła, ale człowiek w kamuflażu wiedział, że o ile się nie poruszy, to nie zostanie zauważony. Mężczyzna szedł bezszelestnie, nieco pochylony. Amerykanin obserwował go, dopóki tamten nie zniknął mu z oczu. Potem poczekał jeszcze chwilę, aby być pewnym, że nie będzie słyszany i dopiero wówczas powiedział:

- Kowboj Bravo, tu Kowboj Daddy. Właśnie widziałem cel. Nadszedł od wschodniej strony domu. Kieruje się na południe, w twoją stronę. Odbiór.

- Kowboj Daddy, tu Kowboj Bravo - odpowiedział mu głos w słuchawkach. - Widzę go, zbliża się. Odbiór.

- Tu Kowboj Daddy do wszystkich - powiedział Amerykanin. - Cel zlokalizowany.

---

<sup>4</sup> *Ghillie* - strój maskujący używany głównie przez strzelców wyborowych, różniący się od innych metod kamuflażu swoim naturalnym wyglądem i rozmywaniem sylwetki człowieka (przyt. red.).



Powtarzam. Cel jest tutaj. Nie pokazujcie się, tylko obserwujcie. Jego czas nadejdzie, ale nie dzisiaj. Bez odbioru.

## ROZDZIAŁ 50

PIĄTEK 00:05 CZASU MOSKIEWSKIEGO

To była jakiś koszmarny sen. Izolda Kazakow obudziła się i wyciągnęła rękę, ale męża nie było obok - jego poduszka była zimna. Izolda zapaliła lampę i przyłożyła rękę do mokrego od potu czoła. Jej serce waliło.

- Władimirze?

Nikt nie odpowiadał, z łazienki także nie dochodził żaden odgłos. Izolda spojrzała na zegar; było po północy. Ona i jej mąż położyli się dwie godziny temu i Izolda szybko zasnęła. Chłodna poduszka obok niej świadczyła, że Władimir musiał wstać jakiś czas temu. To było do niego niepodobne, bo nie miał kłopotów ze snem, zasypiał szybko i głośno chrapał, tak że przez kilka pierwszych lat małżeństwa Izolda wkładała sobie zatyczki do uszu. Teraz już do tego przywykła i czasem nawet, słysząc obok głośny, rytmiczny oddech męża, łatwiej zasypiała.

Władimir zazwyczaj może i spał dobrze, ale ostatnio, biorąc pod uwagę jego zachowanie, Izolda nawet się zbytnio nie dziwiła, że miał kłopoty ze snem. Od dwóch tygodni nie był sobą i nie przypominał tego jowialnego człowieka, jakiego niegdyś знаła. Błądził myślami gdzieś daleko, był czymś zaabsorbowany, a jego nastrój się zmieniał. Częściej się kłócili, co prawda o nic ważnego, tylko o drobiazgi. Było jasne, że coś zaprzęta myśli Władimira, ale Izolda wiedziała, że niczego z niego nie wydusi. Każde z nich miało tajemnice, których lepiej, aby drugie nie znało.

Wreszcie serce Izoldy zaczęło bić normalnie. Nie pamiętała tego okropnego snu, tylko strach. Być może napięcie między nią a mężem wyrządzało więcej złego, niż sądziła. A może to poczucie winy. Cokolwiek by to było, Izolda nie zamierzała spać.

Włożyła szlafrok i wyszła na podest. Dom, w którym żyła z Władimirem, był olbrzymi, swobodnie mogłoby tu mieszkać dwanaście osób. W osobnym skrzydle mieszkała służba: pokojówki, kucharz, kelner, kierowca, ogrodnik i ochroniarze. Pozostała część wielkiej daczy pozostawała wyłącznie do dyspozycji Izoldy i jej męża. Żona Kazakowa nie wiedziała, ile było tu pokoi, niektórych z nich używano tylko raz na kilka miesięcy. Do sypialni, przerobionych kiedyś na pokoje dzieciinne, Izolda nigdy nie wchodziła.

Zapaliła światło. Była dorosłą kobietą, ale do dziś nie pozbyła się dziecięcego strachu przed ciemnością. W olbrzymim, ciemnym domu nie była w stanie zapanować nad swoją wyobraźnią. Miękkie kapcie tłumily jej kroki na posadzce z czerwonego dębu. Izolda ziewnęła.

Wiedziała, gdzie jest mąż, bo w gabinecie paliło się światło. Kiedy weszła, Władimir podniósł głowę. Siedział w piżamie przy biurku zwrócony twarzą do drzwi. Niektórzy mężczyźni w miarę upływu lat wyglądają coraz lepiej i Kazakow do nich należał. Siwizna dodawała mu godności, a bruzdy na twarzy zaostrzały i tak wyraziste rysy. Nadal, tak jak i kiedyś, był to silny i potężny mężczyzna.

Komputer był włączony; światło, które zobaczyła, pochodziło z monitora. Władimir kliknął myszką i zdjął słuchawki.

- Izzy - powiedział - myślałem, że szybko zasnąłś.

- Tak - odpowiedziała, opierając się o futrynę drzwi - ale miałam jakiś okropny sen.

- Moje biedactwo - Kazakow wyglądał na autentycznie zainteresowanego. - Co to za sen?

- Nie pamiętam - odparła, wzruszając ramionami.

- Teraz już lepiej?

- Chyba tak. Co tu robisz w środku nocy?

Po twarzy Władimira przemknął smutek i radość równocześnie.

- Pracuję, moja kochana. Pracuję.

- Nie możesz poczekać z tym do rana?

- To nic pilnego - odparł - ale skoro nie mogę zasnąć, pomyślałem sobie, że z tej mojej bezsenności może być jakiś pożytek. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie, nie - powiedziała Izolda, potrząsając głową. - Nie zauważyłam, że cię nie ma, dopóki nie obudził mnie ten okropny sen. Od jak dawna nie śpisz?

- Od niedawna.

- O, myślę, że już dobrą chwilę.

Władimir uśmiechnął się.

- Byłaś taka słodka, gdy wstawałem. Chrapałaś.

- Nie, nie chrapałam.

- Owszem, chrapałaś.

- Ja nie chrapię - uśmiechnęła się również Izolda. - Jestem damą.

- I to bardzo piękną damą.

- Nie mogę zasnąć bez ciebie - powiedziała Izolda, uśmiechając się jeszcze szerzej. -

Proszę, wracaj do łóżka.

- Daj mi jeszcze pięć minut, skończę to, co mam do zrobienia. Może być, kochanie?

- Dziękuję - odparła Izolda.

Kazakow patrzył na żonę, na jej ruchy, gdy odwróciła się i wyszła. Nie lubił jej okłamywać, ale czasem nie można było tego uniknąć. Nie minął się z prawdą tylko odnośnie tego, że nie mógł spać, w przeciwieństwie do jego żony, która w ubiegłym tygodniu nagle stała się bardziej zmęczona niż zwykle i bardziej skora do odrzucania jego pieszczot. Być może winien był temu ten aktor, a może kto inny. Kazakow westchnął. Jeśli dzięki temu oczy Izoldy znowu nabiorą blasku, to niech już tak będzie.

Poczekał jeszcze minutę, a kiedy już nie słyszał jej kroków, znowu nałożył słuchawki. Usiadł wygodniej i kliknął myszką, przywracając film video. Tak jak sobie życzył, nagranie zostało wykonane za pomocą kamery o wysokiej rozdzielczości. Jakość zarówno dźwięku, jak i obrazu była doskonała, choć operator mógł być lepszy. Jeśli by to od niego zależało, wynająłby zawodowego kamerzystę, ale raczej byłoby to niemożliwe, biorąc pod uwagę filmowane sceny.

Kazakow oglądał ten film już przez godzinę, a całe nagranie trwało trzy. Sprawdził, czy Izolda śpi, bo jeżeli nie, to położyłby się do łóżka, zaczekał, aż zaśnie i zacznie chrapać, i potem wrócił, aby dokończyć oglądanie filmu. Widział go już drugi raz i jak to bywa w przypadku każdego dobrego obrazu, dopiero za drugim razem można ocenić jego prawdziwą wartość.

Kazakow zamrugał, gdyż łzy napłynęły mu do oczu. Oparł się, przymknął oczy i ujrzał twarz Illariona, podczas gdy przez słuchawki do jego uszu płynął rozkoszny dźwięk krzyków Ariffa i jego rodziny.

\* \* \*

Padało cały tydzień, toteż przez pierwsze dwa dni Wiktor nie wychodził z hotelu, ale teraz od środy wieczór leżał ukryty w lesie. Kazakow przyjechał następnego dnia pod wieczór i nagle w całej daczce rozbłysły światła. Wiktor widział go przez chwilę, gdy przechodził przed oknem, ale nie zdążyłby ułożyć się do strzału. Nie byłby w stanie tak szybko oszacować prędkości wiatru i byłby to strzał pod złym kątem.

Leżał w lesie pomiędzy dwoma drzewami na kawałku skały, dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Bez przerwy obserwował daczę przez lornetkę, a ponieważ ściał kilka gałęzi, nic nie psuło mu widoczności. Co prawda wciąż nie był to najdoskonalszy punkt do oddania strzału, ale widać było stąd tylne wejście i rozciągający się przed nim wąski pas ziemi. Wystarczyło, by wpakować w Kazakowa pocisk, jeśli będzie korzystać z tych drzwi.

Wiktor widział też domek gospodarczy oraz część okalającego go trawnika, ale nie spodziewał się, że Kazakow tam pójdzie.

Przygotował sobie punkt snajperski, usunął kamienie i gałęzie, udeptał ziemię. Wiedział, że być może przyjdzie mu tu leżeć nawet kilka dni i każdy uwierający kamyczek pierwszego dnia byłby niewielką niedogodnością, ale już piątego wręcz torturą. Nic nie mogło odwracać jego uwagi od oddania strzału, a chciał strzelić i zniknąć.

Handlarzowi towarzyszyła bardzo piękna kobieta. W dossier znajdowała się informacja, że była to Izolda, żona Kazakowa. Wiktor dobrze się jej przyjrzał, bo gdy tylko wchodziła do jakiegoś pomieszczenia, zaraz zaciągała zasłony. Była wysoka i szczupła, a poruszała się niczym modelka na wybiegu. W domu byli tylko oni, żadnych gości. Wraz z nimi przyjechało trzech ochroniarzy, a następnego dnia jeszcze dwóch. Byli to potężni faceci, ale bynajmniej nie przesadnie umięśnieni. Ruchy i zachowanie każdego z nich zdradzało profesjonalizm i podobnie jak tamci w Bukareszcie, z pewnością służyli kiedyś w jednostkach specjalnych lub w wywiadzie. Dossier informowało, że Kazakow lubił zatrudniać jako ochroniarzy byłych żołnierzy jednostek specjalnych. Wiktor pamiętał swoje ostatnie spotkanie z jednym z takich ludzi i nie marzył o powtórce tego doświadczenia.

CIA dostarczyła mu do tego zadania karabin snajperski Longbow T-76 wyprodukowany przez Dakota Arms z amunicją kaliber .338 Lapua Magnum. Wiktor chciał strzelić do Kazakowa z możliwie jak największej odległości. Użycie olbrzymiego studwudziestocentymetrowego karabinu i amunicji o tym kalibrze umożliwiało taki zasięg, gdyż taki pocisk wystrzelony z odległości tysiąca metrów przebijał pięć kamizelek kuloodpornych, a ponadto zabijał jednym strzałem. Wiktor wiedział z doświadczenia, jak skuteczny może być taki strzał, nawet jeśli cel znajduje się za kuloodporną szybą.

Oprócz tego, że każdy strzał wytwarzał olbrzymią energię, longbow był niezwykle celny. Producent gwarantował trafienie z odległości nawet tysiąca pięciuset metrów. To robiło wrażenie, ale odległość, z jakiej miał strzelić Wiktor, wynosiła około siedmiuset pięćdziesięciu metrów. Jeśli tylko nie popełni żadnego błędu, longbow będzie skuteczny.

Aby być pewnym precyzji oddanego strzału, nie planował użycia tłumika, ale wiedział, że wówczas strzał będzie bardzo głośny. Tylne drzwi do dachy znajdowały się sześćset dwadzieścia metrów od kryjówki Wiktora, wobec tego hałas dobiegnie do dachy w niecałe dwie sekundy od chwili oddania strzału. Mógł strzelić jeszcze raz czy dwa, ale zawsze wolał załatwić sprawę za pierwszym razem.

Karabin był czarny, matowy, ale Wiktor spryskał go brązową i zieloną farbą i naniósł nań wzory liści. Sam miał na sobie to samo ubranie co podczas zwiadu. Nie uprał tych rzeczy

i nie mył się przez trzy dni, bo nie chciał, by zapach mydła i szamponu zaniepokoił leśną zwierzynę. Jeśli ochroniarze Kazakowa wykazałoby się nadzwyczajną czujnością i chcieli patrolować teren wokół dachy, ptaki krążące nad głową Wiktora mogłyby zdradzić jego kryjówkę.

W plecaku miał żywność oraz resztę wyposażenia. W kieszeniach kamizelki były magazynki, lornetka, kompas, GPS i jego własny składany nóż. Miał też butelkę i plastikowe worki, mające spełniać rolę toalety. Ani na chwilę nie mógł się ruszyć ze swojego miejsca, bo nie wiadomo, kiedy pojawi się Kazakow i nadarzy się sposobność oddania strzału. Wiktor postanowił, że będzie czekać najwyżej sześć dni. Jeśli w tym czasie nie będzie okazji uśmiercenia Kazakowa, wówczas opuści kryjówkę i zbliży się do dachy, aby zabić handlarza z mniejszej odległości.

W tym celu miał przygotowaną inną broń. Na biodrach w kaburze tkwił Heckler & Koch Mk23 z tłumikiem. Obok plecaka leżał MP7A1 i czterdziestonabojowy magazynek. Mk23 to była dobra broń, zaprojektowana dla amerykańskich sił specjalnych. Wymagała naboju .45 ACP, a magazynek zawierał ich dwanaście. Ten pistolet był bardzo precyzyjny. Naboje .45 ACP miały znaczną siłę rażenia, były poddźwiękowe i przy zastosowaniu tłumika strzał był niemal niesłyszalny.

Pistolet maszynowy MP7, także produkcji firmy Heckler & Koch, był jakby skrzyżowaniem karabinu snajperskiego i pistoletu maszynowego. Był uważany za broń klasy PDW<sup>5</sup>. Zdaniem Wiktora jednak w tym pistolecie nie było niczego, co pozwalałoby tak go zaklasyfikować. To była broń ofensywna. Ważyła niewiele, 1,7 kilograma, i przy rozłożonej kolbie miała tylko pięćdziesiąt cztery centymetry długości, a można było oddać z niej celny strzał na odległość ponad dwustu metrów. Pistolet posiadał łukowate magazynki dwurzędowe dwudziesto- lub czterdziestonabojowe kalibru 4.6x30 mm, w których ołów i mosiądz zastąpiono utwardzaną stalą, bo taki pocisk lepiej przebijał kamizelki kuloodporne aniżeli tradycyjna amunicja używana w zwykłych karabinach maszynowych.

W Bukareszcie Wiktor zauważył, że ochroniarze Kazakowa noszą kamizelki kuloodporne, i teraz, jeśli przyszłoby mu mieć z nimi do czynienia, nie chciał, aby jego pociski w nich utkwily. Przy posługiwaniu się zwykłą amunicją użycie tłumika miało się z celem, natomiast przy amunicji poddźwiękowej pistolet MP7 spełniał doskonale swoje zadanie. Jeśli Wiktor byłby zmuszony go użyć, wówczas chciałby działać z zaskoczenia i gwałtownie.

---

<sup>5</sup> Personal Defense Weapon - broń do obrony osobistej.

Kazakow nie pokazał się dotychczas przy tylnym wejściu, co zresztą wcale nie dziwiło, bo od chwili jego przyjazdu deszcz nie przestawał padać. Wiktor leżał w swojej kryjówce już dwa dni i nudził się, ale nie pozwalał sobie na zmniejszenie koncentracji. W sekundę po zabiciu Kazakowa już będzie biec w kierunku północno-wschodnim, trzy i pół kilometra dookoła wzgórza do miejsca, w którym czeka jego samochód schowany pod siatką z narzucanymi na nią liśćmi, gałęziami i ziemią.

Przez cały ten czas jedyne pożywienie Wiktora stanowiły orzechy, czekolada i suplementy w tabletkach. Potrzebował maksymalnej dawki kalorii, ale nie w postaci zwykłej żywności, aby nie tracić czasu na jej odpakowywanie z plastikowych torebek. Miał też ze sobą ponad czterolitrowy pojemnik z wodą, zaopatrzony w lejek do łapania deszczówki służący do uzupełnienia zapasów. Jeśli zaś nie padałoby zbyt długo, zastosowałby tabletki odkażające, które wrzucałby do swojego moczu.

Odpoczywał w nocy, ponieważ było raczej mało prawdopodobne, aby wtedy Kazakow wchodził lub wychodził tylnym wejściem. Spał, leżąc na brzuchu, a więc w identycznej pozycji, w jakiej spędzał cały dzień. Miał niewielką poduszkę, owiniętą nieprzemakalną tkaniną, ale i tak nie można było wytrzymać w tej pozycji całą noc, toteż spał przez kilka godzin, po czym budził go jakiś odgłos lub trzask. Obudziwszy się, pamiętał o rozciągnięciu mięśni, co kilka godzin zmieniał też nieznacznie ułożenie ciała, aby zapobiec zeszywnieniu i bólom mięśni. Prędkość wiatru oceniał, obserwując ruch gałęzi.

Nad głową słyszał świergot ptaków, które przywykły już do jego obecności i nie bały się nawet wtedy, gdy się poruszał. Rozpostarta między dwoma drzewami nieprzemakalna tkanina tworzyła prowizoryczny szałas, który co prawda chronił go tylko częściowo przed deszczem, ale dzięki któremu broń oraz reszta ekwipunku pozostawała sucha.

Przez ostatnie dwa dni nie dostrzegł przed ósmą rano w żadnym z okien ani Kazakowa, ani jego żony. Natomiast ochrona patrolowała teren bez przerwy w dzień i w nocy. Nawet pobieżna obserwacja upewniła Wiktora, że miał rację, decydując się na zabicie Kazakowa z dużej odległości. Ochroniarze co prawda już nie służyli w siłach specjalnych, ale po przejściu na emeryturę ich umiejętności nie z malały. Zapewne miesięcznie zarabiali u Kazakowa więcej, niż niegdyś przez cały rok, a te pieniądze pozwalały im utrzymywać się w wysokiej formie i nie tracić czujności nawet na sekundę. Przebicie się przez pięciu takich goryli było niemal niemożliwe, tym bardziej, że wspomagali się jeszcze obrazem z kamer. A wydostanie się stamtąd też nie należałoby do miłych wycieczek.

Wiktor nie zauważył, aby ludzie Kazakowa patrolowali las, ale był on rozległy, a ludzie z sił specjalnych wiedzieli, jak niezauważenie patrolować. Dlatego też nie spodziewał

się dostrzec ich wcześniej niż wtedy, gdy znajdą się tuż obok niego. I właśnie na taką okazję zawsze miał pod ręką MP7.

Tego ranka nie padało, było dość ciepło i sucho. Prognoza pogody mówiła, że niebo będzie czyste, a temperatura wysoka. Jeśli prognoza była trafna, należało mieć nadzieję, że będzie na tyle ciepło, że Kazakowowie nabiorą chęci na kąpiel w basenie. Nawet jeśli tylko Izolda będzie chciała sobie popływać, zapewne mąż też wyjdzie choćby tylko po to, aby jej towarzyszyć.

Wiktor zawsze unikał zabijania ofiary na oczach jej bliskich, ale tym razem mogło to okazać się nieuniknione. Musiał wykorzystać pierwszą nadarzącą się sposobność, bo druga mogła się już nie powtórzyć. Teraz leżał w swojej kryjówce, jadł orzeszki i czekał.



# ROZDZIAŁ 51

07:50 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Kazakow obudził się. Leżał jak zwykle na lewym boku, z twarzą ukrytą w wielkiej, puchowej poduszce. Zazwyczaj smukła ręka Izolda obejmowała go w pasie, ale od dłuższej chwili jej tam nie było. Kazakow jeszcze przez moment napawał się bliskością ciała żony, ale potem przekręcił się na drugi bok. Izolda mruknęła. Czule pocałował ją w usta, czoło i czubek nosa. Uśmiechnęła się i odwzajemniła pocałunki. Dla Kazakowa żona była najpiękniejsza rano, kiedy dopiero otwierał oczy i na nią pierwszą padał jego wzrok.

- Która godzina? - zapytała.

- Dochodzi ósma - odparł Kazakow i spojrzał na swój zegarek TAG Heur.

- O, a ty nadal w łóżku? Czuję się zaszczycona.

- Jestem na urlopie, czyż nie?

- To znaczy, że nie obchodzą cię dziś żadne telefony?

- Daj spokój.

Izolda mruknęła, a potem znowu się pocałowali.

Kazakow usiadł i ziewnął.

- Co chcesz na śniadanie, kochanie?

Izolda dała mu kuksańca w klatkę piersiową.

- Hm, poproszę twoją słynną jajecznicę. A do tego sok pomarańczowy i kawałek melona. I kawę. Mnóstwo kawy.

- Istny bankiet - odparł Kazakow i podrapał się w tył głowy. - A co dostanę w zamian za tę ucztę?

Izolda wydeła policzki.

- Będziesz miał przyjemność przygotowania jej i dostarczenia swojej wspaniałej żonie.

- Ach - odparł Kazakow. - To zupełnie wystarczające dla mężczyzny.

- Lepiej uwierz mi na słowo.

Władimir Kazakow wstał i rozsunął zasłony. Sypialnia znajdowała się od frontowej strony budynku. Z okien rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Morze Czarne. Kazakow przeciągnął się i przez chwilę podziwiał krajobraz.

Tę część Rosji lubił najbardziej. Teraz, kiedy podróże zagraniczne wiązały się dla niego ze zbyt dużym ryzykiem, co najmniej kilka razy w roku przyjeżdżał z Izolda do Soczi. Było tu równie ciepło jak w głębi Rosji, co bardzo odpowiadało uwielbiającej słoneczne kąpiele Izoldzie. Kazakow kupił tę daczę cztery lata temu, kiedy za granicą nad jego głową zaczynały się zbierać czarne chmury. Od trzech lat opuszczał kraj tylko w sprawach biznesowych. Izolda nadal stąd wyjeżdżała, tylko teraz zamiast męża towarzyszyli jej przyjaciele.

Soczi należało do najpopularniejszych rosyjskich miejscowości wypoczynkowych. Oferowało wspaniały klimat, piaszczyste plaże oraz bliskość gór Kaukazu, będących rajem dla narciarzy. Każdego lata przyjeżdżały tu miliony urlopowiczów. Kazakow trzymał się z dala od centrum pełnego turystów. Stronił także od miejsc, w których rosyjskie elity obnosiły się ze swoim bogactwem. Wolał zacisze swojej daczki. Miał tam własną plażę, do której mógł dojść leśną ścieżką i odpoczywać bez obaw, że ktoś zakłóci jego spokój.

- Jaka jest pogoda? - spytała Izolda.
- Słońce świeci, a niebo jest błękitne - odparł Kazakow.
- Będzie ładnie. - Świetnie. Chyba popływam po śniadaniu.
- Dobry pomysł.

\* \* \*

Zauważył, że ktoś wstał i kręci się po domu. Wiktor dostrzegł cień przesuwaną za szybą jednego z okien na piętrze. Był to ktoś o szczupłej sylwetce, najprawdopodobniej żona Kazakowa, jednak Wiktor nie miał absolutnej pewności. Temperatura powietrza wzrastała, a na niebie nie widać było żadnych deszczowych chmur.

Dakota leżała tuż obok niego, osłonięta przed kurzem i deszczem kawałkiem plastiku przytrzymanym kilkoma kamieniami. W razie potrzeby wystarczył jeden ruch, aby wyciągnąć ją i ustawić się do strzału. Wiatr nie był silny, około 2,01 m/s.

Oprócz radosnego śpiewu ptaków nie słychać było żadnego obcego dźwięku. W innych okolicznościach podobałoby mu się takie biwakowanie w lesie. Być może pewnego dnia wróci do Soczi i wybierze się na piknik w jakieś odległe miejsce. Poczł pragnienie, więc przez słomkę napił się trochę wody z butelki, ale ani na chwilę nie spuszczał z oczu daczki.

\* \* \*

Obserwował ją także Amerykanin, Kowboj Bravo. Podobnie jak jego pozostali towarzysze miał na sobie *ghillie*. Klęczał na ziemi mniej więcej dziewiętnaście metrów od celu. Obserwował go od brzasku. Ze swojej pozycji widział tylko nogi mężczyzny, łokcie i

lornetkę, bo reszta ciała była ukryta wśród zieleni. Przyszła ofiara bez wątpienia służyła kiedyś w elitarnej jednostce zwiadowczej i podejście do niej na mniejszą odległość było zbyt ryzykowne. Jedyne, co Amerykanin mógł zrobić, to mieć ją na oku, a w stosownej chwili podejść bliżej i zabić. Dlatego miał ze sobą pistolet maszynowy MP5SD.

- Tu Kowboj Daddy. Niech wszyscy sprawdzą swoje pozycje. Chcę mieć raport sytuacyjny. Odbiór - usłyszał w słuchawce.

- Kowboj Gamma - dał się słyszeć inny głos. - Jestem dziesięć metrów na południowy wschód od domku gospodarczego. Widzę pana i panią przez kuchenne okno. Dwóch goryli na zewnątrz. Odbiór.

- Tu Kowboj Bravo - odezwał się mężczyzna w *ghillie*. - Jestem dokładnie dziewiętnaście metrów na północ od celu. Odbiór.

- Zrozumiałem, Kowboje. Kowboj Gamma, pilnuj VIP-ów. Kiedy on padnie, daj nam znać, żebyśmy mogli dokończyć sprawę i wracać do domu. Coś mi mówi, że to nastąpi dzisiaj. Bez odbioru.

\* \* \*

Izolda Kazakow zjadła śniadanie i pocałowała męża w policzek. Siedzieli na jej łóżku, a obok nich stały tace z talerzami.

- Jajecznica była boska. Dziękuję - powiedziała Izolda.

- Zawsze do usług - odparł Kazakow i upił łyk kawy.

Żona otoczyła go swoimi szczupłymi ramionami. Usiłowała spleść palce, co nie było łatwe, bo Kazakow był niezwykle barczystym mężczyzną. Znowu go pocałowała.

- Tak się cieszę, że wyjechaliśmy. Najpierw, kiedy rzuciłeś tę propozycję, nie chciałam jechać. W ubiegłym tygodniu tyle razy się kłóciliśmy. Myślałam, że i teraz będziemy skakać sobie do oczu.

- Jak dotąd nie pokłóciliśmy się. I nie pokłócimy, prawda?

- Nie, jasne, że nie - potrząsnęła głową. - Wiem, że przez ostatnie dwa dni pogoda była okropna, ale teraz się wypogodziło. Tylko my dwoje, z dala od Moskwy. Nic nam nie przeszkadza, żadnych stresów. Ostatnio tyle pracowałeś, myślałam, że zapomniałeś o moim istnieniu.

- Nigdy nie będę w stanie o tobie zapomnieć - odparł Władimir Kazakow i położył dłonie na jej rękach.

- Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że ostatnio byłeś czymś bardzo zaabsorbowany. Miło jest znowu czuć, że się mną interesujesz. W końcu mam cię na wyłączność i zamierzam w pełni to wykorzystać.

- Doprawdy?

- O, tak - odparła Izolda i uniosła brwi.

- No, to cieszę się, bo będę ci teraz poświęcać mnóstwo uwagi.

- A co to znaczy? - spytała i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Myślę, że najwyższy czas, abym trochę zwolnił, jeśli chodzi o moje interesy - odparł Kazakow i wziął głęboki oddech.

Izolda uwolniła go z objęć i przekręciła się na łóżku, aby spojrzeć mu prosto w twarz. Jej mina wyrażała niepewność, a nie zadowolenie, którego się spodziewał.

- Doprawdy?

Kazakow potwierdził skinieniem głowy.

- A dlaczego nie? Mamy tyle pieniędzy, że sama próba ich policzenia zajęłaby nam wieczność. Przecież nie potrzebujemy więcej. To, co mamy, starczyłoby nam, nawet jeśli mielibyśmy żyć tysiąc lat.

Izolda potrząsnęła głową. Nie była przeciwna temu pomysłowi, ale nie wierzyła, że mąż mówi poważnie.

- Nie wiem, co powiedzieć. Tak nagle mnie o tym informujesz.

- Nagle, ale całe swoje życie planowałem każdy szczegół tej decyzji. I czas, abym zaczął działać spontanicznie.

- A co zrobisz z firmą?

Kazakow wzruszył ramionami.

- Tomasz i Julia poradzą sobie beze mnie. A Ja po prostu będę stać z boku. Poza tym mam przeczucie, że oni poprowadzą ją lepiej ode mnie.

Izolda położyła mu dłonie na ramionach.

- Ty naprawdę mówisz poważnie?

Skinął głową.

- Długo to trwało, ale wreszcie zrozumiałem, że pewne rzeczy są ważniejsze niż pieniądze czy władza - Izolda objęła go mocniej. - I nigdy nie chcę cię stracić, Izzy.

- Nie stracisz mnie - milczała przez chwilę, po czym zapytała: - Dlaczego w ogóle mówisz coś takiego?

- Nie jestem głupcem, moja kochana - delikatnie klepnął ją po policzku. - Wiem, że nie jestem takim mężem, na jakiego zasługujesz. Dopuszczałem, żeby pomiędzy nas wtargnęły różne sprawy, takie jak śmierć Illariona czy mój problem - ciężko przełykał ślinę, a ona cały czas ścisnęła go za rękę.

- Zmieniłem się, moja droga. Nie mam już w sobie tyle pary, co kiedyś. Ale

najważniejsze, że wreszcie potrafię odsunąć od siebie wspomnienie śmierci Illariona - Kazakow przyciągnął do siebie Izoldę i mocno ją objął. - I myślę, że w końcu zrozumiałem, że nasz problem tak naprawdę jest moim problemem. Dziś lekarze potrafią wyleczyć wszystko, a jeśli nie, to są inne metody zajścia w ciążę. Jeszcze nie jest za późno. Przepraszam, że cię zaniedbywałem.

Poczuł, że ramię robi mu się wilgotne. Izolda płakała.

\* \* \*

Tuż przed dziewiątą rano Wiktor zobaczył Izoldę wychodzącą tylnym wejściem. We wzorzystym, jedwabnym kimonie i kapeluszu z białym rondem wyglądała zjawiskowo. Była boso, widać było czerwień lakieru na paznokciach jej stóp. Szła i popijała napój przez słomkę. Była to chyba mrożona herbata z plasterkiem limonki. Skierowała się w stronę basenu i po chwili zniknęła Wiktorowi z oczu. Wyobraził sobie, jak sączy herbatę i siada na jednym z leżaków. Natomiast nigdzie nie było widać Kazakowa.

Minęła godzina, potem druga. Wiktor pokręcił kilka razy głową, aby rozluźnić mięśnie zeszywniałej szyi i napił się wody. Wiał lekki wietrzyk. Ponownie pojawiła się żona Kazakowa, ale tym razem miała na sobie tylko czarne bikini, mokre włosy spadały jej na ramiona. Weszła do domu. Było gorąco nawet w cieniu i Wiktor od czasu do czasu musiał napić się wody.

Nad głową wciąż słyszał śpiew ptaków. Miał zaledwie podstawową wiedzę ornitologiczną: ograniczała się ona do rozróżniania tylko kilku gatunków ptaków. Jednak ich śpiew był bardzo miły i relaksujący, a równocześnie pomagał skoncentrować się na pracy. Minęło południe, robiło się coraz goręcej. O czternastej Izolda znowu się pojawiła. Była w bikini, ale wokół talii owinęła sobie szal. Niosła talerz z sałatką. I znów ani śladu Kazakowa. Izolda nie zamknęła drzwi od domu, być może dlatego, że niedługo miał pojawić się jej mąż.

Minęło pięć minut, a Władimira Kazakowa nie było widać. Być może wyjechał na cały dzień. Powietrze było parne i suche. Wiktor widział ochroniarza, obchodzącego teren posesji, który od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenia na panią Kazakow. Może był profesjonalistą, ale nadal tylko człowiekiem.

Izolda Kazakow znów znalazła się w polu widzenia Wiktora. Stała w drzwiach, oparła ręce o futrynę i zajrzała do środka.

Wiktor zobaczył Kazakowa stojącego w wejściu i natychmiast oszacował prędkość bocznego wiatru. Przy nabojach kaliber .338 należało wziąć pod uwagę, że przy odległości wynoszącej 560 metrów wiatr zniesie pocisk o 62 centymetry. Wiktor odrzucił lornetkę, chwycił longbowa i ustawił lunetę odpowiednio do prędkości wiatru. Położył się i prawe oko

przyłożył do lunety, a lewe przymknął.

\* \* \*

Kowboj Bravo miał na sobie *ghillie* i obserwował, jak jego cel rzucił lornetkę i chwycił karabin, po czym zaczął ściszym głosem mówić do mikrofonu:

- Tu Kowboj Bravo, cel chwycił broń. Jest gotów do oddania strzału. Odbiór.

- Pani VIP chyba woła męża - dorzucił Kowboj Gamma.

- Tak, widzę go, podchodzi do niej z prawej strony. Chyba zamierza wyjść z domu.

Tak, tak, na pewno wyjdzie. Odbiór.

- Zrozumiałem, Kowboju Bravo - dał się słyszeć w słuchawkach zachrypnięty głos Kowboja Daddy. - Kiedy tamten wyjdzie, to założę się o dolara, że ten chłopak położy go jednym strzałem. I będzie po wszystkim. Szykujcie się. Przesuwam się na lepszą pozycję strzelecką. Kowboju Bravo, zrób to samo. Bez odbioru.

Amerikanin wstał z klęczek i ostrożnie zbliżył się do celu, idąc po linii półkola. Swój MP5 przełączył na automat.

\* \* \*

Większą część tułowia Kazakowa zasłaniała stojąca przed nim żona, ale jego głowa była dobrze widoczna. Wiktor starał się oddychać powoli i miarowo, skupił się na rytmie swojego serca, a gdy zaczęło bić wolniej, ustawił krzyżyk dokładnie między brwiami swojej ofiary. Z palcem na spuście czekał, aby strzelić między jednym a drugim uderzeniem serca.

Ptaki w koronach drzew na chwilę przestały śpiewać.

Izolda odsunęła się, przepuściła męża i potężny Ukrainiec stanął w drzwiach.

Wiktor nacisnął spust longbowa.

## ROZDZIAŁ 52

14:06 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Coś przeleciało ze świstem na prawo od głowy Kazakowa - mężczyzna aż się cofnął. Zaraz potem usłyszał głośny brzdęk, jak gdyby ktoś walnął młotkiem w kawałek blachy, ale nie miał pojęcia, co to było. Przyłożył rękę do ucha. Wciąż nie wiedział, co się stało.

- Nic ci nie jest? - spytała Izolda.

- Nic. Coś tu zabrzączało. Może osa.

Nagle nad ich głowami przetoczył się jakiś dźwięk - niczym grzmot.

Kazakow i Izolda spojrzeli na siebie.

- Co to było? - spytała Izolda, która właśnie jadła liść sałaty.

Kazakow popatrzył w niebo. Było prawie czyste, zaledwie z kilkoma chmurkami, które na pewno nie wróżyły burzy. Skąd się wziął ten grzmot? Na lewo od nich szyba w oknie roztrzaskała się na kawałki. Izolda krzyknęła ze zdumienia i upuściła talerz, który rozbił się w drobny mak, a sałatka i kawałki porcelany rozsypały się po ziemi.

Nagle kawał muru eksplodował, a fragmenty cegieł uderzyły Kazakowa w rękę i w plecy.

Rozległ się kolejny grzmot.

- Co za cholera? - zdumiał się Kazakow.

Od strony domku gospodarczego nadbiegł jeden z ochroniarzy.

- Na ziemię! - krzyczał i histerycznie wymachiwał rękami. - Padnij!

Izolda zaczęła krzyżeć. Kazakow zaklął, był wściekły z powodu własnej głupoty. Rzucił się w kierunku żony. Cisnął ją na ziemię, a sam padł i zasłonił ją swoim ciałem.

Znowu rozległ się strzał.

\* \* \*

Kowboj Bravo był tak blisko celu, że odgłos wystrzału niemal go ogłuszył. Obserwowany wystrzelił, potem nastąpiła przerwa, a następnie drugi i trzeci strzał. Mężczyzna w *ghillie*, mający przy sobie MP5 znajdował się osiem metrów za nim.

\* \* \*

- Kowboj Daddy do Kowboja Gamma. Padły strzały. Powiedz mi, do cholery, jak

wygląda sytuacja. Odbiór.

- Chybił - odpowiedział Kowboj Gamma. - Cholera, chybił i to trzy razy. VIP-y zorientowały się, co się dzieje i padły na ziemię. Teraz osłaniają ich ochroniarze. Odbiór.

- Chryste, a ja myślałem, że ten facet jest dobry. Kowboj Bravo, zostań na swoim stanowisku. Nie strzelaj, powtarzam, nie strzelaj do tego dupka. Nie możemy go zabić, dopóki on nie odwali roboty. Bez odbioru.

\* \* \*

Wiktor stracił z pola widzenia Kazakowa i jego żonę, bo zaraz po trzecim strzale, kiedy pocisk zrobił dziurę w ścianie dachy, padli na ziemię. Przez lunetę widział teraz ochroniarzy, którzy klęczeli i osłaniaли swoich pracodawców. Wiedział, że gdy tylko będzie to możliwe, zabiorą ich w bezpieczne miejsce. Odłożył karabin i uklęknął.

Chwycił MP7 i ruszył biegiem w stronę dachy.

\* \* \*

- Tu Kowboj Bravo. Rzucił karabin i teraz z MP7 w ręku biegnie w stronę posesji. Wygląda na to, że chce to załatwić z bliskiej odległości. Odbiór.

- Zrozumiałem - dała się słyszeć odpowiedź Kowboja Daddy. - Biegnij za nim i nie spuszcza go z oczu. Bez odbioru.

Mężczyzna w *ghillie* pobiegł i okrążył łukiem miejsce, w którym przed chwilą leżał jego cel, który teraz znajdował się jakieś piętnaście metrów przed nim i szybko podążał w dół zbocza, przedzierał się przez krzaki, odchyłał i rozgarniał na boki małe gałązki.

Wiktor biegł tak przez kilkadziesiąt metrów. Zbocze było dość strome, pokryte kawałkami skał i grubą warstwą gleby ze spróchniałą leśną ściółką. Wszędzie rosły cienkie, wyciągające się ku słońcu drzewa, a pomiędzy nimi najróżniejsze rośliny rywalizowały o promienie słońca przebijające się przez baldachim zieleni. Wiktor biegł tak szybko, jak mógł. Przeskakiwał przez skały, uchylał się przed gałęziami i uważał, aby się przy tym nie potknąć.

Zauważył przed sobą powalone drzewo. Uznał, że jest odpowiednie i pobiegł w jego kierunku. Oparł się o nie rękami, przeskoczył na drugą stronę i uklęknął.

Dwadzieścia metrów za nim, dokładnie tą samą ścieżką, między drzewami przesuwiał się jakiś cień. Na pierwszy rzut oka trudno było go dostrzec, bo doskonale wtapiał się w otoczenie, ale nie było wątpliwości, że jest to człowiek z MP5. Wiktor wycelował w niego z MP7 i wypalił, echo wystrzału rozniosło się wśród drzew.

Zobaczył mgielkę z kropelek krwi i cień zniknął mu z oczu.

Przezesywał wzrokiem ścianę lasu i zieleni. Wiedział, że na pewno było ich więcej. W zaroślach tuż przy ziemi dostrzegł jakiś ruch. Jeszcze jeden w *ghillie*, na dziesiątej, w



odległości szesnastu metrów. Tam, gdzie stał Wiktor, zarośla były gęste i wysokie. Miał pół sekundy, aby zareagować. Jednak w tym momencie tamten przywarł do ziemi. Wiktor strzelił pierwszy, ale chybił i pociski tylko zdarły korę z najbliższego drzewa.

Człowiek w *ghillie* także oddał strzał, ale niemal niesłyszalny. Nie było też widać błysku z lufy. „A, więc ma MP5SD” - pomyślał Wiktor. Pociski przeleciały mu nad głową. Ukucnął, aby maksymalnie wykorzystać osłonę, jaką dawało powalone drzewo, ale wzrok utkwił w miejscu, w którym zniknął tamten człowiek. Jeśli chciałby tu wrócić i wejść pod górę, to Wiktor z pewnością by go zobaczył. Ale tamten mógł też iść równoległe do zbocza, a wówczas zarośla i wysokie rośliny dawałyby mu doskonałą ochronę. Drzewa co prawda były cienkie, ale było ich tu mnóstwo. Wbijał wzrok w zieleń i wypatrywał jakiejś poruszającej się gałązki lub spadających liści.

Wiedział, że już by nie żył, gdyby człowiek w *ghillie* nie przestraszył ptaków, które przestały śpiewać. Gdyby tamten bardziej uważał, to Wiktor zabiłby Kazakowa, a zaraz potem sam by zginął. Jednak nagła cisza nad głową uświadomiła mu, że ktoś go śledzi i chce go zabić, gdy tylko wykona zadanie.

No, to jeden z głowy. Drugi żyje i jest niedaleko. Wiktor nie miał pojęcia, ilu ich wszystkich było. Ale musiał być jeszcze przynajmniej jeden, który potwierdziłby, że Kazakow rzeczywiście nie żyje. A to oznaczało, że także podąży za Wiktorem, ale znajdował się w odległości ponad pół kilometra. Na razie można sobie nim nie zawracać głowy.

Kim mogli być jego prześladowcy? Chyba nie byli z Mossadu. Ci schwytaliby go podczas snu, zawlekli w jakieś odosobnione miejsce i tam wydobyliby z niego najdrobniejsze informacje. Nie byli to też ludzie Kazakowa. A więc kto ich nasłał?

Nagle trzy pociski trafiły w pień tuż obok jego ręki. Wiktor nie dostrzegł błysku z lufy - tłumik go wyeliminował. Strzelającego też nie mógł dostrzec. Mężczyzna w *ghillie* miał tak doskonały kamuflaż, że był niemal niedostrzegalny. Wiktor także strzelił i natychmiast pochylił głowę. Łuski z wystrzelonych pocisków odbiły się rykoszetem o pień drzewa.

Starał się oddychać wolno i miarowo, lecz adrenalina rozsadzała mu żyły. Tymczasem tętno powinno być o wiele wolniejsze. Szybkie bicie serca pomagało w czasie biegu, ale nie teraz, gdy musiał skoncentrować się na precyzyjnym strzale.

Kolejne pociski trafiły w pień drzewa, a kawałeczki drewna i kory wyleciały w powietrze i spadły na Wiktora. Pociski nie przestrzelały pnia na wylot - musiałyby być naprawdę potężne, a ten facet miał dziewięćmilimetrowe poddźwiękowe naboje. A to znaczyło, że MP7 Wiktora było o wiele lepsze niż MP5 jego przeciwnika. Jednak na takim terenie można było strzelać tylko na małą odległość i Wiktor nie mógł wykorzystać przewagi,

jaką dawało mu posiadanie lepszej broni.

Rzucił się w lewo, a gdy był już blisko podstawy pnia, wystawił nieznacznie głowę i broń. Badał wzrokiem wszystko dookoła, ale zanim zdążył cokolwiek zauważyć, padły strzały. Wiktor przeturlał się w bezpieczniejsze miejsce i zaczął głęboko oddychać. Tamten był gdzieś wyżej, idealnie zamaskowany. Trzeba było pozbawić go przewagi.

Wyskoczył z ukrycia i pobiegł przed siebie. Kluczył pomiędzy drzewami, kierował się na wschód, bo wiedział, że tam może zatoczyć szeroki łuk i pobiec w górę. Mięśnie łydek paliły, pociski świstały wokół niego, odrywały korę z drzew i ścinały co cięsze gałęzie. Kiedy znalazł się na tej samej wysokości co tamten, przypadł do podłoża. Wziął trochę wilgotnej ziemi i potarł sobie nią twarz, po czym ostrożnie przesunął się jeszcze trochę w górę wzgórza. Tamten na pewno nie pozostanie długo w tym samym miejscu, a jeśli będzie się przemieszczać, to w górę, a nie w dół zbocza.

Przeczołgał się kilka centymetrów do przodu. Podłoże było skaliste, w lesie panowała cisza, słychać było tylko delikatny szelest liści. Wiktor przywarł do ziemi. Roślinność zasłaniała mu widok, toteż ułożył się tak, żeby móc coś zobaczyć.

Dziesięć sekund później zauważył jakiś ruch. Nie widział człowieka w *ghillie*, ale spostrzegł kołyszące się gałązki, choć nie było wiatru. Nacisnął spust i posłał cztery pociski w gąszcz krzaków. Obserwował liście i gałęzie, ale nie wiedział, czy trafił.

Świst pocisków nad głową był wystarczającą odpowiedzią. Ze swojej pozycji Wiktor absolutnie nie mógł widzieć przeciwnika, ale nagle nad jego głową rozległa się dosłownie eksplozja zieleni. Odpowiedział strzałami, celował w największy gąszcz - nisko, bo wiedział, że tamten też na pewno przywarł do ziemi. Nie usłyszał odpowiedzi na te strzały, co oznaczało, że w końcu Wiktorowi udało się zmusić przeciwnika do pozostania w kryjówece.

Wiktor wychylił głowę. Chciał zobaczyć, skąd padały strzały, ale tamten był zbyt dobry i świetnie się ukrył. Widocznie uważał, że jego strój nie chroni go na tyle skutecznie, aby mógł zaryzykować podniesienie się z ziemi. Maksymalnie wykorzystywał wszystkie możliwości kamuflażu, jakich dostarczał mu teren. Był prawdziwym profesjonalistą, musiał służyć w oddziałach specjalnych - tego Wiktor domyślił się bez trudu. Jednak śledzenie jego samego wymagało olbrzymich umiejętności nawet od kogoś, kto miał na sobie *ghillie*.

Wiktor skorzystał z tego, że leży w niewielkim zagłębieniu terenu i odczołgał się do tyłu. Otarł pot z oczu i włożył nowy magazynek do swojego MP7. Co prawda w starym było jeszcze 6-7 naboí, ale to mogło nie wystarczyć. W przypadku broni automatycznej trudno podczas strzelaniny zorientować się, ile pozostało jeszcze pocisków. Wiktor zabrał ze sobą trzy magazynki. Teraz schował ten z resztką naboí do kieszeni kamizelki - w sytuacji

zagrożenia życia mogły one przyczynić się do wyjścia cało z opresji.

Wiedział, że jeśli sytuacja nie ulegnie nagłej zmianie, cała sprawa może się źle skończyć. Tamten w *ghillie* miał doskonały kamuflaż, a więc trudno było go dostrzec nawet z odległości piętnastu metrów; z większej było to całkiem niemożliwe. Jeżeli zarówno on, jak i Wiktor w tej samej sekundzie wystawiliby głowy, to nie miałby szans pierwszy go dostrzec - a z doświadczenia wiedział, że kto reaguje wolniej, ten umiera pierwszy. Wobec tego musiał się ruszyć.

Przeciwnik w krótkim czasie wystrzelił co najmniej siedem serii po trzy pociski w każdej, co oznaczało, że w sumie zużył dwadzieścia jeden naboł. Zostało dziewięć - o ile nie włożył nowego magazynka. Jednak zdaniem Wiktora raczej tego nie zrobił, bo wciąż miał 1/3 zawartości poprzedniego. A więc mógł jeszcze posłać trzy serie po trzy pociski. Oczywiście Wiktor wolałby, żeby było ich mniej, ale cóż mógł na to poradzić? Gdyby jednak wróg zmienił magazynek, to opracowany przez Wiktora plan szybko spełzyłby na niczym.

Zerwał się i pochyłony wybiegł sprintem ze swojej kryjówki. Podążał zygzakiem równoległe do zbocza. Za plecami usłyszał serię. Pociski ścinały zieleń i świstały w powietrzu, ale Wiktor biegł dalej. Kolejne strzały tym razem trafiły w pnie drzew, a na plecy i szyję Wiktora posypały się kawałki kory.

I wtedy strzały nagle ustały. Wiktor wiedział, że tamtemu zabrakło amunicji. Las był tu rzadszy, ale poszycie gęściejsze, sięgające niemal do kolan. To utrudniało szybki bieg, tymczasem samochód Wiktora znajdował się trzy kilometry stąd. Gdyby tylko udało mu się wydostać z obszaru zagrożenia, mógłby bez przeszkód biec prosto do auta, choć bardzo chciał dostać przeciwnika w swoje ręce i dowiedzieć się, kto go nasłał. Jednak taka zabawa w chowanego z zawodowcem w *ghillie* nie mogła się dobrze skończyć.

Teraz wróg przeładował broń i znowu miał w magazynku trzydzieści naboł, ale Wiktor był około czterdziestu metrów przed nim. Co prawda wciąż znajdował się w zasięgu strzału, ale osłaniała go gęsta roślinność, więc niełatwo było go trafić. Tuż przed nim poruszyły się gałęzie i nie był to ruch wywołany przez wiatr. Pojawił się kolejny strzelec, trzymał broń i teraz celował z niej prosto w Wiktora.

## ROZDZIAŁ 53

14:11 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Te poruszające się gałęzie stanowiły wystarczające ostrzeżenie i dały Wiktorowi czas na ukrycie się. Rzucił się na ziemię, zanim padły strzały, tak jak poprzednio, niemal niesłyszalne. Na jego plecy i głowę posypały się liście i kawałki kory. Przeturlał się na lewo, a następnie w dół zbocza. Był to najszybszy sposób wydostania się poza linię ognia.

To musiał być ten, który obserwował Kazakowa. Szybko tu dotarł, zapewne porozumiewał się przez radio z tamtym drugim i dlatego wyprzedził Wiktora. Jednak taki szybki sprint w górę zbocza, a przedtem jeszcze pokonanie muru okalającego posesję Kazaków wymagały dużego wysiłku i z pewnością przeciwnik Wiktora, bez względu na to, jak był sprawny, teraz był już zmęczony. Serce mu waliło, więc wykonanie precyzyjnego strzału było bardzo trudne. Jednak w tych warunkach nawet marny strzał mógł zatrzymać Wiktora, a teraz ścigało go już dwóch strzelców.

Mając jednego przeciwnika przed sobą, w odległości około piętnastu metrów, a drugiego mniej więcej trzydzieści metrów z tyłu, Wiktor mógł biec tylko w dwóch kierunkach. Mógł uciekać w lewo, ale tam czterysta metrów dalej znajdował się mur i nie było mowy o wspięciu się na niego bez zarobienia kulki w plecy, a z kolei za murem istniało olbrzymie prawdopodobieństwo natknięcia się na pięciu uzbrojonych ochroniarzy Kazakowa. Z kolei ucieczka w prawo oznaczała bieg pod górę, a wolno uciekający cel to martwy cel. Jednak nie mógł też dłużej pozostawać w miejscu, gdyż z każdą sekundą jego wróg zbliżał się, zwiększając szansę oddania celnego strzału.

Wiktor zdecydował się ruszyć w prawo. Biegł schylony, ścigany przez pociski wystrzeliwane przez tego drugiego, jednak nie były to celne strzały; być może strzelec był zbyt zmęczony albo po prostu daleko mu było do mistrzostwa w tym fachu. Wiktor biegł co sił w nogach, pokonując stromizną zbocza i zdając sobie sprawę, że jeśli się potknie lub zwolni, ułatwi zadanie przeciwnikowi, który już nie chybi.

\* \* \*

Przebiegł tak kilkanaście metrów i schował się za drzewem. Stał bokiem, aby być maksymalnie zasłoniętym i ciężko dyszał. Udało mu się schować przed jednym

przeciwnikiem, ale był jeszcze drugi i obydwaj porozumiewali się ze sobą przez radio. Drzewo, za którym się schował, rosło pod kątem 45° w stosunku do ziemi; jego pień rozdawał się i dalej obydwie odnogi splatały się. Wiktor schował się za grubszą z nich, spłoszył jaszczurkę i patrzył przez prześwit między pniami.

Spostrzegł drugiego Strzelca. Znajdował się w odległości dwudziestu pięciu metrów od Wiktora, do pasa schowany w trawach. Biegł śladem Wiktora i mierzył w jego stronę. Podobnie jak tamten, miał MP5SD i kamuflaż. Wiktor szybko wychylił się z kryjówki i wypuścił serię. Tamten natychmiast zanurkował w zieleń i odpowiedział ogniem.

Wiktor odwrócił się w prawo, wiedział, że pierwszy strzelec wykorzystał tę chwilę, aby się zbliżyć. I rzeczywiście. Po chwili zauważył, jak pochylony przebiegał od drzewa do drzewa - bardzo szybko, ale w pełni skoncentrowany. Gdy tylko wybiegł zza osłony nisko rosnących gałęzi, Wiktor strzelił. Były to pociski przebijające kamizelki kuloodporne. Nie spodziewał się, że trafi, gdyż bardzo trudno jest strzelać do szybko poruszającego się celu - na dodatek ukrytego w gąszczu, ale wiedział, że gdyby nic nie zrobił, tamci dwaj podeszliby jeszcze bliżej.

Po oddaniu strzału znowu pobiegł w górę zbocza i - tak jak poprzednio - po około dziesięciu metrach ukrył się za drzewem. Jednak teraz biegł o ułamek sekundy wolniej, a wiedział, że to wystarczy, aby zarobić kulkę w plecy. Ciężko dyszał, usta miał oblepione błotem i potem. Najchętniej zatrzymałby się tutaj, ale wiedział, że wtedy go okrążą. Musiał kontynuować bieg. Im dłużej to wszystko trwało, tym większe istniało niebezpieczeństwo, że nie wyjdzie z tego żywy. Musiał znaleźć jakiś pagórek, jakieś wybrzuszenie terenu, tam się schować i dopiero stamtąd strzelać. Na razie zatrzymał się na chwilę dla złapania tchu, po czym znów ruszył pędem. Usłyszał nad głową szum, rozkołysały się gałęzie. Coś ciężkiego uderzyło w pień drzewa, a potem upadło nieco wyżej.

Wiktor padł na ziemię, a dosłownie chwilę potem rozległ się potężny huk. Granat.

W mgnieniu oka w powietrze wyleciały ziemia, roślinność, kora i gorące kawałki metalu. Zapach granatu unosił się w powietrzu. Jednak Wiktor, pomimo że znajdował się w pobliżu, nie odniósł żadnych obrażeń. Śmiertelny zasięg rażenia takiego granatu wynosił około pięciu metrów, a w odległości do dwunastu metrów można było odnieść poważne rany. Mimo wszystko szrapnele mogły upaść znacznie dalej. A Wiktor znajdował się poniżej miejsca wybuchu.

Leżał bez ruchu w nadziei, że tamci dwaj pomyślą, że nie żyje, i wyjdą z kryjówek. Nagle nad jego głową przeleciał jeszcze jeden granat. Wiktor widział, jak upadł zaledwie dwa i pół metra od niego, więc przycisnął z całych sił dłonie do uszu. Wybuch nastąpił

natychmiast. W powietrze znowu wyleciała ziemia i masa liści, gałęzi oraz szrapneli. Powietrze było przepelnione dymem.

Wyglądało na to, że tamci wcale nie mieli zamiaru tak łatwo uwierzyć w jego śmierć.

\* \* \*

Jeszcze tylko kilka metrów i mógł znaleźć się po drugiej stronie zbocza, gdzie już nie będzie go chronić. Jednak coś powstrzymało Wiktora od opuszczenia kryjówki i kontynuowania sprintu. To był odgłos trzeciego granatu przeszywającego powietrze. Upadł niecały metr od twarzy Wiktora.

Granat odłamkowy wybuchł po 3-5 sekundach. Licząc, że sekundę trwał jego lot należało się spodziewać, że za 2-4 sekund głowa Wiktora rozprysnie się na mnóstwo krwawych kawałków. Nie ma czasu, aby podnieść się i uciekać. Pozostawało tylko jedno wyjście.

Wiktor złapał granat, zamachnął się i cisnął w stronę, z której nadleciał. Usłyszał głośny wybuch i odgłos szrapneli zdzierających korę z drzewa, za którym schował się Wiktor. W uszach mu dzwoniło.

Wątpił, czy któryś z jego prześladowców zginął, ale fakt, że otarli się o śmierć, z pewnością był dla nich zaskoczeniem i dezorientował ich, a Wiktorowi tylko o to chodziło.

Znowu zaczął biec, teraz nie w górę wzgórze, ale wzdłuż, w kierunku południowo-zachodnim. Biegając, układał sobie w głowie plan.

Po dwóch sekundach usłyszał stłumiony trzask wystrzału z MP5, a potem świst przecinających powietrze pocisków. To chyba strzelał ten pierwszy mężczyzna. Był gdzieś na prawo od Wiktora, a więc od zachodniej strony i kierował się na północ, ale był chyba nieco wyżej i nie można go było dojrzeć. Biegł, przeskakiwał przez kępy mchu i kamieni, walczył z trawami poszycia i omijał drzewa. Cztery metry, dziesięć - serce waliło mu coraz szybciej, mięśnie nóg dosłownie paliły. Strzały umilkły, co znaczyło, że przeciwnicy stracili go z oczu. Z pewnością go gonią, ale ponieważ obydwaj znajdują się na prawo, to nie mogą go okrążyć. Mogliby to zrobić tylko wówczas, gdyby znajdowali się z tyłu. Zatrzymał się na chwilę przy omszałym kamieniu, strzelił kilka razy do tyłu i znowu ruszył przed siebie. Wszędzie było pełno kamieni i splątanych pnączy, przez które trzeba było przeskakiwać. Po kilkunastu metrach padł na ziemię, przewrócił się na plecy i załadował MP7. Odetchnął głęboko i wdychał ciepłe powietrze. Nieco na wschód, około czterdziestu metrów powyżej znajdowało się jego snajperskie stanowisko. Leżał tam longbow, ale teraz nie miało to znaczenia. Na bliską odległość ten karabin był bezużyteczny, ale to skaliste miejsce było doskonałą kryjówką. Wiktor uniósł głowę, rozejrzał się i kucnął. Nie słyszał żadnych oznak zbliżania się

przeciwników, co oznaczało, że posuwają się ostrożnie naprzód. Wiedział, że zyskał nieco czasu. Gdyby pomyśleli, że pobiegł do swojej kryjówki, to tym lepiej dla niego.

Rozejrzył się ponownie i - tak, jak się spodziewał - na pniu drzewa dostrzegł krew. Tuż obok leżał na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami, mężczyzna w *ghillie*, którego Wiktor zastrzelił. W jego piersi widoczne były cztery małe dziurki. Zabrał mu radio, kamuflaż i zestaw słuchawkowy.

Przypiął radio do swojej kamizelki kuloodpornej, nałożył słuchawki i *ghillie*. Wziął też MP5SD zabitego. Teraz wzrosły jego szanse na wyrównaną walkę.

Podczołgał się do gęstwiny krzaków, uklęknął przy drzewie i czekał. Minęło kilkanaście sekund.

Nagle w słuchawce usłyszał ochrypy szept. To był Amerykanin, mówił z akcentem charakterystycznym dla południowych stanów.

- Tu Kowboj Daddy. Jestem w jego kryjówce. Nie ma go tu. Czy coś widzisz? Odbiór.
- Po sekundzie padła odpowiedź. Także w języku angielskim z południowym akcentem.
- Nie. Odbiór.
- Kowboj Gamma, podaj swoją pozycję.
- Jestem około dwudziestu metrów na zachód, na prawo od ciebie. Odbiór.
- Zrozumiałem. Bez odbioru.

„O, bardzo ci dziękuję” - pomyślał Wiktor i odwrócił się w prawo. Na godzinie jedenastej, około piętnastu metrów w kierunku północno-zachodnim, poruszyła się gałąź. Pochylony strzelec szedł wolno. Gdyby Wiktor nie wiedział, gdzie należało patrzeć, pozostałby niezauważony. Mężczyzna skierował się w jego stronę, ale nie dostrzegł go, ponieważ teraz Wiktor miał na sobie *ghillie*. Wiktor wycelował z MP5SD w pierś mężczyzny i strzelił. Dwa razy. Trafił. Mężczyzna upadł.

Strzały odbiły się wśród drzew cichym echem. Wiktor zbliżył się do zabitego, biegł od drzewa do drzewa, na wypadek gdyby jego towarzysz usłyszał strzały i chciał zobaczyć, co się stało. W ciele leżącego widoczne były dwie dziurki ponad sercem.

- Kowboj Gamma, gdzie padły te strzały? Odbiór - rozległ się szept w słuchawce.
- Sprawdzam - odparł Wiktor, który starał się naśladować silny południowy akcent zabitego. - Mam, trafiłem skurwysyna.

Teraz czekał na odpowiedź w nadziei, że udało mu się dobrze imitować wymowę zabitego, ale to czekanie zdawało się trwać wieczność. Wzrok miał cały czas utkwiony w miejscu, w którym znajdowała się jego pierwsza kryjówka. Zbocze było tu zbyt strome, aby można było ją zobaczyć, ale Wiktor miał nadzieję, że zauważy tamtego, gdy będzie się

zbliżał.

- Dobra robota - powiedział Kowboj Daddy. - Słuchaj, ale jednak spartaczyliśmy. Tamten widział i nie zabił swojego celu. A my nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy go sprzątnąć, co oznacza, że nasz klient się wścieknie jak cholera. Nie wiem, jak ty, ale ja zamierzam dostać pełną stawkę. Wobec tego zobaczmy, może nam się uda sprzątnąć tego VIP-a. Odbiór.

- Zrozumiałem - odpowiedział Wiktor.

- Wróć, przejdź przez ogrodzenie i pilnuj tych VIP-ów. Zdejmij tego faceta, jak tylko go zobaczysz. Jeśli będzie trzeba, to zabij wszystkich. Jeśli mamy to załatwić, to musimy się spieszyć. Rozejrzę się po kryjówce naszego chłoptasia, wezmę jego karabin i może okaże się, że strzelam lepiej od niego.

Wiktor policzył do dziesięciu i podczołgał się piętnaście metrów na północ, a potem na zachód. Następnie przemieścił się dwadzieścia metrów w górę wzgórza. Powoli zbliżał się do swojej pierwszej kryjówki. Zobaczył, że lufa pozostawionego tam karabinu się rusza.

Wiktor czołgał się i zatoczył półkole, aż znalazł się za snajperem. Teraz widział jego nogi wystające spod *ghillie*.

Dziesięć ostrożnych kroków i już tylko cztery metry dzieliły Wiktora od butów przeciwnika.

- Tu Kowboj Daddy. Gównno stąd widać. Nie ma się co dziwić, że ten fiut spudłował. Kowboj Gamma, leć tam szybko i zdejmij tamtego. Jak daleko jesteś? Odbiór.

Wiktor nie mógł teraz odpowiedzieć, bo znajdował się zbyt blisko.

- Kowboj Gamma, tu Kowboj Daddy. Czekam na podanie twojej pozycji. Odbiór.

Wiktor przyczołgał się jeszcze bliżej. Teraz był zaledwie kilkanaście centymetrów od snajpera. Wiedział, że czasem najlepiej sprawdzają się najprostsze triki, toteż trącił łokciem but przeciwnika i szybko schował się za drzewem z prawej strony. Kiedy snajper obejrzał się, aby sprawdzić, co się dzieje, Wiktor walnął go kolbą MP5 w głowę, dokładnie w miejscu połączenia z kręgosłupem. Mężczyzna upadł na twarz i znieruchomiał.



## ROZDZIAŁ 54

15:00 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Amerikanin ocknął się gwałtownie, gdy Wiktor spryskał mu twarz wodą. Otworzył szeroko oczy, skrzywił się z bólu rozsadzającego mu potylicę, ale natychmiast zdał sobie sprawę z sytuacji. Wiktor posadził go i oparł o omszały pień drzewa. Wykręcił mu ręce do tyłu i skrepował nadgarstki z drugiej strony pnia.

- Nie martw się, kiedyś należałem do skautów - poinformował go.

Snajper przestał się opierać. Wiktor zabrał mu zestaw radiowy, broń i kamizelkę. Nie znalazł niczego interesującego oprócz cukierków do ssania. Wziął te zielone. Jego skrepowany przeciwnik patrzył złowrogo, był przytomny. To dobrze.

Wiktor usiadł mu na goleniach. Snajper patrzył na niego z pogardą, ale za tą pozorną brawurą czaił się strach. Facet miał około czterdziestki, brązowe oczy i bardzo krótko przycięte włosy. Jego opalona twarz nosiła liczne ślady po ospie. Był umięśniony i wysportowany. Przez kilka dni nie mył się i nie golił, więc cuchnął, ale to samo Wiktor mógł powiedzieć o sobie.

Nawet w cieniu było gorąco, toteż od czasu do czasu Wiktor polewał sobie głowę wodą. Była ciepła, ale orzeźwiająca.

- Chcesz trochę? - spytał.

Amerikanin nic nie odpowiedział.

- Chyba nie muszę ci mówić, że są dwa sposoby załatwienia tej sprawy: łatwiejszy i trudniejszy - powiedział Wiktor i otarł sobie twarz.

Amerikanin nadal milczał.

- Widzę, że twardziel z ciebie. Jesteś dobrze wyszkolony, dużo umiesz. Na ramieniu masz tatuaż *De Oppresso Liber* czyli „Uwolnić ciemżonych”!

- I co z tego? - powiedział Amerikanin bardzo powoli.

- Ano to, że jest to motto sił specjalnych Stanów Zjednoczonych.

Amerikanin milczał.

- Nie ma sensu zaprzeczać, zresztą nieważne. Idę o zakład, że tamci dwaj mają identyczne tatuaże. A tak w ogóle, to oni nie żyją.

Amerykanin spojrzał Wiktorowi w oczy.

- Domyślam się, że służyliście razem w siłach specjalnych. Musieliście tworzyć naprawdę zgrany zespół, skoro do dziś razem pracujecie. Po zmarszczkach na twojej twarzy wnioskuję, że dużo czasu przebywałeś na słońcu bez okularów przeciwsłonecznych i mrużyłeś oczy. A więc jesteś weteranem z Iraku, może przedtem byłeś w Afganistanie. Od kilku lat już nie służysz w wojsku i zapewne wynajmowałeś się jako ochroniarz różnych firm w Bagdadzie. Forsa o wiele lepsza niż w siłach specjalnych, ale marnowałeś się tam, kiedy chroniłeś dyplomatów i ekipy dziennikarskie. To frustrujące uczucie, kiedy twoje umiejętności nabywane przez tyle lat się marnują, czyż nie? - Amerykanin nie odpowiedział, więc Wiktor ciągnął dalej: - Ale wtedy ktoś z armii zaproponował ci inną pracę, polegającą mniej więcej na tym samym, co robiłeś dla kraju, tylko lepiej płatną niż ta w ochronie. To był ktoś, kogo znałeś; ktoś, kto rozstał się z siłami specjalnymi jeszcze przed tobą. Na początku pewnie miałaś opory, bo raził cię charakter tej roboty. Może najpierw odmówiłeś, ale twój przyjaciel przekonał cię, że chodzi o jakiegoś złego faceta, więc właściwie to będzie dobry uczynek. Na dodatek niektórzy z twoich towarzyszy z oddziału wykonują tę robotę, więc chyba nie może być taka zła. I wtedy wszystko poszło tak dobrze, że potem podjąłeś się jeszcze jednej, a potem następnej i jeszcze kolejnej - i po jakimś czasie robiłeś już tylko to. Za każdym razem, gdy stawka szła w górę, ten głos gdzieś w głębi twojej głowy stawał się coraz cichszy, aż w końcu umilkł. I zanim się obejrzałeś, stałeś się płatnym mordercą.

Tamten patrzył na Wiktora zmieszany i wyraźnie nieswój.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. I wiem również, że teraz jesteś moim wrogiem tylko dlatego, że wykonujesz swoją pracę. Pomiędzy nami nie ma żadnych osobistych urazów.

- Z wyjątkiem tego, że zabiłeś dwóch moich towarzyszy - wzrok Amerykanina stał się twardy.

- Tak jest - przyznał Wiktor i kiwnął głową. - Zabiłem, ale w obronie własnej. Dla ciebie nie była to pierwsza strata, więc co za różnica. Przejdiesz nad tym do porządku dziennego.

Amerykanin spojrzał w bok.

- Musisz zdecydować - powiedział Wiktor. - Czy jestem dla ciebie tylko zawodowym zadaniem, czy też twoim osobistym wrogiem?

- Dlaczego?

Wiktor wbił w niego wzrok.

- Wiesz, dlaczego.
- Mógłbym skłamać.
- Poznałbym.

Amerykanin spuścił głowę i odetchnął głęboko, po czym znowu spojrzął na Wiktora i powiedział:

- Tak, jak mówiłeś, dla mnie to tylko praca. Nic więcej. Gdyby nasze role się odwróciły, zrobiłbym to samo, co ty. Nie mam do ciebie żadnych pretensji.

- To dobrze - stwierdził Wiktor. - Cieszę się, że tak to widzisz.

Wskazał butelkę z wodą, a Amerykanin skinął głową. Wiktor przytrzymał butelkę tak, aby mężczyzna mógł napić się przez słomkę, a on pociągnął kilka łyków.

- Więc co chcesz wiedzieć?

- Dla kogo pracujesz.

Amerykanin zmarszczył brwi:

- No, chłopie, przecież wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

Wiktor ze zrozumieniem kiwnął głową i odwrócił się, wyjął nóż z leżącej na ziemi kamizelki kuloodpornej, po czym znowu zwrócił się do Amerykanina.

- Nie jestem zwolennikiem tortur - powiedział i otworzył nóż. - Ale to nie znaczy, że się ich brzydzę. Wiesz równie dobrze jak ja, że im więcej widzisz krwi, tym jej widok robi na tobie mniejsze wrażenie - palcem sprawdził ostrość noża. - Mój problem ze stosowaniem tortur polega na tym, że jestem wielkim pedantem, a tortury to zawsze brudna robota. I dlatego wolę ich unikać.

- Ja również - odparł Amerykanin, który ani na chwilę nie spuszczał wzroku z noża.

- No, to wróćmy do mojego pierwszego pytania. Teraz dasz mi inną odpowiedź. Dopóki będziesz mówić prawdę, dopóty ja nie będę musiał użyć noża.

- Nie będę kłamać.

- Teraz wierzę, ale chodzi o to, żebym cały czas ci wierzył.

- Rozumiem.

- Więc dla kogo pracujesz?

- Dokładnie nie wiem - powiedział Amerykanin i potrząsnął głową.

- To niedobra odpowiedź.

- Zaczekaj. Z klientami zawsze gadał Shane i nikt więcej. Na tym polegała jego praca. Moim zadaniem jest tylko strzelanie. Shane był szefem.

Wiktor uniósł brwi.

- To ty jesteś Kowboj Daddy.

- Tak jest - przytaknął tamten. - To ja.

- I od czasu do czasu to ty planujesz operacje. Jak to robisz?

- Wszystko na komputerze. Tak jest najbezpieczniej. Na każde zlecenie zakładam nowy rachunek internetowy. Połowa pieniędzy przed robotą, a połowa po jej wykonaniu. Zawsze tak robię, wtedy klienci nie mogą sobie pogrywać.

- Ja też tak robię - przytaknął Wiktor, po czym wyjął z kieszeni telefon komórkowy i włączył go. Zasięg był doskonały, tego życzyła sobie elita Soczi.

- Podaj mi namiary na ten rachunek.

- Nie dostaniesz się na niego. Dostęp jest tylko z mojego domowego komputera.

- W jaki sposób dwójka twoich towarzyszy miała dostać drugą część zapłaty, gdybyś zginął?

- Nie wiem, co masz na myśli - obruszył się Amerykanin.

- Owszem, wiesz. Twoi chłopcy razem służyli w armii i razem zabijali. Wzajemnie chroniliście swoje życie, a nic innego tak nie zacieśnia więzi. Sam powiedziałeś, że to byli twoi towarzysze. A koledzy, którzy ochraniają się nawzajem w walce, nigdy nie przestają się o siebie troszczyć. Jeśli zarobiłbyś kulę, to nie zostawiłbyś ich bez pieniędzy. Dlatego oni też na pewno znają hasło do sejfu, jeśli z niego korzystałeś. A jeżeli trzymałeś wszystko w skrytce bankowej, to oni mają do niej klucze. Dostęp wyłącznie z twojego komputera nie jest dla nich wygodny. Dlatego pytam cię po raz ostatni. Szczegóły.

Amerykanin spojrzał na swoje nogi i ciężko westchnął.

- Zanim wyjeżdżaliśmy na operację, podawałem im hasło do konta. Dzięki temu każdy mógł się upewnić, że wszystko jest w porządku i sprawdzić uzgodnioną wysokość stawki oraz inne detale.

- Jak dobry kolega.

Amerykanin podał Wiktorowi hasło, a on zalogował się i wszedł na konto. W skrzynce e-mailowej były trzy wiadomości od jakiegoś anonimowego klienta bądź pośrednika. Przeczytał je w takiej kolejności, w jakiej napłynęły. Pierwsza z nich zawierała propozycję pracy oraz wysokość stawki plus dodatkowe możliwości. Na tę Shane odpisał z wyrazami zainteresowania. Następna wiadomość zawierała dossier na temat Wiktora, zaś kolejna - wyjaśnienia. Otworzył załącznik i przeczytał wszystko. Trochę go to zaskoczyło, ale bez przesady.

Siedem miesięcy temu czytał podobny dokument, ale składał się on tylko z jednej kartki - oceny jego fizycznych możliwości i zdjęcia twarzy. To dossier było dosyć długie. Można się było z niego dowiedzieć, ile waży, ile ma wzrostu, jaki kolor włosów oraz oczu.

Widniała tam informacja o tym, że jest praworęczny, ale potrafi sprawnie posługiwać się lewą ręką. Zamieszczono także listę języków, jakimi się posługiwał. Na osobnej kartce były wymienione jego umiejętności i biegłość w sztukach walki oraz niektóre cechy szczególne. Niezwykle wymowne były dwa zdjęcia: jedno *en face*, a drugie z profilu. Miał na nich bardzo krótkie włosy, na przedramieniu zaschniętą krew i inne rany. Nie miał pojęcia, że został sfotografowany, gdy leżał ranny w szpitalu. Nie pracował wówczas jeszcze dla CIA.

Dalej w dossier można było przeczytać o zawartym przez niego kontrakcie na zabicie Kazakowa oraz wymogach, jakimi objęte było to zlecenie. Wiktor miał zginąć dopiero, gdy zabije handlarza broni, a jego ciało miało być ukryte tak, aby nigdy nikt go nie znalazł. W aktach była też wyszczególniona broń, jaką Wiktor otrzymał na tę akcję. Z dopiskiem: *Natychmiast poinformować o wyeliminowaniu celu.*

Szczęki Wiktora się zacisnęły.

- Jak wiele innych kontraktów zrealizowałeś dla tego klienta?

- Tylko jeden - odparł Amerykanin i wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalały mu skrępowane z tyłu ręce.

- Opowiedz mi o nim.

- To było w ubiegłym tygodniu w Bejrucie. Miałem porwać jakiegoś skurwysyńskiego handlarza broni, jego żonę i dzieci.

- Handlarza broni? - zdziwił się Wiktor i zmarszczył brwi.

- Tak.

- Imię, nazwisko.

- Człowieku, nie wiem. Jakieś pojebane imię. No, wiesz, jakie imiona się zdarzają.

- Baraa Ariff.

Amerykanin potwierdził:

- Tak, to on. Skąd wiedziałeś?

Wiktor popatrzył do góry. Wiatr poruszał delikatnie gałęziami.

- Gdzie zawieźliście Ariffa z rodziną?

- Nigdzie.

- To co z nimi zrobiliście?

Amerykanin wyglądał przez chwilę na zdziwionego.

- A jak myślisz? Zabiliśmy ich.

Wiktor ściągnął brwi.

- I rodzinę też?

- Tak.

- To po co ich porywaliście, skoro mieliście ich zabić?
- Bo nasz klient życzył sobie, żeby ich torturować i wszystko sfilmować.

Wiktor znowu zmarszczył brwi. Starał się nie wyobrażać sobie, jak to wyglądało.

- Często tak robisz?
- Nie. A ty?
- Nigdy - odparł Wiktor.
- To dobrze - Amerykanin spojrział w bok.
- Podaj mi szczegóły tej sprawy - adres mailowy, który wówczas założyłeś.

Amerykaninowi szczeka opadła ze zdziwienia.

- Nie pamiętam, słowo daję.
- OK. Wierzę ci.

Jeszcze przez chwilę czytał maile, aby przemyśleć słowa Amerykanina i ton głosu, jakim je wypowiedział. Zastanawiał się nad wysłaniem informacji o sfinalizowaniu kontraktu przez tych Amerykanów. Nie było sensu kazać zakładnikowi układać treści tej wiadomości, pewnie zrobiłby coś nie tak - albo specjalnie, albo pod presją sytuacji. Wobec tego Wiktor sam ją napisał i wysłał potwierdzenie.

Był już spakowany i posprzątał teren najlepiej, jak mógł. Wątpił, że Kazakow skontaktował się z milicją, ale inni mogli usłyszeć strzały. Dlatego nie chciał być tu dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Wyłączył blackberry i zarzucił plecak na ramię. Amerykanin cały czas bacznie go obserwował.

Wiktor wyciągnął z kabury Mk23.

- Chwila, a po co to? - spytał Amerykanin, który otworzył szeroko oczy i zaczął się wrywać.

Wiktor odbezpieczył broń.

- Nie byliście pierwszą ekipą, która ostatnio usiłuje mnie zabić. Prawdę mówiąc, jednego takiego puściłem wolno, ale nie zrobiłbym tego, gdyby on wcześniej zabił czyjeś dzieci - Wiktor wycelował w czoło Amerykanina. - Nawet tacy jak my muszą znać pewne granice.

## ROZDZIAŁ 55

BOLONIA, WŁOCHY

14:25 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Alberto Giordano siedział przed jedną ze swoich ulubionych małych kafejek w centrum miasta, popijał kawę i rozkoszował się widokiem każdej ładnej przechodzącej kobiety. Promienie słońca grzały mu plecy. Kafejka mieściła się przy jednej z cichych uliczek, a Giordano był jej jedynym gościem.

Giordano był rzymianinem, ale wiele lat temu zakochał się w Bolonii - tym wspaniałym, pulsującym życiem mieście, przyjaznym, wesołym, niezepsutym i pięknym. Był bardzo zadowolony, że może tu mieszkać i pracować. W młodości Giordano marzył, aby zostać artystą, tworzyć współczesne arcydzieła, które pewnego dnia zawisną w galeriach obok, tak podziwianych przez niego, dzieł mistrzów renesansu. Jednak z malowania obrazów trudno było wyżyć i w końcu znajomy przyjaciółki Giordano znalazł mu bardziej dochodowe zajęcie.

Ktoś mógłby powiedzieć, że wszystkie marzenia Giordano w zetknięciu z rzeczywistością prysły, ale trudno mu było się smucić, gdy życie okazało się takie piękne.

Właśnie ulicą przeszły dwie bardzo zgrabne młode kobiety, stukając obcasami po wyłożonych kamiennymi płytami chodnikach, a Giordano zaklaskał w takt tego stukotu. Jednak musiał jeszcze nieco popracować nad swoimi metodami podrywania, które tak cieszyły Włoszki, ale peszyły cudzoziemki. Te dwie zachowały się tak, jak Włoszki: uśmiechnęły się i zerknęły w jego stronę, szepcząc coś do siebie. Gdyby nie czekał na klienta, na pewno jakoś by zareagował, a tak tylko figlarnie im pomachał.

Jakiś mężczyzna usiadł naprzeciwko Giordano i zaraz zjawił się kelner, aby przyjąć zamówienie. Giordano dał mu znak, że prosi o rachunek, i dopił swoją kawę. Słońce już nie grzało go w plecy. Obejrzał się i zobaczył, że tuż za nim usiadła jakaś puciołowata kobieta, o krótko, po męsku obciętych włosach, której przyjscia wcale nie zauważył. Giordano rozżłościł się, że siedzi tak blisko i nie będzie mógł swobodnie rozmawiać z klientem, więc odsunął nieco swoje krzesło.

Gdzie jest kelner z rachunkiem? Giordano spojrział na zegarek i czekając na kelnera,

zaczął wyjadać okruszki ciabatty ze swojego talerzyka. Gdzieś w pobliżu zatrzymał się jakiś samochód.

Nie zwróciło to jego uwagi, dopóki nie usłyszał, że otwierają się rozsuwane drzwi, a na swoim stoliku zobaczył cień jakiegoś człowieka. Odwrócił się, aby zobaczyć, kto to taki, ale wówczas wstał też mężczyzna, który siedział przy jego stoliku. Giordano zdziwił się i również chciał wstać, ale wielkie ręce tamtego przygwoździły go do krzesła i zaraz potem poczuł przeszywający ból w krzyżu paraliżujący całe jego ciało. Giordano dostał drgawek i spadłby z krzesła, ale wielkie ręce podtrzymały go. Użyto wobec niego paralizatora.

Po chwili jeszcze kilka rąk chwyciło go za nogi, uniosło go do góry i poniosło w stronę półciężarówki. Kiedy wsadzano go na tylne siedzenie, nie mógł się ani ruszyć, ani krzyżeć. Następnie, drzwi zamknęły się i Giordano poczuł, że leży na zimnej metalowej podłodze, nadgarstki ma okryte plastikową taśmą, która ścisza je aż do bólu, tą samą taśmą ma zaklejone usta, na głowie worek, zaś dokoła są jacyś obcy ludzie, którzy rozmawiają w nieznanym mu języku.

- Jeśli będziesz się szarpać - usłyszał kobiecy głos, mówiący po włosku z obcym akcentem - to znowu zastosujemy paralizator. Jeżeli zrozumiałeś, co powiedziałam, to kiwnij głową - Giordano skinął głową. - Jedziemy w pewne miejsce, gdzie będziemy mogli sobie porozmawiać - mówiła dalej kobieta - i jeśli odpowiesz na nasze pytania wyczerpująco i nie będziesz kłamać, to nic ci się nie stanie. Znowu, kiwnij głową, jeżeli zrozumiałeś.

Giordano potwierdził, ale zawsze potrafił poznać, że ktoś kłamie i dlatego zaczął pochlipywać.

Jechali ulicami Bolonii, a obolały Giordano leżał na zimnej, metalowej podłodze. Jego prześladowcy nic nie mówili ani do niego, ani do siebie. Wiedział, że jest ich co najmniej trzech: jeden mężczyzna w charakterze kierowcy - ten który usiadł przy jego stoliku w kawiarni, kobieta, która w kawiarni usiadła za nim, i facet, którego ręce przygwoździły go do krzesła. Giordano nie miał pojęcia, kim są ci ludzie ani czego chcą.

Podjęcie walki nie miało sensu. W najlepszym razie zabiliby go czymś, co jak sądził, było rodzajem paralizatora, a w najgorszym... - o tym nawet nie chciał myśleć.

Mniej więcej po piętnastu minutach samochód się zatrzymał. Giordano cały zeszytniał z przerażenia na myśl, co się teraz może wydarzyć. Przez materiał worka na głowie dostrzegł nagle światło, kiedy otworzono drzwi samochodu. Znowu czyjeś ręce chwyciły go za nogi i za ręce i wytaszczyły z półciężarówki. Giordano poczuł podłogę pod stopami i stanął podtrzymywany przez kogoś.

- Pamiętaj, że masz udzielać nam wyczerpujących odpowiedzi, a nic ci się nie stanie -



przypomniała mu kobieta.

\* \* \*

Giordano miał wrażenie, że prowadzą go przez jakąś opuszczoną fabrykę lub magazyn. Choć nadal go podtrzymywano, szli tak szybko, że ledwie mógł nadażyć. Każdy krok odbijał się echem.

- Stop - powiedziała kobieta i Giordano zatrzymał się. Usłyszał jakby brzęk łańcuchów. I rzeczywiście, poczuł je dookoła nadgarstków, po czym łańcuch został podciągnięty do góry tak, że Giordano stał, dotykając podłogi tylko czubkami palców. Wyciągnięte w górę ramiona bolały go tak bardzo, że aż się skrzywił z bólu. Nic nie widział. Nogi również miał spętane taśmą.

Zaskrzypiały koła i rozległ się gruchot czegoś, co ciągnięto po nierównej podłodze. To coś zatrzymało się przed Giordano, który ze strachu zaczął szybciej oddychać. Serce mu waliło.

Ktoś zerwał mu worek z głowy i Giordano zmrużył oczy, chociaż w pomieszczeniu wcale nie było jasno. Po chwili jego oczy przyzwyczyły się do półmroku panującego w pomieszczeniu i zobaczył, że rzeczywiście znajdują się w jakimś olbrzymim pomieszczeniu fabrycznym lub magazynowym.

Naprzeciwko Giordano stali jakaś kobieta i mężczyzna. To była ta sama kobieta, która siedziała za nim w kawiarni. Natomiast tego mężczyzny nigdy przedtem nie widział. Był bardzo wysoki, krótko ostrzyżony i miał grube, niemal zrosnięte brwi. Stał w niedbalej pozie, ale emanowała z niego siła. Obok kobiety stał wózek, taki, jakiego używają mechanicy. Na wózku leżały obcegi, nożyce i inne narzędzia tnące, jakiś pas, piła i palnik propanowy do lutowania.

Z ust Giordano wydobył się stłumiony krzyk.

- Jeśli będziesz z nami szczery, to żaden z tych przyrządów nie będzie potrzebny - powiedziała kobieta.

Giordano ledwie słyszał jej słowa. Nie spuszczał wzroku z wózka. Napiął łańcuch, ale udało mu się tylko oderwać nogi od podłogi i zawisnąć na rękach.

Potężny mężczyzna wystąpił naprzód i wymierzył Giordano tak silny cios w żołądek, że ten zaczął kaszlać i dusić się taśmą, którą miał zaklejone usta.

Kiedy w końcu doszedł do siebie, mężczyzna zerwał mu taśmę z ust.

- Chcemy tylko informacji - powiedziała kobieta - którą ty posiadasz. Jeśli nam powiesz to, co chcemy, to cię puścimy. Jeżeli nie, to traktuj to, co się dzieje, jako wstęp do dalszej części.

Mówiąc to, kobieta przesunęła dłonią po kolekcji leżących na wózku narzędzi.

- Nie, proszę - błagał Giordano.

Kobieta podeszła do niego, trzymając w ręku nóż do cięcia tektury. Giordano zaczął krzyczeć i starał się odsunąć od ostrza, ale wielki mężczyzna chwycił go za nogi i trzymał, a kobieta rozcięła Giordano koszulkę od góry aż do pasa i przycisnęła mu ostrze do brzucha.

Strach niemal sparaliżował Giordano, łzy płynęły mu po policzkach.

Kobieta wyciągnęła zdjęcie mężczyzny i spytała:

- Gdzie jest ten człowiek?

- Nie wiem, przysięgam.

- Kłamiesz - powiedziała kobieta, przyciskając mu mocniej nóż do brzucha. - Był tutaj, w Bolonii, widziano go z tobą dwa tygodnie temu. Dwa razy się z nim spotkałeś. Twoi ludzie to potwierdzili.

- Ale nie wiem, dokąd pojechał - krzyknął Giordano, próbując odsunąć się od noża. - Nie wiem.

- Dlaczego do ciebie przyszedł? Czego chciał?

- Informacji.

- Na jaki temat?

- Miał kamerę i chciał, żebym się dowiedział, skąd pochodzi.

- I dowiedziałeś się?

- Podąłem mu nazwę firmy: Lancet Incorporated. Tylko tyle udało mi się znaleźć.

Kobieta wymieniła kilka zdań z tym wielkim mężczyzną. Rozmawiali w języku, którego Giordano nie rozumiał.

- Co jeszcze mu dałeś?

- Nic, przysięgam.

Kobieta popatrzyła na niego badawczo.

- Boisz się go, mam rację?

Giordano milczał.

- Nie musisz potakiwać. Widzę to w twoich oczach. Moim zdaniem to zabawne, że ośmielasz się kłamać mi prosto w oczy, podczas gdy ja mogę zadać ci najgorszy, niewyobrażalny wręcz ból.

- Nie kłamię.

- Jasne, że nie.

Mówiąc to, kobieta błyskawicznym ruchem rozcięła mu brzuch. Trysnęła krew.

Giordano krzyknął.

Szarpał się i szamotał na łańcuchach, ale tamten mężczyzna ciągle przytrzymał go za nogi.

- Jesteś mistrzem w podrabianiu dokumentów. Co mu załatwiłeś? Paszport?

- Tak - zdołał wydusić Giordano. - Paszport. Podrobiłem dla niego paszport.

- No, teraz już lepiej - powiedziała kobieta z zadowoleniem. Odłożyła nóż na wózek i odwróciła się do Giordano. - O wiele lepiej. A na jakie nazwisko wystawiłeś ten paszport?

- Tolento Lombardi - odpowiedział.

- Pamiętaj, przecież powiedziałam, że nic ci nie zrobię, jeżeli będziesz mówić prawdę - przypomniała mu kobieta, znowu odwracając się do wózka. - Jednak niestety wolałeś rozpocząć od okłamania mnie, wobec tego nie wierzę w nic, co mówisz.

Twarz Giordano wykrzywił potworny ból brzucha. Czuł, że wypływa z niego krew. Był cały spocony.

- Przepraszam, proszę, nie będę już kłamać. Proszę.

- Zdaniem niektórych, tortury nie są skuteczne - odparła kobieta ciągle odwrócona plecami do Giordano - ale nie działają tylko wtedy, gdy osoba, która je zadaje nie ma pojęcia, jak się to robi. Natomiast ja uczyłam się tej sztuki ponad dziesięć lat w wielu krajach. Poznałam wszystkie istniejące techniki, zarówno współczesne, jak i te stosowane w starożytności, ale od pewnego czasu nie miałam okazji ich stosować - kobieta w końcu odwróciła się, trzymając w ręku palnik na propan. - I dlatego, Alberto, bardzo się cieszę, że skłamałeś. Dziękuję ci za to.

Mówiąc to, kobieta zapaliła palnik.

## ROZDZIAŁ 56

MOSKWA, ROSJA

PIĄTEK 18:25 CZASU MOSKIEWSKIEGO

Julia Jelczina stała pośrodku jednej z hurtowni należących do firmy Kazakowa. Co prawda handel bronią był prowadzony tak, jakby zajmowała się nim jakaś korporacja międzynarodowa, jednak nie istniała główna siedziba, żaden biurowiec. Kazakow stworzył w tym celu strukturę podobną do siatki terrorystycznej. Jej poszczególne komórki funkcjonowały niezależnie od siebie, ale każda z nich otrzymywała rozkazy od kierownika stojącego na wyższym szczeblu. Ten z kolei odpowiadał przed dyrektorem podległym zarządowi, w którym Jelczina i Burliuk byli wiceprezesami. Oczywiście na szczycie tej całej hierarchii stał Władimir Kazakow. Był prezesem - przynajmniej dotychczas.

Z siedmioosobowego zarządu na spotkanie zdołało przyjechać tylko pięciu jego członków. Pozostali byli zbyt daleko, aby móc się zjawić, ale Jelczina wkrótce miała się z nimi skontaktować i poinformować ich o zmianie na szczycie. Żądza władzy sprawiała, że trzęsły jej się ręce. Jeszcze nigdy nie czuła się tak podekscytowana.

Hurtownia była pusta, nie było w niej żadnego towaru, miała służyć jedynie jako dowód prowadzenia działalności. Od czystej i lśniącej podłogi odbijało się światło jarzeniówek wiszących w długich rzędach. Sufit podpierały metalowe filary. Klimatyzatory wisiały beczynnienie. Podniesiono wielkie metalowe drzwi znajdujące się w jednym końcu pomieszczenia, aby umożliwić wjazd samochodów uczestników zebrania. Były wśród nich dwa bentleye, jeden rolls-royce, limuzyna ZIL oraz trzy BMW. Jelczina zaparkowała swojego mercedesa na zewnątrz.

Burliuk wraz z pięcioma członkami zarządu stali razem, a ich kierowcy i ochroniarze czekali na zewnątrz. Wszyscy byli elegancko ubrani, tak jak Kazakow sobie życzył. Dominował u nich kolor szary - garniturów bądź siwizny. Niemal wszyscy oprócz Burliuka byli otyli. Burliuk, podobnie jak Kazakow, regularnie ćwiczył. Jelczinie całe lata zajęło zaskarwienie sobie szacunku tych ludzi, zazwyczaj uważających kobiety za istoty nie potrafiące logicznie myśleć.

Dla nich liczyły się wyłącznie pieniądze, a jeżeli Jelczinie udałoby się ich przekonać i

uzyskać ich poparcie, dzięki niej staliby się jeszcze bogatsi.

- Panowie - zaczęła. - Przepraszam, że was tu wezwałam, ale mam wam wszystkim do zakomunikowania bardzo złą wiadomość - spojrzała na podłogę, a potem rozejrzała się po hurtowni, jakby walczyła ze sobą, co ma teraz powiedzieć. Westchnęła ciężko. - Władimir nie żyje.

Zapadła cisza. Na twarzach zebranych odmalowało się niedowierzanie, a następnie szok.

- Jak to, co ty mówisz? - spytał ktoś.

- Jak to się stało? Kiedy? - dorzucił Burliuk.

Jelczina starała się jak mogła, aby wyglądać na przybitą, ale nie przesadnie, bo uznaliby ją za słabą kobietę.

- Dzisiaj rano został zamordowany. Był z Izoldą w Soczi.

Jeden z grubasów zaprotestował:

- To niemożliwe. Usłyszelibyśmy już o tym.

- A co z Izoldą - zapytał Burliuk z desperacją w głosie. - Czy jest bezpieczna?

- O ile wiem, tak.

Wśród zgromadzonych przeszedł pomruk zdumienia i wściekłości, a Burliuk wyglądał na bardziej zszokowanego, niż Jelczina się spodziewała. Ukraińiec zapewne powtarzał sobie w myślach to, co ma powiedzieć jako spadkobierca schedy po Kazakowie.

- Jak wszyscy wiecie - dodała Jelczina - już sześć tygodni temu w Bukareszcie ktoś próbował zabić Kazakowa i wygląda na to, że próbę ponowiono i tym razem się powiodła. Sądzę, że teraz wszyscy wiemy, kto stoi za tym atakiem, nieprawdaż?

Na twarzach zebranych odmalowało się zmieszanie.

- Baraa Ariff - powiedziała Jelczina. - Jak wiemy, Egipcjanin ostatnio przedsięwziął cały szereg wymierzonych przeciwko nam działań. Te bezprecedensowe ataki kosztowały nas setki milionów dolarów oraz życie wielu ludzi. Jednak największą stratą jest dla nas śmierć Władimira.

Wzniosła oczy do góry i zaczęła głęboko oddychać. „Tylko nie przeholuj” - pomyślała.

Nagle ktoś z zebranych krzyknął:

- Ale jak Ariff mógł to zrobić? Przecież on nie żyje!

Zawtórowały mu pomruki zgody i kiwanie głowami.

- Obawiam się, że musiał wydać rozkazy odnośnie zamordowania Władimira, zanim jeszcze sam zginął - wyjaśniła Jelczina. - Albo też jest to zemsta jego następców.

Wśród zebranych padły przekleństwa.

Burliuk patrzył na nią, ale z jego wzroku nie można było nic wyczytać.

- Będziemy mieć czas na oplakiwanie Władimira - mówiła Jelczina. - Ale on zbudował to imperium własnymi rękami i nie chciałby, aby się rozpadło, gdy jego zabraknie. Musimy je odbudować i wzmocnić. Ono musi być silniejsze, niż było.

- Tak - Racja.

- Wobec tego musimy działać szybko i zdecydowanie, aby ktoś niepowołany nie wykorzystał miejsca po Władimirze.

- Tak jest - oświadczył jeden z członków zarządu. - Musimy starać się naprawić szkody wyrządzone przez tę wojnę.

- Musimy wybrać nowego przywódcę. Kogoś, kto będzie wszystkim zarządzał, gdy Władimira już z nami nie ma - rzucił gruby mężczyzna.

- Ale kogo? - padło pytanie.

- Oczywiście spadkobiercą spuścizny po Władimirze jest Tomasz - powiedziała Jelczina i spojrzała na Burliuka. - On był mu bliższy, niż my wszyscy razem wzięci.

Wszyscy z wyjątkiem Burliuka zaczęli kiwać głowami.

- I - dodała - równie mocno jak Władimir był żądny krwi Ariffa. To oni dwaj doprowadzili do tej wojny i jego śmierci, dlatego nie możemy pozwolić, aby znowu rządził nami taki sam szaleniec.

Burliuk patrzył na Jelczinę stalowym wzrokiem, ale bez słowa. A ona w twarzach zebranych wyczytała wszystko, co chciała wiedzieć. Nikt nie odważyłby się wypowiedzieć słów, jakie przed chwilą padły, ale wszyscy się z nimi zgadzali - a przynajmniej kłamstwa Jelcziny ich do tego przekonały.

- Wobec tego - mówiła Jelczina - proponuję, abym to ja przejęła spuściznę po Władimirze. Oczywiście, o ile zarząd się zgodzi.

Zebrani mężczyźni spoglądali na siebie nawzajem, a co odważniejsi rzucali spojrzenie na Burliuka. Wszyscy byli bogaci i potężni, ale w głębi duszy każdy był tchórzem.

W końcu jeden z nich kiwnął głową.

- Tak, Julia powinna przejąć rządy.

- Zgoda - odezwał się inny.

Pozostała trójka także wyraziła aprobatę. Przypominało to efekt domino: gdy trąci się jedną kostkę, przewracają się wszystkie po kolei, aż do ostatniej. Jelczina powstrzymywała uśmiech, popatrzyła na Burliuka, który wyglądał na przestraszonego.

- Czy chciałbyś coś powiedzieć, Tomaszu?

Burliuk nie odpowiedział tylko patrzył przestraszonym wzrokiem.

Brak jakiegokolwiek sprzeciwu z jego strony sprawił, że Jelczina poczuła strach przed stojącą przed nią władzą.

- Nie masz nic do powiedzenia? - spytała.

- Ja mam - dał się słyszeć głos Kazakowa.

Echo rozniosło się po całej hurtowni, a wszyscy odwrócili się, aby go zobaczyć - Kazakowa, który właśnie wchodził w asyście pięciu ochroniarzy.

Jelczina wytrzeszczyła oczy. Nie mogła w to uwierzyć. Tymczasem Kazakow szedł w jej stronę - olbrzymi, imponujący, przerażający. Jelczina sięgnęła po broń.

Jednak zanim jej ręka dotknęła pistoletu, ochroniarze Kazakowa wyciągnęli swoje i zaczęli do niej krzyczeć, aby przestała, więc pokazała puste dłonie.

- Nie rozumiem - zdołała tylko wyjąkać, gdy stanął przed nią Kazakow.

- Nie musisz rozumieć, Julio - odparł Kazakow i wałnął ją w twarz prawym prostym. Złamał jej kość policzkową i szczękę, a tym samym powalił na ziemię.

Kazakow skrzywił się i strzepnął kilkakrotnie rękę, a półprzytomna Jelczina leżała na podłodze i jęczała.

- Panowie - Kazakow zwrócił się do zebranych. - Przepraszam, że zostaliście oszukani, ale zapewniam was, że odegranie tego dzieciennego teatrzyku było konieczne. Tylko dwie osoby wiedziały, że udaję się do Soczi: Tomasz i Julia. A jednak ktoś usiłował mnie tam zabić. Po tym przemówieniu Julii rozumiecie, kto to był.

- Nie - zdołała wybełkotać Jelczina.

- Cicho bądź, moja słodziutka - zwrócił się do niej Kazakow. - Później będziesz miała mnóstwo czasu, aby wrzeszczeć - uśmiechnął się i popatrzył na Jelczinę. - A tobie się wydawało, że to, co zrobiłem Ariffowi, było bardzo okrutne.

\* \* \*

Kazakow i Burliuk przyjechali do daczy handlarza broni. W posiadłości Kazakowa trwał wielki remont. Podłoga w korytarzu była przykryta folią, wszędzie piętrzyły się stosy cegieł, metalowe pręty, śruby, narzędzia, a grube na dziesięć centymetrów laminowane szyby stały oparte o ścianę. Każde okno w daczy było wymieniane na kuloodporne, w każdym pokoju instalowane były czujniki ruchu oraz kamery. Dom Kazakowa zawsze był dobrze chroniony, ale teraz miał stać się fortecą.

- Przepraszam za ten bałagan - powiedział Kazakow do Burliuka, gdy weszli na piętro - ale chyba rozumiesz, że to konieczne. Ciesz się, że nie sprawdzali, czy nie przemycasz czegoś w dziurach w zębach.

Kazakow zaprosił Burliuka do gabinetu i zamknął drzwi.

- Siadaj - powiedział Kazakow, zajmując miejsce za biurkiem. - Izolda jest na dole. Silna z niej kobieta, ale chyba zbyt długo zostawiałem ją samą tylko z ochroniarzami.

- Zrób sobie wolne, zostań z Izoldą - poradził mu Burliuk. - Julia już nie żyje, a tym samym i jej plan przejęcia władzy. Przez jakiś czas ja się wszystkim zajmę, a w międzyczasie ty zatroszcz się o żonę.

Kazakow kiwnął głową.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że ta rosyjska kurwa myślała, że może wszystko przejąć.

- I słono zapłaciła za swoje złudzenia.

Ta uwaga wywołała uśmiech na twarzy Kazakowa.

- Powiedz mi, Tomaszu, jak w czasie mojej nieobecności załatwiliście sprawę zamówienia dla Korei Północnej?

- Przykro mi, Władimirze, ale oni wycofali się z tego zamówienia na MiG-i. Chyba kupią je w Indiach.

- Spodziewałem się tego. Ci ludzie boją się własnego cienia. Szkoda, ale chętnych na nasz towar nie brakuje.

- Oby tak było, Władimirze, ale coraz mniej jest dyktatorów i reżimów chcących tylko od nas kupować broń. Wiesz równie dobrze, jak ja, że ten kontrakt z Koreańczykami był dla nas niezwykle ważny. Minie dużo czasu, zanim znowu nabiorą do nas zaufania. A kto inny chciałby skorzystać z naszej oferty? Ile konfliktów obecnie na świecie rozgrywa się z udziałem czołgów i samolotów odrzutowych? Teraz wojny prowadzi się inaczej. Obecne czasy to era terrorystów i partyzantów, a oni posługują się karabinami i granatnikami.

- Masz rację - przytaknął Kazakow. - Powiedz mi, czy można w końcu mieć wystarczająco dużą władzę i dość pieniędzy?

- Nie rozumiem - powiedział Burliuk.

- Wycofuję się.

- Kiedy podjąłeś tę decyzję?

- Gdy w Soczi snajperski pocisk przeleciał o milimetr od mojej głowy.

- Doprawdy?

- No, nie zupełnie, ale niedługo potem jechaliśmy z Izoldą na lotnisko, a ona była przerażona, płakała. Usiłowałem ją uspokoić, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. A ona coś mamrotała, czego ja nie zrozumiałem, i trzymała się za brzuch. Myślałem, że została ranna, bo kiedy zaczęła się ta strzelanina, rzuciłem się na nią i przewróciłem na ziemię. I wtedy ona powiedziała mi, że jest w ciąży.



- Co takiego?

- Będziemy mieli dziecko. Wreszcie - powiedział Kazakow, wstając.

Burliuk stał z otwartymi ustami i szukał w myślach stosownej odpowiedzi.

- Twoje maniery są dziś okropne - zauważył Kazakow. - Zazwyczaj w takim momencie składa się gratulacje.

- Przepraszam. I gratuluję, Władimirze.

Obydwaj mężczyźni uścisnęli się, ale uścisk Burliuka był niemal omdlały.

- Kompletnie mnie zaskoczyłeś, Władimirze.

- Nie mogę powiedzieć, żebym ja też nie był zaskoczony - powiedział Kazakow, patrząc w bok.

- Jak to?

Kazakow machnął ręką.

- A, nieważne - uśmiechnął się. - Powinieneś ją zobaczyć. Jest taka szczęśliwa, tak się cieszy. Zawsze chciała tylko jednego - dziecka. I teraz to się ziści.

- Będzie wspaniałą matką.

- Wiem.

- A ty równie wspaniałym ojcem.

- Nic mi o tym nie wiadomo - Kazakow uniósł brwi.

- Jednak będę traktować to dziecko jak własne.

Burliuk patrzył na niego okrągłymi ze zdziwienia oczami i ze zdumienia zapomniał zamknąć usta.

- Nie dziwiłeś się, dlaczego nie mamy dzieci? Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, ale na pewno byłeś ciekaw. Wina leży po mojej stronie. Rzecz jasna nigdy nikomu o tym nie powiedziałem. Izolda też nigdy nie poruszała ze mną tego tematu, chyba bała się mojej reakcji.

Burliuk kręcił wolno głową.

- Więc jeśli nie ty jesteś ojcem, to kto?

- Myślałem, że ty.

- Słucham?

- Znasz mnie dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie jestem głupi. Widziałem, jak patrzysz na Izoldę i jak zawsze na nią spoglądałeś.

Burliuk rozłożył dłonie:

- Władimirze, ja nigdy, naprawdę...

Kazakow machnął ręką.

- Wierzę ci, Tomaszu, wierzę. Kochasz się w niej, przecież wiem, ale ona traktuje cię jak młodszego brata. Wiem, że z tobą by mnie nie zdradziła. Z kimś innym - tak, ale z tobą - nigdy.

Oczy Burliuka zwęziły się, stając się dwiema szparkami.

- Nie mam zamiaru pytać, kto jest ojcem, bo nie chcę wiedzieć. Będę się starał traktować to dziecko jak swoje. Zrobię to dla Izoldy, nie dla siebie. Gdybym przez tyle lat oszukiwał ją i nie mówił jej prawdy, to co innego, a tak - miała prawo tak postąpić.

- Bardzo szlachetnie - wymamrotał Burliuk.

Raptem Kazakow stanął tuż przed nim, zacierając ręce.

- Powiedz mi Tomaszu, czy ci żal mnie, czy siebie?

Burliuk nie odpowiedział.

- To musi być bolesne: przez te wszystkie lata pożądać Izoldy, gdy tymczasem ona dzieli łożę ze mną. A teraz musi boleć nawet mocniej, bo wiesz, że wybrała innego, a nie ciebie. Może nawet kilku - bo takie mam informacje.

- Władimirze...

- Milcz. Nic nie mów. Przez wszystkie lata stałeś u mego boku. Jesteś moim prawdziwym przyjacielem, jedyną osobą na całym świecie, oprócz mojej żony, której mogę ufać - Kazakow poklepał Burliuka po ramionach. - Przypomniałem sobie, że nadal nic nie wiemy o tym, kto chciał mnie zabić w Bukareszcie.

- Jasne, że Jelczina.

Kazakow potrząsnął głową.

- Julia dopiero poddana wyrafinowanym torturom przyznała się do wynajęcia tego płatnego zabójcy, ale cały jej plan polegał najpierw na zdyskredytowaniu mnie i ciebie dzięki wojnie z Ariffem, a następnie na przejęciu władzy. Zabicie mnie wcześniej, zanim rozgorzała ta wojna, nie pozwoliłoby jej osiągnąć tego celu, bo wtedy ty zostałbyś wybrany na przywódcę imperium. A więc to nie była Julia. To tobie najbardziej zależało na tym, abym pojechał do Bukaresztu negocjować z pośrednikiem ten kontrakt z Koreą Północną. Po co jechaliśmy do Bukaresztu, skoro Koreańczycy byli skłonni przyjechać do Moskwy? - powiedział Kazakow, ściskając Burliuka za ramiona.

- Władimirze, ależ ja nie...

Burliuk poczuł na szyi uścisk olbrzymich dłoni Kazakowa, więc chcąc się uwolnić, chwycił je w przegubach, ale nie dorównywał siłą Kazakowowi.

- Niedawno rozmawiałem z twoim kolegą Petrenką - powiedział Kazakow. - Zapłaciłem mu, ale wcale nie dużo, i powiedział mi całą prawdę o tym, co wydarzyło się w

Mińsku. Zawarłeś umowę z Yamoutem. W zamian za skontaktowanie go z Petrenką wyświadczył ci jakąś przysługę. Ciekaw jestem jaką - może wynajął ci zabójcę? Takiego, którego nie można powiązać z twoją osobą.

- Nie - zdołał wycharczyć Burliuk.

- Wiem, że nigdy nie podzielałeś ambicji Jelcziny - stwierdził Kazakow. - Wobec tego dlaczego chciałeś mnie zgładzić, skoro nie interesował cię mój biznes? Odpowiedź jest prosta. Izolda. Nie wierzyłem w to, nawet gdy dowiedziałem się o twoim układzie z Yamoutem. Mówiłem sobie, że to kłamstwo, że wyjaśnienie jest inne. Kiedy jednak powiedziałem ci o romansie Izoldy, nie byłeś w stanie ukryć swego gniewu. I wówczas zrozumiałem, że to jednak prawda.

Kazakow ścisnął mocniej. Twarz Burliuka była czerwona, a teraz pojawiły się na niej nabrzmiałe żyły. Tomasz Burliuk wiał się, waląc rękami w Kazakowa, który bynajmniej nie unikał ciosów. Przyjmował każdy jako cenę przyjaźni.

- Gdybyś tylko mógł walić, jak bokser wagi ciężkiej - zachęcał go Kazakow.

Wargi Burliuka posiniały, oczy wyszły na wierzch.

- Właściwie to nie mam do ciebie pretensji - stwierdził Kazakow. - Ty pierwszy ją spotkałeś, ale pomimo tego, że jesteś przystojny, Izolda wybrała mnie, a nie ciebie. Na twoim miejscu, na pewno postąpiłbym tak samo - tylko że ja, rzecz jasna, nie zawałiłbym sprawy.

Ręce Burliuka zwisały bezwładnie, nogi zwiotczały, a głowa opadła na pierś. Kazakow wciąż trzymał go za gardło, podtrzymując w ten sposób cały ciężar ciała Burliuka. Trzymał tak długo, aż serce tamtego przestało bić.

Wówczas zawołał ochroniarzy i kazał im pozbyć się ciała, a sam zszedł na dół wybierać z żoną kolory do dzieciennego pokoju.

## ROZDZIAŁ 57

WASZYNGTON, STANY ZJEDNOCZONE  
PONIEDZIAŁEK 21:05 CZASU WSCHODNIEGO

Procter wjechał na parking koło Burger Kinga. To był kwadratowy kawałek wyasfaltowanej powierzchni, pamiętającej lepsze lata. Procter zobaczył błękitnego lincolna zaparkowanego w najdalszej części parkingu, choć wszystkie inne samochody stały bliżej restauracji. Skierował się w tamtą stronę. Klienci nigdy nie lubią iść dalej niż to absolutnie konieczne. Procter podjechał swoim buickiem do lincolna i zaparkował obok. W powietrzu unosiła się woń dymu i tłuszczu.

Procter miał otwarte okno, a Clarke zobaczywszy kolegę, otworzył swoje.

- Dobry wieczór, Rolandzie.
- Mam złe wieści - odparł Procter, ale i bez tego widać to było po jego minie.
- Domyślam się.
- Tesseractowi nie udało się zabić Kazakowa.

Clarke wpatrywał się w Proctera przez dłuższą chwilę z otwartymi ustami. Procter wiedział, że jego przyjaciel przetwarza w myślach usłyszane słowa. W końcu Clarke sapnął i pokręcił głową. Nic nie powiedział, ale był wyraźnie rozczarowany. Nawet bardziej, niż Procter się spodziewał. Nagle Procter usłyszał niskie basy, a właściwie to raperskie paskudztwo. Ktoś przejeżdżał obok nich z radiem nastawionym na cały regulator. Okazało się, że ta diabelska muzyka płynie z cadillaka, ale kierowcy nie było widać. Procter tylko westchnął i cmoknął językiem.

- Kazakow wrócił do Moskwy - wyjaśnił. - W całej Agencji aż huczy, że ktoś próbował go zdjąć, gdy był na urlopie. A koło jego dachy znaleziono kilka ciał. Najwyraźniej coś się pochrzało. Ze ściany dachy wyciągnięto pociski, to Lapua Magnum kaliber .338 - dokładnie takie, o jakie prosił Tesseract.

- Czy on nie żyje? - spytał Clarke, patrząc na Proctera.
- Jak dotąd, znaleziono trzy niezidentyfikowane ciała. Widziałem zdjęcia. Nie ma wśród nich ciała Tesseracta.

Procter jeszcze nigdy nie widział go tak przejętego. Nie spodziewał się, że jego

przyjaciel wpadnie w złość. Clarke nie podniósł głosu, nikogo nie obwiniał, był tylko zdenerwowany.

- Wygląda na to, że jeśli chodzi o Tesseract, to cały czas miałeś rację - powiedział Procter najbardziej współczującym tonem, na jaki tylko było go stać. - Zawiódł już drugi raz i narobił strasznego zamieszania. Przepraszam, że wcześniej cię nie posłuchałem.

- Rolandzie, zapewniam cię: wcale nie cieszy mnie fakt, że miałem rację - westchnął ciężko Clarke.

Procter powoli kiwnął głową.

- Czy wiesz, co poszło nie tak? - spytał Clarke.

Procter wzruszył ramionami i skrzywił się.

- Niedokładnie. Tesseract nie zdał raportu z tego, co się wydarzyło, ale czy to ważne? Teraz, po tym co się stało, już nigdy nie dostaniemy Kazakowa. Mowy nie ma. Otoczy się małą armią ochroniarzy. Jeśli chcielibyśmy go dopaść, to chyba musielibyśmy przypuścić na Moskwę atak raketowy. Cała ta afera spadła na nas i co z tego mamy? To nie była żadna wojna, tylko potyczki.

- Na razie to jest nasze ostatnie spotkanie - oświadczył Clarke.

- Zgoda. Oczywiście o wszystkich ważnych sprawach będę cię informować na bieżąco.

- Ja też.

- Boże, a niemal nam się udało - westchnął Procter.

Clarke przytaknął.

- A co z Tesseractem? - spytał.

- Będziemy musieli się go pozbyć.

- Ale jak? Przez tę całą aferę mamy związane ręce.

- Zgodnie z planem.

- Czyli?

- Nic dramatycznego - wyjaśnił Procter. - Pamiętaj, że ten facet ma wielu wrogów.

Na ustach Clarke'a pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Wydaje mi się, że jeden z oficerów rosyjskiego wywiadu nie był zachwycony Tesseractem.

- Faktycznie - przyznał Peter. - Nie musimy brudzić sobie rąk, tylko przekazemy jego akta i może powiemy, gdzie będzie można go znaleźć. Rosyjskie służby specjalne radzą sobie z problemami o wiele lepiej od nas.

- Rolandzie, jesteś złym człowiekiem.

- Nigdy w życiu.

\* \* \*

Godzinę później Procter siedział w domu i gorączkowo usiłował w swoim gabinecie otworzyć butelkę merlota, choć nieczęsto sięgał po alkohol. Wszystko, nad czym tak ciężko pracował, waliło się. Wojna, która powinna była powstrzymać napływ rozmaitych broni, skończyła się, zanim tak naprawdę się zaczęła. Ariff nie żył, ale zginął za wcześnie. Kazakow przeżył zamach. A na domiar złego jeszcze ci Izraelczycy nadal węszyli, starając się dowiedzieć, kto sprzątnął ich ludzi, ale na szczęście im to nie wychodziło. Nalał sobie jeszcze jedną lampkę wina.

Procter mieszkał w Georgetown. Teraz w ciszy mógł wszystko ponownie przemyśleć. Patricia leżała w łóżku i oglądała operę mydlaną, a Roland Jr już na szczęście spał. Procter na ogół nie uważał się nad sobą, ale teraz uważał, że miał do tego prawo. Cóż innego mógł zrobić? Przemyślał ponownie wszystkie wydarzenia minionych tygodni. Plan wydawał się dobry. Oczywiście istniało ryzyko, że może się nie powieść, ale zdaniem Proctera należało oczekiwać sukcesu. Miał poparcie Clarke'a, wybrał dobrego snajpera, więc wszystko powinno pójść gładko.

Wino było smaczne, więc nalał sobie jeszcze trochę. Pił, a alkohol ciekł mu po brodzie. Na monitorze komputera miał akurat otwarte akta Tesseracta. Nie zawierały zbyt wielu informacji na jego temat, lecz wystarczyły, by móc go odnaleźć. Należało tylko posłać odpowiednich ludzi. Procter nie chciał tego robić. Ostatecznie to on wciągnął Tesseracta do tych operacji, jednak musiał zakończyć sprawę. Ten zabójca zwrócił na siebie i na Proctera zbyt wiele uwagi, a nie można było pozwolić, żeby nadal spokojnie chodził po świecie. Procter napisał e-mail, dołączył materiały dotyczące Tesseracta i ustawił kursor na opcję „Wyślij”.

Dopił resztkę wina i wytarł usta. Prawą dłoń ciągle jeszcze trzymał na myszy. „Przykro mi, chłopie” - pomyślał. Zanim jednak zdążył wysłać wiadomość, na ekranie pojawiła się ikonka informująca, że ktoś chce z nim rozmawiać. Procter uniósł zdziwiony brwi i zaakceptował połączenie.

- Właśnie o tobie myślałem - powiedział.

Jego rozmówca mówił po angielsku, ale Procter nigdy nie potrafił powiedzieć, czy z amerykańskim, czy z brytyjskim akcentem. Czasem mówił w ogóle bez żadnego akcentu, więc Procter nie miał pojęcia, jakiej narodowości był Tesseract.

- Masz dokładnie minutę, by przekonać mnie, że nie masz nic wspólnego z tym, co się właśnie stało - powiedział Tesseract niskim i lodowatym głosem. - Jeśli ci się nie uda, to rozłączam się i pierwszym samolotem przylatuję do Stanów. Chyba się domyślasz, co się

potem stanie.

Procter zasepił się.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Zostało ci pięćdziesiąt siedem sekund.

Procter wyprostował się, usiłując zebrać myśli i przeklinając pomysł wypicia wina, które tylko spowalniało tok jego myślenia.

- Jeżeli coś się wydarzyło, to przestań ze mną pogrywać i powiedz, o co chodzi.

- Pięćdziesiąt sekund.

- Jezu, a co to, kurwa! Chyba nie mówisz poważnie. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi!

- Czterdzieści sześć sekund.

- OK - powiedział Procter. - Ktoś próbował cię zabić, czyż nie? Dlatego jesteś taki wściekły. I myślisz, że to ja go nasłałem. Otóż nie. Przysięgam.

- Trzydzieści siedem sekund.

- No dobra, dobra. Chcesz jakichś bardziej przekonujących wyjaśnień, ale ja nie wiem, co powiedzieć, bo nie wiem, co się wydarzyło.

- Trzydzieści jeden sekund.

Procter nachylił się i chwycił obydwoma rękami za biurko.

- No, podpowiedz mi trochę, o co chodzi, przecież widzisz, że się staram. Ustaliliśmy, że ktoś próbował cię zabić. I myślisz, że to ja go nasłałem. No, dobra, a więc to miało miejsce wówczas, gdy realizowałeś ten kontrakt związany z Kazakowem. Czy tak? Czekali na ciebie, więc sądzisz, że cię wystawiłem.

- Osiemnaście sekund.

„Cholera” - pomyślał Procter.

- Więc sądzisz, że chciałem twojej śmierci, aby chronić własną skórę przed Mossadem. Rozumiem, dlaczego tak myślisz, ale potrzebuję cię, a to zagrożenie ze strony Mossadu nie jest tak duże, jak się początkowo wydawało. Nie posunęli się ani o krok w poszukiwaniach ciebie. A poza tym ja nie zrobiłbym czegoś takiego. Pamiętam, jak to było ostatnim razem, i nie chcę, żebyś mnie znalazł.

- Przyjeżdżam do ciebie. Masz dziewięć sekund.

- Proszę. Musisz mi uwierzyć.

- Siedem sekund.

- Nie rozłączaj się. Możemy coś z tym zrobić, ale potrzebuję więcej czasu, by zrozumieć, co się stało.

- Trzy sekundy.

- Kurwa - zaklął Procter, waląc ręką w biurko. - Nie rób tego.

- Dwie sekundy.

Procter wziął głęboki oddech.

- OK. Wygrałeś. Nazywam się Roland Procter. Jestem wicedyrektorem do spraw Tajnych Służb w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mam żonę i dwoje dzieci. Mieszkam w Waszyngtonie, w dzielnicy Georgetown.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Wiedziałeś, jak wyglądam - ciągnął Procter - a teraz znasz moje imię i nazwisko, stanowisko, jakie zajmuję oraz wiesz, gdzie mieszkam. Znalezienie mnie zajmie ci jeden dzień, a przedtem potrzebowałbyś na to miesiąca. Czy przekonałem cię, że to nie ja nasłałem na ciebie zabójcę?

Nie było odpowiedzi. Procter oddychał ciężko, serce waliło mu jak oszałałe.

- W porządku - powiedział wreszcie Tesseract. - Wierzę ci.

Procter odetchnął głęboko.

- Boże, ale mi serce wali - powiedział, przyciskając dłoń do piersi.

- Pamiętaj, żadnych bluźnierstw.

Procter opadł na krzesło i otarł pot z czoła.

- Musisz mi powiedzieć, co się stało - powiedział.

- Całymi dniami czatowałem w kryjówce na Kazakowa. Z miejsca, które wybrałem, oddałbym doskonały strzał, ale dosłownie ułamek sekundy przed tym zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje. Było ich trzech, zawodowcy. Amerykanie, wszyscy z sił specjalnych. Czekali, aż zabiję Kazakowa, a potem oni zabiliby mnie.

- Kurczę - sapnął Procter.

- Ktoś dał im dossier na mój temat, a w nim zdjęcia zrobione, gdy byłem w szpitalu, zanim jeszcze się poznaliśmy.

Procter szczypał skórę pomiędzy brwiami.

- A więc - ciągnął Tesseract - jeśli to nie ty, to kto mnie wystawił?

Procter sapnął ciężko i z rezygnacją potrząsał głową.

- Mój kolega - powiedział wreszcie. - Tylko on i ja wiedzieliśmy, że masz zabić Kazakowa.

- Jak on się nazywa?

- Nie, nie, nie powiem.

- Naprawdę powinieneś to przemyśleć.

- Słuchaj, nie wiem, dlaczego to wszystko się wydarzyło, ale nie wydam na niego



wyroku śmierci. To mój przyjaciel.

- Żaden z niego przyjaciel, bo ciebie też wystawił.

Procter usiadł.

- Po prostu próbował nas chronić - w głupi sposób, ale rozumiem, dlaczego tak postąpił. Pomówię z nim. Nie dobierzesz się do niego, więc zapomnij o nim.

- Zadałem kilka pytań dowódcy tych najemnych morderców - dodał Tesseract. - Powiedział, że zanim dostali zlecenie na mnie, wykonali inną robotę w Bejrucie. Porwali Baraa Ariffa i jego rodzinę, torturowali ich, a w końcu zabili. I wszystko sfilmowali.

- Co takiego? - tylko tyle był w stanie z siebie wydusić Procter.

- To mi nie wygląda na zwykłe zabójstwo, ale na morderstwo, które zlecił ktoś, kto rzeczywiście nie znosił Ariffa i chciał się na nim zemścić. Załóżmy, że tym kimś jest Władimir Kazakow, kolega po fachu. Tylko, że on - w przeciwieństwie do Ariffa - handluje wyłącznie bronią ciężką. A więc nie konkurują ze sobą, wobec tego w jakim celu Kazakow miałby kazać przed zabiciem torturować Ariffa i jego rodzinę? Oznacza to, że przyczyna tego mordu była inna, a jej źródło należy szukać w zabójstwie Farkasa, który, nie zapominajmy, miał być zabity tylko i wyłącznie za pomocą ładunku dostarczonego przez Georga.

- To był dobry plan - wtrącił Procter.

- To dlaczego twój kolega nasłał morderców na Ariffa? Przecież z pewnością kazałbyś mi zabić tego, kto przeżył tę wojnę. Po prostu nie chciałeś, żeby Kazakow i Ariff wzajemnie się pozabijali. Ty chciałeś, żeby najpierw ich siatki zostały nadwątlone, żeby zniszczyć handel bronią, a nie żeby usunąć zawiadujących nim ludzi, których można zastąpić innymi. A więc atak na Ariffa nie ma sensu, chyba że komuś szczególnie zależy na tym, aby to Ariff, a nie Kazakow przegrał tę wojnę. I ten ktoś, komu na tym zależy, nie współdziała z Kazakowem, bo wtedy nie miałoby sensu polecenie, że mam zostać zabity dopiero wówczas, gdy zabiję Kazakowa. A więc to musi być jeden z ludzi Kazakowa, który chce przejąć po nim schedę. Bez wątplenia tak jest. Przykro mi, że to właśnie ja muszę ci o tym powiedzieć, ale ten twój przyjaciel cały czas cię wykorzystywał w tej rozgrywce.

Procter ukrył twarz w dłoniach i przejechał palcami po oczach i policzkach.

- O kurwa - syknął.

- Czy nadal jesteś pewny, że nie chcesz mi powiedzieć, jak on się nazywa?

- Porozmawiam z nim i załatwię to - odparł Procter cichym, zdecydowanym tonem.

- Lepiej to zrób, bo mam jeszcze trochę złych wieści.

- No, to już, wal.

- Myliłeś się, mówiąc, że cały miesiąc będę cię szukać.

- Co takiego?

- Zajęło mi to czterdzieści osiem godzin. W niewielu miejscach można w porze lunchu kupić kanapkę ze stekiem na tyle blisko Langley, żeby można było wrócić w porę do pracy. Personel w barze „Nelson” był bardzo pomocny. Teraz już wiem, dlaczego tak lubisz tam jadać. Doprawdy smacznie, ale żeby bywać tam codziennie? To ich jedzenie to bomba cholesterolowa, zatyka arterie. Przy twojej wadze powinieneś bardziej uważać i dużo ćwiczyć. Wyślę ci e-mailem zestaw ćwiczeń.

- Co?! - wyjąkał Procter, wybałuszając oczy.

- Och, i jeszcze jedno. Zanim zapalisz silnik swojego buicka, zajrzyj pod samochód. Tylko upewnij się, że przecinasz właściwy kabel. Zielony, a nie niebieski.

Połączenie zostało przerwane.

- Chryste...

Procter przyłożył dłoń do piersi. Długo trwało, zanim jego serce przestało łomotać. Zaraz potem Procter poszedł do samochodu, który jak zwykle stał na podjeździe. Przyniósł z garażu latarkę i obcęgi, nachylił się i zajrzał pod auto. Pod siedzeniem kierowcy była bomba podłączona do rozrusznika. Procter wziął głęboki oddech i ostrożnie przeciął zielony kabel.

Nic się nie stało. Procter delikatnie wyjął bombę.

- Chryste - powtórzył.

Kliknięciem myszki otworzył wiadomość e-mailową, którą właśnie miał wysłać, a kolejnym - skasował ją. Po czym wstał, by przynieść drugą butelkę wina.

Tak, ten Tesseract jest niebezpieczny i nieprzewidywalny. Procter uważał, że go kontroluje, tymczasem okazało się, że jest zupełnie odwrotnie. Gdyby wysłał tę wiadomość, to zaraz miałyby więcej bomb w różnych miejscach, lecz w zaistniałych okolicznościach to całkiem zrozumiałe. Cholera, Procter zaczynał lubić tego faceta.

## ROZDZIAŁ 58

RZEKA POTOMAK, WIRGINIA

WTOREK 11:19 CZASU WSCHODNIEGO

Na końcu żyłki tańczył okoń. Clarke wyciągnął go z uczuciem niewielkiego triumfu. Ryba nie była zbyt duża, miała może trzydzieści centymetrów długości i ważyła niewiele ponad kilogram - zawsze coś. Clarke siedział sam w łódce, napawając się słońcem. Wiał lekki wietrzyk, woda była spokojna i w zasięgu wzroku nie było nikogo.

To ojciec nauczył go łowić ryby i choć Clarke nie wyprawiał się na wędkowanie zbyt często, lubił to robić, jeśli tylko miał czas. Zresztą lekarz powiedział mu, że to działa dobrze na ciśnienie krwi. Clarke uniósł rybę, aby dobrze jej się przyjrzeć. Bez przerwy otwierała i zamykała pyszczek.

- Jesteś tylko wstrętną rybą - powiedział, wrzucając ją z powrotem do wody.

Sięgnął na tył łódki i wyjął z przenośnej lodówki puszkę budweisera, przyłożył do czoła i dopiero wtedy otworzył. Pociągnął łyk. Piwo było zimne i orzeźwiające. Otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał na rzekę. Co to były za miesiące! Niemal osiągnął cel, prawie udało mu się to, co było niemożliwe, czyli uregulowanie handlu bronią - ale jednak nie całkiem. Znowu pociągnął porządny łyk.

Zadzwoiła komórka i Clarke zdziwił się, widząc na wyświetlaczu numer Proctera.

- Myślałem, że przez jakiś czas będziemy trzymać się od siebie z daleka - powiedział.

- Ta sprawa nie może czekać. Gdzie jesteś? - odparł Procter.

\* \* \*

Procter czekał przy samochodzie zaparkowanym na poboczu kilkaset metrów od rzeki. Wyglądał na wściekłego. Nikogo nie było w pobliżu.

- Wywiodłeś mnie w pole, Peter, po prostu mnie oszukałeś.

- Słucham?

Procter podszedł bliżej. Miał na sobie garnitur, w którym chodził do pracy, i ciemne okulary.

- Nawet nie próbuj zaprzeczać. Wiem, co wyczyniałeś ostatnimi czasy.

- Chodziłem na ryby.

Procter prychnął.

- Świetnie. Cieszę się, że nie opuszcza cię poczucie humoru, ale ja mówię o twoich nikczemnych knowaniach z Julią Jelcziną.

Clarke'owi udało się nie zaczerwienić.

- Co takiego?

- Kilku ludzi chciało zlikwidować Tesseracta, gdy był już o krok od zabicia Kazakowa. To ty, chcąc chronić nas przed Mossadem, nasłałeś ich na Tesseracta. Nie podoba mi się to, Peterze, ale mogę to zrozumieć, chociaż wysłanie ich przeszkodziło Tesseractowi w zabiciu Kazakowa. Jednak okazało się, że to byli ci sami ludzie, którzy porwali i zamordowali Ariffa. Cóż za dziwny zbieg okoliczności.

Clarke uniósł w górę rękę.

- Nie wiem, skąd masz te wszystkie wiadomości, ale są błędne.

Procter potrząsnął głową.

- Zechcesz powiedzieć mi, po co dwa i pół tygodnia temu byłeś na Heathrow dokładnie w tym samym czasie, co Jelczina? Myślałeś, że się o tym nie dowiem? Czuję się urażony, że takie masz o mnie zdanie.

- Rolandzie, proszę...

- Zamknij się. Milcz, do cholery. Przez cały ten czas tylko mnie wykorzystywałeś. Nigdy nie stałeś po mojej stronie, czyż nie mam racji? Co tak naprawdę chciałeś osiągnąć, pomóc Jelczinie zdobyć władzę?

Clarke odetchnął głęboko. Mrużył oczy, bo raziło go słońce.

- To tylko część prawdy.

- Tak? To jaka jest reszta?

- Kiedy przejęłaby kontrolę nad imperium Kazakowa, to sprzedawałaby broń tylko tym kupcom, których byśmy zaaprobowali.

- I ty w to uwierzyłeś?

- Tak - powiedział szybko Clarke. - Oczywiście, że tak. Rolandzie, znam Julię od czasów zimnej wojny i ufam jej. Twój plan nigdy by nie wypalił. Wzajemna walka zmęczyłaby Kazakowa i Ariffa i w końcu by ustała, a wtedy my nie osiągnęlibyśmy niczego. Niczego. A mój plan pozwalał Jelczinie przejąć również siatkę Ariffa. Byłaby jedynym i najważniejszym handlarzem broni, mającym do zaoferowania zarówno broń lekkiego, jak i ciężkiego kalibru, a odpowiadałaby tylko przede mną. Przede mną. Byłbym pewny, że wrogowie Stanów Zjednoczonych wkrótce nie będą już mogli kupić broni i że te wyschnięte źródła już nigdy się nie odnowią. Dzięki temu osiągnęlibyśmy nasze cele.

- Powinieneś być mnie o tym poinformować.

Clarke się roześmiał.

- Rolandzie, przecież jesteś uparty jak osioł. Nigdy byś się nie zgodził na mój plan.

- Być może, ale nie miałeś prawa okłamywać mnie i działać za moimi plecami. Podejrzewam, że to ty kazałeś zabić Callo - powiedział Procter. Clarke nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. - Nawet nie masz z tego powodu wyrzutów sumienia.

- Pozostawienie go przy życiu byłoby niepotrzebnym ryzykiem, a jego śmierć uwiarygodniła nasz scenariusz.

- I nawet nie jest ci przykro.

- Jest mi przykro, że plan nie wypalił - odpowiedział Clarke. - Ale nie jest mi przykro, że próbowałem zrobić coś dobrego. Nasza przyjaźń wiele dla mnie znaczy, ale nie tyle, co możliwość uratowania życia Amerykanom.

- To koniec naszej przyjaźni - wykrzyknął Procter, wyrzucając ręce w górę. Odwrócił się i poszedł.

- Rolandzie - zawołał za nim Clarke. - Nie bądź taki melodramatyczny.

\* \* \*

Pół godziny później Clarke znowu łowił ryby. Usiłował dodzwonić się do Jelczyny, ale Rosjanka nie odbierała telefonu. Wyglądało na to, że Jelczina albo unikała Clarke'a, albo się ukrywała, albo nie żyła. Każda z tych możliwości wchodziła w grę, ale Clarke optował za ostatnią. Jelczina ostrzegała Clarke'a, co może się stać, jeżeli Kazakow przeżyje kolejny zamach.

Mogło też się zdarzyć, że Jelczina zbyt się paliła do przejęcia władzy i za szybko odkryła karty. Czy przekazała Kazakowowi jakąś informację? Jeżeli nie spisała się jako osoba odpowiedzialna za dostarczanie Kazakowowi ważnych informacji i to z wyprzedzeniem, to bardzo prawdopodobne, że została zabita. Jeśli jednak próbowała zorganizować pucz przeciwko Kazakowowi, to z pewnością była torturowana i wyjawiała wszystko, co tylko wiedziała.

A więc zakładając, że Kazakow dowiedział się o Clarke'u, to czy będzie chciał dobrać się także do niego? Mało prawdopodobne, ale Clarke miał w pobliżu swojego taurusa kaliber .45 - tak na wszelki wypadek.

Westchnął, myśląc o Procterze. Nie lubił wykorzystywać swoich przyjaciół, ale tym razem nie mógł tego uniknąć. Zresztą teraz to już nie miało znaczenia. Nagle ciszę przerwał ryk silnika motorówki. Narastał, zbliżając się coraz bardziej. Motorówka pędziła z niedozwoloną szybkością i Clarke poczuł, że jego łódka zaczyna się silniej kołysać. A

motorówka zbliżała się. Siedziało w niej dwóch mężczyzn, a jeden z nich machał do Clarke'a.

Clarke poprawił okulary przeciwsłoneczne, które zsunęły mu się na czubek nosa i spojrzał na pistolet. Zawsze lepiej jest mieć przy sobie broń i potem stwierdzić, że nie była potrzebna, niż na odwrót. Schował ją do kieszeni szortów, a gdy motorówka była już blisko, wstał.

- Potrzebujecie pomocy? - spytał.

Dwaj mężczyźni mieli po dwadzieścia kilka lat, byli bardziej zadbani i wysportowani, aniżeli większość spotykanych tu amatorów wędkowania, ale zalaływało od nich prowincją. Mężczyzna, który machał do Clarke'a, miał jedną rękę na prowizorycznym temblaku.

- Mój kolega skaleczył się w rękę, chyba złamał ją w nadgarstku - powiedział drugi.

- Ojej, jak to się stało? - chciał wiedzieć Clarke.

Mężczyzna z temblakiem wrzucił ramionami.

- Upadłem, próbując wyciągnąć wielką rybę.

- Mam nadzieję, że ci się udało.

Mężczyzna pokręcił głową.

- O, to fatalnie - powiedział Clarke, czując się dumny ze swojego połowu.

- Przepraszamy, że przeszkadzamy - powiedział drugi mężczyzna - ale czy ma pan apteczkę? Może aspirynę?

- Jasne - odparł Clarke i nagle zrobiło mu się żal tych dwóch amatorów wędkowania. Jego ojciec zawsze uczył innych, jak należy łowić ryby. - Na pańskie dolegliwości chyba lepszy będzie ibuprofen.

Kiedy się odwrócił, obaj mężczyźni stali tuż obok niego. Nie wyglądali teraz na prowincjuszy, a jeden z nich nie miał już ręki na temblaku, tylko trzymał w niej automatyczny pistolet z tłumikiem. Drugi także miał broń i mierzył z niej do Clarke'a.

- A to co takiego? - zapytał Clarke, choć znał odpowiedź. Pomyślał o swoim pistolecie w tylnej kieszeni szortów. Mowy nie było, żeby udało się go wyciągnąć, a co dopiero strzelić. Usiłował zachować spokój, ale panika wzięła górę.

Mężczyźni spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a jeden z nich kiwnął głową.

Clarke poczuł, że umiera zaraz po tym, jak pierwszy pocisk trafił go nieco poniżej żeber.

A potem już nic nie czuł.

## ROZDZIAŁ 59

SOFIA, BUŁGARIA

ŚRODA 09:21 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor był w Sofii dopiero dobie. Przyleciał ze Stanów Zjednoczonych przez Kanadę, aby uniknąć pobierania odcisków palców na amerykańskich lotniskach od podróżnych przylatujących z Europy.

W hotelu włączył laptop, bo umówił się z Procterem na rozmowę.

- Mój partner nie żyje - oświadczył Procter zmienionym głosem.

- Nie sądziłem, że się na to zdobędziesz.

- To nie ja - wyjaśnił Procter. - Każdy, z kim miał do czynienia, miał mu coś do zarzucenia.

- Nie mogę powiedzieć, żeby było mi przykro - stwierdził Wiktor.

- To był dobry człowiek.

- Wierzę ci na słowo.

- Naprawdę - upierał się Procter.

- Chyba nie żądasz, bym go żałował.

- Nie. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym bardzo chciał. Jak sobie posłał, tak się wyspał. To znaczy teraz sobie śpi. A operacja jest skończona.

- A tak w ogóle, to co słyhać?

- Cóż, nadal fatalnie się czuję w związku z tą bombą, którą znalazłem pod swoim samochodem.

- Przecież ci powiedziałem, który kabel należy przeciąć.

- No tak, powiedziałeś. A tak w ogóle, to jeśli nie jesteś w Barcelonie, to możesz sobie odpocząć od Mossadu.

- Nie byłem tam od lat.

- Wybieram się tam. Mossad ugania się za tobą, ale cię nie namierzył. Jadę do Barcelony, bo lubię ciepły klimat.

- Brzmi sympatycznie.

- Ty też powinieneś gdzieś pojechać. Przełałem na twoje konto drugą połowę

umówionej stawki za tę akcję w Soczi.

- Jestem zdumiony.

- To nie była twoja wina. Nie udało ci się tylko dlatego, że mój partner się w to wmieszał. Za zlecenie na Yamouta w Mińsku też wypłaciłem ci całą stawkę. Przecież nikt nie mógł przewidzieć, że będzie tam też Mossad.

- Doceniam ten gest.

- Sprytna forma podziękowania bez użycia słowa dziękuję.

- Też tak uważam.

Przez chwilę Procter milczał, a w końcu powiedział:

- No, to chłopie, jesteśmy kwita. To zlecenie na Kazakowa było ostatnie, a ja dotrzymuję słowa. Od tej chwili nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Ciesz się życiem na emeryturze. Jesteś wolny.

- Jednak chciałbym wiedzieć, dlaczego w taki sposób postanowiłeś zniszczyć Ariffa i Kazakowa - spytał Wiktor, ignorując komentarz Proctera.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego zrobiłeś to, wynajmując do tego mnie, zamiast posłużyć się CIA, skoro wiedziałeś, że sprawa będzie badana. Przecież Kazakow i Ariff nie cieszyli się chyba popularnością w Waszyngtonie.

- Nie, nie cieszyli - przytaknął Procter - ale Kazakow od lat był pupilkiem Kremla. Sprzedawał towar za miliardy i gdyby padł tylko cień podejrzenia, że do jego śmierci przyłożyła rękę CIA, to w Moskwie zrobiłoby się zamieszanie. A czy mnie by to cokolwiek obchodziło? Nie, nic a nic, ale nasz rząd nie podziela mojego zdania. Natomiast z Ariffem to inna sprawa.

- No to powiedziałaś mi dopiero połowę.

- I wystarczy. Nie będzie dalszego ciągu.

- Z pewnością lepiej byłoby posłać jakichś ludzi, którzy by porwali Ariffa, a wtedy można by go obarczyć winą za zamach i śmierć Kazakowa, a wy moglibyście przekazać Ariffa Międzynarodowemu Trybunałowi w Hadze i oskarżyć go o zbrodnie wojenne. Skoro jednak wybraliście inne rozwiązanie, to znaczy, że on coś na was miał. Tak?

Procter milczał przez chwilę, aż wreszcie powiedział:

- Swego czasu korzystałem z usług Ariffa i to całkiem oficjalnie. Nie jest tajemnicą, że w latach osiemdziesiątych CIA zaopatrywała afgańskich mudżahedinów w rakiety Stinger, aby zestrzeliwały radzieckie śmigłowce. Ja zajmowałem się wynajdywaniem dróg przerzutu i wtedy Ariff zapewniał transport przez pakistańską granicę na grzbietach osłów.



- A jakie to ma teraz znaczenie?

- Nawet wtedy, Ariff zajmował się transportem broni dla wrogów Stanów Zjednoczonych w Iraku i w Afganistanie. To był po prostu kawał skurwysyna. Dostarczał broń Organizacji Wyzwolenia Palestyny, Czarnemu Wrześniowi, Hezbollahowi i każdemu terrorysty od Teheranu po Trypolis. Ładunki wybuchowe, które w 1982 roku zniszczyły koszary amerykańskich marines w Libanie też pochodziły od niego, a jednak ja wciąż korzystałem z jego usług, bo nic nie wiedziałem o jego innych powiązaniach handlowych. Teraz żyjemy w świecie po 11 września i gdyby przed haskim trybunałem Ariff wymienił moje nazwisko, to byłbym skończony. No, co, jesteś usatysfakcjonowany?

- Tak.

- To teraz znasz odpowiedzi i jesteś wolny. I od tej chwili nasze drogi się rozchodzą.

Jednak przez kilka ostatnich dni Wiktor myślał jeszcze o czymś innym - otóż Procter zatajał przed nim informacje, co stwarzało dodatkowe problemy i ryzyko. Ale powiedział kim jest, wyjawiał swoje nazwisko, a więc starał się, by Wiktor mu zaufał. To ważne - i to bardzo.

- Teraz nie zależy mi już tak jak przedtem na zrywaniu znajomości z tobą.

- Miałem nadzieję, że to powiesz, ale nie spodziewałem się, że to zrobisz. I co, ufasz mi?

- Nie wybiegajmy za daleko.

Po chwili milczenia Procter powiedział:

- Kiedy będę cię potrzebować, skontaktuję się.

- To znaczy kiedy?

- Nie wiem, być może za jakiś czas.

- Dobrze. To były dwa długie miesiące.

- Dla mnie też. Trzymaj się - powiedział Procter i rozłączył się.

Wiktor zajrzał do swojej poczty internetowej. Była tam wiadomość od Pierre'a i od dwóch innych pośredników. Kontrakty były doskonale płatne, łatwe, związane z nimi ryzyko minimalne, a na dodatek Procter wcale by się o nich nie dowiedział.

Jednak Wiktor usunął te maile i zlikwidował adres.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się naprawdę odprężony. Sięgnął po telefon. Usłyszał radosny głos Adrianny:

- Halo?

- Tu Emanuel. Jak ci się podoba pomysł spędzenia jednego dnia w Sofii?

## ROZDZIAŁ 60

13:31 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor czekał na Adriannę w holu sofijskiego Grand Hotelu znajdującego się w samym centrum miasta, nieopodal ogrodu miejskiego. Przeprowadził się tu, gdy upewnił się, że Adrianna przyjedzie; poprzedni skromny hotel na pewno by się jej nie spodobał. Adrianna weszła, ciągnąc za sobą niewielką walizkę. Była ubrana w długą zwiewną sukienkę.

- O, wyglądasz całkiem inaczej - stwierdziła, patrząc na Wiktora i zdejmując ciemne okulary. - Pięknie opalony, dłuższe włosy. Bardzo seksownie.

Zanim się pocałowali, wystudiowanym ruchem odrzuciła do tyłu włosy. Wiktor pamiętał, aby odsunąć się od niej, zanim obejmie go w pasie i wyczuje ukryty za paskiem pistolet.

- Schudłaś - zauważył.

- O, jesteś spostrzegawczy - odparła cała rozpromieniona.

Wcale nie widział różnicy. Powiedział tak, żeby sprawić jej przyjemność.

- Jak lot? - spytał.

- W porządku - powiedziała, wyjmując z torebki przewodnik. - Czytałam o Sofii.

Zostawili bagaż Adrianny w pokoju i wyszli na miasto. Zwiedzanie rozpoczęli od znajdującej się niedaleko hotelu Galerii Miejskiej, po czym pojechali tramwajem zwiedzić kilka z wielu znajdujących się w mieście zabytkowych cerkwi, z których najwspanialszą jest z pewnością bazylika Aleksandra Newskiego z imponującą, olbrzymią złotą kopułą.

Jeśli pominąć szpecące widok miasta typowe, pochodzące z czasów komunistycznych wieżowce, Sofia była typową, piękną, historyczną, europejską stolicą. Wiktor lubił tę mieszaninę architektonicznych stylów: zachodnio- i wschodnioeuropejskiego, neoklasycystycznego i socrealistycznego, rzymskiego oraz bizantyjskiego, która przydawała ulicom uroku. Niemal wszystkie jezdnie w centrum miasta były wyłożone kremowym kamieniem.

- Pochodzi z Wiednia - szybko poinformowała go Adrianna, która była tu chyba pierwszy raz.

Wiktor wcześniej już odwiedzał Sofię i lubił Bułgarów, którzy jego zdaniem byli

niezwykle przyjacielscy i gościnni - tym razem również. Dobrze też czuł się w tutejszym klimacie, ciepłym, ale niezbyt gorącym. Tego dnia mogło być ze dwadzieścia sześć stopni.

Zjedli lunch w jednej z kafejek, na świeżym powietrzu, wśród gwaru rozmów, a wiatr miło owiewał im twarze. Wiktor znał na tyle bułgarski, że mógł się porozumieć, a teraz starał się nauczyć Adriannę kilku słów. Siedzieli, starając się zrozumieć co nieco z toczących się obok rozmów, choć nie bardzo się im to udawało.

- On z nią zrywa - stwierdziła Adrianna, obserwując jedną z siedzących przy sąsiednim stoliku par w średnim wieku. - Rzuca ją, bo czuć jej z ust.

Wiktor uśmiechnął się, pochłonięty jak zwykle obserwowaniem zza przeciwsłonecznych okularów, czy nie jest śledzony.

Wieczorem wrócili do hotelu, aby się wykapać i przebrać. Z radia płynęła muzyka Chopina; Wiktor jedną ręką zapinał koszulę, a palcami drugiej przebiegał po wymyślonej klawiaturze fortepianu.

- Grasz? - spytała Adrianna, zapinając kolczyki.

- Nie grałem od miesięcy.

- A to dlaczego?

- Bo nie miałem warunków.

Kiedy to powiedział, zobaczył w myślach najwartościowszy przedmiot, jaki kiedykolwiek posiadał - dziewiętnastowieczny fortepian firmy Vose&Sons, z którego pozostała tylko kupka popiołu.

- Zdaje się, że w hotelowym barze widziałam fortepian. Jeśli poprosimy, to z pewnością pozwolą ci zagrać.

- Nie, nie ćwiczyłem od miesięcy. Nie chcę wystawiać się na pośmiewisko - odparł, zasłaniając się nieśmiałością, a tak naprawdę wiedząc doskonale, że zagranie w hotelowym barze niepotrzebnie zwróciłoby na niego uwagę - czego starał się unikać od lat.

Skończył się ubierać i wykorzystał chwilę, gdy Adrianna była w łazience, aby wetknąć pistolet za pasek z prawej strony, gdyż zauważył, że Adrianna szła zawsze z jego lewej.

- Jak ci się podobam? - spytała, wychodząc z łazienki.

Wyglądała wspaniale z upiętymi wysoko włosami, w czarnej wieczorowej sukni i z szalem narzuconym na ramiona.

- Oszałamiająca - stwierdził Wiktor całkiem szczerze, co wywołało na jej twarzy szeroki uśmiech.

\* \* \*

Wspaniale oświetlony Teatr Narodowy znajdował się zaledwie jedną przecnicę dalej.

Wiktor kupił w kasie dwa bilety na operę *Turandot* Pucciniego. Siedząc w łoży, obserwowali scenę przez lornetki, a Adrianna wzruszyła się do łez. Po przedstawieniu usiedli na ławce i wymieniali wrażenia.

Inni zrobili to samo, a turyści fotografowali gmach teatru.

- To był taki wspaniały dzień. Dziękuję, że mnie tu zaprosiłeś - powiedziała Adrianna, przytulając się do lewego ramienia Wiktora.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł.

- Po naszym rozstaniu w Linzu wątpiłam, czy się jeszcze zobaczymy.

- Dlaczego tak myślałaś?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, ale byłeś wtedy taki dziwny. To nie byłeś ty. Nie byłam pewna, czy będę chciała się spotykać z kimś takim - odparła po chwili zastanowienia.

- Nie wiedziałem, że się zmieniłem.

- Och, nie przejmuj się - odparła tonem, którego jeszcze nigdy u niej nie słyszał. - Uważam, że zmieniłeś się i to na lepsze - mówiąc to przeczesła mu szczupłymi palcami włosy. - Tak, to bezapelacyjnie zmiana na lepsze.

Uśmiechnął się, chcąc pokazać jej, że się zgadza, nawet jeśli wcale tak nie było.

- Cieszę się, że tak myślisz. Rozumiem, że chcesz mnie dalej widywać?

- Oczywiście, że tak - odparła, uśmiechając się i dając mu lekkiego kuksańca w ramię.

Znowu postanowili się przejść.

- Przepraszam - powiedziała nagle jakaś kobieta z brytyjskim akcentem, zastępując im drogę. Kobieta była blondynką, miała dwadzieścia parę lat, a jej towarzysz, który mógł być jej przyjacielem lub mężem, ponad trzydziestkę. Był bardzo wysoki i ciemnowłosy. Obydwoje byli uśmiechnięci, ubrani w dżinsy i t-shirty, na nogach mieli sportowe buty. Zwyczajni turyści.

- Przepraszam, czy zrobiłby pan nam zdjęcie? - zapytała ponownie kobieta. Mówiła powoli, z namysłem, jak dziecko wymawiając dokładnie każde słowo i sylabę. Wskazała ręką na aparat fotograficzny, potem na swojego towarzysza i na siebie. Uśmiechnęła się szeroko.

- Jasne - odparł Wiktor.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co, to żaden kłopot - odparł, choć był to kłopot. Gdyby był sam, udałby, że nie rozumie i odszedł. Na nieznanym sobie terenie nie lubił żadnych kontaktów z kimkolwiek.

Kobieta podała mu aparat.

- Byłoby wspaniale, jeśli udałoby się panu sfotografować nas na tle gmachu opery.

- Pochodzi pani z Wielkiej Brytanii? - spytała Adrianna.

- To takie oczywiste? - spytała kobieta, uśmiechając się.

Wiktor uniósł jedną brew.

- Brytyjczycy będąc za granicą mówią w specyficzny sposób - Adrianna wykonała ruch ręką. - Mówiąc, podchodźcie blisko do swego rozmówcy.

- Ach tak.

Kobieta nachyliła się nad swoim towarzyszem, a on uśmiechając się, objął ją ramieniem. Jego uśmiech był nieco wymuszony. Brytyjczycy słyną ze swojej sztywności.

Wiktor wyśrodkował ich w kadrze, powiedział „uśmiech”, pstryknął zdjęcie i oddał im aparat.

- Jestem zaszczycony, bo to wasze pierwsze zdjęcie w Sofii.

- Naprawdę świetne, dziękujemy - powiedzieli, obejrzawszy zdjęcie.

- Nie ma za co. Miło było was spotkać - odparł Wiktor.

- Nam również. Zaraz, popatrz, to dopiero będzie, jak Meg i Andy zobaczą to zdjęcie - powiedziała Angielka do swojego towarzysza, po czym odeszli.

- Ładna z nich para, prawda? - spytała Adrianna. Wiktor przytaknął, choć nie miał pojęcia, co było w nich ładnego.

- Emanuelu, myślisz czasem o ustatkowaniu się, o znalezieniu żony, która podawałaby ci kapcie, kiedy wracasz do domu? - spytała Adrianna, pocierając jego ramię.

- To żony nadal jeszcze podają mężom kapcie?

- Nie wiem - odparła, wzruszając ramionami - ale myślę, że dobrym mężom tak.

W oczach Adrianny kryło się coś, czego Wiktor nie potrafił odczytać.

- Co chciałabyś teraz robić? - spytał.

- Nie wiem. Jesteś znowu głodny? - odparła, cofając rękę i ruszając naprzód.

- Mogę coś zjeść, jeżeli ty masz na to ochotę.

- Mam i to od dwóch godzin. Przez to odchudzanie się jestem ciągle głodna.

Wiktor znał pewną indyjską restaurację. Znajdowała się w odległości dwudziestominutowego spaceru, ale ponieważ Adrianna była bardzo głodna, to złapali taksówkę.

Wiktor zamówił na przystawkę *aloo tikka ragda*, a potem indyjski serek panierowany i smażony, zaś Adrianna *bhel puri*, a następnie *matar hara pyaz* z grzybami. Jedzenie było przepyszne: aromatyczne i świetnie przyprawione, ale niezbyt ostre.

- Zostaniesz na noc? - spytał Wiktor.

- Jeśli chcesz - odparła Adrianna, bawiąc się spodkiem.

- Nie musisz stawić się w pracy?

- Nie, nie muszę, codziennie nie muszę być w pracy - odparła, ale przez jej twarz przebiegi grymas niezadowolenia.

Na deser obydwójce zamówili lody o smaku mango, które przyniesiono w stożkowatych pucharkach. Na sam koniec zamówili jeszcze indyjską herbatę, a Adrianna zaczęła mówić, że rozważa powrót na uniwersytet.

- Zastanawiam się nad robieniem doktoratu - mówiła. - Lubię się uczyć i brak mi tego. Studia historyczne na Cambridge były najlepszym okresem w moim życiu. Brak mi tego. Teraz rzadko kiedy znajduję chwilę, aby poczytać. Wiem, że to zabrzmiało melodramatycznie, ale czuję, że głupieję.

- To brzmi jak podjęcie decyzji.

- Doprawdy? Myślę, że ją podjęłam.

- A więc wracasz na Cambridge.

Wzmianka o Cambridge przypomniawszy mu parę Anglików, a przede wszystkim tę blondynkę. Turyści rzadko proszą go, by zrobił im zdjęcie. Na twarzy Wiktora zazwyczaj malował się wyraz, z którego można było wyczytać, że nie chce on wdawać się w żadne rozmowy; najczęściej skutkowało, ale nie zawsze. Jednak negatywna mowa ciała była teraz jedyną możliwą techniką. Jeśli byłby odpychający, to ludzie by go zapamiętali, więc już lepiej wydawać się osobą, z którą niektórzy chętnie zamienią kilka słów, aniżeli gburem, który zapadnie ludziom w pamięć. Towarzystwo Adrianny sprawiało, że nie mógł być zbyt odpychający w stosunku do innych.

- Coś się stało? - spytała Adrianna.

- Niczego nie da się przed tobą ukryć? - zapytał znowu zdziwiony, że tak dobrze potrafi czytać w jego myślach.

- Myślałem o pracy. Przepraszam.

- Chcesz o tym pomówić?

Potrząsnął głową.

- Praca to nieciekawym tematem. Lepiej rozmawiajmy o tobie. A więc Cambridge?

- Nie jestem pewna. Bardzo mi się tam podoba, ale może gdzie indziej też byłoby dobrze. Lubię nowe doświadczenia.

Kiwał głową i słuchał tego, co mówiła, ale cały czas odtwarzał w myślach szczegóły spotkania z angielskimi turystami. Nie było w nim niczego podejrzanego. Ten mężczyzna nie odezwał się, ale w porównaniu do swojej towarzyski wydawał się być nieśmiały. Nie, to nie ci turyści go zaniepokoiili, ale on sam, jego nieumiejętność porzucenia choćby na chwilę

sztynności i zrobienia zdjęcia dwójce głupich turystów bez poczucia, że oto został odkryty i rozszyfrowany, ponieważ cała sytuacja go zaskoczyła. Zastanawiał się, dlaczego stał się taki, niczym układanka, w której brak kilku elementów, i czy kiedykolwiek się zmieni.

- Uniwersytet Columbia cieszy się bardzo dobrą opinią, a ja uwielbiam Nowy Jork - mówiła Adrianna.

Wiktor kiwnął głową i pił herbatę, przekonując siebie, by nie popadać w paranoję. Według tego, co mówił Procter, Mossad szuka go w Barcelonie. Na tutejszy trop nie wpadli.

- Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię - powiedziała Adrianna z nieśmiałym uśmiechem.

- Czuję się zaszczycony.

Nagle przypomniał sobie, że to samo powiedział tej Angielce, ponieważ na liczniku w aparacie zobaczył, że zdjęcie, które zrobił, było pierwszym z ich pobytu w Sofii. Kobieta na to nie zareagowała - żadnego słowa, czy gestu. Zwykła turystka, którą zdawała się być, coś by powiedziała, kilka słów wyjaśnienia. Być może dopiero przyjechali albo też włożyli do aparatu nową kartę pamięci. A ona nic. Wiktor kłął w duchu sam siebie, że wcześniej nie zrozumiał, co to znaczy. Ludzie z Kidonu byli w Sofii. Nie miał pojęcia, w jaki sposób go tu znaleźli, a może śledzili Adriannę. Zresztą to teraz nieistotne. Ważne, że go znaleźli.

To całe przedstawienie z aparatem miało na celu upewnienie się, kim jest. Przecież miał teraz dłuższe włosy, brodę, był opalony i wyglądał całkiem inaczej aniżeli mężczyzna widoczny na fotografii sprzed miesiąca. Wobec tego musieli podejść do niego blisko. To było ryzykowne i śmiałe, ale nie sądzili, że Wiktor wie, iż jest ścigany.

Tymczasem Adrianna nie przestawała mówić o uniwersytetach i studiowaniu, kompletnie nie zdając sobie sprawy z grożącego im obojgu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Wiktor wiedział, że nawet w tej chwili są obserwowani. W restauracji nikogo nie zauważył, ale na zewnątrz z pewnością ktoś był i kiedy tylko wyjdą, pójdzie za nimi.

Jednak Wiktor miał nad nimi tę przewagę, że oni nie byli świadomi, że on o nich wie. Zastanawiał się tylko, kiedy zaatakują. Chyba nie w hotelu. Wiktor dobrze wiedział, że w hotelach zawsze trudno było przeprowadzać takie akcje, ale jeśli chcieli go tylko zabić, to hotel nie stanowił żadnej przeszkody. Jeśli chodziło im tylko o zlikwidowanie go, to mogli to zrobić przed gmachem opery, kiedy już upewnili się kim jest. To znaczy, że chcieli go najpierw przesłuchać. Trudniej jest kogoś porwać niż zabić, wobec tego spróbują go schwytać na ulicy, w takim miejscu, w którym będzie jak najmniej świadków.

Nie miał szans wymknąć się Kidonowi, gdy Adrianna była z nim. Co innego, gdyby był sam.

- No, więc widzisz, że nie mogę się zdecydować: Cambridge czy Columbia.

- Trudna decyzja - powiedział Wiktor. - Przepraszam na chwilę.

Poszedł do łazienki, wiedząc, że ludzie z Kidonu obserwują go, ale są spokojni, ponieważ widzą, że Adrianna siedzi przy stoliku. A więc jak długo ona tam siedzi, on może działać.

Łazienka była mała i czysta. W najdalszej kabinie znajdowało się na górze małe okno. Wiktor wszedł do kabiny, zamknął deskę klozetową, otworzył okno i natychmiast poczuł na twarzy powiew zimnego powietrza. Kiedy wyjrzał, zobaczył niewielkie ciemne podwórko. Nikogo tam nie było, to znaczy, że ci z Kidonu obserwowali frontowe wejście do restauracji.

Musiał się spieszyć, bo po upływie trzech minut zaciekawią się, gdzie on jest, po pięciu - zaczną się niepokoić, po sześciu - pošlą kogoś do restauracji, aby zobaczył, co się dzieje, ale w tym czasie Wiktor będzie już siedzieć w taksówce lub w autobusie daleko stąd. Nie złapią go.

A wtedy całą swoją uwagę skoncentrują na Adriannie. Wiktor starał się nie wyobrażać sobie, co mogą jej zrobić, byle tylko wydobyć z niej informacje, których ona nie ma. Jednak będą musieli dopiero się o tym przekonać, a potem na pewno jej nie uwolnią.

Mimo wszystko ich wspólna ucieczka nie miała szans powodzenia, a jeśli kazałby jej teraz wyjść, to tylko wzbudziłoby ich podejrzenia.

Wiktor nie miał przyjaciół. Nikt go nie obchodził, a jego stosunki z Adrianną były tylko grą, w którą bawili się obydwój, przy czym ona robiła to tylko dla pieniędzy. Wykorzystywała go, podobnie jak on ją. Nic między nimi nie było, nic, co mogłoby go teraz powstrzymać.

Wspiął się na okno i zniknął w ciemnościach.



## ROZDZIAŁ 61

23:09 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Adrianna spojrzała na zegarek. Emanuel wyszedł do toalety już pięć minut temu. Adrianna skończyła herbatę a teraz czuła, że od różowego wina, które wypila do kolacji, nieco szumi jej w głowie. Było pyszne, a jeśli chodzi o potrawy to już dawno nie jadła tak dobrych. Najpierw nieco pikantnych smaków, a na koniec te lody o smaku mango - tak wspaniale orzeźwiały. Siedziała, obserwując innych gości. Było wiele par, jedna jakaś dziwna rodzina, wszyscy jedli z apetytem i mile spędzali czas.

Zaczęła myśleć o Emanuelu. Tajemniczy facet, cały w bliznach i o spojrzeniu, w którym kryła się śmierć, czego Adrianna udawała, że nie dostrzega. Chciała go uścisnąć, ale tak naprawdę, a nie w wystudiowany, sztuczny sposób. Jednak takie gierki z klientem bywają niebezpieczne, nawet jeżeli Emanuel zachowywał się w każdej sytuacji jak należy. Zawsze był dżentelmenem, płacił bez szemrania i nie był zazdrosny o jej innych klientów. Nigdy jej nie uderzył i nie próbował ich w coś wpakować. I w żadnym razie nie dał jej odczuć, że jest dziwką.

Kelner spytał ją po angielsku, czy chciałaby jeszcze coś zamówić. Adrianna odmówiła. Siedziała i bębniła palcami po stole. Miała jakieś dziwne przeczucie, że Emanuel nie wróci. Śmieszne. Być może wystraszyła go tym swoim gadaniem o tym, że poprzednim razem był całkiem inny i że się zmienił. W duchu przeklinała samą siebie za te słowa. Po co to mówiła? Pomimo tego, że przecież między sobą toczyli grę, to miała wrażenie - a właściwie obawy - że już go więcej nie zobaczy.

Do restauracji wszedł jakiś mężczyzna. Był drobnej budowy, miał jasną cerę i ciemne włosy, dzinsy i nylonową kurtkę. Kelner wskazał mu stolik, ale on machnął zniechęcająco ręką i skierował się w stronę łazienki. Adrianna patrzyła na niego, zastanawiając się, czy już go gdzieś nie widziała. Wyglądał znajomo; albo leciał tym samym samolotem, co ona, albo dostrzegła go na lotnisku w Sofii.

Jednak kiedy zniknął jej z oczu, natychmiast przestała o nim myśleć. Emanuela nie było już sześć i pół minuty. Adrianna wiedziała, że już nie przyjdzie, toteż dała znak kelnerowi, aby przyniósł rachunek.

- Przepraszam, że tak długo.

Adrianna podniosła głowę i zobaczyła, że Emanuel siada naprzeciwko niej przy stoliku. Nawet nie zauważyła, kiedy się zjawił.

- To długo cię nie było? Nawet nie zauważyłam - stwierdziła. - Do kogo dzwoniłeś?

- Po taksówkę.

- O, a ja właśnie poprosiłam kelnera o rachunek.

- Daj spokój z rachunkiem - powiedział, nachylając się ku niej. - Teraz słuchaj bardzo uważnie.

Był taki poważny, że aż ją to śmieszyło.

- Dobrze. Słucham - odpowiedziała, przybierając najpoważniejszy wyraz twarzy, jaki tylko umiała.

Mężczyzna w nylonowej kurtce przeszedł za plecami Emanuela i wyszedł z restauracji.

- Jak skończymy rozmawiać - zaczął Emanuel - chcę żebyś poszła do łazienki. Wejdz do najdalszej kabiny, opuść deskę i zdejmij buty.

- Buty?

- Stań boso na desce klozetowej i otwórz okno. Teraz będzie nieco trudniej, ale musisz to zrobić i to najszybciej, jak możesz. Nie martw się o to, że się pobrudzisz. Nie ma czasu.

- Nie rozumiem.

- Adrianno, słuchaj i zrób dokładnie to, co mówię. Musisz wydostać się przez to okno na zewnątrz, na zaplecze tego budynku. Ustawiłem pod oknem kilka pudeł; załamią się, jak na nie upadniesz, ale nie bój się, nic ci się nie stanie. Kiedy już będziesz na zewnątrz, skreć w lewo, a na końcu uliczki czeka taksówka. Wsiądź do niej i jedź prosto na lotnisko, a w czasie jazdy wyrzuć telefon przez okno. Powiedz...

- Mój telefon? Dlaczego? Co się dzieje? Przerażasz mnie.

- Powiedz taksówkarzowi, żeby się spieszył - ciągnął Emanuel. - Powiedz, że zapłacisz mu podwójnie, jeśli będzie jechać szybko. Jak już będziesz na lotnisku, wsiądź do pierwszego samolotu, bez względu na to, dokąd leci, a kiedy już dolecisz na miejsce, znowu wsiądź do pierwszego, jaki będzie, i leć dalej. Nieważne dokąd. Kiedy już dolecisz, to możesz jechać, dokąd chcesz, ale pociągiem albo autobusem. Nie używaj kart kredytowych, płac gotówką.

Do oczu Adrianny napłynęły łzy. Nie rozumiała, o co chodzi. Siedzący przed nią Emanuel, był zupełnie inny od tego którego znała, był skupiony i przerażający.

Wiktor wziął serwetkę i napisał na niej jakiś długi numer, hasło oraz nazwę i adres jakiegoś banku.

- To jest numer rachunku bankowego. Znajdująca się na nim kwota jest twoja. Jeśli będziesz rozsądnie wydawać, to powinno ci wystarczyć na kilka lat. Czy słyszysz, co mówię?

- Tak, tak, ale nie...

- A teraz słuchaj bardzo uważnie, bo to niezmiernie ważne. Przez jakiś czas nie możesz wrócić ani do Genewy, ani do domu. Musisz nieustannie zmieniać miejsce pobytu. Nie wolno ci też skontaktować się z żadnym z twoich przyjaciół bądź klientów ani też z bratem w Ameryce. Musisz kompletnie odciąć się od dawnego życia.

- Skąd wiesz o Dawidzie?

- Słuchaj, Adrianno. Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie i to z mojej winy. Przepraszam, ale musisz zrobić dokładnie to, co ci mówię - napisał na serwetce jeszcze jakiś numer.

- Za tydzień zadzwoń pod ten numer. Miejmy nadzieję, że zostawię tam wiadomość, że wszystko jest w porządku i że możesz wracać do domu. Posłużę się kodem, tak że będziesz wiedziała, że to wiadomość ode mnie.

- Jakim kodem?

Potrząsnął głową.

- Będziesz wiedziała, że to ode mnie. Jeśli nie będzie żadnej wiadomości albo będzie czekać na ciebie informacja, żebyś spotkała się gdzieś ze mną, to zignoruj ją i nigdy więcej nie dzwoń pod ten numer - zamilkł, a po chwili dodał: - Poza tym już nigdy się nie zobaczymy.

Nie mogła powstrzymać łez i wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

- Przestań płakać - powiedział. - Przestań natychmiast, bo jeśli zobaczą, że płaczesz, to się domyślą.

- Kto? Kto zobaczy? Kto się domyśli?

- Włóż serwetkę do torebki i nie zgub - spojrzał na zegarek. - Czas już iść.

- Nie chcę.

- Czy pamiętasz wszystko, co ci powiedziałem?

- Tak, ale nie rozumiem, dlaczego to robisz - ścisnęła go za rękę. - Kto zobaczy?

Emanuelu, co się dzieje?

Wyjął rękę z jej dłoni.

- Idź.

- Kim ty jesteś? - spytała Adrianna, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Kimś, kogo nie chciałabyś znać.

Adrianna złożyła serwetkę, niby od niechcenia otarła oczy, wstała i skierowała się w

stronę łazienki. Wiktor patrzył na nią. Nie chciał widzieć jej twarzy, ani odmalowującego się na niej strachu, którego przecież on był sprawcą. Przez chwilę słyszał stukot jej obcasów po drewnianej podłodze, ale po chwili ucichł i Wiktor wiedział, że już nigdy nie zobaczy Adrianny.

Dopił herbatę, a kelner przyniósł rachunek. Wiktor zapłacił, zostawiając napiwek równy wysokości rachunku. Lepiej, żeby te pieniądze dostał kelner niż Mossad. Jeśli teraz by wyszedł, to fakt, że wychodzi sam zbiłby z tropu jego prześladowców i Wiktor zyskałby na czasie, ale równocześnie tamci zaczęliby gorączkowo rozglądać się wokół i zobaczyliby taksówkę. Jeżeli zostanie tu dłużej, to Adrianna będzie miała czas, by dojechać bezpiecznie na lotnisko.

Po dziesięciu minutach zorientują się, że ona nie wróci i że musiała wymknąć się gdzieś tylnym wyjściem, i domyślą się, że Wiktor wie, że są w pobliżu. Będzie zbyt późno, aby złapać Adriannę, ale jego schwytają przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Kiedy minęło jedenaście minut od wyjścia Adrianny, Wiktor wstał, zapiął marynarkę i wyszedł z restauracji.

Było chłodno, na niebie świecił księżyc w pełni. Restauracja znajdowała się w pobliżu centrum miasta, w dzielnicy pełnej sklepów. Ulica była niemal pusta, ruch minimalny, wystawy ciemne, niektóre zasłonięte opuszczonymi roletami. Siedzenie tutaj kogoś było bardzo łatwe. Wiktor skręcił w lewo, gdyż postanowił pójść w stronę centrum - tam panował większy ruch, było więcej ludzi oraz samochodów. Poza tym kursowało tam metro, co prawda niedaleko, bo dopiero niedawno rozpoczęto jego budowę, ale Wiktorowi chodziło o drogi ucieczki - im więcej, tym lepiej. Złapanie taksówki nie było najlepszym pomysłem. Szedł pieszo, choć wiedział, że teraz wystarczą dwa samochody: jeden zajechałby mu drogę, a drugi odciął ucieczkę. Szedł szybko. Nie było sensu iść zwykłym, równym krokiem, bo przecież oni wiedzieli, iż on zdaje sobie sprawę, że jest śledzony. Przez sześć minut szedł ulicą, na której było trochę ludzi - przeważnie mężczyźni i starsze małżeństwa, ani jednej samotnej kobiety. Przeszedł na drugą stronę i spojrzał na witryny wystaw, by sprawdzić, czy ktoś szedł za nim. Owszem, dostrzegł jakąś parę, ale to nie byli ci sami ludzie, którzy prosili go o zrobienie im zdjęcia. Jasne, że wybrano by inne osoby. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna mieli około trzydziestu lat, wysportowane sylwetki, byli przeciętnie ubrani. Tak, mogli być z Kidonu.

Odwrócił się od wystawy, spojrzał na zegarek, po czym szukał czegoś w kieszeniach, dopóki para nie minęła go i nie poszła dalej.

Przeszedł kawałek i zobaczył, że ta para siedzi na ławce na przystanku autobusowym.

Niby najzwyczajniejsza w świecie sytuacja, ale równocześnie sprytnie posunięcie. Śledzony przez nich cel wyprzedził ich i znowu będą mieli go na oku. Wiktor przeszedł obok nich, ani trochę nie przyspieszając kroku. Spoglądał w witryny wszystkich wystaw, by zobaczyć, co tamci robili, ale wkrótce stracił ich z oczu.

Ulicą jeździło sporo samochodów, przeważnie produkcji europejskiej. Wiktor szedł chodnikiem w kierunku przeciwnym do jadących samochodów, a więc żadne auto nie mogło jechać za nim. Ruch był niewielki, ale nie tak mały, żeby jakaś półciężarówka nie mogła się nagle zatrzymać koło niego. Nagle spostrzegł w oddali niebieskiego peugeot. Wydało mu się, że już go gdzieś widział, ale nie był pewien.

Adrianna powinna już być na lotnisku. Nie było daleko od miasta. Nawet jeśli ci z Kidonu posłali za nią pościg, to i tak nie wpadną na jej trop. Kazał jej trzymać się instrukcji i wsiąść do pierwszego samolotu, jaki będzie odlatywał dokądkolwiek.

Auto zbliżało się i chyba zwolniło. Wiktor spoglądał w lewo, na rząd witryn sklepowych. Ulica biegła prosto, nie dochodziły do niej żadne mniejsze uliczki. W domach nie było bram, które łatwo można by pchnąć i otworzyć; żadnych okien, które można by zbić. Jedyne, co mógłby zrobić, gdyby tylko ten peugeot podjechał bliżej, to błyskawicznie przebiec na drugą stronę. Żadnych innych możliwości ucieczki nie było, ale przynajmniej oddaliłby się na jakąś odległość od samochodu, a tamten musiałby zawrócić. Peugeot zbliżał się, nie zwalniając. Przez chwilę Wiktor był jedynym przechodniem na tej ulicy, a odległość między nim a samochodem zaczynała być niepokojąco mała. Musiał skręcić w jakąś inną ulicę i wybrał pierwszą, jaką zobaczył. Szedł nią, aż do skrzyżowania. Tutaj było ciemniej i ciszej. Uliczki wąskie, ludzi mniej. Szedł wciąż w stronę centrum, ale wybrał okrężną drogę. Zaczął padać drobny deszcz. Przeszedł cztery kilometry w dwadzieścia siedem minut, skręcał w alejki, kluczył, robił wszystko, aby ich zgubić.

Spojrzał na zegarek. Adrianna musiała już być w hali odlotów albo może siedziała już w samolocie. Była przerażona, ale bezpieczna. Z czasem nauczy się panować nad strachem. Miał nadzieję, że kiedyś mu wybaczy, choć wiedział, że chyba nie. Jeśliby ją przytulił i wszystko wytłumaczył - to może tak, ale musiał być szorstki, twardy oraz wzbudzić w niej strach.

Rozpiął marynarkę, ręce wyjął z kieszeni. Zwracał uwagę na każdy dźwięk, każdy cień. Słyszac warkot silnika samochodowego, starał się obliczyć, w jakiej odległości znajduje się auto i w jakim kierunku jedzie. Widząc kogoś, oceniał jego zachowanie, wiek, wygląd, budowę, ubiór, i starał się domyślić, czy mógł to być ktoś z Kidonu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Wzdłuż stały pięciopiętrowe budynki z szarej cegły,

chodnik był wyłożony płytami, wystawy zabezpieczono kratami. Padał drobny deszcz.

Nagle w odległości mniej więcej czterdziestu metrów zobaczył kobietę, która chodziła tam i z powrotem, rozmawiając przez telefon. Wiktor nie był w stanie usłyszeć, o czym rozmawiała. Na ulicy ludzie, a szczególnie kobiety, starają się rozmawiać cicho przez telefon. W nocnej ciszy kroki Wiktora niosły się echem po całej ulicy.

Nagle naszła go chęć zapalenia papierosa i zaczął żałować, że rzucił palenie. O ile dobrze pamiętał, to przecznicę dalej znajdowała się stacja metra. Wsiadłby do pierwszego pociągu, jaki nadjedzie i udałby się dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd. Usłyszał za sobą kroki. Ktoś właśnie wyszedł z bocznej ulicy, przeszedł przez jezdnię i teraz szedł za nim. Sądząc po krokach, był to mężczyzna.

Wiktor szedł dalej. Czuł mrowienie na karku. Oprócz niego na ulicy były teraz jeszcze dwie osoby. Dość dużo, jak na nocną porę. Kobieta nadal rozmawiała przez telefon i nawet na niego nie spojrzała. Była niska, drobna, miała pantofle na płaskim obcasie.

Wiktor przyspieszył kroku. Teraz mógł tylko iść przed siebie, bo od najbliższej przecznicy dzielił go kawałek drogi. Spojrzał w górę. Nikogo nie zobaczył w oknach. Usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu, ale kroki za nim nie milkły. Ten ktoś szedł z identyczną szybkością, jak Wiktor.

Raptem w oddali pojawiły się światła samochodu, który wyjechał z bocznej ulicy i oświetlił postać kobiety. Samochód jechał wolno w stronę Wiktora. To był ten sam niebieski peugeot. Szyby w aucie były opuszczone. Powoli minął go z prawej strony, nie zwalniając, ani nie przyspieszając.

Nagle pojawiło się jeszcze jedno auto. Wiktor usłyszał, że peugeot zwalnia i zobaczył, że kobieta z telefonem odwraca się w jego stronę. Miała ciemne włosy, była wysoka, chyba z metr osiemdziesiąt wzrostu i mocno zbudowana. A więc dwóch ludzi i dwa samochody. Nie był w stanie obserwować ich wszystkich i właśnie o to im chodziło.

Wiktor znowu przeniósł wzrok na kobietę i będąc już absolutnie pewny, wyciągnął broń. Kobieta zrobiła to samo. Wiktor nie musiał zerkać na drugą stronę ulicy, by wiedzieć, że tamten mężczyzna również jest uzbrojony. Obydwoje zajęli doskonałe strategiczne pozycje.

Blask reflektorów oślepił Wiktora akurat w chwili, gdy strzelił. Nie wiedział, czy trafił i nie miał możliwości sprawdzenia, gdyż zbliżył się drugi samochód. To też było francuskie auto, niewielkie Renault.

Wiktor znalazł się w potrzasku i nic nie mógł zrobić. Gdyby zaczął uciekać, zastrzeliliby go natychmiast. Wobec tego rzucił się w prawo, przeturlał się po jezdni,

absorbując energię, która w przeciwnym razie spowodowałaby kontuzję.

Drzwi renault otworzyły się zanim auto się zatrzymało. Wyskoczyło z niego dwóch ludzi, kobieta siedząca na miejscu pasażera i jakiś mężczyzna, który siedział z tyłu. Wiktor ukląkł, celując w mężczyznę, ale przed naciśnięciem spustu powstrzymały go krzyki człowieka po drugiej stronie ulicy oraz tej kobiety. Wiktor był osaczony z dwóch stron i nie miał wyjścia. Zginałby, gdyby strzelił. Podniósł ręce do góry.

Peugeot zatrzymał się na końcu ulicy, blokując wjazd do niej innym samochodem. Renault było w odległości ośmiu metrów.

Wiktor poznał kobietę, która wysiadła z renault i teraz biegła w jego stronę. To była ta sama kobieta, która prosiła Wiktora o zrobienie zdjęcia, ale teraz wyglądała inaczej. Zamiast aparatu trzymała broń, a miłe spojrzenie zastąpił lodowaty wzrok. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy podobnie jak jego towarzyszka miał berettę 92FS z tłumikiem. Kierowca renault pozostał w samochodzie. Niewysoka kobieta na ulicy cały czas mierzyła z broni w Wiktora, o czym świadczyło światelko kolimatora na jego klatce piersiowej.

- Nie ruszaj się - krzyknął po rosyjsku mężczyzna z berettą.

Tym językiem Wiktor posługiwał się w Mińsku.

Wiktor stał bez ruchu, a mężczyzna idący dotąd po drugiej stronie ulicy, właśnie przebiegał przez jezdnię. Był muskularny, ale szczupły, ubrany w luźne spodnie, sportową marynarkę, t-shirt.

- Pokaż ręce - zażądał.

Wiktor rozłożył szeroko ręce, a tamten chwycił lewą ręką prawy nadgarstek Wiktora, przyciągnął do lewego i szybkim ruchem owinał je taśmą samoprzylepną, jakiej używa się do pakowania paczek, zaciskając ją tak mocno, że aż skóra nad nią zbieleła. Następnie popchnął go w stronę tylnych drzwiczek samochodu, rzucił jakiś rozkaz po hebrajsku i zaraz reszta grupy także wsiadła do auta - mężczyzna z tyłu, kobieta obok kierowcy. Niska kobieta została na ulicy, schowała broń i pobiegła do peugeot, podobnie jak ten potężny mężczyzna.

Taśma ścisnęła nadgarstki tak mocno, że ręce zaczynały drętwieć. Siedział za kierowcą maksymalnie wyprostowany, a obok niego jeden z porywaczy ani na chwilę nie spuszczał go z oczu, choć siedział w maksymalnej odległości od Wiktora.

- Zapnij pas - powiedziała kobieta, odwracając się. Na jej twarzy malowała się tryumfująca mina. Chyba była Angielką, bo mówiła z brytyjskim akcentem. Wiktor w odpowiedzi uniósł skrepowane ręce.

- To nie przeszkadza, dasz radę zapiąć - stwierdziła.

Wiktor sięgnął na lewo do tyłu, przeciągnął pas przez ramię i zapiął. Kobieta

odwróciła się i powiedziała coś po hebrajsku do kierowcy.

Samochód wolno ruszył za peugeotem. Kierowca starał się utrzymać prędkość nieco mniejszą od dozwolonej, aby nie narazić się na otrzymanie mandatu. Jechali wąskimi uliczkami Sofii, a kobieta co pewien czas odwracała się, by zobaczyć, co robi zakładnik. Natomiast jego sąsiad po prawej stronie nie spuszczał go z oczu. Cały czas trzymał w prawej ręce wycelowaną w niego berette, odbezpieczoną, z tłumikiem, a ponieważ nie zdejmował palca ze spustu, naciśnięcie go nie zajęłoby mu dużo czasu.

Wiktor nawet nie próbował działać przez zaskoczenie i wyrwać Izraelczykowi broń - nic by z tego nie wyszło. Serce waliło mu, ale nie usiłował nad tym zapanować. Wiedział, że tej nocy jego organizmowi przyda się każda, nawet najmniejsza cząsteczka tlenu.



## ROZDZIAŁ 62

23:22 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Ból w nadgarstkach narastał. Ręce cierpły coraz bardziej. Niedługo nie będzie mógł nimi poruszać. Teraz był w stanie najwyżej zacisnąć dłonie w pięści.

Samochód skręcił w prawo, a potem dwa razy w lewo i wyjechał na szeroką ulicę, pełną neonów, których światło odbijało się w kroplach deszczu na szybach.

Nagle auto zwolniło i zatrzymało się. Wiktor mógł pociągnąć za klamkę i wyskoczyć na jezdnię, zanim ktokolwiek zdołałby zareagować, ale wiedział, że z Kidonem taka sztuczka by się nie udała. To byli zawodowcy najwyższej klasy i nie warto było wystawiać na próbę ich czujności, a co dopiero przyczynić się do jej zwiększenia. Wobec tego siedział spokojnie ze zrezygnowaną miną.

Kolana Wiktora były wciśnięte w oparcie fotela kierowcy. Prowadził wysoki mężczyzna, ten sam, który udawał wraz z dziewczyną turystę. Teraz siedział, odsunawszy maksymalnie fotel do tyłu, aby pomieścić długie nogi. W tej sytuacji Wiktor miał niewielkie pole manewru. Spojrzał na Izraelczyka z bronią. Siedział spokojnie, sprawiając wrażenie zrelaksowanego. Prawą rękę położył na kolanie, lufę beretty trzymał nieco pochyloną i wycelowaną w pierś Wiktora. Wyglądał, jakby nie mógł się doczekać, aż naciśnie spust, ale otrzymał wyraźny rozkaz: strzelać tylko w razie absolutnej konieczności. Światła zmieniły się i samochód ruszył, ciągle jadąc za peugeotem. We wnętrzu auta panowała cisza, żadnych rozmów, radio wyłączone. Palce Wiktora cierpły coraz bardziej. Kobieta znowu odwróciła się, popatrzyła na Wiktora, uśmiechając się z satysfakcją.

Nie mógł spojrzeć na zegarek, ale słyszał jego tykanie i dzięki temu wiedział, że od chwili porwania upłynęło dziewięć minut. Widział też, że wyjechali z centrum miasta, ponieważ za oknem widać było teraz fabryki i hurtownie, salony samochodowe z placami pełnymi aut, domy mieszkalne i tereny niezabudowane. Jego zdaniem wieźli go gdzieś niedaleko, ale gdy już będą na miejscu, szanse na ucieczkę drastycznie zmaleją.

Izraelczyk siedzący obok ani na chwilę nie przestawał się gapić. Często mrugał oczami, chcąc utrzymać ich właściwą wilgotność, a Wiktor, nawet gdyby zdołał usiąść na tyle blisko, by Izraelczyk nie mógł celować w niego z beretty, to miał skrepowane ręce, więc i tak

nie mógłby zabrać mu tak szybko broni, aby siedząca obok kierowcy kobieta, nie zdążyła zareagować. Z tych samych powodów atak na kierowcę nie wchodził w grę. Być może nadarzy się sposobność, gdy się zatrzymają, ale przecież był jeszcze drugi samochód.

Zakończenia tych wszystkich scenariuszy były podobne.

Jechali dalej. Teraz znajdowali się na autostradzie. Pogoda się pogorszyła i nadal padało. Wycieraczki ledwie nadążały zbierać strugi deszczu. Nadgarstki coraz bardziej bolały, a Izraelczyk ani na sekundę nie spuszczał Wiktora z oka.

Kobieta znowu się odwróciła.

- A tak przy okazji - powiedziała - to chciałam podziękować za zdjęcie. Ładnie wyszłam.

- Mówią, że aparat nigdy nie kłamie - odparł Wiktor.

Kobieta uśmiechnęła się.

Kierowca powiedział coś po hebrajsku i kobieta natychmiast się odwróciła, odpowiedziała coś i wyprostowała się, a kierowca kiwnął głową. Wiktor zobaczył, co wywołało tę reakcję. Z przeciwka na sygnale pędził policyjny radiowóz.

Kobieta znowu coś powiedziała, chyba miało to uspokoić zarówno ją, jak i jej towarzyszy. Dla Wiktora nadszedł właściwy moment. Wziął głęboki oddech i pokręcił głową w lewo i w prawo, aby rozluźnić mięśnie szyi. Teraz.

Izraelczyk na tylnym siedzeniu także zapatrzył się na policyjne auto, na sekundę odwracając wzrok od Wiktora. I ten moment okazał się decydujący.

Wiktor nachylił się do przodu, zarzucił ręce na szyję kierowcy, zasłaniając mu dłońmi oczy i natychmiast cofnął się, co sprawiło, że uścisk dusił mężczyznę. Ostre brzegi taśmy, krępującej nadgarstki Wiktora, wpiły się w nos kierowcy.

Samochód zaczął wykonywać gwałtowne skręty, kierowca krzyczał z bólu, zaskoczenia i paniki, że nic nie widzi i że straci oczy. Jedną ręką próbował odciągnąć dłoń Wiktora, ale nie dawał rady, atakujący go walczył o życie. Taśma jeszcze silniej wpiła się w nos szofera.

Na próżno usiłując zapanować nad samochodem, Izraelczyk oraz kobieta krzyczeli na Wiktora, by puścił kierowcę, ale on zaparł się kolanami w oparcie siedzenia i nie rozluźniał pętli, jaką tworzyły jego ręce. Na dodatek miał tę przewagę, że był przypięty pasami, a tamci nie.

Teraz mocniej odchylił się do tyłu, przez co uścisk jego ramion stał się silniejszy, a głowa szofera jeszcze bardziej wcisnęła się w zagłówek. Sąsiad Wiktora trzymał wycelowaną berettę, ale nie strzelał - najwyraźniej miał to zrobić dopiero w ostateczności. Na dodatek,

jeśli wybrałby takie rozwiązanie, to musiałby się tłumaczyć przed swoimi przełożonymi, dlatego dopuścili do takiej sytuacji, nie uzyskawszy żadnych informacji od porwanego, a na domiar złego istniało duże prawdopodobieństwo, że strzelając, trafiłby w szofera.

Kobieta także trzymała Wiktora na muszce, jednak samochód nieustannie zarzucał na boki, a w takiej sytuacji trafić nie było łatwo.

- Puść go - krzyczała po rosyjsku.

Wiktor bez przerwy przenosił spojrzenie z niej na swojego sąsiada, a tymczasem auto zwalniało. Kierowca krzyczał coś po hebrajsku, samochody wokół trąbiły. Zbliżali się do zjazdu. Jeśli tam skręcą, to były szanse, że auto się zatrzyma, a wtedy będzie po wszystkim.

Wiktor przesunął dłonie nieco w dół, zdzierając paznokciami skórę z nosa szofera, a plastikową taśmę podkładając mu pod podbródek i ciągnąc do siebie. Mężczyzna zaczął się dusić.

Samochód znowu wykonał ostry skręt, tym razem w lewo. Kobieta przewróciła się na bok, na dźwignię zmiany biegów. Także sąsiad Wiktora nie zdołał usiedzieć prosto i upadł na niego. W ostatniej chwili usiłował podeprzeć się lewą ręką, ale było za późno.

Wiktor puścił kierowcę, chwycił swojego sąsiada za rękę w przegubie, przyciągnął bliżej i walnął łokciem w twarz. Raz, potem drugi i trzeci. Izraelczyk osunął się na siedzenie, z nosa i z policzka ciekła mu krew.

W tym momencie kobieta odwróciła się, mierząc z broni w Wiktora, a on złapał obydwoma dłońmi prawą rękę Izraelczyka, przyciągnął na ile mógł berettę i nacisnął spust jego palcem.

Rozległ się głośny strzał i pocisk ugodził kierowcę między żebra, pomiędzy pachą a biodrem. Teraz strzeliła kobieta, ale ponieważ samochód znowu skręcił, pocisk trafił w tylną szybę, rozbijając ją, a na kark Wiktora posypały się odłamki szkła.

Renault gwałtownie skręciło na inny pas, uderzając w bok jadącego drugim pasem samochodu terenowego. Wskutek wstrząsu Wiktor puścił broń i uderzył ciałem w drzwi auta, Izraelczyk upadł na niego, broń spadła mu z kolan i znalazła się pod siedzeniem kierowcy.

Wokół roztrąbiły się klaksony. Kobieta jedną ręką chwyciła kierownicę, usiłując wyprostować tor jazdy samochodu i zapobiec wypadkowi, a drugą nadal trzymała broń. Izraelczyk siedzący obok Wiktora trzymał się go obydwoma rękami, a ten najpierw jeszcze raz walnął go łokciem w złamany nos, a potem chwycił za koszulę i pchnął w przestrzeń pomiędzy dwoma przednimi fotelami.

W tym momencie kobieta puściła kierownicę i samochód skręcił z piskiem opon. Wiktor starał się wydostać berettę spod fotela kierowcy, ale nie mógł jej dosięgnąć. Kierowca

leżał bezwładnie na kierownicy, która pod wpływem jego ciężaru skręcała w prawo, ale kobiecie znowu udało się złapać ją, tym razem obydwoma rękami, i renault zaczęło jechać prosto.

Sąsiad Wiktora zdołał wydostać się ze swojej pułapki i zaczął okładać Wiktora pięściami, ale nie były to silne ciosy, gdyż nie pozwalała mu na to pozycja, w jakiej się znajdował. Nie mógł porządnie się zamachnąć. Wiktor odpiął pasy, złapał rękami za podglówek kierowcy i kopnął swojego sąsiada w twarz, a gdy głowa tamtego opadła bezwładnie, dołożył jeszcze kopnięcie w szyję. Poczul, że przerwał krtań. Izraelczyk zaczął się dusić, chwycił się za gardło i opadł na drzwi auta.

Teraz Wiktor nachylił się i sięgnął po berettę. Kobieta spostrzegła, co zamierzał, puściła kierownicę i zaczęła szukać swojej broni, która leżała na kolanach kierowcy.

Renault gwałtownie skręciło. Deszcz zaciął przez rozbitą tylną szybę. Kobieta szybciej niż Wiktor znalazła swoją broń, ale w końcu i jemu się to udało, chwycił pistolet i podniósł go, trzymając oburącz. Strzelił pierwszy, szybko, bez celowania, w panice naciskając spust. Dziewięciomilimetrowe pociski przebiły oparcie fotela obok kierowcy i utkwily w biodrze oraz w udzie kobiety. Wiktor strzelał dalej, a kolejne pociski trafiły ją w brzuch i w pierś. Broń wypadła jej z rąk.

Samochód znowu skręcił, a klakson ciągle trąbił. Wiktor zobaczył przed sobą światła migające przez zasłonę z deszczu. Obrócił się, opierając nogi o przegrodę między siedzeniami, sięgnął przez lewe ramię i namacał klamrę od pasa bezpieczeństwa.

W uszach dźwięczały mu nieustanne wycie klaksonu i pisk opon. Przeciągnął klamrę na przód, tak że znalazła się na wysokości jego klatki piersiowej, a potem jeszcze bardziej w prawą stronę, aż wreszcie usłyszał znajome klik. Udało mu się zapiąć pas. Odetchnął z ulgą. W tej samej chwili siła zderzenia rzuciła go najpierw do przodu, a potem w tył. Uderzył głową o zagłówek.

Ciało kierowcy leżało na kierownicy, fotel sąsiada Wiktora połamał się, a Izraelczyk leżał wciśnięty w jego fragmenty. Oddychał, ale łąpał powietrze szybko, przerywanie. Twarz miał zakrwawioną. Siła uderzenia wcisnęła ciało kobiety pod przednie siedzenie.

Wiktor zaczął kaszlać i odpiął pasy. Kolbą beretty rozbił boczne okno, wyczołgał się przez nie, kalecząc sobie ręce, i upadł na zimny asfalt.

Teraz musiał jak najszybciej stąd uciec. Renault zderzyło się z innym, podobnej wielkości samochodem, którego kierowca był przypięty pasami i Wiktor widział, jak teraz masuje sobie szyję.

Otaczały go wielkie budynki, jakieś fabryki i hurtownie. Wiktor widział, że wszystkie

inne samochody stoją. Na ulicy było kilku przechodniów i wszyscy patrzyli na Wiktora. Nie zwracał na nich uwagi, o wiele ważniejsze było, że z tyłu zatrzymał się niebieski peugeot. Widocznie renault go wyprzedziło.

Jakiś kierowca jednego z przejeżdżających samochodów, chyba z BMW, wysiadł i szedł w stronę Wiktora, zapewne chcąc zaoferować mu pomoc. Jednak Wiktor patrzył na stojącego czterdzieści metrów dalej peugeota, którego drzwi się otworzyły. W tym całym zamieszaniu renault wyprzedziło peugeota.

Wiktor przyklęknął na jedno kolano, podparł lewą ręką prawą, wycelował beretkę nieco powyżej otwartych drzwi. Gdyby pistolet nie był wyposażony w tłumik i w naboje poddźwiękowe, to odległość czterdziestu metrów gwarantowałyby świetny strzał, a tak nie było tej pewności.

Posypało się szkło i pierwszy mężczyzna, wysiadający z peugeota, padł na jezdnię, zaś mężczyzna z BMW zmierzający w stronę Wiktora, przewrócił się ze strachu, po czym wstał i uciekł. Pozostali pasażerowie, czwórka Izraelczyków - potężny mężczyzna, dwóch innych oraz kobieta - przyjęli pozycje strzeleckie, ale Wiktor nie miał zamiaru strzelać. Uciekał. Nawet nie mając skrupowanych rąk, nie urządziłby zawodów strzeleckich z czwórką zabójców z Mossadu. Wolał wziąć nogi za pas.

Uciekał, a wokół niego świstały pociski.

## ROZDZIAŁ 63

23:24 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor biegł, trzymając w skępowanych rękach berettę. Dobiegł do chodnika, wzdłuż którego ciągnął się rząd warsztatów. Znów skręcił i teraz biegł wąskim prześwitem pomiędzy budynkami. Było tu ciemno i tak wąsko, że rozłożywszy ramiona można było dotknąć ścian przeciwległych domów. Rzucił się na stertę pudeł i śmieci, szukając czegoś, czym mógłby przeciąć taśmę krępującą mu ręce, ale było tak ciemno, że prawie nic nie widział. Potknął się o jakiś kawałek metalu i musiał oprzeć się ramieniem o ścianę, by nie upaść.

Ten wąski zaułek dochodził do wyasfaltowanego ogrodzonego placu, za którym były nieużytki widoczne w świetle księżyca. Wiktor spostrzegł, że znajduje się na tyłach warsztatów. Wszystkie były zamknięte. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez płot, a następnie przez te nieużytki, ale jeśli którykolwiek z Izraelczyków biegł za nim, to Wiktor nie zdążyłby przejść przez ogrodzenie.

Odwrócił się twarzą do ścieżki, którą przybiegł. Stał, lewym ramieniem dotykając muru. Po sześciu sekundach usłyszał, że ktoś się zbliżał. Zaczekał jeszcze dwie sekundy, aż nieprzyjaciel podbiegnie bliżej - dobrze, ptaszek znalazł się w klatce.

Mając skępowane ręce, Wiktor nie mógł normalnie trzymać pistoletu i równocześnie nacisnąć na spust, poza tym popełnił błąd - nie zauważył, że na przeciwległej ścianie widoczny był jego cień. Izraelczyk strzelił pierwszy, a pocisk wyrwał kawałek muru tuż obok Wiktora.

Wiktor rzucił się w bok i również oddał strzał, zdając sobie sprawę, że spudłuje. Teraz szybko biegł - byle jak najdalej od tego miejsca - po czym odwrócił się i cofał tyłem, trzymając broń w pogotowiu, choć wątpił, aby Izraelczyk pobiegł za nim. Raczej wycofał się i teraz szukał okrężnej drogi - podobnie jak jego dwaj kompani. Najważniejsze, aby nie dać się okrążyć, bo wtedy będzie zgubiony.

Na wszelki wypadek strzelił dwa razy w róg tuż przy wlocie do zaułka i pobiegł w kierunku ogrodzenia. Pędził co sił, dysząc ciężko, nie mogąc pomagać sobie wymachem ramion. W każdej chwili spodziewał się strzału w plecy. Dobiegł do ogrodzenia, przerzucił broń na drugą stronę, odbił się i skoczył. Chwycił dłońmi metalowy fragment znajdujący się

w połowie wysokości, odepchnął stopami i podciągnął w górę. Jeszcze kawałek i będzie na górze. Chwytał drugą ręką kolejny metalowy element i znowu odepchnął się nogami. I tak kilka razy, byle szybciej.

Na szczycie ogrodzenia znajdował się drut kolczasty, lecz Wiktor nie miał wyboru. Trzymając się na samej górze metalowego pręta, podłożył prawe ramię pod drut kolczasty, zaczepiając o niego materiałem kurtki. Poczuł ból rozrywanego ciała, ale nie zwracał na to uwagi. Odbił się nogami, lewy łokieć również znalazł się na szczycie ogrodzenia. Teraz podciągnął się i przerzucił ciało na drugą stronę. W tym momencie obok jego głowy przeleciał pocisk.

Wiktor upadł na ziemię, ale pamiętał, aby padając, zwinąć się w kłębek i przeturlać. Ziemia była kamienista i mokra, drut pociął mu koszulę, kurtkę oraz ciało, ale najważniejsze, że znalazł się po drugiej stronie.

Ręce miał śliskie od wody i krwi - właściwie stracił w nich czucie. Znalazł pistolet, chwycił go obydwoma rękami i odwrócił się, przyklękając na jedno kolano. Przed nim w odległości pięćdziesięciu metrów znajdowały się warsztaty. W świetle księżyca widać było siąpiący deszcz, ale ani śladu pościgu.

Raptem usłyszał słabe „klik”, a potem pocisk uderzył w ogrodzenie, ale nie było widać, gdzie ukrył się strzelec. Na tym terenie było mnóstwo miejsc, w których można się było schować, więc mógł on być wszędzie i podkradać się coraz bliżej, aby oddać jak najlepszy strzał. Wiktor nieustannie rozglądał się na wszystkie strony, ale nikogo nie mógł dostrzec.

Kolejne „klik” i pocisk upadł zaledwie kilka centymetrów od niego, jednak strzał został oddany pod innym kątem, a więc jest ich tam dwóch. Dwóch na jednego. Wiktor doszedł do wniosku, że czas się ruszyć.

Zerwał się i pobiegł. Księżyc świecił dość jasno, oświetlając teren, ale bieg nie był łatwy z powodu licznych zagłębień, kamieni i bruzd. Wiktor nie mógł pomagać sobie rękami w utrzymaniu równowagi, toteż biegł, potykając się i zataczając. Doskonale wiedział, że jeśli któryś z Izraelczyków go goni, to porusza się szybciej.

Zobaczył fabrykę. Budynek nie był oświetlony, a gdy podbiegł bliżej, dostrzegł, że dach jest dziurawy. A więc zakład był opuszczony i nie było nadziei na znalezienie jakiegoś samochodu, który można by ukraść, lecz pojawiła się szansa znalezienia czegoś ostrego, czym można by rozciąć plastikową taśmę kępującą ręce.

Pędził co tchu. Ubranie, włosy i całe ciało miał przemoczone. Teren nieco się wznosił, by potem przez czterdzieści metrów opadać w dół i bliżej fabryki przejść w płaszczyznę.

Wszędzie pełno było kęp trawy. Budynek fabryczny miał kilkadziesiąt metrów długości i około dziewięciu metrów wysokości, licząc do krawędzi spadzistego dachu, który wznosił się na wysokość sześciu metrów.

Wiktor podbiegł do gmachu. Próbował przeciąć plastikową taśmę krępującą mu całkowicie już zdrętwiałe ręce kawałkiem szyby, ale nie była ona dostatecznie ostra i potłukła się.

Pobiegł wzdłuż fabrycznego muru, szukając wejścia. Jedynym rozwiązaniem było dostanie się do środka budynku. Na zewnątrz przy liczebnej przewadze wroga nie miał szans. Wejście przez okno nie wchodziło w grę, gdyż musiałby je zbić, następnie podciągnąć się na rękach, a ze skrępowanymi nadgarstkami nie dałby rady. Tymczasem tamci byli coraz bliżej.

Zobaczył dwoje drzwi w rzędzie obok siebie. W każdym było okienko bez szyby, ale otwór zabezpieczono drutem. Zardzewiałe zamki były popsute, lecz przez okienka przeciągnięty został łańcuch, na końcu którego wisiała kłódka. Wiktor sprawdził stan kłódki, była porządna, z nierdzewnej stali. Nawet gdyby próbował ją przestrzelić, poświęcając cenne cztery naboje, to i tak by nie ustąpiła. Kopnął drzwi, mając nadzieję, że stare zawiasy poddadzą się, ale nic z tego. Szpara między drzwiami była wystarczająco duża, aby mógł prześlizgnąć się przez nią szczur, ale nie człowiek.

Obejrzał się, ale nie zobaczył nikogo. Wobec tego oni też nie mogli go dostrzec, ale z pewnością słyszeli kopnięcie w drzwi. Piętnaście metrów dalej dostrzegł jeszcze jedno drzwi, co prawda także zamknięte na kłódkę, ale ktoś przedsiębiorczy rozwalił ich dolną część, prawdopodobnie za pomocą siekiery. Wiktor na czworakach przeszedł przez otwór, najpierw obejrzał się za siebie. Znalazł się w olbrzymiej, zimnej, prawie pustej hali. Zresztą może na zewnątrz też było zimno, ale po prostu tego nie czuł. Deszcz padał do środka przez dziurawy dach, tworząc olbrzymie kałuże.

Wiktor odbiegł od drzwi. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i domyślił się, że to któryś z Izraelczyków postanowił dostać się przez jedno z wielkich okien. Dwaj pozostali także zjawia się tu lada chwila. Bez względu na to, którym z nich Wiktor najpierw się zajmie, tamci dwaj i tak będą mieli wystarczająco dużo czasu, by zająć go od tyłu. Nie było czasu na szukanie czegoś, czym można by rozciąć taśmę krępującą mu ręce. Z hali prowadziło kilka wyjść w głąb fabryki i wybrał pierwsze z nich.

Wyteżał wzrok, aby zobaczyć, dokąd prowadzi korytarz, w którym się znalazł, ale im dalej szedł, tym większe panowały ciemności. Z sufitu kapłała woda. Po drodze natknął się na jakieś drzwi, próbował je otworzyć, lecz były zamknięte. Skręcił, stanął oparty o ścianę, ciężko dysząc.



Zmusił się, by iść dalej. Z przodu było nieco jaśniej, a więc korytarz wychodził na otwartą przestrzeń. Faktycznie na jego końcu znajdowało się podwórko otoczone ze wszystkich stron ceglany murem, w którym też znajdowały się drzwi - ale były zamknięte na kłódkę. A więc przeszkoda nie do pokonania. Mur też był zbyt wysoki, by się na niego wspiąć. Znalazł się w potrzasku.

Zawrócił i pobiegł z powrotem. Znowu znalazł się w tym samym korytarzu, dobiegł do wewnętrznych drzwi, otworzył je kopnięciem i w tej samej chwili spostrzegł jakąś ciemną postać, która przebiegła niedaleko. Po drugiej stronie hali światło księżyca przeciskające się przez dziurawy dach oświetlało stojące w hali maszyny, skrzynie, narzędzia, półki, pas transmisyjny i beczki. Wzdłuż ściany ciągnęły się metalowe regały. Były puste. Obok nich stał wózek widłowy.

Wiktor skrył się w ciemności. Musiał znaleźć wyjście. Izraelczycy doskonale o tym wiedzieli i dlatego jeden z nich na pewno czuwa na zewnątrz, zapewne obok drzwi, którymi Wiktor wszedł. Wobec tego jeśli tu w środku jest trzech Izraelczyków, a jemu uda się stąd wydostać i tamten na zewnątrz go nie spostrzeże, to wygra. Będzie wolny. Jednak to są zawodowcy, na pewno nie popełnią takiego błędu. Trzymał się z dala od księżycowej poświaty zarówno, aby zachować ostrość widzenia w ciemności, jak i nie wystawiać się na widok. Na końcu każdego rzędu półek, na regałach znajdowały się lusterka, pomocne operatorowi wózka widłowego, jednak większość z nich była zbita. Wiktor przykucnął za wielkimi skrzyniami ustawionymi w rzędy. Ciężko dyszał, rękawem marynarki ocierał pot z twarzy. Zaczął macać wokół siebie w nadziei, że znajdzie jakiś ostry przedmiot, którym mógłby rozciąć taśmę krępującą mu ręce, jednak niczego nie znalazł. Przez szparę między skrzyniami zobaczył wysoką postać, która weszła przez drzwi. Wiktor nacisnął spust, ale było już za późno, Izraelczyk zniknął w ciemnościach.

Nagle nie wiadomo skąd padł strzał i odłupał drzazgi ze skrzyni. Wiktor cofnął się gwałtownie. Nie wiedząc, gdzie zaczął się zabójca, nie mógł strzelać, poza tym ciągle miał skrepowane ręce, a w pistolecie tylko trzy naboje.

\* \* \*

Z lewej strony dostrzegł przejście, które, jego zdaniem, prowadziło do głównej hali. Wyskoczył z kryjówki i puścił się pędem, wierząc w swoją szybkość. Biegł, a za nim leciała seria pocisków, ale nie zwalniał.

Korytarz był szeroki, a w oddali widać było wielkie okna ze zbitymi szybami. Wiktor dobiegł do głównej hali i skręcił w prawo, by zniknąć z oczu goniącemu go Izraelczykowi. Nie wiedział, czy nie było tam innego zamachowca, ale postanowił zaryzykować.

Nie było czasu, aby w ciemnościach szukać jakiegoś ostrego przedmiotu, którym można by przeciąć taśmę, wobec tego Wiktor zatknął berettę za pasek, złapał jakąś leżącą na podłodze metalową rurkę i walnął nią o brzeg jednego z kwadratowych metalowych słupów, na których opierał się strop hali. Rozległ się głośny łomot, a potem jeszcze kilka kolejnych. Wiktor zdrapał farbę, której resztki pozostały w tym miejscu na słupie, i zaczął energicznie trzeć krępującą mu rękę taśmą o kant filaru.

Oczywiście hałas natychmiast zdradził, gdzie się znajdował. Zdając sobie z tego sprawę, tarł najmocniej, jak mógł, i w końcu taśma pękła. Wreszcie miał wolne ręce.

Wiktor cofnął się, aby wyjść z zasięgu snopa księżycowego światła, który oświetlał zardzewiałe schody prowadzące na ukryte w ciemnościach półpiętro. Właśnie pod tą wielką antresolą i pod schodami Wiktor znalazł sobie nową kryjówkę. Tam było najciemniej. Wyciągnął berettę. Jak dobrze było trzymać coś nieskrępowanymi, choć jeszcze zdrętwiałymi rękami. Czuł w nich mrowienie.

Nie widział Izraelczyka, lecz słyszał jego kroki. Mężczyzna zatrzymał się. Teraz do uszu Wiktora dobiegł odgłos przeładowywania broni. Coś upadło na podłogę. Nic groźnego. Izraelczyk cisnął daleko pusty magazynek, spodziewając się rozproszyć tym uwagę Wiktora, a może nawet chciał wywołać strzał zdradzający kryjówkę, ale nic z tego. Wiktor nie dał się sprowokować.

Ukryty w ciemnościach starał się przewidzieć, co tamten zrobi. Po odgłosie walenia w słup, prześladowca wiedział, że przedtem Wiktor stał obok filaru, ale nie był pewny, obok którego. Był dostatecznie sprytny, aby się domyślić, że schował się pod antresolą. Teraz będzie chciał zająć Wiktora z boku, ale z lewej, czy z prawej strony? Wiktor nie mógł patrzeć równocześnie w obie strony.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby wykorzystać. Hala była zbyt duża, nie było tu wielu miejsc, w których można by się schować, więc trudno było obrać jakąś strategię. W ciemnościach mógł się czaić jeszcze jeden przeciwnik. Dobrą kryjówką było miejsce pod schodami, blisko ściany, ale tylko do chwili, w której do akcji włączy się jeszcze jeden, albo nawet dwóch wrogów. Jeżeli pozostali jeszcze tu nie dotarli, to zjawią się lada chwila.

Musiał się ruszyć. W odległości szesnastu metrów były drzwi, więc podszedł do nich najciszej, jak mógł. Powinien zdjąć buty, ale na podłodze było tyle różnych ostrych przedmiotów, że natychmiast pokaleczyłyby sobie stopy.

Szedł w kucki, pochylony, bacznie spoglądając na wszystkie strony. Wyszedł z absolutnych ciemności do przestrzeni oświetlonej światłem księżycy. Posuwał się powoli,

ostrożnie, wiedząc, że każdy niefortunny ruch może go zdradzić. W połowie drogi do drzwi postanowił przystanąć na chwilę. Dlaczego nie mógł się zorientować, gdzie jest ten Izraelczyk? Albo zamarł w bezruchu, albo szedł równie cicho, jak Wiktor.

Jeszcze tylko cztery metry do celu. Znów się zatrzymał. Koło drzwi było dość jasno, wobec tego, gdy do nich podejdzie, zdradzi swoją pozycję. Wytężał wzrok, chcąc zobaczyć, gdzie ukrył się Izraelczyk, ale nie mógł nic dostrzec. Czyżby przejrzał plan Wiktora? Jeśli tak, to czał się gdzieś i czekał na moment, w którym Wiktor znajdzie się w lepiej oświetlonym miejscu.

Wiktor wziął głęboki oddech, szykując się do sprintu. Znów całą nadzieję pokładał w swojej szybkości - zresztą nie miał wyboru. Coś musnęło jego ucho. Odchylił głowę i sięgnął ręką. Na ramieniu znalazł kawałek rdzy. Instynktownie spojrzał w górę. Nic tam nie było, tylko antresola, ale coś sprawiło, że rdza spadła.

To znaczy, że tam był drugi Izraelczyk i że, tak jak Wiktor przypuszczał, wiedział, gdzie on był i postanowił zająć go, ale nie z boku, lecz z tyłu. Sprytne. A więc teraz jest ich tu dwóch. Jeśli udało by się mu zabić któregoś z nich, to pozostałby tu jeszcze tylko jeden, a wtedy ich szanse by się wyrównały.

Wiktor zawrócił i skierował się w stronę schodów. Izraelczyk musiałby tędy zejść, a tu było jaśniej. Wiktor szedł ku schodom, ale nieco z boku. Tracił coś butem. To coś wpadło do kałuży, wywołując plusk, niby niegłośny, ale wyraźnie słyszalny w ciszy.

Strzały padły gdzieś z góry. Dwa pociski przebiły deski podłogowe antresoli. Wiktor nie drgnął. Chciał, by Izraelczyk ponownie strzelił, tym samym zdradzając swoją pozycję. I rzeczywiście - padły kolejne dwa strzały.

Ostatni trafił w podłogę tak blisko Wiktora, że uderzyły w niego kawałeczki odpryśniętego z podłogi betonu. Wiktor wycelował i strzelił tam, gdzie jego zdaniem powinien znajdować się Izraelczyk. Usłyszał, że pocisk trafił w drewno. Wobec tego zaryzykował jeszcze jeden strzał. Po nim nastąpiła cisza, a potem coś niewielkiego, ale ciężkiego upadło na podłogę. A zaraz potem coś dużego, także ciężkiego. Trafił, ale zabił czy ranił?

W magazynku pozostał mu tylko jeden nabój. O jeden za mało, aby zaryzykować kolejny strzał na oślep, szczególnie że gdzieś czał się kolejny przeciwnik. Wiktor zaczął szukać po omacku wokół siebie i znalazł kawałek żelaza. Rzucił go w stronę otwartych drzwi i wybiegł ze swej kryjówki w tej samej chwili, gdy żelazo zaczęło toczyć się z hałasem po podłodze. Wiedział że ten dźwięk rozproszy uwagę Izraelczyka, co prawda tylko na chwilę, ale liczyła się każda sekunda. Pobiegł w stronę schodów, a za nim padł grad pocisków.

Wbiegał na nie szybko, po czym zniknął w ciemnościach na antresoli. Kiedy znalazł się na górze, zobaczył otwarte drzwi prowadzące do pomieszczenia, w którym kiedyś mieściło się biuro. Przez duże, rozbite okno wpadało światło. Kilkoma krokami pokonał tę przestrzeń, cały czas trzymając broń w uniesionych rękach. Nie mógł się dłużej ukrywać. Jeśli ten Izraelczyk, który był na antresoli, nie żyje, to świetnie, a jeśli żyje, to Wiktor chciał dotrzeć do niego, zanim ten dojdzie na tyle do siebie, by sięgnąć po broń. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli oprócz stojącej przy ścianie szafki, z której wszystkie szuflady zostały wyjęte i ustawione na podłodze do góry dnem. Kilka prowizorycznych stołków, a na podłodze pełno szkła z butelek po wódce oraz puszek po piwie.

Kolejne drzwi prowadziły do dużego pomieszczenia - służącego chyba niegdyś jako pokój zebrań. Na podłodze deski oraz resztki zerwanego dywanu, w suficie dziury, przez które do wnętrza padał deszcz, jakieś stosy połamanych krzeseł, poprzewracanych zardzewiałych szafek, plastikowych butelek po wodzie. Było tu zbyt ciemno, aby można było zobaczyć dziury w podłodze, jakie zrobiły wystrzelone pociski. W ścianie naprzeciwko zobaczył dwoje drzwi. Ani śladu rannego lub zabitego Izraelczyka.

Wiktor zdał sobie sprawę, że został tu zwabiony i zamarł. Nie mógł zawrócić i zejść na dół. Kiedy tu wchodził, Izraelczyk pewnie zszedł z powrotem do głównej hali i gdyby teraz Wiktor zdecydował się wrócić na dół, stałby się łatwym celem. Nie miał wyjścia, musiał iść dalej. Obszedł stos krzeseł.

Tutaj nie było gdzie się schować, ale było dwoje prowadzących gdzieś drzwi. Jedne i drugie były otwarte i za każdym z nich mogła czekać zasadzka. Dwoje Izraelczyków.

A on miał tylko jeden nabój.

## ROZDZIAŁ 64

23:32 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Wiktor podszedł do pierwszego wejścia i zajrzał do znajdującego się za nim pomieszczenia. Było niezmiernie zagracone, pełne połamanych krzeseł, pudeł itp. Nie można było tu wejść, nie robiąc hałasu, i Izraelczyk na pewno identycznie rozumował. Wobec tego Wiktor skierował się ku drugiemu wejściu.

Szedł powoli, ostrożnie, krok za krokiem. Ciemności nie były tu nieprzeniknione, na ścianach widać było starą, podartą tapetę, miejsca po gniazdkach elektrycznych, dziury po gwoździach, a na podłodze w miejscach, w których zdarta została wykładzina, prześwitywały deski. Były w lepszym stanie niż cały fabryczny budynek, ponieważ były suche, nie gniły - w tym miejscu dach jeszcze nie zaczął przeciekać - i wobec tego nie skrzypiały.

Wiktor doszedł do dwojga zamkniętych drzwi. Jedne znajdowały się tuż z lewej strony, drugie nieco dalej, z prawej. Potem korytarz przechodził w jakieś obszerne pomieszczenie. Sądząc po szerokości antresoli, Wiktor domyślił się, że pierwsze z nich prawdopodobnie prowadzi do małych pomieszczeń biurowych, natomiast gdzieś dalej muszą być kolejne schody. Na twarzy czuł delikatny powiew świeżego powietrza, co świadczyło, że gdzieś chyba jest zbite okno. Słyszał bębnienie deszczu.

Zdecydował, że nie będzie sprawdzać, co kryje się za tymi drzwiami. Członek Kidonu nie wpakuje się w pułapkę, wchodząc do niewielkiego pomieszczenia, z którego prowadzi tylko jedno wyjście. Na pewno czeka gdzieś na końcu korytarza - a może tylko chce, by Wiktor tak myślał. Odetchnął głęboko, postanowił skończyć z tymi domysłami i posuwać się dalej. Któryś z Izraelczyków mógł teraz iść za nim. Jeszcze dwanaście kroków i znalazł się w obszernym holu, służącym dawniej za miejsce do odpoczynku. Świadczyła o tym stojąca tam rozpadająca się kanapa bez poduch, ze sterczącymi sprężynami, i pojemnik na wodę. W suficie była wielka dziura, przez którą lała się woda, niszcząc podłogę. Widać było pozbawione drzwi przejście do kuchni i to co, pozostało z białych szafek. Wiktor wszedł szybko do holu, rozglądając się i trzymając berettę w pogotowiu. Ani śladu Izraelczyka, zresztą tutaj nie miałby gdzie się schować. Z prawej strony dostrzegł balkon, z którego można było przejść na kolejne schody. Drzwi prowadzące na balkon były szeroko otwarte. Dokoła

pełno było kawałków szkła z rozbitej szyby znajdującej się kiedyś w drzwiach.

Wiktor przeszedł jeszcze kilka kroków do przodu. Teraz stał pośrodku holu i widział wewnątrz kuchni oraz balkon, ale wciąż w niektórych miejscach było tak ciemno, że aby sprawdzić, co się w nich kryje, musiałby podejść bliżej i tym samym odwrócić się tyłem do części holu. Każde z tych miejsc było dobrą kryjówką.

Zobaczył schody, ale wchodząc na nie, Wiktor stawał się łatwym celem do ataku z tyłu. A może morderca przyczał się na balkonie, sądząc, że Wiktor pójdzie najpierw do kuchni? Można by tak rozumować bez końca, wysnuwając najrozmaitsze hipotezy niemające nic wspólnego z taktyką.

Wiedział, że szybko musi się na coś zdecydować, gdyż drugi zabójca z Kidonu mógł być blisko, a może nawet zawołali jeszcze tego trzeciego, aby ich wspierał. I teraz otoczą Wiktora na antresoli i znajdzie się w pułapce. Ruszył w stronę schodów, ale wciąż targały nim wątpliwości. A może źle robi? Izraelczyk lub wszyscy oni mogli schować się w kuchni i nagle z niej wyskoczyć. Szedł bokiem, cały czas patrząc w lewo i obserwując kuchnię. Teraz znajdował się tylko osiemdziesiąt centymetrów od jej drzwi. Wiktor znowu posunął się o krok dalej - od balkonu dzieliły go dosłownie centymetry. Jeśli podejdzie jeszcze trochę bliżej, to wróg zauważy go szybciej, niż on zdoła dostrzec jego, na dodatek będzie doskonale widoczny z kuchni, o ile ktoś tam się ukrył. Nie mógł patrzeć w dwie strony równocześnie, a nie wierzył, iż nie ryzykując, da się czegokolwiek uniknąć.

Chwycił za klamkę drzwi balkonowych i otworzył je gwałtownie. Miał rację. Zanim odszedł od drzwi, odwrócił się raptownie, celując w wejście do kuchni.

Z ciemności wyłoniła się niska kobieta trzymająca przed sobą broń. Mrużyła oczy, przygotowując się do patrzenia pod światło.

Wiktor wystrzelił ostatni nabój. Celował w tułów, gdyż w ciemnościach, mając tylko jeden nabój, nie chciał ryzykować strzału w głowę do szybko poruszającego się celu. Pocisk trafił kobietę w mostek akurat w momencie, gdy chciała wycelować w Wiktora.

Słychać było, jak łuska pada na podłogę.

Kobieta krzyknęła, upadła w kuchni na wznak. Jednak nie zabił jej, przynajmniej tak sądził, ponieważ pociski poddźwiękowe nie są w stanie przebić kamizelki z kevlaru. Kobieta była w szoku i teraz nie mogła złapać tchu.

Wiktor ruszył do przodu, aby dokończyć sprawę oraz zabrać radio - jeśli kobieta je miała, ale w tej samej chwili usłyszał z lewej strony jakiś hałas, więc rzucił w stronę korytarza prowadzącego do pokoi biurowych swoją berettą.

Broń uderzyła potężnego Izraelczyka w czoło dokładnie w tym samym momencie, w

którym wyłonił się z cienia. Czoło jest co prawda najtwardszą częścią czaszki, ale beretta, nawet pusta, waży ponad osiemdziesiąt dekagramów.

Zabójca zatoczył się, dzięki czemu Wiktor zyskał kilka cennych sekund, aby przebiec przez hol. Lewą ręką chwycił broń Izraelczyka, który trzymał ją tylko jedną ręką, kciukiem zahaczając o koniec wskazującego palca tamtego, spoczywający na spuście, przycisnął paznokieć Izraelczyka do spustu, równocześnie wykręcając mu rękę do tyłu w nadgarstku.

Pomimo ogromnego bólu Izraelczyk nie puścił broni i zamachnął się lewą ręką, zaciśniętą w pięść. Wiktor zablokował prawą ręką to uderzenie, ale poczuł w ręce jego moc. Przeciwnik był tylko kilka centymetrów wyższy, ale ważył chyba dwadzieścia kilogramów więcej. Wiktor podszedł bliżej i walnął go łokciem w szczękę, a następnie wykręcił rękę, w której tamten trzymał broń.

Izraelczyk jęknął i puścił pistolet, a Wiktor chwycił go lewą ręką za kolbę, równocześnie usiłując zmienić uchwyt swojej ręki na nadgarstku przeciwnika, ale ten pchnął go ramieniem i przycisnął do ściany i lewą ręką tak mocno oplótł ramię i rękę Wiktora, że ten znalazł się w potrzasku. Izraelczyk chwycił drugą ręką lewą rękę Wiktora i zaczął ją wykręcać.

Wiktor puścił broń, zanim jego przeciwnik zdołał ją chwycić, po czym oplótł prawą nogą udo tamtego, zbijając go z nóg. Izraelczyk upadł na wznak, pociągając za sobą Wiktora, który jednak wykorzystał tę chwilę na uwolnienie się z uścisku wroga. Błyskawicznie odtoczył się na bok i na czworakach podpełznął do pistoletu, złapał go i natychmiast odwrócił się twarzą do nieprzyjaciela.

Izraelczyk rzucił się na Wiktora i walnął go pięścią w twarz, jednak nie miał możliwości porządnie się zamachnąć, toteż cios nie był bardzo silny, ale Wiktor i tak poczuł potworny ból w szczęce i na chwilę stracił orientację. Przeciwnik natychmiast wykorzystał ten ułamek sekundy, z łatwością wyrwał mu broń i wycelował w Wiktora. Z kolei on zgarnął z podłogi garść tłuczonego szkła, którego pełno było wszędzie, i wgniółł je w twarz Izraelczyka.

Kawałki szkła wbiły się w jego czoło i policzek, a wtedy Wiktor wykręcił mu rękę tak mocno, że musiał puścić broń, która potoczyła się po podłodze. Zerwał się i rzucił się w kierunku pistoletu, ale to samo zrobił Izraelczyk i złapał Wiktora za ubranie, uniemożliwiając mu sięgnięcie po broń. Po sekundzie rzucił się ku niej, prezentując przy tym całą swoją zręczność i siłę. Wiktor czekał, aż przeciwnik schyli się i w tym momencie podstawił mu kolano, tak by uderzył w nie twarzą. Kolano trafiło w podbródek, ale Izraelczyk stracił równowagę i zderzył się z Wiktorem, przygniatając go do ściany. Słysząc było trzask

pękającego tynku. Wiktor walnął przeciwnika łokciem w głowę, a następnie w brzuch.

Po chwili jeszcze raz, tym razem w szczękę. Izraelczyk chwycił Wiktora, przekreślił go, przerzucił przez siebie, odrzucił i, zanim Wiktor zdołał wstać, natarł na niego, złapał w pól na wysokości żeber, tym samym unosząc mu w górę ramiona i pchając do tyłu, przez co Wiktor zaczął tracić równowagę.

Nie mógł opuścić rąk, gdyż pod jedną pachą miał głowę przeciwnika, a pod drugą jego ramię, dlatego podkulił nogi, zmuszając tamtego, by go unióś. W normalnych okolicznościach taki ciężar nie byłby dla Izraelczyka problemem, ponieważ był potężnym mężczyzną, ale teraz, będąc pochylonym do przodu, zaczął tracić równowagę i gdy upadł, uderzył głową o podłogę, aż deski zaskrzypiały. Izraelczyk co prawda nie złamał sobie karku, ale Wiktor zdołał wykorzystać ten moment, by się wyswobodzić.

Odtoczył się i zerwał na równe nogi, Izraelczyk też. Całą twarz miał we krwi, pocie i odłamkach szkła.

Wiktor zrobił kilka głębokich wdechów. Walka wręcz z przeciwnikiem identycznego wzrostu i wagi byłaby wyczerpująca, a co dopiero z mężczyzną tak potężnym, jak ten z Kidonu. Ważył o jedną piątą więcej aniżeli Wiktor. Gdzie jest broń? Leżała zbyt daleko, aby był w stanie doskoczyć do niej, zanim tamten ponownie go zaatakuje. Można to było wyczytać z jego twarzy. Żaden z nich nie miał zamiaru ryzykować.

Zresztą Izraelczyk znalazł inne rozwiązanie. Podniósł wąski kawałek szkła i, trzymając go jak nóż, natarł na Wiktora. Mierzył w brzuch, gdyż nie chciał, aby jego broń połamała się na żebrach przeciwnika. Wiktor odskoczył w lewo, oddalając się od wroga. Izraelczyk odwrócił się i zamachnął, chcąc przeciąć mu gardło, ale Wiktor schylił się błyskawicznie, więc ostrze tylko przecięło powietrze nad jego głową. Tymczasem on wymierzył swojemu przeciwnikowi cios w nerki.

Izraelczyk lekko się zachwiał, ale po chwili odzyskał równowagę i ponownie zaatakował. Tym razem był bardziej skoncentrowany, opanowany i zdecydowany wykorzystać każdy ułamek przewagi, którą dysponował. Szkło trzymał w niemal wyciągniętej prosto przed siebie ręce, co bardzo utrudniało Wiktorowi atak, gdyż będąc niższym, miał też krótsze ręce. Wobec tego cofnął się i zaczął obchodzić wroga półkolem. Cały czas szukał czegoś, co mogłoby mu posłużyć jako broń. Kanapa odpadała, pojemnik na wodę był zbyt duży i ciężki, kawałki szkła leżące na podłodze zbyt małe.

Nieprzyjaciel pochylił się w przód, usiłując zadać cios kawałkiem szkła. Wiktor robił uniki, odskakiwał w bok lub do tyłu, ale nie próbował nacierać. Izraelczyk ponowił atak, a Wiktor swoją taktykę. Pot i padający przez dziurawy dach deszcz zalewały mu oczy, mięśnie



bolały.

Nagle z tyłu za Izraelczykiem, po drugiej stronie hali zobaczył to, czego szukał. Tymczasem nieprzyjaciel znów go zaatakował, trzymając szkło w wyciągniętej przed siebie lewej ręce. I znowu mierzył w brzuch. Na jego twarzy malowała się frustracja, natomiast z twarzy Wiktora nie można było nic wyczytać.

Nieprzyjaciel natarł z głośnym okrzykiem. Wiktor znowu się uchylił i odsunął na bok, wciąż posuwając się po półkolu. Już był blisko. Izraelczyk znowu zaatakował, ale frustracja przeważała nad taktyką i zbyt pochylał się do przodu, co wykorzystał Wiktor, chwytając z podłogi puszkę po piwie. Natychmiast cisnął nią Izraelczykowi w twarz.

Brzeg puszki rozciął mu łuk brwiowy, a siła uderzenia sprawiła, że głowa odskoczyła w tył. Mężczyzna cofnął się o krok, krew spływała mu po twarzy. Kiedy się otrząsnął, Wiktor był tuż przy nim. Lewą ręką chwycił jego prawy nadgarstek i zaczął wykręcać. To samo chciał zrobić z drugą ręką wroga, ale Izraelczyk był szybszy i wolną ręką chwycił prawy nadgarstek Wiktora.

Przez chwilę obydwaj stali bez ruchu, ich mięśnie były napięte jak struny, mierzyli się wzrokiem. Wiktor był niższy i słabszy od swojego przeciwnika, a ten wolno cofał prawą rękę, zmuszając Wiktora do rozluźnienia uchwytu, lewą zaś walczył, starając się wbić mu szkło w brzuch.

Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Na twarzy Izraelczyka malowały się wysiłek, wściekłość oraz determinacja. Nadal usiłował odciągnąć prawą rękę Wiktora od swojej, równocześnie zbliżając ostrze szkła do brzucha Wiktora.

Wiktor przestał walczyć prawą ręką i pchnął ją w kierunku, w którym ciągnął go jego przeciwnik, co go tak zdumiało, że na sekundę stracił koncentrację, ale to wystarczyło. Ręką Wiktora natychmiast powędrowała do krocza Izraelczyka. Ścisnął najmocniej, jak mógł.

Zabójca zawył, a ręka trzymająca szkło osłabła. Wiktor zamknął dłoń na palcach Izraelczyka, szkło wbiło się mu w rękę, która zaczęła krwawić. Mężczyzna rozluźnił uchwyt na przedramieniu Wiktora i chciał zadać cios łokciem, ale Wiktor zareagował błyskawicznie, odchylając głowę, dzięki czemu uniknął uderzenia w skroń. Jednak łokieć trafił go w głowę, a uderzenie było tak silne, że Wiktor na chwilę stracił równowagę.

Przeciwnik przyszykował się do ciosu drugim łokciem, a wówczas Wiktor zacisnął mocniej dłoń na kroczu zabójcy. Ten zachwiał się, cofnął o krok, wypuścił z ręki kawałek szkła, który upadł na podłogę, ale się nie zbił. Widać było na nim krew.

Wiktor nie zdążył powstrzymać przeciwnika przed schwytaniem go za koszulę i pchnięciem w tył. Zabójca stanął w rozkroku, wałnął Wiktora w pierś, po czym zrobił

półobrót i kopnął Wiktora, powalając na podłogę.

Cios był potężny, podobnie jak ból wywołany upadkiem. Wiktor czuł, że kręci mu się w głowie. Izraelczyk uklęknął nad nim w rozkroku, w lewej ręce trzymając kawałek szkła. Teraz nastąpiło błyskawiczne uderzenie, ostry koniec szkła już miał się wbić w twarz Wiktora, ale na szczęście doszedł on do siebie na tyle szybko, aby chwycić przegub ręki tamtego i zatrzymać cios dosłownie kilka centymetrów od swojego oka.

Izraelczyk natychmiast próbował pomóc sobie drugą ręką, choć właściwie wcale nie było to potrzebne. Miał przewagę: był wyższy, więcej ważył i znajdował się w lepszej pozycji do walki. Jedyną przewagą Wiktora polegała na tym, że zdawał sobie sprawę, że jego szanse na przeżycie maleją oraz że prawa ręka przeciwnika była poważnie ranna. Ręce Wiktora drżały z wysiłku, a szkło było coraz bliżej oka. Nie był w stanie odepchnąć przeciwnika, mógł tylko opóźnić bieg zdarzeń. Przed oczami miał jego twarz, poranioną, z wbitymi kawałkami szkła i z cienkimi ustami, które wykrzywiał sardoniczny uśmiech.

- Dobry jesteś - wycedził przez zaciśnięte zęby - ale nie aż tak dobry, jak myślisz.

W obecnej sytuacji, Wiktor niemal się z nim zgadzał. Szybko przełożył lewą stopę pod jego kolanem, wypychając równocześnie biodra w górę i próbując przekreślić się na lewy bok, ale silne mięśnie nóg Izraelczyka z łatwością udaremniły ten zamiar. Wobec tego Wiktor walił go kolanem w nerki, ale bez odpowiedniego rozmachu siła tych uderzeń była znikoma.

Tymczasem już tylko dwa centymetry dzieliły ostrze szkła od oka Wiktora. Izraelczyk pochylał się nad nim również tak nisko, że widział dokładnie krople potu na jego twarzy. Krew z jego rannej ręki spływała po kawałku szkła, a mięśnie rąk paliły Wiktora tak bardzo, że walczył z trudem.

Zamrugał oczami i poczuł, że rzęsy zaczepiają o krawędź szkła. Jeszcze chwila, a szklane ostrze zanurzy się w gałce ocznej. Widział nad sobą szeroko otwarte, żądne śmierci oczy Izraelczyka. Jego krew i pot kapały na Wiktora. W łokciach czuł ból tak straszliwy, że wręcz nie do wytrzymania.

Wiedział, że już dłużej nie wytrzyma, że opuszczają go siły. Zostały mu jeszcze dwie sekundy życia, jeszcze jedna...

Odwrócił głowę w lewo i przestał się bronić. Szkło spadło na niego prostopadle, szybko, a jego czubek ugodził Wiktora w bok głowy, po czym ześlizgnęło się wzdłuż linii włosów i wbiło w podłogę.

Rana zaczęła krwawić. Wiktor chciał uwolnić ręce, które Izraelczyk przyciskał do jego boków udami, ale nie mógł. Nie miał siły.

Zabójca uśmiechał się, będąc pewny zwycięstwa, jego twarz pochylała się nisko nad

twarzą Wiktora. Teraz Izraelczyk musiał tylko wyciągnąć szkło z podłogi i zadać ostateczny cios. Wiktor nie był w stanie mu przeszkodzić, ale pomimo tego uśmiechnął się, po czym nagle uniósł głowę i odgryzł Izraelczykowi nos.

Mężczyzna wrzasnął, głośno i przejmująco. Rzucił się w tył, chwytając ręką resztkę tego, co jeszcze pozostało z jego nosa.

Krew lała się na Wiktora, który wypluł odgryziony fragment nosa i zerwał się na równe nogi. Zabójca był w szoku, cofał się, tracił kontrolę nad tym, co robi, ręce przyciskał do twarzy, a między palcami płynęła krew. Przerażliwie krzyczał.

Wiktor wykorzystał ten moment, aby rzucić się po broń Izraelczyka, ale w tej samej sekundzie kątem oka dostrzegł jakiś ruch w kuchni. To ta kobieta z Kidonu doszła już do siebie i teraz szukała swojej broni. Na pewno chwyci ją, zanim Wiktor dosięgnie beretty Izraelczyka.

Wobec tego Wiktor zmienił plan: zostawił krzyczącego Izraelczyka, rzucił się w stronę drzwi balkonowych i popędził schodami w dół. Słyszał głuchy odgłos strzałów za sobą, toteż ostatecznie stopnie pokonał jednym susem.

O mało się nie przewrócił, ale zdołał odzyskać równowagę; wiedział, że teraz kobieta już się podniosła i mierzy do niego z broni. Dlatego musi jak najprędzej rozplątać się w ciemnościach.

Ale ona nie przestawała strzelać, mając nadzieję, że któryś z pocisków dosięgnie Wiktora. W powietrzu słychać było ich świst oraz metalowy odgłos jaki się rozlegał, kiedy trafiały w filary. Jednak Wiktor biegł, nie zwalniając ani przez chwilę. Biegł w linii prostej, w uszach nieustannie mając krzyk Izraelczyka, któremu odgryzł nos oraz wiedząc, że hala fabryczna jest duża, a szanse, że mały pocisk zdoła go dosięgnąć są minimalne.

Wreszcie dobiegł do ściany, w której znajdowało się zbite przez któregoś z Izraelczyków okno i przerzucił przez nie najpierw tułów, a potem resztę ciała i znalazł się na zewnątrz. Upadł na ziemię. Natychmiast poczuł na twarzy krople deszczu. Wciąż padało.

Trzeci z zabójców albo znajdował się po przeciwległej stronie fabryki, pilnując znajdujących się tam wyjść, albo też wszedł do środka, by pomóc krzyczącemu koledze. Wiktor biegł tą samą drogą, która doprowadziła go tutaj. Teraz przebiegał przez nieużytki. Usłyszał wycie syren. Po drugiej stronie zabudowań, w których znajdowały się warsztaty, z pewnością są już policjanci i karetki, ale nie miał wyboru. Lepiej zostać aresztowanym niż zabitym. Pokonanie ogrodzenia nie przyszło mu łatwo, gdyż był wyczerpany, ale jakoś znalazł się po drugiej stronie, choć jeszcze dodatkowo pokaleczył się o drut kolczasty. Teraz już zmęczenie dało o sobie znać i Wiktor upadł na kolana. Po twarzy spływały mu strugi

deszczu, mieszając się z krwią. Wiktor odchylił głowę do tyłu i łapał w usta deszczówkę. Chciał wypłukać z ust smak krwi i prochu.

Dotknął rany na głowie. Adrenalina sprawiła, że dotychczas nie czuł bólu. Wyczuł pod palcami czubek ucha, czyli nie zostało obcięte. Rana bardzo krwawiła, ale nie była śmiertelna. Obmył deszczówką twarz oraz głowę.

Kiedy usłyszał uliczny hałas, zatrzymał się, przyciskając ręką ranę, aby zatrzymać krwawienie i zaczął iść wzdłuż warsztatów. Przez prześwity między nimi widział błyskające światła radiowozów. Jeśli był tam któryś z Izraelczyków, to na pewno już dawno uciekł, a świadkowie opowiadali teraz policji jakieś nieprawdopodobne historie o strzelaninie. Niedługo cały ten teren zostanie pewnie odgradzony i dokładnie przeszukany, ale zanim dotrą do fabryki po ludziach z Kidonu nie pozostanie ani śladu, a jeszcze przed świtem ekipa będzie w Izraelu i zacznie się zastanawiać, gdzie popełnili błąd. W ciągu następnych trzech dni będą musieli przygotować raport, sprowadzić ciała, odbędą się pogrzeby, ten bez nosa będzie musiał przejść operację plastyczną. A więc przez jakiś czas nic z ich strony Wiktorowi nie grozi, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że niebezpieczeństwo nie minęło. Mossad teraz jeszcze bardziej niż przedtem pała chęcią zemsty i jej realizację wpisze w swój grafik obowiązków. W jednej z szyb Wiktor zobaczył swoje odbicie: czarne, intensywnie patrzące bez mrugnięcia oczu i twarz bez wyrazu. Być może coś się w niej kryje, ale trudno powiedzieć co. Nie miał pojęcia, dokąd jedzie autobus, który akurat zatrzymał się na przystanku, ale to nie miało znaczenia. Wiktor wsiadł, usiadł przy oknie, zamknął oczy i zasnął.